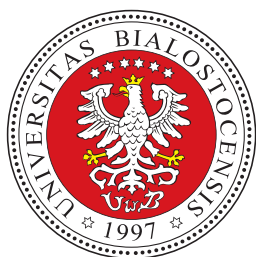




NOC TARASOWA
(PROZA)

KATEDRA BADAŃ FILOLOGICZNYCH
„WSCHÓD – ZACHÓD”

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY
UNIwersYTETU W BIAŁYMSTOKU



Naukowa Seria Wydawnicza
„Czarny Romantyzm”

Tom XXXIV

WYDAWNICTWO PRYMAT

Zenon Fisz

NOC TARASOWA
(PROZA)

Wstęp

Marek Szladowski i Rościsław Radyszewski

Opracowanie tekstu i przypisy

Krzysztof Rutkowski i Jarosław Ławski

Redakcja tomu i bibliografia

Jarosław Ławski i Iwona E. Rusek

Białystok 2017

NAUKOWA SERIA WYDAWNICZA „CZARNY ROMANTYZM”

REDAKCJA SERII

Jarosław Ławski (Przewodniczący)

Marcin Bajko, Małgorzata Burzka-Janik, Grzegorz Czerwiński
Anna Janicka, Dariusz Kukiełko, Marek Olesiewicz, Iwona E. Rusek
Krzysztof Rutkowski, Michał Siedlecki, Łukasz Zabielski (Sekretarz Redakcji)

RADA REDAKCYJNA

Halina Krukowska – Przewodnicząca (UwB)

Wojciech Gutowski (UKW), Maria Kalinowska (UW), Joel Janicki (Tajwan)
Alina Kowalczykova (IBL PAN), Michał Kuziak (UW), Abp Edward Ozorowski (UwB)
Leszek Libera (UZ), Marek Nalepa (URz), Elżbieta Nowicka (UAM)
Mikołaj Sokołowski (IBL PAN), Włodzimierz Szturc (UJ)

RECENZENCI TOMU

Dr hab. Marek Kwapiszewski, prof. UMCS (Lublin)

Dr hab. Mariya Bracka (Narodowy Uniwersytet im. Tarasa Szewczenki w Kijowie)

Wstęp: Marek Szladowski, Rościśław Radyszewski

Bibliografia: Iwona E. Rusek, Małgorzata Burzka-Janik

Opracowanie tekstu i redakcja tomu: Krzysztof Rutkowski, Kazimierz Bogusz, Jarosław Ławski

Ilustracje: Łukasz Zabielski, Marek Szladowski

Opracowanie komputerowe tomu: Dariusz Kukiełko

Streszczenia: Małgorzata Biergiel, Małgorzata Zielińska

Skład tomu: Krzysztof Rutkowski

ISBN: 978-83-7657-221-5

Praca naukowa finansowana w ramach programu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki” w latach 2013–2017:



**NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI**

Kontynuacje krytyczne wybitnych, zapomnianych dzieł XIX-wiecznej polskiej literatury romantycznej w Naukowej Serii Wydawniczej „Czarny Romantyzm” w X tomach.

Na okładce wykorzystano obraz Antina Manastyrskiego pt. *Zaporozec* (1932)

© Copyright by: Uniwersytet w Białymstoku, Białystok 2017

Druk: PRYMAT Mariusz Śliwowski

ul. Hetmańska 42, 15-727 Białystok, tel. 602 766 304, 881 766 304,

e-mail: prymat@biasoft.net, www.prymat.biasoft.net



Zenon Fiszc. „Tygodnik Ilustrowany” 1870, nr 155, s. 289
(drzeworyt Aleksandra Regulskiego)



Typy ukraińskie, „Tygodnik Ilustrowany” 1861, nr 97, s. 45
(ilustracja do prozy Zenona Fisza)



Ukrainki, „Tygodnik Ilustrowany” 1860, nr 64, s. 625



Widok Czerkas, „Tygodnik Ilustrowany” 1860, nr 114, s. 209
(ilustracja do prozy Zenona Fisza)

SPIS TREŚCI

I. Od Redakcji	11
II. Marek Szladowski	
<i>Zapomniany „malarz Ukrainy” – o pisarstwie Zenona Fisza</i>	13
Niepoznany	13
Samorodny pisarz	14
Szkoła zapominania	22
Dwie lekcje miłości	23
Ukraiński western	30
Z cygarem po wygasłym kraterze	33
Oko za oko	37
Syn marnotrawny	39
Ukraiński Syzyf?	41
Romantyczne „jądro ciemności”	44
Glosa edytorska	46
III. Rościsław Radyszewski	
<i>Kozacy watażkowie w twórczości Zenona Fisza: „Konaszewicz w Białogrodzie” i „Noc Tarasowa”</i>	49
Z ukraińskiej „szkoły”	49
W Białogrodzie	51
Pod Korsuniem	56
Płonące noce	59
IV. Zasady wydania	63
V. Zenon Fisz	
A. Opowieści ukraińskie	67
<i>Parę obrazków, parę myśli. Wspomnienie Tadeusza Padalicy (Wyjątek)</i>	69
<i>Noc Tarasowa. Powieść z dziejów Ukrainy 1624 r.</i>	103
<i>Zosia Żytkiewiczówna</i>	147
<i>Nestor Pisanka. Opowiadanie z czasów ostatniej koliszczyzny</i>	191

B. Powieści i szkice społeczno-obyczajowe	237
<i>Pokojówka. Szkic obyczajowy</i>	239
<i>Pamiętnik legitymującego się szlachcica</i>	291
<i>Profile</i>	327
– <i>List z kijowskich kontraktów</i>	327
– <i>Wyjątki z pamiętnika Eweliny</i>	353
– <i>Listy Józefa do Karola</i>	367
<i>Kontrakty kijowskie (w zarysach à la Kwacz)</i>	369
VI. Bibliografia	407
Noty o Autorach	413
Summary	415
Zusammenfassung	417
Indeks nazwisk	419

OD REDAKCJI

Zenon Fisz (1820–1870) należy dziś do bodaj najbardziej zapomnianych postaci XIX-wiecznej polskiej literatury romantycznej. Znany pod pseudonimem Tadeusza Padalicy, dość głośny i ceniony był za życia jako prozaik, podróżopisarz, publicysta. Do historii literatury wszedł jako autor młodzieńczego dramatu *Konaszewicz w Białogrodzie. Tragedia oryginalnie po polsku z dziejów Ukrainy* (1841–1844), znakomitych tomów prozy *Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrówek po Ukrainie* (T. I–II, 1856), a nade wszystko prekursorskich *Listów z podróży* (T. I–III, 1859). Był też współtwórcą konserwatywnej „Gwiazdy”, wydawanej w Petersburgu i Kijowie. W ostatnich latach życia pisarz popadł w chorobę psychiczną. Zmarł w majątku Prusy niedaleko Czerkas na Ukrainie.

Po śmierci twórcy nad jego dziełem zapadła prawie głucha cisza. „Prawie”, bowiem z niepamięci w XX wieku Fiszę wydobywali bez powodzenia Piotr Chmielewski, Paweł Hertz i znany badacz jego twórczości Marek Kwapiszewski.

Tom przynosi prawie wszystkie rozproszone utwory prozą pisarza (pominięto *Opowiadania i krajobrazy, Listy z podróży, korespondencję pisarza*). Twórczość Fiszę domaga się dziś przywrócenia jako ważny i artystycznie wybitny zapis polskiej obecności na ziemiach ukraińskich oraz świadectwo polsko-ukraińskiej historii, o której Fisz opowiadał z talentem i językowym mistrzostwem. Publikację tekstów poprzedził wstępem dr Marek Szladowski, autor między innymi książki o doświadczeniu starości w pisarstwie Józefa Ignacego Kraszewskiego (Białystok 2012). W edycji pism Fiszę wzięli udział także badacze z Katedry Polonistyki Narodowego Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki w Kijowie. Profesor Rościśław Radyszewski napisał do tomu jeden ze wstępów.

Jak podkreśla znawca tej twórczości, Fisz: „Pragnął przełamać rozpowszechniony w potocznej świadomości społecznej stereotyp Ukrainy mityczno-poetyckiej, ukształtowany pod wpływem utworów Zaleskiego, Malczewskiego, Goszczyńskiego czy Czajkowskiego, i funkcjonujący w różnych wariantach: arkadyjskim, szlachecko-rycerskim, hajdamacko-frenetycznym bądź solidarystyczno-kozakofilskim. Patrzył na tę na poły baśniową »krajnę mlekiem płynącą i miodem« trzeźwym okiem autochtona, wyczulonego na przemiany obyczajowo-socjalne, dokonujące się w wyniku »kapitalizacji« i nieuchronnej industrializacji” (M. Kwapiszewski, *Portret pisarza kresowego: o Zenonie Fisz*u). Już choćby z tego tylko powodu warto przypomnieć

prozę Fisz, pokazującą polsko-ukraińską historię i XIX-wieczną współczesność w niestereotypowy, odpoetyzowany, a czasem „skandaliczny” dla owoczesnych czytelników sposób.

Fisz nie jest pisarzem frenezji. Można go nazwać twórcą perspektywy umiaru, obrońcą mitu Ukrainy i jego radykalnym reinterpreterem.

W najlepszych dziełach czarnoromantyczna proza autora *Nocy Tarasowej* osiąga poziom, który bez wątpliwości nazwiemy wysokim. To wybitny pisarz, godzien ponownego odczytania w XXI wieku, przywrócenia historii literatury polskiej, a zapewne również ukraińskiej.

Halina Krukowska, Iwona E. Rusek, Jarosław Ławski

Marek Szladowski

Warszawa

ZAPOMNIANY „MALARZ UKRAINY” – O PISARSTWIE ZENONA FISZA

Niepoznany

Zenon Fisz należy do licznego grona XIX-wiecznych pisarzy zapomnianych. Znamienne, iż powyższe zdanie jest niemalże dosłowną parafrazą słów Piotra Chmielowskiego z 1898 roku i po przeszło stu latach sąd ten nadal pozostaje aktualny. Co więcej, od 1902 roku brak jest – z wyjątkiem krótkich fragmentów tekstów – samodzielnych wznowień publikacji artysty. O nieobecności Fisza w świadomości czytelniczej i recepcji naukowej nie zdecydował wtórny charakter jego twórczości, tę bowiem znamionuje – przynajmniej w niektórych tekstach – arcyzm najwyższej klasy.

O braku głębszego zakorzenienia Fisza w historii literatury zdecydowało kilka czynników. Po pierwsze, Zenon Fisz nie był poetą, co w kulturze romantycznej może, choć oczywiście nie musi, decydować o „trwałości nazwiska”. Szkoła ukraińska, do której Fisz generacyjnie, tematycznie oraz terytorialnie należał, była wszak ufundowana przede wszystkim na trzech wielkich poetyckich talentach: Józefa Bohdana Zaleskiego, Antoniego Malczewskiego i Seweryna Goszczyńskiego. Fisz był nade wszystko reportażystą (jego *Listy z podróży* włączyć bez wątpienia można do najciekawszych osiągnięć reportażu XIX wieku), publicystą i autorem próz narracyjnych, a ta ostatnia forma w połowie XIX wieku walczyła jeszcze w Polsce z konwencją oświeceniowego dydaktyzmu.

Po drugie, Fisz był mieszkańcem prowincji, co samo w sobie ogranicza możliwości oddziaływania na główny nurt myśli. Nie bez znaczenia pozostaje również fakt, iż jego twórczość przypadła już na czas przewartościowywania najbardziej nośnych romantycznych form i idei.

Po trzecie, zasadniczą część swojej twórczości poświęcił problematyce pogranicza i sąsiedztwa Polski i Ukrainy. Wizja tych relacji – choć często wewnętrznie

niespójna – jest politycznie umiarkowana i otwarta na dialog, daleka od radykalizmu, co ogranicza możliwość jej oddziaływania. Co szczególnie ważne, Fisz przyjął postawę polemiczną wobec romantycznego, silnie zmitologizowanego, literackiego obrazu Ukrainy. A ponieważ w potocznej świadomości kolejnych pokoleń utrwalił się idylliczny obraz Ukrainy (choćby za sprawą jednego z największych kontynuatorów tego mitu – Henryka Sienkiewicza), tym trudniej było utrzymać żywotność myśli wyrazieli sądów krytycznych wobec tych wizji.

Po czwarte, nie bez znaczenia dla marginalizacji pozycji Fisz w polu literackim okazał się też model historii literatury XX wieku, który – by posłużyć się popularną metaforą – często opierał się na „ramionach gigantycznych-wieszczych nazwisk”. To one przede wszystkim skupiały uwagę interpretatorów i czytelników, pozostawiając w cieniu liczne grono utalentowanych pisarzy. Nieznalezienie się w orbicie „wielkiego romantyzmu” wieszczów – także tych reprezentujących samą szkołę ukraińską – nie pozostało bez wpływu na nieobecność Fisz w świadomości naukowej i czytelniczej.

Zróznicowana gatunkowo i tematycznie twórczość Fisz ma szanse przemówić do współczesnego czytelnika poprzez wpisanie jej w coraz bardziej koncentrujący się wokół kategorii tożsamości narodowej dyskurs współczesnej polskiej humanistyki, aktualizujący dialog o polsko-ukraińskich relacjach historycznych, nad którym ciężą zapisane z obu stron ciemne karty historii. Na atrakcyjność prac Fisz wpływa też dziś niezwykła popularność literatury faktu, zwłaszcza reportaży krajoznawczych, których Fisz był wyjątkowo utalentowanym twórcą.

Samorodny pisarz

Życie Zenona Fisz¹ (1820–1870) nie jest podstawą do barwnej i fascynującej opowieści z dramatycznymi perypetiami, które same w sobie mogłyby utworzyć ciekawą historię. Przynajmniej taki wniosek płynie z niezbyt obszernych materiałów biograficznych, z których najważniejszy jest (zamieszczony w niniejszym tomie) powstały w Petersburgu w 1844 r. tekst *Parę obrazków, parę myśli. Wspomnienie Tadeusza Padalicy (Wyjątek)*. Do tego dodać należy niewielki zbiór listów skierowanych do Józefa Ignacego Kraszewskiego w latach 1841–1862 – wszak korespondencja z tym wielkim pisarzem była niemal obowiązkowa dla „wszystkich, którzy cokolwiek znaczyli w polskim piśmiennictwie”². Leonard Sowiński, publikując w 1870 r. *Zarys*

¹ Stosowane formy nazwiska: Fisch, Fish, Fiss, Fis. Pseudonimy i kryptonimy: F.; F.; T.; T. P.; Tadeusz Padalica; Z. F.; Z. L.; Zenon F.

² J. Jedlicki, *Błędne koło 1832–1864*, Warszawa 2008, s. 159.

*biograficzno-literacki*³ pisarza, wskazuje co prawda na dwa rękopiśmienne źródła dotyczące jego biografii – jedno opracowane przez przyjaciela pisarza Antoniego Marcinkowskiego, drugie przez Andrzeja Podberskiego (*Noty biograficzne do życia Zenona Fisz*) – jednakże dotychczasowe kwerendy nie pozwoliły potwierdzić ich istnienia. Czyni to z biografii Fisz otwartą, możliwą do uzupełnienia kartę historii polskiej literatury.

Zenon Fisz urodził się 10 lipca 1820 r. na Białorusi we wsi Kluczki, jeszcze w dzieciństwie przeniósł się wraz z rodzicami na Ukrainę (najpierw do Koczerowa, a następnie do wsi Prusy), gdzie pozostał niemal całe życie. Informacje na temat rodziców Fisz (dzierzawcy Tymoteusza oraz Marianny z Wierzbickich) są skrajnie rozbieżne. Jedne źródła podają, iż jego ojciec był lingwistą, a nawet profesorem w Wiedniu⁴, inne z kolei, iż rodzice jego „czytać dobrze nie umieli”⁵. Ojciec artysty podobno zginął tragicznie, kiedy pisarz był jeszcze młody⁶. Sam Fisz nie pozostawił w swojej twórczości zbyt wielu śladów dotyczących rodziny. Być może nad młodością Fisz – co jest jedynie spekulacją – ciążyła jakaś tajemnica, bo sam pisarz pozostał bezżenny, a w ostatnich latach życia popadł „w nieuleczalne obłąkanie”⁷.

Fisz otrzymał jedynie wykształcenie podstawowe, uczył się w szkołach w Zabłoczcu, Kamionce i Złotopolu. Przez kilka miesięcy pobierał edukację u Jana Macewicza (marszałka powiatu czarkaskiego) – pełnił u niego funkcję skryby prowentowego. Był samoukiem o ogromnych ambicjach i wrodzonym talencie. Z czasem przybrał pseudonim Tadeusz Padalica – słowo „padalica” oznacza zboże samosiewne wyrosłe z ziarna, które wypadło z kłosa. Znamionuje to zarówno dystans, jak i pokorę, choć dla samego pisarza stanowiło też element pewnego osobistego kompleksu⁸. Dowiadujemy się tego z pisanych w 1844 roku w Petersburgu wspomnień:

Naprzód wyznać muszę otwarcie a szczerze, iż uczyłem się, czyli, jak mówią u nas, *edukowałem się*, to jest: *na szkolnej ławce i z musu*, tylko do lat trzynastu. Odtąd, przez

³ L. Sowiński, *Leonard Fisz (Tadeusz Padalica). Zarys biograficzno-literacki*, „Kłosa” 1878, nr 670.

⁴ Tamże.

⁵ W. Korotyński, *Zenon Fisz. (Tadeusz Padalica)*, „Tygodnik Ilustrowany” 1870, nr 155.

⁶ L. Sowiński, dz. cyt.

⁷ W. Korotyński, dz. cyt.

⁸ Zupełnie odmienną interpretację pseudonimu prezentuje Daniel Beauvois, uznając, iż pisarz publikował pod pseudonimem „przez ostrożność [...] Uważał się za ocalańca z wielkich żniw śmierci i deportacji roku 1831”. D. Beauvois, *Trójkąt ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793–1914*, z języka francuskiego przeł. K. Rutkowski, Lublin 2016, s. 408.

W 1843 r. pisarz modyfikuje pisownię swojego nazwiska, zmieniając je z Fis na Fisz, co żartobliwie i nieco złośliwie skomentował Henryk Rzewuski kalamburem (cyt. za: L. Sowiński, dz. cyt.):

Dawniej w nucie pół-tonem

Teraz w wodzie z ogonem.

wpływ różnych okoliczności, już ciągle prawie zostawałem w domu [...]. Co wy teraz myślicie o mnie Wielmożni czytelnicy, gdy oto raptem dowiadujecie się, że ten, co się ośmiela częstować was tak śmiałą biografią swego własnego życia, nie tylko, że nic nie ma za sobą, coby jego postępek usprawiedliwiać mogło; ale nawet nie był w Uniwersytecie, co mówię: nie skończył szkół gimnazjalnych, nie robił na tablicy geometrycznych figur [...].⁹ (WTP, 60–61)

Formalne wykształcenie zostało zastąpione zupełnie odmienną formacją intelektualno-estetyczną. Głównym źródłem wiedzy stały się dla pisarza przede wszystkim natura oraz folklor ukraiński. To element w biografii Fisza wymagający szczególnego podkreślenia, bowiem właśnie młodzieńcze doświadczenie kontaktu z naturą, przyrodą, ale także z historią i podaniami, było ekwiwalentem edukacji formalnej, swoistego rodzaju szkołą i uniwersytetem zarazem: „Dla mnie czytać, pisać, rysować, było toż samo, co biegać, strzelać z łuku, wydzierać wróble” (WTP, 63). O sile pasji poznawczej i skali zauroczenia naturą świadczą następujące emocjonalne wyznania:

Moją kochanką była natura. Mnie się roiło, że rano, przed wschodem słońca i o samym wschodzie, musi być ona piękniejszą o tyle, o ile jest piękniejszą ładna dziewczyna, gdy w negliżu, a że dniem, już tajemnicze jej wdzięki są niejako skalane stopami nieporuszonych płazów. (WTP, 71)

Ja kochałem dwu-rodzajową miłością naturę: pierwsza była młodzieńcza, żywa, gwałtowna, nierozważna; druga oparta na uczuciu, na rozmyślanie oddanem jej pierszeństwie, rzewna i czuła wprawdzie, ale już nie tak poufna jak pierwsza. Tamta rzucała mię ze swobodą i palającym sercem na jej łono, a ta nauczyła opatrywać czasami i z zimną krwią jej wdzięki. (WTP, 96)

Tego rodzaju formacja wymaga też właściwego nauczyciela; stał się nim ekonom Walenty, który „w prostocie swojej nauczył kochać ciche i wiejskie życie i przyzwyczaił do natury [...]. On mię nauczył kochać Ukrainę, on to mi opowiadał jej dzieje i miejscowe przygody z lat dawnych” (WTP, 65–6). Swego rodzaju lekcje historii odbywały się wieczorami w pokoju ekonomy podczas chociażby „naprawiania sieci na kuropatwy” – nauczycielami stawali się zaś żywi świadkowie teraźniejszości

⁹ W dalszych częściach wprowadzenia przyjąłem następujący system cytowania tekstów Fisza – po cytacie w nawiasie okrągłym podaję oznaczenie tytułu oraz numer strony: *Parę obrazków, parę myśli. Wspomnienie Tadeusza Padalicy (Wyjętek)*, „Athenaeum” 1844 t. 5 – WTP; *Noc Tarasowa. Powieść z dziejów Ukrainy 1624*, Kraków 1902 – NT; *Pokojówka. Szkic obyczajowy*, Wilno 1850 – P; *Zosia Żytkiewiczówna*, w: *Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrówek po Ukrainie*, Wilno 1856, t. I – ZZ; *Nestor Pisanka (Opowiadanie z czasów ostatniej Koliszczyzny)*, w: *Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrówek po Ukrainie*, Wilno 1856, t. II – NP; *Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrówek po Ukrainie*, Wilno 1856, t. 1–2 – OK; *Profile*, „Gwiazda” 1846 – PR.

i historii: rymarz, szewc czy chłop – słowem, towarzystwo, które „nie było na paryską stopę” (WTP, 66).

Nie oznacza to oczywiście, iż brak w młodości pisarza śladów literackich fascynacji. Fisz ujawnia swoje młodzieńcze zauroczenie Karpińskim i Trembeckim, które przyniosło szereg prób poetyckich (a chęć do ich pisania była „niestłumiona, ale zarazem tak konieczna, jak wyrzynanie się zębów” – WTP, 63) – wystawił im pisarz jednoznaczną ocenę: „małpiarską nosiły na sobie cechę” (WTP, 62). Z niekrytą autoironią Fisz opisuje losy owych tekstów: „Szczęście dla mnie i dla was [...] użyte zostały na oklejanie okien i wielkanocne baby” (WTP, 63). Poetyckość (rozumiana jako sposób przeżywania i wyrażania emocji) przybrała u Fisz z czasem szczególny charakter, nie zawsze formowała się w wiersze, lecz była swoistym współodczuwaniem natury. Już samo jej doświadczania stawało się poezją:

Jeśli bym i był poetą w życiu – to nigdy z ludźmi, ale za to prawie zawsze z naturą [...]. O, kto zdolny pojmować poezję, dla tego takie ustępy natury są drogim żywołem! Gdzieżbo godniej wywołaś to święte uczucie! Co dziś w rachunkowym świecie zostało miłszego dla serc, przepelnionych tym nektarem nieba – nad naturę! (WTP, 79)

Poezją życia, poezją żywą w młodości, ale też w dalszym życiu, była dla niego natura.

Niebagatelną rolę na formację intelektualną Fiszą osobiście odegrał Michał Grabowski, stając się dla młodego pisarza prewentowego – przez pewien czas – mentorem (udostępniał mu swoją bibliotekę, wskazywał konieczne lektury, zachęcał do tłumaczenia literatury rosyjskiej). Bez wątpienia kontakt z tym wielkim autorytetem krytycznoliterackim był dla Fisz nobilitacją. Owocem tych relacji były między innymi próby przekładu *Córki kapitana* oraz *Eugeniusza Oniegina* Puszkina¹⁰. Mistrz surowo oceniał ucznia, który „nic się uczył i nic nie miał zręczności czytać”¹¹. Bardzo szybko Fisz uwalnia się spod nadzoru swojego nauczyciela i publikuje, bez konsultacji z nim, pierwsze teksty publicystyczne i literackie, co spotyka się z niechęcią i bardzo krytycznym przyjęciem Grabowskiego – owe teksty ocenia on jako „fałszywe połogi niedojrzałej ukrainomanii”¹². Debiutancki tekst ogłasza młody Fisz w „Tygodniku Petersburskim” w 1839 roku (mając zatem lat 19), który był w tym czasie najważniejszym pismem kulturalno-literackim ziem litewsko-ruskich.

Krótkim rozbiorem praw poezji gminnej w sztuce Fisz włączył się w dyskusję (w której udział brali także J. I. Kraszewski, M. Grabowski i A. Spasowski)

¹⁰ Fisz jest tłumaczem książek P. Kulisza i M. Lermontowa. Zob. *Bibliografia* na końcu tomu.

¹¹ List M. Grabowskiego do K. Podwysockiego z 11.03.1840 r. Cyt. za: M. Kwapiszewski, *Późny romantyzm i Ukraina. Z dziejów motywu i życia literackiego*, Warszawa 2006, s. 101.

¹² List M. Grabowskiego do A. Grozy z 20.07.1842. Cyt. za: M. Kwapiszewski, dz. cyt.

skoncentrowaną wokół literackiego sposobu wykorzystania ludowości. Głos Fisza, dosyć jeszcze nieprecyzyjny, wskazywał na konieczność – za wzór biorąc twórczość Zaleskiego – „najdokładniejszego zjednoczenia oryginalności gminu z malowniczymi wdziękami sztuki”¹³. Widać tu jeszcze młodzieńcze zauroczenie (swego rodzaju „ukąszenie ukrainomanią”), które z czasem bliższe będzie krytycznym poglądom na temat literackiego wykorzystywania żywiołu ludowości i folkloru ukraińskiego w literaturze romantycznej. Dobrym przykładem takiego balansowania pomiędzy uwiedzeniem szkołą ukraińską a samodzielną, krytyczną oceną historii jest młodzieńcze opowiadanie *Noc Tarasowa. Powieść z dziejów Ukrainy 1624 roku* (1841–1842), którego obszerniejsze omówienie znajduje się w dalszej części niniejszego wprowadzenia.

Konaszewicz w Białogrodzie (1841), opatrzony podtytułem *Tragedia oryginalnie po polsku z dziejów Ukrainy napisana*, był jednym z pierwszych tekstów artystycznych Fisza. Powiedzmy od razu – pod względem artystycznym bardzo nieudany. Leonard Sowiński podaje, iż dramat napisany został w wieku lat szesnastu (co mogłoby tłumaczyć jego epigoński i estetycznie wtórny charakter), Piotr Chmielowski z kolei wskazuje, iż w wieku lat dwudziestu trzech¹⁴. Co ważne, samodzielne wydanie utworu nastąpiło w 1845 roku, a co jeszcze ciekawsze, tekst został wydany anonimowo i bez wiedzy autora. Jak wspomina Fisz: „Gdyby odbitka ta doszła mnie w owym czasie, jakże byłbym szczęśliwy! Napisałem dramat, wydrukowano go, i ja... ja o tym nie wiedziałem! Wyraźnie okradziono mnie z mojego szczęścia”. Tekst cechuje wtórność i powierzchowność wykorzystywania motywu Kozaka, wadliwa kompozycja, a także, jak trafnie ocenił to Marek Kwapiszewski: „naskórkowy bajronizm i zredukowany do pustej konwencji wallenrodyzm pozbawiony jakichkolwiek uzasadnień ideowych”¹⁵. Nad dramatem, podobnie jak nad innymi wczesnymi tekstami Fisza, ciąży jeszcze swego rodzaju „balast ukrainomanii”.

Ważnym doświadczeniem Fisza był wyjazd, prawdopodobnie w 1843 roku (powrót w 1847 roku), do Petersburga, w którym za sprawą bogatego wuja – Stanisława Wierzbieckiego – pełnił rolę plenipotenty legitymującej się szlachty. Motywacją do bardzo popularnych, a także koniecznych wyjazdów w celu pozyskania potwierdzenia szlacheckiego pochodzenia, Fisz opisuje wprost w *Pamiętnikach legitymującego się szlachcica* (1855): „Ukaz jest taki, żeby wszyscy przedstawiali swoje papiery, a jeśli nie przedstawiają, więc ich heroldyja nie zatwierdzi i trzeba będzie zapisać się w jedno-dworcy...”¹⁶. Samo miasto zrobiło na nim, prowincjuszu, ogromne wrażenie: „Kiedym

¹³ Z. Fisz, *Krótki rozbiór praw poezji gminnej w sztuce*, „Tygodnik Petersburski” 1839, nr 87.

¹⁴ Przedmowa P. Chmielowskiego do *Powieści ukraińskich. Zosia Żytkiewiczówna, Nestor Pisanka*, Warszawa 1898, s. 6.

¹⁵ M. Kwapiszewski, dz. cyt., s. 103.

¹⁶ *Pamiętnik legitymującego się szlachcica*, „Biblioteka Warszawska” 1855, t. 1, s. 234. Por. także: D. Beauvois, *Trójką ukraiński: szlachta, car i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793–1914*,

przybył do Petersburga, z początku mię zajął, ogłuszył ten wir, ten chaos miasta. I zazdrość i podziwienie i uczucie własnej niższości” (PO, 107). Z jednej strony był to czas ożywionej pracy twórczej, z drugiej wyjazd ten stał się dla niego możliwością na poprawę materialnej pozycji.

Pobyt w Petersburgu to także szansa dla Fisza na uzupełnienie swojej wiedzy (bywa w Cesarskiej Bibliotece Publicznej, zwiedza Akademię Sztuk Pięknych, czytuje czasopisma rosyjskie). Stara się też aktywnie włączyć w życie intelektualne, zwłaszcza nawiązać kontakty z pisarzami skupionymi wokół „Tygodnika Petersburskiego”, dla którego wszak pisał. Próby te nie przyniosły jednak oczekiwanego efektu, także profil ideowy pisma i skupionych wokół niego osób sprawił, iż powołał polemiczne wobec „Tygodnika Petersburskiego” pismo „Gwiazda”. Fisz wydawał je wspólnie z Jakubem Jurkiewiczem oraz Antonim Marcinkowskim w latach 1846–1849. Pierwszy numer z 1846 roku został wydany w Petersburgu pod redakcją Fisza, natomiast trzy kolejne ukazały się już w Kijowie pod redakcją Jakuba Jurkiewicza. W gronie współautorów pisma znaleźli się między innymi studenci uniwersytetu kijowskiego oraz tzw. kaukaszczycy (byli polityczni konspiratorzy wcieleni karnie do carskiej armii). Musiało to wpłynąć na silnie polemiczny ton wobec „Tygodnika Petersburskiego”. Profil ideowy pisma z jednej strony oparty był na sprzeciwie wobec politycznego oportunisty, kulcie szlachetczyzny, podszytej obłudą religijności, z drugiej natomiast miał ambicje stać się almanachem „młodej »klasy umysłowej« ziem litewsko-ruskich”¹⁷. Fisz tak prezentował zamierzenia ideowe „Gwiazdy” w ogłoszeniu o planach jej wydania:

Przychylając się do rady kilku osób, dla których literatura nasza nie jest jeszcze martwą cyfrą w rzędzie innych literatur; którzy nie zgadzają się jeszcze na to (a na co już godzili się wielu) iż lepiej stać z opuszczonymi rękoma, beczynnie, nade drogą, patrząc obojętnie na ogólny ruch i postęp oświaty, niżli odważyć się iść równoległe z nimi, po swojej własnej drodze [...] ¹⁸.

O skali sukcesu „Gwiazdy”, zwłaszcza w kontekście warunków politycznych i cenzury do prowadzenia działalności wydawniczej, świadczy nakład pisma (1050 egzemplarzy) oraz liczba jego prenumeratorów (568)¹⁹.

Jako redaktor i autor „Gwiazdy” Fisz unikał raczej bezpośrednich – i to pomimo profilu ideowego pisma – sporów politycznych. Opublikował natomiast *Profile* – utwór

z jęz. fr. przeł. K. Rutkowski, Lublin 2016; oraz J. Sikorska-Kulesza, *Deklasacja drobnej szlachty na Litwie i Białorusi w XIX wieku*, Pruszków 1995.

¹⁷ M. Kwapiszewski, dz. cyt., s. 107.

¹⁸ „Tygodnik Petersburski” 1845, nr 65, s. 427–428.

¹⁹ Na temat prasy w pierwszej połowie XIX w., a także znaczenia „Gwiazdy” patrz: M. Ingot, *Polskie czasopisma literackie ziem litewsko-ruskich w latach 1832–1851*, Warszawa 1966; oraz M. Kwapiszewski, dz. cyt., s. 106–109, 112–114. Por. również: J. Kamionkova, *Życie literackie w Polsce w pierwszej połowie XIX wieku*, Warszawa 1970.

utrzymany w formule epistolarno-pamiętnikowej relacji niespełnionych kochanków. W ostatnim numerze „Gwiazdy” zamieścił tekst *Kontrakty kijowskie 1849 r. (w zarysach à la Kwacz)*, w którym przywołał serię wydarzeń, scen oraz barwną panoramę postaci biorących udział w tym kulturalno-handlowym wydarzeniu²⁰. Wykazał się umiejętnością – nawet jeśli nie uniknął klisz literatury stanisławowskiej – trafnego obserwowania i opisanego rozmaitych typów ludzkich. Do tekstów publikowanych na łamach „Gwiazdy” dodać należy jeszcze kilka sonetów, które nie ujawniają jednak talentu poetyckiego Fisza.

Pisarz opuszcza Petersburg w 1847 roku Dzięki spadkowi i uzyskaniu niezależności materialnej rozpoczyna życie ziemianina we wsi Prusy na Ukrainie. Swoją czas dzieli odtąd pomiędzy gospodarstwo, podróże i pisanie. Jest bardzo aktywnym publicystą. Miał własną rubrykę w „Dzienniku Warszawskim”²¹ (*Gawędy o tym i o owym*), na łamach tego pisma publikował fragmenty *Gawęd z wędrowek po Ukrainie*, które stały się podstawą *Opowiadań i krajobrazów*. Do „Gazety Warszawskiej” nadsyłał *Listy Tadeusza Padalicy* oraz *Listy z podróży*. W późniejszych latach był Fisz stałym korespondentem „Tygodnika Ilustrowanego”, w którym publikował komentarze do „typów ukraińskich” (opisy i wyjaśnienia do rysunków K. Przyszychowskiego). Należy także wspomnieć o jego współpracy z „Kurierem Wileńskim” (1860–1863). Fisz pozostał obrońcą szlacheckiej wizji Rzeczypospolitej i „w duchu tradycjonalistyczno-szlacheckim zajadłe bronił również przedrozbiorowej polityki w kwestiach społecznych, narodowościowych i religijnych”²². Jako reprezentant szlachty polskiej na Ukrainie, a zarazem człowiek świadomy kulturowych i historycznych sporów, Fisz wraz z Michałem Grabowskim oraz Józefem Kraszewskim w 1860 roku starali się zainicjować „Towarzystwo Gospodarzy na Ukrainie”, którego celem był rozwój rolnictwa, przemysłu oraz handlu²³.

Zupełnie osobne miejsce w twórczości Fisza zajmują dwa korpusy tekstów o niejednorodnym charakterze, w których dominuje element krajoznawczo-reportażowy: *Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrowek po Ukrainie* (wydane w 1856 roku w Wilnie, dwa tomy) oraz *Listy z Podróży* (wydane w 1858 roku w Wilnie, trzy tomy). Na pierwszy z tekstów składa się zbiór relacji z podróży po Ukrainie;

²⁰ Por. H. Ułaszyn, *Kontrakty kijowskie. Szkic historyczno-obyczajowy 1798–1898*, Petersburg 1900; oraz M. Maciejewska, *Romantycy na kontraktach kijowskich*, w: *Środowiska kulturotwórcze czasów oświecenia i romantyzmu*, pod red. B. Doparta, Kraków 2013.

²¹ Na szczególną uwagę zasługuje fakt, iż dotychczasowy ideowy przeciwnik „Tygodnika Petersburskiego” zdecydował się na współpracę z dotowanym przez rząd pismem H. Rzewuskiego (i z nim samym), który był wszak do niedawna jednym z najzacieklejszych przeciwników „Gwiazdy”. Widzieć w tym należy świadomą strategię Rzewuskiego, który w obliczu finansowego „krachu” swojego pisma sięgnął do autorów, którzy mogli ten proces powstrzymać. Więcej na ten temat patrz M. Kwapiszewski, dz. cyt., s. 112–115.

²² M. Kwapiszewski, dz. cyt., s. 125.

²³ Takie organiczne działanie miało polegać na wykształceniu kadr, również poprzez publikację pisma rolniczego, a także organizowanie wystaw płodów rolnych. D. Beauvois, dz. cyt., s. 454–455.

w tekście wyróżniają się dwa opowiadania o tematyce ukraińskiej (*Zosia Żytkiewiczówna* oraz *Nestor Pisanka*). Druga z prac to efekt rozpoczętej w 1856 roku i trwającej półtora roku podróży, która wiodła między innymi przez: Wołyń, Warszawę, Kraków, Drezno, Paryż, Londyn, Niceę, Genuę, Rzym, Neapol, Konstantynopol. Fisz przyjmuje w swoich relacjach szczególną, wyróżniającą go na tle wielu XIX-wiecznych relacji z podróży, metodę sprawozdawczą:

Nie pójdę ubitą ścieżką i nie biorę na siebie ciężkiego obowiązku pisać o wszystkim, co już było opisane jakie sto razy. Znudziłbym tylko siebie przepisywaniem, a was – czytaniem znanych rzeczy. Postępując w tym sposobie, przyznacie, że o jednym Paryżu mógłbym napisać tomy. Chodziło mi wszakże nie o to. Chciało mi się przede wszystkim zwrócić uwagę waszą na rzeczy nas obchodzące, o których żaden z naszych turystów nie wyrzekł ani słowa; po wtóre; na wydatniejsze przedmioty dotyczące kwestyj społecznych, które nas będą interesować zawsze; wreszcie na samo codzienne, powszednie oblicze i tego kraju i tych ludzi²⁴.

Listy z podróży w swojej synkretycznej formie mają cechy zarówno reportażu, eseju, a nawet szkicu fizjologicznego²⁵. Zgodnie z przyjętą przez siebie metodą Fisz stara się nie podążać drogą popularnych i atrakcyjnych miejsc, nie koncentruje się także na relacjonowaniu doświadczeń kontaktu ze znanymi zabytkami architektury bądź malarstwa. Spotkanie z kulturą Zachodu przynosi jednak Fiszowi zdystansowany, a nawet krytyczny wobec niego stosunek. Wyrosły w kulturze słowiańskiej, tym większą upatruje w niej siłę i wartość:

Ta ziemia dziewicza, te ludy o rosnących siłach, ten umysł ich silny i dziki, czujesz, jak rozpiera jej łono, grzeje się na słońcu. Przyłóż ucho do ziemi, a posłyszysz, jak rosną w tajemniczym łonie żywioty i jaki tam huk chodzi podziemny. Czy ten świat młody wyrośnie w olbrzyma i zagarnie świat stary, czy go w zarodzie może zatrutej oddech dzisiejszego świata i zaszczepli mu te choroby, od których sam kona? [...].

Jest to smutny symptomat cywilizacji obecnej, że niesie obok zdobytych owoców wiedzy i zarzę moralną, a koniecznym następstwem, że ludy świeże chwytają ją naprzód i jad ten szerzy się wpośród nich stokroć silniej, jak tam skąd bierze swój początek. Jesteśmy właśnie w momencie zetknięcia się fatalnego, mogącego dać pyszne plony i nieobrachowane kłęski²⁶.

Oba przywołane wyżej teksty sytuują pisarza w gronie szczególnych obserwatorów przemian kulturowych XIX wieku. Wydaje się, że spośród całej spuścizny literackiej Fisz to właśnie *Listy z podróży* winny zapewnić mu stałe miejsce w historii literatury.

Zenon Fisz zmarł w obłąkaniu w 1870 roku.

²⁴ Z. Fisz, *Listy z podróży*, Wilno 1859, t. I, s. 400.

²⁵ M. Kwapiszewski, dz. cyt., s. 121.

²⁶ Z. Fisz, *Listy z podróży*, Wilno 1859, t. III, s. 246.

Szkoła zapominania

Recepcja twórczości Fiszca to do pewnego stopnia historia zapominania. Widzieć w tym należy proces niezamierzony i w jakimś sensie nieuchronny. Poszukiwanie „tropów obecności” Fiszca w XX i XXI wieku to właściwie śledzenie przypisów i marginesowych wzmianek – a przecież jego teksty nie spoczywają w rękopisach. Próbował się temu przeciwstawić Piotr Chmielowski, publikując pod wspólnym tytułem *Powieści ukraińskie* dwa teksty Fiszca: *Nestora Pisanekę* oraz *Zosię Żytkiewiczównę*. We wprowadzeniu zwracał uwagę na aktualność tej twórczości, którą interpretował przez klisze modernistycznego zafascynowania romantyzmem. Noty bibliograficzne poświęcone Fiszowi w słownikach i encyklopediach są niemal zawsze bardzo skrótowe. Jego życiorysu brak nawet w *Polskim Słowniku Biograficznym*. Dość powiedzieć, że od 1902 roku nie ukazało się żadne samodzielne wznowienie książki Fiszca. Z niepamięci historii wiersze Fiszca publikowane w „Gwieździe” wydobył niezawodny Paweł Hertz, umieszczając je w swoim *Zbiorze poetów polskich XIX wieku*, ale zabrakło już miejsca dla tekstów podróżniczych twórcy w redagowanej przez Hertza serii wydawniczej Państwowego Instytutu Wydawniczego *Podróże* – szkoda, byłyby one dla *Kartek z podróży* Kraszewskiego doskonałym uzupełnieniem. Dla Janiny Kamionki-Straszakowej podróżnicza część twórczości Fiszca okazała się modelowym przykładem panoramicznej podróży cywilizacyjnej, o czym piszę w dalszej części wprowadzenia (w tomie „Do zmiany naszej”. *Podróże romantyków* zamieszczono kilka fragmentów *Opowiadań i krajobrazów*). Z kolei *Listy z podróży* Fiszca są przywoływane przez badaczy i biografów Adama Mickiewicza głównie z uwagi na sprawozdanie dotyczące pobytu i śmierci wieszczki w Stambule. O tym jednak, że w tym samym dziele pozostawił barwny opis Kraszewskiego pamięta się już rzadziej. Dla badaczy historii i literatury Fisz wraz z jego dziełami z rzadka stawał się centralnym tematem analitycznych rozważań (w nielicznych podręcznikowych wzmiankach bywa – zupełnie niesprawiedliwie – uznawany za epigona). Owszem, o znaczeniu „Gwiazdy” dla rozwoju kultury polskiej piszą badacze zajmujący się czasopiśmiennictwem pierwszej połowy XIX wieku, z rzadka jednak jego nazwisko odnotowują prace historyków, historyków literatury czy idei (w tym: Daniel Beauvois, Maria Janion, Jarosław Ławski). Jedynym właściwie polskim historykiem literatury, który od lat osiemdziesiątych – niestrudzenie i z doskonałymi efektami badawczymi – swoją uwagę kieruje na Fiszca (oraz innych, nieco zapomnianych twórców szkoły ukraińskiej), jest Marek Kwapiszewski, przywracający w swojej monografii *Późny romantyzm i Ukraina* oraz artykułach pamięć o tym niesłusznie zapomnianym pisarzu²⁷.

²⁷ Rzadkim przykładem indywidualnego oglądu twórczości Fiszca w polskiej literaturze przedmiotu jest artykuł M. Łesiowa, *Ukraińskie elementy językowe w twórczości Tadeusza Padalicy*, w: *Ukraina*.

Dwie lekcje miłości

Zenon Fisz – co ważne w kontekście jego artystycznego samouctwa – był twórcą świadomym form i konwencji literackich. Rozumiał zarówno swoje artystyczne ograniczenia, jak i estetyczne wybory, czego dał dowód w autobiograficznym tekście *Parę obrazków, parę myśli. Wspomnienie Tadeusza Padalicy (Wyjątek)*. Konsekwentnie stosował także określone literackie strategie komunikacyjne i tematyczne. Choć jego twórczość koncentruje się przede wszystkim wokół problemu relacji kultury Polski i Ukrainy (z zastosowaniem dwóch głównie form literackich: opowiadania oraz reportaży krajoznawczych), odnajdujemy w jego wczesnej spuściźnie utwory, które są świadectwem literackiego penetrowania także innych zagadnień. Stanowią swego rodzaju proces poszukiwania własnego języka artystycznego, to literackie ćwiczenia, lekcje form i tematów. Wprawdzie nie był Padalica wybitnym reprezentantem problematyki społecznej oraz psychologicznej, to pozostawił po sobie dwa ciekawe – choć obarczone nadmiernym dydaktyzmem – obrazy ilustrujące konsekwencje nieodwzajemnienia miłości uwikłanej w społeczne zależności.

Lekcja pierwsza – sztuka destylowania uczuć

Profile, na które składają się trzy części: *List z kijowskich kontraktów*, *Wyjątki z pamiętnika Eweliny* oraz *List Józefa do Karola*, zostały napisane w Petersburgu w 1845 roku, a wydane w pierwszym numerze „Gwiazdy” w 1846 roku. Można założyć, iż Fisz poprzestał tylko na pojedynczej próbie tak osobliwego psychologicznego spenetrowania jednej z romantycznych „chorób wieku” – miłości. W jakimś stopniu tekst w zbeletryzowanej formie uzupełnia i twórczo poszerza niektóre wątki dotyczące relacji rozumu i uczuć z napisanego rok wcześniej wspomnieniowego tekstu *Parę obrazków, parę myśli. Wspomnienie Tadeusza Padalicy (Wyjątek)*. Jest to trop wzmacniający możliwość odczytania tekstu także w optyce autobiografizmu.

Zaskakujący i nie do końca adekwatny wydaje się sam tytuł – *Profile*. Także nieco myląca jest pierwsza część utworu, która pełni rolę wprowadzenia – wydaje się ona zbyt obszerna na tle pozostałych części, przez co zaburzona zostaje trójdzielna kompozycja całości. *List z kijowskich kontraktów* (pisany przez Karola do Józefa) zdaje się zapowiadać ciekawą panoramę osobowości związanych z kijowskimi kontraktami („Ja chcę mówić o cząstkach, o indywidualach składających na dwa tygodnie tę huczącą stugłową i stujęczyczną całość i potem rozsypują się na tysięczne cząstki.

Jakie tu materiały, jakie obrazy dla powieściopisarza, dla malarza!” – PR 86) – i jako taki rozczarowuje. Tak pomyślane wprowadzenie – o nieco dydaktycznym i moralizatorskim charakterze – okazuje się konieczne dla zarysowania określonej kategorii ludzi („aktorów tej sceny”). I tak, Fisz kreśli galerię „namiętności”, „kaprysów” czy „naturę kultury” między innymi: Chorążego, Podsędka, Kapitana, Pani Marszałkowej, Pana Kuratora. Wszystkie te postaci posiadają rysy wspólne – cechuje je próżność, małostkowość i upodobanie do zbytku. W tej galerii typów ludzkich znajdują się również Podkomorzy i jego córka Ewelina (jedna z dwóch kluczowych postaci utworu). Kontekst, w jakim zostaje zaprezentowana, jest jednoznacznie negatywny. Autor pierwszego listu, Karol, choć jest pod dużym wrażeniem uroku Eweliny, pozostaje bezlitosny w jej ocenie:

[...] Ignie namiętnie do takich, których wyczuwa wyższość. Są to zwykle skutki tych żywych uczuć co wyszły w świat bez stałych zasad o prawdzie, chciały ją znaleźć – szukały dokoła – i znalazły... co? – romanse francuskie pod ręką...

Może ten kwiat dotąd tylko i wonny, i uroczy, pokąd nie dotkniemy go dłonią?... (PR 121, 122)

W samym końcu tego listu – już jako *post scriptum* – ujawnione zostają perypetie, które stanowią zawiązanie akcji. Dowiadujemy się, iż Józef („prowentowy pisarz”) zakochany był skrycie w Ewelinie („[...] chaos najsprzeczniejszych uczuć pod których wpływem zostawałeś często i co cię w końcu wyгнаło od nas na daleką Północ i dziś przerobiło może na wyrachowanego, zimnego, obojętnego człowieka” – PR 120), rozczarowany nieodwzajemnionymi uczuciami wyjeżdża do Petersburga. Wiemy z listu, że tam także ma się udać Podkomorzy wraz z Eweliną. Zapowiedziane zostaje zatem kolejne spotkanie niedoszłych kochanków.

Kolejną odsłoną historii relacji – ilustrującej spotkanie Józefa i Eweliny – jest pamiątkowa relacja Eweliny. Między głównymi bohaterami dochodzi do swoistej zamiany ról: o ile pierwsza odsłona platonicznego związku przebiega w formule skrytej miłości Józefa do Eweliny, o tyle w Petersburgu to Józef, dokonawszy swoistego przewartościowania relacji uczuć i rozumu, czując rodzące się ku niemu uczucie Eweliny, skutecznie je tłumi. Urażony dawnym odrzuceniem, przyjmuje strategię zapanowania nad własnymi uczuciami:

Ja wyszedłem na świat z doświadczeniem już i znajomością jego. Wszystko, co on rozkrył przede mną i czym mógł mię zachwycić, nie czarowało mię, bom był rozczarowany tym wszystkim. Utrzymują, że rozum zyskuje, uczucia tracą na tym. (PR 125)

Jak to trudno, mój drogi, pokonywać rozumem uczucie! Ono zawsze ma racje swoje. Najgruntowniejsze rozumowania przystają do niego jak groch do ściany... Ale jeśli bym posłuchał namiętności tylko i zimnego rozumu... o! natenczas zgubiłbym nieszczęśliwą!... (PR 150)

Ponowne spotkanie Eweliny i Józefa sprawia, iż tym razem Ewelina jest wyraźnie zauroczona Józefem: „Im bliżej poznaję Józefa, tem korzystniejsze wywiera on wrażenie na umyśle moim. Jego obecność jest dla mnie jakby koniecznością” (PR, 125). Nie brak jednak w jej wyznaniach sprzeczności: „Czym jest dla mnie Józef? Istotą zupełnie obcą, nie mogącą wywrzeć żadnego wpływu na me losy” (PR, 127).

Pomimo dzielących Ewelinę i Józefa różnic społecznych, w podobny sposób odnoszą się oni do relacji wobec prowincji i centrum (w tym wypadku rolę centrum pełni Petersburg). Tu zresztą Fisz – jako badacz historii – ujawnia się jako entuzjasta prowincjonalności: „Ty wiesz że nasze prowincje [...] przechowują dotąd w swoim łonie spuściznę wieków przeszłych” (PR 86). Ewelina – co trochę kontrastuje z jej wizerunkiem nakreślonym przez Karola – nie jest pozbawiona krytycyzmu wobec blichtru wielkiego miasta („O, jakaż tu czczość! Jakie tu nudy!” – PR 129). Co więcej, to właśnie ona wykazuje wyższość prowincji nad stolicą („Tam nie tak zużyte serca” – PR 128). Rozważania te prowadzone są przez Ewelinę podczas balu, w czasie którego dochodzi do obustronnego, częściowego ujawnienia uczuć obu zakamuflowanych kochanków. W tej konfrontacji, w której ceną jest wyznanie uczuć, każde z nich robi pół kroku naprzód i czeka, co zrobi druga strona. Józef – prowokowany przez Ewelinę – staje w tej scenie przed szansą pełnego wyrażenia uczuć. Jednakże dokonawszy już ich przewartościowania, udaje mu się nad nimi zapanować:

Spojrzał on w moją przyszłość – i obaczył ją ciemną i smutną... rozwinął więc co najszerzej przed moimi oczyma zasłonę obecnego szczęścia – otoczył nią dokoła i nie obierając z uroku, zagłuszył wszystko w objęciu, w pocałunku – i nie budząc, tak przeniósł w chaos balu, tak oddał mię światu! (PR, 131)

Ewelina, zrozumiała postawę Józefa, postanowiła zastosować tę samą co on metodę: „Walczę różną bronią i czuję, iż jest to stugłowy hydr, której życie odradza się i przewija na wszystkich punktach wiedzy” (PR, 131–132).

Kolejna konfrontacja głównych bohaterów następuje w dniu wyjazdu Eweliny z Petersburga. Wówczas Józef definitywnie deklaruje niemożność „otwarcia się na miłość” wobec Eweliny. Przemawia przez niego racjonalista, nieufny wobec romantycznych wykładni miłości totalnej:

Ukochać samemu taką miłością istotę pospolitą, ziemską, i przejrzeć ją po chwili zaślepienia, i obaczyć wszystkie jej wady, jest to zostać wariatem, samobójcą, Gustawem, jak go widzimy w *Dziadach*. Nie szukajmy więc na próżno tej miłości, bo nie znajdziemy jej nigdzie; dajmy pokój tym ideałom, bo jak nie mamy złotego wieku, tak nie będziemy jej posiadać w tym życiu [...]. (PR 133)

Józef spojrzał mi w oczy i zapewne wyczytał z twarzy całą okropność niemości mojego cierpienia – bo zbłądził i stanął nieruchomy jak posąg: – on myślał zapewne że mi straciła rozum... Niestety! – czemuż tylko serce!!... (PR 136)

Pozostaje jeszcze jeden akord tej relacji. Kolejną część utworu stanowią *Wyznanie Józefa* – być może jest to jego list, który pozostawił swojej niedoszłej kochance. Ujawnia w nim Józef motywacje, jakie nim kierowały w procesie przewyciężenia swoich uczuć. Wprost wyznaje swoją miłość: „Ja cię kochałem, Ewelino, jeszcze wtedy, gdy służyłem u twojego ojca, pogardzany i biedny, gdy pędziłem wyrobnicze życie” (PR, 137). Zdradza także główną przyczynę dla wyrzeczenia się miłości – było to doświadczenie upokorzenia i pogardy. W poczuciu intelektualnej wyższości dokonuje bezwzględnej oceny: „O, niedołączny stanie! Gromadzicie te skarby dla przyszłych rozkoszy, zmuszacie uczucia wasze, ażeby słuźalczą dla kruszcu wykonywały powinność” (PR, 139). Wykracza tu Fisz poza oczywisty dydaktyzm, kreując postać, która potrafi przeciwstawić się narzuconym rolom społecznym:

Po kilku latach ciężkiej próby obliczyłem się i postrzegłem, że miałem za sobą ciężkimi kolejami życia wyrobiony rozum – miłość pracy – stałość wytrwania w przedsięwzięciu – głębokie poznanie z złej strony ludzi – spojrzałem na was znowu – i postrzegłem, że przewyższam was o wiele cierniową koroną doświadczenia – a wy przewyższacie mnie tylko – złotem!

O! Jak-że byłem dumny z tych moich bogactw! Z jaką pogardą i uczuciem wyższości słuchałem nieraz, stojąc u progu waszych głębokich rozumowań, które starłbym na miazgę w dwóch mych palcach! (PR, 138)

Poczucie społecznego upokorzenia sprawiło, iż Józef postanowił dokonać swoistej zemsty: „Ja pragnąłem szlachetnej zemsty nad tym co się na mnie nie poznał, co mną pogardzał, tłumem” (PR, 146), aby jednak tego dokonać, chce stać się (w wymiarze społecznym) równy wobec tych, którzy go upokorzyli: „Ja pragnąłem zjawić się przed wami, a wtedy, gdy będę wyższy i oświata, i zasługą, i stanem” (PR, 147). Zemsty dokonać ma Józef właśnie na Ewelinie, która stała się dla niego personifikacją stanu, który go poniżył. Ostatecznie jednak wycofuje się z podjętego planu:

Wtenczas-to, myślałem, zjawiłbym się przed tobą i rozebrałbym w twych oczach składowe cząstki twoje, ten zlepek i modnego wychowania, i wyobrażonych uczuć, i materialnych pobudek, i zdań waszego świata, oblepionych grubą warstwą fałszywego o rzeczach przekonania – rozebrałbym je i pokazał ci całą ich bezzasadność [...]; ale poznałem cię i dojrzałem, że wychowanie tve nie zniszczyło, lecz przytłumiło tylko dane ci od natury skarby, że jeszcze mogłaś i wartaś była być szczęśliwą. (PR, 147–148)

Całość utworu kończy *List Józefa do Karola*. Zwieńczeniem swoistej walki rozumu z uczuciem jest – mimo wszystko – poczucie niespełnienia i niepewności. Dzięki „heroizmowi” i „stoicyzmowi” udaje się Józefowi wytrwać w przyjętej postawie:

[...] wszystko to miałem pod ręką urzeczywistnione w najidealniejszych formach, i właśnie, kiedy byłem w chwili zupełnego upojenia się tym nektarem rozkoszy, co pewnie nie powtórzy się już nigdy – dobrowolnie oderwałem od czary me usta!!... (PR, 149)

Oto-żem zakapturzył wybornie moją miłość! (PR, 151)

Oto rozum bohatera odnosi więc zwycięstwo nad uczuciem...

[...] stokroć chlubniejszego dopiął czynu – bo skłoniłem tę kobietę ku cnocie, gdy stała już na rozstajnej drodze, pokazałem jej świat w prawdziwym świetle, zdarłem z jej oczu mgłę fałszywego przekonania i wskazałem czystą, godną jej przyszłość. (PR, 149–150)

Nietypowy to przykład bohatera literatury pierwszej połowy XIX wieku, który koncentruje w sobie romantyczne emocje skrzyżowane z racjonalistycznym intelektem. Słusznie dostrzega w nim Piotr Chmielowski poprzednika modernistycznych kreacji:

Czyż nie są to słowa indywidualisty-neurastenika, lubującego się dystylowaniem swoich wrażeń, chełpiącego się swoją wrażliwością i niezdolnością do czynu? Czyż podobnych wynurzeń nie czytamy w książkach „Młodej Skandynawii” i w naszych naśladowaniach?... Refleksje Fisza mają tę nad nimi wyższość, iż są starsze o lat blisko pięćdziesiąt i płynęły nie z naśladowania, lecz wprost z usposobienia młodego, 25-letniego autora, wcześniej rozczarowanego...²⁸

Lekcja druga – zakazana miłość pokojówki i panicza

Ważnym efektem pisarskiej aktywności artysty podczas pobytu w Petersburgu było opowiadanie *Pokojówka* (powstałe w 1845 roku, a wydane w 1850). Sam autor, nadając podtytuł – *Szkic obyczajowy* – określa charakter tekstu, jak również ujawnia swoje społeczne zaangażowanie. Współczesny Fiszowi recenzent „Gazety Warszawskiej” był bezlitosny dla dzieła. Personalnie zaatakował Padalicę za krycie się pod pseudonimem, był oburzony niezachowaniem zasady stosowności zarówno w odniesieniu do tematu („nie ma tu [...] żadnej istoty, której by obraz był godnym w zupełności wysokiego utworu w sztuce”, „nie ma co przeglądać i domyślać się w kwestiach przedpokojowych i garderobowych”), jak i wobec zastosowanego przez autora języka („nie wolno pisać do druku w jakimkolwiek europejskim języku, nie nauczywszy się dobrze mówić, albo zapomniawszy języka”²⁹). Pomimo surowego osądu recenzent wpisuje opowiadanie w nurt „scen ludowych”, którym początek dała *Ułana* J. I. Kraśzewskiego, zaznacza jednakże, iż choć tekst należy do „szczęśliwszych”, „ma jednak jedną wielką wadę, że z oburzającym lekceważeniem przedstawia zboczenia młodych paniczów”³⁰. Co ówczesny recenzent uznał za największą słabość opowiadania, z dzisiejszej perspektywy można wskazać jako jedną z jego zalet. Obyczajowa śmiałość obrazowania wspiera co prawda moralizatorski ton tekstu, jednakże dobrze wpisuje się

²⁸ P. Chmielowski, dz. cyt., s. 5.

²⁹ „Gazeta Warszawska” 1850, nr 82–81.

³⁰ Tamże.

w demaskatorski sposób postrzegania romantycznej fascynacji ludowością. Choć, jak celnie zauważa Kwapiszewski, tekst ujawnia „wąskie granice postawy demokratycznej Fisza i moralistyczno-zachowawczy charakter jego poglądów społecznych”³¹, to jednocześnie jest świadectwem talentu literackiego.

Podstawą perypetii są dzieje uwiedzenia wiejskiej dziewczyny Julki (pokojówki) przez panicza – Leona, syna Cześnika. Pisarz nie wychodzi poza ramy stereotypowego obrazu, ujawniając zarazem „patriarchalny model stosunków między szlachtą a chłopstwem”³² („Nic łatwiejszego, jak zakochać się w kokietce w mieście, w wieśniacze na wsi. Obie te istoty są na swych miejscach, w swej sferze” – P, 39). Sylwetki głównych bohaterów okazują się również bardzo typowe: ona – „najśliczniejsza, [...] niepodobna było z zimną krwią wpatrywać się w jej rysy” (P, 24, 25); on – „trziot jeszcze, [...] przyjmował te tylko wrażenia od świata, które mu się podobały najwięcej” (P, 38). Ich historia nie odbiega od licznych literackich, stypizowanych schematów. Leon roz-tacza wokół siebie aurę wyjątkowości, zapewnia o swojej miłości Julkę i rozkochuje ją w sobie. W rezultacie zrodzonych uczuć oboje wyjeżdżają do miasta, w którym Julka traci jednak dla Leona urok i czar wyjątkowości. Jedną z kluczowych scen tej odsłony historii jest gra w kraty, w której Leon, zastawiwszy już wszystkie pieniądze oraz kosztowności, doprowadzony do ostateczności, pod zastaw godzi się założyć samą... Julkę. Nieuchronnym efektem takiego związku musi być miłosny zawód:

Boże! a ja tak go kochałam! I już nikogo tak lubo kochać nie będę! On był moją gwiazdą, moją nadzieją, mojem życiem!... Zdradził – Bóg z nim! Przystanę – o! teraz już przestanę myśleć o nim! Ten koniec czekał mnie zawsze. Ja uboga, ja chłopka bez wychowania: co on ukochał we mnie? nie serce, nie rozum. Podobała się mu pierś moja, moje usta, moje błękitne oczy. On nie kochał mnie samej, a tylko me wdzięki – a ja go kochałam całą siłą mej duszy!...

Bóg z nim! Obrął on mnie z najśłodszych uczuć; a co dał w zamian? Czym się wywdzięczył? Kartą, która los mój miała uczynić zależnym od człeka nieznanego i równie zepsutego jak Leon! Mój Boże! Jak on miał na koniec sumienie dopuścić się tego czynu! (P, 144–145)

Uwiedzenie zostaje usprawiedliwione niedoświadczeniem młodego panicza, natomiast pokojówka, Julka (w nieślubnym dziecku kumuluje ona swoją miłość), uzyskuje przebaczenie Państwa i zostaje żoną lokaja.

Nie można odmówić tekstowi kompozycyjnej trafności, bowiem autor raz jeszcze doprowadza do spotkania byłych już kochanków, tym razem także z żoną Leona (która nie została wtajemniczona w sekrety przeszłości męża) oraz przyjacielem z Petersburga (który z kolei znał jego miłosne perypetie). Podczas przejażdżki konnej

³¹ M. Kwapiszewski, dz. cyt., s. 111.

³² Tamże.

żona Leona, zupełnie nieświadoma paradoksalności i nieplanowanego okrucieństwa, zatrzymuje się wraz z gośćmi u Julki właśnie. Co więcej, żona Leona prosi o pokazanie trzyletniego już syna Julki i Leona i pyta prowokacyjnie: do kogo jest podobny? Nie zdaje sobie sprawy z dramatyzmu tego pytania. Opowieść pozbawiona jest wszelako łatwego dydaktyzmu, choć utrwała określony model społeczny.

Można uznać *Pokojówkę* także za estetyczną prowokację wymierzoną w romantyczną wizję miłości.

Szukałem miłości na koniec, tej miłości tyle już naśpiewanej przez naszych Ukrainomanów! szukałem jej pod różną postacią, w różnym czasie – i cóż? Znalazłem ją... wprawdzie, ale Boże-ż mój, Boże! Cóż to za miłość!/? Stądże to poczerpnął ją Zaleski, Goszczyński, Czajkowski?... W chacie – była ona głupia, cielesna, niema; na ulicy – krzyżąca, gruba, w karczmie – pijana, cała pod wpływem dzikich pasji i szaleństwa – a zawsze okryta tak grubą powłoką, iż ledwie możesz się dorozumieć, iż pod tą powłoką musi być istotnie jakaś cząstka prawdziwej siły, jakieś tajemnicze żyjątko, które jednakże nie w stanie jest rozedrzeć swych pieluch.

I tu dopiero tłumaczyłem sobie poetów, dorozumiewałem się oczywiście, iż oni odrzucali ledwie nie wszystkie zewnętrzne formy, a brali tylko tę skrę wewnętrzną i w swych już ją rozniecali ręką. Tak, zaiste, inaczej być nie mogło. Naród bez ukształcenia, natura bez wygodnych warunków – już są nie dla nas; są to surowe materiały – nic więcej. (P, 20–21)

Podobnie jak w *Profilach*, także w *Pokojówce* zdaje się przemawiać przez Fisza racjonalista, który uczucia gruntownie przeanalizował i sprowadził je do upokarzającej gry determinowanej społecznymi konwenansami („Rzeczywistość okropnie mi psuła moją, choćby na najwyższych szczytach stawianą, illuzję” – P, 19). Leon jest wszak uczniem romantyków: „On czytał Zaleskiego, Goszczyńskiego, Olizarowskiego, [...] umiał na pamięć kilkadziesiąt miłosnych oświadczeń i mógł całe przedeklamować *Dziady*” (P, 31,33).

*

Okres pobytu w Petersburgu obfitował u Fisza w ciekawe i niezbyt typowe dla niego utwory. Oba teksty zostały napisane – jeśli ufać datom zamieszczonym w tekście – przez dwudziestopięcioletniego pisarza w tym samym miesiącu (czerwiec 1845 roku) i są świadectwem wypracowania już bardzo sprawnego warsztatu literackiego. Dobrze Fisz korzysta zarówno z formy powieściowej (nawet jeśli tematycznie nazbyt dydaktycznej), skutecznie wyzyskuje także konfesyjną formę listu oraz pamiętnika. Zaskakuje zatem, że autor poprzestał właściwie tylko na tych dwóch, udanych przecież próbach. Omawiane wyżej utwory w jakiś stopniu tematycznie się uzupełniają (równi są sobie Julka i Józef oraz Leon i Ewelina) – sugerują dwie możliwe

postawy wobec miłości: pierwsza (*Profile*) pokazuje drogę wyrzeczenia się uczuć na rzecz rozumu, druga zaś (*Pokojówka*) jest ilustracją drogi odmiennej, poddaniu się uczuciom. Fisz celowo krzyżuje ze sobą dwa porządki społeczne, aby w ich świetle podważyć idealistyczne wizje miłości. Opisuje miłość niemożliwą, zakazaną i zarazem konieczną. Każdy z bohaterów „poniżonych” (Julka i Józef) pozostaje w jakiś sensie ofiarą społecznego podziału. Widoczną motywacją dla tak zarysowanych literackich obrazów jest podział społeczny, którego wszak efektów – jak się wydaje – Fisz sam także doświadczył. Dydaktyczny wymiar tekstów (znacznie wyrazistszy w *Pokojówce*) nie podważa jednak ciekawych rozstrzygnięć kompozycyjnych oraz tematycznych.

Ukraiński western

„Ukraina stała się jednym z najbardziej mitotwórczych regionów polskiego romantyzmu”³³. To niebudzące sprzeciwu stwierdzenie – rozpoczynające właściwie niemal każdą historycznoliteracką analizę traktującą o romantycznej Ukrainie – ma zasadnicze znaczenie dla zrozumienia jej fenomenu w polskiej kulturze pierwszej połowy XIX wieku. Odślania bowiem sferę wyobrażeń, wizji i mitów, które nie rzadko silnie kontrastują z historycznie udokumentowaną rzeczywistością. Romantyczne wyobrażenia Ukrainy były niewątpliwie wyrazem autentycznego zafascynowania regionalizmem, pierwotnością i ludowością, były jednak czymś więcej, niż tylko ekspansywnym projektem artystycznym. O randze i żywotności tego mitu świadczy jego trwanie – w zmieniającej się scenarii historycznej, odmiennych poetykach, zróżnicowanym estetycznym wyrazie – aż do XXI wieku³⁴. Ważnym, stereotypowym wyobrażeniem, oddającym stan zafascynowania XIX-wieczną Ukrainą, jest często zdanie powtarzane przez Maurycego Mochnackiego o Ukrainie jako „prawdziwej Szkocji Polski”³⁵. O niefortunności i nieadekwatności tego zestawienia celnie pisała Alina Witkowska, jednocześnie proponując alternatywne porównanie do Dzikiego Zachodu, które choć ahistoryczne, to lepiej oddaje istotę tegoż zjawiska³⁶. Wtórował jej Stanisław Makowski, pisząc:

³³ D. Siwicka, *Romantyzm 1822–1863*, Warszawa 2002, s. 45.

³⁴ Mam tu na myśli nie tyle trwałość szkoły jako grupy poetyckiej pierwszej połowy XIX wieku, ile chodzi mi o nośność literackich obrazów i motywów. O trwałości kompleksu znaczeń szkoły ukraińskiej rozumianych jako nurtu pisze Halyna Dubyk w książce *Sen o Ukrainie: pogłosy „szkoły ukraińskiej” w literaturze polskiej dwudziestolecia międzywojennego*, Warszawa 2014.

³⁵ „Prawdziwie jest to Szkocja Polski”. M. Mochnacki, *Artykuł, do którego był powodem „Zamek kaniowski” Goszczyńskiego*, w: *Pisma po raz pierwszy edycją książkową objęte*, wyd. i przedmową poprzedził A. Śliwiński, Lwów 1910, s. 200.

³⁶ A. Witkowska, *Dziko – pięknie – groźnie, czyli Ukraina romantyków*, w: *Szkoła ukraińska w romantyzmie polskim. Szkice polsko-ukraińskie*, pod red. S. Makowskiego oraz U. Makowskiej i M. Nesteruk, Warszawa 2012, s. 24–25. Sporo tropów uprawomocniających owo porównanie

„»Polscy poeci ukraińscy« niczego [...] nie odkrywali. Ukraina była ich naturalną ojczyzną – i swoją domową ukraińską kulturę »podnosili« jedynie do rangi tak zwanej wysokiej literatury narodowej»³⁷. O skali zainteresowania, a nawet zafascynowania XIX-wieczną Ukrainą świadczy – zdiagnozowana przez J. I. Kraszewskiego jako jedna z *Chorób moralnych XIX wieku* – tak zwana ukrajinomania³⁸.

Historycznie po raz pierwszy szkoła ukraińska w polskiej literaturze romantycznej została wyodrębniona i opisana w 1837 roku przez Aleksandra Tyszyńskiego w powieści *Amerykanka w Polsce*, w której autor estetyk zaproponował podział pisarzy polskich na szkoły regionalne: litewską, ukraińską, halicką, puławską i krakowską. „Duch i styl ukraińskiej szkoły różne są zupełnie od ducha i stylu szkoły litewskiej, a bardziej jeszcze innych poezyj polskich. Ponurość, dzikość, krwawe obrazy, zbrodnie – są ulubioną, powszednią poetów ukraińskich treścią»³⁹. Wspomniany wyżej Grabowski pisał już wprost o polskich poetach ukraińskich, wydobywając w ten sposób „synkretyzm kulturowy, a zatem przynależność do obydwu kultur i narodów»⁴⁰. Problem owego synkretyzmu objaśnia Marek Kwapiszewski:

[...] w owych czasach nazwę »polska Ukraina« odnoszono w sensie ścisłym do ziem leżących na prawym brzegu Dniepru, to jest do dawnych województw kijowskiego i braclawskiego, ale obejmowano nią też – *sensu largo* – zachodnie Podole, wschodnią Galicję i Wołyń. Wymienione tereny traktowano jako wyrazisty w swej krajobrazowej i kulturowej odrębności region dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów (Korona, Litwa, Ruś), wszelako stanowiący organiczną część spójnej, wieloetnicznej całości. W tym regionalnym rozumieniu »Polakiem« był nie tylko Lach, ale również Litwin czy Rusin. »Polskość« bowiem to kategoria nadrzędna, oznaczająca przede wszystkim wspólnotę tradycji państwowej oraz zespół wartości najściślej z tą wspólnotą związanych [...]. Nazwa »Ukraińiec« – w sensie terytorialnym stosowała się do Polaków urodzonych i żyjących na Ukrainie (*gente Ruthenus, natione Polonus*), a więc traktujących ziemię tę jako swoją domową ojczyznę⁴¹.

znajdziemy w *Opowiadaniach i krajobrazach* Fisza („Na nieszczęście, zaludnienie Ukrainy nastąpiło w warunkach bardzo podobnych do tych, w jakich dziś zaludnia się Kalifornia i Nowa Holandia” – OK, I 9).

³⁷ S. Makowski, „Szkoła ukraińska” w romantyzmie polskim, w: *Szkoła ukraińska w romantyzmie polskim...*, s. 13.

³⁸ Wokół tej kategorii rozgorzał bardzo ciekawy spór pomiędzy J. I. Kraszewskim a M. Grabowskim, który był toczony w 1839 roku na łamach „Tygodnika Petersburskiego”. Uznanie przez Kraszewskiego fascynacji Ukrainą (ukrajinomania) jako tendencyjnego i naiwnego zapatrzenia w folklor ukraiński spotkało się z polemicznym sądem M. Grabowskiego, który widział w tej fascynacji z kolei inspirujący „gust umysłowy”. Na temat tego sporu por. A. Klepaczek, *Dwugłós w sprawie ukrajinomanii*, w: *Szkoła ukraińska w romantyzmie polskim...*, dz. cyt.

³⁹ A. Tyszyński, *Amerykanka w Polsce*, cz. II, Petersburg 1837, s. 46.

⁴⁰ A. Makowski, dz. cyt., s. 13.

⁴¹ M. Kwapiszewski, dz. cyt., s. 8.

W tak wielowymiarowym kulturowym tyglu nakładały się na siebie doświadczenia estetyczne, które pozwoliły uformować się bardzo zróżnicowanej wewnętrznie i mało sformalizowanej szkole ukraińskiej. Najbardziej rozpoznawalnymi jej reprezentantami byli: Antoni Malczewski, Seweryn Goszczyński i Józef Bohdan Zaleski. Do grona przedstawicieli tej szkoły należy także zaliczyć: Tomasza Augusta Olizarowskiego, Tymona Zaborowskiego, Aleksandra Grozę, Tomasza Padurrę, Michała Grabowskiego, Juliusza Słowackiego, Michała Czajkowskiego i Józefa Korzeniowskiego. Stanisław Makowski do grupy tej włącza także Seweryna Grozę, Stefana Witwickiego, Augusta Antoniego Szaszkiewicza, a także oczywiście Zenona Fiszę.

Interakcyjność kultury Polski i Ukrainy nie rozpoczyna się oczywiście w XIX wieku (jej ślady odnajdujemy już w wieku XVI), jednakże to na ten czas, także za sprawą ukraińskiej szkoły poetyckiej, przypada jej najciekawszy w swym artystycznym wyrazie rozkwit (wpływ na szczególny rodzaj relacji pomiędzy obiema kulturami miał proces politycznego wyswobodzenia się Ukrainy i budzenia się jej autonomiczności⁴²). Ukraina okazała się przestrzenią (geograficznie i kulturowo ujętą), w której kumulują się najważniejsze romantyczne artefakty. I tak odnajdujemy tu ideę nieskrępowanej cywilizacją wolności (step jako jej najważniejszy symbol), harmonię z przyrodą, ludowość, kontakt z wymiarem nadnaturalnym, wzór romantycznego bohatera-indywidualisty (Kozaka), który jest uosobieniem swobody totalnej, motywy orientalne, tatarsko-tureckie, bizantyjskie i perskie.

Twórczość Fiszę bez wątpienia pozwala włączyć go do szkoły ukraińskiej (także dzięki relacji krajoznawczej *Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrówek po Ukrainie* – zwłaszcza zamieszczonym tam prozatorskim tekstem *Zosia Żytkiewiczówna* oraz *Nestor Pisanka*) – jednak przynależy on do niej na szczególnych zasadach. Bo choć za sprawą tekstów literackich wpisuje się on w tematyczne i estetyczne kategorie tej szkoły, to jednocześnie jest jednym z jej krytyków. Być może zatem, nieco przewrotnie, o romantycznej Ukrainie więcej dowiemy się od sceptycznego wobec idealizujących wizji Fiszę niż mitologizujących obraz Ukrainy poetów romantycznych.

Zapewne wyobrażacie stepy nasze pokryte „kolorowymi ostrowami burzany”, po których na dzielnym rumaku sadi Kozak. Roją się wam nasze rusałki, dźwięczą dumy i piosnki, szumią dniewrowe poroły, a woń ziół i kwiatów napęlnia powietrze. Choćbym miał was rozczarować, ale z góry powiedzieć muszę, że tak pięknie u nas nie było i nie jest.

⁴² Na kształtowanie się mrocznego wymiaru tego nurtu wpływ miała oczywiście głównie historia – zwłaszcza koliszczyzna, która stała się doświadczeniem (między innymi ze względu na skalę okrucieństwa) dominującym w licznych literackich zapisach. Por. M. Kwapiszewski, *Wizja koliszczyzny w prozie romantycznej (Czajkowski – Grabowski – Fisz)*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska” 2002/2003, vol. 20–21.

Poeci nasi, niech ich Bóg zapamięta! Znalazłszy tu tyle czystego pola i ogromną próżnię między ziemią a obłokami, zamalowali to duże płótno utworami swoich fantazji, a wyście uwierzyli, że te roje gnomów, duchów, czarownic zaludniają tę krainę cudów [...]. Ukraina miała niegdyś swoją poezję, ale dziką i nigdy nie chorowała na sentymentalność. Jej Kozak, ile razy prezentował się w Polsce, zawinięty w różową okładkę książki, był ustrojony w aksamity, a kapał złotem. Rzeczywisty zaś, jaki się łął na Siczy, cuchnął dziegciem, palił bakun i chodził w jednej koszuli kilka tygodni⁴³.

Z cygarem po wygastym kraterze

Opowiadania i krajobrazy (1856) – dwutomowy zbiór zróżnicowanych tematycznie i genologicznie tekstów – opatrzone jest podtytułem *Szkice z wędrowek po Ukrainie*. Owa szkicowość pozwala autorowi na swobodę w komponowaniu obrazów Ukrainy, która za sprawą autorskiego podejścia daleka jest – w swym zasadniczym przesłaniu – od licznych, mitologizujących wyobrażeń. Bo też szczególne jest podejście autora, który w jednej osobie koncentruje spojrzenie: historyka, socjologa, folklorysty, pisarza, a nawet... ekonomisty. Co ważne, Fisz należy do „przedstawicieli nowej już – pokoleniowo i mentalnie – formacji ukraińskiej szlachty Polski” i patrzy „trzeźwym okiem autochtona”⁴⁴. Jego podejście, choć nie jest do końca pozbawione romantycznej wrażliwości, zwłaszcza w sposobie postrzegania ukraińskiej przyrody, ilustruje postawę obserwatora, który doskonale wyczuwa i rozumie przemiany społeczne i kulturowe. Punktem wyjścia rozważań jest dla pisarza refleksja o skali przemian, które dokonały się w ostatnich dziesięcioleciach na Ukrainie: „Od lat osiemdziesięciu np. Ukraina nasza zmieniła się z pustynnej w rolniczą” (OK, t. I 7). Jakże kontrastowe to przyrównanie wobec kanonicznych atrybutów romantycznej Ukrainy: stepu, konia i Kozaka. Za dynamicznym rytmem przemian nie nadąża jednak sam człowiek, mieszkaniec tej ziemi:

Tymczasem wiek nasz gorączkowy stał wiele wydatnych rysów przeszłości, a że na tej ziemi nie było jak na Zachodzie, ani murów olbrzymich zamków, ani wiekowych klasztorów, do których by przyległy podania, to i z tych samych podań zaginęło wiele i ginie więcej ze śmiercią każdego starego lirnika, każdego dziada. (OK, t. I 8)

Pojawiają się tu co najmniej dwa ważne wątki: pierwszy dotyczy porównania do kultury zachodniej, o której wyższości pisarz będzie się jeszcze wypowiadał, drugi natomiast związany jest ze szczególnym sposobem gromadzenia i przekazywania

⁴³ T. Padalica, *Korespondencja [...] z Ukrainy*, „Kurier Wileński” 1860, nr 15. Cyt. za: M. Kwapiszewski, dz. cyt., s. 116.

⁴⁴ M. Kwapiszewski, dz. cyt., s. 116.

historii poprzez kumulowanie jej w pamięci pojedynczego człowieka. Brak trwałych systemów utrwalania historii (w znaczeniu kultury materialnej oraz historii idei) jest jednym z centralnych zagadnień *Opowiadań i krajobrazów*:

Badaczowi jej [Ukrainy] historii raz na zawsze wiedzieć trzeba, że naród ten ani myślał, ani marzył nigdy o przekazaniu siebie przyszłości w tym sposobie, jak zachodnie innoszczepowe ludy. To zresztą postrzeżenie, z małymi odmianami, da się zastosować do Słowian w ogólności. Ukrainiec ma głębokie uczucie miłości kraju, ale ciemne o tym przywiązaniu pojęcie. W nim jeszcze fibry narodowe drgają instynktownie, i on nie podniósł się do tej potęgi myśli, która umie je rozczłonkować, i wydzielając siebie od ogółu, przekazywać pośmiertnemu życiu. W nim i ta chęć, i te czyny dokonywają się w nastrojeniu ogólnym, parte uczuciem złożonym w głębi serca każdego człeka, lecz nie starają się o wydatność ani o pamiętki. Pieśń, co je przekazała potomności, i mogła, co świadczy głucho o jakimś burzliwym tu niegdyś życiu – oto są wszystkie pamiętki Ukraińca. [...] Ale myślicie może, że to się stało przez brak współczucia dla przeszłości? Nie, to się stało przez niepojęcie jeszcze ważności tych pamiętek i przez tę jednolitość ducha obecności z przeszłością, który się jeszcze chemicznie rozłożyć ani oddzielić nie mógł. (OK, t. I 75–77)

Twórca, który w młodości „starał się corocznie zbierać z jej [Ukrainy] łona podania, pieśni, motywy, i tym sposobem zachować je od zatracenia” (OK, t. I 11), chce zatem utrwalić tak wiele, ile zdoła. Marszruta Fiszka wiedzie przez Żabotyń, Subotów, Czehryn, Czerkasy, Śmiłe, Korsuń. W wymiarze historycznym natomiast jego relacja koncentruje się przede wszystkim wokół wydarzeń, które – zdaniem Fiszki – zapoczątkowały krwawy spór Polaków i Ukraińców:

Chmielnicki ani Ukraina z owej epoki nie mają historii napisanej bezstronnie, Rossyanie, Polacy i Małorusini, zbierając do niej materiały i od czasu do czasu pisząc ją, jeszcze nie rozwiązali zadania. Może z tych trzech, przeciwnych co do dążności prac, ktoś z późniejszych więcej dobędzie prawdy; tymczasem lepiej postąpilibyśmy, ażeby nie robiąc z niej kwestii spornej, zbierali materiały (OK, t. I 82).

Rację miał Władysław Korotyński, pisząc: „Fisz należał do pierwszych głosicieli zapomnienia uraz w imię wzajemnego uznania winy, co w miejscowości, skąd pisał, miało dobitniejsze niż gdzie indziej znaczenie”⁴⁵.

Fisz dobrze zdaje sobie sprawę, iż sposób oceny historii niemal zawsze zdeterminowany jest przez terażniejszość. W dyskusji o przeszłości ważne jest „wyjaśnienie istotnych pobudek stoletniej prawie wojny” (OK, t. I 109). Czy narrator w tym sporze o historię pozostaje bezstronny? Oczywiście nie, i trudno oczekiwać od niego takiej postawy. Jako historyk ocenia „uważając przeto rzeczy bezstronniej”, iż w 1765 roku, zatem na trzy lata przed krwawym powstaniem chłopskim, „nie możemy widzieć w owe

⁴⁵ W. Korotyński, dz. cyt., s. 290.

czasy ani ucisku materialnego, ani prześladowania za wiarę” (OK, t. I 111). Bezsporne pozostaje dla Fisz, iż wydarzenia następujące po koliszczyźnie doprowadziły do upadku Ukrainy: „Od Chmielnickiego do Samojłowicza (przez lat przeszło 30), tej biednej Ukrainie nie było ani roku wytchnienia. [...] Wszystkie znakomitsze miasta i twierdze legły natenczas w gruzach” (OK, t. I 120). Na domiar złego Ukraina zwróciła się ku Rosji oraz Turkom, „robiąc z jednego trzech wrogów” (OK, t. I 121).

Swoją metodę oglądu i ujęcia Ukrainy Fisz tłumaczy następująco: „Żeby umieć wyczytać z pozostałych pamiątek ducha przeszłości, co przez te stopy wiał kiedyś, trzeba umieć patrzeć na naród, trzeba go poznać dobrze w jego wewnętrznym bycie” (OK, t. I 10). Romantyczni poeci, powiada autor *Opowiadań i krajobrazów*, nie są najlepszymi przewodnikami po współczesnej pisarzowi Ukrainie:

Lubownik ukraińskich poezyj, co by je badał z książeczki Zaleskiego, zdziwiłby się zapewne wielce, jeśliby sprawdzając te obrazy, znalazł tu przeciwieństwo... Na powierzchniwny rzut oka tu taka proza, formy tak grube, kształty tak dalekie ideałów, że trudno z nich poznać wstawioną wieszczami Ukrainę. (OK, t. I 10–11)

Wprawdzie zaraz Fisz dodaje, iż „w narodzie tym żyje jeszcze dobra doza poezyj, motywów i jemu tylko właściwych rysów” (OK, t. I 11), niemniej jednak nie zmniejsza to wagi wyżej sformułowanego zarzutu. Z jednej więc strony ułuda poetyckich wizji, z drugiej obojętność i – jak określa to prozaik – prozaiczność współczesnego człowieka. „Chodzimy dziś po wygasłym kraterze tego wulkanu z cygarem w ustach, ani domyślając się często, że te świeże murawy porosły na pokładach niegdyś ziejącej ogniem lawy, a te wylądane otchłanie buchały pożarem” (OK, t. I 11) – zdanie to dobrze ilustruje opinię Fisz o współczesnych. Głównym zadaniem pisarza staje się więc „wyprowadzić na jaśnię już pozaciemniane figury przeszłości” (OK, t. I 12).

W wielopłaszczyznowym ujęciu Ukrainy – pomimo drobiazgowych analiz ekonomicznych lub historycznych – Fisz nie tylko stara się nie ograniczać tematycznie, ale dba, aby przez cały czas nie tracić z pola widzenia całości obrazu Ukrainy, który chce odtworzyć. W tak ogólnie sformułowanym zadaniu ważne staje się wszystko to, co mówi o przeszłości i mentalności człowieka. „Ujęcie retrospektywne, spojrzenie refleksyjno-melancholijne łączy się z ujęciem perspektywicznym, nakierowanym na przyszłość, na rzeczywistość praktyczną i utylitarną”⁴⁶. *Opowiadania i krajobrazy*, analizowane w kontekście klasyfikacji romantycznych zapisów podróży, sytuują się pomiędzy podróżą malowniczo-obrazkową, panoramiczną oraz podróżą „swojaka” po „swojszczyźnie” a utylitarną podróżą agronomiczną. W metodzie obserwacji i opisu świata przez Fisz zderzają się dwie postawy: realistycznego sprawozdawcy (malarza,

⁴⁶ J. Kamionka-Straszakowa, „Do ziemi naszej”. *Podróże romantyków*, Kraków 1988, s. 74.

który stara się oddać rzeczywistość pędzlem) oraz wyczulonego w głosy natury poety. Ważne więc jest, jak wyglądają chata chłopska oraz sad; równie istotne będą: ekonomiczny wywód na temat zasad i ekonomicznych uwarunkowań budowy i utrzymania fabryk cukrowych (rozpowszechnienie się ich nazywa wręcz „cukromanią”), sposób obliczania wartości ziemi, kryzys finansowy itd. Ważne staje się przywołanie opowieści czumaków o synu młynarza, który miał „serce niegodziwe”, popadł w pijanństwo, zabił swą kochankę oraz żonę, która jako widmo wskazuje mieszkańcom miejsce swojego pochówku. Opowieść ta zapewne jeszcze dwadzieścia lub trzydzieści lat wcześniej przybrałaby formę ballady. Twórca stara się zrównoważyć przywołane wyżej postawy. Nie ma wszak wątpliwości, iż zrozumienie i utrwalenie przeszłości wymaga bardzo szczególnego podejścia:

Do wydobycia z Ukrainka pieśni i legendy trzeba pewnego w nim samego nastrojenia; trzeba go pierwiej obwiać nieznacznie przeszłością, sprowadzić na drogę przypomnień, przerzucać przed jego oczyma kartę po karcie z dziejów dawnych – i tak nieznacznie zagłębiwszy się z nim w przeszłość, dopiero uchylić się samemu i już tylko pozostać słuchaczem. Rozmarzony Ukrainiec, ze spuszczoną głową, marzy wtedy i, jak kupiec towary, rozwija z pamięci całe zwoje podań, piękniejszych jedne od drugich. Nie patrzy na ciebie, nie zważa na nic dokoła, i byleś mu nie przerwał, gotów ci opowiadać przez noc całą. Do wydobycia pieśni trzeba podobnegoż usposobienia [...]. Żeby więc zebrać je dobrze, trzeba ciągle wałęsać się między ludem, podpatrywać go w chwile wewnątrzania się i podsłuchiwać, jak się słucha ptaka, który śpiewa dla siebie. (KO, t. I 31–32)

Fisz odtwarza świat ukraiński w jego materialno-duchowej złożoności, tylko tak bowiem można zrozumieć przeszłość. Niczym zawodowy historyk często rozpoczyna od analizy stanu wiedzy, co ważne, bada źródła zarówno polskie, jak i ukraińskie oraz rosyjskie. Co więcej, źródła te porównuje i – jeśli w jego opinii jest to zasadne – potrafi podważyć ich wiarygodność. Kiedy odnosi się krytycznie do sytuacji Ukrainy zastrzega: „My patrzyliśmy na całość, badali rozważnie przyczynę, i co najwięcej: nie sądzimy o obecnym położeniu, jakby było skryształizowane ostatecznie stałe formy [...]” (OK, t. II 19). Fisz jako historyk rozumie procesy społeczne i historyczne. Oprócz posługiwania się warsztatem historyka dba o zrozumiałość wywodu – widoczne jest to zwłaszcza przy omawianiu ekonomicznych zasad budowy cukrowni – retorycznie powtarza ważniejsze fakty, wyjaśnia terminologię.

Fisz-ekonomista i socjolog doskonale rozumie relację pomiędzy rozwojem gospodarczym, jego skalą a zmianami społecznymi. „Gorączkowy ten stan nie mógł nie oddziaływać na obyczajową stronę społeczności i nie naznaczyć ją piętnem swojego wpływu [...]. Potworzyły się nowe typy i charaktery [...]. Dokonało się przeistoczenie nadzwyczajne” (OK, t. II 31). Refleksje Fiszta dotyczą postawy współczesnego człowieka wobec przeszłości i historii, stając się także przewodnikiem po zagadnieniach

tożsamościowych. Drugi z tomów kończy się zapowiedzią jeszcze trzeciego – niepowstałego – tomu, który poświęcony miał być literaturze małopolskiej oraz ludowej twórczości ukraińskiej.

Oko za oko

W *Nocy Tarasowej* (1841–1842) – napisanej przez Fisza w wieku 21 lat – autor porządkuje kluczowe kategorie wyobraźni symbolicznej i historyczne konteksty sporu polsko-ukraińskiego, prezentuje także – obecny w innych utworach pisarza – „konflikt egzystencjalny” głównych bohaterów. Centralnym problemem utworu jest uwikłanie dramatu osobistego w konflikt narodowy. Na tekst (na który niewątpliwie wpływ miały *Zamek Kaniowski* Seweryna Goszczyńskiego oraz *Wernyhora* Michała Czajkowskiego) składa się sekwencja kilkunastu rozbudowanych obrazów-scen, same perypetie streszczają się do paru wydarzeń i odbywają się w ciągu jednej doby. Znamienne, iż wydarzenia mają miejsce w święto Bożego Ciała, co wpisuje opisywane perypetie w czas sakralny. Po zwycięskiej potyczce z atamanem Tarasem Trojaszą oddział wojsk polskich hetmana Koniecpolskiego pod wodzą Mohylskiego przybywa do Korsunia. Tam, po stłumieniu buntu chłopstwa ukraińskiego, żołnierze stają się ofiarami hajdamaków Trojaszy, którzy podstępem dostawszy się do zamku, nocą dokonują rzezi. Tekst kończy się zatem zwycięstwem Kozaków.

Najważniejsze postacie – ataman Trojasza i Mohylski – funkcjonują w dwóch determinujących się wzajemnie porządkach: historycznym i osobistym. Zespala ich postać Oksany, która z pełną pasją wzajemnością obdarza ich obu uczuciem. Główni bohaterowie mężczy są sobie równie poprzez tę miłość (wątek osobisty) i rolę dowódców (wątek narodowy). Dla Mohylskiego miłość jest formą stygmatu i pełni rolę „grzechu młodości”. Oksana staje się uosobieniem niespełnionej miłości totalnej, przez którą „przejęła do łona robaka zgryzoty, który tajemnie pił jej życie” (NT, 58). Trojasza – ze względu na toczoną walkę – nie może przebywać z Oksaną i przez to naznaczony jest stratą i niespełnieniem. Nadto fakt, iż – w finalnej scenie historii – odnajduje Oksanę w „miłosnym uścisku” z Mohylskim, czyni jego zemstę (Trojasza zabija oboje kochanków) autodestrukcyjną.

Poczucie niespełnienia w odniesieniu do Mohylskiego objawia się w postaci melancholii, a źródłem tego stanu jest sama Ukraina. Nocne spotkanie z Oksaną nie przynosi więc ukojenia, co więcej rozbudza w nim lęk: „Boże mój! [...]. Czy to już pod gwiazdą urodziłem się taką, czy taka mi od Boga naznaczona jest dola, iż w moim życiu szczęścia sobie znaleźć nie potrafię! Och, gdybym był nie znał Ukrainy, gdybym żył na rodzinie, w kochanej, drogiej Polsce... nie byłbym

tak dzisiaj nieszczęśliwy! Zaklęty to kraj! Jego wiatry wysuszą serce człowieka” (NT, 92). I dalej: „Ja w waszej Ukrainie zawsze smutny i niespokojny; wasze wiatry i wasze mogiły okropną budzą tęsknicę” (NT, 95). Wreszcie deklaruje: „Ja umrę, jeśli tego kraju nie porzucę na wieki!” (NT, 95). Destrukcyjnej siły Ukrainy nie jest w stanie przezwyciężyć nawet miłość Mohylskiego do Oksany. Demobilizującej mocy Ukrainy doświadczają zresztą także inni bohaterowie. Narrator, w nieco filmowy sposób, wprowadza w pustynną przestrzeń oddział polskich żołnierzy. Ta przestrzeń pozostaje obca dla przybyszów, Fisz za jej pośrednictwem buduje relację swój-obcy. Ukraina jest krajem niedostępnym, „pustelnicznym” i „poetycznym”. Nosi też w pewnym sensie – przynajmniej z perspektywy przybyszów – znamiona kraju magicznego, w którym łamane są zasady naturalnego porządku czasu i przestrzeni. Pełni także funkcje inferalne, jest „piekielną Ukrainą”. To bowiem w tej przestrzeni pojawiają się nagle, znikąd hajdamacy: „przechodziliśmy więc takie trzęsawiska, takie zarośla, gdzie podobno od stworzenia świata nie powstała noga ludzka” (NT, 37–38). Złowrogiej przestrzeni towarzyszy także – może nieco zbyt oczywista – symbolika: kruk, do którego nie udaje się celnie strzelić; kiedy Polacy strzelają do znalezionych na zamku obrazów i próbują przestrzelić namalowaną postać Trojaszy, trafiają zamiast w niego w krzyż – feralny strzał został oddany przez księdza. To symboliczna zapowiedź klęski. Jeden z żołnierzy mówi wprost: „To miejsce przekłete, albo noc widm i upiórów” (NT, 89).

Tekst daje podstawę do wysnucia wniosku, iż źródłem sporu polsko-ukraińskiego są dwa zasadnicze elementy: pragnienie podporządkowania Polsce Ukrainy oraz próba nawrócenia prawosławnych Ukraińców na katolicyzm. Powyższe cele dobrze ilustruje wypowiedź Mohylskiego: „Každy z was, kto tylko podnie sie oręż na Polaków, kto nie przyjmie religii prawdziwej, śmierć poniesie z naszej dłoni! [...] Tak! Albo musicie zostać chrześcijanami i być posłuszni Rzeczypospolitej, albo każdy tak marnie ginąć będzie” (NT, 85). Równie jednoznacznie brzmi deklaracja Trojaszy: „Raz się to serce zapiekło i dość, ażeby żywić nienawiść całe życie! Kozacy nie będą mieli pokoju, nie będzie miał poszanowania dom boży, aż ten perz wypalimy na naszej ziemi! Ukraina powinna być wolna od Lachów, a wtenczas zostanie szczęśliwą!” (NT, 67–68). W tak zarysowanym konflikcie nie ma miejsca na dialog. Ważne jednak, iż Fisz nie opowiada się jednoznacznie po żadnej ze stron. Unieważniony zostaje niejako symbolicznie argument podporządkowywania Ukraińców w imię wiary. Polacy krwawo tłumią chłopski bunt na zamku, co sprawia, że żołnierze wpadają w refleksyjny ton: „Była to chwila rozważgi. Po mordach i cierpieniach, kiedy rozżarte serce zadowoliło się dzikim mąk obrazem, nastąpiła godzina ocucenia się i upamiętnienia. Był to gorzki wyrzut sumienia” (NT, 87). Wszak wydarzenia toczą się w Boże Ciało, można więc uznać, iż to, co się wydarzyło nastąpiło nie w imię, lecz wbrew religii: „Uroczystość tak

wielka, a my bijatykę i rozpustę zawiedli [...]. Za to Bóg skarać może, bo i oni są ludzie!...” (NT, 89). Tak ukazane perypetie wiodą do wniosku, iż Polacy poprzez nieuszanowanie czasu sakralnego sprzeniewierzyli się Bogu i w ten sposób narazili się na jego karę. Finałem zemsty, dokonanej przez Ukraińców, staje się ukrzyżowanie i spalenie księdza. Wydaje się więc, iż pomimo uwikłania obu stron konfliktu w spory religijne ich czyny w rzeczywistości pozbawione są religijnych motywacji.

Szczególną, symboliczną funkcję w tekście pełni postać Aleksego, teorbaniasty, który jest przewodnikiem polskiego oddziału po niedostępnym stepie i doprowadza polski oddział do kryjówki Trojaszy. W finale opowiadania staje się świadkiem rzezi, dokonuje jednak symbolicznej zemsty, zabijając Feśka, który pod nieobecność Trojaszy przygotował Ukraińców do krwawej zemsty na Polakach. To on, na polecenie Mohylskiego, sprowadza do niego Oksanę. Jest jedynym ocalałym. Jednak ceną za to doświadczenie okazuje się szaleństwo.

Noc Tarasowa została bardzo przychylnie przyjęta przez Józefa Ignacego Kraszewskiego, który pisał o niej, iż: „wróży [...] bardzo piękny talent. [...] Odnacza się i pojęciem przedmiotu, i obrobieniem wyborym [...]. Autor *Nocy Tarasowej*, jeśli zechce swych sił próbować w obszernych rozmiarów historycznym romansie, przy takiej, jaką okazuje, znajomości miejsc, obyczajów, i charakterów rodowych, niechybnie stanie się znakomitym romansopisarzem. Prosimy go aby nie ustawał”⁴⁷. Jakkolwiek ta lakoniczna recenzja została zamieszczona w listach do czytelników „Athenaum”, to okazała się wystarczająca, aby Kraszewski zdecydował o publikacji tekstu, a dla samego autora stała się motywacją do dalszej pracy.

Syn marnotrawny

Tytułowa bohaterka kolejnego utworu, *Zosia Żytkiewiczówna* (1855), nieco paradoksalnie, nie znajduje się w centrum perypetii. Co więcej, pisarz niezbyt umiejętnie wykreował tę postać, która w konfrontacji z bohaterami męskimi, wydaje się nazbyt powierzchowna i sztuczna. Fisz, podobnie jak w *Nocy Tarasowej*, próbuje wprowadzić wątki symboliczne, tym raz w postaci sennych wizji Zofii z początku powieści. Sen Zosi ma charakter profetyczny, zapowiada mające nastąpić wydarzenia.

Marząc ciągle o pięknych bohaterach bajek, o zaczarowanych królestwach, o siedmiogłowych żmijach, upiorach w widmach, Zosia rozbudziła do pewnej potęgi uczucie cudowności i przewidywań, stała się dostępną najmniejszym wrażeniom i często miewała sny dziwne. Raz, było to na wiosnę, przyśniło się jej, jakoby przyleciała na dziedziniec

⁴⁷ J. I. Kraszewski, „Athenaum” 1841, t. 4, s. 228–229.

rodzicielskiego domu straszny żmij o siedmiu dużych głowach, niosąc na karku królewicza. Ten królewicz wezwał przez okno jej ojca i rozkazała mu wyprowadzić doń córkę. Kiedy wyszła przelekniona Zosia, zjawił się skądeś rycerz i bił się z królewiczem. Żmije syczały i robiły się coraz czerwiejsze, jakby ją krwią kto ofarbował, i na koniec stanęły w płomieniach. (ZŻ, 192–193)

Kluczowy dramat historii rozgrywa się jednak pomiędzy ojcem a synem. Podobnie, jak w *Nocy Tarasowej*, także tutaj konflikt głównych bohaterów możemy śledzić na dwóch poziomach: personalnym oraz historycznym. Bardzo ciekawie pod względem narracyjnym Fisz skonstruował dramat głównego bohatera, sędziwego Onufrego Żytkiewicza, który po zaginięciu swojego kilkuletniego syna całą swoją miłość skupia na córce Zofii. Zawiązanie historii rozpoczyna się od jednoczesnego przybycia do Moszen dwóch mężczyzn: Stanisława Brzozowskiego oraz Wichrowskiego. Podczas biesiady, w której obaj przybysze biorą udział, okazuje się, że Wichrowski jest tak naprawdę znanym hajdamaką Mamajem, a jego obecność pod przybranym nazwiskiem stanowił element zasadzki. W trakcie „obłączenia” Onufry Żytkiewicz dowodzi obroną, udaje mu się – między innymi za sprawą sugestywnej dla Ukraińców przemowy – odwieść ich od dalszego ataku. W finale tej sceny Mamaj proponuje wymianę córki Żytkiewicza za jego zaginionego syna. Wiadomość o synu jest kolejnym zawiązaniem dramatu. „Mój syn u ciebie! O, Boże! O, Boże! Za co mnie tak karzesz? I pochwycając twarz dłoni, zawiesił głowę na piersi i w głos zapłakał [...] – Mamaju, [...] dobij mnie – zrób mi tę ostatnią przysługę, a Bóg ci przebaczy!...” (ZŻ, 223–224). W obawie przed spełnieniem groźby Mamaja o porwaniu córki wyjeżdża potajemnie i chroni ją wraz z żoną. Żytkiewicz z Brzozowskim ruszają do Sycyz Zaporoskiej⁴⁸, aby odnaleźć syna Żytkiewicza. Okazuje się jednak, iż syn jego, Paweł, przez kilkuletnie przebywanie z hajdamakami stał jednym z nich („nie przyswoisz tego wilczka, bo on zaprawił już się na ścierwie” – ZŻ, 268); „Wyrosłeś jak dzikie bydło bez wiary, bez serca [...]. Rozbijałeś i kradłeś, a nie mogłeś pokryć przed światem brzydkiej nagości ciała swego – i tylko duszę zaprzepaściłeś na wieki!...” – ZŻ, 266–268). W drodze powrotnej do domu okrada ojca oraz Brzozowskiego i ucieka. „Boże! W imię twoje! Błogosław nas, Panie! A ty, synu – dodał grzmiącym głosem, obracając się ku stepom i podnosząc rękę, jakby przemawiał do pustyni – oby cię Bóg tak zasmucił, jak ty mnie zasmuciłeś. Oby cię odepchnął od swego łona i występna głowa twoja nigdzie nie zaznała spokoju! Nie mam syna, nie mam!” (ZŻ, 278). Dochodzi do jeszcze jednego spotkania Żytkiewicza z Mamajem, gdy ten zostaje ostatecznie złapany i prowadzony jest na śmierć: „Przeżegnaj się, Mamaju, a pożałuj za grzechy. Ej, zgubiłeś mi syna, Mamaju, bodaj

⁴⁸ Na uwagę zasługuje sposób, w jaki Fisz (okiem narratora-historyka) opisuje Sicz oraz rozróżnia Zaporozców od hajdamaków, którzy uosabiają ciemną stronę Kozaczyzny.

ci Bóg nie pamiętał tego na strasznym sądzie swoim. – Wiem, wszystko wiem – prze-rwał Mamaj z uśmiechem [...]. Zuch, dalibóg zuch! Zaleje on wam sadła za skórę, zobaczycie” (ZŻ, 284–285).

Tekst można odczytywać jako metaforę relacji polsko-ukraińskich, gdzie Ukra-ina symbolizuje syna, który – wychowany w innym porządku kulturowym – nie może już wrócić do jedni z ojcem-Polską. Tak rozumiana relacja zakłada istnienie bardzo silnej, pierwotnej więzi – więzi krwi.

Ukraiński Syzyf?

Taras Trojasza w finale *Nocy Tarasowej* morduje kochankę Oksanę oraz osobiste-go wroga Mohylskiego. To moment spełnienia jego krwawej żądzy zemsty („Dawnom ja przygotował w myśli tę dla was ucztę” – NT, 97) i zasadniczy koniec perypetii tego bohatera – przynajmniej w tej fabularnej odsłonie. Kolejny bohater Fisza, tytułowy *Nestor Pisanka* (1853), jest swego rodzaju odzwierciedleniem Tarasa, z tą jednak różnicą, iż jego losy poznajemy także po spełnieniu się zemsty, która w jego przy-padku również staje się autodestrukcyjna. Paradoksalnie okazuje się, iż formuła takiej egzystencji (już „po zemście”) jest szczególna, nie przynosi spełnienia ani ukojenia, a samo życie – niczym u bohatera *Jaszczura* – zostaje naznaczone wyjątkowym dra-matyzmem i staje się karą samą w sobie. Czym jest ta „gadzina, co ssie [...] życie” (NP, 65) Nestora? Trudno mówić o wyrzutach sumienia z powodu zbrodni, która dokonana została na kochanej osobie. To rozpacz dawkowana w kolejnych latach życia, cierpienie rozpisane w czasie:

[...] Za co mię Bóg trzyma jeszcze na świecie? Za co mnie jednemu sądzone było ująć z rąk kata, kiedy tylu moich towarzyszy skończyli na palach, i kości ich, dawno już, dawno przejadła ziemia? A ja pomyślałem: – Może dlatego, że dla takiego jak ty zbrodniarza pal byłby za małą męczarnią, bóg ci zgotował kilkadziesiąt lat męki powolnej i śmierć – może bez przebaczenia, jak sam byłeś bez pokuty i skruchy. (NP, 147)

Narrator dobitniej jeszcze dopowiada o „zakamieniałym zbrodniarzu, któremu niebo w mękach moralnych, pojawiających się peryodycznie, odmówiło, czego nie odmawia nikomu – łaski – pokuty” (NP, 139).

Opowiadanie ma charakter głównie retrospektywnej opowieści już przeszło stuletniego Nestora.

Moje życie – to długa niwa! Jak na długiej niwie napotkasz burzany i suche piaski i bujne kwiecie i złociste zboże, tak i na niwie mego życia! Żyłem jak wszyscy wtedy; hulałem jak wszyscy, rznąłem Lachów, Moskali i Żydów, ale nie to mi ciąży na duszy. Jest jedna tajemnica, co mnie powiodła na pożogi i mordy; jedna przygoda, co ze mnie, spokojnego

chłopca, zrobiła hajdamakę. Jak przypomnę sobie życie moje młode, to sam się dziwię: co się potem zrobiło ze mną? Czyż to ja myślałem zabnąć tak głęboko i nie opamiętać się aż teraz!... (NP, 64)

Wydarzenie, które zdecydowało o przemianie Nestora w hajdamakę, związane jest z jego młodością. Podobnie jak w dwóch poprzednich opowiadaniach, los tytułowego bohatera spleciony jest z miłością i krwawą historią. Matka Nestora, Ukrainka Praksesta, mieszka i żyje wraz z Mohylskim oraz jego córką Józją. Wiedzioną chęcią ściślejszego związania swojego życia z mężem, postanawia w tajemnicy przed nim zorganizować ślub jego córki ze swoim synem. Mohylski śledzi jednak z ukrycia przygotowania do potajemnej ceremonii, a przekonawszy się o zamiarach Praksesty, więzi wszystkich „bieszczadników” z wyjątkiem Nestora, któremu udaje się uciec. Nestor, obserwując dramatyczne sceny, następnie wiedziony podszeptami diabła (siły nadnaturalne będą towarzyszyły mu już do końca życia), podpala dom, w którym znajdują się niedoszli bieszczadnicy i ich oprawcy. Finałem tych wydarzeń jest śmierć Praksesty, która „była oćwiczoną od szyi do stóp samych. Krew się z niej lała i zupełnie zwilgotniało radło” (NP, 89). Nestor doświadcza podwójnej straty: traci młodzieńczą miłość i matkę. Te wydarzenia determinują jego dalsze losy, wplątując je w porządek sporu polsko-ukraińskiego. Chęć zemsty na „Lachach” wiedzie go do przyłączenia się do hajdamaków Żeleźniaka. Po kilku latach Nestor przybywa do Smiły, w której miał przygotować powstanie, odnajduje tam Józję, którą uprowadza. Okazuje się jednak, iż Józja nie rozpoznaje w hajdamace dawnego oblubieńca: „myślałem durny, że ona przypomni nasze dawne życie, moją szczerą miłość i pokocha mnie znowu, jak kochała kiedyś” (NP, 129). Mało tego, porwanie doprowadziło ją do choroby umysłowej szaleństwa. Po tych wydarzeniach Nestor szuka zemsty na jej ojcu. Dochodzi do jeszcze jednego spotkania Nestora z Józją w Smile, tym razem w zupełnie innej scenerii: on po klęsce powstania Żeleźniaka ukrywa się, ona z kolei, dotknięta chorobą umysłową, nierozpoznana, (także ze względu na chorobę) przebywa w Smile.

Powieściową triadę opowiadań ukraińskich Fisza wieńczy *Nestor Pisanka* – jest to bez wątpienia jego najlepszy utwór literacki – można go w jakimś sensie uznać za tekst kanoniczny dla szkoły ukraińskiej. Zarówno bohaterowie, jak i sposób obrazowania znamionują dojrzałość artystyczną. Tytułowy bohater powieści (pierwotnie *Nestor malowany*) zostaje ukarany życiem. Podobnie jak w dwóch poprzednich tekstach, także tutaj ujawniają się dwa poziomy interpretacji: personalny i historyczny. Ten drugi porządek, znów za pomocą symbolicznych odniesień, obrazuje złożone relacje polsko-ukraińskie bez jednoznacznego i oczywistego wskazywania winy. Tak ocenia to Kwapiszewski: „Miłość Nestora do Laszki, namiętna i dzika, nacechowana szacunkiem i tkliwą czcią niemal, pełna zauroczenia właśnie tą drugą, inną kulturą, miłość szalona – możliwa i niemożliwa jednocześnie – staje się w opowiadaniu Padalicy metaforą

kozacko-polskiego współżycia i konfliktu”⁴⁹. W wymiarze symbolicznych odniesień tekst nie przynosi krzepiącego rozwiązania. Narrator dopowiada zatem i puentuje:

Nie masz tu następstw, które obrachował polityk, ani kar którym by ulegli winni, bo wszakże zemsta, jakiej dopuścili się potem Polacy, wbijając tysiące na pał, ucinając nogi i ręce, wypłaszając na pustynie wieś cała – równa się znowu, w pewnym względzie, zadanej przez nich kłęsce. Gdzież tu winny i niewinny? Gdzie tu obwiniony i sędzia? Gdzie cnota i zbrodnia? Tryumf i kara? Są to burze ludzkości, jak są huragany natury, a jak się one wcielają w życie, na kogo spadną i dlaczego takie, a nie inne porobią w przejściu swoim ślady – tego nie wiemy jeszcze. (NP, 139)

Historia i jej zrozumienie stają się trudną lekcją dla kolejnych pokoleń⁵⁰.

*

Pytanie o rangę pisarską Fisza prowokuje w jakimś sensie do refleksji nad kanonem tekstów autorów szkoły ukraińskiej i nad samym znaczeniem tej formacji dla kultury romantyzmu. Michał Grabowski w pracy *Literatura i krytyka* zaproponował bardzo obrazową, tematyczną kodyfikację polskich poetów szkoły ukraińskiej: wskazywał, iż w twórczości Malczewskiego dominuje żywioł szlachecki, u Zaleskiego z kolei kozacki, natomiast Goszczyński reprezentuje Ukrainę hajdamacką. Twórczość Fisza nie wpisuje się w pełni w żaden z powyższych nurtów. Nie jest mu blisko do kozakofilizmu Józefa Bohdana Zaleskiego lub Michała Czajkowskiego – wszak Fisz daleki jest od idealizowania i mitologizowania Ukrainy i jej mieszkańców. Znacznie łatwiej włączyć go do nurtu konserwatywnego, reprezentowanego przez Michała Grabowskiego i Henryka Rzewuskiego – choć i w tym gronie jego obecność nie jest do końca oczywista. Na tle wielu literackich obrazów reprezentantów szkoły ukraińskiej, w których żywioł Kozaczyzny – w różnych wariantach: od apologii (*Wernyhora* Czajkowskiego) po krytycyzm (*Sicz Zaporoska z Pamiętek Soplicy* Rzewuskiego) – jest kluczowy⁵¹, twórczość Fisza wyróżnia się próbą zbudowania alternatywy wobec zaproponowanej przez Grabowskiego systematyzacji obrazu Ukrainy. Z jednej bowiem strony Fisz zapatrzony jest w przeszłość (*Opowiadania i krajobrazy*), z drugiej doskonale zdaje sobie sprawę, iż choć determinuje ona relacje polsko-ukraińskie, jak ważniejsze jest spojrzenie w przyszłość i nawiązanie koniecznego polsko-ukraińskiego dialogu.

⁴⁹ M. Kwapiszewski, dz. cyt., s. 24.

⁵⁰ Warto zwrócić uwagę, iż wydanie *Nestora Pisanki* z 1898 roku zostało poważnie ocenzurowane – brak w nim końcowych (ważnych dla wymowy utworu) refleksji dotyczących historycznej oceny relacji polsko-ukraińskich.

⁵¹ Por. M. Kwapiszewski, dz. cyt., zwłaszcza rozdział *Kozak romantyczny. Dzieje motywu*.

Romantyczne „jądro ciemności”

Bronisław Baczek, analizując różne aspekty terroru Wielkiej Rewolucji Francuskiej, zauważa między innymi, iż: „Terror stworzył pewien heroiczny kanon wyobrażeń, a jednocześnie zakrywał rzeczywistość i rodził czarną legendę”⁵². Owo wręcz modelowe „zakrycie rzeczywistości” i „zrodzenie czarnej legendy” do pewnego stopnia da się zastosować także wobec czarnoromantycznego imaginarium⁵³, ilustrującego XIX-wieczny literacki obraz Ukrainy, w którym mord, rzeź i krwawa zemsta tworzą w historii obu kultur trwałe, kanoniczne wręcz obrazy. Lektura najbardziej reprezentatywnych tekstów autorów szkoły ukraińskiej (zwłaszcza *Marii* i *Zamku kaniowskiego*) potwierdza, iż antagonizm często wpisany był w historycznie (a także historiozoficznie) uwarunkowane relacje Polski i Ukrainy. Determinowało to skrajnie odmienny sposób interpretacji i oceny przyczyn, przebiegu oraz skutków konfliktu obu stron sporu. Jednak czy romantyczna szkoła ukraińska to tylko wizja nieustannego sporu, mordów i rzezi? Z pewnością nie i twórczość Fiszka w ciekawy sposób uzupełnia i problematyzuje te wyobrażenia.

Miejsce Zenona Fiszka w polsko-ukraińskim dyskursie jest szczególne, bo choć prezentuje on postawę szlacheckocentryczną, to potrafi – i to właśnie stanowi o jego wyjątkowości – dostrzec tragizm obu stron sporu. Wyjątkowość tę i swego rodzaju empatyczne spojrzenie Fiszka zawdzięcza, jak sądzę, nie tylko doświadczeniu samego uwiedzenia i zauroczenia ukraińskim folklorem, lecz również faktem, iż Ukraina była dla niego – inaczej niż dla wielu zamieszkujących ją Polaków – domem także w wymiarze egzystencjalnym. Można by więc uznać Zenona Fiszka – jak uczynił to chociażby Władysław Mickiewicz w swoim *Pamiętniku* – za polskiego pisarza ukraińskiego. Ta dwuskładnikowa przynależność odegrała kluczową rolę w formowaniu się pisarza i człowieka. Dzięki tej dualnej przynależności teksty Fiszki mogą także pełnić rolę przewodnika po złożonych relacjach Polski i Ukrainy.

Popularny, kulturowy obraz Ukrainy został na przestrzeni XIX i XX wieku silnie zmitologizowany, dlatego nie dziwi fakt, że pisarz, którego postrzeganie Ukrainy nie wpisywało się w jej mitologizującą wizję, nie utrwalił się dobrze w historii kultury. Szkoda, bowiem jest Fiszka jednym z ciekawszych krytyków „ukraińskiej Atlantydy”, co samo w sobie może stanowić o wyjątkowości jego twórczości. Nawet te utwory, które można uznać za najbliższe kanonicznym tekstom szkoły ukraińskiej (przede wszystkim *Nestor Pisanka*), są jednak w swej ideowej wymowie wieloznaczne

⁵² B. Baczek, *Jak wyjść z Terroru? Termidor a Rewolucja*, przeł. W. Dłuski, Gdańsk 2005, s. 268.

⁵³ Na ten temat por. zwłaszcza: H. Krukowska, *Noc romantyczna. Mickiewicz, Malczewski, Goszczyński. Interpretacje*, Gdańsk 2011 oraz J. Ławski, *Bo na tym świecie śmierć. Studia o czarnym romantyzmie*, Gdańsk 2008.

i nie pozwalają na zbudowanie jednowymiarowego obrazu winy i odpowiedzialności. Tu zresztą ujawnia się ważna cecha postawy Fisza – powściągliwość w formułowaniu sądów kategoriycznych. Tam, gdzie „węzeł konfliktów” związany jest zbyt mocno, Fisz potrafi powstrzymać się od oceny, pozostawiając kolejnym pokoleniom to zadanie. To ważna i cenna postawa.

*

Choć trudno dziś mówić o renesansie badań nad szkołą ukraińską, warto odnotować wzmożone zainteresowanie badawcze tą formacją literacką, co potwierdza kilka ważnych (bo przy niewielkiej liczbie prac każda staje się ważna) publikacji⁵⁴. Dzięki nowym historycznym oraz historycznoliterackim opracowaniom dyskusja nad znaczeniem i rolą szkoły ukraińskiej w kulturze polskiej ma szansę stać się pełniejsza. Twórczość Zenona Fisza jest dla odtworzenia tego obrazu ważna. Jakkolwiek wiele jego prac wpisuje się w dobrze już przebadane zagadnienia historycznoliterackie, zasługuje on bez wątpienia na autonomiczne potraktowanie i głębszą uwagę badawczą. Na jego spuściznę twórczą (nie tak znowuż obszerną) składa się dosyć różnorodny pod względem formy zbiór utworów, w którym odnajdujemy: powieści obyczajowe i szkice fizjologiczne (nie wyróżniają się one nowatorstwem na tle prozatorskich prób z tego okresu), opowiadania o tematyce ukraińskiej (wśród nich największymi wartościami artystycznymi wyróżnia się *Nestor Pisanka*), teksty reporterskie i podróżnicze (zwłaszcza *Listy z podróży*, które powinny zapewnić pisarzowi stałe miejsce w kulturze XIX wieku), w końcu działalność publicystyczna, potwierdzająca zaangażowanie społeczne i erudycję pisarza.

Współczesne badania historii, często ogniskujące się wokół kategorii tożsamości i świadomości narodowej, związane są nierzadko z badaniami postkolonialnymi. Choć ten wymiar interpretacji narażony jest szczególnie na zbyt mocne uzależnienie oceny przeszłości od współczesnych kategorii politologicznych, to wydaje się, iż nie sposób pominąć także takiego wymiaru możliwych interpretacji romantycznej spuścizny kulturowej, zwłaszcza w odniesieniu do relacji polsko-ukraińskich. Przyznać jednak należy, iż dyskurs postkolonialny dotyczący polsko-ukraińskich relacji lepsze efekty przynosił na polu teorii niż praktyki interpretacji. W świetle licznych i ważnych publikacji z ostatnich lat⁵⁵, nawet jeśli niektóre z nich rażą historyczną i ideologiczną

⁵⁴ Por. *Późny romantyzm i Ukraina* Marka Kwapiszewskiego, *Szkoła ukraińska w romantyzmie polskim* pod redakcją Stanisława Makowskiego, Urszuli Makowskiej i Małgorzaty Nesteruk, jak również ważne dla odtworzenia historycznoliterackiego oraz historycznego kontekstu *Historia literatury kresowej* autorstwa Bolesława Hadaczka oraz *Trójkąt ukraiński* Daniela Beauvois.

⁵⁵ Do najważniejszych należą przywoływana już praca Daniela Beauvois, *Trójkąt ukraiński*, a także na przykład: J. Sowa, *Fantomowe ciało króla* (2011), B. Huk, *Ukraina. Polskie jądro ciemności* (2013),

stronniczością, warto mimo wszystko pozostać otwartym na najnowsze metodologiczne propozycje. Spojrzenie na narody przez pryzmat na przykład ich kolonialnych – często skrywanych – doświadczeń pozwala wszak często dostrzec charakterystyczny proces utajniania przeszłości⁵⁶.

Glosa edytorska

Podstawowym zamierzeniem edytorskim niniejszej publikacji było – z uwagi na nieobecność twórczości Zenona Fisza w recepcji naukowej oraz czytelniczej świadomości – wydanie nie tyle reprezentatywnego wyboru, ile możliwie najpełniejszego zbioru jego tekstów literackich. W tomie zebrano także te teksty, których wartości artystyczne nie są oczywiste – dobrze ilustrują one jednak różnorodność pisarskich zainteresowań prozaika. Dla zbudowania pełnego obrazu literatury ważne są wszak także te utwory, które nie zostaną zapewne nigdy włączone do kanonu. Wyjątkiem jest debiutancki dramat *Konaszewicz w Białogrodzie*, którego nie ma w niniejszym wydaniu ze względu na jego wtórny i epigoński charakter. Dokonano też pewnego trudnego, ale – ze względu na możliwości wydawnicze – koniecznego wyboru. Z *Opowiadań i krajobrazów* włączono do poniższego zbioru jedynie dwa teksty fabularnie wyróżniające się (*Zosia Żytkiewiczówna* i *Nestor Pisanka*), podobnie zrobił Michał Chmielowski, wydając te opowiadania w 1898 roku pod wspólnym tytułem *Powieści ukraińskie*. Nie oznacza to oczywiście, iż pozostałe partie *Opowiadań i krajobrazów* pozbawione są walorów artystycznych i poznawczych. Dzięki takiemu wyborowi można prześledzić proces formowania się spójnego literackiego obrazu romantycznej Ukrainy z perspektywy wzajemnie dialogujących ze sobą trzech opowiadań. Powinno to także uatrakcyjnić lekturę i zachęcić do dalszych badań nad twórczością pisarza.

Do tomu nie włączono *Listów z podróży*, które stanowią odrębny i zupełnie wyjątkowy korpus tekstów i bez wątpienia zasługuje on na samodzielne wydanie.

Dzięki takiemu edytorskiemu wyborowi tom zyskał czytelny podział. Rozpoczyna go autobiograficzny tekst *Parę obrazków, parę myśli. Wspomnienie Tadeusza Padalicy*, który pozwala zrozumieć szczególny rodzaj zauroczenia Ukrainą przez Fisza. Na część pierwszą składają się trzy – ułożone w kolejności chronologicznej – opowiadania ukraińskie: *Noc Tarasowa*, *Zosia Żytkiewiczówna* oraz *Nestor Pisanka*.

czy praca zbiorowa pod redakcją B. Bakuły, *Dyskurs postkolonialny we współczesnej literaturze i kulturze Europy Środkowo-Wschodniej. Polska, Ukraina, Węgry, Słowacja* (2015).

⁵⁶ Dowodem tego są chociażby prace Caroline Elkins (dotycząca XX-wiecznych brytyjskich obozów w Kenii) czy Adama Hochschilda (o afrykańskich podbojach Belgii).

Taki układ tekstów pozwala zaobserwować proces rozwijania się nie tylko warsztatu pisarskiego, lecz także ewolucję światopoglądową pisarza. W drugiej części zaprezentowano cztery teksty o charakterze obyczajowo-społecznym: *Profile*, *Pokojówka*, *Szkic obyczajowy*, *Kontrakty kijowskie*, *Pamiętnik legitymującego się szlachcica*. Dają one szansę dostrzec w Fiszu pisarza o talencie narracyjnym.

Ważny dla obecnej fazy recepcji twórczości Fisza jest fakt, iż dzięki cyfryzacji tekstów kultury wszystkie utwory Zenona Fisza, łącznie z kompletem czterech tomów „Gwiazdy”, są dostępne – pod jednym adresem elektronicznym – w postaci cyfrowej na stronach Federacji Bibliotek Cyfrowych⁵⁷.

⁵⁷ Adres internetowy: <https://fbc.pionier.net.pl/> – dostęp: 20.12.2016 r.



Kozak Mamaj – autor nieznan (pocz. XIX w.)

Rościław Radyszewski

*Narodowy Uniwersytet im. Tarasa Szewczenki w Kijowie,
Ukraina*

**KOZACCY WATAŹKOWIE
W TWÓRCZOŚCI ZENONA FISZA:
KONASZEWICZ W BIAŁOGRODZIE I NOC TARASOWA**

Z ukraińskiej „szkoły”

Jak powszechnie wiadomo, do najbardziej reprezentatywnych przedstawicieli „szkoły ukraińskiej” w literaturze polskiej Michał Grabowski zaliczył Antoniego Malczewskiego, Seweryna Goszczyńskiego oraz Bohdana Zaleskiego, którzy w swojej twórczości przedstawili trzy różne wizje Ukrainy: „Fizjognomije dzikie i przygody krwawe wzięt Goszczyński; barwne życie i rycerskie dzieje Zaleski; Malczewskiemu dostała się część najrozciąglejsza: melancholia tych miejsc i czasów”¹. Zenon Fisz, znany także jako Tadeusz Padalica, oparł się na obrazie Ukrainy wykreowanym przez wspomnianych już poetów, jednak w swej własnej twórczości zdołał on połączyć ich cechy tematyczne i stylistyczne, zapożyczając nieco od każdego z nich, lecz korzystał także z dorobku ówczesnego pisarstwa ukraińskiego. Jego najważniejszymi utworami były: dramat wierszowany *Konaszewicz w Białogrodzie. Tragedia oryginalnie po polsku z dziejów Ukrainy napisana*, powieści *Noc Tarasowa. Powieść z dziejów Ukrainy 1624 roku* (1841), *Nestor Pisanka* (1856), *Zosia Żytkiewiczówna* (1855), a także opowiadanie społeczne *Pokojówka* (1845).

Zenon Fisz dobrze znał słynnego już naówczas krytyka literackiego Michała Grabowskiego, który był jego niedalekim sąsiadem. Początkowo autor *Literatury i krytyki* odnosił się do początkującego i niemającego wykształcenia uniwersyteckiego pisarza dość lojalnie. Jako że w osobie Fiszsa widział przyszłego i to utalentowanego

¹ M. Grabowski, *O elemencie poezji ukraińskiej w poezji polskiej*, w: tegoż, *Literatura i krytyka*, t. I, Wilno 1837, cz. II, s. 115.

pisarza, zezwolił mu na korzystanie z prywatnej biblioteki oraz swoich prac. Pod nadzorem Grabowskiego przełożył Fisz kilka utworów z literatury rosyjskiej, w tym *Córkę kapitana* i fragmenty *Eugeniusza Oniegina* Aleksandra Puszkina, *Sąsiadkę* i *Lewiatana* Michała Lermontowa. Jeśli chodzi o pisarzy ukraińskich, znał on twórczość Iwana Kotlarewskiego, Tarasa Szewczenki, Mykoły Kostomarowa, Jewhena Hrebinki, Mikołaja Gogola oraz Hryhorija Kwitki-Osnowianenki, którego utwory tłumaczył i w którym, jak zaznacza Leonard Sowiński, „był rozmiłowany, i z którego całe ustępy (np. opis jarmarku miasteczkowego) do swoich *Opowiadań i krajobrazów* następnie wcielał” (nr 672). Przekładał także *Powieści matorosyjskie* Pantelejmona Kulisza, które ukazały się w *Pamiętnikach umysłowych* (1845, t. II). Krytyk miał także zamiar nadesłać do opublikowania w „Athenaeum” polski, skrócony wariant *Historii [Nowej Siczy, albo] ostatniego kosza zaporoskiego (Історія [Нової Січі, або] останнього запорізького кошу)* Apollona Skalkowskiego, który, jak twierdził, miał uzupełnić Zenon Fisz, o czym Grabowski wspominał w liście do Józefa Ignacego Kraszewskiego z dnia 15 grudnia 1842 roku, jednak plan ten nie został zrealizowany².

Wzmiankowane utwory Zenona Fisa zostały napisane w duchu ukraińsko-kozakofilstwa, z pewną daniną epigonizmu. Jak twierdzi Leonard Sowiński, pierwszym utworem 16-letniego młodzieńca była wspomniana tragedia *Konaszewicz w Białogrodzie*, której pierwotny tytuł brzmiał *Kozacy w Akermanie* i która ukazała się w piśmie „Czas” (Warszawa, 1841, nr 45–46, 53–56, 59–60), a w całości w „Przeglądzie Naukowym” (1843, t. 4). Dramat został wysłany przez młodego pisarza anonimowo do wydawanego w Warszawie i redagowanego przez Edwarda Dembowskiego i Hipolita Skimborowicza „Przeglądu Naukowego”. Jako odrębne wydanie utwór ten, z przedmową Hipolita Skimborowicza, ukazał się dopiero w 1845 roku, jednak bez wskazywania osoby autora.

Można odnieść wrażenie, że do napisania omawianego dzieła popchnął autora opublikowany w 1838 roku dramat *Sawa Czaty* Mykoły Kostomarowa, w którym pojawiają się zarówno Sahajdaczny, jak i hetman koronny Koniecpolski. Jest wielce prawdopodobne, że właśnie sceny z tego utworu były inspiracją do powstania dramatu Zenona Fisa, a potem powieści *Noc Tarasowa*. Można też domniemywać, że autor znał *Wiersze na pogrzeb Sahajdacznego* (1622) Kasjana Sakowicza oraz napisaną po łacinie pracę Szymona Starowolskiego *Wojownicy sarmaccy (Sarmatiae Bellatores, 1631)*, do których w pewien sposób odnosił Petra Sahajdacznego. Przypuszczalnie w bibliotece Michała Grabowskiego powinny znajdować się utwory współczesnych mu Mykoły Kostomarowa, Tymka Padurry, Bohdana Zaleskiego, którzy w swojej twórczości również opiewali osobę Petra Konaszewicza-Sahajdacznego.

² A. Bar, *Michała Grabowskiego listy literackie*, Kraków: Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności 1934, s. 450; s. 293.

Marek Kwapiszewski – jeden z badaczy twórczości Fisza – uważa, że jego utwór, który powtarza niemal wszystkie istniejące naówczas obrazy postaci Kozaka, powstał w absolutnym duchu wallenrodyzmu i byronizmu [Kwapiszewski, s. 103], ale przede wszystkim walterscottyzmu. Akcja utworu rozgrywa się na początku XVII wieku podczas sprawowania władzy hetmańskiej przez Petra Konaszewicza-Sahajdacznego (autentyczna postać w historii ukraińskiej – ukraiński dowódca i działacz polityczny, hetman wojska zaporoskiego). Prawdziwa jest także wyprawa zbrojna na Białogród, albowiem fakty historyczne świadczą, że w 1609 roku dowodzeni przez Konaszewicza-Sahajdacznego Kozacy przeprawili się przez ujście Dunaju na szesnastu czajkach i zdobyli miasta Kilię, Izmań oraz Białogród. Należy jednak przyznać, że znaczna część utworu jest tylko domysłem autorskim: w dramacie przedstawiono monumentalną postać tureckiego sułtana Meszida, chociaż z historii wiadomo, iż w Imperium Osmańskim wypadają wówczas rządy sułtana Mehmeda IV. Oprócz tego w utworze pojawia się postać Marii – ukochanej Konaszewicza-Sahajdacznego, która w ostatniej scenie ginie z rąk Żameny, a przecież jeszcze w latach 20. hetman ożenił się z Anastazją Powczeńską, z którą miał dwoje dzieci. Niezbyt wiarygodnie wygląda także postać jeszcze jednego bohatera – Kozaka Morozza, który może być pierwowzorem słynnego ukraińskiego pułkownika kozactwa rejestrowego Stanisława Morozenki, ten jednak w rzeczywistości nie brał udziału w kozacko-tatarskich potyczkach [11, s. 137].

Zwracając się do kart historii ukraińskiej, młody dramaturg wprawnie oddał nastrój epoki i na nowo zinterpretował realia historyczne Ukrainy, których zresztą w utworze polskiego autora występuje dość dużo. Jest to niewątpliwie sztuka o charakterze historycznym, w którą wpisano ostry, stale rozwijający się konflikt. Jej bohaterowie – to w przeważającej mierze zwyczajni ludzie. Fisz stara się ukazać ich psychikę, prześledzić ewolucję charakterów oraz motywów ich uczynków i postępowania.

W Białogrodzie

Utwór składa się z trzech aktów: w akcie pierwszym pojawia się 8 scen, w drugim – 14, a w trzecim – 15. Fabuła dramatu rozwija się stopniowo, zachowując niemal wszystkie elementy kompozycyjne: wstęp (Moroz nawołujący Kozaków do bitwy z Turkami), zawiązanie (zapoznanie z kolejnymi bohaterami, nabrzmiewanie głównego konfliktu dramatu – pragnienie Konaszewicza dokonania zemsty na Turkach i uwolnienia ukochanej Marii z niewoli), rozwinięcie akcji – obojętność Marii wobec namawiań Meszida, oszustwo Żameny dokonane przez Haruna, atak Kozaków na pałac; kulminacja – ujawnienie sekretu Haruna (którym w rzeczywistości był

Konaszewicz), zabicie Meszida przez Kozaków i kozackie swawole w komnatach pałacowych i nareszcie zakończenie – śmierć Marii z rąk Żameny, zemsta Konaszewicza na Żamenie, smutek hetmana po stracie ukochanej (monolog pożegnalny).

Zanalizujmy scenę, w której Ataman (Konaszewicz) wyraża swą niezłomność przed obliczem śmierci, twierdząc że „I w łonie żyje duch kozacki szczery, / Żadnych się djabłów nie boję” [Fisz, s. 54]. Warto zauważyć, że centralną postacią dramatu jest Konaszewicz-Sahajdaczny, który jest typowym reprezentantem kozactwa: odważny, silny, nieustraszony, dla zwycięstwa nad wrogiem jest gotów na wszystko. Oprócz tego hetman został przedstawiony jako człowiek z wielkim sercem, albowiem ponad wszystko pragnie być ze swą ukochaną Marią i pamięta o niej w każdej sekundzie swojego życia. Przebywając w tureckiej niewoli, Ataman tęskni za rodzinnymi stronami, jego wielką Ukrainą:

Mnie-to samemu w tej głuchej krainie,
Między nożami i rijami wrogów,
Tęskno, ach tęskno! Do dniewprowych progów! [Fisz, s. 14]

Hetman Sahajdaczny jest wzorem śmiałości i niezłomności. Kiedy zausznicy sułtana zakuwają go w kajdany, unosi się honorem:

Śmierć mi nie straszna! Ja nie jestem dziecic.
I przed twem czołem nie zegnę kolana. [Fisz, s. 61]

O! to mi straszno! Ach, dolo okrutna! [...]

Że już nie ujrzę Ukrainy swojej!

O, dlaczegoż mi dano śmierć ominąć

Na tych kwiecistych polach, gdzie przez całe życie

Hulałem z szablą i kulą! [Fisz, s. 62]

Najtragicznijszym epizodem omawianego utworu jest moment zabójstwa Marii przez Żamenę oraz ból i rozpacz Sahajdacznego, jego tęsknota za utraconą miłością:

Luba! z jakimże obliczem
Powrócę teraz w kraj nasz ukochany?
I cóż mi tam pocieszysz? Co zajmie myśl moję? [Fisz, s. 100]

Śmierć ukochanej rodzi u hetmana natychmiast uczucie strasznego gniewu i pragnienie zemsty:

O! Teraz drzyjcie wrogi, stokroć zapalczywiej
spadnę na wasze głowy, na wasze zagony,
I zawziętsze już z wami zacznę toczyć boję?
Bo i cóż mi śmierć teraz? Pragnę jej życzliwiej!
Ona duch mój połączy z Maryi mej duchem! [Fisz, s. 101]

Ważnym elementem utworu jest również postać Kozaka Moroza, pełniącego funkcję hetmana podczas przebywania Sahajdacznego w niewoli. Na początku utworu Moroz – zgodnie z tradycją – Kozaków nazywa mołojcami i synami stepu, nawołując:

Czy słyszycie – stepu syny?
Bo wnet zagrzmią rogi nasze,
Wnet mołodycy Ukrainy
Zmiatać będą wrogu karki! [Fisz, s. 6]

Widzimy więc postać wybuchową (sam Konaszewicz często powstrzymuje jego wojownicze porywy), ale i jednocześnie niezwykle sprytną (aby uwolnić hetmana, wciela się w postać starego muzułmanina Ali-Batukana):

A więc lećmy pędem ptaka!

Na co Sahajdaczny odpowiada:

Stój! Nie dlatego od dawna tu żyję,
Ażebym dziś nierozmyślnie
Padł na ich sidła umyślnie! [Fisz, s. 18]

Nadzwyczaj ciekawy jest obraz sułtana Abdul-Meszida. Przez większą część utworu przewija się on jako postać z niezwykle romantyczną naturą – to kochanek pragnący zdobyć serce kochanej kobiety (Marii):

Oddaj mi serce! I podziel pieśczoć; [...]
Zewsząd sprowadzę i kwiaty, i drzewy.
I sług ci w-troje pomnożę orszaki
Żeby, gdzie tylko Twa stopa przebywa
Był Raj [...] [Fisz, s. 29]

Centralną postacią kobiecą omawianej sztuki jest z kolei Maria – ukraińska branka, którą sułtan Meszid więzi w swym haremie i która nie ulega jego namowom i oto już od pół roku niesłychanie tęskni za swą Ojczyzną. Maria nie potrzebuje wspaniałego życia, gdyż jej dusza należy do swego narodu, bo ona „lubi kraj ubogi” [Fisz, s. 29]. Sułtan Abdul-Meszid ubóstwia Marię i pragnie ponad wszystko, aby i ona go pokochała. Odmienne zdanie na temat Marii ma Żamena, która ze wszystkich sił pragnie skompromitować ukraińską dziewczynę w oczach sułtana, aby znów stać się jego ulubienicą:

Zdejm! Ot, masz kindża! Lecz nie mnie Meszidzie,
Co w złej przygodzie wiernie tobie radzę!
Nie mnie, co wiernie dzielę z tobą łożę! [...]
Lecz gdy chwila przejdzie [...]
Któż mgłę usunie sprzed twojego oka! [Fisz, s. 34]

Żamena – nałożnica Abdula-Meszida – jest przeciwniczką Marii, przeciw której nieustannie knuje różne intrygi, próbując rozkochać w sobie sułtana i jego pomocnika Haruna-Sahajdacznego:

Ja muszę znosić spodlenie i wzgardę?
I to czoło czerkieskie, tak dumne i harde,
Sklania przed niewiernej wzrokiem? [Fisz, s. 40]

Ze strony negatywnej możemy obserwować Żamenę także w chwili jej rozpaczy: protagonistka dowiaduje się, że Harun, którego obdarzyła swoim uczuciem, to w rzeczywistości Sahajdaczny, który na dodatek kocha Marię. Zapewne z tego powodu Żamena zabija ją, by w ten sposób zemścić się na zakochanych za swój ból i rozpacz, choć przynajmniej, że wspomniany czyn nie uśmierza jej nienawiści. Swoje uczucia do Ukrainy wyraża Maria w piosence w ludowym duchu:

Hej wy orły! Wy stepowe! Od dniewprowych progów
Lećcie szybko z Ukrainy między moich wrogów!
Lećcie szybko z Ukrainy, kraju mej młodości!
Tu, nad morzem, wkrótce spoczną biedne moje kości!
Ach! Gdy życie nieszczęśliwe spłynęło w niedoli,
Niech przynajmniej nie zostanę po śmierci w niewoli.
Weźcie! Weźcie moje kości, zanieście w krainy
Gdzie rodzina, gdzie ojczyzna, gdzie żył mój jedyny!
On was pozna – i uściśnie, Zaporoża syny!
I pochowa swą kochankę w stepach Ukrainy!
Tam mogiłę na pamiątkę wysypie na grobie!
Tam zapłaczcie nad mą dolą, mnie przypomni sobie! [Fisz, s. 24]

Osobą, która zastąpiła Marii rodziców i utraconą Ojczyznę, jest Hanna – jej opiekunka. Jest to postać, która z optymizmem oczekuje rychłego końca krwawych wydarzeń, ma nadzieję szybko ujrzeć swój kraj i spodziewa się szczęśliwego ułożenia życia. W dramacie *Konaszewicz w Białogrodzie* niemal każdy z bohaterów często wspomina Ukrainę, jak na przykład Kozak Moroz:

Kraj Ukrainy zawsze jednaki!
Tenże Dniepr siny przez stepy płynie,
Też zielenieją mogiły, lasy [Fisz, s. 13]

Z czasem taki sam żal za swoją Ojczyznę zaczyna odczuwać Maria, która już pół roku przebywała w haremie tureckiego sułtana. Jak sama mówi, „Żyłam jak kwiat stepowy w pośród mi życzliwych” [Fisz, s. 23]. Nawet podstępna nałożnica sułtanowa, Żamena, również wymienia najważniejsze cechy Ukrainy, a zwłaszcza płynący pośród stepów szeroki Dniepr:

W Dnieprze? Na stepach? Gdzie tauryckie stada
Spasają trawy pustyni bezludnej? [Fisz, s. 42]

Tej wizji zaprzecza jednak Harun-Sahajdaczny:

O, nie wierz temu! I tam są ogrody,
Żywe i piękne jak lica dziewczyny, [Fisz, s. 43]

Przy okazji warto również zwrócić uwagę na topikę ognia w omawianym dramacie, który w utworze tym odsłania co najmniej kilka znaczeń symbolicznych. Jest to nie tylko ogień zemsty, ale także symbol miłości, pełni funkcję sygnałową, oczyszcza i wymierza sprawiedliwość. Ogień czystej miłości płonie w sercach Konaszewicza i Marii, daje im siłę pozwalającą znosić spadające na nich przeciwności losu. Jest to też ogień miłości do życia, do wolności, do Ojczyzny. Można właściwie powiedzieć, iż pojęcia te są dla nich tożsame. Ogień miłości do Marii płonie w piersi Abdul-Meszida, jest to jednak zupełnie inny rodzaj płomienia, który nie daje sił, wręcz odwrotnie: to ogień, który spala. Sam Meszid nazywa go wprost ogniem piekielnym i czuje, że w niczym mu nie dopomoże:

Ale takiego płomienia
Słońce Arabji nie wznieci!
Ja czuję! To piekielny ogień w żyłach płynie!
On jak mię spali – sam dopiero zginie! [Fisz, s. 33]

W tragedii *Konaszewicz w Białogrodzie* ogień pełni też zgoła inną funkcję, którą realizuje za pomocą operowania światłem, zwłaszcza wtedy, gdy hetman daje sygnały kozakom, by ci przystąpili do szturm. W tym kontekście ogień nie ma nic wspólnego z dniem czy słońcem, jest natomiast uosobieniem pewnych demonicznych sił, podkreśla bowiem dodatkowo dominację nocy, tak charakterystyczną dla epoki romantyzmu. W rezultacie Kozacy przybijają do brzegu tuż przed świtem, a potem następują opisy nocnej przyrody.

Dramat Fisza jest w swej istocie swoistą syntezą różnych chwytów artystycznych, z których dość wyraźnie przebijają się elementy romantyzmu: uczuciowość bohaterów (wrażliwa Maria, ognista Żamena), zwrócenie uwagi na nieprzeciętnego bohatera (Ataman), liryka, obrazy przyrody. W utworze nie ma narratora, a o wszystkich wydarzeniach odbiorca dowiaduje się z ust bohaterów. Każdy z protagonistów Fisza został obdarzony szczególnymi i niepowtarzalnymi cechami charakteru: są to zarówno cechy pozytywne, jak odwaga, zapał, tęsknota za Ukrainą, wierność (Konaszewicz, Moroz, Maria), jak też i negatywne: podstępność, władczość, nienawiść (Żamena, Meszid). Wychodząc z powyższego, można zatem stwierdzić, iż dramat Zenona Fisza *Konaszewicz w Białogrodzie* w sposób organiczny wpisuje się w problematykę kręgu „szkoły ukraińskiej” w literaturze polskiej, gdzie historia i folklor oraz heroizacja kozactwa odgrywały rolę zasadniczą.

W swoim utworze zamiast formuły „kozacy” Zenon Fisz używa wyrazu „hajdamacy”, wydaje się więc, iż warto w tym miejscu podjąć się wyjaśnienia owych rozbieżności. Po podpisaniu Ordynacji kurukowskiej w 1625 roku miał miejsce ostateczny podział kozactwa na dwie grupy: do pierwszej należeli Kozacy rejestrowi, w większości zamożni, którzy na mocy wspomnianej ugody otrzymali prawa, wolności i w znakomitej większości zajmowali ugodowe stanowisko wobec władz polskich, w drugiej natomiast grupie znaleźli się Kozacy nierejestrowi, tzw. *wypiszczycy*, charakteryzujący się wrogą postawą wobec magnaterii, szlachty i polskich władz. To właśnie Kozacy nierejestrowi byli zorganizowaną i realną siłą w walce z Polską. Ograbieni i prześladowani przez przedstawicieli polskiej władzy wieśniacy, mieszczenie i kozacy uciekali na Zaporozże, gdzie już latem 1629 roku znalazło się niemal 40 tysięcy uciekinierów – nierejestrowych Kozaków, gotowych do walki o wolność społeczną i narodową³.

Jeśli chodzi o Michała Grabowskiego i Zenona Fisz, to należy zauważyć, iż mianem „hajdamaków” dość często nieprawidłowo określali oni Kozaków, a nie – jak należało – jedynie reprezentantów ruchu hajdamackiego z 1768 roku. Jak już wspomniano, hetman Petro Konaszewicz-Sahajdaczny był wybitną postacią historyczną, która walczyła po stronie króla polskiego. Z drugiej strony Taras Fedorowicz (Triasyło) walczył przeciwko wojskom polskim i przeciwko polskiemu panowaniu, jednak w kolejnym analizowanym tu utworze Fisz umieścił go w roli bohatera, sami zaś Kozacy zostali obdarzeni nadprzyrodzoną i nadzwyczajną siłą. Tytułem przykładu można byłoby przywołać scenę pojmania Romana, który jednym ruchem obala dwóch polskich śmiałków: „[...] ale silny Ukrainiec jednym zamachem ręki odtrącił dwóch śmiałków”⁴.

Pod Korsuniem

Kolejnym utworem o tematyce kozackiej była wspomniana już powieść dwudziestoletniego pisarza, nosząca tytuł *Noc Tarasowa. Powieść z dziejów Ukrainy 1624 r.*, która ukazała się w latach 1841–1842 w „Athenaeum” Józefa Ignacego Kraszewskiego. Fabułę utworu stanowi opis fikcyjnego buntu kozackiego z 1624 roku (w tym roku Taras Triasyło-Fedorowicz został hetmanem, jak podaje *Historia Rusów*, w rzeczywistości powstanie pod jego przewodnictwem miało miejsce wiosną 1630 roku).

Nie można pominąć też faktu, że rok wcześniej ukazał się *Kobziarz* Tarasa Szewczenki, zawierający utwór *Tarasowa noc*. Polski pisarz przeniósł wydarzenia

³ Zob. W. Serczyk, *Historia Ukrainy*, Wrocław–Warszawa–Kraków 2001, s. 81–83; N. Jakowenko, *Historia Ukrainy. Od czasów najdawniejszych do końca XVIII wieku*, Lublin 2000, s. 199–200.

⁴ Z. Fisz, *Noc Tarasowa. Powieść z dziejów Ukrainy 1624 r.*, Kraków 1901, s. 82.

do Korsunia i opowiadał nie o rozgromieniu całej armii Koniecpolskiego, a jedynie o likwidacji grupy 200 żołnierzy. W ten właśnie sposób polski romantyk świadomie ograniczył skalę wydarzeń. Chociaż w rzeczywistości wydarzenie, którym była bitwa 22 maja 1630 roku pod Perejasławiem, odnotowano w *Historii Rusów* (*Исторія Русів*) oraz *Historii Małej Rusi* (*История Малой России*) Dymitra Bantysz-Kamieńskiego.

Można domniemywać, iż Fisz wykorzystał wspomniane prace, ponieważ natrafiamy u niego na takie fakty, które nie pojawiają się w poemacie Szewczenki, ale są obecne we wspomnianych książkach historycznych. Właśnie w tych źródłach, zwłaszcza w *Historii Rusów*, była mowa o tym, iż bitwa zakończyła się porażką Polaków i rozgromieniem wojska Stanisława Koniecpolskiego:

Polacy ścigali z całej Małorusi, częściowo także i z Polski, i zgromadziwszy wielką potęgę pod komendą hetmana koronnego Koniecpolskiego, przystąpili do ataku na obóz kozacki, umocniony artylerią i okopami. Ataki ponawiano, a potem je odpierano, i tak było przez kilka dni, z wielką dla Polaków stratą. Nareszcie kozacy, doczekawszy się polskiego święta Bożym Ciałem zwanego, które owi świętują z bankietami i strzelaniną, posłali byli tejże nocy znaczną część piechoty do najbliższego wąwozu, po czym o świcie uderzyli z dwóch stron na obóz polski, wdarli się do niego, i zaskoczywszy wielu Polaków na poły ubranymi, wybili tych wszystkich, którzy im stawali, a resztę utopili w rzece i rozpedzili, zdobywając obóz cały, wraz z zapasami i artylerią. Po tej polskiej klęsce, Nocą Tarasową zwaną, kozacy podzielili się na wiele partii i korpusów i odeszli, posłani przez Tarasa oczyszczać wsie małoruskie (...)⁵.

U Zenona Fisz jest dokładnie odwrotnie. Polski autor stworzył utwór literacki, świadomie przeinaczając fakty historyczne. Jest wielce prawdopodobne, że właśnie to sprowokowało Michała Grabowskiego do stwierdzenia w napisanej przez siebie recenzji, że Fisz „fałszuje dzieje Ukrainy”. Takie połączenie tła historycznego z zamysłem artystycznym jest charakterystyczne dla walterscottowskiej powieści historycznej, tak popularnej w epoce romantyzmu.

Już sam tytuł powieści jest wielce symboliczny, zawiera bowiem symbolikę nocy, której romantycy nadawali olbrzymie znaczenie, gdyż dzięki ciemnościom i brakowi naturalnego źródła światła pozwalała ona wyobraźni malować najróżniejsze obrazy i motywy. Ciemność zachwycała, ciemność lękała, powodowała silne uczucie nieprzewidywalności, z drugiej jednak strony tworzyła niepowtarzalną atmosferę romantyczną. Noc to część doby w utworach Fisz. Właśnie wtedy mają miejsce dramatyczne i ciemne wydarzenia, dopiero nocą Ukraina ujawnia swe prawdziwe oblicze. Warto przy okazji podkreślić, że w *Nocy Tarasowej* znalazł się opis Korsunia widzianego nocą i za dnia:

⁵ Д. Бантыш-Льфутский, *История Русов или Малой России*, Москва 1846, s. 51–52.

Przeklęty tuman! W tej przeklętej Ukrainie i dniem nic obaczyć nie można! [...] – Ale nie inaczej! – rzekł drugi. – Wszakże ze stron licznych znam tę lichą mieszczyznę! [...] Ty tu byłeś kilkoletnim mieszkańcem, powiedz-no: nie opętał-li nas bies ukraiński?⁶

W dzień odbiorca zapoznaje się z przybyłymi do Korsunia polskimi żołnierzami, ale dopiero z nadejściem nocy dowiadujemy się czegoś o pokonanych: gdy nadchodzi wieczór, kiedy nastaje czas siły demonicznej, kiedy wszystko wokół spowija mrok. Kozaczy kryją się w szuwarach, które w wyobrażeniach ludowych kojarzą się z siłą nieczystą. Noc ukazuje prawdziwą naturę Ukraińców, natomiast dla Polaków staje się porą bezradności i poczucia zagrożenia. Oksana i Mohylski spotykają się wieczorem, obok nich płoną zapalone świece, a gdy tylko świece gasną – pojawia się Taras Trojasz, aby się na nich zemścić. Z większością bohaterów powieści – może z wyjątkiem obrazów kobiecych – odbiorca ma okazję zapoznać się nocą. W *Nocy Tarasowej* przed wschodem słońca w okolicach Korsunia zjawia się polski oddział, natomiast w *Nestorze Pisanca* narrator płynie do chutoru Nestora wieczorem, kiedy zapada już zmrok. Bohaterom-Ukraińcom noc nie przynosi nic niedobrego, przeciwnie – koi ich serca, podczas gdy Polacy nie czują się wtedy bezpiecznie.

W *Nocy Tarasowej* ważną rolę kompozycyjną pełnią epigrafy do każdego z rozdziałów. W pierwszym rozdziale autor cytuje pierwszą zwrotkę *Ukrainek* Tymka Padurry:

I	I
Na dołyni, pry Czehryni, Wid pancernych śjaje szlach – Witrek tyszkom – honyt łyszkom – Po buńczukach szach – szach!	Na dolinie przy Czehrynie Od pancernych błyszczy szlak, Wietrzyk z cicha goni trwogą, Po buńczukach szach, szach!

Jeszcze jedno motto z Padurry przytacza Fisz do IV rozdziału, co prawda tych słów nie ma w najpełniejszym wydaniu jego utworów:

Bo w nas diwki wsi motorni,
 Kosy z dowhim wołosom,
 Oczy czorni – browy czorni –
 Łyczko jak krow z mołokom!
 U nas woroh ne zahostyt,
 Nam worohom ciłyj myr,
 Szabla nasza ne popustyt,
 Zawsze maje świzyj zyr! [Fisz. 55]

⁶ Z. Fisz, *Noc Tarasowa; powieść z dziejów Ukrainy 1621 r.*, Kraków 1901, s. 9.

Natomiast do III rozdziału epigrafem są słowa pieśni gminnej „Oj buw sobi sodyj, sywyj na prziwyszczze Czatyj”, co wskazuje również na korzystanie przez Fisza z dramatu Mykoły Kostomarowa *Sawa Czatyj*.

Jeszcze ważniejszym elementem kompozycyjnym utworu są z pewnością opisy przyrody. Weźmy na przykład taki:

Nad brzegiem skalistej Rosi wąskim, ale szumnym korytem wijącej się po jarach Ukrainy leży miasto Korsuń. Fizjognomia tej posady prawdziwie ukraińska! Stepy, jary, dzikie knieje otaczają ją z każdej strony, a tuż nad miastem ogromne góry potoczysto zsuwające się do brzegów Rosi, najeżone dąbrową i kurhanami, piętnują je jeszcze bardziej ponurym rysem⁷.

Mamy przed oczyma nie tylko malownicze tło, ale też jakby kolejnego bohatera, wszak dla romantyków „szkoły ukraińskiej” Kozak-Ukraińiec był dzieckiem stepu, dzieckiem przyrody, które drzemało w sercu każdego Ukraińca, i gdzie by się on w danej chwili nie znajdował, zawsze odczuwał ów wspomniany związek z matką naturą. Oczyma bohaterów Zenona Fisza oglądamy całą wielopoziomowość owej natury.

W *Nocy Tarasowej* narrator zapoznaje odbiorcę z typowym, jego zdaniem, „prawdziwym” pejzażem ukraińskim okolic Korsunia: lasy, głębokie jary i szerokie stepy pokryte bujną trawą – innymi słowy taką harmonią natury, która zda się nietknięta ludzka stopą, ale wśród której wyrastają czarne krzyże. Mamy więc do czynienia z dwoma aspektami relacji człowiek – przyroda: albo są sobie przeciwstawiani, albo człowiek okazuje się być elementem przyrody, a ich światy współistnieją w harmonii. Przyroda jest pozornie uśpiona, jednakże gdy pojawiają się ludzie, którzy w dodatku są tu obcy, cisza wydaje im się złowieszcza. W przypadku Ukraińców nie ma mowy o żadnym przeciwstawieniu przyrodzie, albowiem „dzieci” przyrody ukraińskiej mają groźne twarze. Jest mało prawdopodobne, by ktoś obcy przebył tutejsze błota, jest wątpliwe, czy ktokolwiek zdoła pokonać Ukraińca, gdy ten znajduje się w swoim żywiole, gdzie wszystko mu pomaga i dodaje sił.

Fisz obdarza przyrodę tajemniczymi, nocnych cechami, których nie można poznać w dzień, a jedynie nocą. W pewnym sensie to sama noc, a nie jakiś specjalny ogień, oświetla otaczający pejzaż.

Płonące noce

Nocna pora jest także przedstawiona jako najlepszy czas do refleksji filozoficznych, do zanurzenia się w świat wewnętrzny. Właśnie na tle nocy autor przedstawił

⁷ Tamże, s. 5.

rozważania Tarasa Trojasza i Mohylskiego. To sprawia, że noc podnoszona jest do rangi kolejnego bohatera, jakiegoś bóstwa łaknącego ofiar. Tak oto w finałowej scenie *Nocy Tarasowej* Kozacy rozpalają ognisko, które oświetla leżące wokół ciała martwych wrogów. Można w tym miejscu przeprowadzić paralelę z dawnymi obrzędami pogańskimi. Jest wielce prawdopodobne, że i sam autor chciał w ten sposób podkreślić wyższość wiary katolickiej nad prawosławną, które jakoby istnieją w różnych światach, wszak nawet oczy Ukraińców płoną tu dzikim, piekielnym ogniem.

Warto przy okazji zauważyć, iż w *Nocy Tarasowej*, zapewne za Antonim Malczewskim, na przestrzeni całego niemal utworu Ukraina przedstawiona została w barwach pesymistycznych, jest bowiem tajemnicza, zagadkowa i demoniczna. O tym, iż twórczość Malczewskiego funkcjonowała w świadomości literackiej Zenona Fisza podczas pisania omawianej tu powieści, świadczy chyba najlepiej epigraf do rozdziału V *Nocy Tarasowej*, który zapożyczono z poematu *Maria*:

I pusto, tęskno, smutno jak gdy szczęście minie,
I pusto, tęskno, smutno w bujnej Ukrainie!⁸

Możemy skonstatować, iż Zenon Fisz organicznie wpisał swą tragedię w krąg spuścizny literackiej przedstawicieli „szkoły ukraińskiej” w literaturze polskiej XIX wieku.

W podobnej manierze walterscottowskiej, jeśli chodzi o stosunek do historii i obrazów literackich, a także użycie epigrafów i intertekstualne wykorzystanie pieśni, napisane były także inne powieści Zenona Fisza, a mianowicie *Zosia Żytkiewiczówna* oraz *Nestor Pisanka*. Autor wyraźnie podkreśla opozycję Kozacy – hajdamacy. W *Nestorze Pisance* główny bohater nie może wybaczyć synowi tego, że przystał on do kozackich „wyrodków”, którzy walczą ze szlachtą. Podobny ton pobrzmiwa także i w *Zosi Żytkiewiczównie*, gdzie znajdujemy motyw syna polskiego szlachcica, który przystał do oddziału kozaka Mamaja. W tej sytuacji możemy stwierdzić, że wymienione utwory Zenona Fisza, w których pojawiają się motywy kozackie, są jaskrawym dowodem tego, że jego twórczość literacka nie tylko opierała się na ideach ukraińskich i kozakofilskich, ale też poetyzowała przyrodę, w szczególności step i kurhany, a także samych kozaków i hajdamaków. Należy jednak w tym miejscu zauważyć, że równie ważna była też publicystyka, często zabarwiona polemicznie, która powstawała w ciągu ostatnich dwudziestu lat życia pisarza.

W powyższym kontekście warto więc zwrócić uwagę na takie zjawisko, jak „chłopomania”, czyli ruch społeczny, który na ziemiach ukraińskich zagościł w drugiej

⁸ A. Malczewski, *Maria. Powieść ukraińska*, wstęp H. Krukowska, J. Ławski, Białystok 2002, s. 152 i 182. Fisz, zmieniając pisownię fragmentów, połączył ostatni wers I *Pieśni* i ostatni wers II *Pieśni* z *Marii* Malczewskiego.

połowie XIX wieku i który charakteryzował się umownym podziałem na dwie orientacje – propolską i proukraińską. Wspomniany ruch był popularny nie tylko wśród Ukraińców, ale też i wśród sporej części polskiej młodzieży z rodzin szlacheckich Ukrainy Prawobrzeżnej, która uświadomiwszy sobie swoją odpowiedzialność wobec narodu, postanowiła zbliżyć się z ludem ukraińskim.

Zainteresowanie kozaczyzną w życiu codziennym i w literaturze stopniowo ewoluowało w kierunku gruntownych badań nad historią i etnografią kraju. Właśnie wtedy pojawiły się pierwsze polskie przekłady twórczości Tarasa Szewczenki. Jako radykalna forma polskiego ruchu wyzwolenieckiego chłopomania nie utrzymała się zbyt długo. Stało się tak głównie na skutek wewnętrznych sprzeczności, w pewnej mierze odzwierciedlających bardziej globalne sprzeczności w samym społeczeństwie polskim. Na Ukrainie przedstawicielami tego ruchu byli Wołodymyr Antonowycz, Tadeusz Rylski, Borys Poznański, Pawło Żytecki, Kostiantyn Mychalczuk. Na publiczną nagonkę na wspomnianych działaczy kultury ukraińskiej i kierowane przez ich polskich rodaków oskarżenia o zdradę Wołodymyr Antonowycz – główny ideolog chłopomanów – odpowiedział *Spowiedzią* (*Сповідь*, utwór był otwartą odpowiedzią skierowaną do Tadeusza Padalicy – Zenona Fisz), która ukazała się na łamach czasopisma „Osnowa”.

W swojej skierowanej do Antonowycza odpowiedzi Tadeusz Padalica (*alias* Fisz) zaznaczał, że ze wspólnej historii polsko-ukraińskiej warto wyciągnąć odpowiednie wnioski, aby nie powtarzać błędów przeszłości: „Daj nam Boże, żeby to wszystko, co już minęło, posłużyło nam na korzyść i jako nauka, a nie pretekst do kłótni” [„Osnowa” 1861, nr 10, s. 136–141, s. 138]. Oprócz tego warto przypomnieć, że na wszystkie zarzuty ze strony Antonowycza dotyczące negatywnych działań szlachty polskiej na ziemiach ukraińskich Fisz odpowiedział porównaniem wspólnej egzystencji z sadem owocowym, z którego Antonowycz „powybierał tylko kwaśne owoce, a te słodkie ominął” (s. 139). W swoim liście Tadeusz Padalica wypowiedział się także na temat Tarasa Szewczenki: „Wieczna pamięć temu wielkiemu geniuszowi swego narodu!” (s. 140), co samo w sobie nie wymaga już chyba dalszych komentarzy. Należy jedynie dodać, że list został napisany w języku ukraińskim, ponieważ, jak zauważał sam Fisz, „Proszę o wybaczenie, że zwrócę się do Was w języku ruskim, bo po polsku »Osnowa« nie drukuje, a po moskiewsku gadać nie umiemy” – pisał Tadeusz Padalica w liście do *Pana Władymyra Antonowycza* („Osnowa” 1861, nr 10, s. 136). Dalej Padalica kończy swą odpowiedź ponownym nawoływaniem do zgody:

nie chcemy wszczynać kłótni – broń Boże! Prosimy Was tylko o jedno: jeśli kiedyś przyjdzie do rozmowy, to mówcie otwarcie i prawdziwie. Jeśli rozmawiać będziemy sensownie, to może i zrozumiemy się wzajemnie. Takie jest nasze zdanie i taka rada. Podążając razem, szybciej i pewniej znajdziemy to, cośmy zgubili. A jeśli znajdziemy, to uchwyciemy, żebyśmy potem my Wam, albo Wy nam wytykali za pomocą przysłowia: „Lepiej z mądrym zgubić, niż z durniem znaleźć” (s. 141).

*

Przyszłym badaczom twórczości Zenona Fisza przyjdzie zmierzyć się z oceną jego twórczości, której autorem jest Leonard Sowiński:

Padalica w literaturze naszej jest zjawiskiem w całe oryginalnym. On pierwszy przerobił w pismach swoich z ukraińska, po polsku, nie urojonym, nie idealnym, ale rzeczywistym, zwyczajnym językiem powszedniego żywota. Widoczne jest w dziełach jego przejęcie się wzorami pisarzy małosyjskich, a w szczególności Osnowianenki i Gogoła. Fisz przekładał, że tak powiemy, ukraińszczyznę pomienionych autorów na język polski: pisma jego stanowią jakby ogniwo łączące obie literatury pokrewne. W żadnym atoli razie nie może tutaj być mowy o naśladowaniu rozmyślnem. Zaznaczamy jedynie wpływ niezawodnie silniejszy od wywartego nań przez literaturę rodzimą⁹.

Bibliografia

- Fisz Zenon Leonard, *Konaszewicz w Białogrodzie*, Warszawa 1845.
- Korotyński Władysław, *Zenon Fisz (Tadeusz Padalica)*, „Tygodnik Ilustrowany” 1870, nr 155.
- Kyrzczak Roman, „*Tarasowa nycz*” T. Szewczenka i „*Noc Tarasowa*” Zenona Fisza, „Zbirnyk prac [...] naukowej Szewczenkowej konferencji”, Kijów 1966, t. 14.
- Kwapiszewski Marek, *Późny romantyzm i Ukraina. Z dziejów motywu i życia literackiego*, Warszawa 2004.
- Łesiów Michał, *Ukraińskie elementy językowe w twórczości Tadeusza Padalicy, w: Ukraina. Teksty i konteksty. Księga jubileuszowa dedykowana Profesorowi Stefanowi Kozakowi na siedemdziesiątą rocznicę urodzin*, red. B. Nazaruk, W. Sobol, W. Aleksandrowycz, Warszawa 2007.
- Padalica Tadeusz (Z. Fisz), *Powieści ukraińskie*, wstęp P. Chmielowskiego, Warszawa 1898.
- Sowiński Leonard, *Zenon Fisz (Tadeusz Padalica). Zarys biograficzno-literacki*, „Kłoso” 1878, nr 670–674.
- „*Szkoła ukraińska*” w romantyzmie polskim. *Szkice polsko-ukraińskie*, pod red. S. Makowskiego oraz U. Makowskiej i M. Nesteruk, Warszawa 2012.

⁹ L. Sowiński, *Zenon Fisz (Tadeusz Padalica). Zarys biograficzno-literacki*, „Kłoso” 1878, nr 674, s. 348.

ZASADY WYDANIA

1.

Podstawowym zamierzeniem edytorskim – z uwagi na fakt nieobecności twórczości Zenona Fisza w recepcji naukowej oraz czytelniczej świadomości – było wydanie nie tyle reprezentatywnego wyboru, ile nade wszystko jak najpełniejszego zbioru tekstów literackich. Dlatego też w niniejszym tomie zebrano możliwie najobszerniejszy zbiór tekstów, ilustrujących różnorodność pisarskich zainteresowań artysty. Dokonano też trudnego, ale ze względu na możliwości wydawnicze, koniecznego wyboru. Z *Opowiadań i krajobrazów* włączono do niniejszego tomu dwa teksty wyróżniające się kształtem (*Zosia Żytkiewiczówna* i *Nestor Pisanka*); podobnie zrobił Piotr Chmielowski, wydając te opowiadania w 1898 roku pod wspólnym tytułem *Powieści ukraińskie*. Nie oznacza to oczywiście, iż pozostałe partie *Opowiadań i krajobrazów* pozbawione są walorów artystycznych i poznawczych.

Redakcja planuje pełne, osobne wydanie *Opowiadań i krajobrazów* w Naukowej Serii Wydawniczej „Czarny Romantyzm”. Dzięki wyborowi można prześledzić proces formowania się spójnego literackiego obrazu romantycznej Ukrainy z perspektywy wzajemnie dialogujących ze sobą opowiadań. Powinno to także uatrakcyjnić lekturę i zachęcić do dalszych badań nad twórczością pisarza. Do tomu nie włączono *Listów z podróży*, które stanowią odrębny i zupełnie wyjątkowy korpus tekstów, zasługujący na samodzielne wydanie. Dzięki takiemu edytorskiemu wyborowi tom zyskał czytelny kształt. Tom rozpoczyna autobiograficzny tekst *Parę obrazków, parę myśli. Wspomnienie*, który pozwala zrozumieć wyjątkowość zauroczenia Ukrainą u Fisza. Na część pierwszą składają się (w kolejności chronologicznej) trzy opowiadania ukraińskie: *Noc Tarasowa*, *Zosia Żytkiewiczówna* oraz *Nestor Pisanka*. Taki układ pozwala obserwować proces rozwijania się nie tylko warsztatu pisarskiego, ale także pogłębiania i problematyzowania zagadnień polsko-ukraińskich. Na część drugą składają się teksty o charakterze obyczajowo-społecznym: *Profile*, *Pokojówka*. *Szkic obyczajowy*, *Kontrakty kijowskie*, *Pamiętnik legitymującego się szlachcica*. Umożliwiają one dostrzeżenie w Fiszu także pisarza o talencie narracyjnym.

Ważny dla recepcji twórczości Fisza jest fakt, iż dzięki cyfryzacji wszystkie teksty Zenona Fisza, łącznie z kompletem czterech tomów „Gwiazdy”, są dostępne – pod jednym adresem elektronicznym – w postaci cyfrowej na stronach Federacji Bibliotek Cyfrowych.

2.

Teksty pomieszczone w tomie publikujemy za ich pierwszymi wydaniem:

1. *Noc Tarasowa. Powieść z dziejów Ukrainy 1624 r.*
 - a) „Athenaeum” 1841, t. 6 – 1842, t. 2;
 - b) Kraków 1902.
2. *Parę obrazków, parę myśli. Wspomnienie Tadeusza Padalicy (Wyjątek):*
 - a) „Athenaeum” 1844, t. 5.
3. *Pokojówka. Szkic obyczajowy:*
 - a) Wilno 1850.
4. *Pamiętnik legitymującego się szlachcica:*
 - a) „Biblioteka Warszawska” 1855, t. 1;
 - b) „Nowiny” 1855, nr 33–38.
5. *Zosia Żytkiewiczówna. Powiastka ukraińska:*
 - a) „Biblioteka Warszawska” 1855, t. 4;
 - b) Wilno 1856, w: *Opowiadania i krajobrazy Szkice z wędrówek po Ukrainie*, t. 1;
 - c) Warszawa 1898, w: *Powieści ukraińskie. Zosia Żytkiewiczówna. Nestor Pisanka*.
6. *Nestor Pisanka. Opowiadanie z czasów ostatniej koliszczyzny:*
 - a) fragmenty pod tytułem: *Nestor malowany*, „Dziennik Literacki” 1853, nr 10–14, 16–18;
 - b) Wilno 1856, w: *Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrówek po Ukrainie*, t. 2;
 - c) Lwów 1883;
 - d) Warszawa 1898, w: *Powieści ukraińskie. Zosia Żytkiewiczówna. Nestor Pisanka*.
7. *Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrówek po Ukrainie* [tu pierwodruk pozycji nr 5 i 6]:
 - a) pierwodruki fragmentów m.in. w: „Dziennik Warszawski” 1853, nr 221–245 (z przerwami);
 - b) Wilno 1856, t. 1–2.

3.

- Pisownię, ortografię i interpunkcję tekstów zmodernizowano według zasad obowiązujących dla utworów XIX-wiecznych.

-
- Przypisy od Redakcji opatrzone cyframi arabskimi: 1, 2, 3... Przypisy od autora oznaczono |*, |**...
 - W niektórych utworach pozostawiono charakterystyczną dla Fisza pisownię dużą literą, na przykład: *Kontrakty*.
 - Nie zmieniano sposobu zapisu fragmentów podanych przez Fisza w języku ukraińskim.

O ile było to możliwe, starano się zachować wszystkie osobliwości języka pisarza, który wplatał w swą prozę całe dialogi ukraińskie lub elementy żargonu żydowskiego. Fisz posługiwał się chętnie rzadkimi (już w XIX wieku) słowami, tworzył złożone, ekspresyjne konstrukcje składniowe. Miał bardzo indywidualne reguły stosowania interpunkcji. Starano się te osobliwości zachować.



WIDOK PARKU I PALACU W KORSUNIU.

Korszyn Szewczenkowski – widok na park i pałac (rycina z 1864 roku)

Zenon Fisz

OPOWIEŚCI
UKRAIŃSKIE



Iwan Welc (1866–1926), *Ukraiński pejzaż* (rok nieznan)

PARĘ OBRAZKÓW, PARĘ MYŚLI. WSPOMNIENIE TADEUSZA PADALICY (WYJĄTEK)

O, ty! Młodości mej dniu radosny,
Jakichże wrażeń nie wziąłem z siebie!
Jakichże chmurek po moim niebie
Nie przepędziłeś burzami wiosny!¹

I.

Jeszcze nigdy nie przepędzałem codziennie tak spokojnie – samotnych kilka godzin, żyjąc na wsi, jak dziś, kiedy mieszkam w jednej z najszumniejszych i najpiękniejszych stolic świata. Skoro nadpływa wieczór – oto chwila moich rzewnych dum, moich wspomnień o przeszłości, o Ukrainie, o wszystkim, co dalekie i miłe, a co może dlatego i miłe, że dalekie. Są to godziny własnego rozpatrzenia się w sobie. Dziwna! Jak różny ich koloryt! Jak różne wpływy!

Częstokroć łapałem na podobnych uczynkach siebie i w chwili rozważki, tej zimnej rozważki, co to z najobojętniejszą miną, jak doświadczony anatomik², kiedy płata wnętrzności trupa, przebiera je, rozpatruje i wyciąga wnioski z ich stanu – zapytywałem mimowolnie: skąd pochodzi ta różność chęci, urojeń? Gdzie trafić na pewnik rozstrzygający zapytanie: jakiej mi drogi jać się należy, wchodząc na obszar tej pustyni, którą my szumnym zowiemy światem!

I tak na przykład: kiedy, bywało, siedziałem za zielonym stolikiem, otoczony sądowymi protokołami, żurnalami, odezwami, raportami itp., kiedy znużony umysł, wdroywszy się już machinalnie w tę udeptaną sądową formułę, ledwie że nie instynktownie ciągał myśli i pióro koleją wskazaną przez nawyknięcie, porządek i prawo – obudzały się często wtedy we mnie gniewne, tęskne uczucia i jakaś tajona boleść czy skarga na los tak niezazdrośny! Gniewałem się sam na siebie, na obojętność własną...

¹ Wiersz Fisza (podobnie jak inne wiersze w tym utworze).

² *Anatomik* – dawn. specjalista w zakresie anatomii.

– Zapominasz się – szeptał mi rozum* – ukołyszany jednostajnością drzemiesz wyraźnie, a szkoda! Gdy tak przedrzemiesz życie. Przypomnij no tylko sobie: ile to już od tej a tej epoki upłynęło czasu? Co byś to już mógł zyskać, gdybyś...

– Gdyby co? – pytałem niechętny.

– Gdybyś na przykład porzucił te strony, które, jak sam widzisz, nie zapewniają ci żadnych widoków na przyszłość – a poszedł w światy, wiesz, w ten śliczny, szumny świat, gdzie tyłu robią majątki i imię!

I dodał do tych słów tak wyrazistą minę, tak dziwny gest, że mi się wyobraziło w jednej chwili, iż patrzę na złocone ściany, że siedzę w adamaszkowym krześle, że ozdobiony jestem orderami, że roje pochlebców i służalców otaczają mię dokoła – słowem: że stoję na pomyślności szczycie.

W mgnieniu oka znikło to ułudne widzenie – a jakby na przekorę i dla tym dotkliwszego mię upośledzenia obudziłem się, trzymając pióro w ręku, a przede mną leżał *Nastolnyj Żurnal na 1841 god*, i ja wpisywałem jakieś doniesienie, jakiegoś folwarku o tym, że w ciągu tego roku przyjęto do zapaśnego magazynu³ żyta czwartę 10 i czwteryków⁴.

Dosyć było jednej takiej lub tej podobnej myśli, abym wpadł w jakiś nieokreślony smutek, roztargnienie i przetrwał tak dzień cały. Zwykle stawałem się obojętny na me zajęcia, wzdychałem i opuszczałem komnatę.

Jeśli to było latem, szukałem wnet samotnego ustronia; znalazłszy je, oglądałem się zwykle, czy też nie mam świadka, czy kto nie śledzi moich kroków? O, tego przypadku bałem się nadzwyczaj! Było to już w moim charakterze być pod tym względem skrytym. Nikt, nikt, nie wyłączając nawet moich istotnych przyjaciół, nie domyślał się, nie wiedział, co się działo w mej duszy. Tylko tajemnica miała dla mnie urok; bo też, mówiąc szczerze, tajemniczość jedna może, co się krewni⁵ niejako ściślej z poezją, z tym jej cudnym urokiem, z tą jej dziewiczą czystością, w które zwykle geniusz poety umie ubierać swe utwory, a my pod tą barwą pojmować jego myśli.

* Od czasu przeczytania *Frenofagiusza i Frenolesla*, znanej powiastki P. Szyrmer, zaszła w moim wyobrażeniu wielka zmiana. Przedtem, ile razy wprowadzałem na scenę rozum, zawszem go wyobrażał albo sędziwym staruszkiem, albo jakąś nieokreśloną duchową istotą. Dziś, ani weź – nie mogę! Na samą o nim wzmiankę, staje mi przed oczyma jakiś w czarnym fraku, o cienkich nóżkach z kapeluszem w ręku jegomość, z okropnie suchą a wyrazistą twarzą. Szydersko patrzy na mnie, przeciąga kościstą rękę, rad zdaje się śmiać i z błogich chwil moich, i z męczarni. Nie mogę zaprzeczyć wprawdzie, żeby ten pan nie był przyzwoity, ale ma coś, co mię odstręcza od niego. To wielka kwestia: czy ma on tylko serce?... [*Frenofagiusz i Frenolesty* – powieść Ludwika Szyrmera (1809–1886), opublikowana w 1843 roku pod pseudonimem żony pisarza Eleonory Szyrmer – Red.]

³ *Zapaśny magazyn* – spichlerz zbożowy, z którego podupadli włościanie mogli otrzymywać wsparcie albo w czasie głodu, albo na zasiew.

⁴ *Czteryki (czwarty)* – miary pojemności ciał sypkich obowiązujące w zaborze rosyjskim.

⁵ *Krewnić się* – przen. dawn. wchodzić w związki pokrewieństwa.

A ja, jeśli i był poeta w życiu – to nigdy z ludźmi, ale za to prawie zawsze z naturą. Kiedym przelatał konno samotne jary i śliczne dąbrowy, kiedym gdzieś po czaharach przedzierał się za kuropatwą, szedł na polowanie przed świtem lub powracał z niego późno już, w nocy, między łanami zboża. – O, to było moją rozkoszą! Moim najżywotniejszym pokarmem wyobraźni! Ja nie znam piękniejszej poezji mojego życia.

Ile mi razy zdarzyło się słyszeć rozmowy młodzieży, a nawet i dojrzałych już ludzi, zwykle przywykli oni mianować poezją życia młodość, którą oznaczyli awanturami, hulanką, trzpiotalstwem i miłostkami różnego rodzaju. Jedni wspominają te chwile z uśmiechem zadowolenia, z przekąsem niejako do terażniejszej młodzieży; drudzy dodają jakby z politowaniem, ale w duszy z chlubą:

– Co też to było za głupstwo! Proszę uniżenie! Gdyby to na przykład tak się zdarzyło teraz, kiedy mam dojrzały rozum?

Przypominam sobie, że miałem jeszcze wtedy diable niewyrobite przekonanie, ale była gorliwa chęć korzystania z przykładów cudzych, zwłaszcza zyskujących piękne u obecnych zdanie. W miarę tego, jak mi przypadały do gustu czyjeś sprawy, starałem się w podobną wstępować kolej; nie na długo zadowolniło mnie to jednakże. Natura ciągnęła mnie na inną drogę jak wilka do lasu. Później znów jakiś inny obrazek wpadał mi w oczy, potem znów coś nowego – i tak kołysałem się ciągle na skrzydłach napowietrznych ideałów moich.

Nim-em się uczułem wyższym wewnątrz od tego roju tegoczesnej, żyjącej dziś bez celu młodzieży, tymczasem przykład ich zgubne wywierał na mnie wpływ. Zostałem srogim sędzią najdrobniejszych postępów moich. Zaślepiiony rozum potępiał mnie dotkliwie przede mną samym za to, czemu nie staram się odpowiadać wymaganiom świata! Gdy serce, czułem, jak silnie opierało się jemu. Ono, przez niewytłumaczoną przewagę, wyzwało mnie z zimnych szponów jego, prowadziło na łono samotnej natury – tam czuwało nade mną, tam mi niosło pociechę, pozwalało śmiać się i bawić, słowem: pieściło i pielęgnowało, jak pielęguje i pieści niekiedy matka gdzieś w zakątku sierotę – dziecko, gdy srogi ojczym albo karze je boleśnie, albo ciężką obarcza pokutą.

Im częściej zmuszony byłem ocierać się z ludźmi, tym bardziej dręczyło mnie wewnętrzne przekonanie o niedostatkach przymiotów tak potrzebnych na teatrze tego świata do właściwego odegrania swej roli. Przeciwnie, ile razy uspokajało mnie ciche w domu rodziców życie, ile razy zbliżałem się z naturą, tym miłsze były mi te chwile; kochałem je tajemnie, ale szczerzej.

Widocznym było jednakże, iż rozum odbierał przewagę. Jego ciężka łapa ciążyła na mózgowicach wszystkich tak nazwanych starszych a doświadczonych ludzi. Jego poważna toga miała być wzorem do przywdziania tegoż kroju szaty; stąd nic dziwnego, że i ja poddać się musiał pod ciężkie jego jarzmo. Wpręgając do żelaznego pług, on mi mówił, że za tę pracę oczekuje mnie plon bogaty

w przyszłości. – Kiedy! pytałem. – Jesienią, odpowiedział. – Jesienią! krzyknąłem; i jaż to muszę pracować na to rok cały i te dni, tak śliczne wiosną, dzisiaj przepędzić bez rozkoszy może droższej nad plony dalekiej i niepewnej przyszłości!...

Ale cóż było począć? Więzy były mocniejsze nad me siły. Rwałem je, rwałem, na koniec zmęczony, splakany, spocząłem i zacząłem dumać nad sobą. Gniew i żal znikły, zostały rzewność i smutek. Roztrząsając już bez namiętności powód do gniewu, wyznałem przed sobą, że winny. Ten stary Jezuita⁶ miał za sobą prawdę. Lepiejże od dziś, jak mrówki Krasickiego, pracować zacznę ciężko, wyrzeknę się wszystkich przyjemności, narażę się na wszystko, ale za to w starości jak to miło będzie, myślałem sobie, mieć własny kątek, wygody życia, ciepły kominek i dobrą kawę ze śmietanką i wysmienite sucharki! Wtenczas to i zapoluję spokojny, i użyję wszystkich rozkoszy życia i nikt mi nie powie: *strzelasz bąki tylko*⁷.

O! Jakże oszukiwałem się! Jeszczem się nie zestarzał, a już czuję fałsz tego zdania. Jaż to odkładałem wszystkie przyjemności na zimę? A gdzież dłoń gorąca, co by je pochwycić namiętnie i ogrzać mogła? A skądże dostanę tych żywych kolorów, którymi mógłbym natenczas wlać życie w obrazy moje? Jakim sposobem na koniec, odnowić mógłbym te cudne idee młodości, co już dziś, już dziś, za dziesiąte uleciały morza!...

Po marzeniach, co się niekiedy do późnej przeciągały pory, wracałem zwykle do domu rodziców spokojny, ale smutny lub zniechęcony. To zależało od natury marzeń. Czasem, kiedym przerzucił i jeneralskie epoety, i ordery, i siedział w senatorskich krzesłach, tak mi potem było jakoś dziwnie dotykać naszego szlacheckiego stolika, patrzeć na schludny wiejski domek, słyszeć ryczenie powracającego z pola bydła, że często znów wracałem w ustronie; ale niekiedy bywały i takie chwile, że przenosił ciszę i swobodę wiejskiego życia nad wszystko: zadowolniał mię więc ten śliczny gospodarski obraz i lubiłem rozpatrywać się w jego szczegółach z oddali i tak, abym obejmując wdzięk jego, nie wchodził jednakże do składu całości.

II.

O, Ukraino! O, wy stepy czyste!
 Jakże czarowne twe pustynne kraje,
 Gdy wiosna szaty przywdzieje kwieciste
 I tłumy ptastwa napełnią twe gaje!
 Tam ciche lasy, tam stawy po jarach,
 A ponad wodą rozsypane sioła.

⁶ *Jezuita* – członek męskiego papieskiego zakonu apostołskiego założonego przez Ignacego Loyolę.

⁷ *Strzelać bąki* – dawn. tracić czas na dziecinną zabawę bąkiem.

Łanami zboża obległe dokoła,
 Szumią pasieki w rozkwitłych czaharach.
 Jak stróże stepów – rozpierzchnę kurhany
 Widnieją w polu postacią złowrogą
 I smutne krzyże nad rozstajną drogą
 Patrzą na obszar ukraińskiej strony
 Wyniosłem czołem. Tam orzeł wzniesiony
 Przegląda stepy, sioła i bezdroża,
 A gdzieś znad jaru posępne mi tony
 Niosą się z echem dumy Zaporozża⁸.

Od lat ośmnastu zaczęło się właściwie moje myślenie i więcej mające dla mnie interesu pod względem działalności życia. Nie mogę zamilczeć jednakże, iż uprzedni tryb jego wiele wpłynął i na przyszłość moją. Naprzód wyznać muszę otwarcie a szczerze, iż uczyłem się, czyli, jak mówią u nas, *edukowałem się*, to jest: *na szkolnej ławce i z musu*, tylko do lat trzynastu. Odtąd, przez wpływ różnych okoliczności, już ciągle prawie zostawałem w domu, wyjąwszy półroczną wizytę u Wujaszka, skąd to tylko pamiętam dobrze, że miał febrę bardzo dokuczliwą i Babunię bardzo starą. Pierwsza mię męczyła długo nie wiem za co, ale druga lubiła za skromne moje prowadzenie się, za czytanie jej co dzień *Psalmów*⁹, *Koronek*¹⁰, a podczas wielkiego postu *Rozmyślań o męce Pańskiej*¹¹ – za co mi też bywał często nagrodą (z chlubą mogę powiedzieć) ciepły pierożek z powidłami.

Co wy teraz myślicie o mnie, Wielmożni Czytelnicy, gdy oto raptem dowiadujecie się, że ten, co się ośmiela częstować was tak śmiałą biografią swego własnego życia, nie tylko, że nic nie ma za sobą, co by jego postępek usprawiedliwić mogło, ale nawet nie był w Uniwersytecie, co mówię: nie skończył szkół gimnazjalnych, nie robił na tablicy geometrycznych figur, nie uczył się nauki moralnej o tym, że „nie zwycięży hetman, nie uleczy lekarz, nie zaprowadzi przewodnik, jeśli hetmana żołnierz, lekarza chory, przewodnika błędzący – słuchać nie będą!”.

Ach, prawda! Prawda! Jakiego zdania spodziewam się od was – mówili mi to samo i rodzice, i to nie dziesięć razy! Mówili, pamiętam, kiedym oklapany¹² błotem, wracał w marcu od szumiącej po rowach wody, na którąm puszczał papierowe baciki¹³;

⁸ Utwór prawdopodobnie Fiszka.

⁹ *Psalm* – uroczysta pieśń religijna ze zbioru psalmów zawartych w Starym Testamencie.

¹⁰ *Koronka* – forma modlitwy polegająca na powtarzaniu w określony sposób i określoną liczbę razy różnych części różańca.

¹¹ *Rozmyślenia o męce Pańskiej* – inaczej: *Gorzkie Żale* (nabożeństwo pasyjne w Kościele katolickim).

¹² *Oklapany* – ochlapany.

¹³ *Puszczać papierowe baciki* – puszczać na wodzie papierowe kokardki (ukr. бантики).

mówili, kiedym zziajany łapał chrząszcze wieczorem około domu – mówili: Ach – mówili! Ale cóż! Nic to nie pomagało! „Oni swoje, a ja swoje” – jak powiedział Książnin¹⁴. – Ależ bo i bawić się było wtenczas lubo! Gdyby mógł mię kto upewnić, że i dziś jeszcze zabawić się tak choć chwilkę mogę – o, dalibóg! Porzuciłbym wszystko, nawet tę bazgraninę, i poleciałbym – poleciałbym!

To dziwna, że kiedy wszyscy prawie żałują przepędzonej w próżniactwie młodości, ja jeden wspominam ją błogo! Na przykład: co bym dał dziś za to, gdybym z taką swobodą jak kiedyś mógł leżeć na lewadzie¹⁵ do góry brzuchem i patrzeć przez całą godzinę na ciągnące po szafirze obłoki! Albo kiedy, bywało, unikając argusowych¹⁶ ekonomskich oczu¹⁷, wpadnę w łan żyta i lecę, płynę ze świstem, z szumem, jak łódź po rozkołysanych, po złotych falach kłosów!

Jest to swoboda serca; serca, które jeszcze nie powiedziało: weź mię, panie rozumie, w swoje szpony, bez ciebie zanadto jestem głupie. A cudzy rozum – była to rzecz obca; o tyle się go słuchało, o ile się czuło, że jest obecnym przy jakimś czynie.

Nie zawsze jednakże lubiłem podobne swawole; lubiłem namiętnie i książki, lubiłem obrazki i kopiowałem je chciwie. Za to zwykle chwalono mię, zachęcano, ośmielano, by nie zrażać się pierwszym niepowodzeniem; mniemano, że to jest mus wewnętrzny, wypływający z własnego o próżniactwie moim przekonania. Mylono się jednakże. I gdzież, i kiedy widziano dziecko, ażeby podobnego dopuściło się głupstwa? To była chęć, pasja wewnętrzna, z którą się już zrodził, którą żywiła szlachetna zazdrość, podtrzymywała dziecinna chluba. Dla mnie czytać, pisać, rysować, było toż samo, co biegać, strzelać z łuku, wydzierać wróble¹⁸.

Równocześnie z tą epoką przejawiała się też we mnie chęć do pisania wierszy; chęć niestłumiona, ale razem tak konieczna, jak wyrzynanie się zębów. Szczęściem i dla mnie, i dla was wszystkie te genialne utwory użyte zostały na oklejenie okien i wielkonocne baby, z czego przynajmniej współcześni mieli niezaprzeczoną korzyść. Ale najdziwniejszym w nich było to, że małpiarską nosiły na sobie cechę. Kiedym przeczytał dzieła Karpińskiego¹⁹, to przez całe dwa miesiące pisałem i ja sobie coś na kształt *Sielanek*²⁰, ale że nie miałem Justyny, więc zawiązałem romans z jedną

¹⁴ *Książnin* – Franciszek Dionizy Książnin (1750–1807), wybitny pisarz polskiego Oświecenia, reprezentant rokoka i sentymentalizmu.

¹⁵ *Lewada* – łąka.

¹⁶ *Argusowy* – czujny, baczny, podejrzliwy.

¹⁷ *Ekonomskie oczy* – tu: nadzór zarządzającego niegdyś gospodarstwem i robotnikami w polu.

¹⁸ *Wydzierać wróble* – łapać wróble na dachu.

¹⁹ *Karpiński* – Franciszek Karpiński (1741–1825), polski poeta epoki oświecenia, pamiętnikarz, dramaturg, tłumacz, publicysta, moralista, twórca i główny przedstawiciel nurtu sentymentalnego w polskiej liryce.

²⁰ *Sielanki* – tytuł zbioru utworów Franciszka Karpińskiego.

panną Karoliną, co mieszkała przez mostek tylko, do której mógłbym skierowywać zawsze ostatnie zwrotki. Moje papierkowe afekta²¹ skutecznie, ile przypominam, miękczyły jej serce, ale to wszystko skończyło się na niczym. Już to samo dowodzi, że nie musiał mieć wtedy więcej nad lat piętnaście.

Potem wpadł mi w ręce Trembecki²². Trembecki leżał całe półrocze pono zawsze na moim stoliku; nauczyłem się więc prawie całego na pamięć, a szanownej jego facjaty²³ odrysowałem przynajmniej czterdzieści egzemplarzy. Ten mię znów przerobił na swego. Strzeliste *Ody* polały się potokiem; w braku treści brałem historyjki z różnych innych książek i przerabiałem je na wiersze *à la Trembecki*.

Tak głębiałem prawie wszystkich pisarzy stanisławowskiej epoki²⁴. Ponieważ o głupich nigdy nie trudno, znaleźli się i wtenczas tacy, którzy uwielbiali mą poetyczną zdolność, chociaż dziś gotowym przysiąc, że nie wiedział wtedy, co to jest poezja!

Ale najlepszym pono, najtreściwszym sędzią tych arcydzieł był ekonom moich rodziców. Kiedym czytał mu, bywało, całe pół godziny, jaką *Ode* czy *Balladę* i na koniec pytałem z tryumfującą miną:

– No, a co? Jak myślisz, panie Walenty: źle może?

– Et, sobie – odpowiadał mi zwykle w ukraińskim języku – *wono to harno, niczoho kazaty, ale jakby na moja dumku, to ne chotiw by ja isty z ciei praci chliba! U nas, panie, w Kanewi, iszczę to, jak ja buw kołyś w szkołach na nauci, to takji buw rozumnyj dyrektor, szczo to strach! Buwałot, jak napysze dla jakiego tam skubenta, powinszowanie na Nowy Rok albo na jakie święto, to tak rodzice słuchają, aż trusiaćsia. Nu taj szczo wy skazały? Zaczaw potim pyty, ożenywsia z mužyczkoju, taj i win, i nauki johu pojszły marne: O, ti wierszi, widzi pan, weszcz duże paskudna! Łuczsze pójść do wojska albo do sądu, ta tam służyty, to pan jej Bohu bude czotowikom²⁵.*

Ech, ten pan Walenty, był to jedyny człowiek! Szczerem go kochał za jego prostotę, oryginalność. Jaka szkoda, że nie umiałem korzystać z niego w swoim czasie. Dziś byłby to typ rzadki do powieści z XVIII wieku. Gdybym go potrafił oddać

²¹ *Afekta* – czułości, miłość, sympatia.

²² *Trembecki* – Stanisław Trembecki (1739–1812), polski poeta okresu oświecenia, reprezentant klasycyzmu jako prądu literackiego, sekretarz królewski; dramatopisarz, tłumacz i historyk.

²³ *Facjata* (*facyjata*) – dawn. twarz.

²⁴ *Stanisławowska epoka* – nazwa okresu, w którym panował Stanisław August Poniatowski.

²⁵ *To ładne, nie ma co mówić, ale jakby na mój rozum, to nie chciałbym jeść z tej pracy chleba! U nas, panie, w Kanewie, jeszcze jak chodziłem do szkoły po naukę, to był tam taki mądry dyrektor, że strach! Bywało, jak napisał jakiemuś studentowi życzenia na Nowy Rok lub z okazji jakiegoś święta, to rodzice aż się trzęśli. Co byście powiedzieli? Zaczął potem pić, ożenił się z chłopką, tak więc on i jego nauki poszły na marne. O, te wiersze, widzi pan, rzecz bardzo paskudna! Lepiej pójść do wojska albo do sądu, tam służyć, to, jak Bóg miły, wyjdzie się na ludzi.*

naturalnie, niezawodnie, że pochwaliby mnie za to sam nawet pan Grabowski²⁶. Żal, żal, żem nie mógł go przekopiować w owym czasie. Teraz już go nie ma; wiele z jego opowiadań uroniła wiarołomna pamięć, ale wiele i żyje w niej jeszcze. Przy każdym prawie wspomnieniu o moich latach młodych jego obraz wiąże się z jej dziejami. On to mnie w prostocie swojej nauczył kochać ciche wiejskie życie i przyzwyczaiał do natury. Ja przekonany jestem, że żaden guwerner nie dokazałby tego, bo ten by mnie zmuszał uczyć się (a tego nie zawsze się chce uczyć, czego uczyć), a tamten ani troszczył się o to, ani on wiedział, jak silny wpływ wywierały na mnie jego opowiadania.

Ten staruszek był członkiem jednej dawniej zamieszkałej rodziny na Ukrainie. Zasady miał najlepsze, serce dobre, rozum praktyczny tylko, bo kaniowskie szkoły opuścił z drugiej klasy. Po śmierci rodziców zostając w stanie biednym, jął się roli, a pracując na niej ciężko, z samej natury zajęcia musiał zbliżyć się z pospółstwem, a oderwać się od wyższej klasy. Takie życie przerobiło go wprędce na innego człowieka; już przesiąkł zwyczajami i nabrał wyobrażeń, które żyją u ukraińskiego ludu, a o przeszłości lubił dumać i rozpowiadać tylko. On to mnie nauczył kochać Ukrainę, on to mi opowiadał jej dzieje i miejscowe przygody z lat dawnych.

Jego pokój, jego sposób życia podobały mi się zawsze bardzo. W długie, zimowe wieczory biegłem do niego na pogadankę i przesiadywałem do późnej pory. Usiadaliśmy zwykle przed palącym się ogniem: ja z nożem, naprawiając sieć na kuropatwy; on z dłutem, wyrabiając jakąś częśćkę do sań lub żłobiąc łyżkę, co ulubionym było jego zajęciem. Często się zdarzało, że sprowadzony rymarz, szlachcic lub szewc z wioski Czubowki²⁷, zajmowali się robotą w jego stacji, a nawet i chłop wartownik, jeśli rad był bając o dawnych czasach, przychodził nocą od toku – i ci więc przyłączali się do naszego towarzystwa (które, jak to i sami moi panowie widzicie, wcale nie było na paryską stopę). Ja lubiłem zagaic posiedzenie i miasto suchej rozmowy o młockach, paszy dla bydła, drwach dla domu starałem się zawsze skierować ją na przeszłość, na pogadankę o Koliszczyźnie²⁸, o motroneńskim Monasterze²⁹, o Niżu³⁰, o białozorskich borach³¹ i tym podobnych przedmiotach. Nieznacznie – nieznacznie –

²⁶ *Pan Grabowski* – Michał Grabowski (1804–1863), wybitny krytyk, powieściopisarz, publicysta romantyczny, związany z ziemiami ukraińskimi.

²⁷ *Czubowka* – stacja kolei żelaznej na trasie Odessa–Podwołoczyska, w dawn. guberni chersońskiej.

²⁸ *Koliszczyzna* – wystąpienie ruskiego chłopstwa pańszczyźnianego, hajdamaków i Kozaków przybyłych z podległej Imperium Rosyjskiemu Sycy Zaporoskiej, skierowane przeciw szlachcie polskiej.

²⁹ *Motroneński Monaster* – Motroniński Monaster Trójcy Świętej, położony we wsi Melnyky w obwodzie czerkaskim. W okresie poprzedzającym koliszczyznę ściągała tu miejscowa ludność pragnąca zbrojnie wystąpić przeciwko unitom.

³⁰ *Niż* – terytorium nad dolnym Dnieprem leżące poniżej tzw. porohów; miejsce schronienia dla zbiegów oraz osiedlania się przybyszów z centralnej i wschodniej Rzeczypospolitej.

³¹ *Białozorskie bory* – lasy wokół Jeziora Białego, położonego w rejonie ujścia Dniepru, w obwodzie chersońskim na Ukrainie.

zapuszczaliśmy się coraz dalej a dalej w przeszłość i dopiero zostałem ucieszony zupełnie, gdy widziałem, jak się rozgadano w najlepsze.

Tak zwykle ciągnęły się rozmowy do północy. Natenczas marzący, zamyślony, powracałem do mojej stacji, umówiwszy się uprzednio czy o jutrzejszym polowaniu, czy o przejażdżce do lasu lub o zasadzce w toku³² na zające.

Latem nasze rozmowy toczyły się zwykle na wózku, kiedy jechaliśmy do lasu albo w pole: on do kosarzy lub siewaczów, ja ze strzelbą na kaczki albo pod cieniem drzew w dąbrowie, albo w kureniu pasiecznika³³.

– A co, panie Walenty – mówiłem doń z wieczora, kiedy rozdysponowaną już była nazajutrz robocizna i on szedł spać pod magazyn. – Gdzie będziesz jutro?

– O, ja jutro wyjeżdżam *duże rano, duże rano!*³⁴ Pan jeszcze spać będziesz.

– A to dokąd?

– Do futoru pałamarowego³⁵.

– Do futoru! – krzyknąłem i z tym słowem wyobraziły mi się w myśli kaczki krzyżówki, co tam gnieźdzą się w trzinach i pływają po tajemniczycych pleśniach; kuropatwy w *redczynej* dąbrowie; krzykliwe czajki, co mię zwykle prześladowały, gdym wycierał rudy³⁶, i gołębie dzikie, jak gruchały na dębach; wszystko to, mówię, z moimi przygodami stanęło mi w myśli. Wyobraziło się mi też, że to rano tam zapolować najlepiej, bo z tej strony rzeki ozimina, z tamtej jarzynne posiewy; nikt mi z wieśniaków nie przeszkodzi – tam będzie samotnie – tam będzie cicho.

– Weź mię z sobą, panie Walenty, serce!

– At, gdzie tam Panu jechać! *Ja jedu pered świtom, iszcze bude temno, bo wernuś na połuden do domu, jak soneczko uże-het het pidobjećsia!*³⁷

– Tym lepiej! I ja wstanę rano, tylko zbudź mię, proszę.

– No, no, *pobaczymo!*³⁸ Idźże pan i przygotuj się z wieczora, bo ja *duże rano* zbudzę.

Po takiej rozmowie ruszałem z kopyta do mojej stacji, opatrzyłem strzelbę, napełniłem rożki³⁹, pulwersaki⁴⁰, przygotowałem kawał chleba i kilka serków – i marząc o polowaniu, zasypiałem.

³² Tok – dawn. klepisko.

³³ Kureń pasiecznika – tu: chałupa przy pasiece.

³⁴ *Bardzo wcześnie, bardzo wcześnie.*

³⁵ Pałamarowy – od pałamar (ponomar) ‘dzwonnik cerkiewny’, tu w znaczeniu: do zagrody pałamara.

³⁶ Wycierać rudy – tu: przemierzać bagniska, podmokłe łąki.

³⁷ *Ja jadę przed świtem, jeszcze będzie ciemno, w południe wrócę do domu, jak słońce już będzie wysoko.*

³⁸ *Zobaczmy.*

³⁹ Rożek – naczynie w kształcie rogu do przechowywania prochu.

⁴⁰ Pulwersak – skórzany worek na śrut.

Tak już miewałem zwykle pod tę porę sen czujny, iż gdy pan Walenty przyszedłszy pod okno, stuknął kilka razy palcem po szybie, zrywałem się równymi nogami z łóżka i w minutę byłem gotów do podróży.

Konie już stały zaprzężone pod stajnią; na dziedzińcu jeszcze było cicho; w obozrze spało bydło; w zakwitłym sadzie niekiedy tylko zaszczębiał ptaszek albo przeleciał z gałązki na gałązkę słowik.

A cicho, tak cicho, że słyhać wyraźnie, jak gdzieś daleko w polu odzywa się do wołów nocujący czumak⁴¹ albo gdzieś na wsi otworzy skrzypiące drzwi wieśniak.

Jeszcze doprawdy ciemno; wschód nie przybiera rumianej barwy, gwiazdy iskrzą się na niebie, powietrze rzeźwe, czarne obłoki zsuwają się na zachód.

– Panie Walenty, ale to musi być jeszcze bardzo rano? A czy będzie dziś piękna pogoda?

– *Bude harna hodyna; ja mało spaw i baczyw, jak nebo czystytoś s pid soncia*⁴².

Po ulicach wioski pusto, cicho. Oto jesteście już na wyjeźdźnym.

Stary dziad *Carynnik* obudził się w kureniu – wstaje stękając – otwiera wrota.

– *Zdrastwuj, didu!*⁴³

– *Zdrastwujcie! Rano jedete – nechaj wam Boh pomahaje!*⁴⁴

– *Spasybi!*⁴⁵

I oto ocuciliśmy się w łąkach. Tu jeszcze, zda się, ciszej. Po obu stronach drogi śliczne rozłogi żyta, a po jarach, co się to kryją, to odsłaniają kolejno, leżą w pół przejrzyste tumany.

Jedziem po równej drodze, dalej w jar, około zniesionego powodzią młyna; przejeżdżamy w bród rzeczkę i oto już wążutką drożyną snujem się nad strumykiem pomiędzy rozkwitłym! Tarny⁴⁶ pomiędzy skałami i wierzbą.

Muszę wam teraz opisać futor *pałamurowy*. Leżał on w jarze ciągnącym się ode wsi P... w odległości dwóch wiorst, nie więcej. Był to po prostu lasek na założeniu tegoż jaru. Z obudwu stron, to jest: przy wjeździe i na końcu, wzyrały przez tarny na pochyłościach góry szare czoła skał; w dolinie mruczał strumień, to płynąc przez czyste łąki, to przez trzciny; po lewej stronie, na pochyłości, założony był sad; z przeciwnej – stało kilkadziesiąt pni pasieki, dalej wierzby szeregami rosły nad wodą; lasek gęsty był naprzeciw, a dalej jeszcze czyste rozłogi wzniesionego pola, na którym widniały kurhany, a dołem szeroka taśma oczeretów; po stronach: krynice i błota.

⁴¹ *Czumak* – chłop ukraiński, który trudnił się przewozem towarów, głównie soli.

⁴² *Będzie piękna godzina; mało spałem i widziałem, jak niebo rozchmurza się spod słońca.*

⁴³ *Dzień dobry, dziadu!*

⁴⁴ *Dzień dobry! Wczesnie jedziecie, niech wam Bóg dopomaga!*

⁴⁵ *Dziękuję!*

⁴⁶ *Tarny* – tarni, tarnina 'drzewo z rodziny różowatych o białych kwiatkach'.

O, wiosną był to śliczny, był to ulubiony mój lasek! Kiedy zjadę, bywało, tu przed świtem, było moją jedyną rozkoszą usiąść na górze i rozpatrywać się około siebie. Wtedy wszystko milczy jeszcze. Ludzie, ptastwo, natura sama – drzezią pod tumanem⁴⁷ głęboko. Chociaż miałem broń w dłoni, nie używałem jej jednak z gorliwością myśliwca w każdym czasie. Serce przyjmowało napływ rzewnych uczuć i tajemniczym głosem zdawało się szeptać sumieniu, że to byłoby zgwałceniem praw Boskich. Ale to nie mogło tamować wrodzonej chęci do przypatrzenia się bliżej, do uchylecia niejako tajemniczej zastony tej natury. Była to namiętność zupełnie taka, jaką uczuwa młodzieniec, gdy niepostrzeżony wpatruje się w obnażone kształty swej kochanki. Ta rozkosz ma podwojony urok, a to jedynie dlatego, że tu się wtrąca tajemniczość. (*Nota bene*: te kombinacje wylęły się w mej głowie daleko później).

Otóż wtedy tą moją kochanką była natura. Mnie się roiło, że rano, przed wschodem słońca i o samym wschodzie, musi być ona piękniejszą o tyle, o ile jest piękniejszą ładna dziewczyna, gdy w negliżu, a że dniem już tajemnicze jej wdzięki są niejako skalane stopami poruszonych płazów-ludzi, i tym naprzykrzonym słońcem, które to obejrzy każdą jej cząsteczkę, i tak pali namiętym całusem...

I dniem, doprawdy, że nie miała już ona dla mnie tego uroku. Nade wszystko gniewałem się na ludzi, gdym postrzegał ich zaludniających jakie tajemnicze ustronie. Wtedy znikał nagle mój urok jak sen luby. Był to rodzaj zazdrości, zazdrości zresztą słusznej, bo wiedziałem, że te istoty ściąga tu nie miłość jej wdzięków, lecz potrzeba pracy.

Najulubieńsze przeto moje wycieczki były w Niedziele i uroczyste Święta i to do takich miejsc, gdzie wiedziałem, że albo są zmiany oziminy lub już zakończone zasiewy jarzynne. Tam mi nikt przeszkodzić nie mógł.

Otóż, jakem powiedział, kiedy zjadę rano do futuru, zwykle siadam na pochyłości góry i patrzę, i dumam. U stóp mych sitowie i brzozy, obok lasek, dalej góra, stepy, dąbrowy, a tuż przy ramieniu samotna grusza i rozkwitłe tarny. Ja tak znam najmniejszą kryjówkę tego ustronia, że ledwie nie zgadłbym, na której gałęzi wiele nocuje turkawek, gdzie są kuropatwy, skąd zleci kaczka i gdzie moszczą gniazdo grzywacze. I oto co chwila niebo blednie, chmurki zsuwają się, mienią w tysiące form i kolorów, rumieni się wschód, tuman rzadziej – rzadziej – i niknie. Trzciny, kępi-ny, jeziora odkrywają się powoli oku. Boska chwila! Ptastwo już widniej ruszać się zaczyna, ja kryję się pod krzak tarnu i śledzę pilnie ten ruch dzikich mieszkańców. Oto zając toczy miedzą z pola do lasku, przebiega o parę kroków koło mnie, usiada, igra, to czujnie wznosi słuchy⁴⁸ na szmer najmniejszy, to przylega układnie ku ziemi – przebiegł, wsunął się w krzaki – mnie nie obaczył.

⁴⁷ *Tuman* – mgła.

⁴⁸ *Wznosi słuchy* – podnosi uszy.

Ozwał się słowik pod kępą tarnu, zaszczebiotały sikory i pokazały się na błocie pliszki. Oto sowa wleciała w zarośla przewali⁴⁹, jej łopotaniem się wystraszona para słomek⁵⁰ przeciągnęła przez sad i zapadła w burzany. Spojrzę w stronę – aż oto po ścieżce, co się wiję po skałach, biegną kuropatwy; zbliżają się – zbliżają coraz bardziej, ledwie kilka suchych gałązek mnie od nich dzieli... widzę ich tak blisko, tak wyraźnie, tak mię bawią pocieszne ich ruchy, ich ukośne spojrzenia na niebo, pod którym krążą gdzieś jastrzębie – raptem – zerwały się – pociągnęły doliną – padły na podmiocie⁵¹ świeżo zasianym grochem.

Spojrzałem na dolinę – oho, już jeziora i zarzeczki⁵², i oczerety⁵³ – jak na dłoni. Kilkanaście ceranek⁵⁴ pływa, pluska się na brzegu, dwie krzyżówki siedzą poważnie na kępie, w głębi sitowia odzywa się kaczka. Spojrzałem w górę: gołębie lecą z lewady *redczynej* na zagony jarzynne; długie, ciemne pasmo majaczy nad górami – to kaczki ciągnące do wód niedalekiej Taśminy⁵⁵. Za *plakowskim* futorem⁵⁶ słyhać, jak becza w powietrzu bekasy⁵⁷, już z błota na błoto przelatują czajki i czapla cicho – cicho – ciągnąc nad oczeretem, usiadła niedaleko krynicy.

Otóż mi widok! O, jak mi lubo rozpatrywać się w nim, cieszyć się nim, wśród uroczystego pokoju natury! Z każdą chwilą dopełnia się lub mieni jego żywa dekoracja. Barwy natury, ruch, woń, melodia zlewają się harmonijnie z sobą, rzekłbyś, składają się jakby umyślnie do stworzenia zajmującej całości.

Ten pokój, tę moję ukochaną pustynność czyni jeszcze bardziej zajmującym daleki odgłos budzącego się życia wioski. Że cicho, więc chociaż daleko, ale jarem ciągną wyraźnie echa. Słyszysz z początku pianie kogutów, potem coraz częstszy skrzyp drzwi, nareszcie beczenie wypędzanych owiec, ryk bydła; wołania wieśniaków tak się tu powtarzają donośnie, że rzekłbyś, szepcą ci nad uchem. Wtem zza góry wyjrzało słońce: smugami światła ozłociły się wyniosłe pola i drzewa, a przez jary, od góry do góry, rzekłbyś, tęczowej barwy pouczepiały się mosty. A! To cudne są te pierwsze promienie wschodzącego słońca!

Za futorem, jakem rzekł, ciągną się oczerety, a pomiędzy nimi szemrzą wody. Pójdźmy z jej biegiem. Oto i rozdoły, i pola pozasiewane jarzyną, oto widnieją stare

⁴⁹ *Przewal (przewał)* – tama, grobla.

⁵⁰ *Słomka (słonka)* – ptak łowny, w okresie lęgowym przebywa w lasach i bagnistych zaroślach.

⁵¹ *Podmiot* – tu: pole.

⁵² *Zarzeczka* – odnoga rzeki (ukr. зарічок).

⁵³ *Oczeret* – trzcina pospolita (ukr. очерет).

⁵⁴ *Ceranka (cyranka)* – gatunek ptaków wodnych z podrodziny kaczek właściwych.

⁵⁵ *Taśmina* (ukr. Тясмині) – rzeka na Ukrainie, prawy dopływ Dniepru.

⁵⁶ *Plakowski futor* – zagroda należąca zapewne do wsi Plakówka, położonej w dawn. powiecie czechryńskim, na pograniczu powiatu czerkaskiego.

⁵⁷ *Bekas* – gatunek średniego ptaka wędrownego z rodziny bekasowatych.

dęby lewady *redczynej*, a oto zsunęła się góra i u stóp swych sformowała kurhan, z którego rzucono niegdyś groblę przez wodę, jak o tym świadczą widne do dziś dnia nasypy ziemi. Tu rzeka zwraca się kręto w lewo, a otaczając kurhan, wciska się w wąski otwór i na ładną po prawej stronie wypływa dolinę. Przez dolinę płynie, po kamykach między kwiatami i trawą, prawdziwie poetyczny strumień. Tum dopiero dał zupełną wiarę poetom, którzy kiedykolwiek opisywali potoki i doliny, barwiąc te opisy wyszukanyimi słowy. Potok tu doprawdy bieży po kamieniach, mruży przyjemnie, przeciska się przez kwiaty, kryje pod krzakami, kąpie gałązki wierzb płaczących, i to wszystko bez pomocy ręki człowieka tak się złożyło ładnie, tak wdzięcznie, że dalibóg ta ustronń warta być własnością człowieka, który zdolny jest czuć jej wdzięki. Tymczasem, niestety! jest to futor popa, któremu wyłącznie dlatego podoba się to miejsce, że rosną tam dobrze kapusta i konopie.

Nieopodal strumyk wpływa w gęsto ocienioną i zwracającą się nagle dolinę. Z jednej i z drugiej strony osłoniły ją kamienie i krzewy. Z prawej, za zaroślem, jest mało tajemnicza błoń, na której rośnie kilkanaście owocowych drzew i tuż zaraz wysokie, skaliste ściany góry, a z lewej – gęsty lassek, gęste krzewy tarnin oplotły rzęsnymi gałązkami wystające kamienie.

Nad samą wodą, w rogu załomu strumienia, stoi pionowo skała, a na jej czoło spuszcza się z cieni lasku śliczna murawa i stąd już obiedwie strony rzeki jeżą się skałami: brzeg jej czystszy, zwierciadło wód obszerniejsze i przejrzyste.

Ze wszystkich tych miejsc ustronń małego ogródka podobą mi się nadzwyczaj. Toż-ho, doprawdy śliczna ustronń! Z niej nie ma żadnego widoku, tak zagrodzona jest z jednej strony w półkole górą, a z drugiej trzciną i krzewami – ale za to, jak tam miło podumać, spocząć chwilkę!

A najśliczniej bywa tam we dnie. Kiedy słońce pali już nieznośnie i wiatry szumią po trzcinach – tu cisza i chłodek. Rano zaś i wieczorem obfitość polnych kwiatów, rozkwitłych drzew i tarnu miodową owiewa wonią. Patrząc z góry na ten maleńki futor, zdaje się, że to jest wazon kwiatów, umieszczony w tym zakątku ręką Ogrodnika natury.

Teraz opiszę wam drugi rękaw jaru, który wyciąga z pól, od lewej strony, i przylega do starej grobli, o której wspomniałem przed chwilą. Ten jar – i rozleglejszy, i daleko dłuższy – zowie się: *Redczyne*. Ma on wyraz prawdziwie hajdamacki. Po prawej stronie stara dąbrowa i kępami tarny; po lewej naga góra i ciemne przewala lub czahary⁵⁸. Dalej przyłącza się doń jeszcze kilka jarów, a raczej jam, wpadlin, ze stron obudwu porośłych gęstą leszczyną, a we wnętrzu osadzonych sadami. Mają one wyraz nie przyjemny, a raczej tęskny, a to z powodu, iż nie ma drzew wielkich i tylko gęste porastają krzewy; po obu zaś stronach pola czyste jak zajrzeć okiem ścielą się daleko.

⁵⁸ Czahary – zarośla na podmokłych gruntach.

Kiedyś w tych jarach były lasy, i lasy wielkie. Wtenczas też same sady musiały mieć więcej przyjemności dla oka. Ukrainiec lubi futory i sady; cała przeto Ukraina kwitnie w futorach i sadach. Lasy, pola, jary pełne są drzew owocowych i krynic, ale te sady, te futory zaprowadzane były jeszcze przez pradziadów obecnego plemienia, kiedy Ukrainiec nie miał dzielonej ziemi, ale orał i zamieszkiwał to ustronie, które mu się podobało bardziej. Dziś te futory, po większej części, stoją pustkowiec, lasy niszczą z dniem każdym, sady nie opatrywane dziczeją i wkrótce całkiem znikną bez dozoru – a żal, żal prawdziwie futorów, tych wymownych obrazów patriarchalnego życia Ukraińcowi!

Wioska P... nie ma w swych granicach nic takiego, co by ją odznaczało od innych. Wyraz okolicy zupełnie tenże, jaki ma kawał kraju, począwszy od Korsuńszczyzny⁵⁹ aż do chersońskich stepów⁶⁰. Pola żyzne, łąki śliczne, czaharów pełno; lasy, sady, futory, a po jarach błyszczą liczne stawy. Jeśli godzi się jeszcze w XIX wieku gospodarskie zmiany i klatkowane lasy podciągać pod spojrzenia poety, to powiem, że najromantyczniejszą częścią tej wioski są oto te, którem opisał, futory, a z przeciwnej strony wioski, ku wschodowi, ogromne lasy, lasy prawdziwie godne pysznej Ukrainy! Łączące się z *żabotyńskimi*, *medwedowskimi* i *osotiańskimi* – na wschód, a ze *śmielańskimi* odwiecznymi dąbrowami i za – *taśmińskim* borem – ku północy. O, to prześliczne lasy! Przerzadzono je dziś Nielitościwie, ale pomimo to są one pełne wdzięku.

Najpiękniejszymi w nich ustępami są sady i dąbrowy. Sady po lasach – to istna rozkosz, jakiej tylko może doznawać kochający naturę wieśniak-poeta. Tam pasieki, tam Kurenie, tam podania zdają się czepiać jak jemioly dębów, tam jeszcze znajdziesz starego dziada, co ci opowie, przez kogo taki a taki sad zaprowadzony został, skąd wzięła swe nazwisko ta oto krynica, dlaczego to uroczysko nazywa się *mołodeckim* jarem albo *Skibickiego* lewadą, albo *hajdamacką* polaną. Tam on i otwartzszy, i oryginalniejszy, i ściślej ożeniony z pamiątkami ojców, bo nie psuje go ani gorzałka Żyda, ani cięży zawsze nad karkiem nahajka Ekonomy.

Lasy, zwykle nazywane *czarnymi*, są mniej przyjemne oku; gęste, ciemne, ponure, osłaniają bez wdzięku jary i góry, a po wierzchołkach ich szumią tylko wiatry. Za to dąbrowy są to lube ustępy, są to uśmiechy poważnego lasów ukraińskich oblicza. Całe ich przestrzenie porastają bujną trawą i tak obfitym kwieciami, iż złocą albo purpurują, albo zabłękitniają długimi pasmami powierzchni.

O, kto zdolny pojmować poezję, dla tego takie ustępy natury są drogim żywiołem! Gdzież bo godniej wywołasz to święte uczucie! Co dziś w rachunkowym świecie⁶¹ zostało miłszego dla serc, przepełnionych tym nektarem nieba – nad naturę!

⁵⁹ *Korsuńszczyzna* – ziemia korsuńska, tereny dawn. obwodu czerkaskiego.

⁶⁰ *Chersońskie stepy* – nazwa stepów od nazwy miasta Chersoń, położonego na południu Ukrainy, nad Dnieprem, stolicy obwodu chersońskiego.

⁶¹ *W rachunkowym świecie* – w świecie pieniędzy, wyrachowanym.

W niedzielę na przykład lasy puste – rano pogodny – milczą drzewa i kwiaty, szczebiot tylko tysiąca ptaków przerywa słodką ciszę – i ty wijącą się drożyną zagłębiasz w środek tych lasów... ocucasz się w tak ślicznej dąbrowie... Nie pomodlisz się tu szczerze jak w Kościele!

Takie to są śliczne krajobrazy, takie poranki i wieczory na Ukrainie! Za to dni letnie tęskne, smętne, dziwnym sposobem! Niepodobna opisać tego rzewnego uczucia, ale odbija się ono wymownie w jej Dumkach.

Od godziny dziesiątej pełzną chmury z nieba – wiatr zaczyna szumieć: pierwszej górą, potem drzewami, na koniec oczeretem i trawą. Coraz – coraz silniej, a o południu już rozhulał się w najlepsze. Słońce pali wprost z góry i podwaja gorącość, ciężkość jego powiewów; pod natarczym podmuchem chylą się falami ku ziemi nieobejrzane łany zboża; po stawach szumią trzciny; po lasach liścia; w wioskach żywej nie obaczysz duszy, a po ulicach kręcą się tylko wichry i hula wiatr, miotając kłęby kurzu, a z nimi szulaki⁶² unoszą się w fantastycznych figurach, przepatrując zagrody chat i wiśniowe sady.

Jak smutno wtedy! Wody, lasy, tak przepełnione przed chwilą ptactwem, stoją teraz, jak gdyby na ich łonie nigdy nie mieszkaly skrzydlate roje. Wszystko drzemie ociężale pod cieniem i w ukryciu. Ledwie stopa albo delikatny węch psa wypłoszyć je z ich kryjówek potrafi.

III.

Jest w Ukrainie rozlew szeroki
Pięknej Taśminy pod Hulajgrodem,
W prawo, futory ciągłym ogrodem
Lamują wdzięcznie brzeg jej wysoki,
A z lewej strony – bagna i piaski,
I jak zajrz okiem, aż pod Czerkassy,
Żyzne zagony i drobne laski⁶³.

Wzmiankując o moim zakątku Ukrainy, jakże wam nie mam opisać i Pisarskiego Stawu*, na którym polowałem razy tyle! To już nie pospolity jar albo strumień, ale staw nad stawy na naszej Ukrainie! Szczerze mówię: wart on i nie-mojego pióra.

⁶² Szulak – dawn. jastrząb lub krogulec.

⁶³ Fragment autorstwa prawdopodobnie Fisza.

* Staw, Pisarskim zwany, leży 15 wiorst od Czerkas, a nie więcej 13 od m. Smiły.

Gdyby tu jakiego Walter-Scota⁶⁴, gdyby Coopera⁶⁵, co za bogate znaleźliby oni materiały! Ile tu dziejów, ile przygód, ile bajecznych podań drzemie w niewiadomości!

Ja sam – o, ileż to przemarzyłem tu godzin! jak mi serdecznie chciało się przejawić tę stronę w moich utworach! Jak przemyślałem nad tym: w jakiej by ten opis przedstawić formie? Jak opisać tę okolicę, ażeby z podobnym skutkiem wzruszenia mógł ten opis działać na czytelników, jak widok tej strony działał na mnie!

Zacząłem od poezji – i nie zadowolnił mię skutek. Chwyciłem się bajecznego podania – ale zimny, ach zimny i to był opis! Chciałem na koniec wtrącić ją do powieści, ale pomyślałem sobie: mój Boże! – zanudzę czytelników! Czyż to mnie samego nie nudziły opisy natury? Czyż nie poziewałem nad rozdziałami przepelnionymi wonią kwiatów, szmerem strumyków, śpiewem słowika itd.?

Potem wpadłem na myśl ucześcić do tych brzegów jaką moją własną przygodę. Niestety! Nie było żadnej, której treść mogłaby elektrycznie albo choćby już narkotycznie działać na czytelników.

Miałem też sobie opowiedzianych kilka zajmujących zdarzeń, których miejscem były oto te brzegi. Cóżem się pomęczył, przypominam, starając się nadać im romansowy charakter! Teoria niewyrobiona jeszcze pomieszała się z rzeczywistością i tysiące roić marzeń. Wszystko to mieszało się w myślach jak groch z kapustą i tylko moja głowa, mój papier, świece i kominek wiedzą, ile to wszystko kosztowało mię pracy i ile jej uleciało z dymem!

A gdybym ja te przygody podniósł do ideału, myślałem często; Wszakże to udaje się niektórym? Gdybym tak na przykład zaczął: „17... roku w jednym z najpiękniejszych dni wiosny młodzieniec taki to a taki spotkał niosącą z pola kwiaty dziewczynę. Jej śliczne, czarne, spadające na białe jak śnieg ramiona włosy, pełne wyrazu błękitne oczy” – o, co za bogaty stąd można rozwinąć opis! Ale to była prosta, wiejska dziewczyna! Ba, cóż stąd! Ja bym i sam powiedział to samo z początku, ale rzecz by się wyjaśniła przy końcu, że to jest ostatni szczep możliwego i sławnego NN rodu! Że to nadzwyczajne wypadki wtrąciły ją w takie życie i że pomimo biednego stanu przyrodne wdzięki i szlachetność nie straciły swej wyższej cechy. O! co za śliczny tli znowu, nastrocza się ustęp! Jak doskonale zapełniona już próżnia! Ale nie na tym koniec: Dziewczyna, czując instynktownie swą wyższość, gardzi miłością wieśniaków, nie kocha nikogo, a przy bliższym poznaniu się

⁶⁴ *Walter-Scot* – Walter Scott (1771–1832), szkocki adwokat, powieściopisarz i poeta, autor powieści historycznych.

⁶⁵ *Cooper* – James Fenimore Cooper (1789–1851), amerykański powieściopisarz, autor powieści przygodowo-awanturnych.

z młodzieńcem opowiada mu *à la d'Arlincourt*⁶⁶ młodości i naiwnych uczuć swych dzieje. Gdzieżby to na przykład naznaczyć takie *tete-a-tete*?⁶⁷ A jużciż nad brzegiem stawu? Fi! Tu same błota! Trzciny! To nic nie znaczy! Ani wzmianki o błocie. Zasadzić gaj, napędzić do niego mnóstwo ptaków, księżyc (rozumie się samo przez się) wypływa ze srebrnych obłoków wnet po zachodzie słońca i do godziny dziesiątej z rana rozlewa światła strumienie. I tu dopiero sypnąć jak z rogu obfitości lasami, skałami, słowikami, zefirami i całą teatralną garderobą poetów; tu dopiero, jak na dłoni, pokazać wdzięki wód Taśminy. Nie na tym jednakże osnuć efekt romansu. Trzeba dać dziewczycy kochanka, którego ona, rozumie się, nie kocha i już z samej natury rzeczy ten kochanek będzie okropnego oblicza, skryty, mściwy, okrutny. Ale kto na przykład? Wieśniak, Kozak? Co? To za zbyt nisko! Oto bym właśnie popisał się! Ataman, to już najmniej. Ja go wylegitymuję z rodziny Chmielnickich, można tam wpuścić i kroplę krwi Wiszniowieckich, ze względu, że ci mieli dobra obszerne niegdyś na Ukrainie. Zważcie więc, jak to trafnie rozwija się akcja na tle krwawym. Właśnie, wyłącznie o to starać się będę, by i w recenzjach powiedziano, że *ten romans ma tło krwawe*. Raptem, panie Dobr., Ataman podstrzega jednej nocy miłośne rozmowy i pieścizotliwe uściski z owym (jak się zapewne domyślacie) młodzieńcem; przesuwają się jak cień przed oczami kochanków i znika w rowie. Co znowu? W rozwalinach Zamku, a nie w rowie! A głos podziemny daje się słyszeć: *biada! biada! biada!* Co za urok! Co za koloryt! Ale oto okropna już scena: Dziewica powraca do domu przez konopie – fi! Tak nie można! Gdzież kto widział bohaterkę romansu w konopiach? Przez gaje dolinę, choćby i tą na przykład, co doprawdy oto leży przy stawie i zasiana konopiami, ale tam nasadzić dębów i bżów rozkwitłych co niemiara; napisać zajmujący rozdział cały o nagłym zjawieniu się Atamana z kijem. Ale gdzie tam! Ani wzmianki o kiju! Z kindżałem w dłoni! – i tu dopiero: rozpacz, łzy, omdlenie, porwanie na koniec. Ale dokądże unieść ofiarę miłości? Na dziki ostrów?⁶⁸ Na przykład na jedną z tych wysp, które są na pisarskim stawie. Kiedyż bo te wyspy błotniste, puste.

To nic nie znaczy! Azali⁶⁹ nie mogły tam być pierwiej skryte oku śmiertelnych, tajemnicze zamki i lochy? Koniec końcem, po długich poszukiwaniach i sześciu rozdziałach, zbrodzeń zostaje odkryty, przybywają zastępy wojowników, pękają rygle i zapory, nieszczęsna branka dla tym większego efektu zostaje przesyta pugiuałem, a zazdrośny Ataman znajduje śmierć w nurtach spienionej rzeki.

⁶⁶ *À la d'Arlincourt* – dosł. *tak jak d'Arlincourt*, tj. Charles-Victor Prévot, vicomte d'Arlincourt (1788–1856), francuski powieściopisarz, poeta i dramaturg, autor romansów.

⁶⁷ *Tête-à-tête* – franc. spotkanie sam na sam, schadzka.

⁶⁸ *Ostrów* – wyspa.

⁶⁹ *Azali* – czyż, czyliż.

Zakończyć zaś takimi słowy: „Z każdym dniem nielitościwa ręka czasu zgładza z powierzchni ziemi osnowy pamiętnego straszną przygodą Zamku; błoń porasta dzikim zielskiem, kwiaty nie barwią tej ustroni, ptaki, jakby się bały miejsc skalanych zbrodnią, nie nucą wdzięcznych pieśni i rybak, płynąc tędy późną porą – żegna się z trwogą i odmawia pacierze”.

Takie to i tym podobne, Szanowni Panowie, roiły się w mej głowie myśli. Było ich na każde zadanie po kilkanaście różnych egzemplarzy. Może bym zresztą i wytrwał w moim przedsięwzięciu, jeślibym nie był przekonany, że i bez mojej powieści macie podobnych dosyć. Ja kochałem nade wszystko prawdę; ja ukochałem tę miejscowość szczerze, jam ją poznał w najdrobniejszych szczegółach, jam ją przeto starał się wyobrazić oczom drugich nienastrzępioną przywidzianymi awanturami, nie koszlawiąc⁷⁰ przeszłości, nie różując⁷¹ naturalnych wdzięków, lecz pokazując też samą naturę, tychże ludzi i też dzieje, co tu miały miejsce, a pokazując je w najprawdziwszym obrazie, dzieląc się z wami tymże, co się we mnie na ich widok obudziło uczuciem.

Może kiedy weźmie mię chęć próbować szczęścia, może i powiem wam jaką historyjkę dobytą z tych miejsc i z przeszłych czasów; tymczasem miłe mi są moje własne wspomnienia i moje na tych wodach przepędzone chwile. Ja piszę tak, jak jest i jak było.

Któż nie zna Taśminy na Ukrainie! Rzeka to wprawdzie niewielka, ale ma śliczną w niektórych miejscach fizjonomię. Przebiegłszy mil do ośmiu to w ścieśnionym korycie, to przez rozdoły, rozlewa się pod miasteczkiem w staw wielki, potem łącząc się z błotnistym *Irdyniem*⁷², który wynurza się spod *moszniańskich* borów, płynie już przez otwartą i piękną okolicę. Te obiedwie jednakże rzeki aż do samej *Pisarskiej Grobli*⁷³ nie łączą się z sobą. *Irdyń* leży po lewej, *Taśmina* płynie po prawej stronie. Tamten obfituje w rudy, oczerety i bagna, ta w wodę i głębią. Aż na koniec pod *pisarską groblą* zatamowane wody Taśminy rozlewają się na obszerną płaszczyznę, zatapiają rozległe błota *Irdynia*, całe ostrowy oczeretów i mnóstwo nadbrzeżnych lewad i sadów, przypierając z lewej strony do gór spadzistych, ocienionych śliczną starą dąbrową a uwieńczonych lasem, a z drugiej do wydmów żółtego piasku. U początku rozlewu leżą z tej i z owej strony trzy wioski. Z prawej – *Hołowiatyn*⁷⁴ i *Hulajgród*⁷⁵. Pierwsza wybiega z głębi lasu, z oddzielnego jaru, sypie aż do samych oczeretów

⁷⁰ *Koszlawić* – koślawić, przeinaczać.

⁷¹ *Różować* – ubarwiać.

⁷² *Irdyń* – nazwa bagien i trzęsawisk, najpewniej starego łożyska Dniepru.

⁷³ *Pisarska Grobla* – uroczysko nad rzeką Taśminą, w dawn. powiecie czerkaskim.

⁷⁴ *Hołowiatyn* – wieś w dawn. powiecie czerkaskim, położona na prawym górzystym brzegu rzeki Taśminy.

⁷⁵ *Hulajgród* – wieś w dawn. powiecie czerkaskim nad rzeką Taśminą.

rzędem wieśniacze chatki, potem ciągną się sady, ładne małe łąki, a o kilka staj na podgórzu już widzisz kilkanaście siedzib Hulajgrodu. Potem znów brzeg zamyka się śliczną, spadziłą, ocienioną dąbrową, górą, która lamując zieloną wstążką brzeg cały, niknie aż na dalekim za groblą zwrocie. Po lewej stronie – wioska Werhuny⁷⁶ uczepliła się wśród piasków zielonej kępy; chaty rozsadzone na pagórku; widnieją tylko z dala: Cerkiew, folwark i wietrzne młyny.

Ale między obudwoma tętni brzegami rozległa przestrzeń. Z Hołowiatyna ledwie dojrzysz Werhunów. Żółte wydmy piasku zlewają się to z barwą oczeretów, to z obłokami i nieokreślnością, bezbrzeżem oszukują oczy. Ale to nic jeszcze. Wdrapmy się na tę spadziłą górę i z góry spójrzmy pod nogi – o, co to za majestatyczny krajobraz! Już nie piaski, już nie brzeg przeciwny zajmują twe oczy. Te piaski i ten brzeg gdzieś teraz uciekł daleko, stopił się w oddali, o, natomiast zjawiła się nagle! niespodzianie, ogromna jak zajrz okiem⁷⁷ płaszczyna wód Taśminy.

Ale nie jest to płaszczyna wód czystych, jak na przykład smilański staw lub białozorskie jezioro – o, nie! To byłby widok zbyt monofoniczny⁷⁸ dla oka. Na jej łonie niezliczone mnóstwo wysp, spławów, zalewów, całe sznury oczeretów, całe masy wodnych kwiatów, mnóstwo wierzb i olch płaczą, siatkują tę cudną powierzchnię. I ty to wszystko przeglądasz, we wszystko wpatrujesz się z góry, ledwie jak bawidełko nie możesz wziąć do ręki. Począwszy od stóp góry, gdzie leży rybaka chata i przy niej wiśniowy ogródek, a za nią mały warzywny ogród, nasadzony obficie słonecznikami i oczerety z uliczką na przystań, aż do ledwie zajrzanych krańców dalekiego oczeretu na przeciwnym brzegu – wszystko u ciebie pod okiem, pod stopą. Tysiące kaczek siedzą na cichych wodach, całe seciny rybitwów unoszą się w powietrzu, orły spoczywają na wystających palach, a po zarzeczkach, po ścieżkach wytłoczonych łodziami przez wodne burzany, co tu tego wije się drobiazgu!

Zwykle przyjeżdżałem do Hołowiatyna na noc. Stawałem u rybaka, co mieszkał nad samym brzegiem Taśminy, i zamawiałem do jutrzejszego połowania czółno. Był to zwykle czas popołudniowy. Znojny dzień lata zaczyna się orzeźwiać powoli; wiatr słabiej i słabiej powiewa z każdą chwilą, na koniec następuje cichy, śliczny wieczór.

Wychodzę w milczeniu na górę i umyślnie nie zwracam oczu, ażeby mieć zupełną przyjemność pierwszego spojrzenia na wody z najwyższego punktu góry.

Wiatr ucicha zupełnie i całe stada kaczek wypłynąwszy z sitowia, pluszczą się na uspokojonych topielach; po małych zarzeczkach przesuwają się drobne kaczęta

⁷⁶ *Werhuny* – wieś na lewym brzegu Taśminy, w dawn. powiecie czerkaskim.

⁷⁷ *Jak zajrz okiem* – jak rzucić okiem.

⁷⁸ *Monofoniczny* – monotony, jednostajny.

z piskiem, biją skrzydełkami po wodzie i często spłoszone szułakiem⁷⁹, nurkują lub kryją się w burzany; poważne kulony⁸⁰ nalatują co chwila na nadbrzeżne błota, żerują z kszykami⁸¹ swobodnie; po kołkach, do których uczepiano węcierze⁸², po tamach robionych na ryby, siedzą białymi szeregami rybitwy, a tysiące unoszą się nad wodą. W miarę tego, jak robiło się ciemniej i krzyki ptastwa stawały się częstsze, całe stado zrywały się z wód i rozlatywały długimi sznurami na okoliczne pola; krzyżówki i ceranki furczały nad głową; cała przestrzeń nad wodą liniowała⁸³ się od nich na tle czystych obłoków, kiedy tymczasem powleczone promieniem zachodzącego słońca wody wyraźnie zdawały się jaśnieć zwierciadlaną szybą.

Ślicznie też było, kiedy i noc już zupełna legła na ziemię. Księżyc, wyrzawszy przez obłoki, oblał tęsknym swym światłem powierzchnię: obłoki to marszczyły się w drobne cząsteczki, to wędrowały całymi grupami po szafirze, a każdy z nich lamował się ślicznymi wstążkami promieni.

Nazajutrz, jeszcze przed świtem, już wstępuję z rybakiem do łodzi i z niewyraźnym uczuciem rozkoszy odbijam od brzegu.

Jest nieokreślona i rzetelnie poetyczna rozkosz w takiej wodnej przejazdce. Lubiłem ją namiętnie i dziś lubię; ale największy jej urok w samotności i podczas ciszy. Trzciny stoją dokoła nieruchomie, ogromne liście łopatniku zalegają wody, a między nimi śliczne białe i żółte kwiaty przez pół wystają, przez pół zanurzają się w głębi. Topiele tak przejrzyste, że mchy podwodne, długie źdźbła wodnych roślin i pływające ryby z łatwością dostrzegać możesz.

Po powierzchni tej łódź płynie cicho, czujnie, to wsuwa ostrożnie wąską szyję w trzciny, to zawraca z kierunkiem licznych prądów – ale najmilsza rozkosz te na każdym kroku niespodzianki z widoków drobnych jezior, zalewów, pleśni. Oto na przykład płynę cicho wzdłuż spławu; z obydwu stron wysokie oczerety – gdzieniedzie kępa – tam liście wodnej marchwi, tam pale – nagle, łódź się zwraca – zwraca – dociera trzciny i oto – spojrzę, aż w lewo, przez wąski przesmyk, przeziera wdzięczne, małe jeziorko. Niepłoszona wodna kureczka przechadza się bezpiecznie po liściach łopatniku, stado ceranek pluska się albo drzemie na środku; sikory wieszają się nad samą głową na łodygach trzciny, Przepływam – płynę dalej. Oczerety tylko i łoży. Strumyk ledwie znaczny wskazuje nam nasz kierunek. Coraz gęściej i ciaśniej. Rośliny wodne oplatają przesmyk; po kępach żwiru leżą kupami żółwie i tu ówdzie kolorują się drobne kwiaty. Tak przebieramy się⁸⁴ długo; zdaje się, że zapłynąłem w nieprzebyte

⁷⁹ *Szułak* (*szulak*) – korszun, krogulec (gatunek jastrzębia).

⁸⁰ *Kulon* – duży ptak brodzący z rodziny bekasowatych.

⁸¹ *Kszyk* – ptak łowny zamieszkujący wilgotne łąki, bagna.

⁸² *Węcierz* – siatka do łowienia ryb, żak.

⁸³ *Liniować się* – oddzielać się, wyodrębnić się.

⁸⁴ *Przebierać się* – przedzierać się, przedostawać się.

bagna i trzciny, ale oto po długiej i mozolnej przeprawie nagle łódź lekko podjęła się, zachwiała na wodzie, spojrzę przed się: przede mną obszerny rozlew – z jednej strony ocieniają go wierzby długim, gęstym szeregim; z drugiej przeliera zielony brzeg wyspy i owocowe drzewa i chatka wieśniaka; odzywa się gołąb i trzepocą na gałązkach turkawki; na wybrzeżu tu i ówdzie przechadzają się kulony i czujna czapla jak kołek widnieje na samym środku wody.

I nie na tym koniec. Oto za tym rozlewem odkrywa się długa, śliczna perspektywa. Po jednej stronie oczerety – po drugiej łoży i powój. Te rośliny to szczepiają się nad wodą, przeskakując z palu na pal, z gałązki na gałązkę, to owijają mszyste pnie wierzb odwiecznych. Tłumy kaczek przecinają w różnych kierunkach wodę – duże kanie⁸⁵ unoszą się nad naszymi głowami, a w miarę zbliżania się do dzikich mieszkańców wód, porywają się one i ulatują z szumem.

Ale oto szeroki, najszerszy rozlew wody. Środek jej już się marszczy od lekkiego powiewu wietrzyka; łódź wy pływa i ja ocucam się na czystym obszarze. Wokoło odsłaniają się prześliczne widoki. Po lewej stronie góry ze swymi dębami; po prawej, gdzieś daleko, trzciny żółta, wąziutką smugą obłożyły granice wód, a za nimi z poziomu już nie widzisz ani wioski, ani piasków, tylko gdzieniegdzie wierzchołek olchy – samotna wierzba – a wyżej, pływają i kolorują się obłoki. Terazże spojrz ku wschodowi, z biegiem rzeki – a zatocz wzrokiem daleko, jak daleko wzrok twój dolecieć zdoła. Tam oto błękitna smuga *pleskoczowskich lasów*⁸⁶ ciągnie się – zwęża i na koniec znika na zwrocie; tam widnieją wierzby *pisarskiej grobli* i dach wodnego młynu, i białe ściany chatki młynarza, a za nimi odległe *zataśmińskie bory*, a nad nimi śliczne promienne na obłokach strzały, zwiastuny wschodzącego już słońca. Zewsząd nalatują z żeru tysiące ptaków; przed tobą, za tobą osiadają wody – kąpią się – pluskają – te zrywają się, te zapadają lub przeciągają ponad głowy.

Trudno jest dać wam doskonale i szczegółowe wyobrażenie pustynnego obrazu tych wód ślicznych, gdzie każda ustron, każde miejsce ma swój oryginalny charakter i sobie tylko właściwe wdzięki; niepodobna opisać uroku, pod którego wpływem zostaje człowiek. Ja czuję, że te opisy są za słabe, a przy tym nudne. Widoków natury kopiować słowami niepodobna. Im wdzięczniejszy pragniesz skreślić obraz, tym nudniejszy przez swą monotonię napiszesz rozdział. Gdyby pędzel podał mi pomoc, natenczas może otrzymałbym skutek.

Tak przez całe pół dnia mienią się wrażenia i widoki, nad wieczór kończę polowanie, a o samym wieczorze powracam przez śliczne sulikowskie i irdyńskie lasy do domu.

⁸⁵ *Kania* – ptak drapieżny z rodziny sokołowatych.

⁸⁶ *Pleskoczowskie lasy* – lasy położone w okolicach wsi Pleskaczowka w dawn. powiecie czerkaskim.

IV.

O! Ja z naturą! Gdziekolwiek wśród świata
Losy mię ścieżką pogonią ostrą –
Ona zawsze moją siostrą,
Ja dla niej serce mam brata⁸⁷.

Upłynęło od tej pory lat kilka. Czas, zakrywając warstwą po warstwie przeszłość, zdziałał na koniec to, że patrzę na nią jakby przez cienką osłonę muślinu. Tymczasem terażniejszość wiecznie brzmiąca tysiącem najniesforniejszych tonów ogłusza mię, porywa i siłą przemagającej atrakcji ciągnie w wir świata.

Póki te wszystkie ze mną próby odbywały się wyłącznie pod wpływem spokojnego, wiejskiego życia, nie robiły one silnego na mnie wrażenia. Cicha jednostajność łagodziła wszystko. Ani rozognione myśli, ani burzliwe namiętności nie mogły tu rozwijać swych skrzydeł. Śliczna to spokojność, gdy patrzysz na nią z punktu burzy, ale jakże często zazdrościmy i burzy, gdy nas nudzi stęchła roślinność zakrytej od wiatrów ustroni!

Ja tak kochałem przedtem wiejskie życie! Jednakże później, gdy ocierając się między ludźmi, uczułem się być zdolnym do zajęcia miejsca w ich gronie – powoli – powoli – to ciche, wstydlive zamiłowanie wyobrażało się w mych oczach śmiesznym samego siebie upośledzeniem, a uczucia (było to widocznie) traciły wiele z pierwotnej swojej niewinności.

Nie to, żebym nie kochał natury, ale jakoś dziwnie zobojętniałem na jej wdzięki. Gubiłem moje śliczne idee, a natomiast przywykałem patrzeć na wszystko zimnego wyrachowania okiem. Ludzie to nazywali przejściem ze stanu młodzieńczej, wybujałej imaginacji do stanowczego samopoznania siebie.

Bo też, doprawdy, że to przejście jest istotnym i ledwie nie każdemu się zdarza; lecz jeśliby miało ono takie koleje, jakie na przykład ma roślina z wiosny w lato, byłoby zbawiennym i komuż niepożądanym? Ale gdzie tam! My nie przyjmujemy na jednym i tymże samym gruncie serca ożywnych promieni rozumu, jak kwiat ziemi przyjmuje ożywne promienie słońca. My go przenosimy to pod równikowe strefy, to pod kamczatskie lody⁸⁸; wałęsamy się z nim, nużymy wędrówką i stąd to przychodzimy w końcu do tego, że albo przyniesieni wycieńczone ostatki pod to niebo

⁸⁷ Fragment prawdopodobnie autorstwa Fisza.

⁸⁸ *Kamczatskie lody* – lody Kamczatki, najdalej wysuniętego na wschód rosyjskiego półwyspu.

skąd go porwaliśmy, albo przyprawimy o chorobę lub też dziwacznym sposobem skoszlawimy naturę jego.

Bo weź, wyrwij z ziemi kwiat, choćby on miał najpiękniejszą koronę – wystaw go na działanie słońca – i w cóż się cały jego wdzięk obróci? – Zawieździe, zginie. – Tak najpiękniejszy rozum, skoro go wyrwiesz z gruntu uczucia, nie może się ostać sam przez się, przez żaden sposób.

Ale weź też i tę próżną ziemię, z której wyrwałeś kwiecie, i wystaw ją na działanie słońca – i w cóż się cała jej płodność obróci? – W proch, co go rozwieją wiatry. – Tak najpiękniejsze uczucia, skoro je nie osłonisz ramionami rozumu, nie mogą się ostać same przez się, przez żaden sposób.

Jest więc w takiej osnowie natury ludzkiej nierozzerwana spójność tych dwóch wielkich działaników⁸⁹ duszy naszej, człowiek jednakże nie zawsze stosował się do nich; nie zrywał on wprawdzie całkiem łączności, ale wynaturzał ją okropnym sposobem.....

Ja kochałem dwurodzajową miłością naturę: pierwsza była młodzieńcza, żywa, gwałtowna, nierozważna, druga – oparta na uczuciu, na rozmyślnie oddanym jej pierwszeństwie, rzewna i czuła wprawdzie, ale już nie tak poufna jak pierwsza. Tamta rzucała mię ze swobodą i pałającym sercem na jej łono, a ta nauczyła opatrywać czasami i z zimną krwią jej wdziaki.

I dziś jednakże, kiedy od pierwszych chwil młodości upłynęło już dni wiele, kiedy i moje uczucia przeszły przez niejedną próbę i moje myśli starły się nieraz z okolicznościami i czasem – ja jeszcze nie przestaję podziwiać tej szczególnej miłości ku naturze, co się w sercu moim tak wkorzeniła głęboko. Gdyby to było przywiązanie dziecinne – już by dawno wyrzucił je rozum z łona jego; gdyby to był szal nierozsądnej pierwszej miłości – ostygłby on w trybie nowego życia; ale nie! ja czuję, może silniej jak pierwej, że ta miłość i dziś jeszcze żyje w mej piersi, że jest może najczystszy przedmiotem, któremu nie żal robić ofiarę z uczuć, z całego nawet życia.

Widoczna, że serce nasze ciągle potrzebuje zadowolenia, jak kwiat potrzebuje ożywnych promieni i rosy. Jemu, jak i roślinie, nie można powiedzieć: *Bądź cierpliwym; oto dni tyle nie będziesz ani ogrzewany słońcem, ani pojony balsamem życia*. Ono zawieździe i zginie. Sztuczne ciepło rozumu tym jest dla serca, czym cieplarnia dla kwiatu. Będzie on kwitł i oswoi się z jego temperaturą, ale to życie nigdy nie będzie takim, jakim go obdarza przyrodnie⁹⁰ jego klima⁹¹.

⁸⁹ *Działalnik* – tu: zarządca, wykonawca.

⁹⁰ *Przyrodnie* – zgodnie z naturą.

⁹¹ *Klima* – klimat.

V.

Iluż to ludzi na tym Bożym świecie
 Żyją, nie wiedząc, nie marząc o życiu!
 I najpiękniejsze młodości swej kwiecie
 Uronią w przeszłość jak młodość w spowiciu –
 Bez uczuć, wrażeń, wspomnień i nadziei,
 Nudnie, powolnie, jak ów bieg strumienia
 Monotonicznej pilnując kolei,
 Byle dopełnić kresu zapomnienia.
 I toż jest życie? I na toż Bóg wielki
 Dał pierś namiętną i silne ramiona,
 I tę naturę roztoczył przed nami,
 I błękit Nieba wyniósł nad głowami?

Powiedz, istoto zimna, niewzruszona,
 Z jakim uczuciem, z jaką w Istność wiarą,
 Stajesz ty potem nad grobu pieczarą,
 I czego pragniesz lub lękasz się czego?
 Bez wdzięku snuł się życia twego wątek,
 Tyś je pamiątką nie uświęcił żadną –
 Jesteś jak statku rozbitego szczątek
 Na falach morza nieobejrzanego;
 Któremu równo – czy lecieć z wiatrami
 Czyli spokojnie drzemać nad wodami,
 Aż go powolnie czas pogrąży na dno⁹².

A tak zaczynało mi być przykrym to, jakie pędziłem życie. I ja musiałem podzielać powszechne przekonanie, że w świat mi iść trzeba, a ten świat, pokazywany zawsze z ułudnej strony, w szczęśliwych skutkach, wyrobił we mnie świetne o własnej przyszłości nadzieje.

Czułem jednakże, że chodziłem w pożyczonej szacie. Były chwile, w które, gdyby mię kto zapytał o odpowiedź z serca, przeczące wyjawilibym zdanie.

Bo są wprawdzie ludzie, których życie potrzeba zakowywać⁹³ przynajmniej do lat trzydziestu pięciu w kajdany wymagań świata, gdyż w przeciwnym razie nieokiełznane namiętności górę wziąć mogą, a w głowie dzikie tylko zapłodnią się chwasty. Takie łby są to łby jedyne do zapełniania ich próżni modelami różnej objętości i wyrazu,

⁹² Fragment prawdopodobnie autorstwa Fisza.

⁹³ *Zakowywać* – wykuwać, hartować.

bo z tych form bezdusznych, skryształizowanych przez pamięć, rozum, ten wieczny nasz Dagerotyp⁹⁴, będzie mógł z czasem odbijać na tle swoim obrazki.

Weźmy na chybi-trafi choć parę przykładów.

Ten na przykład syn pana Podkomorzego, no, pytam: co z niego być może? Jest on zdrow i wcale ładny chłopiec. Liczy teraz dwudziestą wiosnę. Był to jedyny pieszczoszek Mamy. Niańka zawsze była winną, jeśli zbił nosa; guwerner – jeśli nie chciał się uczyć; kucharz – jeśli mu bolał żołądek od obżarstwa; lokaj – jeśli miał splamioną suknię, słowem: tak on wyrósł w młodzieńca pod zasłoną Mamy, ani rozwijając umysłu, ani kształcąc serca. Ani umysł więc, ani serce nie miały ruchu, ale za to w miarę bezwładności tamtych budziły się żądze. Dziś on zaczął jawnie już próżnować, bo uważa siebie za skończonego człeka. Odpowiedzi na kwestie do przyszłego życia przygotował sobie najprostsze. „A na co mi się uczyć! Czy to ja stąd chleb jeść będę! A na co mi służyć! Czy ja nie będę miał majątku! Ożenię się sobie, zaliczę do jakiegokolwiek urzędu, byleby otrzymać pierwszą rangę i uczestniczyć w wyborach, a potem zostanę sobie obywatelem, będę sobie mieszkał na wsi – i basta!”.

Syn znów pana Sędziego ma inne widoki. Nauczył się mówić po francusku i tańczyć kadryla⁹⁵. Włosy zapuścił długie; garnitur na nim zawsze modny; kupił pięć koni, koczyc kawalerski⁹⁶ w Berdyczowie i objeżdża periodycznie⁹⁷ jak Kwestarz panów obywateli.

Choć strzel do niego, on ci nie powie ani słowa o tegoczesnym politycznym stanie Europy, o Literaturze, Agronomii, ale wie, że wyłogi u fraków nie noszą już z wycinanymi ząbkami, że poły są szerokie i na rogach ścinają się okrągło, i że *tréko*⁹⁸ orzechowe w kratki jest dziś na pantalon⁹⁹ najmodniejsze.

Alc chcecie może widzieć młodzieńca, jak na przykład syn pani Marszałkowej! On skończył kursa prawne i wstąpił do Kancelarii Gubernatora. Nie pytajcie go o encyklopedii prawa, o zależności i stosunkach władz sądowniczych, nie pytajcie go nawet: podług jakiej formy pisze się prośba, a podług jakiej raport lub protokół, bo dalibóg, on jak w rogu, nic nie wie. On pisać nawet już przez pół zapomniał, ale z tym wszystkim służy; mieszka w mieście, ubiera się modnie, wizytuje, uczęszcza na bale, tańczy do upadłego, a pije zupełnie *naupadł*¹⁰⁰.

⁹⁴ *Dagerotyp* – obraz otrzymywany na metalowej płytce w starej technice fotografii.

⁹⁵ *Kadryl* – XVIII-wieczny taniec salonowy.

⁹⁶ *Koczyk kawalerski* – pojazd spacerowy lekki z budą lub bez, z drzwiczkami z boku, cztero-kołowy, przeważnie dwuosobowy.

⁹⁷ *Periodycznie* – okresowo, regularnie co jakiś czas.

⁹⁸ *Tréko* – trykot, dzianina kolumienkowa.

⁹⁹ *Pantalon* – dawn. spodnie.

¹⁰⁰ *Naupadł* – na umór.

Może też poznać się i z synem pana Chorążego? A, to także nie lada człowiek! Jak skoro dotarł szóstej klasy, tak kamieniem osiadł w rodzicielskim domu. Zaczął handlować końmi, wali w skórę chłopów i punktualnie co roku jeździ na Kontrakty do Kijowa. Stamtąd przywozi sobie zawsze garnitur nowy, fiksatoar¹⁰¹ czarny, szczoteczkę do włosów i bukszę tureckiego tytoniu. Czytanie książek uważa za największe w świecie głupstwo. Ożenić się chce koniecznie bogato, bo ojciec weń wmówił, że ma majestatyczną postać i twarz zachwycającą, zwłaszcza w profilu.

I cóż z tych panów być może?

Oto syn pana Podkomorzego, ponieważ jest dumny i głupi, więc jak tylko znajdzie się bez Mamy w towarzystwie, prędko zrazi się złym przyjęciem i nadmie się na świat i ludzi, a osiadłszy w domu, zacznie liczyć krupy, gderać na służących, chować się od gości za węgłami, a gdy jeszcze odbierze od jakiej panny harbuza¹⁰², z rozpacy przywyknie do wiejskiej spódniczki, sprościeje w obyczajach, straci zdrowie w bezrządzie¹⁰³, na koniec pełne kaprysów, dziwactw i mizantropii rozpocznie kawalerskie życie.

Syn pana Sędziego ożenić się może korzystnie, bo jest dość otarty w płaskich rzeczach, co właśnie stanowi cechę salonowego wykształcenia u nas. Wypisze natenczas *Revue etrangère*¹⁰⁴, ażeby leżało zawsze w bawialnym pokoju na stoliku; z żoną będzie rozmawiał po francusku, odłужał na zbytki majątek, utrzymywał plenipotentą, bo sam i na obwieszczeniu Stanowego prystawa¹⁰⁵ rozpisac się nie umie. Później, w miarę pogarszającego się stanu majątku, zrodzą się niezgody w pożyciu, wymówki, wzajemna obojętność, na koniec pokątne miłostki, często rozwody, a gdy na to zabraknie pieniędzy, więc zgryźliwe, kłótlive pożycie jak psą z kotem.

Syn pani Marszałkowej, jeśli po otrzymaniu rangi i z powodu odłужonego na zbytki majątku osiadzie na wsi, to już najniezawodniej, że podzieli czas na dwie części. Jedną zajmą kuracje wycieńczonego umysłową pracą zdrowia; drugą – wizyty w celu upatrzienia posażnej panny i co najrychlejszego ożenienia się, a to z dwóch arcyważnych przyczyn. Pierwsza – dla wybrnięcia z długów, w które się już wlażło po uszy; wtóra – ażeby będąc pewnym stałego i dostatecznego funduszu, można się było bezpiecznie pograć w najśłodszej a ciągłej beczynności.

Syn zaś pana Chorążego zupełnie inną pójdzie drogą. Ten nie straci majątku, ale też nie wymyśli prochu. Niech dziś wszyscy dokoła obywatele zaprowadzą płodozmian,

¹⁰¹ *Fiksatoar (fiksatur)* – rodzaj pomadki, szczególnie do malowania wąsów.

¹⁰² *Odebrać od panny harbuza* – spotkać się z odmową kobiety, starając się o jej rękę.

¹⁰³ *Stracić zdrowie w bezrządzie* – tu: stracić zdrowie, żyjąc w nieporządku, nieładzie, zaniedbawszy siebie.

¹⁰⁴ *Revue etrangère* – czasopismo, przegląd zagraniczny.

¹⁰⁵ *Obwieszczenie Stanowego prystawa* – zawiadomienie wydane przez prystawa ‘w carskiej Rosji: naczelnika niewielkiego okręgu administracyjnego’.

budują młócznie, zakładają cukrowe fabryki – on będzie się śmiał z nich i mówił: „A my i bez tego będziemy mieli tok¹⁰⁶ pełny i pieniądze w kieszeni. My będziemy tak robić, jak nasi ojcowie robili”. Więc gospodaruje i gospodarować będzie przynajmniej do 1860 roku na trzy zmiany; dom w lat dziesięć nową pokryje słomą, na przybudowanie ganku poświęci całe lat cztery; a gdy już wokoło odmień się i zwyczaj, i instytucje, gdy już ludzie o innych zaczną myśleć celach, on dopiero wtedy zacznie myśleć i będzie myślał całe lat cztery nad tym tylko: czy też nie od rzeczy będzie chwycić się i jemu tej drogi? A gdy ta myśl wyrobi w nim korzystne przekonanie – aż natenczas już zajmie się jej urzeczywistnieniem – i to broń Boże, nie gwałtownie! „Pomału, pomału, będzie powtarzał sobie. Co nagle, to po diable. Nie razem Kraków zbudowany”. I z ożenieniem się także poczynać będzie. Nim się namyśli, czy starać się o taką to a taką pannę, przejdzie najmniej dwa lata; potem zacznie zbierać się z wizytą pół roku; potem – broń Boże odmówienie! – i mój bohater, już to pewna, nie pokaże przez rok cały ze wstydu na świat nosa. Po niejakiem czasie znów wypatrzy sobie jak zza płotu oblubienicę i znowu tąż drogą w zaloty, i znów pójdzie z kwitkiem, i znów osiedzie jak w Klasztorze. Aż na koniec natrafi na *swoję*, przez lat kilka zaopatry się w jakie pięcioro dzieci, żonie nie będzie pozwalał wyjeżdżać z domu, a nigdy bez niego, na koniec przywdzieje długi surdut z siwymi barankami, otyje z próżniactwa i żarłocstwa, arendarza Jankiela zrobi pełnomocnym i do sprzedawania produktów, i do kupna na jarmarkach koni; to będzie jego plenipotent, jego pośrednik z Sądem ziemskim, jego żywa odpowiedź na listy, a nawet starczy mu za „Journal des Debats”¹⁰⁷, „Tygodnik”¹⁰⁸, „Kurier Wileński”¹⁰⁹ itd., bo on (za to rękę) nigdy nie zrobi tego głupstwa, ażeby na wypisanie choćby jednej gazety stracił kilkadziesiąt złotych.

Na takich to więc i tym podobnych ludzi, moi panowie, przerabia próżniackie życie naszych panów obywateli. Nie wszystkich, to prawda, ale wielu. Tym to więc panom nie korzystnym jest przywykać z młodu do wiejskiego zacisza, bo ta spokojność nie obraca się na korzyść własną, ani też nauk nic tam nie zyskują, ani umysł, ani serce, nic też zbawiennego następnie nie objawi się w skutkach; ale przeciwnie: władze duchowe tępieją; siła fizycznego ciężaru jak zmora cięży, przemaga nad wszystkim; fałszywy egoizm lub bezwładne lenistwo opanowują myśli; człowiek oddziela się jak chorobliwy członek od reszty ciała; i natura, taż sama natura, co w drugich zwykła zapładniać najszczytniejsze przedsięwzięcia¹¹⁰ i genialne myśli, wieje suchym wiatrem na niego.

¹⁰⁶ Tok – klepisko, tu w znaczeniu urodzajne zbiory.

¹⁰⁷ „Journal des Debats” – „Dziennik Debat”, gazeta francuska utworzona w czasie Rewolucji Francuskiej.

¹⁰⁸ „Tygodnik” – być może „Tygodnik Petersburski” (1830–1858).

¹⁰⁹ „Kurier Wileński” – dwujęzyczna gazeta polityczno-literacka, wydawana w języku polskim i rosyjskim, ukazująca się w Wilnie w latach 1841–1915 i w Homlu w latach 1915–1916.

¹¹⁰ Przedsięwzięcia – czyny, przedsięwzięcia.

Ale też są i tacy, którym boleśnie jest wynaturzać siebie, ażeby odpowiedzieć przywidzeniom świata; którzy daleko przed dojściem do czwartego uniwersyteckiego kursu, już zdali eksamen¹¹¹ przed sobą samym i pojęli cały ciężar oczekującej ich pracy; którzy zapalając świecznik rozumu, ażeby spuścić się z nim do ciemnych kopalni pracującego świata, czują, że razem z tym, będą tam pozbawieni promieni słońca.

I tu to właściwie leży tajemnica skutków objawiających się w wielorakich formach. Bo zważcie tylko: oto wszyscy występujęm na widnię z jednakim, prawie wiotkim pojęciem i lepką uwagą. Aliści młodzieniec nie był jeszcze w stanie rozpatrzeć się około siebie i rozpostrzeć skrzydła swych myśli, gdy porywa go świat, wtlacza w swe formy, nadaje swe kształty; słowem: począwszy od stopy, którą wykrzywia tancmistrz, a skończywszy na Heglu¹¹², w którego wierzyć mu każą – wszystko w nim opatrzone, uprzedzone, wyrobione stosownie do mody, wyobrażeń i czasu. Z każdym dniem nowy tłumek starych myśli pakują mu do głowy; każdy dzień powiększa koło jego nauk, stan jednakże bezpośredniej niewiadomości siebie¹¹³ trwa dopóty, aż serce, ów termometr wewnętrznego duchowego naszego ciepła, ogrzeje zimny sklep rozumu i w jego przyrodnią siłę wieje życie.

VI.

O, rozumie! Okropnie jest wypowiedzieć ci posuszeństwo, ale też i okropnie poddać się pod wyłączną twą władzę! Ty zimną pieczęć kładziesz na wszystkie otaczające nas przedmioty i najgorętszy, najczystszy hołd uczuć witasz uśmiechem trupa¹¹⁴.

Kiedym przybył do Petersburga, z początku mię zajął, ogłuszył ten wir, ten chaos miasta. I zazdrość, i podziwienie, i uczucie własnej niższości kolejno wstrząsały mię całego i myślom nie dawały pokoju. Zazdrość obudzała się na widok zaślepiającego przepychu możnych i rozkosznego ich życia; podziwienie – na widok okazywanych hołdów, świadczonych honorów, którymi osypują zasłużonych, znakomitych ludzi; uwielbienie – dla geniuszu, którego twórcza siła, przejawiona czy pędzlem, czy dłutem,

¹¹¹ *Eksamen* – dawn. egzamin.

¹¹² *Hegel* – Georg Wilhelm Friedrich Hegel (1770–1831), niemiecki filozof, twórca nowoczesnego systemu idealistycznego.

¹¹³ *Niewiadomość siebie* – niewiedza, nieświadomość.

¹¹⁴ Fragment zapewne autorstwa Fisza.

w parowej maszynie czy w masie ogromnego gmachu, stając się podziwem późnych pokoleń i wieków, zachwycała moją wyobraźnię; ale uczuwałem też często zgryźliwy wstręt i przerażenie na widok tej okropnej nędzy, która tu tak zwodniczą umie przybrać maskę, a którą w całej nagości podstrzegłem nieraz.

Często też, umieszczając siebie w stosunku względem tego wszystkiego, co mię zachwyca i otacza, wyprowadzałem stąd najróżnorodniejsze wnioski. I tak, kiedy siedzę na przykład w pysznej cukierni wśród złoconych ścian i zwierciadeł, a przede mną szklanka czekolady, a wokoło mię gazety ledwie że nie z całego świata, czy gdy zachwycam się cudnym śpiewem Rubiniego¹¹⁵ i czarującymi tonami muzyki, albo przepychem, blaskiem, wesołym chaosem balu, czy też gdy podziwiam ten pyszny, kipiący życiem landszaft Newskiego Prospektu¹¹⁶, natenczas przechodzę pod wpływ niewytlumaczonego uroku, który albo ściiera z pamięci moją przeszłość, albo pokazuje ją w tak dziwacznych kształtach, że mimowolnie śmiać się z niej i mojego dzieciństwa muszę. Myślę sobie: doprawdy byłem dzieckiem! Bo nie jestże to nieprzebaczona gnuśność zakopać się dobrowolnie gdzieś w głuszy wiejskiego życia, zakochać się w ubogim futorze, ulubić wieśniaczą prostotę, jej grube obyczaje i nieokrzesaną dzikość – wtenczas, kiedy tu taka oświata! Taka wyższość! Taki ruch, wesołość, wykształcenie! I człowiek żyje tak oddalony od pierwobytniej¹¹⁷ prostoty!

Tak myślę dzień jeden – drugi – trzeci – potem badawczym wzrokiem, z natężoną uwagą zaczynam śledzić wszystko – i dziwna! Tak to wszystko zachwyca mię, unosi, że gotowym bieć gorliwie w tych ludzi ślady, zapomnieć, wyśmiać pierwotne moje przekonania, pierwotną moją czułość.

A więc już zrobione postanowienie! Tak. Rozum je potwierdził – nadzieja ubarwiła przyszłość – ja, niby uspokojony wewnątrz, jak ów pielgrzym, co już na pewną z obłądu wyszedł drogę, ocucam się w moim pokoiku, gdzie nie dolatuje gwar miasta, albo w samotnej ustroni, skąd widzę tylko siną Newę i łęgi, a dalej rozrzucone domki, a jeszcze dalej lasy; kiedy do tego przyłączy się smętna cichość wieczoru, albo księżyc pozłoci listki, albo wzrok spotka stado żurawi gdzieś pod chmurą – oho! – we mnie znowu zbuntują się, zakipią najsprzeczniesze wyobrażenia.

Pierwej było mi jakoś wesoło, dumnie, teraz rzewnie i niby tęskno, ale razem z tym przyjemnie i słodko. Pierwej blekły¹¹⁸ w mych oczach pamiętki, rozum wskazywał przyszłość, o sercu nie wiedziałem, czy bije, a rzetelniej mówiąc: pogardałem

¹¹⁵ *Rubini* – Giovanni Battista Rubini (1794–1854), włoski tenor, jeden z najbardziej znanych śpiewaków w Europie w latach 30. i 40. XIX w.

¹¹⁶ *Newski Prospekt* – główna ulica Petersburga, zaplanowana przez Piotra Wielkiego.

¹¹⁷ *Pierwobytny* – pierwotny.

¹¹⁸ *Bleknąć* – blaknąć.

jego prawami, bo mi się zdało, że te jego prawa są już odgadnione przez rozum i zapobieżone w skutkach, jak są zapobieżone skutki ospy, a teraz znowu toż upośledzone serce bierze górę, ciągnie mię do przeszłości, rozwija w myśli cały urok pierwotnego życia, słowem: pobudza do tęsknoty, rodzi nieprzezwyciężone pragnienie powrotu na łono wioski, a rozwiewa w nie godziną przedtem wyrobione idee. Co to jest ze mną? – pytam sam siebie wtedy. Dręczą mię mocno podobne paroksyzmy; bołą od nich i głowa, i serce, lecz do dziś dnia jeszcze lekarstwa na to wynaleźć nie mogę.

Po jakimś czasie o wiele spadły moje wrażenia. Kiedy ten ogół zbity w jedną wielką masę zacząłem rozdrabniać na części, a te części zredukowałem aż do jednostek – okazało się, że wszystkie te jednostki, co tak świetną powierzchownie tworzą z siebie całość, są w istocie takież jak i my natury i ani o włos nie doskonalsze od nas. Że jeśli przewyższają nas – rozumem, za to nigdy uczuciem, a wyższość ich na pozór jest czysto materialną tylko.

Lecz co mię wtrąciło w ten szumny wir świata? Powiedzmy prawdę. Dziś świat tak przenikliwy, że poznałby się na fałszu, gdybym zaczął trybem tuzinkowych poetów narzekać na me losy, skreślać oklepane dzieje miłości, niewiary itd. Nie, nie, żadna z tych przyczyn! Odbiegłem rodziny pod wpływem świetnej nadziei o przyszłości, w celu powiększenia materialnych środków, uczynienia niezawistym nadal życia, słowem: jota w jotę z takimi plany, na jakich zasada się Kompania Wschodnioindyjska¹¹⁹, tylko rozumie się samo przez się – w miniaturze. Dziwna! Nikt z egotystów nie powiedział dotąd wyraźnie, że oddała się ze stron rodzinnych dla zrobienia majątku, ażeby powróciwszy z pugilaresem pełnym bankowych biletów, kupić na kijowskich Kontraktach jakie dusz trzysta, osiąść na wsi i żyć odtąd spokojnie, to jest: chodzić w szlafroku dzień cały, pić kawę z dobrą śmietanką, jeździć koczem itd. Jeśli zaś i wyjawiał ten projekt, to pewnie w liście do rodziców albo do któregośkolwiek ze znajomych, bez najmniejszego pokuszenia się na odzianie swych myśli w beletryczną formę, a tymczasem jest to najniezawodniejsza prawda i nie wiem, za co puszczają ją w świat ci panowie zawsze pod maską.

Tak, wierzcie mi, z tym zamiarem biegł prawie każdy z nas w ten świat wielki i cele każdego, chcąc je przyprowadzić do jednego mianownika, najlepiej jest zredukować na ruble. Odkąd więc i ja moje prace zacząłem równoważyć z asygnatami, od tego czasu, nieraz żałując marnie traconych chwil życia, przemyślałem nad tym: jakim by sposobem ten podły kruszec przysposobić co najrychlej można, z którym

¹¹⁹ *Kompania Wschodnioindyjska* – Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska, korporacja zrzeszająca angielskich inwestorów, z siedzibą w Londynie, działająca od 1600 do 1858 roku, przede wszystkim na terenie dzisiejszych Indii, także w Azji Południowo-Wschodniej i na Dalekim Wschodzie.

wszystko, bez którego nic na tym świecie? Wtedy dopiero, myślałem, rozwinąłbym niezależne skrzydła moich myśli i poszedł wskazaną mi przez natchnienie drogą. Czy go przysposabia praca, czy geniusz, czy szalbierstwo, czy po prostu: traf, ślepe szczęście, które ma się błąkać wśród ludzi?

Praca – ale gdzie tam! Tyłu znam poczciwych, pracujących gorliwie przez całe życie: i cóż mają? Nic – nic – jednym słowem.

Geniusz więc? O, nie, i nie geniusz! Prawdziwy geniusz to wróg ciała stokroć gorszy od poczciwej pracy. On prowadzi człowieka drogą, na której dziś rosną tylko głogi i ciernie. Jak moją szosową tablicę niesie on zawsze przed sobą idee, niesprawdzone w praktycznym byciu ludów. Jego słowa to głos wołającego na puszczy. Duchem oderwany od gminu, on zapomina o materii własnej, gardzi zwierchnymi szaty, a tłum głupi, nie przeczuwając w nim iskry Nieba, niezdolny wznieść się myślą ku niemu, mieni go być dziwakiem i w bolesne wtrąca zapomnienie.

Szalbierstwo więc? Tak, najczęściej podobno! Ale to czyn podły...

Wiem, że wielu z ludzi odważyłoby się na najbrudniejsze sprawy, gdybyś ich tylko potrafił zapewnić, że podczas akcji zakryjesz argusowe światła tego oczy¹²⁰. Tu o religii, o miłości bliźniego, o chrześcijańskich cnotach – ani słowa. Opinia – to ich bożyszcze, ta ich więź, ta jeszcze waży u nich cokolwiek. A dlaczego? Bo stąpa na szczebel wyższy, bo żąda jaśnieć na nim bez skazy i odbierać na równi z najgodniejszymi hołdy.

Więc ślepe szczęście? Nieszczęsny, spotkajże je, bądź mądry! Goniż ono za tobą, czy ty powinieneś upędząć się za nim? Na jakiejże go drodze szukać trzeba? Jakie ono na koniec: czy się maskuje, czy z odkrytym przelata obliczem?

Mnie się zdaje, dumałem po chwili, że żadna z wyżej wyjaśnionych przyczyn nie prowadzi rzeczywiście do osiągnięcia zamierzonego celu.

Jeśli kto i doszedł mety, stało się to przypadkiem, który nie pociąga za sobą żadnego wniosku.

Bo kiedy się zastanowię ściśle, widzę w moich niepowodzeniach wyłącznie własną moją winę. Tam traciłem przez zbytnią nierozwagę, ówdzie przez gorliwość o prawdę, a gdzie indziej przez niedbalstwo, pośpiech lub głupstwo.

Nie można więc tak doskonale rozrządzić sobą, ażeby w każdym razie, a przynajmniej o 9/10, mieć zapewniony skutek?

A, widzę, że można!

Jakże więc mam poczynać z sobą?

Zamyślałem się – a zimny Rozum szeptał cicho:

– Potrzeba się wyrzec – naprzód: **NAMIĘTNOŚCI**.

Ścisnąłem pięści – mróz przeszedł po całym ciele.

¹²⁰ *Argusowe światła tego oczy* – oczy czujne, podejrzliwe.

– Po wtóre: SYMPATII.

Zgrzytnąłem – krew mi uderzyła do głowy.

– Po trzecie: UCZUĆ, z którymi wiecznie nastęcza się ci serce.

– To będzie niewola! – krzyknąłem na koniec.

– Co za niewola! – powiedział Rozum, rozczepiając w perswadującym sposobie przed moimi oczyma dwie żylaste dłonie. – To będzie wypleniona, przerobiona stosownie do wymagań świata twoja natura.

– O, Boże! – rzekłem. – A cóż zostanie dla mnie? Gdzie dam miejsce obecnym mieszkańcom mego serca?

– Cha, cha, cha. Dziwnyś ty człowiek! – powiedział znowu Rozum. – Powiadam ci, to wszystko wyplenić trzeba, inaczej nigdy nie trafisz do końca. Spuść się tylko na mnie: ja usiędę na miedzy i będę czuwał nad spokojnością twoją.

– Nie wierzę – odrzekłem – ażebyś bez uczestnictwa serca pozyskał mi to szczęście, do którego masz mię doprowadzić na tej ziemi. Bezsilne są wprawdzie jego władze bez twego wsparcia, ale i zdradliwyś ty bez jego pomocy. Przypuszczam zresztą, że możesz dojść celu – a cóż potem?

– Rozkosz, honory, pełne wesela i dostatków życie.

– A tyż mię, zdrajco – pomyślałem w duchu – doprowadzisz o swój mocy do tego punktu bez nadwężenia sumienia, a potem bez podłego opuszczenia w najkrytyczniejszej chwili!

Zdało mi się, że chytry doradca pojął nieme zapytanie mojego wzroku, bo trupi blask jego oczu zniknął przede mną.

Odetchnąłem swobodnie. Ale powiedzcie, azali w tym świecie, chcąc dojść celu, można dojść inaczej? Ja nosię im w dani prawość uczuć, a oni opatrują me szaty; ja przywdziewam stosowne szaty, a oni liczą: jak wiele przetrwałem lat próby? Nie ma sposobu! Powściągasz, tłumisz gwałtowność uczuć; oblekasz się na długą, dobrowolną mękę; wynaturzasz siebie moralnie – i oto wchodzisz w karby świata, stąpasz według ciężkiego taktu jego bezdusznej harmonii; na koniec – spodlony, znękany, odarty z niewinności, przerobiony na zimną, wyrachowaną bryłę z sercem, co się zamieniło na kamień, z krwią, co się obróciła w wodę – stajesz znowu przed ludźmi, domagasz się nagrody. Jakiej? Garści podłego kruszcu! – Za co? – Za wszystko! Mówisz: za moje odszczepieństwo, za moje wynaturzenie się, za przerobienie całego siebie podług danej próbki! I dopiero, świat cię opatruje powtórnie od stóp do głowy, wnioskuje, rozważa, próbuje, o ile przerobiłeś się na prostą machinę, jak wiele zaparłeś się człowieka? A gdy po twym czole prześlizną się gładko wszystkie ich próby, gdy tve usta mówią już nie z uczuć lecz z reguł, gdy tve ruchy działają podług danego taktu – słowem, jeśli postępujesz zupełnie w przepisany porządku i podług nakreślonych figur, natenczas odsyłają cię po miejsce, gdzie jak w Klasztorze, jak w teatrze, odbierasz celę lub zajmujesz numer.

Ale biada ci, jeśliś nie wygasił do szczytu w łonie swoim uczucia! Ogień to ja-skrawy dla świata oczu – on go dostrzega prędko, znieść nie może, ucieka, odwraca się od niego.

Ukraino! I wy, moje ukochane futory i wody! Kiedyż ja i jaki wrócę na wasze łono? Czy przechowam od brudnego wpływu świata to czyste, które od was wyniosłem, uczucie, czy – może – zimny, smutny, obojętny, witając was, powtórzę z Zaleskim:

Gdzież są świetne moje mary?
Cele moje? Tegoż wieńca
Łzy pragnęły zapaleńca,
Łzy, płomienie i ofiary!¹²¹

*Pisałem w St. Petersburgu
w kwietniu 1844 r.*

¹²¹ Józef Bohdan Zaleski, *Rusalki*, w: tegoż, *Poezye*, Lwów 1838, *Epilog*. Fisz zmienia w ostatnim wersie znak zapytania na wykrzyknik.



Ilja Riepin (1844–1930), *Kozacy piszą list do sułtana* (1880–1891)

NOC TARASOWA. POWIEŚĆ Z DZIEJÓW UKRAINY 1624 R.

I.

Na dołyni, pry Czéhryni¹,
Wid pancernych śjaje szlach –
Witrek tyszkom – honyt łyszkom –
Po buńczukach – szach – szach!
To wy, Laszki!...²

*Tymon Padura*³

Nad brzegiem skalistej Rosi⁴, wąskim, ale szumnym korytem wijącej się po jarach Ukrainy, leży miasteczko Korsuń. Fizjonomia tej posady prawdziwie ukraińska! Stepy, jary, dzikie knieje otaczają ją z każdej strony, a tuż nad miastem ogromne góry potoczysto zsuwające się do brzegów Rosi, najeżone dąbrową i kurhanami, piętnują go jeszcze bardziej ponurym rysem.

W 1624 roku, w owe czasy, kiedy Ukraina była jeszcze jednym wielkim grobowcem i rozległą pustynią, kiedy ledwie miasteczek kilka i kilkadziesiąt wsi od brzegów Służa⁵

¹ *Czehryń* (ukr. *Чухурин*) – miasto w centralnej części Ukrainy, obwód czerkaski, rejon czehryński, nad rzeką Taśminą.

² W przekładzie:

Tam w dolinie,

Przy Czehryniu,

Od pancernych błyszczą szlak –

Wietrzyk cicho goni licho –

Po buńczuchach – szach, szach!

To wy, Lachy.

³ *Tymon Padura* (*Tomasz Padurra*) – (1801–1871), poeta polsko-ukraiński, teorbanista, kompozytor, autor pieśni *Hej, sokoły*.

⁴ *Roś* – rzeka na Ukrainie, prawy dopływ Dniepru. Płyńie przez Wyżynę Naddnieprzańską, długość rzeki wynosi 346 km, powierzchnia dorzecznia – 12 575 km².

⁵ *Służ* – być może chodzi o rzekę Słucz, w dawn. guberni wołyńskiej, lewy dopływ Horynia.

po poroży⁶ dniewrowe stanowiły ludność jej całą, Korsuń⁷, jakkolwiek nierozległy, niepoślednim był grodem; z dała głębokim jarem czerniły się strzelnice i okopy jego wzniesione na lewym brzegu rzeki, a kilkadziesiąt chat bielilo się pomiędzy nadbrzeżnymi sady.

Ale tenże jego stan pustelniczy nadawał mu dziwnie poetyczne oblicze. W górzystej pustyni, pomiędzy lasami i głębokimi jary, leżał on przylgnięty do zimnej skały jak stado rozpierzchniętych dropi⁸ w burzanach stepu, jak obóz chwilowo rozrzucony i nie dowodził niczym rolniczego życia mieszkańców. Dokoła jego zagony pokryte były bujną trawą, z burzanów wyglądały łyse kurhanów czoła, na ustroniu pod górą czerniły się krzyże cmentarza, a pomiędzy tym wszystkim wąski szlak przemykał się z południowej strony do miasta i na przeciwległej górze znikał w zakrętach lasu. I bywały dni, w które żadna żywa dusza nie pokazywała się na tej drodze, tylko orły przelatywały pod obłokiem, spoczywały na kurhanie i słuchały tęsknej nuty wiatrów!

Kiedy dzień był cichy, o wschodzie słońca i wieczorem, słychać było głos dzwonka, jak odbity echem skał nadbrzeżnych jęczał daleko ponad wodami Rosi. Był to głos dzwonka kościelnego. W łonie tej posady, otoczona gęstym częstokołem⁹, w krzakach bżów i kaliny, bielila się kaplica mała; obok niej schludny domek kapłana.

Właśnie w chwilę najpiękniejszej pogody i ciszy, kiedy słońce już już zajaśnieć miało na niebie, zdejmując coraz wyraźniej ciemną oponę nocy z rosą pokrytej ziemi, daleko, na drodze, z południowej strony miasta, dał się słyszeć głuchy tętent koni, szcęk oręża i ponure głosy rozmawiających ludzi. Wkrótce chmury pyłu wskazały miejsce pochodzenia przybywających, a skoro ci opuścili ciemną dąbrowę¹⁰ i na czyste wstąpili rozdoły¹¹, błysnęły zastępy uzbrojonych żołnierzy. Mierzonym, ale dość spiesznym krokiem zbliżali się oni ku miastu. Z ich pyłem i krwią okrytej zbroi, z ich bladych twarzy i znużonych koni znać było wyraźnie, iż w krwawej byli przygodzie. Szli oni pieszo, prowadząc konie w rękę. Każdy z nich był uzbrojony w proporzec, pałasz i pistolety, amarantowe zaś mundury, wyniosłe czapki i srebrem haftowane

⁶ *Poroh* – próg skalny w łożysku, korycie rzeki, powstały wskutek różnej odporności skał na erozję, utrudniający spływ i powodujący nagły spadek wód; katarakta.

⁷ *Korsuń* – miasto na Ukrainie, stolica rejonu w obwodzie czerkaskim. Dawna polska rezydencja magnacka. Leży nad rzeką Roś.

⁸ *Drop* – najcięższy ptak latający z rodziny o tej samej nazwie, z rzędu żurawi; zamieszkiwał także stepy ukraińskie.

⁹ *Częstokół* – element dawnego budownictwa obronnego w postaci ogrodzenia składającego się z drewnianych, zazwyczaj ostro zakończonych pali, wbitych jeden przy drugim, prosto lub ukośnie w ziemię.

¹⁰ *Dąbrowa* – las złożony głównie z dębów; dębniak.

¹¹ *Rozdół* – wąska, głęboka dolina; wąwóz, jar, parów.

szlify wyjawiały, znanych powszechnie wtedy na Ukrainie, pancernych husarzy Hetmana koronnego Koniecpolskiego.

Oddział ten składał się z dwustu przynajmniej żołnierzy, którzy uporządkowani po trzech w każdym szeregu długą taśmą po górzystym rozciągnęli się szlaku tak, iż gdy pierwsze zastępy na czystej były już dolinie, reszta ciągnęła się jeszcze z głębiny lasów.

Na czele tej garstki szło kilku pancernych towarzyszków. Wyprzedziwszy o kilkanaście kroków szeregi żołnierzy, skupili się oni i zajmującą prowadzili rozmowę, a spokojne ich czoła, męskie rysy twarzy i zawiesziste wąsy świadczyły, iż to byli wprawni wojownicy, którym nie raz pierwszy przyszło spotkać się z wrogiem i przepędzić w pochodzie noc bezseną. Z rozważą i tą wojenną dumą, która tak zgodnie odpowiadała rycerskim ich postaciom, spoglądali oni często przed się, jakby pragnąc przeszyć wzrokiem srebrną pokrywę tumanu¹², który zaległ Korsuń i rozciągał się daleko ponad wodami Rosi. Ale gdy nic postrzec nie mogli, zagniewany jeden towarzysz odezwał się gniewnym głosem:

– Przeklęty tuman! W tej piekielnej Ukrainie i dniem nic obaczyć nie można! Teraz na przykład, kiedy, o ile znam przynajmniej te strony, zdaje mi się, iż przed nami Korsuń na strzał janczarki¹³ znajdować się powinien, tu nic a nic nie widać!

– Ale nie inaczej! – rzekł drugi. – Wszakże ze stron różnych znam tę lichą mieścinę! Korsuń w tym o tu jarze. Kolego! – dodał, obracając się do obok idącego towarzysza – ty tu byłeś kilkoletnim mieszkańcem, powiedz no: nie opętał li nas bies ukraiński?

Towarzysz zapytany był mężczyzna młody, dobrze zbudowany, na którego twarzy nie znać było trudu i znużenia, pomimo to widać było, iż sprawiał się w potrzebie nie leniwiej od innych, bo opończy miał krwią obryzganą, a *żeleźce*¹⁴ czarno-czerwonym błyskało kolorem.

– Nie! – rzekł, odwracając wzrok z prawej strony, gdzie patrzył sokolim okiem na czahar¹⁵ zieleniejący się w dali nad brzegiem Rosi. – Tu! Tu! Korsuń.

– Jakkolwiek, towarzyszu, za młodym jesteś przeciw nas – rzekł znów pierwszy – nie naganiam ja przecież Hetmanowi, iż powierzył tobie dowództwo oddziału. Tu, żeby nocą bez przygody przebyć te jary, te ciemne lasy, trzeba koniecznie znać się z każdym krzakiem i mogiłą. Bez ciebie, jak mi Bóg miły! – błądzilibyśmy jeszcze po dzikim polu.

¹² *Tuman* – mgła.

¹³ *Janczarka* – dawna strzelba turecka.

¹⁴ *Żeleźce* – dawn. metalowy szpic na włóczni.

¹⁵ *Czahar* – regionalne określenie zarośli rosnących na podmokłych gruntach.

– No! Szanowny Mołdawski – odpowiedział młody towarzysz. – Lat sześć przeżyłem tutaj, a sześć lat nie godzina! Na mil kilka wokoło nie masz kniei, której bym nie znał tak dokładnie jak strzału tego pistoletu.

– I Ukrainki zapewne? – zapytał inny. – Ach, ładne, czarnobrewne!

– A niczego! – odezwał się Mołdawski. – Ale myśleć o tym teraz nie pora!

– Niech ich tam kaduk¹⁶ porwie! Ot, może nas przywitają haubice!

– Co pleciesz – odpowiedział młody towarzysz – kiedym was upewnił, że nie masz wroga w Korsuniu, tak być musi!

– Na rany Jezusa! – krzyknął Mołdawski. – Rozprawić się z nimi tak, jakieśmy się rozprawili dnia wczorajszego na grobli irdyńskiej¹⁷, i znów tych samych spotkać tu na okopach! Niech mają diabelskie „inclusa”¹⁸, a nie dokażą tego!

– A jeśli są tu drudzy? – zapytał, nie dowierzając Mężkowski. – Ci hultaje Bóg wie skąd napływają teraz!

– A chociażbyśmy i znaleźli tu kilku tych hajdamaków¹⁹, czyż nie damy im rady? – przemówił trzeci towarzysz, pokręcając węża.

– Ho! Ho! Panowie towarzysze, dwieście pancernych i my balibyśmy się łotrów! Jeszcze w Bogu nadzieja! Ale, panie Mohylski – dodał, spostrzegając patrzącego pilnie na czahar nadbrzeżny młodego towarzysza – co tam widzicie? Spoglądacie ustawicznie w tę stronę...

– Nic! Nic! I chwała Bogu, że tak się rzeczy mają!...

Wtem ozwał się dzwonek korsuńskiej kaplicy. Wszyscy zatrzymali się nagle, słuchając z uwagą tego dźwięku.

– Na wieki zapomniałem! – odezwał się na koniec po chwili milczenia Mołdawski. – Wszakże to dzisiaj mamy uroczystość Bożego Ciała! W rozprawach z wrogiem zapomnieliśmy o pacierzu nawet, odmówmyż teraz „Anioł Pański!”

– Stój! – zagrzmiął donośnym głosem Mohylski. Obracając się do oddziału:

– Bracia! Dziś mamy święto Bożego Ciała! Może niejeden zajęty krwawą potrzebą zapomniał podziękować Bogu, iż cało zachował go od wczorajszej rozprawy; odmówmyż teraz wspólnie „Anioł Pański”, jak za samych siebie, tak i za tych braci, którzy w irdyńskich borach wieczny odpoczynek znaleźli!

I to powiedziawszy, zdjął czapkę, ukląkł z twarzą obróconą do wschodu i zaczął modlitwę. Wszyscy poszli za jego przykładem. Uroczysta nastąpiła cisza i tylko brzęk munsztuków²⁰ i parskanie rumaków przerywały niekiedy to milczenie.

¹⁶ *Kaduk* – przestarzale: diabeł.

¹⁷ *Grobla irdyńska* – wał ziemny na rzece Irdyń (Irdeń), przepływającej przez dawny powiat czerkaski i czechryński.

¹⁸ *Inclusa* (łac.) – tu: konszachty.

¹⁹ *Hajdamaka* (*hajdamak*) – chłop ukraiński walczący w powstaniu antypolskim w XVIII wieku.

²⁰ *Munsztuk* – rodzaj bardzo silnego kielzna służącego do kierowania łbem konia.

Wtem z ciemnych horodyskich lasów wyrzało jasne słońce, oblało złotym promieniem rozległą Korsunia okolicę i olśniło modlących się rycerzy.

W tę chwilę ponad ich głowy przeleciał kruk złowieszczy. Po trzykroć okolił on z krzykiem szeregi wojowników, po trzykroć zajrzał każdemu w oczy i usiadł na przydrożnym krzyżu.

– Zła wróżba – rzekł Mołdawski, skończywszy „Anioł Pański” i powstając z kolan. – Ten ptak nigdy nic nie przepowiada dobrego, a ile razy spotykaliśmy go, nie uszło nam na sucho!

Dzikim wzrokiem spojrzeli wszyscy na czarnego zwiastuna nieszczęścia i myśl zamarła na ich sercu.

– Ognia, towarzysze! – krzyknął srogo Mohylski, nie mogąc znieść pożerczego wzroku ptaka i nie spuszczając zeń źrenicy, i w tejże chwili porwał z olstry²¹ dwa pistolety, wziął go na cel i tak nieporuszony mierzył chwil kilka, chcąc być pewnym strzału. Na koniec ręce jego zatrzymały się bez najmniejszego ruchu, postrzegłszy to, drudzy opuścili broń i czekali stanowczej chwili. Świsnęły dwie kule i obie przeleciały nad głową ptaka. Przelektły kruk zerwał się nagle z krzyża, wzbił się wysoko i krzycząc przeraźliwym głosem, znikł im z oczu nad borami Rosi.

– To diabeł! – rzekł Mołdawski, spuszczając kurek. – Prędzej moim nie dowierzałbym oczom, bo już są stare i zepsute, ależ ty u nas słyniesz, kochany towarzyszu, jako najlepszy strzelec!

– Czartże go wie! – odpowiedział Mohylski. – Wyceliłem tak dobrze, iż na włos nie powinien bym chybić. I obie kule mimo! Tfu!...

Głuchy gwar rozległ się w szeregach żołnierzy, potem znowu nastąpiło milczenie. Każdy mimowolnie zastanowił się nad życiem swoim i trwożnym okiem w ciemną przyszłość wglądał.

Mohylski najmocniej był zajęty podobną myślą. Jego oblicze przybrało wyraz zemsty i gniewu. Oparł się na koniu i utonął w tajemnicze dumania. Gdzież latała myśl jego?... Z wiatrami stepów szukała ona koczowiska niedobitych wrogów, z wodami Rosi płynęła do wiadomych czaharów; bujała jak sokół po pustynnym Ukrainy obszarze.

Po chwili znów starał się przybrać spokojny wyraz twarzy; powłóczył zimnym okiem koło swych towarzyszy, wydał żołnierzom rozkazy i dosiadł konia, ale z dziwnie mieniących się rysów można było odgadnąć, że czucia jego wirowały jeszcze nieukozone we wnętrzu łona.

– Zły z ciebie wódz, panie Mohylski – rzekł jeden z towarzyszy, kiedy już ruszył oddział. – Zląkłeś się ptaszka, który naturalnie musiał zakrzyczeć, kiedy mu tyle blasku uderzyło w oczy.

²¹ *Olstro* – futerał na pistolet kawalerzysty przytroczony do siodła.

– Nie! O, nie! Ten ptaszek coś nam więcej wywróży.

– Ale bajki, mości towarzyszu! Już by dawno zginąć mi potrzeba, tyle widziałem kruków w moim życiu! A raz, pomnę, kiedy służyłem jeszcze ochotnikiem pod dowództwem tegoż Hetmana, trafiło się, iż nocowałem na polu bitwy nad Bohem pomiędzy kupami tułubów²² tatarskich. Tam to mości dobrodzieju doprawdy strach był napadł od kruków, bo ledwie nóg mi nie odgryźli, a bronić się nie byłem w stanie, będąc raniony dwiema kulami w ramię.

– To co innego – odpowiedział Mołdawski. – Niech mi kruk ile chce razy zagłąda na pobojuwisku, ja się go nie ustraszę, ale tu... panie... to rzecz wcale inna!...

– Chłoptwo tylko w to wierzy, a nam wstyd panowie, iż przywiązujemy jakiegokolwiek znaczenie do ich guseł! – rzekł drugi towarzysz do przytomnych.

– Bóg wiara! – krzyknęło kilku namiętym głosem, pokręcając zawiesziste wąsy. – Co? Kogo tu bać się nam należy, kiedy kilkunastu hajdamaków uszło tylko cało po wczorajszej potrzebie!²³

I tak, ciesząc się wzajem, wkrótce zapomnieli o złowrogim ptaku.

Żołnierze widząc rozweselonych naczelników, zaczęli cicho przynucać piosnki i gwar ożył pomiędzy szeregami. Tymczasem posuwano się coraz bliżej pod miasto, a gdy już zbliżono się dostatecznie, Mohylski zatrzymał się nad brzegiem Rosi i rozkazał żołnierzom zsiąść z koni, otrzeć zbroje i umyć we krwi zbroczone dłonie, czyniąc uwagę, iż nie godzi się wstępować w progi kościoła i słuchać mszy świętej w tak wielką uroczystość w odzieniu i zbroi nieoczyszczonej ze krwi wroga. W gnieniu jęli się żołnierze do spełnienia rozkazów naczelnika. Rozsiodłano konie, uwiązano je do nadbrzeżnych krzewów, zaczęto myć oręż i twarze. Naczelnicy oddziału, oddawszy szeregowcom mundury i zbroje do wyczyszczenia, odeszli na kilkanaście kroków pomiędzy sterczące głazy brzegów Rosi i położywszy się na murawie, swobodnie rozmawiali o wojennych przygodach swoich, rzucając wzrok ciekawy na strzelnice Korsunia. Już słońce dość znacznie podjęło się na niebo, zbladły świecące gwiazdy i rosa w milionowych perłach załśniła się na stepowej trawie, kiedy oddział stanął w zupełnej gotowości. Oczyszczone rumaki, zbroje, orzeźwione twarze wojowników przedstawiały teraz zupełnie różny widok.

Za najmniejszym poruszeniem żołnierza w tysiącznych promieniach odbijało się słońce na lśniącej jego zbroi, a lekki, górny wietrzyk kołysał skrzydłami proporców. Towarzysze dosiedli rumaków. W pełnym uzbrojeniu, z bohaterską miną przebiegli milczące hufce oddziału i kazawszy podnieść purpurową chorągiew, na której jaśniał wyszyty srebrem orzeł, ruszyli z miejsca. O kilka staj zaczynała się już posada Korsunia, a droga wiodąca do miasta wiła się nad krętymi brzegami Rosi, raz pomiędzy

²² *Tułub* (*tułup*) – długie futro najczęściej ze skór baranich.

²³ *Potrzeba* – dawn. też: potyczka, walka, bita.

lasami, znów spływała na równiny, to wdzierąca się na sterczące głazy. Brzeg, po którym postępowali nasi wojownicy, był zupełnie pusty. Dzikie komysze²⁴ zarastały i tak wąską drożynę, a w niektórych miejscach niebezpiecznym czyniły przejście. Kiedy już zrównano się z zamkiem, wznoszącym się na przeciwnym brzegu, lud ujrzawszy to niezwykle widowisko, skupił się nad brzegami, patrząc z nadzwyczajnym podziwieniem na postępujących rycerzy.

– A co, jak uważasz kolego? – zapytał Mołdawski Mohylskiego, spinając konia ostrogą. – Będziemy szturmowali do zamku?

– Podobnie, że nie – odpowiedział ten, opatrując uważnie wały i nadbrzeżne strzelnice. – Patrz! Kilku tylko wartowników składają całą załogę. Mówiłem pierwej, iż nie będziemy mieli nic do czynienia, i tak jest rzeczywiście!

– Skądże to waszmość odbierasz tak pewne wieści? – zapytał Mołdawski znowu.

– O! Ciekawys, jak widzę, bracie! Ale niechaj na potem o tym. Teraz dobrze się stanie, gdy korzystając z oddalenia Trojaszy, opanujemy to padalca gniazdo. Patrz! – mówił dalej Mohylski. – Tu doprawdy kosztowałoby nas trochę, nim potrafilibyśmy zatknąć chorągiew na wale.

– O! Nic pewniejszego! – odparł drugi. – Ależ i Taras Trojasza nieprędko wyliże się z wczorajszej rany! Przeklina on zapewne teraz godzinę, w której opuścił Korsuń, by prowadzić hajdamaków na zgubę.

– A myślisz, towarzyszu – rzekł Mohylski, przepatrując okiem myśliwca nadbrzeżne czahary – myślisz, iż Trojasza przepłakał, gdzie w borze noc dzisiaj? O! To padalec! On koniecznie musi utoczyć krwi naszej, aby zagoić ranę własną! – I chleba w usta nie weźmie i oka nie zmruży przez dób kilka, aż zadosyć uczyni postanowieniu swemu!

– I cóż nam zrobi teraz ten przენiewierca? – odparł Mołdawski. – Opanujemy zamek, sprowadzimy żywność i wtenczas niech zepnie się na wały, jeśli nie zagręzimy mu dwunastu kul w głowę.

– Alboż ten tylko został mu sposób do zemsty?

– Nie przemyśli drugiego! – odpowiedział znowu Mołdawski, podkreślając wąsa i poprzedzając towarzyszy. – Ale, mości panowie! Niech no te chamy most dla nas zwiódą!

– Hej! – krzyknęło kilku! – Most na rzekę! Bo wyślemy kule na gawrony!

I w tej chwili, uszykowawszy się nad brzegiem, oddział cały czekał w milczeniu na spełnienie rozkazu naczelników.

Na ten głos poruszył się na przeciwnym brzegu rzeki stojący naród jak mrówki, gdy ich gniazdo nadwerężone zostanie. Głuchy szmer rozległ się po ulicach; tu i ówdzie widać było biegających Kozaków i zdało się, jakoby naradzali się wprzód,

²⁴ Komysze – reg. zarośla, zwłaszcza w miejscach podmokłych.

czy powinni usłuchać rozkazu lub stawić opór tej napaści. Kiedy to dzieje się nad brzegiem, po wałach i strzelnicach zaczęły wyglądać głowy ludzkie, rusznice²⁵, rohatyny²⁶ i spisy²⁷; spostrzeżono, jak świeżo zatoczono dwie długie haubice naprzeciw stojącego oddziału i nabijano inne pod umyślną zasłoną ludu.

– No proszę! – mruknął Mołdawski, spostrzegając te nagle przygotowania. – Te psy myślą nie puszczać nas do zamku! Czy ich bies opętał? Czy chcą, ażeby szable nasze podruzgotały obrzydłe ich czaszki?!

– A nie inaczej! – odezwali się drudzy. – Tu oczywiście na to się zanosi! Na pięknej mszy będziemy! – Buntownicy! – wrzasnął gniewny Mohylski, ściskając pięść ze złości – I któż tam stanie do obrony? Baby wyślą z koczerhami?²⁸ Hej! – zagrzmiął jeszcze bardziej palony złością i spinając rumaka ostrogą. – Naprowadzić most! Bo żywej duszy nie wypuszczę, jeśli siłą wkroczymy!

Usłyszawszy te słowa, cofnął się strwożony naród o kilkadziesiąt kroków od brzegu, zza krzaków, zza węglów domostw śledząc ciekawie każde poruszenie oddziału. Wtem dwóch Kozaków przybiegło nad brzeg rzeki, odwiązali małą łódź na brzegu i przepłynęli w niej na przeciwną stronę, gdzie stali uszykowani wojownicy.

Jeden z nich, już podeszłego wieku, z długą, siwą brodą, w granatowym sukienym żupanie i czerwonych butach miał twarz pooraną zmarszczkami, wydatne rysy i wzrok biegający ustawicznie na wszystkie strony. Drugim był młody, wysoki Kozak, z czupryną zakręconą na ucho, w świcie²⁹ zarzuconej na ramiona, związanej na szyi pasową wstęgą i z długim nożem u pasa, podwójnie okręcającego mu biodra, a wzrok jego ponury śledził z niedowierzaniem najmniejsze poruszenia żołnierzy.

Skoro stanęli na ziemi, zdjęli pokornie czapki i zbliżywszy się do stojących nad brzegiem naczelników:

– Bóg pomóż! – rzekli, kłaniając się nisko przed nimi.

– Dziękujemy – odparł szybko gniewny Mohylski, mierząc ich dumnym wzrokiem od stóp do głowy. – Fešku! Co znaczą te przygotowania na wałach? Czy nie myślicie spotkać się z nami jak z nieprzyjacielem?

– A! To pan! – rzekł Feško Horstka, poznając Mohylskiego. I głos mu zamarł, a usta ścisnęły się nagle. Jakaś myśl dzika obudziła się mu w tej chwili, bo zmieszany skłonił głowę ku ziemi i nie odpowiedział na zapytanie.

– A tak! Ja! Ja – ten sam Mohylski! – rzekł znowu towarzysz. – Ale powiedzcie mi, co wam przyszło do głowy nie słuchać moich rozkazów?

²⁵ *Rusznica* – dawna ręczna broń palna o długiej lufie.

²⁶ *Rohatyna* – włócznia z hakiem, używana dawniej przez lekką jazdę oraz w łowiectwie; rogacizna.

²⁷ *Spisa* – broń drzewcowa piechoty, używana przeciwko kawalerii.

²⁸ *Koczerha* (*koczerga*) – pogrzebacz.

²⁹ *Świta* – wierzchnia odzież wieśniaków lub drobnej szlachty; siermięga, sukmana.

– Miłościwy panie! – odpowiedział Feško, zebrawszy się z myślami i kłaniając się nisko. – Nas w tym obwiniać nie ma za co; ojca naszego, Tarasa Trojasza, nie ma teraz w domu i my, jako jego podwładni, nie ośmieliliśmy się puszczać was do zamku, aż powiecie nam, kto przysłała was tutaj i w jakim celu.

Uśmiech wzgardy pokrył usta towarzyszków, gdy usłyszeli te słowa starca, a Feško jakby od niechcenia przebiegł jaszczurczym wzrokiem przytomnych lic.

– Aha! – odpowiedział Mohylski z dumą. – Więc wy wymagacie zdania wam sprawy z woli hetmana Koniecpolskiego i jeśli ta nie będzie zgodna z waszą chęcią, spełnić jej nie myślicie?

– Nie tak, miłościwy panie – rzekł Feško. – Ale my boimy się odpowiedzialności przed naszym atamanem, jeśli wpuścimy nieznanym do jego grodu.

– Przed jakim atamanem? – wrzasnął groźnie Mohylski, ściskając rękojęść pałasza. – Hetman wzbronił kozactwu wybierać nadal atamanów bez przyzwolenia jego! Toż to śmiecie unieważniać rozkazy i mówić o tym beczelnie przed wiernymi poddanymi Jego Królewskiej Mości?

– Nie gniewaj się, miłościwy panie! – odpowiedział Feško, starając się pokryć spokojnością tlejący mu gniew w sercu. – Chociaż wybraliśmy atamana, uczyniliśmy to dlatego, iż on nam jest potrzebny do obrony szerokiej Ukrainy, ale skoro zamyślamy o tym donieść hetmanowi waszemu i prosić potwierdzenia...

– Potwierdzenia! – powtórzył urągliwie Mohylski. – Widziałże kto kiedy, ażeby potwierdzano na urządzie buntownika i zdrajcę?!

– Któż tego dowiódł? – zapytał Feško Horstka, utkwivszy w Mohylskiego wzrok tak ostry, iż przeszył nim do serca. – Sprzeniewierzyły się on Lachom? Nie pełniłyście ich rozkazów?

– Tak... – przebaknął Mohylski, wpadłszy na myśl zagabnięcia z innej strony starego lisa. – Może jeszcze Lachy i nie widzieli w nim otwartego wroga, ale gdzie on teraz błąka się z Kozakami? Powinienże był wydalac się³⁰ bez wieści? Bóg wie, może z jaką ukrytą myślą?...

– Z żadną złą myślą! – odpowiedział Feško spokojniejszy. – Bóg zachował go od tego! On za bohusławskie³¹ wyjechał stępy sprowadzić tabuny koni dla młodców swoich.

– Słyszycie? – zawołał natenczas Mohylski, obracając się do przytomnych towarzyszy. – Jak czarna obłuda mieści się w sercu tego człowieka! On ani się spodziewał, iżby tak jawnie wobec nas wszystkich wydał się z kłamstwem swoim! – A więc mówisz, iż Trojasza jest teraz w zabohusławskich stepach?

– W zabohusławskich stepach..., a zresztą Bóg go wie – przebaknął zdziwiony Feško, usłyszawszy te słowa.

³⁰ *Wydalac się* – dawn. opuszczać jakieś miejsce, odchodzić, odjeżdżać.

³¹ *Bohusław* – miasto na Ukrainie w obwodzie kijowskim, położone nad rzeką Roś.

– I nie puścisz nas do zamku aż do jego powrotu?

Feśko znów się zamyślił.

– Od kogoż jesteście posłani i za czym? – spytał po chwili. – Ażebym, kiedy nasz ojciec przyjedzie, umiał mu coś o was powiedzieć.

– Zna on nas lepiej od ciebie, stary hajdamako! Tłumaczyć się zaś przed tobą nie myślę, bo widzisz, iż nie jesteśmy włóczęgi, jeno husarze chorągwi hetmana Koniecpolskiego. – Idź więc! Ostatni raz rozkazuję ci, każ naprowadzić most z zamku, bo jeśli nie usłuchasz rozkazu, żywej duszy nie wypuszczę z grodu.

Po tych słowach odszedł Horstka wolnym krokiem do łódki, lecz skoro przepłynął na brzeg drugi, gromada ludu, która z niewypowiedzianą ciekawością patrzyła na tę scenę, obstała go dokoła i zaczęła wypytywać ciekawie o szczegółach rozmowy. Z ruchów rąk i podziwień ludu dostrzeżono łatwo, iż Feśko umiał zapalić nienawiść ku Lachom i rozżarzyć w nich też uczucia, którymi sam był przejęty. Kilku z tłumu odezwało się z pogróżkami i zamierzoną pięścią dawało poznać, jakie im gotują przyjęcie; już żołnierze niepokoić się w szeregach zaczęli i szemrali na zbytne pobłażanie chłopom, sami nawet towarzysze, śledząc najmniejsze poruszenia wrogów, w milczeniu spijali tę złość wewnętrzną, którą budziła w nich duma i bezkarne urąganie motłochu. Zdawało się, iż wkrótce przepełni się cierpliwość i nagły szturm zakończy tę scenę, już nawet gotowano broń do rozprawy, gdy wtem, nad spodziewanie wszystkich, ujrano spadający most na koryto rzeki. Wkrótce zatem, przy odgłosie bębna i piszczałek, cały oddział przeszedł paradnym marszem na plac zamkowy, zajął wały, strzelnice i budynki, a gdy połowa stanęła na czatach w zamku, pozostali na czele pancernych towarzyszków wstąpili do kaplicy.

II.

Niech nie ginie – w Ukrainie –
Dawna ojców sława,
Że od szklanki – i hulanki –
Kozak nie odstawa!³²

Kaplica Korsunia była podobniejszą do domu niż do świątyni z zewnętrznej swojej formy. Zbudowana w najprostszy sposób, we czterech nierozległych ścianach mieściła ołtarz i zakrystię. Na szczycie dachu zrobiona była mała kopuła z krzyżem,

³² *Ukrainiec. Ballada*, w: *Snopek nadwiślański*. Z płodów piśmiennictwa krajowego zebrali Marcin Ossoryja [Marcin Ciepliński] i Karol B. [Karol Baliński] z Jarosławca, z muzyką J. Elsnera i I. F. Dobrzyńskiego, Warszawa 1844.

a na kroków kilka po lewej stronie furtki, na dwóch słupach pod małym daszkiem wisały dwa niewielkie dzwonki.

Również proste były jej ozdoby wewnętrzne. Wielka, drewniana misa napełniona święconą wodą stała przy wejściu do świątyni, dalej kilka prostych drewnianych ławek, w końcu mały ołtarzyk z obrazem Matki Boskiej, okryty perską materią i uwieńczony drobnymi, polnymi kwiatami. Na stopniach ołtarza leżał rozesyłany bogaty kobierzec turecki, zapewne łup zdobyty na wrogu i ofiarowany kaplicy, po ścianach z stron obu zawieszono były obrazy świętych, ocienione kilku klonami świeżo ściętymi i w tymże stanie postawionymi przy ścianach, a podłoga posypana świeżym, tatarskim ziele³³.

Niewypowiedziana radość osiadła lica wszystkich tam modlących się, kiedy spostrzeżono nagle oddział uzbrojonych wojowników wstępujących w progi Bożego domu, a mały obwód kaplicy ledwie mógł pomieścić tylu przybyszów w swoim łonie. Z kornym uszanowaniem zbliżyli się rycerze do stóp ołtarza, a padłszy na kolana, posłali szczerze modły do Tego, który przez tyle krwawych przygód przeprowadzał pomyślnie ich życie. Tam w rozrzewnieniu serdecznym, w obliczu utajonego w Sakramencie Boga, niejeden przebiegłszy myślą pełną przygód nić życia swego, dziwił się, jak jeszcze mógł znaleźć się przy życiu; niejeden ze ściśnionym sercem wspomniął na poległych współbraci, towarzyszków broni, których ciała w pustynnym gdzieś obszarze wieczny pokój znalazły, których grobu nawet może nigdy w swym nie obaczy życiu, może nigdy losy dziwne nie poniosą go ku tej stronie i gdzieś w innej ziemi zamkną mu osierocone powieki! Ach! Bo i ten człowiek, który grasując z orężem w dłoni, zamyka częstokroć serce swoje na głos litości, który bardzo rzadko wylewa łzy żalu, a nie zna też radości; i ten przed ołtarzem Pana Zastępów, gdzie wszelka myśl korzyć się winna, poddaje rozrzewnieniu odrętwiałe swe serce, a z oka upuszcza już strumienie... Dziwnaż bo ta dola naszego życia po takich nas nosi bezdrożach, tyle przedstawia wrażeń, iż mimowolnie dziwić się wypada fantastycznym jej czynom. A człowiek, żył li on w czasach poganizmu lub istnieje w obecnej chwili, ma wiecznie w niezbadanym swym sercu tę perłę nadziemskiego uczucia, ten duch ulotny, niezgłębiony, który kieruje tajemną życia jego sprężyną, wywija z przeszłości lube wspomnień obrazy, odziewa urokiem przyszłość nienadpłynioną i cały ten cudowny łańcuch życia wiąże, spaja w nierozdziernione ogniwa pełne mocy, fantazji i uczucia!...

Tak marzył tam jeden wojownik o swym życiu i z sercem utęsknionym, niezapelnionym polecał dalszą swą dolę Bogu, bo w nim tylko widział tego, który mógł bezbłądnie kierować jego życiem.

Po krótkim kazaniu i odbytej procesji skończono nabożeństwo. Żołnierze skoro opuścili kaplicę, wstąpili tłumnie na ratusz nieopodal znajdujący się, a towarzysze ze szlachtą i kobietami zaszli do domu kapłana.

³³ *Tatarskie ziele* – ludowa nazwa tataraku zwyczajnego.

Przyjęto ich tam z prawdziwym uniesieniem. Ostąpiono dokoła, wypytywano o celu przybycia, o bitwie, hajdamakach itd. Tymczasem zastawiano stół potrawami i ugrzeczniomy ksiądz zaprosił gości na śniadanie. Gdy ci pokrzepili się już dostatecznie, zapleśniałe butelki miodu pokazały się w rękach gości i zaczęto spełniać rześiste wiwaty, a wkrótce dobry, wesoły humor gościł w sercu i na czole każdego.

– Skądże przybywacie, drodzy mi goście? – zapytał ksiądz, nacierając ręce i zbliżając się do Mohylskiego. – Ach! Dawnośmy się widzieli z sobą kochany panie Onufry! Wszak to już rok cały podobno?

– A tak, wkrótce rok cały! – odpowiedział Mohylski, całując w ramię kapłana. – I przez ten czas wszędzie mnie było na Ukrainie; włoczyłem się nad Buhem³⁴, chodziliśmy na Wołyń i dwa miesiące uganiał się za tatarskimi ordy.

– I bez szwanku zachował cię Bóg nasz litościwy.

– Niech Mu chwała będzie na wieki! – odpowiedział znowu Mohylski. – Łaskaw On jeszcze na mnie, chociaż Bogiem się klnę, iż w żadnej rozprawie nie szczędziłem mojego żywota.

– To dobrze, mój ukochany synu! Dziękuj Mu nieprzestannie za Jego nad tobą opiekę, a wyprowadzać cię będzie z najniebezpieczniejszych przygód. Ty wiesz tę pieśń: „Kto się w opiekę podda Panu swemu: A z całym sercem szczerze ufa Jemu, Śmieje rzec może: mam obrońcę Boga, Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga”.

– Ja, zdaje się, mój ojczu, jestem dobrym chrześcijaninem. Bóg świadkiem, iż nic nie ciąży na mej duszy!

– Cieszę się z tego, mój kochany synu... bardzo się cieszę... teraz zapewne zapomniłeś i o tych grzechach swej młodości, o które cię posadzano, kiedyś tu przed rokiem zamieszkiwał, ha? A cóż, nie zgaduję?...

Na to zapytanie żywy rumieniec oblał lico Mohylskiego; nic on nie odpowiedział, ale w tejże chwili pochwyciwszy napełniony dlań puchar miodu, duszkiem go wypił.

– Oho! – rzekł uśmiechając się dobry kapłan. – Co to obozowe życie! Ty, kochany Onufry, nie umiałeś pierwiej łykać tak gładko!

– Ba! Ale z czasem do wszystkiego nawyknać trzeba, a dziś – dodał, nalewając znów czarę – kiedy mnie Hetman koronny, naczelnik mój miłościwy, uczynił dowódcą tych dwustu pancernych – wstyd do kata byłoby, ażebym jak dziecię bał się wychylić pełnej czary.

– Skądże wy teraz przybywacie, kochani bracia? – zapytał kapłan, stając pomiędzy towarzyszami.

– Ksiądz bo dobrodziej nie słuchał, jak uważam, opowiadania mego, kiedy pyta o to, co już mówiłem poszczególności waszmość panom i paniom tu przytomnym – odezwał się Mołdawski, trzymając w dłoni pełną czarę miodu. – Otóż mości

³⁴ *Buh* – ukraińska nazwa rzeki Bug.

księżę dobrodzieju, powiadam ditto³⁵ waszej wielebności, iż jedziemy z Czerkas³⁶, a to z rozkazu miłościwego naszego Hetmana, który dowiedziawszy się jakimś sposobem, że ów wasz wisielec Trojasza z zebranych kozactwem podstępował do nas borami nad Irdynem³⁷, rozkazał nam spotkać go na tych błotach. Daliśmy przez cały dzień wczorajszy przeklętym komarom pić krew naszą, ale skoro pod wieczór zaczęła przechodzić ta hałastrą groblę Irdyna, przyszło do rycerskiej z nią sprawy i na rany Chrystusa turbowaliśmy wroga dostatecznie. Większa ich połowa poległa tamże, a wielu pokaleczonych pogrzęzli i zginęli w błocie; umknął jednakże sam herszt ich – Trojasza!... Ja znam tego hultaja i przysiąc mogę, iż zdrowiuteńki śpi gdzieś i dotąd w borze.

Powątpiewanie osiadło lica przytomnych, gdy usłyszeli te ostatnie twierdzenia. Mieszkańcy Korsunia, znając bliżej Trojaszę, nie chcieli przypuszczać tej myśli, ażeby hardy ten Kozak mógł się ukorzyć po odebranej klęsce.

– Biada nam tutaj, szanowni towarzysze – rzekł ksiądz, wzdychając i składając jak do modlitwy dłonie. – Kozacy znów bunt podnosić zaczynają, znów dają się słyszeć po ulicach hajdamackie³⁸ ich dumy, a nienawiść swoją ku nam rozprzestrzeniają jawniej niż kiedykolwiek. Ale wszystko to niczym było aż do obioru Trojaszy atamana. Póki ten łotr był pułkownikiem tylko korsuńskiej straży i zależny od rozkazów hetmana, mogliśmy jeszcze spać spokojnie, ale oto nie więcej trzech tygodni, jak Bóg wie skąd zaczęli się ściągać do Korsunia tłumy tych hultai. Przyjeżdżali, jak powiadano, z Czyhryna, Bohusławia, zza Dniepru i dalekiego od nas Zaporozża, miewali tu tajemne narady, zaprowadzali bezwstydne bankiety i Bóg wie jakich się dopuszczali zdrożności, a wydało się jawnie, iż wszystko to knuli na zgubę naszą i wojsk Rzeczypospolitej.

– To nie dosyć panowie – odezwał się szlachcic staruszek, powstając nagle z zydlu³⁹ – ale drwią dzisiaj, mości dobrodzieju, publicznie z naszej wiary! Wartownika nawet nie przysyłają do kaplicy!

– Tymi wiernymi Bogu owieczkami świadczyć się mogę – rzekł znowu kapłan – jakich teraz doznajemy ucisków i urągania. Razu jednego, a było to w przeszły ponie-działek, kiedy osobiście zaniósłem o to skargę do Trojaszy, zastałem go siedzącego na przyzbie pod zamkowym domem, otoczonego mnóstwem chłopstwa, muzyką, beczkami wódki i miodu. Niech zakrystian powie, z jaką dumą ten chłop przyjął służbę bożego; nie powstał z miejsca, nie ucałował krzyża, ale kiedy stanąłem przed nim, powiedział mi groźnym głosem, iż przeszły już burze, w które musieli oni nakrywać

³⁵ *Ditto (detto)* – z włos. to samo, co wyżej.

³⁶ *Czerkasy* – miasto w centralnej części Ukrainy, stolica obwodu czerkaskiego; leży nad Dnieprem.

³⁷ *Irdyn (Irdyni, Irdeń)* – rzeka przepływająca przez dawny powiat czerkaski i czechryński.

³⁸ *Hajdamaczyna* – zbrojny ruch Kozaków i chłopów ukraińskich przeciw szlachcie polskiej w XVIII wieku.

³⁹ *Zydel* – drewniany stołek.

głowy swoje widłohą⁴⁰, że jeśli ja chcę nie widzieć nad gardłem hajdamackiego noża, niech uchodzę i siedzę cicho, żeby o mnie i szczury nie słyssały.

– Wszystko to jest święta prawda – dodał zakrystian, spoglądając ostrożnie w okno.

– I teraz, moi kochani bracia, powiedzcie mi, jestemże ja w stanie wypełnić rozkazy naszego duchowieństwa? Z waszą chyba pomocą może co uczynić potrafię, ale i tak poniesiemy wiele trudów; to chłopstwo zupełnie jest zbałamucone.

– Tak – rzekł znowu szlachcic staruszek, głaszcząc siwe wąsy i uderzając laską o ziemię. – My zacnych panów dobrodziejów prosimy o wsparcie moich braci i podtrzymanie świętego Kościoła.

– Niech żyje nasza wiara! – krzyknął Mołdawski, któremu kilka pucharów miodu zaczerwieniło lica. – Ja pierwszy moją w jej obronie dobędę!

– I my wszyscy! – dodali obecni, uderzając dłońmi po rękojeściach pałaszy. Dwoma tymi wykrzyknieniami ożywiło się całe zgromadzenie: zaczęto huczne czynić przechwałki na buntowników głowy i mnożono wiwaty.

Jeden tylko Mohylski, pomimo iż nie szczędził kołujących wiwatów, które żywym rumieńcem zapalały mu lica, różny od obecnych miał humor. Często on niepokoił się na stołku, spoglądał w okno, wpadał w głębokie zadumanie i znów, jakby się postrzegając, uśmiechał się do towarzyszy i powtarzał toasty.

Póki ta udawana wesołość serca czynioną była na trzeźwo, uchodziła przed okiem obecnych, ale gdy miód rozpałił wyobraźnię jego, a tajemne żądze zaczęły naprowadzać przed oczy setne wspomnień obrazy, twarz jego dziwne przybrała rysy, zżymał się gwałtownie i w zapomnieniu hajdamackie przynucał dumy.

– Co mu się stało? – zapytał Mężkowski, nalewając puchary. – On zwariował!

– Hm... mości dobrodzieju! – wesoły Mołdawski. – W ręce wasze wielebny ojczel!...

Kapłan spojrział na Mohylskiego i uśmiechnął się podejrzliwie.

– Ależ to wcale nieuczciwie – rzekł, upomniawszy się Mężkowski – opijać tak biednego kapłana, iżby nie miał czym pochmielić się jutro. Koledzy! My ugościmy raczej tutejszych dobrych mieszkańców jak należy!

– Alboż masz tu zakopane beczki takiego przedniego jak ten miodu? – odparł Mołdawski. – Przypomnij Waszmość sobie, iż bez suchara wstąpiliśmy do zamku!

– Bardzo dobrze – rzekł Mężkowski – ale, o ile sędzę ze słów szanownego kapłana, Trojasza ma dobre zapasy tego trunku.

– A prawda! – wrzasnęli trzej pancerni, porywając się z miejsca. – Daj go katu! Wiecznie zapomnieliśmy o tym!

⁴⁰ *Widłoha* – rodzaj czapki, przyszytej na plecach do kołnierza siermięgi, używany powszechnie na Ukrainie.

I wnet zaprosiwszy obecnych, poszli hurmem do mieszkania Trojaszy.

Kiedy się to dzieje w domku kapłana, żołnierze, którzy udali się pod ratusz, z hukiem i pogrózkami kazali podać sobie trunków, zasiedli ławy i pijatykę wszczęli. Usunęła się w kącie gromada chłopstwa i ciekawym okiem śledziła każde ich poruszenie, a rozochoceni żołnierze, urągając się z pospólstwa, przypominali sobie wczorajszą nad Irdynem przygodę. Pomiędzy tłumem znajdował się i Feško Horstka; błyszczące jego oczy obiegały ustawicznie żołnierzy, a nie wydając ani znaku podziwienia, ni gniewu, wpijały się żądnie w opowiadających lica. Z kilku przebąknięć pojął on, iż Polacy byli już w styczce z Trojaszą i że zwyciężyli atamana, ale zaostrzona ciekawość nie poprzestała na tym, poszedł on do alkierza⁴¹ i po chwili wrócił, niosąc spory dzban miodu: pozostawił go na ławie w kącie, wyjął palanicę z za pazuchy i obróciwszy się do żołnierzy, zaprosił kilku obok stojących na przygotowaną ucztę:

– Łebski z ciebie Ukrainiec – odpowiedzieli zaproszeni. – My po wczorajszej rozprawie nie spodziewaliśmy się tak dobrego u was przyjęcia.

Feško podziękował za dobre słowo, usiadł obok nich na stołku z twarzą obróconą do okna i napełnił podane im kufle.

– Dobry wasz praznik⁴² dzisiaj – powiedział im – pamięci dnia tego wypijmy parę garncy miodu. Przyznawszy się po prawdzie, ani się nam śniło przyjmować dzisiaj takich gości.

– Ale niech nas diabli wezmą, jeśli i my spodziewali się wczoraj jeszcze słuchać mszy w korsuńskiej kaplicy – odparł jeden szeregowiec, podstawiając kufel pod dzban spory.

– No! A któż temu, bracie, przyczyną? – zapytał drugi.

– Ja nie rozumiem, na co zamyślił ten wasz przekłety Trojasza podstąpić pod Czerkasy i poostrzył pałasze, i nabił janczarki na nasze głowy. Chce się mu na pewno dyndać nogami na gałęzi, i będzie, jak mi Bóg miły! Bo rozgniewać naszego hetmana... hm... to nie ujdzie na sucho!

Ledwie mógł pokryć Feško wewnętrzne wzruszenie, usłyszawszy te słowa i w tejże chwili, spuszczaając w ziemię oczy, odpowiedział:

– No! Czy go bies opętał?! A mówił nam wyraźnie, że za Bohusław jedzie.

– Skłamał – krzyknął znów szeregowiec. – A co najgorsza, iż podstawił wasze gardła pod miecze nasze. Szczęściem, iż nie znaleźliśmy u nas takich buntowników, jakich zbiliśmy nad Irdynem.

– To już i bitwa była? – zapytał Feško Horstka.

– O! I wcale niezgorszą! Nie na żart gwizdały kule i szczękały pałasze.

– Powiedzcież mi, dobrzy żołnierze, jakim to stało się sposobem?

⁴¹ Alkierz – dawn. boczny, mały pokój służący zwykle za sypialnię.

⁴² Praznik – dawn. odpust, święto, zwłaszcza religijne.

– Daj no miodu! – rzekł podochocony szeregowiec i wychyliwszy nalany kufel, usiadł naprzeciw Feški i tak zaczął:

– Sam diabeł, zdaje się, nie wytropiłby go w tych borach, choćby tam żył rok cały, ale już tego nie wiem, przez jakie zrządzenie boskie nasz hetman koronny dostał o nim języka. Rozniosły się pogłoski, jakoby on z uzbieraną hałastrą chciał napaść nocą na Czerkasy, wyciąć tam wszystkich Polaków i ogłosić się kozackim atamanem. Skoro to doszło do uszu hetmana, niezwłocznie osadził wały, a nas o późnej już nocy wysłał w nadirdyńskie bory, żebyśmy znaleźli koczowisko Trojaszy. Przechodziliśmy więc takie trzęsawiska, takie zarośla, gdzie podobno od stworzenia świata nie powstała noga ludzka. Lasy i jary ciągnęły się bez końca, aż dostaliśmy się nad brzeg Irdyna: tego już przejść nie można było. Szliśmy więc nad brzegami dzień cały i aż wieczorem doszliśmy do nędznej grobli, po której jednej tylko można było przepawić się na drugą stronę. Z rozkazu Mohylskiego odprowadzono w daleki bór konie, a my rozłożyliśmy się po krzakach. Już słońce zachodzić miało, kiedy posłyszeliśmy gwar i śpiewy z tamtej strony rzeki.

– To oni – szepnął wtedy cicho przewodnik i my, opatrzywszy broń, czekaliśmy, aż zbliżą się do nas.

– Któż u was był przewodnikiem? – zapytał Feško.

– Niepokażny, ale dziarski chłopiec – odpowiedział drugi szeregowiec – teorbanista⁴³ towarzysza Mohylskiego – ten hultaj zna wybornie nadirdyńskie lasy, a bez niego bodaj czy powiodłoby się nam tak szczęśliwie.

– Aleksey? – krzyknął zdziwiony Feško i zgrzytnął zębami ze złości.

– Aleksey – powtórzył z zimną krwią szeregowiec. – Tęgi to chłopiec! Otóż tedy, panie Fešku – ciągnął rzecz dalej – skoro hajdamacy weszli na groblę, posłaliśmy do nich kul kilkadziesiąt i zaraz sami z pałaszami w rękę zastąpili im drogę. Zwinęła się ta czern jak gadzina, kiedy nastąpisz jej na głowę, i wlepiwszy w nas wzrok hajdamacki, nie mogła przyjąć do siebie z podziwu i przestachu. Nam był czas drogi, przystąpiliśmy więc do dzieła, a nim się opamiętali wrogowie, kilkunastu już leżało na błocie. Po chwili pojęli i oni rzecz całą, a gdy Trojasza obaczył na czele naszych Mohylskiego, ledwie się nie wściekł ze złości. Dopiero wtedy i my, i oni zaczęli tańcować nie na żarty, a gdyby nie noc nam przeszkodziła, hultaje ci daliby się wysiec do głowy.

– Ten wasz Trojasza diabłu zaprzedał się podobno – przerwał drugi, słuchający tego opowiadania. – Zawsze na przedzie uwijał się z nami i choć nie dziesięć razy nastawiliśmy na jego głowę, żadna nie wzięła go kula.

– Oczywiście! – rzekł pierwszy. – Jego oczy nie patrzyły po ludzku, a jak dziś przed wami Fešku blisko stoję, tak blisko przy nim byłem. Ale pod noc musiał już on tył podać; kilkunastu tylko z nim zostało hajdamaków, reszta leżała trupem w bagnie lub jęczała po lesie.

⁴³ *Teorbanista* – muzyk grający na teorbanie (rodzaj lutni).

– No! I jakże myślisz, panie Fešku, źle sprawiliśmy się nimi? – odezwał się drugi szeregowiec, wychodząc na środek izby i podkreślając wężem.

Ale Feško nie słyszał zapytania. Oparł łokcie na kolana, objął rękami lice i milcząc siedział tak przez czas długi. Żołnierze myśląc, iż zasnął pijany, wypróżniwszy naczynie z miodu, zostawili go w kącie i złączyli się z towarzyszami.

Tymczasem gwar zwiększał się co chwilę. W jednej stronie wypróżniano spore konewki trunków, tam głośną prowadzono rozmowę, ówdzie śpiewano wojenne piosnki, a w alkierzu targano Żydką, ażeby dostarczał napitku. Pospółstwo zawsze było tylko świadkiem tej pohulanki, ale kiedy miód zaszumiał w głowach żołnierzy, krzyknął ktoś z grona: teorbanisty! I wnet wszyscy powtórzyli ogromnym rykiem to wezwanie. Lecz nikt nie odpowiedział chęciom.

– Cóż u diabła! – krzyknął barczysty jeden szeregowiec. – Czy jużże, jak Korsuń rozległy, nie macie teorbanisty?

– Nie ma teraz – odezwał się ktoś z tłumu.

– Kłamiesz, chamie – odparł drugi żołnierz, przyskakując do chłopca, który przeczącą dał odpowiedź. – Cóż to, pierwszy raz być mi tutaj?! – Ja znam tu Neczypora, który gracko umie tańczyć kozaka.

– Tego wziął ataman z sobą – odpowiedział chłop trwożnym głosem i skrył się między tłumem.

Wtem otwierają się drzwi raptownie i teorbanista zwinięty w kłębek potoczył się na środek izby.

– Wiwat! – krzyknęli zdziwieni żołnierze, rozstępując się pod zydle i ściany. Chłopiec, mający nie więcej jak siedemnaście lat, z długą kruczą czupryną, w amarantowych, szerokich spodniach, granatowej kurtce i teorbanem przewieszonym przez plecy, stanął na środku izby, okręcił się trzy razy, zabrzmiał skocznego kozaka i puścił się w taniec.

– Wiwat! Wiwat! – krzyknęli żołnierze w uniesieniu, patrząc ciekawym okiem na grackie hołupce⁴⁴ Neczypora. Lud oniemiał z podziwu i wszyscy zwrócili wzrok na tancerza.

A kozak brzmiał na teorbanie, chłopiec tańczył lekko, zbijał hołupce i puszczał się w prysiudy⁴⁵.

– No! Dogodziłem wam teraz? – odezwał się po tańcu.

– Gracko! Gracko! – krzyknęli szeregowcy. – Prosimy jeszcze.

– Jeszcze?... Ho! – odpowiedział Neczypor poufale. – Ależ zarobiłem już, zdaje się, na czarkę miodu!

– Dać mu garniec! – wrzasnęli żołnierze i w tejże chwili kilkanaście kufli czekało jego przyjęcia.

⁴⁴ *Hołupce* – figury w ukraińskich tańcach polegające na zalotnym okręcaniu się pary wokół siebie.

⁴⁵ *Prysiudy* – przysiady w ukraińskich i rosyjskich tańcach ludowych.

– To za wiele! – odezwał się teorbanista, spoglądając na pełne czary zadowolonym okiem. – Ale jeden doprawdy nie zawadzi... – i wzięwszy z rąk żołnierza, wychylił go duszkiem.

– Diabeł mały! Patrz go, jak łyka! – przemówili żołnierze. – To zuch, jednym słowem!

Chłopiec stanął na środku izby, nastroił teorban, obrzucił po kilkakroć przenikliwym wzrokiem zgromadzenie i puścił znowu kozaka.

Milcząc, wpili znów wszyscy ciekawy wzrok w jego ruchy i natężyli słuch na skoczne dźwięki, ale nikt nie śledził jego poruszeń przenikliwszym od Feśka wzrokiem.

Kiedy grzmiące krzyki żołnierzy obudziły go z zadumienia, i on spostrzegł tańczącego Neczypora. Podziw, przerażenie, zgroza odmalowały się na jego twarzy i jakaś myśl głęboka, niepewna, ale silna i niewypowiedzianie namiętna, przeleciała po jego duszy.

Przestał znów tancerz, znów poczęstowano go czarą miodu, on uśmiechnął się, zagrał jakby od niechcienia na inną nutę kozaka i wybijając takt nogą, przebiegł wzrokiem widzów. Właśnie w tę chwilę przecisnął się przez tłum Feśko, stanął w rzędzie z patrzącymi i spotkał się ze wzrokiem Neczypora.

Obaj spojrzeli po sobie i teorbanista, jakby już znalazł pożądaný przedmiot, uspokoił się zewnętrznie. Teorban zamilkł.

– A cóż, malcze? – odezwali się po chwili szeregowcy. – Czy myślisz skończyć na tym?

– Czy wy znacie ptaszka sikorę? – zapytał teorbanista.

– Dziwnyś! – odpowiedziało kilku żołnierzy. – Powiedz nam raczej, kto go nie zna?

– A spędzaliście go kiedykolwiek z gniazda?

– I nieraz! Ale co ci, malcze, do tego?

– Ha! Co!... – odpowiedział Neczypor, poprawiając na plecach teorban. – Cóż on zrobił, jak spędziliście go?

– Poleciał! Naturalnie, jak każdy dziki ptaszek.

– O! Nieprawda, panowie! Taką rzeczą wy nie widzieliście sinicy!

– Głupiś! – odezwało się kilku szeregowców. – Z kogo to takie żarty stroisz? Ruszaj no lepiej w taniec i graj nam kozaka!

– Ale ja nie żartuję – rzekł znów chłopiec – bo sikora nie leci daleko, ale upada tuż przed człkiem i trzepie skrzydełkami, i wabi go do siebie, aby odwieść od gniazda.

– No! I cóż z tego? – przemówiło kilku. – Ten malec ma już zapewne w głowie.

Ale malec uderzył po raz trzeci struny teorbana i tańczył znów kozaka.

Wszyscy słyszeli słowa Neczypora, ale jeden tylko Feśko zrozumiał ich znaczenie. Stanął on jeszcze bliżej i nie spuszczał go na chwilę z oka.

Przedłużał się taniec, wszyscy zachwycali się Neczyporem.

– No, żołnierze! – rzekł na koniec teorbanista. – Czas dla mnie zaprzestać hołupca! I szulak⁴⁶ morduje się, goniąc przepiórki.

⁴⁶ Szulak – dawniej jastrząb lub krogulec.

– Ale grać i śpiewać nam będziesz – odpowiedziało kilku. – My ci będziemy odwilżać gardło, aż póki język nie stanie kołem.

– A wiele ja piłem? – zapytał Neczypor.

– Głupstwo! Dwa kufle tylko!

– No! Jak na dziś dosyć tego! – I to powiedziawszy, wziął z zydła świętę, rzucił pod nogi, usiadł na niej i zaczął stroić teorban.

– Ty, mały, umiesz ładne dumki – rzekł jeden szeregowiec, zbliżając do Neczypora. – Ale śpiewaj wesołe, bo od smutnych smutno bywa na sercu.

– Jakie sam zechce! – odpowiedzieli inni.

– To najlepsze! – rzekł Neczypor. – Umiem ja wiele dumek, ale nie nauczyłem się ich z pisma. A dumka, wiecie, nie zawsze na rozkazy, jakiej zapragnie serce, te tylko śpiewać będę. – I to rzekłszy, spojrzął na Feśka i tak zaczął:

Wyjdźcie, Kozacy, na korsuńską górę,
I z niej obrzućcie Ukrainę wzrokiem,
Ileż tam mogił napotkacie okiem!
A te mogiły, naszych ojców czyny,
Czyichże kości nie zmieściły w sobie!...
Ej, Ukraino! Kiedyż my na tobie
Zniszczymy kąkol wplątany w rośliny?...
Dolo kozacka! Nie bujaj z wichrami.
Po pustych stepach nie szukaj zdobyczy.
Bo wróg w twym gnieździe godziny twe liczy,
I sławę ojców niweczy przed nami!

– To hajdamacka дума! – krzyknął jeden szeregowiec, wybijając z rąk teorban. – Ty nam zaśpiewaj inną!

– Jaką umiem, taką i śpiewam! – odparł Neczypor, spoglądając z gniewem na żołnierza.

– Kłamiesz! – wrzasnął tenże. – Cóż to! Myślisz sobie, iż pierwszy raz cię słyszę?

– No! A ta, jak ci się podoba? – rzekł teorbanista, patrząc przenikliwym okiem na szeregowca.

Tam głębokim, ciemnym jarem,
Płynie źródło z bliskiej góry,
Na tej góry grobie starym,
Siedzi orzeł siwopióry.
Zjechał Kozak dołem, brzegiem.
Chcąc w nim ugasić pragnienie,

Ale źródło mętnym biegiem
 Wyrzuciło krwi strumienie.
 Wtem się ozwał siwopióry:
 Pomiń źródło to kozacze.
 Łzę tą krwawą wiek już wtóry
 Ta mogiła ciemna płacze.
 Co jej wewnątrz kryje w sobie.
 Nie podano w życia pieśni,
 I potomek na tym grobie
 Niechaj o tym nigdy nie śni.

- Tyś wcielony diabeł! – krzyknęło znów kilku.
 - My, jak dobrego, prosiliśmy o wesołą piosnkę, a on nam wspomina o mogiłach!...
 - Ależ ja nie winien – odpowiedział Neczypor. – Pieśń sama na myśl bieży.
 - Brednie! – zawołano. – Kiedy zechciałeś, jak grałeś nam kozaka!
 - O! To co innego! Tego i na cmentarzu tańczyć wam będę! – odpowiedział Neczypor i powstawszy z miejsca, zagrał nagle kozaka.
- Kilku szeregowców stanęło do tańca, a gdy po kilka razy poszli już w prysyudy i zgromadzenie ożywiać się zaczęło, nagle zaniemiał teorban, wypadł z rąk Neczypora i sam teorbanista upadł na ziemię z jękiem.
- Co mu się stało? – zapytało z przerażeniem kilku.
 - Zachorował... bardzo naturalnie! – odpowiedzieli patrzący się obojętnie żołnierze. Wtem przystąpił doń Feško, porwał go na ręce i wyniósł na podwórze.

III.

Oj, buw sobi sidyj, sywyj, na prizwyszczu czałyj⁴⁷.

Z pieśni gminnej

Było to już pod wieczór. Skoro Feško wyszedł na podwórze, spojrzął dokoła i uradował się, iż nie spotkał żadnej żywej duszy, która mogłaby śledzić jego kroki. Zwrócił więc na prawo, przelaził przez płot przyległej do ratusza sadyby i wpadłszy na małą ścieżkę, wijącą się ogrodami pomiędzy konopie, słoneczniki i sady, uchodził spieszny krokiem wzdłuż rzeki. Nikogo on nie spotkał aż do progów swej chaty, bo wszyscy opuścili domy i albo bawili się nad brzegiem rzeki nieopodal zamku, albo

⁴⁷ Oj, był sobie siwy, siviuteńki po przezwisku cały.

znajdowali się w ratuszu. Feško spiesznie odemknął sień i wniósł Neczypora do chaty, a gdy się przekonał, iż i w niej nie było nikogo, teorbanista porwał się z rąk starca i zdrów zupełnie stanął przed nim.

– Powiedz mi, ojczy – zapytał z miną poważną Feška – jakim sposobem puściłście Lachów do zamku?

– A cóż ja miałem począć? – rzekł Feško, stając przed nim. – Kilku tylko kalek zostawiliście na cały Korsuń i z tymi mógłżebyem bronić tych okopów? Ci czarci obróciliby w perzynę zamek cały, a i nam dostałoby się dobrze, gdybym postawił opór. Lepiejże, pomyślałem, wpuszczę ich, a inne przemyślimy sposoby do pozbycia: ale mów mi na miłość Boga, z jaką ty gwiazdą spadłeś na nas? Skąd? I gdzie ataman teraz?

– Ataman! – odpowiedział Neczypor. – Za rzeką w borze siedzi on skrycie z piętnastoma towarzyszami, którzy zostali nam od wczorajszej rozprawy. No! Podkosili młodców! – dodał, kiwając głową. – Ani myśleliśmy w życiu spotkać tych łotrów w tej pustyni.

– Wiem o wszystkim – rzekł smutnie Feško, poruszając ręką na znak, iżby nie mówił o tym. – Ale co ci mówił ataman, posyłając do mnie?

– Tu krótka sprawa! Ażebym dowiedział się, wielu Lachów wstąpiło do zamku i czy nie przemyśleliście sposobu pozbycia się tych wrogów.

Feško zamyślał się.

– Bo na was tylko nadzieja – dodał znów Neczypor po niejakej chwili milczenia. – U nas ledwie zostało 15 rusznic i czterdzieści nabożów prochu. Sam Trojasza raniony został w nogę i przez to spóźniliśmy pochód, inaczej uprzędzilibyśmy nawet Lachów.

– A nie będzie ataman u Oksany?

– Ani mówcie mu o tym! – odparł ze zgrozą Neczypor. – Rana jego serdeczna znów odżyła, kiedy spostrzegł wczoraj Mohylskiego, a dziś dowiedział się, że on znajduje się w Korsuniu.

– Ba, ba! – mruknął Feško. – Tego Mohylskiego diabli chyba widać wnieśli na naszą biedę!

– A nie można li go sprzątnąć? – rzekł z cicha Neczypor, oglądając się ostrożnie.

Na to słowo wilczy blask oczu ożywił źrenice Feška; spojrzął on z dzikim uśmiechem na Neczypora i znów wpadł w zadumanie.

– Próżno już, mój ojczy – mówił Neczypor – kiedyż co zrobimy, gdy jeszcze nic nie mamy w myśli, a biedny nasz ataman w głodzie i ranach jęczy tam przez dzień cały.

– Cicho! Cicho, mój synu! – odpowiedział Feško, jakby wpadł na myśl dobrą. – Idź teraz w Boży czas, siadaj w łódź i płyń do atamana, a powiedz mu, niech on z młodcami, kiedy zapadnie już noc ciemna, lasami z tamtej strony rzeki zbliży się naprzeciw mego sadu. Ja dla was przygotowuję sześć łodzi, wy przepłyniecie Roś

i skryjcie się w kureniu⁴⁸, który stoi przy moim basztanie⁴⁹, a ja tymczasem urządzę wszystko, żebyśmy im godnie odwdzińczyć mogli.

– A nie powiesz mi, ojcze, jakim to uczynisz sposobem – zapytał teorbanista – ażebym mógł donieść Tarasowi?

– Nie powiem przedwcześnie, bo Bóg wie, jak jeszcze zrobić przyjdzie – odpowiedział Feško, napełniając wór żywnością przeznaczoną dla atamana.

– Żegnaj więc, ojcze!

– Niech cię Bóg prowadzi!

I po chwili mały czółenek, wprawną kierowany ręką, poleciał z biegiem Rosi.

Feško Horstka sam jeden pozostał nad brzegiem. Długo on gonił wzrokiem Neczypora, ale gdy ten znikł mu na zakręcie rzeki, odwrócił wzrok, zwiesił głowę na piersi i dumać zaczął.

Dzień już skłaniał się ku wieczorowi i południowe upały w świeższe zmieniał powietrze. Było cicho, pogodnie. Wody płynącej rzeki najmniejszej nie wzdymały fali, a nadbrzeżne wierzby posepnie zaglądały w jej głębie. Na przeciwnej stronie pasło się kilka wołów, widniały ule, pasieki, między krzakami tarni a jarem pod górą czernił się czahar gęsty. Dalej, na prawo, brzeg mniej był spadzisty; roztaczała się nad nim długa, zielona niwa, a jeszcze dalej rysowały się słabo na niebie ukraińskie kurhany. Gwar miasta nie dolatywał w to ustronie, było tu cicho, samotnie i tylko przelatujące nad rzeką stada kaczek przerywały spokojność natury.

Właśnie to była dumań chwila, chwila, której Ukrainiec nie zamieni na huczne biesiady, w którą cieszy się swobodą i samotnością – rodzimym swym żywiołem.

Feško czuł tę swobodę; dał on wolę marzeniom i Bóg wie, gdzie nie posyłał myśli swoich. Nie wywnętrzał on tych wrażeń na licu; twarz jego i postać były spokojne, nieruchome, ale serce biło się silnie i krwią zalewało się spiekłą. Dobra godzina upłynęła, nim na koniec wrócił do swej chaty.

Idąc obok stogowiska słomy, spostrzegł śpiącego na niej spokojnie Romana i, jakby jego tylko szukał, zatrzymał się nad nim.

– No, synu! – rzekł, trącając go w ramię. – Wstawaj! Wstawaj! Czas myśleć i czynić, a nie spać! To będzie potem.

Roman, usłyszawszy te słowa, powstał, przetarł oczy i zapytał ojca, czego by potrzebował?

– Chodź tu! – powiedział Feško, otwierając drzwi do sieni, a gdy przestąpił próg – Weź no – dodał – tę tykwę z prochem, którą zakopaliśmy w lochu i ten worek kul, co tam leży w komorze, powynoś rusznice i spisy i zanieś to wszystko do kurenia na basztanie, bo trzeba się przygotować do dzieła.

⁴⁸ *Kureń* – wiejska zagroda, szałas na Ukrainie.

⁴⁹ *Basztan* – ogród na stepie, przeznaczony pod uprawę warzyw.

Roman wytrzeszczył oczy na ojca i po chwili, jakby się domyślał wszystkiego, zakręcił czuprynę, okolił wzrokiem dziedziniec i jął się do spełnienia rozkazu. Kiedy już wszystko przeniesiono, weszli obydwaj do kurenia; tam dopiero zaczęto nabijać rusznice, przesypywać proch w rożki, dzielić kule i oczyszczać spisy, a gdy przygotowano zapasy, złożono wszystko to w kątek i przysypano słomą. Feško jednakże nie tracił czasu; poszedł on zaraz do możniejszych gospodarzy, przebiegł wszystkie ulice, zaszedł do karczmy i na każdym miejscu, gdzie tylko spotkał kogo, przemawiał doń słów kilka, po czym przytomni ze znakiem wspólnej zgody rozchodzili się w różne strony. W karczmie, napełnionej przed chwilą pospólstwem, zostały tylko kobiety i dzieci, po zagrodach i ulicach biegano wszędy, a na placu ratuszowym, który przeciągał się nad brzeg rzeki, skupiały się tłumy chłopstwa i ostrożnie traktowały⁵⁰ z sobą.

Ale ani pancerni towarzysze, ani żołnierze nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Jedni i drudzy zapomnieli o bożym świecie, bawiąc się piosnkami i dzbanem.

IV.

Bo w nas diwki wsi motorni,
Kosy z dowhim wołosom,
Oczy czorni – browy czorni –
Łyczko jak krow z mołokom.
U nas woroh ne zahostyt,
Nam worohom ciŷyj myr,
Szabla nasza ne popustyt,
Zawsze maje świzyj żyr⁵¹.

Tymon Padura

Wróćmy teraz do Neczypora. Przemysłny ten chłopiec, rozpędziwszy łódź, z biegiem wód leciał szybko po Rosi. Już dość znaczną upłynął przestrzeń, spędzając ustawicznie po brzegach stada dzikiego ptactwa, gdy z głębokich jarów ujrzał się na szerokiej płaszczyźnie, okrytej piękną murawą i gajami. Tu Roś płynęła

⁵⁰ *Traktować* – tu: czynić coś przedmiotem rozprawy, rozważań; omawiać.

⁵¹ *Nasze dziewczęta energiczne,
Długowłose z warkoczami,
Oczy czarne – brwi czarne,
Liczko jak krew z mlekiem,
Wróg u nas nie zagości,
Bo nam wrogiem cały świat,
Szabla nasza nie odpuści,
Zawsze mając świeży łup.*

wolniej, po obu stronach płukały wody albo gęste zastępy lasu lub szumiały przez łoży i trzciny. Brzeg coraz stawał się rozmaitszy. Tam samotny futor⁵², tam mała płaszczyna, ówdzie lewady i czahary migały przed okiem Neczypora. Mijał on pospiesznie te piękne brzegi i jak kaczką, przez zarośla, przez trzciny, posuwał się dalej i dalej. Wtem nagle zwrócił łódkę do lewego brzegu, wpędził ją w niewielką kępę oczeretu tak, iż skrył się zupełnie i wyskoczył jak sarna na murawę. Nie więcej, jak o dwieście kroków za grzbietem dość wzniosłego pagórka, pomiędzy odwiecznych lip widniała chatka mała, niżej, na rozdole był sad obszerny, krynica, a to wszystko otacza płot z chrustu zrobiony; za płotem ciągnął się las ciemny. Był to futor ukraiński.

Neczypor schylony, przesuając się między krzakami, wbiegł na pagórek, skąd mógł widzieć chatę naprzeciw leżącą. Patrzył on pilnie, azali nie spostrzeże kogo, ale nadzwyczajna cichość panowała w całym ustroniu i tylko srok kilka skrzeczało, latając po samotnym sadzie. Teorbanista zsunął się do płotu i pod zasłoną jego dobiegł do samej chaty; tu jeszcze ostrożniej zbliżyć się zaczął, bo tak cicho było w naturze, iż każdy krok szeleścił w trawie, nagle skrzypnęły drzwi i wyszła z chaty młoda, ładna kobieta. Chustka wyszywana w złote kwiaty okrywała jej głowę, spod niej wypływało trochę kruczych włosów, oczy miała czarne, brew takąż, lica błyszcząły żywym rumieńcem, a usta przybierały uśmiechający się nieco wyraz, który dziwnie uroczo przyozdabiał rysy jej twarzy. Na białej jej szyi czerwieniło się kilka sznurków koralu, błyszcząły złote dukacze i dwa obrazki małe.

Pomimo jednakże czarownego uroku, który jaśniał na licu tej kobiety, spod tego uśmiechu, z tych oczu ciemnych, w pół przysłonionych ciemną, rzęsną powieką, przebijały się zadumanie i smutek. Skazana na życie samotne, bez uciech i rozkoszy, tęsknie przepędzała dni swej młodości wpośród tych odosobnionych jarów. Szum tylko wiatrów i rzeki, śpiewy słowików, krzyk puchaczy i dzikich kaczek, ożywiały cichą jej samotnię; z nimi żyła tylko w futorze i ich głosu słuchać przywykła! Namiętne jej czucia dziczały w takim życiu: ile łez wypłynęło z tych pięknych oczu! I wszystko to na próżno! Żadna nadzieja nie błyszczała jej w dali! A w przyszłości swojej widziała tylko dni smutne i wiosnę niepowrotną!...

A serce pragnęło silnie życia, biło gwałtownie, burzyło krew i rozpałało żądze! Ta nieodstępna tęsknota wyryła swoje ślady i na rysach jej twarzy. Nie straciły one na wdzięku, bo lśniły się żywą młodością, ale przybrały jakiś posepny urok, urok złotego słońca otoczonego burzliwymi chmurami!... Jej uśmiechom, jej mowie i wesełtchnieniom wtórzyło to zagłębione w sercu utęsknienie – i samej w tęsknym obrazie przedstawiało naturę!

⁵² *Futor* – dawn. na wschodnim pograniczu Polski i na Ukrainie gospodarstwo wiejskie położone z dala od innych.

Cierpienia te nigdy by nie wywarły tyle swej siły, gdyby osiadły na sercu, które nie doznało jeszcze rozkoszy życia, ale Oksana przeżyła już tę chwilę, po niej dopiero przyjęła do łona robaka zgryzoty, który tajemnie pił jej życie.

– Biedna Oksana! – mówili Ukraińcy, litując się nad jej życiem. – Takiejże doli winna doznawać żona atamana Trojaszy?!

– Nastazjo! – rzekła do wychodzącej z wiadrami po wodę dziewczyny. – Więcej ty nie byłaś dziś w Korsuniu?

– Nie! Ale że ja nie byłam, to nie dziwo, czemu wy nie bywacie Oksano?!

– Bieda moja nie pozwala mi bywać, gdzie ja zechcę – odpowiedziała Oksana z westchnieniem. – Ale może dziś jest już ataman w grodzie?

– On by odwiedził was, Oksano!

– Hej! Hej! – rzekła Oksana. – Nie tą ja dla niego, jaką byłam wprzód! Pierwej on żyć beze mnie nie mógł, a teraz i po cztery tygodnie nie widzimy się z sobą!

– Za cóż on was tak nie lubi? – zapytała Nastazja, stawiając na ziemi wiadra i rwąc bez z pobliskiego krzaku dla przystrojenia głowy.

– Długo o tym rozprawiać – rzekła, zamyślając się Oksana – ale cóżem i ja winna? Ja nie kochałam i nie Kocham od samego ślubu. Był ten, którego kochałam ja szczerze, i który mnie kochał podobnie, ale i ten dzisiaj Bóg wie na jakiej ziemi, a może śpi już pod mogiłą!

– I nie mieliście o nim wiadomości?

– Och! Miałam..., ale nie przez ludzi, lecz od niego samego! Sokół mój luby! On to mnie kochał szczerze, gdy raz, sam jeden, zza Czechryna przyleciał do swojej kochanki! I był tylko dzień jeden! W nocy! W północy pożegnał mnie na wieki!

Tu łzy załśniły na jej oku, westchnęła i skłoniła na piersi głowę.

– Nie płaczcie, Oksano – rzekła Nastazja. – On jeśli was kocha szczerze, znów Bóg wie skąd przyleci! Ale mnie, prawdę mówiąc, dziwnie się zdaje, jak można płakać za kochankiem!

– A tyż miałaś kochanka?

– Boże mój! Czy jednego! – odpowiedziała wesoła dziewczyna. – Ale wtenczas go tylko Kocham, kiedy widzę!

– Hej, hej! Tak Kochając, nie można czuć rozkoszy miłości – mówiła Oksana. – I mnie się zdało, kiedy jeszcze byłam dziewczyną, kiedy nie znałam jeszcze mojego drogiego, iż zawsze będę spokojną i szczęśliwą... gdzie tam! Minęła spokojność moja, odkąd on pocałował te piersi i szczęśliwość... och! Wypłynęła ze łzami! Gdy on nie był przed moim okiem, nie tulił mnie do siebie, tęskniłam dzień cały i kiedy byłam z nim razem, chciałam na wieki nie rozłączać się z miłym!

– Prędko życie zwiędnie w takiej miłości – odpowiedziała Nastazja, zbiegając po wodę do krynicy. – A gdy młodość przepłynie, nie zawrócisz jej, jak nie zawrócisz wód tej rzeki!

– A mnie na co się przyda młodość? – powiedziała Oksana sama do siebie. – Czy to wróci się szczęście moje! Hej, hej! Zginę na wieki niezadługo i zapomną o mnie przez dni kilka i grób mój porośnie trawą, a nikt go nie odwiedzi! I mego lubego dola taka!... Biedni my na tym świecie!...

I wpadła w zadumanie, a łzy potoczyły się jej z oczu.

Po chwili poszła ścieżką wijącą się pomiędzy drzewami na górę, usiadła tam pod cienistym dębem i wpatrzywszy się w strzelnicę zamku korsuńskiego, tę zaśpiewała dumkę:

Gdzie ty żyjesz, szczęsna dolo, na szerokiej ziemi,
Czy za morzem, czy po lasach, czy na dzikiem polu?
Że się z ludźmi, co cię pragną w tęsknocie i bolu,
Ni się nigdy nie spotykasz, ni przebywasz z nimi!
Oj, ty dolo, dolo szczęsna! Nie ma ciebie z nami!
Ni za morzem, ni po lasach, ni w polu szerokiem,
Bo ty żyjesz z duszą samą tam – poza obłokiem!
Kiedy biedne ciało legnie między mogiłami!

Głos jej ustał, a oko błędziło jeszcze nad górami Korsunia, jakby szukało jakiegoś celu żądań.

Neczypor przez cały ten czas śledził Oksanę, a gdy skończyła śpiew, zbiegł przez gęstą leśzczynę na dolinę i poza drzewami przemknął się do swej łodzi. Po chwili spostrzegła Oksana czółenek, płynący środkiem Rosi, ale nie mogła dojrzeć wiosłarza, bo ten leżał w nim przykryty wiązką słomy.

Długo płynął Neczypor. Roś, przedtem skalista i wąska, później rozlewająca się na piękne doliny, teraz przybierała ponury widok. Z prawej strony czerniły się nieprzebyte bory, z lewej ługi, pokryte łożą i oczeretem. Słońce było nad samym zachodem, a ukosne jego promienie złociły szerokie wody rzeki i jeszcze szersze lasy. Tu już nie widać było wsi i futorów; żadnej żywej duszy nie spotykało oko i tylko odzywały się słowiki, kukułki i pierzchały ogromne stada kaczek. Teorbanista, ośmielony ciszą wieczoru, gwizdał wesołą piosnkę i pilnie przeszywał wzrokiem oczerety. Za długą taśmą łóz, ciągnących się nad brzegiem rzeki, spostrzegł on stado kaczek połyskujących się od słońca promieni. Dzikie mieszkańcy pustyni pluskały się spokojnie, muskały pióra i żerowały rozpierchnione po rozległym zalewie. Neczypor wstrzymał czółenek i z żądzą myśliwca śledził ich poruszenia. Potem powstał lekko na nogi, obrócił wzrok na wsze strony i dobywszy spod słomy rusznicę, wyjął z niej kule i wsypał nabój śrutu.

– Trzeba coś przywieźć dla atamana – rzekł do siebie po cichu. – Oni zapewne jak psy głodni – i strzelił do skupionego tłumu.

Przelekłe kaczki pierzchnęły tłumnie, a echo strzału powtórzyły kilkakrotnie nadbrzeżne ługi, potem poniosły daleko wody Rosi.

– Przeklęty strzał! – mruknął Neczypor, oglądając się ostrożnie. – Pod Kaniowem słyhać go będzie! – i zebrawszy kilkanaście zastrzelonych kaczek, zwrócił czołenek na prawą stronę.

W tej chwili gwizdnął ktoś przenikliwie nad brzegiem rzeki, Neczypor odezwał się podobnie i po chwili stanął przed Trojaszą.

Ataman Taras Trojasza był wzrostu wysokiego. Opalona twarz jego nosiła wyraziste na sobie rysy. Wąsy długie, czarne, czupryna także, a biegające przenikliwie oczy jaskrawie świeciły spod brwi dużych. Był on bez żupana i czapki; nóż długi i szabla wisiały mu u pasa, a rękawy koszuli we krwi broczone były. Trzymając w prawej dłoni spisę, leżał on niedbale na trawie; u nóg jego stała oparta o krzak łoży długa, turecka janczarka. Obok siedziało w milczeniu z założonymi na krzyż nogami kilkunastu Kozaków. Ten był w świcie, ów w żupanie, inny w podartej koszuli, a wszyscy okryci krwią i błotem. Na dzikich ich twarzach krwawo odbijały się promienie zachodzącego słońca.

Skoro spostrzeżono wyskakującego z czołna Neczypora, oczy wszystkich przytomnych zwróciły się na niego. Nie uspiął on jeszcze skłonić się atamanowi, gdy ten grubym głosem przemówił do niego:

– Biesów synu! Czegóż tak długo bawiłeś w Korsuniu?

– Nie można było, ojczy, powrócić prędzej – odpowiedział teorbanista. – A oto postarałem się dla was na wieczere – dodał, pokazując sporą wiązkę kaczek.

– Czart wie, o czym ty myślisz! – rzekł Trojasza. – I cóż tam słyhać?

– I źle i dobrze! – odpowiedział Neczypor, spoglądając na wszystkich. – Ale pobłogosław Boże naszego Feśka, jest nadzieja, iż weźmiemy górę!

– Lachy w Korsuniu?

– Wszyscy! – odparł teorbanista. – Hulają teraz i piją miody, które zostały w zamku!

Ataman zgrzytnął zębami ze złości i nic nie odpowiedział.

– Na co było puszczać tę gadzinę w pazuchę – odezwał się jeden Kozak. – Czyż nie mogli oni obronić zamku? Tam kilkunastu tylko ludzi postawić na okopach, a nie daliby ani na krok przystępu!

– O! Zwinnyś! – odparł drugi. – A czemóż tak nie potrafiłeś uczynić na Irdyniu?

– No, chłopcze! – przerwał ataman. – Cóż ci powiedział Feśko? Czy tu zostaniemy jeszcze przez dni kilka, aż Lachy sprowadzą większą do Korsunia załogę?

– O, nie! – rzekł Neczypor. – On kazał mi prosić cię, atamanie, iżbyś z Kozakami był na dzisiejszy wieczór w Korsuniu.

Podziwienie⁵³ odmalowało się na twarzach przytomnych, sam ataman podjął się i usiadł, wlepiwszy przenikliwie oczy w Neczypora.

⁵³ *Podziwienie* – dawn. zdziwienie, zdumienie.

– Tak, panie atamanie – mówił dalej chłopiec. – On już ma myśl przygotowaną i zapewne uda się niezgorzej, tylko natura uparta tego dziada nie wyjawiała mi jej, ażebym donieść mógł tobie.

– A! Ten Feśko wiecznie milczkiem kąsa! – mruknął niezadowolony Trojasza. – No, i cóż tam porabiają Lachy? Mów mi poszczególnie.

I Neczypor, stojąc przed atamanem, opowiedział całą swoją przygodę.

– O! Dobrześ oszukał Lachów! – powiedzieli Kozacy, usłyszawszy o wybiegu Neczypora w ratuszu. Ataman tylko jeden nie zmienił swojego oblicza.

– A futor? – zapytał ponuro Neczypora.

– I tam byłem – odpowiedział chłopiec. – Oksana płacze i narzeka na samotne życie.

– Gadzina przekłeta! – mruknął gniewny Trojasza. – Ona wiecznie nierada ze swej doli! Wie ona, że Lachy są w Korsuniu?

– Nie wie! – odpowiedział Neczypor. – A ja widziałem ją niewidziany. Pocieszeni na myśli Kozacy uczynioną im przez Feśka nadzieją zaczęli weselszą toczyć z sobą rozmowę; wmieszał się do nich teorbaniści i bawił opowiadaniem swoich zdarzeń. To widocznie rozjaśniało umysły, a gdy jeszcze ukazał się worek, ładowny żywnością i trunkiem, radość i wesołość przemogły wszystko.

Ataman jeden tylko był smutny; spostrzegłszy żywność, porwał chciwie tykwę gorzałki, pił ją z dzikim upragnieniem, potem wziął palanicę⁵⁴ i w milczeniu, odwrócony od Kozaków, pożerać ją zaczął.

– Ojczel! – rzekł Neczypor. – Pamiętał o nas Feśko i przysłał coś więcej.

To rzekłszy, pokazał sporą torbę jagieł.

– A że niebawnie – dodał – wyruszyć nam trzeba, ugotujemy to prędko dla pokrzepienia sił naszych.

Ataman skinął głową, a głodni Kozacy jęli się spiesznie do sprawienia wieczery. Jedni znosili suche gałęzie, drudzy niecili ogień, inni przynieśli wodę i wkrótce w sporych dwóch kociołkach gotował się burłacki kulesz⁵⁵.

– A i to go Pan Bóg przyniósł! – mówili Kozacy. – Człowiek ledwie już nie zadretniał z głodu, teraz śmielej staniam do sprawy!

– Dobry to Feśko, pamiętał o nas – rzekli drudzy.

– On nie to jeszcze pokaże nam, co umie – odezwali się niektórzy, czyszcząc i nabijając rusznice – niech no tylko da Bóg obaczyć się z nim bez przygody.

Ataman nie słuchał tej rozmowy. On myślą i sercem utonął w tajemnicze marzenie i tak dzikim, zadowolonym wzrokiem obiegał ciemniejący widnokrąg, jakby postrzegał na nim zemsty swojej obrazy.

⁵⁴ *Palanica* – ukraiński placek z żytniej mąki, podplomyk.

⁵⁵ *Kulesza* – dawniej, dziś gwarowo: gęsta potrawa mączna; lemieszka, mamałyga.

Tymczasem sporządzono wieczerzę. Zdjęte kotły z ognisk postawiono na czystej murawie i Kozacy obsiedli je wkoło. W milczeniu i chciwie wypróżniono je wkrótce, po czym ataman, biorąc do ręki potężną tykwę⁵⁶ gorzałki:

– No bracia! – powiedział. – Pożywiliśmy się trochę po głodzie! Teraz do was, młodocy! Niechaj Bóg pomoże naszej sprawie!

– Daj Boże! – ozwali się Kozacy. – Długo my już jęczymy pod jarzmem Lachów; czas, ażeby Bóg miłościwy pomógł nam oczyścić ukraińskie stepy.

– O, czas! – powtórzył silnym głosem ataman. – Wziąłem ja ten pałasz do ręki nie dlatego, ażebym jak dziecię upuścił go za najmniejszym przestraczem. Raz się to serce krwią zapiekło i dość, ażeby żywić nienawiść całe życie! Kozacy nie będą mieli pokoju, nie będzie miał poszanowania dom Boży, aż ten perz wypalimy na naszej ziemi! Ukraina powinna być wolna od Lachów, a wtenczas zostanie szczęśliwą! Przytomni powstawszy, słuchali tych słów w jak najgłębszym milczeniu, a gdy przestał mówić ataman, pokłonili się mu nisko, przeżegnali i zaczęli się zbierać do pochodu.

Ciemny mrok osiadł już na ziemi, cicho było, tylko krzyk kaczek i dalekie jęki sowy przerywały powszechne milczenie.

V.

I pusto, tęskno, smutno, jak gdy szczęście minie,
I pusto, tęskno, smutno w bujnej Ukrainie!

*Antoni Malczewski*⁵⁷

Widzicie, towarzysze, iż domyślny jestem człowiek! – krzyknął Męzkowski, patrząc na wnoszoną baryłkę miodu z lochu atamana Trojaszy. – Te psy dobre mieli zapasy!

– O! Dzięki tobie – rzekł pijany już Mołdawski – mamy czym odwilżać gardła, bo też długo piło się dniewprawą wodę. Tu! Tu! – krzyczał do chłopów niosących baryłkę pod okiem czterech szeregowców.

Na to zawołanie posunęli się przez próg chłopci i przy progu postawili naczynia.

– Do trzykroć stu tysięcy diabłów! Tu! – wrzasnął rozgniewany Mołdawski. – Tu! Na stół, przekłęci Szymatycy!⁵⁸ Cóż to? Alboż rozumiecie, iż ten trunek nie wart być na tym dębowym stole? – I to mówiąc, pędził ich kułakami w głąb komnaty.

⁵⁶ *Tykwa* – twarda okrywa owocu tykwy, używana jako naczynie.

⁵⁷ Ostatnie wersy dwóch *Pieśni z Marii* (1825) Antoniego Malczewskiego. W oryginale: „I pusto – smutno – tęskno – jak gdy szczęście minie” (*Pieśń I*); „I pusto – smutno – tęskno w bujnej Ukrainie” (*Pieśń II*).

⁵⁸ *Szymatycy* – schmatycy, odstępcy od jakiejś prawowiernej wiary; tu: określenie prawosławnych.

Komnata ta była dość przestronna, niska i długa. Cztery małe okna oświecały ją z zamkowego dziedzińca. Na środku stał stół długi, dębowy, okryty białym, wyszywanym w kwiaty obrusem, niedaleko ode drzwi wisało kilka ręczników w podobnym zrobionych guście, długie zydle stały pod ścianami dokoła komnaty i kilka drewnianych stołków przy stole. Na przeciwległej drzwiom ścianie, w dziwne upstrzonej malowidła, w prawym kącie postawiony był obraz Matki Boskiej w ramach pokrytych srebrem; przy nim było kilka innych pomniejszych, a nad nimi paliły się dwie srebrne lampy. Kilka starych, zepsutych rusznic stało w przeciwnym kącie, a na tylnej ścianie poukładane były na półkach: misy, talerze, tytkwy i mnóstwo łyżek.

Pomiędzy oknami zawieszane były dwa wielkie obrazy, na jednym z tych wyobrażony był grubym, nieudolnym pędzlem Żyd, częstujący chłopów wódką, w którą tuż obok Żydówka dolewała trzecią część wody – na drugim hajdamacy palący Żydków na długie nasadzonych spisy i wyciągający z zapalanej karczmy ich kufry. Dalej trochę pod dębem też sama zgraja ćwiczyła nahajkami rozciągniętego na pniu arendarza, a dwóch Lachów leżało związanych obok niego. Naczelnik ich, wyobrażający Trojaszę, stał na stronie i podparłszy się w boki, wydawał rozkazy Kozakom.

– Patrzcie! Co tu porobił przeklęty hajdamaka! – rzekł Mołdawski, opatrując komnatę. – Czy tu tak było, gdy stała nasza załoga?!

– O, nie tak! Zupełnie inaczej! – odpowiedział Mohylski. – Tam, gdzie teraz ich bohomazy, stał obraz Najświętszej Panny Począjowskiej, a na miejscu tych dwóch malowideł, portrety: naszego króla Zygmunta III i hetmana Żółkiewskiego, świeć Panie jego duszy.

– Co za bezbożność! – krzyknął ksiądz, wpatrzywszy się z bliska i odstępując potem z przestrachem od obrazów. – Takie wywieszać malowidła! To wyraźne bunty!

– Ale czegoż się boisz, księżę? Płóciennych hajdamaków? – rzekł Mohylski, zbliżając się do tychże obrazów i wpatrzył się w nie ciekawym wzrokiem, lecz nagle zadrżał i z całej siły uderzył kułakiem w głowę Trojaszy.

– Co tobie? – zapytali przytomni.

On błąd, zmieniony, odszedł do stołu chwiejącym się krokiem i wychylił nalany dzban miodu.

– Co! – rzekł Mołdawski. – Ten diabeł Trojasza popatrzył zapewne niedelikatnie w jego oczy!

– No? I malowidła tak się trwożyć?

– Ha! Malowidła! Wam dziwno – mówił Mołdawski – a u hetmana koronnego jest portret naszego króla, a pana miłościwego, podobny jak dwie krople wody. Ja więc, com widział mości dobrodzieju żyjącego naszego króla, zawsze staję z uszanowaniem przed portretem, bo ot... ot... zdaje się zagada!

– I te obrazy, co tu wisały, były podobne do króla i hetmana – rzekł Mężkowski.

– Ot, gdzie są one! – zawołał ksiądz w przeciwnym kącie komnaty, wyciągając spod łąwy zapyłone malowidła. – Ach! Jezus Maria! – krzyknął, wpatrzywszy się bliżej. – Co też to chłopstwo porobiło im teraz! Patrzenie panowie!

I to mówiąc, położył na stół obrazy; obydwa były pokłute spisami, postrzelane kulami i podarte.

– O! Psy! – krzyknęli oburzeni towarzysze, dobywając pałaszy. – Odpląca oni dzisiaj nam jeszcze za to.

– Hej! – zagrzemiał Mohylski. – Niech tu stanie dziesięciu żołnierzy.

I dziesięciu żołnierzy wnet stanęło w komnacie.

– Pojmać i przyprowadzić Feśka! – krzyknął Mohylski, powstając gniewny z łąwy.

– Odszukać tego psa, gdzieby się nie znajdował! – odezwał się Mołdawski pokręcając węża. – Słyszycie? Sprawcie się mi jak pancerni husarze!

– Właśnie grzmot tych słów doleciał do uszu Feśka, wstępującego w progi zamkowe. Zatrzymał się on jak lis, spostrzegając przed sobą myśliwca, i w tejże chwili zawrócił się nagle z sieni, a że noc była ciemna, przemknął się niedostrzeżony obok stojących na dziedzińcu żołnierzy za tylne zabudowania zamku. Znając doskonale miejscowość, zabiegł w najodleglejsze zakręty budynków, otworzył jednej chaty małe drzwiczki, przebiegł przez korytarz i na małą wbiegł zagrodę. Tam wpadł do stajenki, wlaź po drabinie na poddasze i położył się w sianie.

Wnet obity się o jego uszy krzyki żołnierzy:

– Feśka pojmać! – wołano zewsząd, a pijani szeregowcy, jak koty zagorzałe, przebiegali budynki.

Nie wiedział zbieg przyczyny śledzeń, ale z gniewu i rozkazu naczelników nie wróżył sobie nic dobrego. W tym jednakże miejscu było spokojnie. Żołnierze nie wiedzieli, jak można było mniemać o tej kryjówce, gdyż żaden z nich nie zajrzał podczas trwogi.

Kiedy uciszyło się trochę, Feśko powstał i przez okienko zrobione na dachu opatrywał ciekawie cały zamek. Noc już była. Po wszystkich domach przyległych głównemu budynkowi odzywały się szumnie biesiady żołnierzy. Tam muzyka, ówdzie śpiewy i tańce, grzmiały i brzęczały mu w uszach, ale najgłośniejszą biesiadę wyprawiali towarzysze pancerni. Śpiewy i teorbandy brzmiały tam w całej sile, a od hucznych tropaków⁵⁹ trzęsły się szyby zamkowych okien. Słuchał on długo tego bankietu, a złość coraz bardziej niepokoiła jego serce, a zemsta krwawsze jedne od drugich wymyślała obrazy.

Za przejściem pierwszego wybuchu gniewu, kiedy skryto podarte portrety, a miód znów puchary napełniać zaczął, ożywiła się jeszcze bardziej biesiada. Przybyło kilku teorbanistów, kilku szlachty zamieszkałej w Korsuniu i wszczęły się muzyka i tańce. Za przykładem towarzyszy i ksiądz wespół pijany puścił się do tańca.

– Brawo! Wiwat! – zagrzemiały potężne głosy towarzyszy.

⁵⁹ *Tropak* – tradycyjny taniec ukraiński.

– A cóż, panowie, myślicie? – zawołał ksiądz. – I mnie nie zawsze smucić się potrzeba!

– Macie rację, mości księżu! – huknął na całe gardło Mohylski. – Oto mi kapłan, co modli się i tańczy!

– Księżu! – rzekł Mężkowski, podając mu dzban miodu. – Ruszaj z nami na wojny! Jak mi Bóg miły, weselej nam będzie koczować z tobą w stepach!

– O! Alboż myślicie, iż nie zdałbym się wam w potrzebie? Umiem i ja wywijać karabelą!

– Wiwat! – krzyknęli na to wszyscy, a teorby i tropaki znów zagrzmiały w komnacie.

Mohylski usiadł w kącie, zamyślił się i skinął nieznacznie na Aleksego. Młody teorbanista tańczył właśnie kozaka; wybijając hołupca, spostrzegł on znak pana i nieznacznie zbliżył się do niego.

– Znasz ty futor Oksany? – zapytał Mohylski, patrząc na Aleksego oczyma, w których przebijała się dzikość i silne żądze.

– Jak pięć tych palców – odpowiedział Aleksy, podejmując swą rękę.

– Ja chciałbym widzieć się z nią tej nocy... rozumiesz mnie?...

– Tu, na zamku? – zapytał cicho teorbanista.

Mohylski skinął głową.

– Dobrze! – odpowiedział młody Aleksy i uderzając bez taktu struny teorbanu, wyleciał z izby.

Mohylski, pragnąc ażeby nie spostrzeżono odejścia teorbanisty, wznosił toast za zdrowie króla i Rzeczypospolitej.

Wszyscy przytomni odpowiedzieli wezwaniu.

– Za zdrowie hetmana!

– Jesteśmy gotowi! – wrzasnął tłum pijany.

I znów zawrzała biesiada, a Mohylski siedząc przy stole, dzikim wzrokiem przebiegł zgromadzenie. Dziwnym zdarzeniem spotkał się on znów z jaskrawymi na portrecie oczyma Trojaszy; nie mógł już ścierpieć pożerczego wzroku i zawołał:

– Panowie bracia! Zbić kulami te malowidła!

– Wnet porwano pistolety i kilkanaście strzałów podziurawiło obrazy, okna, ściany.

– Nie tak! Do tego tłustego Żyda! – krzyknął Mołdawski, mierząc pistolet.

Gwizdnęła kula i przeszła malowaną głowę Izraelity.

– Do tego hajdamaki, który trzyma dziecię na rożnie! – rzekł Mohylski, mierząc w swoją kolej pistolet.

I kula przeleciała przez szczękę.

– Odbić kufer, który wynoszą z karczmy! – zawołał Mężkowski i nie czekając uprzedzenia, strzelił, a kula przeleciała przez zamek.

– Oto mi zuchy! – rzekł ksiądz, podziwiając trafne strzały towarzyszy.

– Teraz zgaduję, dlaczego wróg nie ustoi przed wami; wszakże co kula, to śmierć oczywista!

– A jakżeś rozumiał o nas mości kapłanie? – odparł Mołdawski. – Możnaż, aby pancerni towarzysze strzelali jak księża albo dzieci!

– Alboż to księża strzelać nie umieją? – odpowiedział obrażony kapłan. – Patrzcie! – rzekł, porwawszy pistolet ze stołu i mierząc go do jednego obrazu.

– Ależ powiedz nam pierwej – krzyknęli towarzysze – jakiś cel naznaczył?

– Cel! – mruknął ksiądz – Cel... hm... pyśk Trojaszy!

Rozległ się odgłos strzału i kula przeszła krzyż odmalowany na mogile. Wszyscy w milczeniu spojrzeli po sobie, zagryźli usta i położyli pistolety. Ksiądz blady, przerażony, niespokojnym wzrokiem przebiegł zgromadzenie.

– Trochę źle... – przebąknął Mołdawski – hm... kruk i krzyż, i Trojasza...

– Guślarz z ciebie, panie towarzyszu! – odparł Mohylski, nabijając pistolety. – Nam potrzeba koniecznie podziurawić jeszcze pyśk Trojaszy, a że szanownemu księdzu nie udała się żołnierska sztuka, nic dziwnego! Nie do tego się rodził! Mohylski pierwszy zaczął mierzyć, strzelił i kula urwała tylko koniec wąsa, daleko przechodzącego lice.

– To nie nazywa się trafić! – krzyknął Męzkowski. – Kula powinna być w środku samej szczęki!

– Traf wać lepiej – rzekł Mohylski, rzucając na ziemię pistolet.

Męzkowski zaczął mierzyć, strzelił, i kula przeszła o piędź mimo⁶⁰.

– Diabło się popisał! – rzekł Mołdawski. – Ale panowie! Tu wkrótce nic nie obaczmy, tyle narobiliśmy dymu! – I to mówiąc, zaczął otwierać okna. Nagle krzyki, płacz, wrzawa dały się słyszeć od zamkowego dziedzińca; zdziwieni towarzysze porwali broń w dłonie i wybiegli z komnaty.

Kilkadziesiąt żołnierzy gnali przed sobą tłum pospólstwa. Pałasze u pierwszych, potężne kije u ostatnich dowodziły, iż krwawa wszczęła się między nimi kłótnia; ale krzyk i rozruch tak silnie zmożyły się na zamku, iż o co szło każdej stronie, domyślić się było niepodobna. I ci, i owi mieli podartą odzież, pokrwawione twarze i wściekłością pałające lica. Bez pobudek rzucali się wzajemnie na siebie i zabijali się śmiertelnie.

– Wiara, do broni! – rozległy się wołania żołnierzy.

– Mołodycy! Różnąć Lacha! – wyło pospólstwo, spierając się zapamiętale i jeszcze większy wzmógł się hałas.

Mohylski ze wzniesioną szablą pokazał się przed wzburzoną tłumem.

– Wara! – zagrzmiął potężnym głosem, a to słowo poraziło każdego.

⁶⁰ Piędź – dawna jednostka długości równa około ośmiu calom.

Żołnierze posłuszni rozkazowi naczelnika stanęli spokojnie przed chłopstwem, ale rozjątrzeni Ukraińcy nie usłuchali słowa tego. Spostrzegł Mohylski wściekłość pospólstwa i przebiegłszy z towarzyszami całe ich zgromadzenie, nakazywał im uspokojenie. Dzikim wzrokiem śledzili oni śmiałków, a jeden z nich, zniecierpliwiony, uderzył Mołdawskiego pałą w głowę. Na ten czyn zawrzał gniewem Mohylski. Jednym cięciem szabli rozciął szczękę buntownikowi i krzyknął na żołnierzy, aby wiązano wszystkich. W mgnieniu otoczono tę wściekłą zgrają ludu, a gdy po kilku oporach spostrzeżono, iż wszelkie sprzeciwienie się byłoby daremnym, w milczeniu, ale ze skrytą złością, poddało się pospólstwo przemocy i po chwili cały dziedziniec zamkowy okryty był powiązanim chłopstwem.

Teraz opowiem, z czego się zajęła krwawa kłótnia pospólstwa z żołnierzami.

Kiedy wydano rozkaz odszukania Feśka, dziesięciu żołnierzy, obiegłszy na próżno zamek cały, wypadli na plac za zamkiem przed ratuszem leżący i złączywszy się z bawiącymi się tam towarzyszami, opowiedzieli im rozkaz Mohylskiego.

Na placu pod cieniem nocy snuły się tłumy chłopstwa; tajemnie, ale znacząco poglądali oni na przechodzących żołnierzy i rozmawiali z sobą cicho. Skoro ogłoszono rozkaz naczelnika, żołnierze wnet podzielili się na oddziały i zaczęli poszukiwania chciwie. Rozpędzali tłumy, potrącali spotykających, a gdzie opór znaleźli, używali pięści i pałasza. Jeden z tych oddziałów, spostrzegłszy nad brzegiem rzeki garstkę ludu, zbiegł ku nim, ale zamiast spodziewanych Kozaków, spotkano w nich kilkanaście młodych dziewczę ustrojonych w kwiaty, kośniki i korale. Śpiewały one narodowe dumki i bawiły się tańcem; żołnierze wmieszawszy się w ich grono, zapomnieli o dalszym śledzeniu zbiega.

– Hej, dziewczęta! – ozwał się jeden młody szeregowiec. – Chcecie tańców i miodu, chodźcie do nas na zamek! Tam to rozkosz i zbytek! Dziewczęta spojrzęły po sobie i uśmiechnęły się.

– Będzicie hulać noc całą – rzekł drugi. – Słyszycie? Aż tu brzmią teorbany i tropaki.

– Bawcie się, kiedy wam ochota – odpowiedziały – nam i tu wesoło!

– At! Jak mnichom w klasztorze – odezwał się jeden, obejmując w pół ładną, czarnobrewą dziewczynę. – My was zaniesiemy, a dziękujecie nam potem.

– Zanieśmy! – powiedzieli żołnierze i w tęż chwilę każdy z nich porwał jedną na rękę.

Krzyk przest్రachu wydały przelektę dziewczęta i chociaż może nieszczerze, zaczęły wrywać się z objęć żołnierzy.

Roman, syn Feśka, ów barczysty Ukrainiec, który towarzyszył ojcu przy widzeniu się z występującymi do Korsunia żołnierzami polskimi, siedł właśnie wtedy od swej chaty nad brzegiem Rosi; posłyszał on krzyk dziewcząt, domyślał się wszystkiego i trzęsąc się od złości, przybiegł do nich.

Pierwszym przedmiotem, który mu nawinał się przed oczy, był młody, wysoki jeden żołnierz, całujący pierś dziewczyny, którą trzymał w objęciu; ładna Ukrainka niezupełnie broniła się pieszczotom. Roman przybliżył pałające oczy i poznał w niej kochankę swoją. Zaniemiał on z gniewu na ten widok, a silny kułak obalił oboje na ziemię.

Żołnierz jęknął, a przestraszona dziewczica zbladła jak ściana, spostrzegłszy Romana przed sobą.

– Ha! Piekiełnico ty!... – wrzasnął Kozak, porywając ją za czarne długie kosy⁶¹ i nie dokończył mowy; trzęsąc się od gniewu, zaczął bić okrutnie kochankę swoją.

Przytomni żołnierze spostrzegłszy leżącego na ziemi szeregowca i Kozaka, bijącego zapamiętałe dziewczynę, skoczyli do obrony, ale silny Ukrainiec jednym zamachem ręki odtrącił dwóch śmiałków i nie przestawał męczyć nieszczęśliwą.

– Cóż u diabła! – krzyknęli żołnierze. – Nie uprzątniemyż tego hajdamakę?

I rzucili się wszyscy. Kozak zostawił zemsty swojej ofiarę i obrócił się do napastników. Wszczęła się bitwa. Długo nie dozwalał przystępu do siebie Roman, ale spostrzegł na koniec, że i on miał sprawę nie z dziećmi.

– Bracia! Ratujcie! – ryknął ogromnym głosem i padł znużony na ziemię.

Już przy jego nogach biedna dziewczyna leżała bez czucia na kamieniu, który upłynął krwią, ciekącą z poranionej jej głowy.

Wezwanie Romana rozległo się po całym Korsuniu. Pospólstwo i żołnierze pędzili nad brzeg rzeki, a gdy obaczono krew Romana, żołnierzy, wszczęła się powtórnie walka, którą przytłumiono dopiero na zamkowym dziedzińcu.

– Piekielne plemię! – wybąknął Mołdawski, powstając z ziemi chwiejającym się krokiem. – Jak psów powywieszałbym wszystkich!

– Na co to! I nahajki dadzą im radę! – rzekł Mohylski. – A jutro potańczymy z tymi buntownikami inaczej.

Tymczasem podług rozkazu naczelnika zbierali się żołnierze; każdy kozacką nahajkę miał w rękę i czekał tylko chwili, aż zemści się na swoim przeciwniku.

Zimnym okiem patrzyli na te przygotowania Ukraincy, a obojętny wyraz ich twarzy, słabo oświeconych ponurym płomieniem kagańców, powiększała okropność niemej sceny.

Nie byli to jednak wojownicy, których by przerazić mogły podobne zdarzenia. Często na Ukrainie, doznając takowych przygód, zwykli oni do widoku krwi i cierpienia; za rozkazem więc Mohylskiego uwiązano kilku buntowników do słupów na dziedzińcu stojących i zaczęto ćwiczyć ich okrutnie, ale najmniejszego jęku nie wydały zakamieniałe serca; z niewzruszonym wzrokiem, ze ściśniętymi zębami przecierpieli najboleńsze razy i odchodzili od słupów, jakby nie doznawszy najmniejszego cierpienia.

⁶¹ *Kosa* – warkocz; włosy splecione u dziewczyn były najcenniejszą ozdobą ich głowy i symbolem ich dziewictwa, z wplecioną w koniec warkocza czerwoną wstążką.

Wściekał się ze złości Mohylski, widząc taką wytrwałość. Przyszła kolej na Romana; hardy ten Ukrainiec, kiedy uwiązano mu ręce, wyrwał jedną, odkręcił czuprynę, włożył ją do ust i z najzimniejszą krwią objął słupek obiema rękami.

– Tego herszta trzeba poczęstować serdecznie – powiedział Mohylski do gotujących się żołnierzy, a żołnierzom tego było i trzeba. Skrępowawszy go mocno, obnażyli plecy i gradem spadły razy.

Roman spokojnym okiem spoglądał na otaczających go żołnierzy, ale po niedługiej chwili plecy jego opłynęły krwią i zboczyły ziemię.

– Spocznijcie, przeklęte syny! – odezwał się twardym głosem – i dajcie napić mi się wody!

Mohylski spojrzał mu w oczy, uśmiechnął się dziko i zapytał:

– No! Jakże tobie podobają się Lachy?

– Przeklęte plemię! – odpowiedział Roman spokojnie. – Ale przyjdzie czas, że i Kozak zapyta: jak się Lachom podobają Kozacy?

– Ale ty nie doczekasz zadać Lachom tego pytania! – odpowiedział Mohylski.

– Obaczmy! – rzekł Roman. – Wszak oprócz mnie są jeszcze Ukraińcy, z których ani wasza szabla, ani nahajka kropli krwi nie stoczyły! I dusze ich odważne, i dłonie wolne!

– Każdy z was, kto tylko podniesie oręż na Polaków, kto nie przyjmie religii prawdziwej, śmierć poniesie z naszej dłoni! Wy nie wierzycie, ale my nie żartujemy! Tak! Albo musicie zostać chrześcijanami i być posłuszni Rzeczypospolitej, albo każdy tak marnie ginąć będzie!

– Także to nas prosić trzeba, ażebyśmy zostali wam wierni? O! Nie doczekacie tego! Za krew wylaną tu niewinnie mścić się będą nasze wnuki jeszcze!

– Bijcie! – krzyknął rozszarty Mohylski do żołnierzy. A ci jęli się znów okrutnie do spełnienia okrutnego rozkazu.

Stracona krew osłabiła na koniec i żelazne siły Romana; zaczął on głową poruszać niespokojnie, a na policzkach jego osiadała bladeść śmiertelna.

– Dostyc! – rzekł Mohylski, postrzegając te znaki. – Teraz, zdaje się, będzie on pamiętał, jak zwodzić bunty przeciw Lachom!

Nic nie odpowiadał na to Roman, bo skoro odwiązano go od słupa, omdlał i upadł na krwią przesiąkniętą ziemię.

– Ej, panie! Nie każ bić tak okrutnie! – odezwał się jeden związany Ukrainiec, postrzegłszy młodego Romana. – Ukarz, kiedyśmy winni, ale nie gub niewinnej duszy!

– Nie wezmą was czarci! – odpowiedział Mołdawski, dając rozkazy do uwiązania drugich.

I znów zaczęto kary, które przedłużały się do późnej nocy. Feśko jak na dłoni widział całą tę scenę i niejednym razem sercem jego wstrząsała złość piekielna.

Kiedy już przesieczono tłum cały, żołnierze obwieścili rozkaz Mohylskiego, ażeby w dniu jutrzejszym z rana wszyscy stawili się na mszę do kaplicy. Po czym otworzono bramy dziedzińca i pospólstwo w głębokim milczeniu wystąpiło z zamku. Feško wymknął się z nimi.

To zdarzenie przerwało pijatykę. I towarzysze, i żołnierze, jakkolwiek starali się ożywić na nowo biesiady, czarne atoli myśli, nasuwające się ustawicznie ich wyobraźni, truły obecne chwile i zatrząsały ciemnymi obrazami przyszłości. Po hucznych tańcach zaległa złowieszcza cisza i żołnierze jak widma snuli się po ciemnych budowlach zamkowych. Każdy stał się zamyślonym, smutnym, marzył samotnie i unikał biesiady. Tam, gdzie przed chwilą grzmiały teorbany i pijackie okrzyki, gdzie komnaty świeciły się licznymi kagańcami, nastąpiła cisza i ciemnota. Zdało się, iż duch złowieszczy wstąpił w to zakłete miejsce, tchnieniem swoim owiał myśli i każdego.

Była to chwila rozwagi. Po mordach i cierpieniach, kiedy rozżarte serca zadowolity się dzikim mąk obrazem, nastąpiła godzina ocucenia się i upamiętania. Każdy w milczeniu przywiódł na pamięć postępowanie swoje, a roztrząsając je, wpijał z myślą tę niewytłumaczoną niespokojność, która silnie dręczy serce winnego. Był to gorzki wyrzut sumienia, dalekie echo smutnej doli grzesznika! Ileż przed nimi przesunęło się wtedy na skrzydłach wspomnienia pamiątek! Ileż widziadeł ciemnych, niepojętych trwożyło znekąną duszę! Cała natura zdała się podejrzaną i zdrađną; w cieniach nocy, w przesuujących się na niebie obłokach, w szumie wód słyszeli i widzieli oni złowrogich zwiastunów własnej doli, a natura zawsze, jak przed wiekami wieków, była pogodna i otwarta! W tymże co i pierwej lśniła się młodości uroku! W teje pogodzie i blasku! Nie tym tylko okiem patrzano na jej wdzięki. Taki to wewnętrzny smutek niepokoił myśli żołnierzy, rozpierchnionych po budowlach zamkowych, a nikt nie mógł skryć się od tego zjadliwego napastnika, nikt powrócić do pokoju duszy, bo tym napastnikiem było sumienie własne, które jak robak roztaczając zbołałe serce, własne wskazywało występki. Szczęśliwy! Kto w śnie dobroczynnym chwilowe znaleźć mógł wytchnienie!

Na wyniosłym krużganku baszty, wzniesionej nad samym brzegiem rzeki, siedziało owiniętych w tatarskie burki kilku młodych żołnierzy. Jeden z opartą głową na dłoni, drugi o zimną wieżę ścianę, inny z zamkniętymi oczyma, starali się odegnać z myśli dręczące ich obrazy i na łonie snu znaleźć ulgę, której pragnęli, ale sen nie przybywał, niespokojność wzmagąła się.

– A! Mój Boże! – odezwał się z nich jeden, poruszając się co chwila. – Co też to jest, iż zasnąć jednej chwili nie mogę?

– Ty – rzekł drugi – to dziwna! I mnie coś smutno na sercu!

– Smutno? – powtórzył trzeci, odkrywając głowę spod burki. – Ja nie rozumiem... a wiecie, iż i ja dotąd zmrużyć oka nie mogłem?

– To źle, bracia – powiedział pierwszy, usiadłszy i spoglądając w niebo – żeby tylko nieszczęście jakie nie spotkało nas tej nocy..., to przeklęte chłopstwo..., zanadto wytoczyliśmy krwi niewinnej!

– Jak to? – zapytał drugi. – Doprawdyż popełniliśmy występki? Alboż to pierwszy raz taka scena? He! He! Brednie Wojciechu! Tu inna jakaś jest przyczyna! Nie pochowany li wisielec jaki na spodzie tej baszty?

– Nie! – odpowiedział trzeci. – Nocuję tu nie raz pierwszy, ale zawsze spałem jak zabity! Czy wy piliście miód?

– O! Dosyć! – odezwał się pierwszy. – Zdaje mi się nawet, iż byliśmy dobrze podchmieleni.

– To i dziwna! My powinniśmy spać teraz przynajmniej dobę całą! Bo uważcie! Łyknąć tyle trunku, nie spać nocy przeszłej i od kilku dni nie wypoczywać z pracy, to warto podziwienia!

– Jak chcecie sądzić, a mnie się zdaje, że albo to miejsce jest przeklęte, albo to noc widm i upiorów.

– Trudno zgadnąć – odpowiedział szeregowiec. – Et... Wszystko bo u nas dzisiaj Pan Bóg wie, jak się działo! Uroczystość tak wielka, a my bijatykę i rozpustę zawiedli, a najbardziej na co było tak okrutnie męczyć to chłopstwo? I za to Bóg skarać może, bo i oni są ludzie!...

– Pleciesz jak baba! – rzekł pierwszy. – Alboż to my sami nakazujemy kary? Duchowieństwo kazało nawracać na Unię⁶² niewiernych, ażeby ci nadal zostali prawowiernymi chrześcijanami; naszaż to wina, iż to chłopstwo łacniej pozwoli szyję odciąć na progu lub zakończyć szubienicą, niżli wyrzec się bałwochwalstwa?

– Na moje zdanie... – odezwał się trzeci – a nie chcą, dać im święty pokój!

– A cóż by na to powiedziano w Polsce – odparł drugi – gdyby się dowiedziało, iż pobbłazamy syzmatykom? Posądziliby nas o jaki spisek z nimi i niezawodnie skończylibyśmy jak Kosiński!⁶³

– I cóż strasznego? Toż to boisz się śmierci? Ale ja wolałbym tysiąc kar przenieść od hetmana, niżli dręczyć się całe życie i bać swego cienia, i oglądać się każdej chwili, azali nie jęczy jaka niewinna dusza i nie pokazuje skrwawionych piersi swoich.

– To prawda! – rzekł drugi cierpkim głosem, oglądając się poza siebie. – Oni nie wymyślili tej wiary, ale ją od ojców swych wzięli.

– Bracia! – przerwał znów trzeci – I my powinniśmy być najspokojniejsi; jeżeli krew ta niewinnie przelewała się i przelewać się będzie, nie na nasze powinna spaść głowy.

⁶² Unia – unicy, Kościół grekokatolicki.

⁶³ *Powstanie Kosińskiego* (1591–1593) – pierwsza rebelia kozacka w I Rzeczypospolitej, dowodzona przez hetmana kozackiego Krzysztofa Kosińskiego. Dowódca zginął w do dziś niewyjaśnionych okolicznościach.

– Bóg to wie, jak będzie – rzekł pierwszy i uspokoiwszy się odpowiedzią kolegi, ziewnął, okrył się burką i położył na podłodze. Za jego przykładem poszli drudzy i po chwili nie słychać było żadnej rozmowy na zamkowym krużganku.

Ale nie tak się rzecz miała z Mohylskim. Kiedy rozwiązało się wesołe zgromadzenie i smutek osiadł na sercu każdego, Mohylski ponury, jeszcze niezupełnie ukojony w piekielnym swoim gniewie, szerokimi krokami przebiegał długą zamkową komnatę. Z głowy zwieszanej na piersi, z rozognionych policzków i niespokojnie biegających oczu można się było domyśleć, co się dziać musiało w jego duszy. Ależ ktoś mógł pojąć, rozwikłać tę myśl dziką?... Tyle wrażeń biegło na jej wcielenie! Tyle uczuć najsprzeczniejszych sobie burzyło się w tym łonie!... On sam nie był zdolnym pojąć w tej chwili treści żądz swojej duszy.

Dziki ten humor odstraszył wszystkich biesiadników Mohylskiego i zniewolił ich do opuszczenia komnaty. Po chwili został sam jeden. Długo jeszcze miotaly nim silne, wzburzone namiętności, aż nastąpiła chwila przesilenia i padł znużony na ławę, a tęsknota i łzy zapławiły⁶⁴ mu serce i oczy.

– Boże mój – i rzekł do siebie w głębokim już żalu – nieszczęśliwy ja człowiek! I serce moje nie miało spokoju na tym świecie i dusza nie doznała rozkoszy życia! Jak mnie nudno... och! Zdaje się, że piekło lżej męczy biednego grzesznika... biedny, biedny ja sierota! – I łzy puściły się strumieniem, a łkanie przerwało słowa narzekania:

– Boże mój! – mówił odetchnawszy nieco. – Czy to już pod gwiazdą urodziłem się taką, czy taka mi od Boga naznaczona jest dola, iż w moim życiu szczęścia sobie znaleźć nie potrafię! Och, gdybym był nie znał Ukrainy, gdybym żył na rodzinie, w kochanej, drogiej mojej Polsce... nie byłbym dziś tak bardzo nieszczęśliwy! Zaklęty to kraj! Jego wiatry wysuszą serce człowieka jak źródła, które w nim spod góry płyną! Jego mogiły nie jedną mają już ofiarę! To grób wszystkich podobnych mi ludzi! Tu żyć i być szczęśliwym nie pozwala Stworzyciel! Przychodząc spod innego nieba, zdało mi się, iż serce znajdzie tu ochłodę i szczęśliwość. I niebo było pogodne, i ziemia kwiecista, i wody czyste! Och, ale póty tylko widziałem tę obfitość, aż póki oko nie oswoiło się ze stepami, aż serce nie zeszło od wiatrów i gorącego słońca, aż napadła mnie boleść i tęsknota! Teraz czart posiadał moją duszę i nie daje mi wytchnienia. Stanęły przed oczyma mogiły, na duszy złość i zgryzota zniweczyły dni moje... Mój Boże! Jakże zmarnowałem lata moje! Nie pomnę dzisiaj, byłem li ja kiedy szczęśliwy?

Wtem przestał mówić, potoczył wzrokiem dokoła, uśmiechnął się litośnie i w głębokie utonął zadumanie.

– Dumaj tylko i dumaj – odezwał się po chwili. – I czarne, i białe obrazy przelatują przed okiem mojej duszy. Ani ich policzyć, ani ich pojąć niepodobna!

⁶⁴ Zapławić – tu: napłynąć.

A jak zginę?... Ha! Zginę marnie! Wiatr rozwieje kości, ciało zbutwieje i zniknie, a dni też same płynąć będą, jakie są dziś, jakie były przed wieki!

I znów umilkł, a podparłszy się ręką, siedział tak przez czas długi. Wtem drzwi otworzyły się cicho, weszła Oksana i rzuciła się mu na szyję. Usta ich spoiły się namiętnie, łyzy połały się rzewne, ale jakże pobudki były różne! Ona płakała z radości widzenia się, z minionej tęsknoty, on nad własną swą dołą!

– Ty płaczesz, mój sokole drogi? – przemówiła Oksana, spostrzegłszy łyzy jego. – Pociesz się, ja przy Tobie, ja kocham ciebie zawsze.

Mohylski wlepił namiętne oczy w lice swojej kochanki, długo patrzył na nią niewzruszony i znów powtórzył uścisk.

– Co tobie, mój drogi? – zapytała niespokojnie Oksana.

– Nic... nic... – odpowiedział Mohylski. – Jakże dawno widzieliśmy się ze sobą!... Ale ty zawsze kwitniesz, a ja...

– I ty dla mnie miły jesteś... ja tęskniłam za tobą!...

– Zawszeż mnie kochasz szczerze?

– Jak pierwiej i jak będę do śmierci – odpowiedziała Oksana, wyciskając pocałunek na pałającym Mohylskiego licu. – Jakże byłam szczęśliwą, gdy dowiedziałam się, że jesteś w Korsuniu, Bóg widział, co cierpiałam do tego czasu!

– Ty tęskniłaś za mną? Och, a mnie, ileż to razy śniły się twoje piersi i oczy! Zawsze dumałem o tobie, patrzyłem ku tej stronie!

– Za to mamy chwilę nagrody – odpowiedziała Oksana, opierając głowę swoją na ramieniu kochanka, jak młoda makówka na owocu jabłoni.

– A długoż tak będzie? – zapytał Mohylski.

– Aż do śmierci! – rzekła i dreszcz zimny przebiegł po jej ciele. On ruszył głową wątpliwie⁶⁵, westchnął ciężko i przycisnął ją do swoich piersi.

– Ja czegoś dzisiaj smutną jestem przy tobie – rzekła Oksana. – Ty, mój miły, masz coś na sercu, co truje szczęście nasze, czegoś ty utrapiony?

– Mogęż ja wiedzieć! Ja w waszej Ukrainie zawsze smutny i niespokojny; wasze wiatry i wasze mogiły okropną obudzają tęsknicę.

– Na mnież te wiatry wieją co dnia i co dnia patrzę na mogiły, lecz skoro przy tobie, ja szczęśliwa!

– A ja umrę, jeśli tego kraju nie porzucę na wieki!

Oksana cofnęła się o kilka kroków na te słowa i spojrzała na Mohylskiego wzrokiem, w którym odbiły się razem: żal, zdziwienie i zgroza.

– Czegóż ty dziwisz się nade mną? – zapytał Mohylski ze łąz w oku, wyciągając do niej ramiona. – Ja cię nie przestałem kochać, moja droga, ja z tobą nie rozłączę się nigdy!

⁶⁵ *Wątpliwie* – tu: nieznacznie.

– Nigdy? A za góry i rzeki jechać myślisz? Boże mój – mówiła, obejmując jedną ręką szyję Mohylskiego, a drugą przykładając do piersi – gdybyś ty znał, mój sokole, jak moje serce kocha ciebie szczerze, nie porzuciłbyś nigdy swej Oksany!

– Wiem, luba Oksano! – odpowiedział on, całując odkryte jej łono.

I zamilkli oboje.

Kilka palących się na stole kagańców gasło już, błyskając konającymi płomymi. W komnacie osiadła ciemnota, a Mohylski i Oksana spokojni, szczęśliwi jak dwa gołębie, usnęli we wzajemnych objęciach.

Puchacz ozwał się żałobliwie na dachu, ciche stapania dały się słyszeć na dziedzińcu pod ścianą i w tejże chwili, przez otwarte okno, ukazała się głowa Trojaszy. Wilk nie spojrzalby tak chciwie na swą ofiarę jak ataman, spostrzegłszy Mohylskiego i Oksanę we wzajemnych objęciach.

Jak grotem śmiertelnym uderzył on na nich dzikim, ognistym wzrokiem, zatrząsnął się cały i ledwie mógł pohamować wściekłość nagłą. I zemsta, i zadowolenie, i gniew piekielny błyskawicą przeleciały i rozogniły rysy. Przestąpił on okno, zbliżył się do nich i z szatańskim uśmiechem śledził spokojnie ich oddech. Z niej na niego, to znów z niego na nią przenosił wzrok srogi, namiętny, aż napasł się widokiem swoich ofiar i zgotował im śmierci godzinę.

– Ha, biesy! – ryknął na koniec, wznosząc spisę długą, a nim zbudzony Mohylski zdołał utworzyć oczy, przeszył mu głęboko bok prawy.

Jęknął nieszczęśliwy, postrzegł zabójcę, zgrzytnął zębami, drgnął i skonał.

Ale zemsta Trojaszy nie ukoiliła się tym okrutnym czynem; zwałonego na ziemię przeszył on jeszcze kilka razy, a krew obfitym źródłem połała się pod nogi jego.

– A ty, piekielnico!... – wrzasnął, patrząc krwawym od złości okiem na omdlałą Oksanę. – Ha! Pójdiesz i ty za Laszkim, ja takiej jaszczurki nie będę trzymał w moim domu!

I to rzekłszy, zanurzył spisę w obnażone jej łono. Oksana zatrzęsła się konwulsyjnie, głos jej zamarł na ustach, a dusza uleciała z ciała. Z rozkoszą wewnętrzną spojrział Taras na krwawe rąk swych dzieło. Obydwa trupy nurzały się we krwi własnej. Mohylski ze wzgardą zamarał mu na rysach oblicza leżał wznak na podłodze; nieszczęśliwa Oksana, padając, objęła nogę Trojaszy i ręce jej skostniały w tym stanie.

– Diablico! – wrzasnął rozżarty morderca, uderzając ją silnie w głowę. – Precz! Precz! Sprawilem już wesele! Dawnom ja przygotował w myśli tę dla was ucztę!... Wiele ty już, przeklęty Lachu, spiłeś krwi naszej, ale skończyło się!...

Feśko skoczył przez okno.

– Co, atamanie? – zapytał cicho, nie mogąc nic dojrzeć po ciemku. – Czy są? Czy już byłeś?

– Alboż nie czujesz krwi Lacha? – mruknął Trojasza. – Patrz! Czy poznajesz te trupy?

– W dobry czas! – odpowiedział Feško, podbiegając ku trupom i wpatrując się w nie uważnie. – To Mohylski! To Oksana!... Boże miłościwy! No, spolowałeś ptaszki!

– Jak nie można było lepiej! – odparł ataman, spoglądając na nich ze zgrozą. – No, Fešku, wielu jeszcze żywych?

– Połowa tylko – odpowiedział ten, klękając przy głowie Mohylskiego. – Idź, atamanie, ja tam w pomoc przybędę!

– Ze skrwawioną spisą wyskoczył Taras z izby. Feško dobył noża i uciął głowę Mohylskiego.

– Tak gińcie, przekleci! – ryknął gniewnie, porywając ją za włosy i tłukąc o ścianę. – Oto za krew syna! Za katowanie braci!

Rozbryzgniona krew prysnęła na twarz Feška, on rzucił zбитy czerep i pobiegł na inne morderstwa.

Gdzie tylko znajdowano uśpionych żołnierzy, wszędzie ci nieszczęśliwi podobnej doznawali śmierci. Spisy i noże zbudzały ich nagle i w tymże mgnieniu wydierały życie. Tak zginęli żołnierze na wieży, tegoż losu doznał już Mężkowski, a zbójcy jak duchy piekielne ze wzniesionymi nożami, w skrwawionej odzieży, przesuwali się w cieniach nocy po zamku. Szybkie tylko stąpania i urwane jęki dawały się słyszeć po korytarzach.

Nagle otwierają się drzwi ubocznej komnaty zamku i Trojasza ze spisą, ze wścikłym okiem, z latarnią w rękę stanął przed śpiącym na słomie człowiekiem, odkrył on burkę, kryjącą twarz śpiącego i z podziwieniem poznał w nim kapłana kaplicy.

– Tuś mi, kukułko! – krzyknął, porywając go za szyję i podnosząc z ziemi. – Dzień dobry! Dzień dobry! Na mszę pora!

Obudzony ksiądz nie mógł przyjść tak nagle do siebie, spoglądał obłądnym wzrokiem naokoło, ale senne marzenia jeszcze mu nie uciekły z myśli, świat kręcił się przed oczyma.

– No i cóż? Nie poznajesz mnie? – zapytał grzmiącym głosem ataman.

– Bóg z tobą – odpowiedział. – Mołdawski! Daj mi pokój, toż to noc głucha!

Za całą odpowiedź odebrał on jeszcze silniejsze wstrząśnienie, aż poznał, w której zostawał ręce.

– Na ciebie szkoda mojej spisy – rzekł, mierząc go dumnym okiem od stóp do głowy. – Ja przygotowałem inną z tobą zabawę, oj i ty nie lepszy od drugich.

Ksiądz upadł na kolana i zaczął błagać o zachowanie życia, wznosił ręce, płakał, modlił się, bo widział przed oczyma śmierć żywą, ale nic nie pomogło; z urąganiem odrzucił Taras kapłana, a gdy przybiegło kilku hajdamaków, kazał im ukrzyżować go i postawić przed ogniem.

– Lżej mi teraz na duszy – powiedział Trojasza, stojąc w oknie i patrząc na męczarnie kapłana. – Nie powiedzą Kozacy, że Trojasza był niedołężnym atamanem,

a Lachy po wiek nie zapomną tej nocy. Och! Gdybym podobnie mógł oczyścić całą Ukrainę od tego nienawistnego plemienia! A Oksana?... Hej, hej, była to zdradliwa gadzina, ale już nie zatruje dni moich...

Kiedy to mówił, spostrzegł czterech Ukraińców, wlekących z krzykiem związanego Mołdawskiego. Poznał go Trojasza i usiadłszy na ławie, kazał przyprowadzić do siebie.

Staął przed Trojaszą Mołdawski i zimnym okiem patrzył w jego lice. Ataman z dzikim zadowoleniem czekał chwili próśb i płaczu, ale Mołdawski milczał.

– Ho, ho, ten Laszek nie spodziewa się dzisiaj zapewne śmierci – mruknął niechętnie. – Słuchaj no, spodziewałeś się widzieć ze mną tej nocy?

– Gdybym się spodziewał – odparł stałym głosem Mołdawski – przygotowałbym dla ciebie tak dobry bankiet, po którym zapewne nie zobaczyłbyś jutrzejszego słońca!

– Ale tymczasem nie tak się stało! – rzekł urągliwie Trojasza.

– I czegoż chełpisz się, przeklęty hajdamako? – odpowiedział Mołdawski z oburzeniem. – I tyż to myślisz, że wygrałeś już sprawę, kiedy dwustu żołnierzy zamordowałeś w zamku tajemnym sposobem? Nie zapomnij, że hetman Koniecpolski nie przyśle ci buławy za to, ale najdalej za dni kilka wystawi na palu w Czerkasach twoją głowę. Zdradą nie zawsze wygrasz, a na Ukrainie pełno naszych chorągwi.

– Uprawię się ja z wami, harde Lachy! – wrzasnął rozjątrzony ataman, grożąc kułakiem Mołdawskiemu. – Hej! Przy ogniu postawić tego ptaszka!

Wnet porwano Mołdawskiego z izby, rozniecono ognisko i postawiono na wolną męczarnię obie nieszczęśliwe ofiary. Kapłan był już wbity na krzyżu, skrwawiony, potłuczony, ledwie oddychał jeszcze, a gdy płomień piec ciało zaczęły, z jękiem otworzył oczy i poznał Mołdawskiego.

Mołdawski z niewyrażonym cierpieniem patrzył na męczarnię kapłana.

– Kaci! – krzyknął do oprawców swoich. – Puśćcie tego człowieka albo dobijcie go w tej chwili!

– Niech pohula jeszcze trochę – rzekli hajdamacy, przysuwając bliżej do ognia Mołdawskiego.

– O, szatani! Nie boicież się Boga?... – przemówił Mołdawski.

– Laszku, Laszku! – krzyknęło kilku. – Ty rozprawiasz, jakbyś był jeszcze na bankiecie! Rozniećcie ogień większy!

I rozniecono bujniejsze płomień. Mołdawski zadrżał i jęknął cicho, nie mogąc przenieść okropnej od ognia bólesci, a lice jego ściemniało nagle.

– Boże! W twoje ręce polecam ducha mego! – odezwał się kapłan słowami Zbawiciela, ostatnim życia głosem.

Mołdawski spojrzał na nieszczęsnego, był on cały czarny od płomieni. Ale już i nieugięty Mołdawski tracił przytomność. Natura jego, acz mocna, nie mogła się dłużej oprzeć gorącym płomieniom. Zaczął poruszać się konwulsyjnie

w swych więzach, wykrzywiać okropnie twarz i po chwili w najokropniejszej męce zakończył życie.

– Skonali więc już obydwaj – rzekł Feško, patrząc zimnym okiem na tlejące ich ciała. – O! Poznaliście dobrze Ukraińców! Chwała Bogu! Oddaliśmy za swoje!

Dziki wrzaski zemsty i zadowolenia rozległy się po zamku. Feško usiadł na ziemi nieopodal ogniska i z rozkoszą przeglądał pokaleczone trupy.

Z całej tej rzezi jeden tylko Aleksy potrafił ujsć szczęśliwie, ale wierny panu swojemu, wahał się, czyli mu uciec, czy dla obrony lub jakiegokolwiek pomocy wrócić należało?

Tą dręczony myślą usiadł pod częstokołem otaczającym zamek nad przepaścistym brzegiem rzeki i zapłakał serdecznie. Nagle uderzył oczy jego blask ognia, z janczarką w dłoni, pochwyconą naprędce w ucieczce z zamkowego gmachu, wskoczył on na częstokół i postrzegł najdokładniej cały obraz mąk krwawych. Błady, nieruchomy, siedział tak przez czas długi, potem uśmiechnął się dziko i poniósł do twarzy rusznicę. Rozległ się strzał. Feško jęknął i skonał przy ognisku, a w tejże chwili Aleksy skoczył z częstokołu w wody Rosi.

Za dni kilka po tej okropnej nocy widziano w Czerkasach młodego chłopca, cierpiącego pomieszanie umysłu, jak z teorbanem na plecach przebiegał ulice miasta i śmiał się, i płakał, i smutnie o tarasowej nocy śpiewał dumki.

Był to wierny, nieszczęśliwy Aleksy.

ZOSIA ŻYTKIEWICZÓWNA

Use harazd, use harazd, to za odno straszno,
Wykladajut hajdamaki iz za hory czasto¹.

Z pieśni gminnej o Kozaku Sawie²

Około 1758 roku żył w Mosznach³ szlachcic polski Onufry Żytkiewicz. Był to szlagus⁴ na owe czasy, ciepły, handlował wołami, kupując je na okolicznych jarmarkach i potem pędząc na sprzedaż do Włodawy⁵. Czerstwy, rumiany, o białych włosach i takimże zawiesistym wąsie. Gaduła, bywalec i pomimo wieku podeszłego czynny i przedsiębiorczy. Zawsze na wózku, zawsze na jarmarkach, z trzosem około bioder, karabelą u pasa i szwedzką, o dużym zamku flintą, która towarzyszyła mu na wózku w podróży. Szlachta, Żydzi i chłopci znali go w całej okolicy. Ciągłe ocierając się o lud, mając nieustanną z nim styczność, zaczął się on posługiwać językiem ukraińskim i w końcu tak doń przywykł, iż wyrażał się nim dobitniej i łatwiej niż swoim, jeśli zaś zniewolony był czasem użyć polskiego, to go dopełniał przysłowiami i sentencjami wziętymi od ludu. Mieszkał on przedtem w Smile⁶, lecz gdy go okradziono kilka razy z pieniędzy w domu, a z bydła w polu, gdy na koniec podczas jarmarku jednego przepadł mu jednak jego Pawełek, chłopczyk lat dziesięciu, obrzydził sobie to miasto, nasadził mu czortów i biesów i przyjechał na mieszkanie do Moszen, gdzie miejscowy proboszcz był jego dalekim po żonie krewnym. Co do syna, gdy wszystkie poszukiwania zawiodły, zgodzono się na domysł, iż musiał się utopić przypadkowo w Taśminie. Stary wzdychał, stękał, ale boleść minęła i po jakimś czasie znowu poszedł pracowity dziadora⁷ z wołami do Włodawy.

¹ *Wszystko dobrze, wszystko dobrze, tylko jedno straszne,
Zza góry hajdamacy wyglądają często.*

² *Kozak Sawa* – (?–1741), pułkownik kozacki u Jana Potockiego w Nimierowie, tłumił powstania hajdamaków, bohater powieści *Duma o Sawie*.

³ *Moszny* – miasteczko w dawn. powiecie czerkaskim.

⁴ *Szlagus (szlagon)* – niewykształcony szlachcic, mieszkający na prowincji.

⁵ *Włodawa* – miasto powiatowe w dawn. guberni siedleckiej nad Bugiem.

⁶ *Smila* – miasteczko w pobliżu błota Irdynia w dawn. powiecie czerkaskim.

⁷ *Dziadora* – dziadyga.

Staremu pozostała żona i prześliczna córeczka imieniem Zosia. Po matce wzięła rysy twarzyczki, po ojcu czarne brwi i oczy, od Boga zdrowie, rumieniec i wesele. Rosła ta lubka szybko jak trzcina, a kwitła rozkosznie jak róża. Gruba to była na owe czasy młodzież, a zdrowych dziewczek po szlachcie to na Ukrainie nierzadkość. Z tym wszystkim i w kościele, i w gościnie zapatrywano się na Zosię, uwielbiano ją, zapominano przy niej słów w gębie; szeptano: aj, dziewczyna! Jak łania, jak rybka!

Życie w Mosznach i dziś jest samotne, ciche, jednakie, a było jeszcze cichsze w tamte lata. Tu szumiały puszcze irdyńskie⁸, a tam gdzieś w bezgraniczne ciągnęły się ługi dniewrowe⁹; pasieki huczały od pszczół, futory i sady oblewały się każdej wiosny kwieciami, a łąki woniały macierzanką i cząbrem. Z nadejściem zimy odmieniały się obrazki natury, ale serce dziewicze, młode, uzbierawszy marzeń letnich z ziemi i z nieba, tuliło je w ciepłej izdebce, przerabiając na pieśni i dumki, i jak pszczółka żyło własnym miodem. Podczas świąt odwiedzała Zosia sąsiadów, bawiła się z rówieśnikami i powracała z wesołym okiem, rozognioną twarzyczką i rozmarzoną piersią; a w dni powszednie, w długie grudniowe wieczory, otoczona gronem wiejskich dziewcząt, przędła z nimi lub szyła, słuchając ich bajek i pieśni. I według tychże pieśni wyobrażnia jej pisała swoje o przyszłości arabeski, maczała je w czarowne farby i naprowadzała jaskrawymi prążkami, jak ona sama przywykła o Wielkiejnocy kolorować pisanki.

O czym innym marzyć mogło dziewczę młode jak Zosia, karmione według wyrażenia poety „mlekiem dum i mleczem kwiecia”, kołysane od kolebki najrzewniejszymi piosnkami najpoetyczniejszej naszej ziemi? Osłoniły ją one jak niewidzialne istoty, jak opiekuńcze duchy i strojąc główkę i pierś we wstążki i kwiatki, kraszając jagody, rozczesując długie warkocze, wpuszczały razem roje motylkowych marzeń do serca, które ją zaczarowały na istotne¹⁰ dziewczę Ukrainy, wyrabiając w nim potęgę miłości.

Marząc ciągle o pięknych bohaterach bajek, o zaczarowanych królewnach, o siedmiogłowych żmijach, strachach, upiorach i widmach, Zosia rozbudziła do pewnej potęgi uczucie cudowności i przywidzeń, stała się dostępną najmniejszym wrażeniom i często miewała sny dziwne. Raz, było to na wiosnę, przyśniło się jej, jakoby przyleciał na dziedziniec rodzicielskiego domku straszny żmij o siedmiu dużych głowach, niosąc na karku królewicza.

Ten królewicz jakoby wezwał przez okno jej ojca i rozkazał mu wyprowadzić doń córkę. Kiedy wyszła przelękniona Zosia, zjawił się skądeś rycerz i bił się z królewiczem długo. Żmije syczały i robiły się coraz czerwieńsze, jakby je krwią kto ofarbował i na koniec stanęły w płomieniach.

⁸ *Puszcze irdyńskie* – puszcze położone nad rzeką Irdyń w dawn. powiecie czerkaskim i czehryńskim.

⁹ *Ługi dniewrowe* – naddnieprzańskie łąki.

¹⁰ *Istoty* – prawdziwy, z krwi i kości.

Od tego ognia przywidziało się dziewczęciu, jakoby zajął się ich domek, a pożar tak piekł w lica, że wśród tej straszliwej sceny porwało się dziewczę ze snu i zakrywając rękoma oczy, robiąc piersiami, krzyknęła przeraźliwie. Przybiegli do łóżka rodzice, wniesiono świecę, uspokojono ją cokolwiek, ale wrażenie snu tak było przykre, iż nie mogła zasnąć do dnia białego. Ojciec nazywał te marzenia dzieciństwem, matka zaleciła zmówić nazajutrz koronkę do Przemienienia Pańskiego, a baba Olena tłumaczyła sobie sen taki zupełnie inaczej i uspokoiła aż wtedy biedną Zosię, gdy ta ją zapewniła, że nie widziała wypadających zębów ani pokoszonego żyta.

Nazajutrz, że to była niedziela, udali się wszyscy do kościołka. Gdy Zosia, klęcząc przed ołtarzem, odmawiała koronkę, wtem dał się słyszeć od progu brzęk oręża i prawie jednocześnie weszli do środka kościołka dwaj nieznajomi mężczyźni. Jeden z nich był to młody i ładny blondyn w mundurze kawalerii narodowej; drugi brunet, orlego nosa, żywych, czarnych oczu, w sajetowym¹¹ na futrze żupanie ze złocistymi pętlcami i w granatowym kontuszu. Czapkę miał w rękę lamowaną sobolem, karabelę u boku zawieszoną na czerkieskim pasku, po wierzchu którego jaśniał pas złotolity. Tatarska burka leżała mu malowniczo na barkach. Był to mężczyzna lat około czterdziestu, ale tak krzepki i muskularny, iż mógł ujść za hożego młodzieńca. Dwaj tacy goście w ustronnym miasteczku zwrócili na siebie powszechną uwagę. Już biegały domysły, co są za jedni i czego tu przybyli? Gdy po mszy wraz z innymi udali się do domku proboszcza i uprzedzając ciekawość przytomnych, zarekomendowali się¹²: pierwszy porucznikiem Stanisławem Brzozowskim, drugi szlachcicem Wichrowskim.

Ale chociaż ci obydwaj przybysze zjawili się jednocześnie w kościołku, byli wszakże zupełnie sobie nieznajomi, przybywali ze stron przeciwnych i prostym wypadkiem zeszli się jednocześnie. Brzozowski jechał z Kaniowa¹³, dokąd był posłany od swej zwierzchności z jakimś poruczeniem tyjącym się obrony linii pogranicznej, a Wichrowski, jak powiadał, przybywał zza Dniepru, gdzie mieszka od dawna i handluje końmi. Opowiadał, że posiada na czarnobajowskich stepach¹⁴ liczne tabuny i kilkadziesiąt wybranych koni prowadzi właśnie na sprzedaż do zamków pogranicznych. Źle mówił po polsku, mieszał w rozmowie wyrazy mańruskie i tłumaczył się, że odwykł od ojczystego języka, mieszkając od dawna w głębi Małej Rusi. Żytkiewicz skoro dowiedział się, że młody towarzysz zowie się Brzozowskim, zbliżył się doń poufale, ujął oburącz blondynową głowę młodzieńca i kładąc pocałunek na czole, rzekł:

¹¹ *Sajetowy* – zrobiony z sajety, delikatnej, cienkiej materii, kosztownego sukna.

¹² *Zarekomendować się* – przedstawić się.

¹³ *Kaniów* – miasto powiatowe w dawn. guberni kijowskiej.

¹⁴ *Czarnobajowskie stepy* – stepy w pobliżu wsi Czornobaj w dawn. powiecie czerkaskim.

– A, sobako ty jedna!¹⁵ Nie poznałbym cię za nic, takeś mi urósł i zmężniał.

I zaraz pociągnął go za sobą do żony, której przypominał, że to ten sam Stasio, który w Smile przed laty dziesięciu biegał z jego Pawełkiem po ogrodach i ulicach, syn starego Brzozowskiego, mieszkającego dziś w nadtaśmińskich lasach. Gdy młodzieniec zapytał starego o syna, gdzie jest teraz, Żytkiewicz wzruszony pochwycił go za rękę, spojrzął mu w twarz kwitnącą rumieńcem i rzekł:

– Oj, chłopcze! Bieda! Nie mam syna, nie mam pociechy na starość! – i lzy mu zakręciły się w oczach.

– Ale masz za to córkę jak makówkę... – rzekł ktoś z boku.

– To towar, mosanie – odpowiedział Żytkiewicz.

A Zosia zarumieniła się jak korał i nie trzeba było już objaśniać młodzieńca, kto była ta nadobna dziewczyna. Przyznał w duchu młody towarzysz, że piękniejszej nad nią nie widział jeszcze między Ukrainkami. Kiedy po chwili podniosła spuszczone oczy i spojrzała na niego, te oczy, jak mówią u nas na Ukrainie, zaprzepaściły na wieki młodzieńca. Ale w tejsze chwili wzrok obcy, silny, ognisty jak tej siedmiogłowej żmii, która biedne dziewczę dręczyła we śnie, oparł się o jej lica i jakby je polał ukropem. Zosia mimowolnie spojrzała na stronę i spotkała się ze wzrokiem nieznanego...

Towarzystwo u proboszcza składało się z gubernatora klucza moszniańskiego, Izzydora Kwiatkowskiego, Lacha suchego, wysokiego, od paraliżu trzymającego zawsze głowę przechyloną ku prawemu ramieniu, i jego żony, otyłej kobiety, o nabrzęklej twarzy, osadzonej kilkoma brodawkami; z leśniczego Piotra Poletyło, szlachcica krępego, w szaraczkowym kubraku i skórą podszytych hajdawerach, z kapszukiem¹⁶ tytoniu, uczepionym do guzika u piersi i króciuchną fajeczką, którą nosił zawsze w kieszeni; dalej z Benedykta Szulca, rachmistrza, olbrzymiego wzrostu mężczyzny, jękały, z przysłowiem: „krótko mówiąc w krótkości funt tego – o!”, i na koniec z małego, zwinnego człowieka, Stanisława Broniszewskiego, służącego niegdyś w korsuńskiej milicji, trzymającego się prosto, pijącego, ile wlezie i łgarza co się zowie. Mieszkał on teraz w Mosznach w dożywotnim dworku, miał wózek i parę szkap, którymi ciągle po kolei objeżdżał sąsiadów, rozwoził ukłony i babskie plotki, robił prezenta z zajęcy i kuropatw, dostarczał drożdży na wielkanocne święta; słynął nadto jako zawołany lekarz, nadawał malcom nazwiska i uczył ich musztry.

Po gawędce i śniadaniu gubernator, odjeżdżając, zaprosił wszystkich do siebie na obiad; naturalnie, iż w tej liczbie byli: Brzozowski i Wichrowski. Pomieszkание gubernatora różniło się tylko większością rozmiarów od zwyczajnych szlacheckich domów. Był to dom duży, pokryty słomianą strzechą, a z obydwu stron miał odrębne

¹⁵ *O, ty psie jeden!*

¹⁶ *Kapszук* – woreczek na tytoń, kapciuch.

budynki, przeznaczone na piekarnię, spichlerze, wozownie, stajnie itp. Wszystko to opasywał częstokół¹⁷, a u wrót na podobieństwo strażniczych wieżyczek przy zamkach widniał chruściany szalasz¹⁸, skąd stróż wyłaził na czworakach, gdy trzeba było przyjeżdżającym otwierać wrota. Przez drogę stał budynek inny, opasany wysokim ostrokołem, przeznaczony dla aresztantów. Wkrótce zaczęły tarabanić bryczki i wózki i komnaty gubernatorskiego domu zapełniły się gośćmi. Młody Brzozowski i Wichrowski wjechali konno: porucznik z szeregowcem, a Wichrowski z Kozakiem, a chociaż koń Brzozowskiego był piękny i rząd na nim strojny, wszakże nie mógł iść w porównanie z arabskiej krwi rumakiem Wichrowskiego, ani z rzędem jego świecącym od srebra. Z początku towarzystwo kobiet szczebiało samo w gościnnej izbie, a mężczyźni oddzielne sformowali koło; ale po obiedzie zmieszały się one z sobą, a różne zabawy i pogadanki spoufaliły młodzież. Już miał zręczność młody Brzozowski kilka razy przemówić do Zosi, dziewczyna odważyła się przemówić do niego słówek parę, i jak to między młodzieżą bywa zawsze lada wesoła myśl, lada uśmiech zbliża je z sobą, znajomi ściślej i po chwili już się trzpiocą i śmieją, i gwarzą, jakby się znali od roku.

Biedny nasz porucznik ani się domyślał, w jakie się plątał sieci, zaglądał w te ładne, czarne oczy, ucałował razy parę białą rączkę, brał gitarę i śpiewał dla niej ukraińskie dumki, myślał nawet czasem, że już zranił serduszek dziewczęcia, a nie mógł poznać jeszcze, jak sam został zraniony, jak go będzie prześladować wszędzie ta czarnobrewka, jak mu potem spać nie da i zwichnie te marzenia o wojnie i sławie, do jakich jedynie wdychał dotąd. Wichrowski, przeciwnie – zostawał przez cały czas ponury, małowówny, zawsze z kąta izby wpatrywał się w Zosię i aż się mienił ze złości, widząc jej swobodę i przyjazne spojrzenia, jakimi obdarzała Brzozowskiego. Był on rubaszny, nawet gruby w towarzystwie, a teraz jakby oniemiał lub zgłupiał. Podczas obiadu pił dużo, a wieczorem już mu się iskrzyły oczy i gorzały lica. Na zapytania odcinał tak grubo, iż te kozackie popisowania się wobec kobiet zwróciły uwagę przytomnych. Zmilczano mu raz, drugi, trzeci, ale gdy gęba nie czuła hamulca, rządca, przechylając swoim zwyczajem głowę ku ramieniowi, rzekł doń po cichu:

– Panie Wichrowski! U was, na Kozaczyźnie, może to i uchodzi, ale u nas proszę być grzeczniejszym i uszanować dom, w którym jesteś.

Wichrowski zmarszczył brwi, spojrział przenikliwie na rządcę i jakby opamiętawszy się, zaczął chodzić z kąta w kąt po izbie, zamotując na palec długie swe czarne wąsy i nie odzywając się do nikogo.

¹⁷ *Częstokół* – ogrodzenie z drewnianych, zaostrzonych u góry pali, palisada.

¹⁸ *Szalasz* – szalasz.

– A to jakaś małoruska świnia! – rzekł Żytkiewicz do Broniszewskiego półgłosem: *kruto zamiszzenyj!*¹⁹

– Warto by go nauczyć, jak się powinien zachować w cudzym domu... – odpowiedział z cicha Broniszewski.

– Funt tego – o! – dodał rachmistrz. – Z sukni pan, z gęby kuchta! Ja bym go tu prędko nauczył chodzić po linijce.

Gdy takie czyniono uwagi, tymczasem Wichrowski, stanąwszy na progu izby, zawinął ręce i wpatrzył się nieruchomo w jakiś przedmiot znajdujący się w drugim pokoju. Tym przedmiotem jego wyteżonej uwagi była Zosia, która w tę chwilę odosobniwszy się od towarzystwa kobiet, siedziała sama jedna wprost przeciwko drzwi, w których stał Wichrowski. Czy marzyła o czymś, czy zateśniła do czego, dość, że rączki złożyła na kolanach, pochyliła główkę, spuściła oczy i była jak owa lilia wodna nad szklaną powierzchnią spokojnego stawu. Wichrowski patrzył na nią jak w tęczę; ale nagle potem potarł czoło, obrócił się do mężczyzn i rzekł, szukając oczyma Żytkiewicza:

– *Krot' joho matir, harnu doczku majesz!*²⁰

Żytkiewicz hamując oburzenie, odcedził z flegmą, nie patrząc nawet na Wichrowskiego:

– *Nie dla psa kowbasa, nie dla kota sało...*²¹

– Słuchaj no, Lasze! – rzekł Wichrowski, siadając obok i biorąc się w boki. – Ot, niedługo myśląc, po kozacku, przyślę do ciebie swatów; czy wydasz swoją czarnobrewkę? W złocie i srebrze wodzić ją będę, a tobie gębę zasypię czerwienicami, tyłkoż wydadaj, a nie dmij się, tatu, bo... – I zamilkł, jakby się opamiętał.

Żytkiewicz powstał, wziął tabakierkę i pstrykając palcem po niej, rzekł pomału, ale wzruszony:

– Bo co... zięciu?

Tymczasem szlachta obstała ich dokoła w milczeniu.

– Bo... nic, teściu – odciął Wichrowski. – Pojadę drugiej szukać między Lachami, a tobie zaśpiewam na wyjezdny:

Czort by pary w waszu matir z takimi bat'kami,
Nie dajete doczok za miż – lubite że ich sami!²²

¹⁹ *Mocno zamieszany! (wpadł po same uszy!)*

²⁰ *Do stu diabłów, piękną masz córke!*

²¹ *Nie dla psa kielbasa, nie dla kota słonina...*

²² *Diabeł łączył wasze matki z takimi ojcami,*

Nie dajecie córek za mąż,

Kochajcież je sami!

– A ja tobie odśpiewam – rzekł Żytkiewicz.

Po durnowu żenichawsia,
Jed' że, durniu, z widkil wziawsia;
Chot' ty briażczysz kapszukom,
Ale smerdysz muzykom²³.

Szlachta w śmiech, a Wichrowski porwał się z miejsca i pełen złości mówił, bijąc kułakami o stół:

– Obaczmy! Obaczmy, Lasze²⁴, czy tak będzie.

– A jakże może być inaczej? – odezwał się rządca.

– Co się waszeci roi? Funt tego – o! – dodał rachmistrz.

– Nie masz hamulca w gębie! – krzyczał Broniszewski. – Zalałeś ślepie i pleciesz jak na mękach. Fe, wstydz się asan, to nie po szlachecku. Żebyś się tak popisał w Korsuniu²⁵, toby koledzy moi dobrze ci natarli uszu.

Wichrowski, stojąc wobec tak hałasującego towarzystwa, mierzył tego, to owego przesywającym wzrokiem w miarę, jak który powstawał nań zawzięciej. Żyły mu na czole nabrzękły, wargi trzęsły się, oblicze przybierało wyraz okropny.

Może by bójką skończyła się ta scena, gdyby rozważniejszy od innych Żytkiewicz nie wmówił, ażeby zaprzestano kłótni i że pijanemu należy dać pokój. Szlachta więc rozsadowiła się po kątach izby, a za stołem pozostał sam Wichrowski sapiący, gniewny, ale milczący. Po chwili powstał on z miejsca i, zbliżywszy się do rządcy, wziął go za rękę i rzekł:

– No, wybacz mi, gospodarzu! Ta czartowska nalewka zakręciła mi głowę... Dobra nalewka – nie ma co mówić! Ale już przeszło... – A obracając się do gości, dodał: – Nie dmijcie się Lachy, nie gniewajcie się! Gościa złem słowem nie wyprowadzają z domu, bo mówią, że może wrócić diabłem, a kto wie, jak się stanie? A ty, stary, nie dróż się²⁶ swoim kurczęciem, bo pieczone najczęściej szulak²⁷ chwyta.

Rządca odezwał się:

– My, panie bracie, nikogo złym słowem nie wyprowadzamy z domu, a tym bardziej gościa; tyłkoż żądamy, aby gość uszanował dom, w którym się znajduje.

²³ *Po durnemu próbujesz się żenić,
Jedź że, durniu, skąd się wzięłeś,
Potrząsas trzosem,
Lecz śmierdzisz chłopem.*

²⁴ *Zobaczmy! Zobaczmy, Lachu, czy tak będzie.*

²⁵ *Korsuń* – stolica rejonu w obwodzie czerkaskim, dawna polska rezydencja magnacka.

²⁶ *Drożyć się* – żądać drogo za coś, wysoko coś cenić.

²⁷ *Szulak* – dawn. jastrząb lub krogulec.

Waszmość takie nam prawileś rzeczy, które przystałyby ledwie jakiemu hajdamace, co to z łotrami podobnymi sobie przepędził gdzieś w burzanach jak zwierzę całe życie.

– Dam ja tobie hajdamaków, pokręcona ty głowo! – mruknął pod nosem Wichrowski; lecz, przybierając wnetże spokojność, dodał głośnie: – Ehe, wasza chata, wasza prawda! Ja, prosty Kozak, wzrosłem w stepach... ehe, ehe, po waszemu nie umiem, dalibóg, nie umiem! Na kułaki – a to co innego! Z kim zechcecie, choć zaraz... – I tak mówiąc, kołysał głową, patrząc ciągle w ziemię.

Na zrobione wezwanie wyrwał się Broniszewski.

– U nas waszmość nie znajdziesz takich rycerzy, co się biją na kułaki i buławy; ale jeśli łaska przejechać się za Hulajpole, to tam możesz spędzić ochotę.

– Musiałeś waszmość zapróbować tej juszki²⁸, kiedy ci tak w pamięci – odciął Wichrowski.

– O nasiekłem jak kapusty tego łajdactwa! Jak pojedziesz, zapytaj Mamaja.

– Któż to ten Mamaj, proszę waszmości?

– Hajdamaka, który szuka postronka, bo szubienica gotowa. Miałem go już bestię raz w rękę, ale mi się wymknął.

Na te słowa Wichrowski podniósł głowę, wytrzeszczył oczy i z niewyrażoną mocą wlepił je w oblicze Broniszewskiego. Tak patrzył chwilę, jakby coś chciał przypomnieć z tej twarzy, ale potem roześmiał się i rzekł:

– Jakże to było? Proszę nam opowiedzieć, bo to rzecz ciekawa.

– Hm... jak było? Zwyczajnie, jak ze złodziejami. Czy to z nimi można stoczyć rycerską walkę! Dwa lata temu napadliśmy w karczmie pod Olszaną²⁹, jak grabili Żydów. Nas było dwudziestu, a ich pewnie dwa razy więcej. Kazałem obstąpić karczmę, a sam we drzwi. Zaraz poznałem tego watażkę. Wąsata psiawiara, plecy jak u kata i nóż w rękę; siedział pośród izby na kufrze. Ja go cap za czuprynę i krzyczę: dajcie tu powrozów! Hultajstwo w nogi, nasi w drzwi i tu powstało takie zamieszanie, że ani szablą, ani strzelbą nic począć nie można. „Puść mnie, dziadeczku! *Puść, hołubczyku!*”³⁰ – prosi się szelma, ale to zupełnie jak chłop pod różgami: „póki życia, mówi, nie będę”. A potem, jak czyrknie raptem nożem i odciął czuprynę przy samej mojej ręce, schwycił mi z głowy kaszkiet³¹, nałożył na swoją i jak drapnął, tak ani sposobu... Całej mojej wygranej, zem złapał kilkunastu hultajów i Mamajowi dałem w papę...

Z dzikim, nieopisanym wrażeniem słuchał Wichrowski Broniszewskiego i jak gadzina to się ścigał, to rozszerzał cały, lecz na ostatnie słowa porwał się, jakby go kto polał ukropem i uderzywszy kułakiem o stół, krzyknął:

²⁸ *Juszka* – jucha, krew.

²⁹ *Olszana* – miasteczko w dawn. powiecie zwinogrodzkim.

³⁰ *Puść, gołubczyku!*

³¹ *Kaszkiet* – w XIX wieku nakrycie głowy żołnierzy, rodzaj hełmu.

– Łziesz, biesów synu! Tam ciebie nie było! I taka parszywa ręka jak twoja jeszcze nie doczekała bić Mamaja po pyskach!

I pierś jego wzdęła się od gniewu, lica gorzały, zdało się, że urósł we dwoje. Broniszewski najeżył się jak kot przed brytanem, dobył pałasza i krzyczał:

– Ty mi śmiesz zadawać kłamstwo, przybłędo, jakiś tam chamie, świnopasie, tabuniku!³² Ja... ciebie nauczę!

Szulc, Żytkiewicz i Poletyło poskoczyli przed Broniszewskiego i krzyczeli przez stół do Wichrowskiego:

– Opamiętaj się, szalony człowieku, bo dalipan nie wyjdiesz stąd cało!

A rządcą uciekł do alkierza i wystawiwszy głowę przez drzwi, szypiał³³:

– Uspokójcie ich! Pogódźcie! A to kara boska z tym człowiekiem!

Przestraszone kobiety zamknęły drzwi od swego pokoju, słowem, wszczął się powszechny rozruch, a Wichrowski, nie zważając już na nic, mając za sobą ścianę, a przed sobą stół stał groźny jak chmura i krzyczał, tłukąc kułakiem po stole:

– Ja jego, szelmę, zadławię jak kurczę! On bił Mamaja po pyskach? Co tobie roi się?

– Ale skąd ci przyszło bronić tego hajdamakę? – pytali razem wszyscy. – Co to, brat twój czy swat, czy przyjaciel?

– Co wam do tego! – krzyczał Wichrowski. – Ale on łże! On tam nie był!

– Jakże ty wiesz, że nie był? – krzyknęli zdziwieni i spojrzeli po sobie, a dziwny domysł przebiegł im po głowach.

– Już ciż wiem, kiedy mówię! Tam był towarzysz Czachurski; ale to jego trzymał Mamaj za łeb, nie on Mamaja, i Czachurski palnął go w bok ręką szablą od szabli. Ale Czachurski to był dąb nie człowiek. Złamawszy szablę, porwał on jednego hajdamakę i walił nim po głowach jak kijem... A to, żal się Boże! Taka gnida i on mógł bić Mamaja? Toż Mamaj w jednej ręce zdusiłby cię tak, że nie pozostałoby żadnej całej kosteczki! – I żyłasta pięść jego zwinęła się konwulsyjnie na stole.

Wichrowski mówił z tak silnym przekonaniem, iż Broniszewski zmieszał się i na wyświecone fakty odpowiadał dość tępo. Ci, co go bronili przed chwilą, umilkli, zapewne pod wpływem rycerskiego honoru, gardzącego tchórzem i kłamcą.

Żytkiewicz odezwał się:

– Panie towarzyszu! Mów: czy prawda to, czy kłamstwo? Bo my za prawdę gotowi cię bronić do upadłego, ale za kłamstwo, wybaczaj³⁴.

– Idź waść tamtędy! – rzekł Szulc, wpychając go do kobiecej izby. – Nie o tym mówić trzeba teraz, funt tego – o!

³² *Tabunik (tabunnik)* – pasterz nagładający za końmi podczas wypasu.

³³ *Szypiec* – syczeć.

³⁴ *Wybaczac* – tu: nie zgadzać się.

Broniszewski niby się opierał, ale wreszcie uległ namowom i ciągle odgrażając się na Wichrowskiego, wyszedł z izby.

Zza drzwi słyhać było jeszcze, jak stukał kułakiem o odźwierek i wołał:

– Ja nauczę tego hebesa!³⁵ Nie ujdzie rąk moich! Jutro na pałasze – szelma jestem!

Tymczasem pozostali przystąpili do Wichrowskiego i otoczywszy stół dokoła, zapytali:

– Zostaw waszmość spory; zgadzamy się zresztą, że masz słusność i Broniszewski zmyśla; ale powiedz no nam, kto ty sam jesteś, co tak dobrze znasz Mamaja?

Wichrowski błysnął jak wilk oczyma i rzekł:

– Kto jestem? Ług³⁶ mój ojciec, a Sicz³⁷ moja matka! Ja ten, który nalatuje jak piorun, a nikt nie jak błyskawica! – I zaledwie to wymówił, oparł na stół żyłaste pięści, wskoczył nań w okamgnieniu i wypadł z izby.

Wszystko to było dziełem jednej chwili. Rządca wyskoczył z alkierza i biegnąc pomiędzy osłupiałymi widzami tej sceny, wołał:

– Gwałtu! Gwałtu! To był Mamaj! Sam Mamaj! A my go wypuściliśmy!

Broniszewski wypadł ze drzwi drugich od kobiet i machając szerpentyną³⁸, krzyczał:

– Gdzie ten szelma! Ten hajdamaka! Ja go nauczę moresu... Czemu mi wtedy nie pozwoliliście płać go przez łeb – ot, i macie teraz!

– Co tu robić – mówili wszyscy. – Zapewne on jeszcze jest w karczmie – posłać tam Kozaków, może go schwycą.

– Nie samych Kozaków – rzekł Żytkiewicz. – Idźmy wraz z nimi. Kozaków on zwiedzie lub zbije; ale broń zabierzmy z sobą.

I wnet wszyscy wpadli do alkierza, gdzie na ćwiekach wisały rusznice i pistolety. Każdy uzbroił się i nabrał ładunków w kieszenie, a Broniszewski wypadł pierwszy i krzyczał, otworzył drzwi do sieni:

– Hej, Kozaki! *Lude!*³⁹ Warta!

Nagle rozległ się wystrzał i Broniszewski runął na ziemię trafiony kulą w pierś – i w tejże chwili jak woda na zerwane upusty buchnął tłum ludzi we drzwi, w okamgnieniu napełniając izbę. Straszna to była tłuszcza! Lica ich ogorzałe, wzrok dziki i szukający mordów. Odzież rozmaita: jedni byli w koszulach i zasmolonych szarawarach, inni w żupanach, ci znowu w siermięgach, ten bez czapki z zakręconą za ucho czupryną, ów z szeroko rozwartą pazuchą świecił porośłą pierśią, wielu boso, inni

³⁵ *Hebes* – głupiec.

³⁶ *Ług* – łąka, step.

³⁷ *Sicz* – główny obóz Kozaków zaporoskich.

³⁸ *Szerpentyna* – noszona w XV–XVIII wieku krzywa szabla; serpentyna; karabela.

³⁹ *Ludzie!*

w safianowych⁴⁰ butach, ale w podartej koszuli, z której wisiały szmaty i obrzydliwą wykrywały nagość. Niektórzy mieli kontusze z wylotami zawieszzone na zupełnie nagim ciele, a ponad głowami tego straszliwego tłumu widniało kilka kozackich z osełdecami⁴¹ czapek i jeżył się las strzelb, pałaszy, włóczni i kijów. Szlachta zaledwie miała czas wpaść do alkierza i zamknąć drzwi za sobą. Przez drzwi drugie wciągnięto kobiety, które krzyczały wniebogłoso, załamywały ręce i mdlały co moment.

Był to chaos trudny do opisania. Najśmielsi potracili głowy i nie wiedzieli, co począć. Jeden Żytkiewicz jakby wyolbrzymiał i huknął:

– Bracia! Zatarasować drzwi i bronić się do ostatniego. Przedajmy drogo życie nasze i naszych... – tu wskazał ręką na kobiety i wzrok jego padł na Zosię, bladą, drżącą, z rozplecioną kosą, która przy ogólnym popłochu schwyciwszy ze ściany obraz, padła na kolana, tuliła go do ust i krzyczała nieswoim głosem:

– Ratusz nas, Matko Najświętsza!...

Żytkiewiczowi łyzy bryznęły z oczu.

– Chamy! – ryknął, aż zadrżały szyby u okien i zabrzczał pałasz od konwulsyjnego ścisnięcia rękojeści. I jakby nadludzką ożywioną siłą porwał komody, stoły, kanapy i parł je ku drzwiom. A tymczasem z drugiej strony podważone silnymi barkami drzwi zaczynały pękać we wrzeczadkach i lada moment miał nastąpić wyłom. Jego męstwo ożywiło wszystkich. Nie strach, nie rozpacz, ale niema zajadłość ścisnęła ich usta. Szulc wyteżył szerokie ramiona i opierał się jak mógł parciu z przeciwnej strony. Wspierał go najenergiczniejszy Brzozowski. Kilka palców wychyliło się przez szparę i Brzozowski zgniótł je na miążgę kułakiem; kilka włóczni wytknięto i połamał je w kawałki. Ryknęła zajadła tłuszczka i połowa jej wypadła na podwórze. Widocznym było, że postanowiono wdrzeć się przez okna.

Żytkiewicz rozkazał wnet kobietom pousiadać w kątach, mężczyznom rozstawił przy oknach z pałaszami i zagasił świecę. Zaledwie od kilku uderzeń z brzękiem wyleciały szyby i kilka rąk oplotło ramy, gdy silne cięcia pałasza odbiły je i pokaleczeni zbrojcy osunęli się na ziemię. Po czym zaraz zaczęto strzelać do okien, ciskać włócznie, buławy, nawet kloce. Poletyło, wypatrzywszy moment, wysuwał garłacza⁴² i zmierzwszy, gdzie najgęściej kupił się motłoch, kaleczył go grankulkami⁴³. Toż robił Żytkiewicz, a strzał jego zawsze był trafny, gdy kule hajdamaków grzęzły w ściany, nie raniąc nikogo. Dotąd nie mogli poznać obłączeni, czy był i gdzie Mamaj, ale gdy atak do okien

⁴⁰ *Safianowy* – z safianu, czyli cienkiej i miękkiej, wyprawionej garbnikami roślinnymi i barwionej skóry koziej lub baraniej, używanej do oprawiania książek, w produkcji droższego obuwia.

⁴¹ *Osełdec* – czub, wąski kosmyk włosów na czubku ogolonej głowy, spleciony w warkocz lub rozpuszczony, noszony przez Kozaków zaporoskich szczególnie w XVII wieku.

⁴² *Garłacz* – odprzodowa broń palna wyposażona w lufę z rozszerzeniem przy wylocie.

⁴³ *Grankulka* – mała kula myśliwska.

pozostawał bez skutku, gdy wściekła banda po każdym odporze wyła przekleństwami i groźby i już krzyczano, aby dom podpalić – nagle zagrział donośny głos watażki:

– Baby biesowe! Pięciu Lachów nie możecie dostać rękoma! – I stanąwszy na szczeblu od drabiny, znajdującej się tuż przy oknie, krzyknął: – Lachy, poddajcie się, bo jeśli dostanę was siłą, wyrżnę co do duszy, baby nie zostawię na rozplód!

Po tłuszczy jakby kto powiał milczeniem, tak była ciekawą odpowiedzi.

Już młody Brzozowski porwał gwintówkę⁴⁴ i biegł odpowiedzieć wystrzałem, gdy Żytkiewicz zatrzymał go za rękę i wychyliwszy ubieloną starością głowę, odezwał się w ukraińskim języku:

– *Panie Mamaju i wy, siromy holtiopaki, a czy pozwolicie wnieść słowo wam do uszu?*⁴⁵

– Mów – rzekł Mamaj.

– Mów! – krzyknęła tłuszcza.

– Ale, cur, nie strzelać, aż skończę. Usłuchacie mej rady – dobrze; a nie – jak sobie chcecie.

– Mów, nie będziemy strzelać – wołali hajdamaki.

Żytkiewicz natenczas wgramolił się najspokojniej na okno, dobył rożek z tabaką, wysypał dobrą szczyptę na paznokcie, wciągnął ją uroczyście do nosa i rzekł:

– Ot, teraz można przystąpić do rozmowy. Jak tam będzie, to będzie, a będzie, jak Pan Bóg da! Wszak prawda, panowie młodycy? Może ja wywalę języka pod obuchem, może wy nakiwacie piętami i nam, i Mosznom i załopoczecie na bagna i błota, skąd was wyrzygnęła dzisiaj nieczysta siła. Grzeszni jesteście ludzie i tylko jeden Pan Bóg wie, jak będzie – otóż tymczasem *spasybi wam*⁴⁶ i za tę jedną łaskę.

– Za jaką? – zapytało kilku.

– A ot, żem choć raz jeden niuchnął za waszym pozwoleniem tabaki. Mnie staremu niuch jeden, to jak wam golnąć kwartę wódki. A z czubu, aż ciecie... Ale nie o to tu chodzi. Powiedźcie mi, panowie młodycy, jakiego wy diabła chcecie od nas? Czego drzecie się w okna, z przeproszeniem, jak wściekłe koty? Pomyślałbym, że chcecie wódki, ależ wam oczy przecie nie powyłaziły i widzicie sami, że to nie karczma? Pomyślałbym jeszcze, że pieniędzy? Ależ sami wiecie dobrze, że co było w skarbcu, toście już zabrali, a przy nas diabeł nie ma ani grosza. Jak was czart wyniesie stąd, jak przyniósł, a biesów Żyd nie poborguje⁴⁷, to nie będzie za co kupić ani czarki... Żeby tu zaraz Niemcem został po trzykroć, jeśli w tym, co mówię choć na makowe ziarno jest fałszu! I łażą, z przeproszeniem, jak te durne owieczki przez przełaz, co to

⁴⁴ *Gwintówka* – strzelba z gwintowaną lufą.

⁴⁵ *Panie Mamaju i wy, biedoto, czy pozwolicie do was przemówić?*

⁴⁶ *Dziękuję wam.*

⁴⁷ *Borg* – kredyt.

byle jedna skoczyła, za nią wszystkie, a nie stało wam oleju pomyśleć: i dla jakiego ja czarta doprawdy drę się na ścianę, jakby najadłszy się blekotu?⁴⁸ *Tu, kruty ne werte, a nihde prawdy dity!*⁴⁹ Przyszliście nie w goście, ale po pieniądze i odzież, bo u was diabli mają i tego, i drugiego. A wszakże widzę, jak jesteście postrojoni, mnie przecie nie powyłażyły... u tego kat ma czapki, u tamtego buty, a inny, jeśliby zdjął koszulę, zjadłby diabła, żeby ją potrafił wdziać na powrót... bierzcież tedy sobie to wszystko, bo, jak powiadają, wasza siła – wasza prawda; taj z Bogiem, a nas nie turbujcie.

– Za cóż wy nas kaleczycie? – odezwał się jeden.

– A żebyś się ty oparzył, wraży synu! – rzekł Żytkiewicz – Jakiś ty durny! Czegoż chcesz jeszcze; żebyś lał w okno po moją głowę, a ja ciebie podsadził? A co byś ty sam robił na moim miejscu? Ludzie dobrzy i wy, gromado! Sądźcie sami tę sprawę. Ja z wami gwarzę, a tymczasem krwią u mnie zalewa się serce... Czyż widzieliście kiedy człowieka, któryby swoich nie bronił ruchomości? Była u nas chudobka⁵⁰, była odzież, było kilka groszy majątku... gorzko a ciężko pracował człowiek przez całe życie, nim zebrał się na tę lichotę... Ileż to on nie dospał nocy, jakże się pobijał, jeździł, dbał o wszystko! Niechaj, myślał sobie, przydbam, będzie zacem spocząć na starość, żeby nie chodzić z torbą i będzie może z czego dać wyprawę dzieciom, a żeby nie puścić ich między ludzi boso i goło, i żeby nie mówiły złe języki: „wypędził własne dziecko jak psa z podwórza...”. I oto taki siroma uzbierał sobie przy pomocy Boskiej, aż tu Bóg za jego grzechy nasyła mu złych ludzi, którzy mu jednej godziny zabierają to wszystko... I zostaje mu tylko jedno dziecko, jego szczęście, jego cała radość i pociecha w tym życiu... Ale zły człowiek chce mu wydrzeć i ten skarb ostatni, bez którego on by sam żyć nie zechciał. Dla złego człowieka na co mu moje dziecko, krew moja? A dla mnie to cała pociecha i całe dziś szczęście. I czegoż tu dziwować się, że on go broni, że zastawia je sobą, jak ta biedna kaczka w oczerecie, co to wylatuje i wabi strzelca, i sama nadstawia życie własne, a żeby tylko go odwabić od nich. Ot, taka to, panowie młodycy, doła teraz nasza! Nie łajcie nas, że bronimy się, bo my tym spełniamy zakon Boży; a choć położymy tu głowy nasze, to Bóg miłosierny zgotuje nam żywot wieczny na tamtym świecie.

I stary zasłoniwszy twarz ręką, zaszłochał. Mamaj spuścił głowę i milczał, a tłum już nie odpowiedział groźbami, ale szeptał o czymś pomiędzy sobą. Jeden nawet z bandy, chłopiec w sile wieku, przystojny, barczysty, wysłuchawszy z uwagą Żytkiewicza, zarzucił na ramię janczarkę i rzekł:

– Do ładu ty mówisz, stary, jak pop czyta z książki – Bóg z tobą!

⁴⁸ *Blekot* – roślina jednoroczna z rodziny baldaszkowych, zbliżona wyglądem do pietruszki, odurzająca. Przysłowie: bredzi, jakby się blekotu objadł – mówi od rzeczy.

⁴⁹ *Jakbyś nie kręcił, prawdy nie ukryjesz.*

⁵⁰ *Chudoba* – skromny dobytek lub niewielkie gospodarstwo.

– Oj, sokole mój! Nie czytam ja z książki, ani z głowy – rzekł Żytkiewicz – ale to tak serce mówi przeze mnie. Jak byłem w twoim wieku, tom ani wiedział o tym, co dziś zawsze stoi mi na myśli! I parobek był ze mnie nie byle jaki; lecz bieda mnie zmogła, smutek mnie dziś wysuszył! Pobijałem się jeszcze jako tako, ale gdy mi Bóg odebrał syna, co gdzieś jak do wody wpadł w Smile lat temu trzynaście, od tego czasu zupełnie opuściłem ręce. Teraz jestem jak klacz, co u tutejszego diaka: *szczo ubjesz, to ujedesz*⁵¹. Dalibóg, panowie mołodcy, ot tak nieraz oczorcieje życie, że gdyby nie żonka i nie dziecko, to bym jeszcze dziś ruszył na Zaporozie. Ale ba! Doli koniem nie objedziesz – to urznę czasem z horia ośmucę – skrzepię serce, taj leżę, wybałuszysz oczy, nim przejdzie zła planeta⁵².

Żytkiewicz znał doskonale ukraiński język i lud, do którego przemawiał. Jego otwartość, jego żarciki puszczane wobec położenia, w jakim się znajdował, trafiły do przekonania tłuszczy i zmiękczały ich serca.

– Biesów jego, czortów Lach – mówili. – Dobrze się bije, a jeszcze lepiej mówi. Panie Mamaju, zostawmy ich, *niechaj im dytko*⁵³.

Ale wtem przybyła nowa zgraja, która zmieniła stan rzeczy. Byli to więźniowie wypuszczeni przez hajdamaków z kordegardy, którzy uzbroiwszy się w drągi, ziejąc zemstą, biegli rozliczyć się, jak mówili, z rządcą.

– A gdzie ten krzywogłówek, psiawiara! – krzyczeli – co nas wodzi jak psów w łańcuchach! Wydawajcie no nam jego i jego żonkę, co to narzuca naszym babom motki! Nie, nie doczekasz więcej! A no, panie Żytkiewiczu, ciągnij no ich tutaj!

Żytkiewicz pod ten czas⁵⁴ z krwią najzimniejszą zażywał tabakę i milczał, a gdy uspokoił się motłoch, odezwał się:

– *Zdorowy były! Słychom słuchaty, w wiczy wydaty; czy po woli, czy po niewoli?*⁵⁵

– Po niewoli Lasze! Dawaj nam rządcę – krzyknął jakiś oberwaniec, podsuwając się najbliżej.

– *Onwa!*⁵⁶ Jakiś ty prędkci!

– Wydawaj, psiawiaro, bo i tobie dostanie się!

– A durniu, ty durniu! – rzekł Żytkiewicz. – Nie umiesz odezwać się do ludzi, a chcesz im rozkazywać. Na biedę przyszło Mamajowi, kiedy takie świnopasy robią przy nim, co zechcą! Czy wy jego, panie Mamaju, doprawdy zrobili watażką?

⁵¹ *Ile utłuczesz, tyle pojedziesz.*

⁵² *Losu koniem nie dogonisz – to z tej żalości wypiję czasami kwartę, pokrżepię serce, poleżę, wybałuszysz oczy, zanim odejdzie zła gwiazda.*

⁵³ *Niech idą w diabły.*

⁵⁴ *Pod ten czas* – w tym czasie.

⁵⁵ *Bądź zdrów! Kto ma uszy, niech słucha, kto ma oczy, niech patrzy; dobrowolnie czy po niewoli?*

⁵⁶ *Widzisz go!*

– Czart wie, skąd się nabrała ta hołota – rzekł Mamaj.

– A widzisz! – odparł Żytkiewicz. – Ot, i wyszło na moje, że ci brak piątej klepki w głowie. Cóż tu za fanaberia, żebyś rozkazywał? Co ty masz do rządcy? Powiedz pierwszej, a potem jak gromada osądzi, to i wydam.

– A za co on nas trzymał w kajdanach, za co nas siekł różgami?

– *Na selo duryty, Hryciu, nieboże*⁵⁷. Ot jakbyś tak zaczął brechać⁵⁸ przed nimi, a mnie tu nie było, pomyśleliby, że prawda i zgubiliby człowieka, Bóg wie za co. A za co to on ciebie okuł, hołubczyku?⁵⁹ Boś ukradł u popa krowę i sprzedał ją w Czerkasach jak swoją. A za co to on dał tobie przed karczmą pięćdziesiąt? Boś otworzył bez klucza monasterski młynek i jak mielnik pozabierałeś rozmiar, któryś potem przepił u Żyda na Majdanówce⁶⁰.

– Ona na żony nasze ponarzuciała duże talki!⁶¹ – wrzeszczeli inni.

– Łżecie, ludzie dobrzy! Niech to was nie obraża, że tak mówię – odparł Żytkiewicz. – A żeby i tak było, to któż za nitkę gubi duszę? A jak wy przepijecie ostatnią koszulę w szynku, to nic, a jak wam każą naprząść zbytni poczynek, to zaraz do noża? A czyż to u nas tylko przędą talki i robią płótna? To na całym świecie! Nie za nas stało, nie za nas przestanie! Bo, jak to mówią: *wowk dere kozu, a koza lozu, a lozu czort*⁶². Ty wraży synu, cudze widzisz pod lasem, a swego nie widzisz pod nosem. Jak dopadłeś buławy, a widzisz, że za plecami jest pomoc – to ty zuch; a tego nie pamiętasz, jak ciebie Żydzi bili w Międzyrzeczu na jarmarku? Co to za Kozak? Takich ja dostanę siedmiu za jedną cebulę!

– Czy doprawdy bito cię, Hryćku, na jarmarku? – zapytali niektórzy z bandy Mamaja.

Hryćko poskrobał się w głowę i rzekł zakłopotany:

– Biłem ja i ich dobrze...

– Onwa! – odezwał się jakiś brodaty hajdamaka. – To brzydko. W naszym towarzystwie, jeszcze Bóg uchował, takich onuczek nie ma.

– Ale to jeszcze pół biedy. To gorsza, panowie młodcy, że on jadł prosięcinę w Pilipówkę⁶³.

Na to wyznanie powstał szmer powszechny.

– Kto? On? Nie pościł w Pilipówkę? Ach ty, heretyku jeden! Łacinniku! Katoliku!

⁵⁷ *Na wsi się wygłupiaj, Hryciu, nieboże.*

⁵⁸ *Brechać* – szczeakać.

⁵⁹ *A za co to on ciebie zakuł, gołąbeczku?*

⁶⁰ *Majdanówka* – wieś w dawn. powiecie zwinogrodzkim.

⁶¹ *Talki* – motek nici przędzy zdjęty z motowidła.

⁶² *Wilk zjada kozę, koza łożę, a łożę diabeł.*

⁶³ *Jeść prosięcinę w Pilipówkę* – jeść wieprzowe mięso w Post Filipowy (post u prawosławnych: 14 listopada – 24 grudnia).

I w tymże momencie posypały się nań rżęsno kułaki. Hryćko, widząc, że to nie przelewki, kopnął się z całej siły i zniknął w wiśniowym sadzie, który tuż był przy domu.

Wtenczas powstał Mamaj, rozesał bandę po okolicznych domach, rozkazując im pakować zdobycę na konie i wozy i po chwili, gdy z całej tej zgrai nie pozostało ani duszy, rzekł do Żytkiewicza.

– A co, Lasze? Wyłgałeś się przed moimi chłopcami, teraz mnie wysłuchaj.

– I owszem – odparł Żytkiewicz. – Byleś z dobrym szedł słowem.

– Jak tam sobie uważasz: ze złym czy z dobrym – odpowiedział Mamaj. – Oddaj mi swoją dziewczkę.

– Oj, hoj! – westchnął Żytkiewicz. – Nic z tego nie będzie.

– A ja mówię, że będzie – rzekł rozbójnik i pogroził kułakiem.

– Dalibóg, nie dam.

– Ej, pożałujesz!

– *Ha! Raz maty rodyła, raz umiraty*⁶⁴. Pierwej mnie zamordujesz, Mamaju, a potem już jak da Pan Bóg!... Ale żebym ja, póki żyw, oddał dobrowolnie moje dziecko jedyne hajdamace, zaprzepaścił jego młodość, nie, tego nie będzie! A – dodał z oburzeniem – dalibóg tak nie będzie, Mamaju! Czyż ty myślisz, że ja bym sam temu mojemu dziecku nie odciął pierwej u progu głowy, niżbym go miał wydać na grzech taki?...

– A ja ci powiadam – rzekł Mamaj – że i ciebie diabli nie wezmą, i twoja dziewczka tak będzie moja! Obaczysz, biesów Lasze! Wspomnisz moje słowo!

I grożąc mu pięścią, odchodził.

Żytkiewicz patrzył nań w milczeniu, lzy mu zakrepiły się w oczach i odezwał się:

– Ej Mamaju, opamiętaj się! Opamiętaj się, póki czas jeszcze! Czyż ty myślisz, że ta krew niewinna, którą przelewasz, nie woła tam o pomstę do Boga. Nie Bóg to ci dał prawo wydzierania życia, któregoś nie dał, ale czart ciągnie cię od zbrodni na zbrodnię!

Mamaj zatrzymał się, pomyślał chwilę i rzekł:

– Późno już, Lasze! To darmo! Trzeba takiego jak ty durnia, żeby to mówił, a ja byłbym drugim, żebym cię posłuchał. Ale wiesz co, zamieniamy się?

– Czym? – odrzekł zdziwiony Żytkiewicz.

– Ja ci oddam syna twego, jeśli mi dasz córkę.

– Matko Niebieska! – krzyknął Żytkiewicz, załamując ręce. – Mój syn u ciebie! O Boże! Boże! Za co mnie tak karzesz? – i pochwycawszy twarz w dłonie, zwiesił głowę na piersi i w głos zaszlochał.

Smutny to był płacz starca! Z tych chryplych łkań dobywała się zboląła dusza, a oczy jakby krwią, nie łzami, ciec miały. Nagle odjął dłonie, przetaił oczy i szukając wzrokiem postaci Mamaja, krzyczał doń rozpaczliwym głosem:

⁶⁴ *Cóż, matka rodziła, to i przyjdzie umrzeć.*

– Mamaju, serce, hołubczyku! Wróć się – dobij mnie – zrób mi tę ostatnią przysługę, a Bóg ci przebaczy!...

Mamaj widział tę boleść starca i ze ściśniętymi ustami, nawiesiwszy czarne, rzęsne brwi nad oczy, patrzył w niego jak w tęczę. Potem znikł nagle w cieniach nocy jak przepada zły duch, zaprowadziwszy w obłęd podróżnika.

Tymczasem dzieło rabunku i zniszczenia w szerokie wybuchnęło rozmiary. Rozsypane bandy bez oporu napadały na domy, grabiły je, a gdzie by najmniejszy stawiono opór, dołączały mordy. Że w owe czasy był na Ukrainie powszechny zwyczaj zakopywania pieniędzy, więc mało kto z zamożniejszych mieszkańców nie uległ męczarniom, którymi zmuszano ich do wykrycia skarbów. Tłuszcza bezbożna nie przepuściła cerkwiom nawet. Słowem, w przeciągu kilku godzin domy były ograbione, mieszkańcy wygnani, a krzyki, płacz, jęki po całym rozlegały się mieście. Przebudzeni wieśniacy biegli na rynek, skupiali się w tłumy i z przerażeniem śledzili zbójców, a pomimo że zbiegło się ich dużo, nikt nie odważył się stawić im oporu, zasłonić ginących... Kilka palących się karczem oświecało jaskrawą łuną ten obraz, którego połowa mniej straszliwa pograżona była w cieniach nocy. Zabrane rzeczy i pieniądze znoszono ze wszech stron na rynek i składano na wozy. Już cały ten obóz gotów był ruszyć z miejsca, gdy na spienionym koniu zleciał Mamaj. Straszny on był jak burzliwa chmura... skinął rękę uzbrojoną w nahaj⁶⁵ i wnetże cały szereg wozów pociągnął drogę ku Dnieprowi. Lecz nie wszyscy hajdamacy stanęli w gotowości do wyjścia. Za pogorzelskimi zrabowanych domów i karczem wielu z tych hulajów ucztowało w najlepsze, bili się między sobą lub zabawiali męceniem Żydział. Przebiegł tamtędy watażka i nahajem pędził ich przed sobą do obozu. Gdy na koniec rynek pozostał pustym i tylko snuł się tłum ludu gwarzącego głucho pomiędzy sobą, nagle wpadł do środka ich Mamaj i osadziwszy konia, tak odezwał się:

– Ludzie dobrzy! Dziękuję wam za ugoszczenie! Teraz, spodziewam się, popamiętacie ruski miesiąc Mamaja! Dobrze wam tak, wraże syny. Myśleliście już, że za Smiłą nie znajdę was nigdy? Że was obroni milicja i gubernator? Pokłońcież się ode mnie tym durniom i powiedzcie, że będę do nich znowu w goście. Dam ja wam nie tak jeszcze!... Chodźcie co rok po sól, po rybę, handlujecie z Siczą, zarabiacie u nas pieniądze i mierzycie czapkami karbowańce⁶⁶, a żaden szelma nie zajrzał do mnie choćby ze zwyczaju z ratcem i palanicą?⁶⁷ Cóż to: nie słyszeliście nigdy w stepach o Mamaju? Czyż nie wiedzieliście, kto panuje nad Ingulem i Subakleją?⁶⁸ Że ani jednej parowicy nie przepuściłbym, jeślibym zechciał? Ale gdzie tam!

⁶⁵ *Nahaj* – skórzany bicz z krótką rękojeścią; kańczug, batog.

⁶⁶ *Karbowaniec* – rubel na dawnej Ukrainie (zapewne od karbów, nacięć monety).

⁶⁷ *Palanica* – wódka, gorzałka.

⁶⁸ *Ingul* i *Subakleja* (*Ingul* i *Suhakleja*) – rzeki w dawn. guberni chersońskiej.

Wiecie wy dobrze wszystko, ale myśleliście: co nam watażka ten? Mamy świadectwo od gubernatora do Koszowego⁶⁹ i naczelników serbskich i ani go znać chcemy!... Ja was nauczę, biesowe dzieci – dodał, potrząsając nahajem nad tłumem. – Kramarze! Świnopasy! Lichwiarze! Pijawki chrzczonego ludu! Wy do niczego! Umiecie tylko przystroić się w nowy żupan, w safianowe buty, siwą, barankową czapkę nasunąć na ośle uszy, w monista⁷⁰ i dukacze⁷¹ poubierać swe baby – i tak chodźć po ucztach, po bankietach. A parobcy? – dodał, przedrzeźniając ich ruchy – Wielki jak dąb, a jak noc każdy głupi! Je szelma za czterech, a w robocie wyręcza się najmytem. Na wieczornice do Horpyny, na doświtki⁷² do Paraski – to gotów! Do pazuchy wie drogę, a do Siczy żaden psiawiara ani uchem nie mrugnie. A jak się upije to szcenię, to zaraz czapkę na bakier i krzyczy: ja Kozak! Zaporozec! Jaki ty, durniu, Zaporozec? Ty na podeszwę nie zdałbyś się dla Zaporozca! Onucza⁷³, a nie Kozak!

Wszystko to Mamaj mówił grzmiącym głosem, który do martwej bezwładności przyprowadził słuchaczy. Pozdejmovano czapki i słuchano go w zupełnym uciszeniu, a na kim zatrzymywał się groźny wzrok watażki, ten bladł jak ściana.

– Słuchajcież, co wam powiem – dodał po chwili – nie pogardzajcie Koszem⁷⁴ i poznawajcie się z nami, bo niech nie będę Mamajem, jeśli was na szydło i rzemyk nie sprowadzę! A kto prawdziwy Kozak, w kim gra krew mołojca, kto chce zarobić na sławę Kozaczeńka, nie tu za piecem i nie przed babami, ale tam, u nas – za Tili-kułem⁷⁵, ten niech zaraz po Św. Jerzym⁷⁶ rusza do nas! Cóż lepiej: czy gęsi pasać na lewadzie albo w piecach palić u Żydów, czy służyć w Koszu? – I nie czekając odpowiedzi, skrzył konia na miejscu, zaciął go nahajem i ruszył z kopyta.

Opowiem teraz, jakim sposobem dokonany został ów napad. Mamaj przyplynał do przystani Sokirnej⁷⁷ na bajdakach⁷⁸. Tam w zaroślach dniewprzewoju ługu skrył statki, a sam w kilka koni przybył do Moszen. – Stanąwszy w karczmie na rynku, opowiedział się ciekawemu żydostwu, że jest szlachcicem Wichrowskim i prowadzi na sprzedaż kilkadziesiąt koni do Korsunia, Łysianki, Hulajpola. Kozakom zaś swoim rozkazał zahulać wieczorem przed karczmą i spoić straż miejscową. O zmroku

⁶⁹ *Koszowy* – najwyższa funkcja z wyboru na Siczy Zaporoskiej, naczelnik kosza wojska Kozaków zaporoskich.

⁷⁰ *Monista* – ozdobna chustka na szyję.

⁷¹ *Dukacz* – medal zrobiony z dwóch lub trzech dukatów lub przedziurawiony złoty pieniądz, który nosiły kobiety zawieszony przy koralach.

⁷² *Doświtki* – spotkania kobiet na wsi odbywające się przed świtem dla przedzenia.

⁷³ *Onucza* – onuca (pogard.)

⁷⁴ *Kosz* – tatarski lub kozacki obóz wojskowy; komenda takiego obozu.

⁷⁵ *Tilikuł* (*Teliguł*, *Tylihuł*) – rzeka w dawn. guberni chersońskiej.

⁷⁶ *Po Św. Jerzym* – po wspomnieniu św. Jerzego (u prawosławnych – 24 kwietnia).

⁷⁷ *Przystań Sokirna* – przystań w miejscowości Sokirna, w dawn. powiecie czerkaskim.

⁷⁸ *Bajdak* – łódź, barka dawniej używana na Ukrainie, Białorusi i na Morzu Czarnym.

przez bagna Olchowczyka mieli podstąpić skrycie pozostali Kozacy i następnie nasamprzód⁷⁹ otoczyć dom rządcy, właśnie w tę samą porę, gdy on tam znajdować się będzie. Stało się zupełnie tak, jak rozporządził Mamaj, i gdy ten, pokłóciwszy się z Broniszewskim, wypadł do sieni, już banda jego otoczyła dom i czeladź powiązała co do duszy.

Nazajutrz po opisanym napadzie, kiedy mieszkańcy po dniu obejrżeli dzieło zniszczenia, Moszny przedstawiały ruinę i pustkowie. Dotlewały jeszcze karczmy i domy, leżały na gruzach trupy, ściany świeciły pobitymi oknami, na rynku po obejściach wałały się domowe sprzęty, wyły psy i, załamując ręce, łkając przeraźliwie, wałęsały się kobiety. Biedny proboszcz padł pod nożem zbójców, a dom Żytkiewicza, jak wiele innych, świecił ruderą i pustkowie.

Cóż działo się z Zosią? Biedna dziewczyna, co jeszcze wczoraj pogodnym czołem, wesołym okiem zachwycała wszystkich, po okropnej nocy zapadła w gorączkę i leżała w domu rządcy ze spalonymi ustami, obłąkanym wzrokiem, płomienną twarzą. I pozostałe kobiety były albo chore, albo tak opadłe na siłach, tak zmieszane wypadkiem, iż wzajemnej pomocy nieść nie mogły.

Żytkiewicz, tak dotąd przytomny, odważny, od otrzymania okropnej wiadomości o synu z ust Mamaja chodził jak nieswój, był jak zwarzony. Poletyło osiodłał konia i udał się do Czerkas z wiadomością o zdarzonym napadzie i z prośbą o pomoc; rządcą bojaźliwie wyglądał przez okna, obawiając się wyjść na miasto, i Szulc tylko z Brzozowskim krzatali się przytomniej. Tymczasem Moszny z każdym dniem oczyszczały się z ruder i pogorzeliisk. Ludzie jak mrówki zaczęli się krzątać na zburzonym mrowisku, lepić domki, znosić sprzęty, chować pobitych. Nastąpiły dni pogodne i ciepłe. Trawy, zieloność, kwiecie pokryły wszystko i Moszny znów wyglądały jak wianek z łona lasów. Każdy dzień dopełniał lub odmieniał cudne obrazki natury. Naleciały ptaki, drzewa zakwitły i pooblewały jakby mlekiem rozdoły, gdzie były sady. Ukraina rosła ku słońcu, stroiła się jak dziewczę do ślubu. Wszystko powoli wchodziło w dawne karby – pogorzeliiska odbudowały się. Kwiatkiewicz ujął sprężyscie naruszoną władzę, Poletyło samowładnie panował nad lasem, Szulc po dawnemu zaprowadzał rejestry i rachunki, jednego tylko brakło – Broniszewskiego, i jeden tylko domek stał dotąd opuszczony, zrujnowany, z oknami zabitymi deskami i rozwalonym płotem. Ale gdy tak wszyscy pod wpływem wiosny powracali do dawnego życia i zatrudnień, jeden tylko Żytkiewicz, uwielbiany, podziwiany od wszystkich, nie podzielał ogólnej spokojności, był zawsze milczący i zamyślony. Wyjeżdżał on parę razy z Brzozowskim, dokąd? – nie wiadomo – potem wyjechał młody Brzozowski i nie wrócił, a nareszcie jednej nocy znikł i Żytkiewicz z żoną i córką.

⁷⁹ *Nasamprzód* – najpierw.

Dokąd wyjechał? Nikt w Mosznach nie wiedział. Stary bywalec znał dobrze przebiegłość hajdamaków i przewidywał, że Mamaj, nie chcąc wydzierać gwałtem córki z objęć ojca, wykraść ją postanowił. Dla watażki, mającego taką władzę, środki i szpiegów, nic nadto nie było łatwiejszego. Otóż zabezpieczając się od nowego wypadku, Żytkiewicz zemknął, ale tak, że o ucieczce jego nikt nie wiedział, ani mógł powziąć żadnego śladu.

Ale nas interesują losy tej ładnej dziewczynki; o ślicznych jej, pełnych wyrazu i uczucia oczach, o zachwycającym rysunku twarzyczki, o giętkich formach postaci – mieliśmy niedawno sposobność powziąć ideę z wnuczki – tak dziś kwitnącej, jak ona kwitła niegdyś – a więc śledźmy ją bodajby przez najczarniejsze bory – bodajby nas jak rusałka miała gdzieś zaprowadzić w topiele.

Cóż postanowił stary? Oto razu jednego, późno już wieczorem, gdy Moszny spały i tylko w sadach zalewały się śpiewem słowiki, i tylko księżyc bawił się z chmurami na szczycie błękitu, niby rycerz, to rozwijając, to znowu zwijając fałdy płaszcza, to spuszczać, to podnosząc przyłbicę, Żytkiewicz rozkazał żonie i córce przebrać się po chłopsku, sam narzucił na ramiona świętę, na uszy nacisnął kozacką czapkę, zaprzągnął do wózka parę koni i wyjechał z nimi precz z miasteczka. Jechał naprzód przez bory na monasterski młynek, co na Irdyniu, potem przedzierał się manowcami przez step ruskopolański⁸⁰ i jeszcze świtać nie zaczęło, gdy zbliżył się do pisarskiej grobli na Taśminie. Tu droga stała się nierówną, pełną wybojów, posiadali więc wszyscy i szli piechotą. Przebywszy groblę, skierowali się na prawo i już świtem przejechali Hulajgród, a stamtąd znowu zawrócili na lewo i zagłębili się w lasy po ledwo wydeptanej drożynie. Przez cały czas tej nocnej podróży nigdzie żywej nie spotkali duszy.

Żytkiewicz był milczący, staruszka szeptała pacierze, a Zosia w świtce, w białej wyszywanej koszuli ze wstążkami, trzepoczącymi się u głowy i monistami na szyi, z wyrazem ciekawości w oczach i zachwyceniem w piersi wpatrywała się w obrazki nocnej natury, przeglądała z trwogą tajemniczą przydrożne sosny, słuchała z zajęciem szelestu traw i kwiecica pod kołami toczącego się wózka, to znowu zadumana bujała po gwiaździstym niebie.

A że to młodej głowie, jak Zosina, tysiąc zawsze marzy się obrazków, to nie-raz dziwiąc się swemu przeistoczeniu, opierała bródkę na łonie i przypatrując się rysunkowi własnego biustu, myślała: żebym też ja, ot, w tym ubiorze, pokazała się kiedy u rządcy?... Oto byłoby śmiechu... Ciocia zaraz by krzyknęła: fe! Chłopka aspanna!...⁸¹ A Szulc zaraz by w koperczaki!...⁸² Ale doprawdy, że w tych wstążkach musi mnie być do twarzy?... Moja Hanna, jakby mnie obaczyła teraz, jak mamcią

⁸⁰ *Step ruskopolański* – od nazwy wsi Ruska Polana, położonej w dawn. powiecie czerkaskim.

⁸¹ *Aspanna* – waćpanna.

⁸² *Koperczaki* – przestarzałe: umizgi, zaloty.

kocham, nie poznałaby... ot, tak przeszłaby bliźniutko i przywitała się jak z cudzą... A żebym to ją poszła na ulicę?... Parobcy hurmem za dziewczyną... skąd ona? Z Kumejek...⁸³ moja cioteczna siostra... przyszła w goście na święta... A Hanno, hołubko⁸⁴, uciekajmy stąd, bo jak dowie się mama!... Idę sobie i śpiewam... Hrycia? Nie, nie Hrycia – śpiewam sobie... *Oj, tam na kozie, tam stały malari.* – *Malowały, rysowały białe liczko mini!*...⁸⁵ – aż tu brzęk, brzęk... – idzie... – Kto idzie? (roześmiała się i zakryła twarz rączką). – Hanno, duszko, ja schowam się za ciebie... Jak się masz, Hanno? – *Zdorowi były*⁸⁶. A czy pan w domu? W domu. – A panna? – W domu... – Aj... A to co za dziewczyna z tobą? Moja cioteczna siostra... Hańdzia... – nie – nie Hańdzia, Marusia... – tak lepiej... – aj... – patrzy mi się w oczy i chce zatrzymać się... – umrę, jak tylko dotknie się... paniczu, het!... – odczepcie się!... Kto to był, Hanno, duszko? – Alboż panna nie zna, oto ładnie! Brzozowski!...

Te swawolne marzenia rozkołysały młodą główkę do tego stopnia, iż doprawdy przywidziało się dziewczęciu, że ją spotkał młody Brzozowski; zacerwieniła się więc jak pąs, a oczy ledwie nie bryznęły łzami... Lecz jakież było jej zdziwienie, gdy odstaniając twarzączkę, zakrytą obiema rączkami, postrzegła istotnie Brzozowskiego przed sobą!...

Skądże się tu wziął Brzozowski? – zapytacie. Stary Żytkiewicz długo myślał nad tym, gdzie by skryć Zosię? Na Wołyń odwozić jej nie chciał – to za daleko ciągnąć się z kobietami do miasta pogranicznego, do któregokolwiek z pogranicznych równie nie zgłaszał się, będąc tego przekonania, że zabezpieczając dziewczynę od hajdamaków, narazi ją na wiele innych niebezpieczeństw, nie tak może strasznych, lecz nie mniej opłakanych w skutkach.

W ogólności Żytkiewicz nie podzielał zdania tych rodziców, którzy dorosłe córki rozwożą po bankietach, jarmarkach, odpustach, ażeby do wszystkich przechodzących szczerzyły ząbki. Stary rozumiał, że jak zabrzęczy trzosem, to chłopcy Bóg wie skąd, jak dobre gończaki, zwietrzą zdobyć; a jak obaczą Zosię – to wybredać nie będą, bo także nie mniej warta jak złoto. Więc przypomniał sobie starego Brzozowskiego, który już od kilku lat mieszka samotny w nadtaśmińskim futorze, znał jego pustelniczą ustron i wiedział, że tam tylko zaglądają ptaki i hodują się pszczoły, a nikt z ludzi drogi do jego futora nawet nie zna – otóż postanowił na czas jakiś tam odwieźć babę swoją i córkę, a z myśli swej zwierzy się młodemu towarzyszewi, którego pokochał jak syna, wiemy tedy skąd tak wypadło, iż wśród tych głuchych lasów spotkała Zosia Brzozowskiego.

⁸³ *Kumejki* – wieś w dawn. powiecie czerkaskim.

⁸⁴ *Gołabczko*.

⁸⁵ *Oj, tam na kozie, tam stali malarze. Malowali, rysowali białe liczko moje.*

⁸⁶ *Witajcie w zdrowiu.*

Żeby Zosia tak zamarzyła gdzieś samotna i potem nagle, jak w tej chwili, zjawił się przed nią Brzozowski, to już nie wiem doprawdy, czy by nie zgorzała od zmieszania i wstydu; szczęściem jednak pomogła jej obecność rodziców i nim się on powitał, a rozmówił z nimi, ona tymczasem miała czas ochłonąć cokolwiek i zebrać rozproszone myśli. Więc oboje Żytkiewiczowstwo i Zosia po posiadali z wózka i już szli razem do futuru. Ale cóż to się działo z biednym chłopcem, ile razy spojrzął on na Zosię!... Jakże ona ładną była w jego oczach w tym ukraińskim ubiorze! Ile razy zbliżał się do niej i zaczynał rozmowę, tylekroć zapominał się do tego stopnia, że już Zosia postrzegła to zmieszanie i śmiać się z niego zaczęła serdecznie. Przyszli na koniec do futuru. Był to sad duży na pochyłości góry, otoczony jak murem zieloną ścianą lasu. Biała, długa chata, pokryta trzcina, stała przy wjeździe; w głębi widniały liczne szeregi ulów, a bzy, róże i kalina rozkwitały przed oknami dokoła. Od progu chaty rozbiegały się dwa sznureczki udeptanych ścieżek; jedna ginęła pod konarami drzew owocowych w głębi sadu; druga u dołu w łożach, któredy chodzono do krynicy. Jakże się ta ustronń podobała dziewczynie! Jak tu wszystko było ładnie, a cicho i czysto, i zielono, niby domek przystrojony umyślnie na Zielone Świąta! Jak tylko zaszczekały psy, zaraz wyszedł stary Brzozowski, zupełnie jak pasiecznik ukraiński o białych włosach, długiej brodzie, w płóciennej koszuli, przetykanej dokoła pazuchy czerwoną nicią, i powitawszy gości, zaprowadził ich do świetlicy⁸⁷.

Oboje Żytkiewiczowstwo znali od dawna starego Brzozowskiego, lecz nie w tym stanie jak dzisiaj. Był on rodem z Wielkopolski, pochodził z zamożnej rodziny i młodość swą spędził w Warszawie, gdzie lat kilkanaście służył wojskowo towarzyszem znaku pancernego. Ale gdy król częściej przesiadywał w Dreźnie niż w Warszawie, a minister Brühl⁸⁸ wicherzył Polską i ujadał się z panami, Brzozowski zniechęcił sobie Warszawę i pragnąc czynniejsze prowadzić życie, prosił o zaliczenie go do pocztu komenderującego się na Ukrainę, chociaż z rejestru kolej na niego nie wypadła. Tu wahał się po okolicznych miastach, a choć po dawnemu było przykro mu, przynajmniej kontent był z tego, że marsze i wojna urozmaicały mu życie. A gdy następowała zima, zwykle zjeżdżał do Śniły i tu z leśniczym, szlachcicem Bujalskim, zawołanym myśliwym, całe dni przepędzał na łowach. Ten Bujalski był to dziwaczny charakter człowieka. Dobry, rozsądny, przyjacielski, ale dopóki trzeźwy. Jeden Brzozowski miał nad nim przewagę, lecz i ten, nie mogąc dłużej znosić brzydkich skutków nałogu przyjaciela, które od niejakiego czasu, bez widocznej przyczyny, przybrały niebezpieczny charakter, przeniósł się na koniec na mieszkanie do osobnego domu. A miał Bujalski w domu swym siostrzenicę Jadwisię, sierotę, dziewczynę natenczas

⁸⁷ Świetlica – dawn. gościnny, paradny pokój wiejski.

⁸⁸ Minister Brühl – Henryk Brühl (1700–1763), minister-faworyt Augusta III, z niemieckiej rodziny szlacheckiej, rodem z księstwa Sachsen Weissenfels.

lat osiemnastu, którą wychował od dzieciństwa, ubogą, potulną, ale ładną. Otóż razu jednego, podczas nocy, stuka ktoś do okiennic Brzozowskiego i woła o ratunek. Była to owa sierota, której jak tylko otworzył drzwi Brzozowski, wpadła do izby zmieniona, biała, zalewając się łzami, w podartej odzieży, z rozpuszczonymi włosy. Brzozowski domyślił się zaraz, że Bujalski musiał się upić i swoim zwyczajem awanturuje w domu; ale jakże został zdziwiony, gdy biedna dziewczyna upadła mu do nóg, błagając, ażeby ją zasłonił od napaści wuja, który od dawna goreje ku niej występłą miłością i pijany zagraża śmiercią, jeśli się opierać będzie dłużej. Jeszcze nie skończyła wyznania, gdy w tym otwarły się drzwi gwałtownie i Bujalski z obłąkanym wzrokiem, z fuzją w rękę, wpadł do izby. Postrzegłszy dziewczynę, leżącą u stóp Brzozowskiego, przywidziało się nieszczęśliwemu, że on jest jego rywalem i zemsta wściekła zaślepiła w nim przytomność do reszty. Na szczęście wystrzał był chybiony, ale Bujalski padł bez zmysłów na ziemię i od tego czasu stracił już je na zawsze. W cierpieniach szaleństwa żył jeszcze blisko rok, a biedne dziewczę pozostało na koniec samo na świecie, bez opieki i sposobu do życia.

Od tego wypadku, który tak dziwnie wplątał się w losy Brzozowskiego, datują się i jego cierpienia. Nie poczuwając się bynajmniej do winy, nie kochając nigdy miłością kochanka biednej sieroty, nie mógł on wszakże patrzeć bez współczucia na jej obecne położenie i postanowił się zająć jej losem. Kupił więc dla niej dworek w Smile, ogłosił, ile daje posagu, i starał się ją wydać za mąż. Zamiarom tego szlachetnego człowieka odpowiadało jedynie życzenie najszczęśliwszego uszczęśliwienia sieroty, ale ludzie nie tak sądzili o tym. Urosły baśnie, zniesławiające dziewczynę. Mówiono, że ta chytra istotka służyła za przedmiot miłości dla obojgu, że oszukiwała ich kolejno i że wskutek wykrycia miłosnych jej stosunków z Brzozowskim nastąpiła na koniec owa okropna scena w domu Brzozowskiego, która razem zgotowała oplakaną śmierć leśniczego. Tyloma zbrodniami splamiono czoło niewinnej Jadwisi, że opieka Brzozowskiego nie tylko jej pomoc nie mogła, ale owszem utwierdzała wszystkich w powziętym mniemaniu. Jeden tylko Brzozowski nie wiedział o niczym i zdziwił się, czemu nikt z okolicznej szlachty nie stara się o jej rękę.

Zdarzyło się, iż Brzozowski dla interesów rodzinnych wyjechał do Polski. Sierota żegnała go ze łzami, prosiła, żeby o niej nie zapomnieli, on, który jedyną pociechę, jedynym jej szczęściem pozostał na świecie! Tęskno było Brzozowskiemu, gdy opuścił Ukrainę i pierwszy raz uczuł, jak był przywiązany do sieroty. Ale gdy znalazł się w kole rodzinnym, nie mógł nie spostrzec, że go wszyscy krewni powitali zimno. Jakież było jego zdziwienie, gdy na koniec, w ogólnym ich zebraniu, zaczęto mu wymawiać, że rzuca zakatę na ród ich, dotąd nieposzlakowany w cnotach, zawiązawszy występne stosunki z jakąś tam rozpustnicą...

Brzozowski o ile szlachetny, o tyle był popędliwy i zrażający się. Na oskarżenia, które przejęły go oburzeniem najwyższym, wybuchnął gniewem, zbeształ wszystkich,

zerwał ostatecznie z rodziną i ani chcąc więcej mówić z nikim, sprzedał swoje dobra i wyjechał na powrót na Ukrainę. Ale i tu nie mógł spotykać obojętnie ludzi, którzy tak podle targnęli się na jego i sieroty sławę. Widział zawiązaną na wieki jej przyszłość, widział niestartą plamę, którą naznaczono niewinne czoło dziewczyny – to go bolało okrutnie. Skutkiem tej walki wewnętrznej było ostateczne odosobnienie się od świata i pogarda ludźmi. Na koniec rzekł sobie: sprawdzę ich potwarz, ale uszczęśliwię sierotę i ten czyn przywróci mi szczęście i spokój, których już nie znajdę na świecie!... Pójdźmy, o niesławiona, biedna dziewczyno, przed ołtarz Boga, gdzie zaprzysięgnę ci miłość, o którą posądzali mnie ludzie!...

Wnet po ślubie Brzozowski kupił wioskę w Bokusławczyźnie⁸⁹ i przeniósł się do niej na mieszkanie. Jak to zwykle bywa z sądem ludzkim, znaleźli się później tacy, którzy zaprzeczali rozsianym plotkom i dawali to poznać Brzozowskiemu w nadziei, że pogodzi się ze światem, ale on tak się czuł szczęśliwym w swym odosobnieniu, tak był spokojny na duszy i zadowolony ze szlachetnego czynu, że ani chciał słyszeć o tym. Po piętnastu latach umarła mu żona, a pozostał syn. Stary oddał go do szkół, potem do wojska, a sam znudzony światem do reszty, odprzedał wioskę i oto już rok piąty mieszka w tym pustelnicznym futorze, gdzie go poznaliśmy dzisiaj.

Życie starego Brzozowskiego było wiadomym i Zosi z opowiadania ojca. Z podwójnym więc zajęciem patrzyła ona na pustelnika i na jego siedzibę, po której oprowadzał ją młody Brzozowski. Jakże ona tego pamiętnego dnia była wesołą i szczęśliwą! Jakże została uradowaną, dowiedziawszy się, że z matką zostanie tu na miesiąc! Gdy tymczasem ojciec, w towarzystwie młodego Brzozowskiego, pojedą gdzieś w stepy, na Zaporozże, szukać syna. Jeszczeż to Zosia, pamiętna przestróg ciotki i mamy, choć kochała młodego towarzysza, to w tak wielkim sekrecie, że bodaj czy rąbek własnej jej sukienki, drżąc od wzruszenia na piersi, wiedział o tym; ale od czasu, jak ojciec pokochał go wyraźnie, jak zaczęła przy niej chwalić go mama, jak na koniec przyjechali na futor do starego i tu dowiedziała się Zosia, że Stanisław postanowił koniecznie towarzyszyć jej ojcu, pomimo jego oporu i namowy, żeby pozostał w domu, i widziała, choć sekretnie, jak ojcu jej łzy zakreściły się w oczach i jak on ucałował go serdecznie w głowę, to już pomyślała sobie w duchu: czemuż bym ja nie miała dać poznać temu biednemu chłopczykowi, że go także kocham? I czuła jej serduszko tak się użalało nad nim, że ledwie nie zapłakała, myśląc: jaki też to on biedny! I co to on przeze mnie wycierpieć musiał!...

A gdy rozeszli się do snu po tym dniu, jednym z najszczęśliwszych w ich życiu, Zosia poddała się marzeniom i, zaręczam was, przemarzyła to wszystko, co nasz Bohdan pod słuchał przy krosienkach. Tak samo jechał do niej wojak, tak brzęczał ostrogą i szablą,

⁸⁹ *Bokusławczyzna (Bohusławszczyzna)* – dobra położone za miastem Bohusław, na terenie dawn. powiatu kaniowskiego.

tak się kłaniał, tak całował różyczkę we włosach... tak mu jej bronila ona, aż budziła się z tych marzeń z sercem, które zaczynało bić silnie, jak z przestrchu albo po swawoli...

A on? On marzył po swojemu. To całował rączkę dziewczyny, to leżał u nóg ojca, to muskał wąsik i oblicze przybierało dumny wyraz ciotecznego pana Paska:

Jeśli na wieki świat mi zawiąże,
To się nasrozę –
Dmuchnę mu pod nos: ej, mości książe!
I w Zaporozie...

Nazajutrz, gdy się Stanisław ze starym Żytkiewiczem wybierali w drogę, Zosia była smutna i miała zapłakane oczy. – Dobrze, że choć ojciec jedzie także, myślała w duchu, a to jak mamę kocham, umarłabym ze wstydu, jeśli by poznano, że płakałam! Kogo żal pannie? Jużciż tatka! A to byłaby bieda: kogo żal pannie? Stasia!... A czuję, że płakałabym jak teraz... – Gdy tak sobie dumiała w izdebce, a starzy krzżeli się po obejściu, wszedł Stanisław, a że biedny chłopiec nie mniej się dręczył, bo kochał tak Zosię, że omal nie rozpadało się serce, więc oboje, znalazłszy się sami, zmieszali się tym bardziej i ani słowa przemówić do siebie nie mogli.

– Kiedyż pan Stanisław wyjeżdża? – zapytała na koniec Zosia.

– Wieczorem, panno Zofio.

– Dokądże to jedziecie?

– Do Siczy Zaporoskiej.

– Nie uwierzysz, panie Stanisławie, jak jestem niespokojną o was... ten straszny rozbójnik ciągle mi staje na myśli. Opiekuj się tam, panie Stanisławie, moim tatkiem... tyłkoż i sam bądź ostrożny.

– Daję słowo pannie Zofii, że w razie potrzeby życie moje położę za niego.

– Ach! Na miłość boską, na co pan Stanisław tak się zaklina strasznie! Ja wierzę zupełnie; ale grzech wspominać takie słowa!

– Nie grzech, panno Zofio, bo w takiej podróży może się zdarzyć wszystko. Ale przypuszczając, że mnie zabiją, że gdzieś zginę w tych hajdamackich stepach, to i cóż potem? – dodał, patrząc na spuszczone oczy Zosi. – Trzy kukułki nawet nie przylecą na moją mogiłę, jak śpiewają chlōpi w dumce, bo nie mam ani matki, ani siostrzyczki, ani kochanki...

Zosia spojrzała na Brzozowskiego oczami całymi we łzach i nie mogąc owoładnąć wzruszenia, spuściła je prędko ku ziemi, a łzy ciche kapały na robotę, którą trzymała w ręce.

– Panna Zofia płacze... – rzekł zmieszany Stanisław.

Na to zapytanie biedna dziewczyna już nie mogła pokonać siebie i zakrywając chustką lice, zapłakała i rzekła:

– Bo też pan Stanisław, jak mamę kocham, Bóg wie, co plecie! Wstydź się pan! – dodała, tupnąwszy nóżką.

I płakała szczerze, i dąsała się, i na koniec śmiać się zaczęła, choć łzy były w oczach.

– O, serce moje! O, droga Zosiu moja! – rzekł Stanisław, klękając u jej kolan i całując jej rączkę.

– Co? Co? Serce? Panie Stanisławie, co pan wygaduje? – krzyknęła, opamiętawszy się dziewczyna. Ale nasz rycerz był już pod wpływem uczuć i całując rączkę, mówił jak bez pamięci! – Serce, krzyszczyk! Gwiazdko, słonko moje, koralu mój, kalineczko czerwona moja! Nie gniewaj się na mnie...

Zosia drżała jak listek.

– Wstydź się pan – szeptła – wstydź się pan! Idź pan sobie, idź na miłość Boga!

– O nie, nie pójdę, aż powie mi panna Zofia, czy mnie kocha?

– Ale ja tego panu Stanisławowi nie powiem nigdy... i co to panu przyszło do głowy?

– Czemu?

– Oto pięknie! I pan Stanisław mnie pyta: czemu? Bo się zawstydzę... – i mówiąc to, trzymała dłoń na oczach.

– O, Zosiu! Żebyś ty wiedziała, co ja cierpię, to nie byłabyś tak okrutną!

Dziewczyna odjęła dłoń od oczu i spojrzała na Stanisława wzrokiem, który zdawał się badać głębię jego uczuć. Nie był to już wzrok trzpioczący się ani wstydlivy, ale głęboka rzewność i zaduma patrzyły spod dużych, czarnych jej rzęs.

– Panie Stanisławie – rzekła po chwili tonem łagodnym, pewnym, przegarniając na czole jego włosy – powiedz mi otwarcie, szczerze, zaboż się⁹⁰ przede mną: czy doprawdy mnie kochasz? Czy tylko chcesz zgubić biedną dziewczynę? I co ja tobie zrobiłam złego?

– Zosiu! Niech mnie Bóg ciężko skarże! Niech jutra nie doczekam, jeśli...

– Cicho serce... – szepnęła Zosia i zawisła na jego ramieniu pąsowa jak jabłuszko. – Stasiu mój drogi, ja ciebie kocham nad życie... – I usta ich społyły się i dziewczyna po raz pierwszy w życiu była pod wpływem zapomnienia się.

Będziemy powtarzać wszystkie wrażenia tego czystego, dziewiczego serca? Zaczernimy je tylko atramentem, wcielimy w martwe zgłoski i z obrazu pełnego ognia i życia wyjdzie parodia. Wyobraźcie sobie, moi kochani czytelnicy, tę dziewczynę taką śliczną, jak ja ją wyobraziłem sobie; wyobraźcie to uczucie tak silnym i świętym, jak być powinno, nadajcie i Zosi, i temu uczuciu imiona swoich kochanek i chwile własnych wzruszeń, otoczcie je wiosną i samotnością, i dokończcie ten ustęp mojego opowiadania sami.

⁹⁰ Zabożyć się – przysięgnąć na Boga.

Będę wam powtarzał, iż Zosi i Stanisławowi od tej chwili świat przemienił się w oczach; że nie poznawali ani ścian izdebki, ani futuro; że serca ich grały jakąś nieziemską harmonią i że nie przypuszczali, ażeby byli ludzie szczęśliwsi od nich. Zrozumie to każdy, kto kochał, ale kto kochał nie po dzisiejszemu, nie tą zimną miłością, na jaką patrzymy w salonach, ale tą czystą, ognistą, może śmiesznią dla obojętnego widza, lecz drogą dla poety i prostego serca.

Na koniec po kilku sekretnych pożegnaniach kochanków, których wam opowiadać nie myślę ze względu, że i przy najlepszym wtajemniczeniu się w owe momenty nawet najdrobniejsza cząstka z owych przyjemności dla naszego użytku oddzielać się nie da i że moglibyśmy, kochani czytelnicy, wyjść jak ów bajkarz, u którego na każdej uczcie po brodzie ciecze, a nigdy w gębie nic.

Wyruszyli Żytkiewicz i młody Brzozowski w przeznaczoną drogę. A że w podróży przez stepy w owe czasy niebezpiecznie było występować strojno, więc zwykły ubiór zmienili na kozacki. Przywdziali żupany i barankowe czapki, flinty pozawieszali przez ramię, ponarzucali tatarskie burki, a do troków uwiązali torby z prowizją.

Tak jechali przez Medwedówkę, Subotowo, Czehryn, a trzeciego dnia byli już w stepach. Przejechawszy nową Serbię, skierowali się ku ujściom Bazawłuka⁹¹ i już stepami Kudackiej pałanki⁹² jechali do samej Siczy.

Zaporoże siedziało wówczas koszem przy rzece Podpilnej. Podczas podróży nie spotkał ich żaden wypadek, a chociaż spotykali tu i owdzie wałęsających się burlaków, to opowiadając się Małorusinami⁹³, żadnej nie spotykali przeszkody. Nie mieli wprawdzie przewodników ani pieniacza, ale też uboga ich odzież i liche szkapy nie nęciły nikogo na zdobycz.

Zatrzymawszy się u wrót Siczowej, nazwanych basztą, postrzegli nasi podróżni Kozaka, stojącego na straży ze spisą w rękę, a przed szafasem, tuż przy wrotach, siedziało jeszcze kilku z fajkami w ustach.

Żytkiewicz zatrzymał się we wrotach i uchyliwszy czapki, rzekł:

– Zdorow, Kozacze!⁹⁴

– Zdorow! – odpowiedział strażnik, mierząc ich spokojnym okiem.

– A gdzie wasz ataman basztowy?

– A tobie on na co?

– Żeby się opowiedzieć⁹⁵.

⁹¹ Bazawłuk (Buzułuk) – prawy dopływ Dniepru.

⁹² Kudacka pałanka – umocnienia z wału ziemnego i palisady dawnej twierdzy Kudak, położonej na prawym brzegu Dniepru, powyżej porohów.

⁹³ Opowiadać się Małorusinami – przedstawiać się jako Małorusini, Ukraińcy.

⁹⁴ Bądź zdrów, Kozacze!

⁹⁵ Opowiedzieć się – oznajmić o swoim przybyciu.

Kozak za całą odpowiedź spojrział na siedzących przy szałasie i jeden z nich, otyły, pleczysty Kozak, leżący na wołoku⁹⁶ przed drzwiami, w dobrze już wytartym żupanie, z ogoloną głową, na której czerniała wijąca się jak pręga czupryna, odezwał się, nie podnosząc z miejsca:

– *Oś win?*⁹⁷, no mów: czego ci trzeba?

Żytkiewicz zsiadł z konia i oddał go Stanisławowi, a sam, przystępując do atamana i powitawszy go, rzekł:

– A co, panie atamanie, jakby wasza łaska kazać mnie przeprowadzić do pana pisarza koszowego?⁹⁸

– A tyś co za ptaszek? – zapytał hetman.

– *At, tak sobie, siroma, taj hody!*⁹⁹ – rzekł Żytkiewicz. – Jak jadę, nie pytam o drogę, a przyjadę, zajeżdżam wprost we wrota. Jak zamierzę się, to i uderzę. Jak piję, to leje w gardło, nie za brodę. Na konia siadam od lewej strony i w dzień widzę jak w nocy.

– Fiu, fiu, nawizemy! – rzekł, śmiejąc się ataman. – To jakiś gębaty wyrodek. No więc, czegoż ci trzeba?

– Co za dziwo! – odparł Żytkiewicz. – Czy wy blekotu najedliście się, czy co? Zaprowadźcie mnie do pana pisarza koszowego.

– A na co on tobie?

– Ja to wiem na co.

– A nam nie powiesz?

– Ot, tak jak nie powiem! – rzekł Żytkiewicz. Nie mam coś ochoty, a przy tym gardło mi zaschło od wiatru i trzeba je pierwszej odwilżyć siwuchą¹⁰⁰.

– Jaremo! – zawołał ataman do Kozaka siedzącego opodal z fajeczką. – Odprowadź ich do pisarza, *tak niechaj im didko!*¹⁰¹.

Od wrót zaczynały się zabudowania Siczy. Był to plac duży, ostawiony dokoła budynkami różnej wielkości i szałasami z tarcic, trzciny lub wołoków. Każdy z tych większych budynków był miejscem zgromadzania się Kozaków, gdy dla ogólnych narad zazywani byli z pałanek¹⁰².

Ile kureni¹⁰³, tyle było domów. W szałasach zaś pomniejszych sprzedawano smołę, chleb, rzemień, ryby, wódkę i inne drobiazgi. W środku placu stała wysoka chorągiew

⁹⁶ *Wojłok* – filc gorszego gatunku, wytwarzany w wełny odpadowej i sierści.

⁹⁷ *Oto on.*

⁹⁸ *Pisarz koszowy* [w oryginale wielkimi literami] – urzędnik starszyny kozackiej.

⁹⁹ *Ja biedny człowiek, daj spokój.*

¹⁰⁰ *Siwucha* – wódka gorszego gatunku.

¹⁰¹ *Niech idzie w diabły.*

¹⁰² *Zazywać z pałanek* – wzywać z okręgów, z terenu.

¹⁰³ *Kureń* (z ukr. *курень*) – kozacki oddział pod wodzą atamana na Ukrainie Zaporoskiej; także: jednostka administracyjno-wojskowa Siczy Zaporoskiej.

z wyobrażeniem orła, a przy niej chodził sztyldwach¹⁰⁴ obok ustawionych szeregiem kotłów, za pomocą których zwoływano zebranych Kozaków dla narad lub wysłuchania rozkazów hetmańskich. Wnet za kureniami stały domki starszyny kozackiej, proste, niewielkie, różniące się od innych okiennicami pomalowanymi w rozmaite kolory. Gdy nasi podróżni zatrzymali się przed jednym z nich, który był mieszkaniem pisarza Artemy, przeprowadzający ich Kozak zdjął czapkę, położył ją na ziemi u progu, a sam wszedł do środka. Po chwili wyjrzał przez drzwi, kiwnął palcem na Żytkiewicza, a gdy ten wszedł do izby, tam go spotkał niski, krępy, o zawieszistym wąsie staruszek, w granatowym żupanie, litym opasany pasem.

– *Zdrow buw*, panie pisarzu! – rzekł Żytkiewicz, oddając pokłon i kładąc pałanicę na stole.

– *Zdrowo buw!* – odrzekł pisarz. – A co nam powiecie?

– Wszystko dobre.

– A po dobrym? Kto jesteś?

– Ja jestem szlachcic polski Onufry Żytkiewicz. Jadę ze Smielańszczyzny, a po co, to powie szczegółowiej ten oto papier – rzekł, dostając zza pazuchy pakiet i wręczając go pisarzowi.

– Szlachcic? A więc proszę waszmość siadać – odrzekł pisarz po polsku. – To od gubernatora Śmielańskiego – dodał, przeczytawszy adres. – Znamy się z nim, cóż on, zdrów?

– Zdrów i kazał się kłaniać panu pisarzowi najuniżeniej.

– Dziękujemy. Jakież macie interes?

– Przeczytacie, to się dowiecie.

– Waszmość nie znasz zapewne ustaw naszych, w przeciwnym razie wiedziałbyś, iż żaden papier nie może być czytany przeze mnie samego. Odniosę go do pana koszowego, tam przeczytamy i zrobimy, jak powie rada nasza.

– Nie wiedziałem tego i przepraszam – odrzekł Żytkiewicz. – Jaki już porządek macie przepisany, według tego postąpicie. Wy to już wiecie, a mnie do tego zaś. Moja rzecz zanieść prośbę i oddać pokłon.

I nareszcie odpowiedział szczegółowo, że przyjechał odszukać tu syna, jak się dowiedział od Mamaja, że on znajduje się na Siczy, a w końcu dodał:

– Panie pisarzu, Artemi Bazylewiczu! Jak to powiadają: *kruty, werty, a nikde prawdy dajty*¹⁰⁵. Wiemy przecie, choć nie mieszkamy z wami, że wasz tu rozum rządzi wszystkim i że bez waszej rady nic się nie robi. Dopomóżcie mi, a ojcem rodzonym nazywać was będę! – I to rzekłszy, pokłonił się mu znowu i wydobywszy zwitek karbowańców z zanadrza, położył go na stole.

¹⁰⁴ *Sztyldwach* – żołnierz stojący na warcie, wartownik.

¹⁰⁵ *Kręć, wierć, a prawdy nigdy nie mów*.

Pisarz potarł czuba i zaczął rozpytywać się o szczegółach najmniejszych, towarzyszących napadowi Mamaja na Moszny, a gdy się Żytkiewicz wypowiedział ze wszystkiego, rzekł nareszcie zdziwiony:

– I to już wszystko?

– A wszystko, więcej nie wiem – odpowiedział Żytkiewicz.

– Onwa, panie bracie, troszkę trudna sprawa. U nas trzydzieści osiem kureni, a każdy gdzieś w stepach lub na ostrowach, a chłopcy albo przy tabunach, albo zajmują się rybołówstwem, więc prędzej odzujesz igłę w wozie siana niż syna, nie wiedząc, w którym on liczy się kureniu.

– Wiem to dobrze, panie Artemi Bazylewicu – rzekł Żytkiewicz – że jak przyjdzie na mój głupi rozum, to nie dojdę ładu w niczym; a wy będziecie mi jak ojciec i radźcie.

Pisarz znowu potarł czuba.

– Obaczmy, obaczmy! – rzekł i namotując wąsy na palec, kazał sobie powtórzyć znowu szczegóły mogące rzucić pewne światło na rozwikłanie tajemnicy. – Już to prawdę mówiąc między nami – dodał na koniec cicho – my byśmy go odzuli i w suslej norze; ale nasi kurenni atamany¹⁰⁶ jak gadziny sykają nam w oczy za to, że Kozaków wydajemy z Kosza. Idźcie sobie z Bogiem i przenocujcie tu w którymkolwiek kureniu albo u znajomego, jeżeli macie, tylkoż nic nie mówcie, po co przyjechaliście, a jutro rano stawcie się przed koszowym.

Żytkiewicz dopytał się do znanego sobie Kozaka – Proskurki, który kiedyś w Smile handlował smołą, a teraz osiadł w Siczy i założył kram drobiazgow, i przenocowawszy u niego, rano stawił się przed koszowym.

Mieszkanie Koszowego nie różniło się niczym z powierzchowności od domów innej starszyny, wyjąwszy świetlicy, która przyozdobiona była w obrazy i kobierce.

Przed stajenką stało kilkanaście osiodłanych koni, uwiązanych do pik wetkniętych w ziemię i tyłuż Kozaków, w rozmaitych położeniach, siedziało lub leżało przy nich. Przed samymi zaś drzwiami Koszowego domu jakiś podeszłego wieku Kozak, w żółtych butach, bez zwierzchniej odzieży, umywał się, parszcząc silnie w dłoń, na które mu Tatarczuk lał wodę z ogromnego naczynia.

– Zdorowo Kozacze! – rzekł Żytkiewicz. – *A czy doma bat'ko?*¹⁰⁷

Stary Kozak łypnął oczyma i ocierając wąsy, zapytał:

– A czego ci trzeba?

– Interes mam do pana koszowego. Powiedzcie, że chcę się z nim widzieć.

– A ty skąd?

– Ze Śmiły.

¹⁰⁶ *Ataman kurenni* – dowódca kozackiego oddziału i kurenia (jednostki podziału administracyjnego) na Ukrainie Zaporoskiej.

¹⁰⁷ *Czy ojczulek w domu?* (w tym kontekście *bat'ko* oznacza nie ojca, lecz atamana).

– Aaa... zaczekaj trochę, stary – powiedział Kozak, obcierając się ręcznikiem i huknął do stajennych Kozaków:

– Hej, Kozaki! A poproście tu pana wojskowego sędziego, pana pisarza i asaule¹⁰⁸.

I to powiedziawszy, wszedł do izby, a gdy po chwili Żytkiewicza wezwano do środka, postrzegł on nie bez zdziwienia, iż Kozak, z którym rozmawiał przede drzwiami, był ten sam koszowy ataman, który już siedział na ławie za stołem, w żupanie, podpasany bogatym polskim paskiem.

Żytkiewicz, znajomy obrzędów powitania, najsamprzód przeżegnał się ku obrazom, następnie położył palanicę na stole i rzekł:

– *Zdorowo buw, panie atamanie!*¹⁰⁹ Kłaniam się wam z chlebem i solą.

– *Spasybi z wami zdrowemi!*¹¹⁰ Siadajcież – odpowiedział koszowy. Gdy Żytkiewicz chciał opowiedzieć interes, z którym przybył – koszowy mu przerwał, mówiąc:

– Opowiecie nam wszystkim, jak zbierze się starszyzna na radę – a tymczasem rozpytywał o gubernatorze Śmielańskim i napadzie Mamaja.

– Ja wiem – rzekł na koniec – że pan Dobrzański musi tam psy wieszać na nas za tych przeklętych hajdamaków; ale żeby mi tak Pan Bóg pozwolił doczekać jutra, jak prawdę mówię, że my ich tu ciągle karzemy za te napady. Ale cóż poradzicie? Nie ma, jak to powiadają, *rodu bez wyrodu!*¹¹¹. Kozaków u nas dużo, a między nimi są takie szalone głowy, że jak im nie ma zabawki z Tatarami, to ich czart ciągnie na rabunek.

Wtem wszedł sędzia, wojskowy pisarz i asaule. Powitawszy się z koszowym i pokłoniwszy się Żytkiewiczowi, zasiedli oni ławę i koszowy, wręczając list gubernatorski pisarzowi, zapytał:

– A co tam, panie Artemi Bazylewiczu, pisze do nas pan gubernator Śmielański? Pisarz rozwinął papier i cały list przeczytał.

– Cóż zrobimy, panowie bracia? – rzekł znowu koszowy.

I tu zaczęły się różne rady i wnioski, z których mógł wnioskować Żytkiewicz, że koszowy trzymał się na uboczu, w miarę jak sędzia i asaule starali się przekonać Żytkiewicza, iż odszukanie syna jego jest dziś niepodobieństwem. Postrzegł nawet Żytkiewicz, iż asaule nieprzyjaznym okiem spoglądał zawsze na niego i w końcu nawet rozkrzyczał się na pogranicznych gubernatorów polskich, że ich zasyłają rekwizycjami¹¹² i stąd tylko wywołują na nich oburzenie Kozaków.

– Co my winni – wołał – że nam ciągle nie dajecie spokoju? Już nieraz odpowiadaliśmy wam, że hajdamaki nie należą do nas. Jak ich wieszacie i na pale wbijacie

¹⁰⁸ *Asaule (esaul, asaule)* – oficer mający taki stopień; zastępca atamana koszowego u Kozaków zaporoskich.

¹⁰⁹ *Zdrowia wam życzę, atamanie!*

¹¹⁰ *Dziękuję, I ja wam życzę zdrowia.*

¹¹¹ *Nie ma rodziny bez wyrodków.*

¹¹² *Zasyłać rekwizycjami* – notorycznie wysyłać żądania pomocy lub poparcia.

po drogach, to nie pytacie nas, czy można. A jak okradną kogo z Lachów albo spalą karczmę, to zaraz z rekwizycją do nas? Cóż to, czy Kosz nasz pokrywa ich, czy targuje z nimi na grosz jeden? Niedawno pan Suchodolski z Łysianki pisał do nas, żebyśmy mu powrócili pokradzioną u niego bieliznę. Alboż to Kosz przechowuje, co oni nakradną? A potem Kozacy nasi krzyczą na nas, że wydajemy swoich i przetrząsamy ich pałanki. I w tym na przykład zdarzeniu: gdzież my znajdziemy twego syna? Czy jeden u nas kureń? Czy tylko dziesiętek Kozaków? Że Mamaj powiedział, to już ma być prawda, już trzeba przetrząść stepy od Kalmiusu¹¹³ aż do Bugu? Co to za napaść taka!!

Sędzia dodał:

– Pan gubernator grzecznie pisze, ale krzywdzi nas zawsze, bo liczy nas za jedno z Mamajem. Jeśli ten hajdamaka powiedział, że wie o twoim synu, to jeszcze nie dowód, żebyśmy także wiedzieli o nim.

I wszyscy rozdałali się, nachmurzyli czoła, skarżyli się na gubernatorów i łajali hajdamaków. Już Żytkiewicz chciał im powiedzieć słowa prawdy, widząc, jak zły obrót bierze jego prośba i kłął w duchu pisarza, że siedzi jakoby wody nabrał do gęby, gdy wtem, po uciszeniu chwilowym, rzekł pisarz:

– Panowie bracia, wszystko to prawda, co mówicie, i nie może nam być przyjemnie, że nas w Polsce posądzają o jedno z łotrami, którzy żyją krzywdą cudzą. Wszakże trzeba być sprawiedliwym, a wtedy przyznamy, że cała wina spadnie na hajdamaków. Za cóż oni w Polsce publicznie na rynkach nazywają siebie Zaporozcami? Za cóż Mamaj namawia lud na Zaporozie? Czy Kosz upoważnił go do tego? My wiemy, że nie, ale jakże mogą wiedzieć o tym w Polsce? A jeśli będziemy jeszcze odprawiać z niczym tych, którzy naszej proszą opieki, nie sprawdzimyż tych domysłów, że trzymamy ze złodziejami za jedno? Ale prośba pana Żytkiewicza jeszcze ważniejszej treści. On nie przychodzi do nas z wymówkami, nie chce odbierać kozackiego dobytku, on, biedny siroma, prosi nas ze łzami, ażebyśmy mu pomogli wynaleźć jego syna. On szuka go serdeczny wszędzie, gdzie coś o nim zasłyszeli i niech mu powiedzą, że syn jego w niewoli krymskiej, on i tam poniesie starą głowę, bodajby sam miał nie powrócić więcej. Za cóż my jego, panowie bracia, krzywdzić będziemy? Za cóż go wypchniemy z niczym, ażeby za progiem płakał na nas krwawymi łzami? Będzie to po Bożemu, po chrześcijańsku? A jeśliby i odszukał syna, czyż to on z naszego towarzystwa pójdzie na szubienicę? Czy zgubimy przez to czyj żywot? Bynajmniej! Pocieszymy na starość tego starego, że do końca życia modlić się za nas będzie.

To odezwanie się pisarza wpłynęło stanowczo na zdanie rady. Koszowy nasamprzód odezwał się:

¹¹³ *Kalmius* (*Kalmius*) – rzeka na Ukrainie, wpada do Morza Azowskiego.

– Ehe, ehe, tak będzie do ładu po Bożemu; trzeba pomóc staremu. Jeśli syn pana Żytkiewicza jest u nas, to on pewnie w szczyrbiniowskim kureniu¹¹⁴. Napiszcież, panie pisarzu, do kurennego atamana, żeby rozpytał się starych Kozaków o tym Laszku i jeśli się znajdzie, niech go przyśle natychmiast do Kosza. A wy tymczasem, panie Żytkiewiczu, zabawcie u nas w Siczy do jutra.

Ze łzami w oczach dziękował stary za ich pomoc, a najbardziej pisarzowi.

Wnet posłano Kozaka z rozkazem do szczyrbiniowskiego atamana, a gdy nazajutrz stawił się przed koszowym Żytkiewiczem, ten go spotkał tymi słowami:

– No, panie Żytkiewiczu, zguba twoja odszukała się, ale nowa zdarzyła się karluczka¹¹⁵. Nie będziesz ty, podobno, miał z niego pociechy. Puścił się on na ladaco – pisze kurenni, że właśnie przed dwoma dniami złapał dwóch Zaporozców, którzy przed rokiem jeszcze, bez pozwolenia wyszli z pałanki i, jak zeznali, grabili w Polsce z bandą Mamaja. Otóż, panie Żytkiewiczu, jeden z tych hultajów nazywa się Paweł Lach, ma znak rodzinny na prawym ręku zupełnie taki, o jakim zaświadcza nam pan Dobrzański i według zeznania starych Kozaków istotnie był przyprowadzony przez kramarza zaporoskiego Kuźmę Rosomachę ze Śmiły. Tu on go ochrzcił i trzymał do lat osiemnastu przy tabunach w kulmińskiej pałance, a przed dwoma laty wpisał do rejestru szczyrbiniowskich Kozaków.

– Cóż teraz będzie? – zapytał blady i drżący starzec.

– Ha, co rada powie, mój hołubczyku! – odpowiedział koszowy.

A działo się to na dziedzińcu przed domem koszowego.

Wkrótce przyszedli znowu ciż sami ze starszyny i szeregiem usiedli na przyzbie. Żytkiewicz usiadł opodal i ukrywając twarz w obie dłonie, ledwie mógł powstrzymać się od płaczu. Wtem stawiono przed starszynyą zbiegów. Byli to dwaj silnej budowy Kozacy, ogorzali, zarośli, z wyrazem twarzy dzikim, o długich czuprynach, boso i za całą odzież mieli brudne, całe w szmatach szarawary i koszule. Ręce ich były związane na tył, a końce od powrozów trzymał strażnica, stojący obok nich z pikami i nahajkami.

Koszowy zapytał:

– Który z was Paweł Lach?

– Ja – odpowiedział jeden i spojrzawszy spod łba na koszowego.

– A czego ty, bratiku, uciekł z kurenia?

– *Ot, tak, uciekłem, taj hody!*¹¹⁶ – burknął więzień.

– A gdzie ciebie didko nosił?

– Już gdzie nosił, to nosił, a teraz mnie tam nie ma, gdzie byłem.

¹¹⁴ *Szczyrbiniowski kureń* – kureń nad rzeką Krzywy Torc, w dawn. guberni ekaterynosławskiej.

¹¹⁵ *Karluczka* (ukr. *карлущка*) – przen. przeszkoda.

¹¹⁶ *Ot tak uciekłem, daj spokój!*

– O, suczyj synu! Jaż ciebie nauczę! A co, panowie bracia – dodał, zwracając się do sędziego i innych – jak wy sądzicie?

I po chwili narady odbytej półgłosem, gdy sprawdziły się badania o tożsamości więźnia, Koszowy rzekł:

– Panie Żytkiewiczu, przystąpcie tu bliżej. Znalazła się twoja zguba, bierz sobie jego *k czortu!*¹¹⁷ Choć on wasz syn, ale nie warto było jechać po niego tak daleko. Dajże mu pamiętnego¹¹⁸ i od siebie, i od nas.

– A on, zbliż się, bratiku – dodał, zwracając się do więźnia. – Widzisz tego Lacha, to twój ojciec. Pokłońże jemu się i het, precz z Siczy, żeby tu i kruk nie zaniósł twoich kości, bo jeśli wpadniesz drugi raz w nasze ręce, to źle będzie.

Biedny Żytkiewicz spodziewał się, iż w tej przynajmniej chwili obudzone uczucia synowskie i widok ojca wzruszą w nim serce i on mu padnie do nóg, ze łzami żebząc przebaczenia, obiecując poprawę; ale więzień nie ruszał się z miejsca i bezdusznym okiem strzelał po wszystkich jak złapany suseł.

– Durniu, ty durniu! – odezwał się Koszowy. – Pokłońże się ojcu, wszak to twój ojciec?

– Kto, ten Lach? – zapytał zimno hajdamaka.

– Ten sam, Żytkiewicz.

– Niechaj jemu czart! – burknął więzień.

Na te słowa oburzyli się wszyscy i Koszowy błysnął gniewnym okiem.

– Onwa, bratiku, to ty taki? Myż ciebie nauczymy i posłusznego oddamy w ręce ojcowskie.

Wnet powstali wszyscy i zabierając laski, mówili do Koszowego:

– Bywajcie zdrowi, a nie zapominajcie o nas.

Pisarz, odchodząc, wziął za rękę Żytkiewicza i pociągnawszy za sobą, szepnął:

– Chodźcie do mnie, panie Żytkiewiczu! Nam tu nie ma czego pozostawać dłużej; da mu ład nasz ataman. A wy, panie asaulo, przyślijcie potem tego Laszka do mnie.

Żytkiewicz zgryziony, sam nie wiedząc, co robi, powłókł się za pisarzem.

Skoro oddalili się wszyscy, Koszowy huknął:

– Stróże, a no kijów!

Na ten rozkaz stanęło kilku oprawców, a każdy z pękiem prętów łozowych.

Koszowy rzekł:

– A teraz połów się bratku; my tu ciebie nauczymy, jak to ty powinien słuchać starszych i szanować ojca.

– Wola wasza – odrzekł hajdamaka i ponaglany przez Kozaków położył się na ziemi.

¹¹⁷ Znalazła się twoja zguba, bierz ją sobie do diabła.

¹¹⁸ Dajże mu na opamiętanie.

Stróże usiedli po dwóch na głowie i nogach, a dwaj inni zaczęli go smagać prętami.

Paweł oparł się na łokciach i zacisnąwszy zęby, zniósł cierpliwie pięćdziesiąt kijów, nie wydawszy najmniejszego jęku.

– A co, będziesz teraz posłuszny? – zapytał ataman.

– Nie będę; wola wasza!

– A, taki ty, dajcież mu jeszcze!

Po dwudziestu pięciu zapytał znowu:

– A będziesz?

– Nie będę!

– A no, chłopcy, jeszcze zadajcie mu żaru, tylko dobrego!

Gdy wyliczono sto, plecy więźnia pokryły się krwią, oblicze zaczęło blednąć i rzekł:

– Poczekaście, nie bijcie; zmiłuj się bat'ku, atamanie, tateczku mój, holubczyku!

– A będziesz szanować starszych?

– Będę...

– I słuchać ojca?

– Będę...

– Ot, tak należało z początku, wraży synu! – rzekł kozowy. – Teraz odprowadźcie go do Lacha, oddajcie mu na ręce i powiedzcie panu pisarzowi, ażeby wziął kwit, że go oddano z Kosza.

Gdy stanęli przed mieszkaniem pisarza, Żytkiewicz siedział na przyzbie z głową spuszczoną, smutny, zamyślony. Kozacy opowiedzieli się przed nim i stary spojrzawszy na zbójceją postać syna, załamał ręce i łzy mu potoczyły się gradem.

– O, synu mój! – zawołał boleśnie. – Takiejże to spodziewałem się z ciebie pociechy!

– Milcz, tatu – burknął hajdamaka – będę już słuchał, tylko mi nie ćwirkać nad uszami i powiedz, niech nie trzymają jak psa na smyczy.

Tak dzikie obejście się hajdamaki wobec rozrzewniających cierpień starca wzruszyło straż nawet.

– Pokłoń się ojcu, ucałuj mu rękę – szeptali Kozacy, przynaglając go szturchańcami.

Paweł oglądał się, potem zbliżył się do Żytkiewicza i cmoknął go w rękę; ale w tym ruchu i powitaniu nie było śladu synowskiego uczucia.

– A co, tatu – rzekł po chwili – może pojedziemy?

– Dobrze, pojedziemy... – odrzekł machinalnie stary i wlepiwszy weń wzrok rozpaczliwy, znowu załamał ręce i zapłakał.

– O, synu mój! – zawołał. – Jakże ty zaprzepąciłeś swoją młodość! Wyrosłeś jak dzikie bydlę bez wiary, bez serca. I tuż są ludzie, mój synu, co pamiętają o Bogu

i chodzą do cerkwi. Czemuż ich nie naśladowałeś? Czemu nie mówiłeś pacierza i nie żyłeś uczciwie? Alboż myślisz, że Bóg pozwala rżnąć ludzi i zabierać im ich krwawicę? Alboż nie odpowiesz za każdą kroplę krwi i łez na strasznym sądzie Jego? I cóż stąd, że cię znalazłem i zabiorę z sobą? Ja nie hajdamaka, mój synu, i życie u nas nie hajdamackie. My modlitwą a pracą dorabiamy się kawałka chleba, a nie krzywdą ludzką. Jakże ja ciebie pokażę między ludźmi? Jakże pochwalę się tobą? Widzisz teraz na sobie, mój synu, że krzywdą ludzką nie bogaci się człowiek. Rozbijałeś i kradłeś, a nie mogłeś pokryć przed światem brzydkiej nagości ciała swego – i tylko duszę zaprzepaściłeś na wieki!...

Paweł milczał, wysłuchał słów ojca, zerkał tylko jak wilk lub spode łba, patrzył na Żytkiewicza.

Stary wpatrzył się w to ogorzałe oblicze i jakby czekał, jakby prosił o łzę z tych kamiennych oczu, co by mu odwilżyła piersi, lecz oprócz zimnej obojętności i bezdusznej jakiejś głupoty nie dostrzegł w niej żadnego wzruszenia.

– I jakże, synu, będzie? – rzekł z westchnieniem.

– Pojedziemy – odbąknął hajdamaka. – A jeśli masz, Lasze, pieniądze, to kup mi siodło i konia, bo u mnie, do czarta, nie ma ani grosza!

– Lasze?... – powtórzył Żytkiewicz z boleścią. – Czyż nie masz w swym sercu drugiego dla mnie nazwiska?

– Zapomniałem... – niech mnie diabli wezmą, zapomniałem... – wybaczenie, tatu! Tylko nie chmurzcie się i dajcie choć grzywnę na gorzałkę... Biesowe syny tak mnie wyparzyli, że świerzbią całe plecy.

Stary Żytkiewicz o mało nie skończył z rozpaczą i nie wiedział, co począć. Serce się wzdrygało na samą myśl, że takiego łotra przywiezie do domu i pokaże matce, jakiego ma syna, i córce, jakiego ma brata!... Jego zwierzęca dzikość i zupełna zatwardziałość uczuć dawały słabą nadzieję, ażeby je można było choćby w późniejszym czasie oświecić i uszlachetnić. I Stanisław nie wiedział, jak ma radzić. Bolał więc w milczeniu, patrząc na cierpienia ojca, a przewidując może okropniejsze... Pisarz kiwał głową i mówił:

– Szkoda, panie Żytkiewicz! Nie będziesz miał z niego pociechy, nie przyswoisz tego wilczka, bo on zaprawił już się na ścierwie¹¹⁹.

Ale nie było nad czym rozmyślać długo i Żytkiewicz zmartwiony musiał zabrać z sobą odszukanego syna. Kupił dlań konia z rzędem, sprawił przywoitszą odzież i nazajutrz, opatrzony świadectwem koszowego – wyjechał z Siczy. Przez cały dzień pierwszy i następny Paweł zdawał się być posłuszny, chociaż był ponury i milczący. Niechętnie jechał razem, lecz albo wyprzedzał Żytkiewicza i Stanisława, albo zostawał

¹¹⁹ Rozsmakował się w grabieży i rozbojach.

w tyle. Przed wieczorem zatrzymali się nasi podróżni przy jednej ziemiance w stepie, żeby dać wytchnąć koniom. Paweł poskrobał głowę i rzekł:

– Tatu, daj mnie pieniędzy.

– Na co?

– Kupię wódki.

– Wypij sobie czarkę, ale więcej nie trzeba.

– Co, czarka? Głupstwo – mruknął Paweł. – Nie chcę i ust paskudzić!

I gniewny usiadł na przyźbie. Ojciec udał, że nie zważa na gniew jego i wytchnąwszy chwilkę, puścił się ze Stanisławem w dalszą drogę. Paweł zaczął przesiodływać konia i pozostał.

Ile razy obejrzeni się, widzieli, że Paweł stał przed szynkiem. Ale wkrótce i Paweł, i ziemianka znikli im z oczu, następował zmrok, a Pawła nie było.

Co tu począć? – Wracać po niego? Daleko. Zostawić? – Nie wypada. Postanowili więc zatrzymać się na nocleg w jarze, do którego przybyli. Już późno zleciał Paweł na zziąanej szkapie, hajdamackie wyśpiewując dumy. Zapytany o przyczynę opóźnienia się, odbąknął hardo, nasadził biesów i czortów i miotając się z koniem, okładając go nahajem, do późnej nocy spać im nie dał. Gdy podczas rozmowy zbliżył się do Żytkiewicza, wódkę mu z ust czuć było i biedny ojciec przekonał się wkrótce, że Paweł był pijany. Nic mu wszakże nie powiedział, ale nazajutrz postrzegł na nim czapkę starą i wytartą zamiast nowej, którą mu sprawił w Siczy. Wtenczas wymówił mu zamianę, lecz Paweł, nie tłumacząc się, pozostał sam znowu i zasępiiony jechał opodal za nimi przez dzień cały. Ale, jakkolwiek bądź, jechali już bez przygody i trzeciego dnia stanęli na popas w ziemiance pod lasem Czuta¹²⁰. Był to las duży, leżący już w granicach nowej Serbii, skąd mil dziesięć najwięcej było do Śmiły. Stary, ślepy na jedno oko Serb szynkował¹²¹ gorzałką i był jedyną żyjącą tu istotą. Izba, do której weszli nasi podróżni, była niska, ciemna, bez zedla¹²² i stołu. Wiązka siana, rzucona w jednym jej kącie, stanowiła łożo szynkarza. Żytkiewicz, znający dobrze niebezpieczeństwo miejsc tutejszych, chciał wyminąć tę karczemkę i popasać nad brzegiem Ingułu; ale Paweł uparł się i tłumacząc, że koń jego zmęczony, pozostał. Jednooki Serb zaczął się przypatrywać wszystkimi, ale najciekawsze spojrzenia ciskać na Pawła. Chrząkał, kaszlał, krzątał się tu i ówdzie, a tymczasem otarł się niby nie chcąc o niego i bąknął kilka niezrozumiałych wyrazów, na które Paweł równie nieznanymi odbełkotał. Po chwili Serb wyszedł na podwórze, nasunął czapkę i podniósł rękę do góry, jakby machnął nią na kogoś. Wtem od lasu pokazali się jacyś trzej ludzie – weszli do izby – poukładali się na sianie, dobyli

¹²⁰ *Las Czuta* – las położony wzdłuż rzeki Czuta w dawn. powiecie czehryńskim.

¹²¹ *Szynkować* – przestarzałe: sprzedawać napoje alkoholowe.

¹²² *Zedel* (*zydel*) – stołek, ławka.

z kieszeni lulki¹²³ na króciutkich cybuszkach i zapaliwszy je, śledzili w milczeniu każdy ruch podróżnych. Potem zaczęli rozmawiać z szynkarzem po serbsku czy po mołdawsku, wychodzili po kolei na podwórze, opatrywali konie naszych podróżnych i powracając, znowu kładli się na sianie. Paweł nie mieszał się do rozmowy, ale w tak niezręczny sposób udawał, że ich nie zna, iż postępowaniem swoim tym bardziej sprawdzał podejrzenia. Żytkiewicz więc mrugnął na Stanisława; gdy obaj wyszli do sieni, rzekł mu:

– To jacyś podejrzani, szelmy!

– To hajdamaki – odpowiedział Stanisław. – Trzeba nam mieć się na ostrożności.

A Pawełek, zdaje mi się, zna się z nimi doskonale.

– Bóg wie, co mówisz! – odrzekł Żytkiewicz. – Przecież nie rozmawia z nimi.

Tymczasem Stanisław przyłożył oko do szpary i po chwili skinął na Żytkiewicza, ażeby się zbliżył – i widzieli obaj, jak Paweł, korzystając z ich nieobecności, wychylał czarękę po czarce podawane mu przez owych włóczęgów i opowiadał im o czymś prędko i po cichu, a na koniec położył palec na ustach, jakby nakazując wszystkim głębokie milczenie.

Żytkiewicz zamyślił się i osnuwszy w myśli jakiś projekt, powrócił do izby niby wesoły, wdał się w gawędę z włóczęgami, rozpytywał ich o drogę, wymówił się niby nie chcąc, którędy ma jechać, gdzie nocować zamierza, i nie tracąc czasu, puścił się w drogę. Paweł, przedtem ponury i małomówny, stał się teraz rozmowny i wesoły; ale gdy ubiegli mil parę, Żytkiewicz wstrzymał się nagle na rozdrożu i patrząc pilnie w oczy Pawełkowi, rzekł:

– Rozmyśliłem się, synu, już nie pojedę prosto, ale weźmiemy się na lewo, na Cybulów¹²⁴.

Pawełek zmierzył ojca dużymi oczyma i zaczął wmawiać, że to zwrot niepotrzebny, że tamte szlaki pełne są hajdamaków i Czuta dla podróżnych nigdy nie była bezpieczną, odkąd Mamaj przesiadywał tam zaczął. Ale gdy widział, że stary namówić się nie daje, pogroził jakby na pewno, dodając, że o grożącym im niebezpieczeństwie dowiedział się od owych hultajów, którzy byli w karczmie.

Żytkiewicz kiwał głową, pokręcał węża i z udanym śmiechem, jakby lekceważąc te strachy, rzekł:

– Co będzie, to będzie, a będzie tak, jak Pan Bóg da. – Wstydz się, synu, bać się jak dziecko – Takiz to z ciebie Kozak! – Nie pierwszy raz będę z nimi krzesał szable, a wy także nie ułomki, Bogu dzięki. Takich jak my trzech zuchów opędzimy się od dziesięciu i jeszcze nakarbijemy im plecy. Po czym zaciął konia i puścił się ze Stanisławem przyśpieszonym kłusem.

¹²³ *Lulka* – fajka.

¹²⁴ *Cybulów* – miasteczko w dawn. powiecie lipowieckim.

Zdziwiony Pawełek stał długo na rozdrożu, nareszcie splunął i rzekł:

– Ot, biesowe Lachy! – Ale to jak czart ich napadł.

– Gdzież ty, tatu, nocować myślisz? – zapytał, dognawszy Żytkiewicza.

– Na ziemi, przeciwko nieba.

Paweł, jakby domyślając się, iż obudził nieufność względem siebie, spojrzął w oczy Żytkiewiczowi i rzekł:

– Ty może, tatu, myślisz, że zmówiłem się uciec z hajdamakami albo co? – Ot, żebym poczerniał jak ta ziemia, żebym jutra nie doczekał, żeby mnie Krzyż Święty pobił, jeśli mam jaką złą dumkę¹²⁵ w sercu. A wszak, żebym chciał uciec, tobym uciekł, kiedy zechcę, jak wy śpicie albo jak zostałem się w karczmie.

Ale Żytkiewicz oświadczył, że nigdy go nie podejrzewał o ucieczkę, tymczasem zaś człapał w raz powziętym kierunku. Tak ubiegli ścieżkami mil ze dwie i o zachodzie stanęli nad Ingułem. Przeciwko nich widniał las czarny z prawej strony Czuta, a na jarze zieleniały ługi, długie taśmy oczeretów¹²⁶ i tu i owdzie przebłyskały stawy. Żytkiewicz skierował się bez drogi w jar głęboki i o kilkaset sążni od rzeki, w kotlinie pokrytej burzanem, zatrzymał się na nocleg. Gdy rozsiodłano konie i przyszła pora ich napojenia, Paweł zebrał je wszystkie i chciał prowadzić do Ingułu, ale Żytkiewicz powiedział:

– Zostań, synu, przy siodłach, a ja je napoję ze Stanisławem.

Paweł już nie powstrzymał się w gniewie, zaczął wymawiać, że mu nie ufają, że go mają za wroga, że on powędruje, gdzie oczy poniosą, jeśli tak ojciec postępować z nim będzie. Nareszcie usiadł po tatarsku na ziemi, zapalił fajkę i milczał.

Ale gdy go zostawiono samego, nagle mu oczy zaiskrzyły się jak węgle, podniósł głowę i w sprężystym susie jak zwierzę skoczył do siodła Żytkiewicza. Tam wy dobył z sakiew flaszę z gorzałką, drugą z własnej kieszeni, przekroił bochenek chleba, wydrążył jedną połowę z miękiszy i za pomocą tego prostego narzędzia przelał gorzałkę swoją do flaszki Żytkiewicza, a tamtą do swojej. Po czym znowu usiadł na stronie i przez cały wieczór nie odezwał się ani słoweczka, nie wstał do czarki i wieszery, ale pościeliwszy derę, nakrył się burką i zachrapał. Żytkiewicz tymczasem mówił pacierz. Stanisław popętał konie i puścił je na paszę. I wkrótce obaj zasnęli snem twardym.

Gdy Żytkiewicz obudził się nazajutrz, już słońce świeciło nad głową i południowymi promieniami paliło go niemiłosiernie. Porwał się więc na nogi przerażony i żegnając się, krzyknął:

– Jezus, Maria! Czyż to doprawdy już południe? Cóż to się stało, żem spał tak twardo i długo? Budzi więc Stanisława, ale dobudzić się nie może. Bieży do Pawła, ale nie ma Pawła ani koni. Ogląda się dokoła i widzi, że nie ma ani burek, ani siodła.

¹²⁵ *Dumka* – zamysł, plan.

¹²⁶ *Oczerety* – nadbrzeżne zarośla.

Szuka na piersiach skórzanego hamańca¹²⁷, gdzie miał pieniądze, ale i tego nie znajduje. Poznaje nareszcie, że Paweł ich okradł ledwie nie do koszuli.

Natenczas Żytkiewicz wznioł oczy zalane łzami i zawołał:

– O, Boże! Jakże mnie srodze karzesz. Syn mnie własny okradł, a czemuż nie zabił!

Potem padł na ziemię i płakał jak dziecko. Jego łkania obudziły Stanisława, który nie mniejszą przejęty został boleścią, poznając, co zaszło.

Widocznie Paweł podsunął im zręcznie wódkę zaprawioną usypiającym zieleń, jakowy¹²⁸ sposób był często praktykowany przez hajdamaków.

Stanisław cieszył¹²⁹ jak mógł starego, ale Żytkiewicz wciąż płakał i mówił:

– Oj, daj mi pokój, chłopcze! Nie ma już dla mnie pociechy w tym życiu! U ludzi dzieci są pociechą na starość, u mnie syn mój jedyny, wyrodek, hajdamaka.

Gdy się spłakał stary i łzy ulżyły mu boleści, nagle potem powstał, jakoby się opamiętał, i rzekł mocnym głosem:

– No, Stasiu, dokożakowaliśmy się, nie ma co mówić! Jedźmy teraz na ojcowskich koniach.

Przeżegnał się.

– Boże! W imię Twoje! Błogosław nas, Panie! A ty, synu – dodał grzmiącym głosem, obracając się ku stepom i podnosząc rękę, jakby przemawiał do pustyni – oby cię Bóg tak zasmucił, jak ty mnie zasmuciłeś. Oby cię odepchnął od swego łona i występna głowa twoja nigdzie nie znalazła spokoju! Nie mam syna, nie mam! Oby Bóg też same słowa powtórzył na strasznym sądzie swoim! No, chodźmy teraz Stasiu, chodźmy! – dodał. – Teraz mi lżej na sercu! Teraz nie mam syna i nie boję się rozboju.

I oblicze jego przybrało wyraz zupełnej obojętności. Stanisław tak był przerażony tą chwilą, iż słowa rzec nie śmiał. Stary nałożył fajkę, jedyny sprzęt, jaki mu pozostał w kieszeni, skrzesał ognia, zapalił ją i brnąc przez burzany, zaczął obojętną o czymś rozmowę, jakby żaden nie spotkał ich przypadek.

Nie będziemy powtarzali szczegółowo, jaką boleścią przejęci byli wszyscy w furtorze Brzozowskiego, gdy im Żytkiewicz i Stanisław opowiedzieli wypadki swej podróży; nie będziemy też opisywać tych chwil szczęśliwych, których potem kosztowali kochankowie osłonięni wiosną, lasami i samotnością.

Domyślicie się zapewne, iż Stanisław nie mógł znieść dłużej nad dni kilka niepewności, co do wyroku o jego losie, i upatrzwszy chwilę, padł do nóg rodziców Zosi, prosząc ze łzami o jej rękę.

Stary Żytkiewicz tak go pokochał, iż wysłuchawszy jego prośby, przywołał córkę i oddając mu ją, powiedział:

¹²⁷ *Hamańec* – ukraiński woreczek na pieniądze.

¹²⁸ *Jakowy* – jaki to.

¹²⁹ *Cieszyć* – pocieszać.

– Wiem, że się kochacie, moje dzieci. Oddaję ci, Stasiu, mój jedyny skarb, jaki mi pozostał na świecie. Kochaj i szanuj ją, chłopcze, bo to pocziwe dziecko... A ja już stary, jak tam da Pan Bóg, dochyrlam¹³⁰ do grobu sam jeden...

– Zastąpię ci syna, najdroższy ojcze – wołał Stanisław – i nie opuścimy cię do śmierci!

– Dziękuję ci, Stasiu! Dziękuję! – mówił drżącym głosem Żytkiewicz. – Durz¹³¹ mnie chłopcze, durz mnie starego, jak czasem zrobi się mi ciężko na sercu... a Bóg ci zapłaci za twą dobroć!

Po kilku tygodniach odbył się ślub młodej pary w śmielańskim kościółku, gdzie obowiązki służbowe powoływały młodego Brzozowskiego.

Stanisławostwo, obliczywszy swe szlacheckie fortunki i zapewniwszy się, że w połączeniu posiadają piękną sumkę, za którą mogą otrzymać na zastawie prawie wioskę z humańskiego klucza¹³², zaczęli o to starać się u Potockiego¹³³ i magnat ten, posiadający je secinami¹³⁴ w jednej z najżyźniejszych okolic Ukrainy, ustąpił jedną z nich na imię Stanisława Brzozowskiego.

Tam się przenieśli młodzi Brzozowscy i zapomnieli już myśleć o Mamaju, przekonani będąc, że zapomniał o pogroźce, którą mu spełnić nie było łatwo, zwłaszcza w Humańszczyźnie, gdzie milicja czujnie strzegła granic. Gdy wtem razu jednego, przed rocznym humańskim jarmarkiem na św. Piotra, odebrał Brzozowski list przez umyślnego¹³⁵ od namiestnika narodowej kawalerii – Witosławskiego, zawiadamiający go, że Mamaj, podzieliwszy się na małe bandy, wałęsa się z jedną taką bandą po okolicznych lasach i że dotropił on do cieplickich lasów¹³⁶, skąd zapewne pociągnie na Granów¹³⁷. Żądał więc, ażeby mieć się na ostrożności i uzbroić Kozaków.

Brzozowski natychmiast uzbroił dwudziestu czterech ludzi, porozstawiał strażę przy kołowrotach i często podczas nocy z kilkunastu Kozakami dosiadłszy konia, wałęsał się po okolicznych szlakach.

Powracając raz do domu z takiej wycieczki, postrzegł on przy blasku księżyca, iż postać jakaś zamajaczyła przed nim na drodze i wskoczyła w żyto, rosnące bujnie po obu jej stronach. Skoczono tamtędy i wytropiono chłopca lat szesnastu, w którym, ku wielkiemu zdziwieniu Brzozowskiego, poznał on Oleksę – własnego stajennego.

¹³⁰ *Dochyrlać* – dożyć ostatnich swoich dni.

¹³¹ *Durzyc* – tu w znaczu. pocieszać.

¹³² *Humański klucz* – zespół majątków ziemskich, folwarków w dawn. powiecie humańskim.

¹³³ *Potocki* – Aleksander Potocki (1798–1868), po ojcu, Szczęsnym Potockim, odziedziczył dobra humańskie z Zofiówką.

¹³⁴ *Secina* – sto sztuk czegoś, duża ilość.

¹³⁵ *Umyślny* – posłaniec, goniec.

¹³⁶ *Tepliekie lasy* – lasy przylegające do Teplika, miasteczka w dawn. powiecie hajsyńskim.

¹³⁷ *Granów* – miasteczko w dawn. powiecie hajsyńskim.

Na zapytanie, co tu robi, skąd idzie i czego się kryje, zmieszał się Kozaczek, drżał cały, ale odprowadzony do domu i wzięty na ścisłe badania, wyznał, że był w lesie u Pilipona, który tej wiosny zakupił wszystkie sady leśne od Brzozowskiego, że on przyrzekł mu dać jesienią kilka worków jabłek, jeśli będzie mu donosił co się u pana robi w domu i kiedy wyjedzie na jarmark do Humania; że nareszcie widział tam kilkunastu nietutejszych ludzi, którzy go rozpytywali szczegółowo o zabudowania, o zamki, o izby, w których sypiąją i gdzie stoją kufry, i że ciż ludzie namawiali go, ażeby uciekł od stajni, przyrzekając zaprowadzić go na Zaporozże, gdzie, jak mówili, będzie chodził w safianowych butach i nosił pełne kieszenie rubli. W końcu dodał, że tych nieznanym nie widział on nigdy dniem, ale że zawsze schodzili się z lasu na wieczerzę do Pilipona i kładli się spać w pałaszu.

Powziąwszy taką wiadomość, Brzozowski, nie tracąc ani chwili, zebrał swoich Kozaków, uzbroił ich w fuzje i spisy i puścił się drogą ku lasowi. Nie dojechawszy do wskazanego sadu jakiegoś kilkaset sążni, kazał wszystkim poziadać z koni, ustawił je w jarcu¹³⁸ na ustroniu, a sam z Kozakami pieszo. Ale należało jeszcze zabezpieczyć się od psów, które tu trzymał Pilipon dla straży; i Kozak Brzozowskiego, doświadczony Omelko, użył na nie tego samego sposobu, jakiego używają hajdamacy. Podkradłszy się, najprzód zwołał je po nazwiskach i każdemu cisnął kłębek wału pokryty łojem¹³⁹. Kłębki te zastrzegły im w pyskach i już ani szczekać, ani od nich uwolnić się nie mogły. A wtem postąpili Kozacy, przeleźli przez płoty i otoczyli szałas. Huknął natenczas Brzozowski, ażeby się poddali i spłoszeni hajdamacy po chwilowym borykaniu się z Kozakami, bez najmniejszego krwi rozlewu, bez żadnego wystrzału, powiązani zostali co do nogi.

Owocem tej szczęśliwej wyprawy było dwunastu hajdamaków, licząc już w to i watażkę ich – Sycza¹⁴⁰, tak nazwanego od uderzającego podobieństwa oblicza jego do głowy puszczyka. Brzozowski wnet ich pod mocną strażą odesłał do Humania, gdzie wyznali pod różgami, że są z bandy Mamaja i spodziewali się co dzień jego przybycia, ażeby napaść i ograbić dom Brzozowskiego.

Ale wieść o ich pojmaniu rozniosła się wnetże po okolicy i Mamaj nie pokazał się w tych stronach. Po badaniu, którym, jak wiadomo, komendant i pułkownik humańskiej milicji Gorzewski nie zabawiał się długo, wszyscy zostali wywieszani, a porucznik kawalerii narodowej Wydźga tropił tymczasem z oddziałem swoim uchodzącego Mamaja, omal go nie pojmałszy na granicy. Wszakże straże rosyjskie, zawiadomione o kierunku ucieczki owego rozbójnika, dośledziły go znowu aż do Bugu, i tu, jak powiadają, schwycony on został na wyspie Mihei¹⁴¹.

¹³⁸ *Jarzec* – pole z jarym jęczmieniem.

¹³⁹ *Kłębek wału* – kłębek nawiniętych szmatek, pokryty zwierzęcym tłuszczem.

¹⁴⁰ *Sycz* – od ukr. сич ‘rodzaj ptaka z rodziny puszczykowatych’.

¹⁴¹ *Miheja* – wyspa położona na rzece Boh (Południowy Bug).

Dziwnym zrządzeniem losu stary Żytkiewicz, już podczas jesieni wałęsając się po granicznych jarmarkach, był w Bohopolu tego samego dnia, kiedy rosyjski oficer – pojmanego Mamaja jako poddanego polskiego – oddawał namiestnikowi Witosławskiemu, stojącemu nad granicą obozem. Osądzono go na pal i gdy prowadzono go na stracenie, spotkał się z nim oko w oko Żytkiewicz. Poznał go rozbójnik natychmiast i zawołał:

– Bywaj zdrów, Lasze! Ot, teraz już nie bój się, nie odbiorę ci dziewczki. Przekłete Lachy tropili mnie przez całą jesień jak lisa. No, widać przyszedł czas odwetu. Doli, jak to powiadają, koniem nie objedziesz. Napatroszyłem ja i ich do woli – popamiętają czas jakiś Mamaja! Tyś tęgi Lach, *krot twoju matir!*¹⁴² Pamiętasz, jak broniłeś się w Mosznach? Dajże lulki choć raz smoknąć przed śmiercią...

Żytkiewicz podał mu fajkę, którą trzymał w ustach i rzekł:

– Przeżegnaj się, Mamaju, a pożałuj za grzechy. Ej, zgubiłeś mi syna, Mamaju, bodajby ci Bóg nie pamiętał tego na strasznym sądzie swoim.

– Wiem, wiem wszystko – przerwał Mamaj, z uśmiechem przymrużając jedno oko. – Zuch, dalibóg, zuch! Zaleje on wam za skórę sadła, zobaczycie. A silny psia-wiara jak niedźwiedź. Kłaniaj się ode mnie dziewczce swojej... hoża z biesa Laszka! Nie uszlaby ona rąk moich, żeby nie te paciorki¹⁴³ – dodał, potrząsając kajdanami.

Żytkiewicz zatrzymał się jak wryty pod wpływem zdziwienia, widząc taką spokojność zbrodniarza, który za chwilę miał wyzionąć ducha w najboleśniejszych męczarniach, a tymczasem więzień oddalał się i wołał:

– Bądź zdrów, Lasze. Żegnaj, panie Żytkiewicz.

Po straceniu Mamaja Ukraina na czas jakiś odetchnęła od grabieży, pożóg i mordów.

Młodzi Brzozowscy mieszkali zawsze w swojej wiosce pod Humanem, stary Żytkiewicz nie mógł się odzwyczaić od czynnego życia i do późnej starości zajmował się handlem koni i bydła; stary Brzozowski nie zgadzał się za nic zostawić swego futoru i pasieki i żył tam do późnej starości, odwiedzany corocznie przez syna, synową i Żytkiewicza; co zaś do syna Żytkiewicza – ten, hajdamakując ciągle, należał później do koliszczyzny i zginął na koniec pod toporem kata.

¹⁴² *Do kroćset diablów.*

¹⁴³ *Paciorki* – pęta, kajdany.



Józef Brandt (1841–1915), *Potyczka Kozaków z Tatarami* (ok. 1890 r.)

NESTOR PISANKA. OPOWIADANIE Z CZASÓW OSTATNIEJ KOLISZCZYZNY

Nieopodal od Smiły, nad szerokim rozlewem Taśminy połączonej z Irdyniem, gdzie leżą dziś ze stron jej obydwu rozsypane wioski aż do pisarskiej grobli, przed niedawnymi jeszcze czasy nie było tylu osad, a zamiast wsi leżały w tajemniczych lasach i jarach na prawym brzegu futory¹, a na lewym – lewady i pola. Nie każdy z podróżnych, a nawet z mieszkańców Smielańszczyzny, zwiedził te wybrzeża, bo leżą na ustroniu, a szlak przez lasy i pisarską groblę, idący do Czerkas i na przylegające wybrzeża dniewprowe, do dziś dnia jest uczęszczany li przez okolicznych wieśniaków. W tym jednakże zakątku Ukrainy natura dziwnie piękny ma wyraz i ja zapewne byłem pierwszy, com spojrział nań z uczuciem malarza i poety. Mówiono mi, że na tym taśmińskim rozlewie, na tych irdyńskich błotach lęgnie się mnóstwo dzikiego ptactwa – i zapał do polowania pogał mnie w te lasy i na te wody. Odtąd wycieczka kilkorazowa każdego lata nad Taśminę stała się dla mnie niejako pokarmem dla duszy, uczuciem, którym zaspokajać corocznie miałem niepokonaną potrzebę i skąd zawsze wracałem rozmarzony. Do wytężenia tego uczucia przyczyniły się i inne wrażenia. Jakoś wkrótce przed pierwszym zwiedzeniem tej okolicy przeczytałem po raz pierwszy powieści Coopera i tak pokochałem tajemnicze lasy Ameryki, żem o nich marzył, do nich tęsknił, one mi ciągle wraz z *Sokolim Okiem* w żywej stały pamięci... Jakże nie miałem przyłgnąć z całą siłą młodzieńczego zachwytu do tych wybrzeży, kiedy znalazłem w nich tyle podobieństwa do pustynnych okolic Delawaru?² Wyobraźcie sobie rzekę rozlaną szeroko z nieprzeliczonym na niej mnóstwem wysp, sadów, pasiek, oczeretów; wyobraźcie brzeg jej lewy rozścielający się w smugi piasku, zielone łągi i pola, a prawy wyniosły, cały zasypany dąbrowami, lasami, poprzerzynany głębokimi jarami i skąd wzrok wasz przegląda jak na dłoni całą tę tkaninę natury, pokrytą bujną roślinnością południowego słońca, puszącą się masami sadów i masami kwieciami; dodajcie do tego urok, jaki sprawia taka ustronia pustynna, o której jakby nie wiedział świat cały, jakby mieszkańcy jej o Bożym nie wiedzieli świecie, który brzmi i żyje poza

¹ *Chutor* (gwar. *futor*, ros. *хутор*, ukr. *хутір*) – odosobniony, najczęściej niewielki punkt osadniczy; znaczenie tego słowa zmieniało się w różnych okresach historycznych.

² *Delaware* – tu: stan na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, na Nizinie Atlantyckiej, nad zatoką Delaware.

czarną taśmą jej lasów – a będziecie mieli słaby zarys tego zakątku Ukrainy. Odtąd ilem razy przy blasku księżycy lub promieniach wschodzącego słońca pływał w wątej łodzi na pustynnych rozlewach Taśminy, tyle razy wyobraźnia moja w dziwnym zestawieniu. Czego żem tu nie przemarzył! Iluż tu nie osnułem powieści, nie zaczynałem poematów!... Tak, bo tu wszystko składało się w obrazy, tak zdawało się przedzierzgać w cudowne podania i legendy, żem kraik ten mały przywykł uważać za skarbiec najpoetyczniejszych podań Ukrainy. I słowiki, zdało mi się, tu szczebio-tały wdzięczniej i wody tu były błękitniejsze, i zieleńsze lasy – a urok ten podwajało zadawalające egoizm przekonanie, iż ja tu jestem pierwszy, com odkrył te wdzięki i cieszę się nimi: że oprócz ptaków i słońca nikt ich nie zna i nie patrzył się na nie, nie napawał wzroku tą grą kolorów, tym widokiem niezsutej i niespłoszonej natury. Jest to coś na kształt tej rozkoszy, jaką uczuwamy w czystej miłości dziewczyny, której usta wprzód nie darzyły pocałunkiem serdecznym nikogo, której pierś dla ciebie po raz pierwszy zabiła wzajemnością.

Przed kilkoma laty, podczas jednej z wycieczek letnich na polowanie, zapuściwszy się w *splawy*³ z rybakim, goniąc kaczki i kulony po nieprzeliczonych, a bagnistych zakrętach Taśminy, oddaliłem się tak daleko od brzegu, iż powrócić za widna było niepodobieństwem. Kiedym to postrzegł, już słońce jak ognista kula leżało na długim paśmie przeciwnych piasków, rybak mój był znużony całodziennym pływaniem, a co najbardziej, iż powrót nasz zatrudniały miałczyzny⁴, które przebywać należało bez wiosła, lecz za pomocą rybackiego bełtu⁵, opierając go o dno bagniste, porośłe ogromnym wodnym burzanem⁶. Takich miejsc przebyliśmy dużo, zajęci szukaniem zwierzyny po sitowiacz i zielsku, a innej, łatwiejszej ścieżki do powrotu nie było. Na topiele osiadał cichy, cudowny letni wieczór; wody odbijały najwierniej dokoła mnie łódź naszą i długie liście oczeretów, i błękit nieba, i płaczące wierzyby, co maczały swe dziewicze kosy w jej łonie. Miriady muszek unosiły się przed nami, a stada kaczek co chwila wypływały z oczeretów i albo się zrywały, odlatując na żer, albo kąpały się najponętniej na czystych smugach zalewów. Był to obrazek, którego nie odbieży⁷ poeta i myśliwy.

Rybak mój był to staruszek z pobliskiej wioski, nie z siwą jak zazwyczaj staruszkowie, ale z czarną, piękną, mojąszową brodą i rysem prawdziwie ukraińskim oblicza. Od lat młodych trudniąc się rybołówstwem, znał on każdy zakątek tych rozlewów. Kiedyśmy ugrzęźli nareszcie na niewielkiej płaszczynie poroślej rządkiem

³ *Splawy* – wędrownka drogą wodną, po rzece.

⁴ *Miałczyzna* – mielizna.

⁵ *Bełt* – drąg zakończony gałką, służący m.in. jako wiosło do popychania łodzi w płytkich miejscach.

⁶ *Wodny burzan* – różnego rodzaju zarośla, chwasty na dnie rzeki.

⁷ *Odbieży* – dawn. odejdzie.

sitowym, tak iż łódź nasza, parta bełtem, z wielkim wysileniem leniwie posuwała się naprzód, dziad położył najspokojniej bełt w czołno, obejrzał horyzont, usiadł i dobywszy z kieszeni rożka, zażył tabaki.

– Cóż, *didu*⁸ – rzekłem – ino żeby pora już kierować się ku domowi?

– A jak wy myślicie, prędko dopłyniemy?

– A czemuż nie? Wszak oto widać hołowiatyńską górę, a dalej hulajgrodzką dąbrowę, więc szostowa przystań jak raz przeciwko tej przewali żółciejącej pod lasem.

– Tak, wasza prawda – rzekł mi dziad z uśmiechem – ale jak się wam zdaje, czy prędko dopłyniemy?

– Na wieczерzę.

– Otóż nie na wieczерzę, a jak raz gdy na jutrznię dzwonić będą. Tu nie ma miejsc czystych, Taśmin, jak widzicie, wysechł dużo w tym roku, więc nie przez jedne *hony*⁹ po tych przeklętych *kuszyrach*¹⁰ brnąć trzeba.

– Więc cóż poczniemy?

– Trzeba wprosić się do Nestora na noc.

– Gdzież to?

– A ot tam, widzisz pane, w tych oczeretach, hen, hen – gdzie się dym kurzy.

– Jak do Nestora, to i do Nestora – rzekłem, zapalając cygaro. Dziad mój wziął się do bełta.

– Powiedźże mi, dziadu, kto to ten Nestor?

– Zachożyj¹¹, przybysz, nietutejszy – mówił dziad, starając się wyrazić dobitniej. – *Did sobi, pasiecznik*¹². Ot, tak na przykład, żebym ja był pasiecznikiem, toby mnie nazywali Demydem pasiecznikiem; on zaś, że ma imię Nestor, więc zwą go ludzie Nestorem pasiecznikiem; po przewisku zaś – Pisanka.

– Zapewne był kiedyś ładny?

– Obaczycie; a jest z wami wódka?

– Mam flaszkę.

– No to i dobrze; a ja mam drugą, będzie czym ugościć dziadore¹³. A on łąsy na wódkę, tylko ostrożny psiawiara, bo jak się podchmieli to nabresze¹⁴, że i nie spiszesz wszystkiego.

Tymczasem posuwaliśmy się pomału ku ogromnej masie wysokich oczeretów, nad które wystawały z głębi wierzchołki wierzb. W miarę naszego zbliżania się wodna

⁸ *Did* – dziad.

⁹ *Goń, pędź*.

¹⁰ *Kuszyry* – krzaki, zarośla.

¹¹ *Zachożyj* – przybysz, wędrowiec.

¹² *Ot, po prostu dziad, pszczelarz*.

¹³ *Dziadora* – dziadyga, dziadzisko.

¹⁴ *Nabrechać* – nagadać, nazłorzeczyć, nakłamać.

roślinność przedstawiała mieszaninę zielska, kwiecia, łóz¹⁵, olch i trzciny. Wszystko to nagromadzone bezładnie, ale w dziwnie malowniczy sposób okrywało brzeg nieprzeniknioną gęstwą. Wpłynęliśmy w wąski przesmyk, nazywany *strugą* i łódź nasza, dostawszy się na głębie, zakołysała się lekko, pobiegła żwawo. Śliczny to, choć w wąziutkie ramy ujęty był pejzaż! Białe kwiaty łątacz¹⁶, wystając nad wodę, leżały na szerokich talerzach liści, a kwitły w takiej obfitości, iż zalegały całe przestrzenie spławów; gdzie zaś strumień nie był zakryty nimi, tam przez spokojne zwierciadło wody widniały na dnie całe pokłady mchów i zielska i na kształt sennych widziadeł przesuwały się przed okiem. Niekiedy zapływaliliśmy w tak wąskie przesmyki, że byli jak w najgęstszym lesie, a wtedy chwytailiśmy się za trzciny i ciągnąc je ku sobie, tym sposobem posuwali się dalej. Kto nie jest świadomy tej podróży, ten myślałby, że dotarł brzegu lub nie popłynię dalej; ale łódź nasza po chwilowym usiłowaniu, przerznawszy się przez zarośla, znowu spadała na łożysko strumienia i wypływaliliśmy na nowe przesmyki, zalewy, jeziora. Zakątków, fałszywych uboczy, nieznanomych ścieżek było tu tyle, iż nieobeznanemu dobrze z miejscowością zbłąkać się było łatwo, wyjść zaś na brzeg – niepodobieństwem, gdyż otaczały nas trzęsawiska zdradliwe i niezgruntowane. Kiedyśmy przybyli do przystani, tak skrytej w gęstwi oczeretów i zawieszonych gałęziami wierzby, iż jej dostrzec niepodobna nawet wśród dnia białego, rybak mój wysiadł na brzeg, zaciągnął łódź w trzciny i schowawszy wiosło, poszedł naprzód, prowadząc mnie przez zarośla ledwie widomą ścieżką. Po chwili weszliśmy na błon niewielką, skąd obaczyłem przed sobą płot stary, rozsypany w połowie, ale malowniczo gęstym obwity chmielem. Tu zamiast skierowania się ku płotowi, na samej krawędzi zarośli, zwróciliśmy na lewo i jakby na powrót. Zapytałem mojego przewodnika: dlaczego tak błądzimy? On mi wskazał zieloną błon za płotem i rzekł:

– Tam trzęsawisko, przez które zaszlibyśmy prędzej na tamten świat jak do futuru. W istocie, postrzegłem, iż wstąpiliśmy na grunt bagnisty i chwiejący się. Kępy tylko, po których szliśmy, utrzymywały nas na powierzchni, ale gdzie myliły się stopy, tam zwierchnia skorupa ugięła się lub przerywała zupełnie.

– Więc nie byliście tu nigdy? – zapytał mnie Demyd.

– Nigdy.

– Bo też tu nie każdy zajrzeć potrafił, a wielu przypląciło życiem swą ciekawość. Kilku nas jest tylko, co dobrze znamy ścieżkę. Z młodych nikt prawie.

– Alboż nie chodzą ludzie do tego futuru?

– Chodzą, ale niewielu. Stary dziwak, czynsz płaci z góry, nie brata się z nikim, żyje odludkiem, a hula we wsi.

¹⁵ *Łozy* – zarośla wierzbowe.

¹⁶ *Łatacz* – knieć błotna, kaczyniec błotny, rośnie na wilgotnych łąkach, brzegach strumieni, w rowach i lasach łągowych.

– To i hula?

– Zawsze dwa razy do roku. Wiosną po Wielkiejnocy i jesienią po *Spasie*¹⁷, jak miód i wosk sprzeda. Ale nie mów wtedy, że nie pijesz: cała wieś się schodzi, wódka leje się wiadrami cały tydzień. A że to zaraz pójdzie słuch, że Nestor hula, więc ludzie jak na odpust ciągną zewsząd.

– Więc on powinien być bogatym?

– O, groszowity dziadora! – rzekł Demyd. – Mówią, że ma zakopane pieniądze, a i wie o innych ukrytych skarbach. A że żyje z dawnych pieniędzy, to pewna, bo zawsze płaci elizaweckimi rublami¹⁸. A bywalec! Hej, hej! Więcej on zapomniał, niż my wiemy! I piśmienny: czyta hramotę lacką i cerkiewną¹⁹, a jak przesiadywał w Motroneńskim monasterze, wy go znacie? Co to na drodze z Żabotyń²⁰ do Medwedówki²¹, w lasach? To zawsze śpiewał z diakami na klirosie²².

– Czegóż on tam przesiadywał?

– Był chory; naszła nań *przyczyna*; męczyła go nieczysta siła. Bywało, jak nastąpi *Piotrówka*²³, to tu do futuru ani przystępu!... Coś szumi po oczeretach, płacze w łożach, to znowu chichocze, że aż straszno... A podczas nocy bywało, jak zanocuję w polu na tej oto górze, to mi widniuteńko, jak sypią się tu iskry. Wtenczas nikt do niego ani zajrzy, a gdy przeszła zła pora, to i on wypływał na brzeg i wchodził między ludzi i był jak wszyscy. Otóż razu jednego poszedł on na odpust do Motroneńskiego monasteru na samo Wniebowstąpienie; tam spowiadał się, przyjmował Komunię Św. i został z namowy Ihumena²⁴. Już to wiadomo, że nieczysta siła nie przystąpi do świętego miejsca, bo św. Michał Archanioł z ognistym mieczem każdej nocy przed jutrznią objeżdża ściany monasteru, a święta Matrona każdego wieczora skrapia go święconą wodą, co ją Aniołowie przynoszą jej co dnia aż z Jordanu. I tam natenczas zapewne on pokutował i modlił się, bo ozdrowiał i oto już rok czwarty, jak żyje spokojnie. A dał, jak mówią, Ihumenowi całą czapkę karbowańców²⁵. Otóż na *Makowija*²⁶, gdy opuszczał monaster, sam natenczas słyszałem, jak go przestrzegał

¹⁷ *Święto Spasa* – w prawosławiu: święto Przemienienia Pańskiego (19 sierpnia).

¹⁸ *Elizaweckie ruble* – ruble wyemitowane na cześć koronacji carycy Elżbiety Romanownej (1709–1762).

¹⁹ *Hramota lacka i cerkiewna* – pisma urzędowe pisane w języku polskim i rosyjskim.

²⁰ *Żabotyń* – miasteczko w dawn. powiecie czerkaskim, na pograniczu powiatu czehryńskiego.

²¹ *Medwedówka* – wieś w dawn. powiecie kaniowskim.

²² *Kliros* – cerkiewny chór.

²³ *Piotrówka* – w prawosławiu: Post Piotrowy (od ósmego dnia po Pięćdziesiątnicy do 28 czerwca).

²⁴ *Ihumen (igumen)* – w prawosławiu przełożony samodzielnego monasteru lub domu zakonnego, odpowiednik katolickiego przeora.

²⁵ *Karbowaniec* – dawn. na terenie Ukrainy nieoficjalna nazwa rosyjskiego rubla.

²⁶ *Makowija* – prawosławne święto obchodzone 1 sierpnia – wspomnienie wyniesienia świętego drzewa Krzyża Pańskiego.

Ihumen, ażeby nie pił wódki, bo jak tylko pić zacznie, połknie z czarki nieczystą siłę, która *zabusza* w nim znowu.

– Ale on nie powstrzymał się?

– Cierpiał długo, ale nie wycierpiał. Jak nie pije, to tu w pasiece dziwy dzieją się u niego. Ule coś powywraca każdej nocy, powytrzęsa więcierze i porwie sieci. On za dnia znów wszystko przyprowadzi do ładu, ale następnej nocy diabli nową mu wypłatają sztukę. Natenczas stary martwi się, chodzi jak nie swój, a wtem ktoś podjedzie czółnem albo huknie i zawoła po imieniu z brzegu. A jak tylko stary wysiadł na brzeg, to i koniec. Nasza arendarka, aż patynkami²⁷ kłapie z radości, jak obaczy Nestora u siebie, bo już wie dobrze, że zostawi całą garść pieniędzy.

Tymczasem obeszliliśmy zielone trzęsawisko i znaleźli się przy studni. Na żurawiu, co się rysował wyraźnie na tle wieczornego nieba, siedziała sowa, patrząc na nas pomarańczowymi oczami. Dalej ciągnął się płot – w nim był przełaz i widniał obszerny sad z tak nawistwymi gałęziami, iż należało schylać się ku ziemi, ażeby coś obaczyć na dalszą przestrzeń. Każde drzewo było starannie oczyszczone od mchów i pokryte dojrzewającymi owocami. Stare to już były drzewa i rozsądzone prostymi liniami, co się przeciwilo zwyczajowi zakładania ukraińskich sadów. Grunt pod drzewami widocznie był nasypowy, bo miał powierzchnię dobrze wystającą nad poziom okolicznych ostrowów, a rów, co go otacza, dowodził, że umiejętna ręka osuszała tę przestrzeń. Na wstępie do ogrodu opadły nas psy i szczekając, przeprowadzały do chaty pomiędzy rozłożonymi kurzyskami, od których dym rozścielał się nad całym ogrodem i jakby²⁸ białym muślinem powlekał przedmioty.

Chata Nestora stała w samym środku ogrodu. Była to duża o dwu przedziałach ukraińska chata, ale już stara i chyląca się do upadku. Zielony mech pokrywał dach jej z trzciny, a na grzbiecieniu bocian założył gniazdo i właśnie drzemał na jednej nodze, położywszy szyję na grzbiecie. Pasieka po prawej ręce zajmowała duży kawał ogrodu, otoczona płotem, w którym białała furtka z drewnianym krzyżykiem i obrazkiem św. Zosyma, patrona pasiek; a na przeciwległej stronie czerniał wysoki dach suszarni, przy której leżały kupami zebrane już owoce. Lewa strona chaty była opasaną bzami, rozmarynem, malwami, nasturcjami i nocną ozdobą, a u drzwi samych, na ziemi, siedział starzec i trzymał w ręku rozkrojony kawon.

– *Zdorow, didu!*²⁹ – rzekłem, stawiając dubeltówkę przy ścianie.

– *Zdorow!*³⁰

²⁷ *Patynki* – przest. pantofle damskie lub męskie bez napiętka.

²⁸ *Kurzyska* – silnie dymiące ogniska, zapalone w sadzie dla ochrony przed wiosennymi przymrozkami.

²⁹ *Bądź zdrów, dziadu!*

³⁰ *Bądź zdrów!*

– *Boże pomahaj!*³¹

– *Spasybi!*³²

– Oto zapłynęliśmy w spławy tak daleko, iż nie można było powrócić do *pisarskiej grobli*. Demyd więc zaprowadził mnie do was, Nestorze: czy przyjmiecie nas na noc?

Stary obejrzał mnie od stóp do głowy i nie ruszając się z miejsca, rzekł:

– A wy skąd?

– Z Prus, spod Żabotyńna.

– Nie z Czerkas, nie sądowy?!

– Nie, Bóg uchował! – przerwał Demyd. – To *panok motornyj*. Co roku jeździ tu na polowanie i ja go zawsze wożę na spławy.

– Jeśli tak, więc przenocujcie. Czym chata bogata, tym i rada. Jest palanica³³, jest miód, jest kasza – co się podoba. Siadajcie.

– Ot i dobrze! – rzekł Demyd – a reszta znajdzie się u nas. My zawsze wyjeżdżamy na cały dzień, więc tam u tego pana po kozacku jest w torbie i lulka, i krzesiwo, i chleb, i wódka. Żeby nie siwucha, diabeł by tam wytrzymał cały dzień robić wiosłem; a jak zajechaliśmy dziś w buzukowieckie spławy, czy dasz wiarę? Pół dnia brniemy przez te przekłete *kuszury*.

Zrzuciłem torbę z ramion – usiedliśmy na ziemi przy ogniu – ja dostałem cygaro, a Nestor zapalił łuczyno i podniósł mi je do zapalenia. Przy blasku ognia spojrzełem w oblicze Nestora i wzdrygnąłem się. Był to już starzec w całym znaczeniu tego wyrazu. Włosy na głowie i brodzie miał białe; twarz wyschłą, oczy siwe i jeszcze pełne blasku; policzki pokiereszowane i rabe³⁴, usta ścieśnione, a postać barczystą i pomimo starości dość jeszcze krzepką. Ręce jego zakasane do łokci nabrzęły żyłami, a pierś przez pazuchę świeciła kosmaczną włosów. W ogólnym wyrazie tej postaci widać było siłę, ale ślady cierpień czy ciężkich trudów przegłądały w zmarszczkach na całej twarzy. Nie była to starość życia pogodnego, ale pełnego burz i namiętności. Oblicze to jednakże, pomimo nieregularnych rysów, pomimo przykrego wyrazu w jakie się układał przy rozmowie, nie było bez pewnego wdzięku. Przeobrażały je zupełnie szramy przekreślające w różnych kierunkach lice, tu ściągając, a tam garbiąc skórę i robiły zupełnie niepodobnym do własnego swego pierwotworu.

Nestor zastawił przed nami prawdziwie ukraińską wieczerzę. Posłał na ziemni obrusek lamowany, postawił miskę miodu, drugą kaszy, pokrajał dwie palanice i kawona³⁵ – i zaprosił do jedzenia. Dostałem natenczas z torby plecionkę z wódką

³¹ *Boże dopomóż!*

³² *Dziękuję!*

³³ *Palanica* – wódka, gorzałka.

³⁴ *Raby* – tu: piegowaty.

³⁵ *Kawon* – arbuz.

i uczęstowałem obydwu. Po wieczerzy namówiłem ich znowu do kieliszka, a po trzecim, do którego przymówili się sami, że to był mocny spirytus, uważałem, iż Nestorowi rozwiązywał się język. Dotąd, ilem go razy zapytywał, to o nim samym, to o futorze, zbywał mnie niczym; teraz zaś sam zwracał myśli ku czasom przeszłym i często powtarzał z uśmiechem, spoglądając na mnie:

– Hej, hej, co wy wiecie!...

– A jeżeli ty, *didu*, wiesz więcej, więc opowiedz nam z tego cokolwiek. Musisz być dobrze stary?

– O, stary! A nie tak jeszcze stary jak dawny!

– Pamiętasz hajdamaczyne?³⁶

– Hajdamaczyne? – mruknął Nestor i opuścił głowę na piersi.

Milczeliśmy wszyscy. Nestor po chwili przeciągnął rękę do butelki – nalał i wypił czarę. Postępowanie to już nie było w sposobie ukraińskiego ludu, który nagada się pierwiej i naprosi towarzyszy, nim odbędzie ów akt uroczysty. Widocznie chęć nieprzewyciężona do trunku zaczęła obudzać się w starym.

Oczy mu niezwykle rozgorzały blaskiem.

– W dobrą porę trafiliśmy – szepnął do mnie Demyd. – Nawiedzony starzec jak się rozhula, to nam nie da spokoju przez noc całą.

Nestor tymczasem siedział ze spuszczoną głową i mruczał coś sobie pod nosem. Z niewyraźnych słów przeszedł do wyraźniejszej mowy, ale mówił jakby sam do siebie:

– Haj, haj! Żeleźniak to był zuch! Oblał on krwią Ukrainę; oblał nas i siebie!... Gdzie to jego dusza? Pobija się gdzieś serdeczna na tamtym świecie bez łaski i miłosierdzia Bożego!... Błąka się po pieczarach... a nie ma jej ani dnia, ani nocy, ani zmiłowania, ani pomocy! Przepadł, oj przepadł *siroma*³⁷ na wieki, jak te badyle w stepie!...

I dziad zaszlochał tak okropnie, że mróz przeszedł po mnie; ale postrzegłszy nas, jakby opamiętał się i mówił dalej:

– Broił, że bo broił! A to się nie godzi... Pokutujże teraz, boś nagrzeszył dużo – o, dużo! Nie zmyją deszcze tej krwi, nie zasłoni noc tych pożarów!

– Było wszystkiego – przerwał Demyd, widocznie chcąc się odezwać z czymś swoim.

– Ty choć stary – rzekł Nestor – ale ty, bracie, nie widziałeś i dziesiątej części tego, na com ja patrzył, ot, tak jak dziś na ciebie.

– Ta to prawda, że ty stary i bywały.

³⁶ *Hajdamaczyzna* – pojęcie używane dla określenia XVIII-wiecznych hajdamackich (kozackich) rebelii na Ukrainie Prawobrzeżnej wchodzącej w skład I Rzeczypospolitej.

³⁷ *Siroma* – biedak, nieborak.

– Kiedyś się rodził?

– Kto go wie! Mówiła matka nieboszczka, że niby to podczas wielkiej zimy.

– A ja podczas wielkiej zimy byłem już Kozakiem, już miałem wąsy.

Wielką zimą nazywają na Ukrainie rok 1789; zdziwiłem się niepomatu³⁸, gdy przypuszczając Nestorowi wtedy lat 24, widziałem przed sobą stuletniego starca.

– Oj, staryż ty, dziadu, stary! – rzekłem. – Masz lat ze sto.

– Nie, przejdź na ten bok.

– Jeszcze więcej?

– Sto i dwa jeszcze.

– Opowiedz mi życie swoje.

– Moje życie – to długa niwa! Jak na długiej niwie napotkasz burzany i suche piaski, i bujne kwiecie, i złociste zboże, tak i na niwie mego życia! Żyłem jak wszyscy wtedy; hulałem jak wszyscy; rznąłem Lachów, Moskali i Żydów, ale nie to mi ciąży na duszy. Jest jedna tajemnica, co mnie powiodła na pożogi i mordy; jedna przygoda, co ze mnie, spokojnego chłopca, zrobiła hajdamakę. Jak przypomnę sobie życie moje młode, to sam się dziwię: co się potem zrobiło ze mną. Czyż to ja myślałem zabrać tak głęboko i nie opamiętać się aż teraz!...

Starzec pokręcił głową, jakby pod wpływem ciężkiej jakiejś myśli albo wewnętrznej bólu – potarł dłonią piersi – powstał nagle i pochwyciwszy flaszkę już bez czarki, pił z niej z przerażającym pragnieniem.

– Biesowe dzieci czartowskie! – odezwał się po chwili. – Oni myśleli, że młodego Kozaka zamkną w ciemnicy, że mu hulać nie pozwolą na stepie? Że on się ułęknie ich kańczugów albo jak pies przywyknie i łaścić się będzie... Piecze mnie... o, piecze mnie tutaj, Laszku! – rzekł, rozrywając koszulę na piersi. – Ja byłem silny, ja byłem tak zdrow, że ziemi nie słyszałem pod sobą!... Ja teraz jeszcze startłbym dziesięciu takich jak ty w moim kułaku... ale mnie tutaj piecze... tu siedzi gadzina, co ssie moje życie... Ja porąbany... o, widzisz ten szram? – (i obnażył do ramion żylastą rękę) – To mnie ciął psiawiara pohaniec, Tatar, bydlę przeklęte: alem go za to na wylot przejął moją spisną!... A ot tu, na ramieniu – widzisz znaki od zębów? To się wpił we mnie Lach, niewiara, silny był Lach – niedzisiejszych, ale nieżywemu już *rozdjąłem skostniałe czeluście*...³⁹ A ot tu, widzisz? – (zakasał szarawary i na obydwu nogach postrzegłem dawne ślady kajdan). – Te żelaza wrosły we mnie; tugnięło ciało i jak onucze odpadało kawałkami. Potem rozdarł do reszty koszulę; zrzucił ją i wskazał na plecy. Wzdrygnąłem się na to przeobrażenie... Całe plecy były sine, ale szeroka budowa kości dowodziła niezwykajnie mocnego składu i ogromnej siły.

³⁸ *Niepomatu* – dawn. bardzo, niezmiernie, wielce.

³⁹ *Martwemu rozchyliłem szczęki*...

– Cóż, Laszku, czyś widział kiedy taką cacę?⁴⁰ – zapytał mnie szydersko, pokazując kolejno: plecy, pierś i ręce. – A twarz? Nie darmo nazwano mnie Pisanką... I szable, i spisy, i kule, i kułaki pomalowały ją tak dobrze, że wygląda jak pisanka. Otóż w Siczy nazwali mnie Pisanką... a jednakże – rzekł, kładąc ręce na kolanach – nie myśl, Lasze, że byłem taki zawsze... Hej, hej! Byłem kiedyś i hoży, i ładny... *krot' joho matir*⁴¹ – nie było w Smile⁴² ładniejszego. Bywało, śpiewały mi dziewczęta, jak temu Piotrowi:

Oj, łycho ne Petruś,
Białe łyczko, czornyj wus!⁴³

– *Didu, hoj didu!* – krzyknął po chwili zamyślenia. – A obacz no, jaki ty teraz *harny!*⁴⁴

I to rzekłszy z dziwnym uśmiechem, wstało to straszne widmo, przyniósł wiadro z wodą, postawił je między kolanami i zaczął patrzeć do środka. Tak milczał długo, przewracał głowę, nareszcie przejmującym, melancholijnym tonem, w którym śpiewają się wszystkie ukraińskie dumy, nagi, obrosły, straszny, oświecony łuną ogniska, pochylony nad wiadrem, śpiewać zaczął:

Oj, ty Kozacze, oj, ty burłacze, de twoja krasa?
Zsuszyły ii bujnii witry, oj, spyła rosa.
Oj, ty Kozacze, oj, ty burłacze, de twij woroneńkij?
Tam po nad hajem, tam nad Dunajem, rze wesoleńkij.
Oj, ty Kozacze, oj, ty burłacze, de ostrzy twij spys?
Tam na mohyli, tam na stepowij, k zemli pryris.
Oj, ty Kozacze, oj, ty burłacze, de twoje siclece?
Oj, tam na poli, tam na rozdoli, w hołowkach serce.
Oj, ty Kozacze, oj, ty burłacze, de moi hostyńci?
Twoi hostyńci, striczki ta wińci, w dubowij skryńci⁴⁵.

⁴⁰ *Caca* – tu: coś takiego.

⁴¹ *Do kroścet diablów*.

⁴² *Smila* – miasteczko w dawn. powiecie czerkaskim.

⁴³ *O, łycho – nie Piotruś,*

Białe łyczko, czornyj wus!

⁴⁴ *Ładny.*

⁴⁵ *Oj, ty Kozacze, oj, ty burłacze, gdzie twoja uroda?*

Owiały ją mocne wiatry, oj, spyła rosa.

Oj, ty Kozacze, oj, ty burłacze, gdzie twój koń wrony?

Tam ponad gajem, tam nad Dunajem, rzy wesolutki.

Oj, ty Kozacze, ty burłacze, gdzie twoja ostra spisa?

Skończywszy, jakby wysilony padł na wznak i wodząc bezprzytomnie oczyma, mówił jakby do siebie:

– Pannoczko! Hołubko⁴⁶, serce! Wyjrzyj przez okienko... *Postil biła, stina ni ma, ni s kim rozmawlaty!*...⁴⁷ Jak mi tęskno było w stepach po tobie!... Czy ty widzisz – rzekł, powstając i wskazując palcem na okno chaty – ot, tam, w środku, światelko?

– Tam nic nie widać, Pan Bóg z tobą, dziadu!

– Tam – *breszy zdorow, Lasze*⁴⁸ i chodź – pokażę ci przez okno – siedzi panna i wyszywa ręczniczek w srebrne kwiaty... – I zbliżywszy się do okna, przysiadł na kolana i szepcząc, śpiewać zaczął:

Oj, dla koho toj rusznyczok bude...

Czy dla sułtana turećkoho,

Czy dla Kozaka mołodeńkoho?...⁴⁹

Potem zapalił łuczywo i zawołał mnie do środka. Po lewej stronie była izba mieszkalna dziada, a od prawej drzwi zamknięte na kłódkę. Nestor dobył z kieszeni klucza, otworzył ją i wprowadził nas obydwo za sobą. Zdziwił mnie na wstępie sposób ozdobienia sprzętami tej izby. To nie była świetlica ukraińskiego chłopca, ale raczej szlacheckie pomieszkanie. Na pokuciu⁵⁰ w węgle⁵¹ izby, zamiast obrazów Mikołaja Cudotwórcy i innych pędzla kijowskich malarzy, którymi zwykle zdobią się ściany ukraińskiego wieśniaka, wisiał duży obraz, cały już szerniał od starości, w ważkich, widać, złożonych dawniej ramach. Dalej wizerunek jakiejś młodej osoby, robiony bardzo nieudolnie i zeszepony od czasu i wilgoci. Stolik z głęboką szufladą, połamany i okryty pleśnią, stał w drugim kącie; pod nim walały się zwitki papieru czy półtorna – i oto wszystko, co mieściła w sobie izba.

– *Didu* – rzekłem – to nie wasza izba; tu musiał żyć kiedyś szlachcic jakiś.

Tam na mogile, tam na stepowej, w ziemię zaryta.

Oj, ty Kozacze, oj, ty burtacze, gdzie twoje siodło?

Oj, tam na polu, tam w dolinie, w hołowkach serce.

Oj, ty Kozacze, oj, ty burtacze, gdzie twoje gościńce?

Twoje gościńce, wstążki i wieńce, w dębowej skrzyni.

(Mychajło Petrenko, *Smuta*)

⁴⁶ *Hołubka* – gołąbeczka.

⁴⁷ *Pościel biała, lubego nie ma, nie ma do kogo zagadać.*

⁴⁸ *Gadaj zdrów, Lachu.*

⁴⁹ *Oj, dla kogo będzie ten ręczniczek?*

Czy dla sułtana tureckiego

Czy dla Kozaka młodziutkiego?

⁵⁰ *Pokucie* – honorowe miejsce dla gościa w kącie izby.

⁵¹ *Węgiel* – kął, róg (domu, izby).

– Tak, twoja prawda! Tu żył Lach, o, hardy był psiawiara! Dawno to było, oj, dawno! A tak mi wszystko stoi w pamięci, jakby się działo wczoraj. Tyś prawdę mówił, tu nie ma teraz nikogo! – dodał, spoglądając smutnie dokoła i zbliżając łuczywo do najciemniejszych węglów izby. – Tu pustka, tylko są pająki i myszy... Ale ot, widzisz ten wizerunek? Hołubka moja! Jaka ona czarniawa! Jaka ładna! – I podniósłszy łuczywo, patrzył na obraz. Potem zatrzęsął się nagle, cisnął łuczywo: ogarnęła nas ciemność i słyhać było konwulsyjne tarzania się starca na ziemi i krzyk rozdzierający duszę.

Zapytałem Demyda, kogo i za co on przeklina? Ale ten w niczym objaśnić mnie nie umiał; zrobił mi tylko uwagę, iż jeśli chcę dowiedzieć się czegoś, należy wybadać starego póki pijany, gdyż wytrzeźwiwszy się, milczy jak ściana, nie pamięta, co mówił i gniewa się, jeśli mu kto przypomina, co *nabrechał*⁵².

Odgadywałem ze słów rzucanych o Smile, o Lachu i Laszce, o Żelaźniaku, że Nestor należał do hajdamaczyzny, że kochał się w Laszce, córce jakiegoś Mohylskiego, że podobno tego Mohylskiego zgładził ze świata, lecz jakim sposobem i gdzie odbyła się ta ukraińska przygoda – niepodobna mi było schwycić wątku, ani zebrać szczegółów.

Tymczasem Nestor zostawał pod wpływem ciągłych męczarni. To płakał, to śmiał się, to śpiewał lub zapominał się i zadumany, nieruchomy siedział na ziemi. Postrzegłem, iż rozrzucone zwitki, co się walały pod stołem i w szufladzie, składały się z papierów, a pomiędzy nimi były narzędzia geometryczne i książki. Przy świecy, którą mi przyniósł Demyd, rozpatrzyłem je pobieżnie. Były to listy pisane do komornika Jana Mohylskiego od różnych osób, z datami od 1750 do 1760 roku, treści błażej o rzeczach potocznych. Były jakieś rachunki, kontrakty na dzierżawy, umowy itp., parę nabożnych książek, rysunki, plany, widoki robione dość grubo.

– Czy tobie dziadu potrzebne te szpargały? – zapytałem.

– A one mi na co?

– Ustąp mi je.

– Weź, czytaj je sobie. Słuchaj no: czy ty bywasz w Czerkasach i Smile?

– Bywam.

– Otóż słuchaj, co ci powiem. Z tych papierów nie dowiesz się niczego; ale jeśli chcesz dowiedzieć się więcej, więc przepatrz papiery dawniejsze, co to ich spisywał regimentarz Stempkowski, jak mnie albo nie mnie jednego, ale nas dziesiątków ze sześć trzymał w łańcuchach. Bywało, prowadzą nas na ratusz: pisarze siedzą przy stołach, a sędzia na przedzie. Lach był srogi, chudy a zły psiawiara – i my rozpowiadamy, a oni piszą. A potem nas wieszają przy kołowrotach albo drą pasy, albo ćwiartują i głowy wbijają na pale: jak w Smile – to na irdyńskiej grobli, a nogę jedną przy drodze do Żabotyń, drugą przy drodze do Horodyszcz, a ręce rozsyłają na rozstajne drogi; w Czerkasach zaś, to na czterech węglach bazaru. Hej, hej!... – „A rznąłeś,

⁵² *Nabrechać* – nagadać, napleść.

pyta się, Lachów?” – Rznąłem, panie! – „A wielu?” – Nie przeliczę, bo i w Smile, i w Łysiance⁵³, i Zwinogródcie, i Humaniu⁵⁴, a co po dworach i drogach – to osobno. To Lach, aż się zatrząsę ze złości. Trzymali nas i badali, aż pókiśmy nie przyznali się do wszystkiego, co mieli pod paznokciem nawet – a wtedy na pal albo na szubienię.

– Jakże uniknąłeś takiejże kary?

– Ha! Uciekłem od szelmowskich Lachów, a uciekłem jak zając od zgrai char-tów. Potem przez trzy tygodnie wałęsałem się w moszniańskiej puszczy⁵⁵, a stamtąd wymknąłem się za granicę aż do Kosza. Ale tylko ta sława, że liczyłem się w Koszu⁵⁶, bo było mnie wszędzie po świecie.

Nestor zwykle mówił przytomniej, gdy przypominał dzieje własne; lecz skoro wspomniał o Laszce albo o Mohylskim, wpadał w złość i szaleństwo – i już prawił od rzeczy. Demyd widząc, że to się zanosi na długo, a już była północ, przyniósł do izby wiązki siana i przesłał na niej mały dywanik, a sam, wyprosiwszy Nestora, położył się spać w sieni. Byłem tak znużony całodziennym polowaniem i upałem, iż pomimo krzyków Nestora zasnąłem i spałem jak zabity.

Już słońce podniosło się wysoko, gdy wstałem nazajutrz. Dowiedziałem się od Demyda, iż Nestor odpłynął przed świtem. Zabrawszy tedy ustąpione mi papiery, poszliśmy do przystani, wsiedli do łodzi i poświęciwszy kilka jeszcze godzin polowaniu, zawinęliśmy o południu do Hołowiatyna. Przechodząc obok karczmy, postrzegłem przy niej tłum ludzi i na zapytanie o przyczynę tego zgromadzenia oświadczone mi, że tu Nestor hula i częstuje gorzałką gromadę.

Powróciwszy do domu, zająłem się niebawnie rozpatrzeniem przywiezionych szpar-gałów. Jakże byłem zadowolony, znalazłszy w nich kilka głównych zarysów tej krwawej historii, o której mi napomykał Nestor. Po śladach, jakie mi wskazał, doszperałem się reszty w przeszłowiecznych aktach i smutny ten obraz, jeden mały ustęp z tych mnóstwa scen, które się odegrały na Ukrainie podczas ostatniej koliszczyzny, stanął mi w wy-obrażni tak żywo, żem go mógł sumiennie, jak wizerunek obrazu, przenieść na papier.

*

Na brzegu Taśminy, nieopodal od Hołowiatyna, leży mała wioska Hulajgród. Uczepiona do wzgórza zielonego, pokrytego prześliczną dąbrową, odkrywa malownicze widoki na poziome okolice Taśminy rozwiniętej wprost przed nią i lasy, co tuż

⁵³ *Łysianka (Lisianka)* – miasteczko w dawn. powiecie zwinogrodzkim, przy drodze z Kijowa do Odessy.

⁵⁴ *Zwinogródka (Dżwinogród), Human* – miasta powiatowe dawn. guberni kijowskiej.

⁵⁵ *Moszniańska puszcza* – lasy okalające miasteczko Moszny w dawn. powiecie czerkaskim.

⁵⁶ *Kosz* – kozacki obóz wojskowy.

za nią falują po jarach i górach. Niewielka cerkiewka szarzeje tam do dziś dnia pod górą, a przy niej tułają się białe chaty wieśniacze umajone sadami i lasem. W wiosce tej przed stu laty mieszkał szlachcic Jan Mohylski. Był on geometrą z profesji, zjawił się na Ukrainie około 1750 roku, ale skąd? Nie wiadomo. Przyjechawszy do Smiły ubogo, bo wózkami i parą szkapami, poznał się z gubernatorem Smielańszczyzny – Dobrzyńskim, a podczas bytności księcia Lubomirskiego, przedstawiony temu magnatowi, pozyskał od niego domek, pensję, ordynarię i został użytym do pomiaru obszernych jego włości, jeszcze nieprzechodzonych z łańcuchem i nieoznaczonych kopcami. Praca ta zajęła mu lat kilka i przez cały ten czas mieszkał on w Smile, całe lato spędzając w stepach i lasach, a zimą na robieniu planów. Był to samotnik, odludek, nigdzie nie bywał i nikt u niego; toteż i nie interesowano się jego pochodzeniem, tym bardziej, iż w owe czasy Ukraina zasiedlała się przybyszami z różnych stron Polski, często bez rodu i nazwiska i nie on jeden był tu tajemniczą osobą. Ci, którzy bywali na Wołyniu, mówili, że słyszeli coś o rodzinie Mohylskich koło Lubar⁵⁷, że on był pono żonatym, miał dzieci, ale czy mu żona umarła, czy go porzuciła lub też on od niej wydził się bez wieści, o tym nikt nie wiedział nic pewnego.

Gdy po latach kilku Mohylski podczas powtórnej wizyty księcia przedstawił mu swe prace, ksiądz zadowolony z nich i czyniąc zadość prośbie Mohylskiego, dał mu w dzierżawę Hulajgród na czas nieograniczony. Wioska ta liczyła natenczas nie więcej chat piętnastu, leżała w tak górzystej okolicy, pól uprawnych miała tak mało, drogi do niej były tak złe, że mu ją z tych względów wypuszczono za bardzo skromną sumkę, nawet na tamte czasy, bo za sześćset złotych polskich rocznie płaconych z dołu. Dochód ten jednakże mógł on wybrać z samych sadów leżących w tajemniczych głębiach nadtaśmińskich lasów i młyna na grobli taśmińskiej. Młyn oddał on w dzierżawę już od siebie pisarzowi grodzkiemu Redczyńskiemu i grobla odtąd została nazwaną przez wieśniaków *pisarską*; a sam, zbudowawszy dworek na tym samym miejscu, gdzie i dziś stoi dom właściciela, przeniósł się do Hulajgrodu wiosny następnej i już odtąd widzianym był w Smile bardzo rzadko.

Tegoż roku Mohylski, jak powiadano, otrzymał wiadomość o śmierci żony i udał się na Wołyń, skąd po kilkutygodniowej podróży powrócił z dziewczynką lat dziesięciu, brunetką, ładną, wesołą, która go nazywała tatkim. Józia więcej bała się, jak kochała ojca. I nic dziwnego, bo Mohylski nie był ujmującym dla ludzi dojrzałych, a tym bardziej dla dzieci. Był to już mężczyzna lat około czterdziestu, wysoki, chudy, żyłasty, czarnych włosów i oczu. Zimnego wyrazu jego oblicza nie rozjaśniał nigdy szczerzy uśmiech, ale gniew rozplomieniał je w moment. Zdaje się, iż przeciwne koleje życia wywarły wpływ stanowczy na jego umysł i czarną chmurą smutku i niewiary zasłoniły mu życie. Ten wstręt zamienił on potem w naturę i żywił stale samotnym, jakie

⁵⁷ Lubar – miasteczko w dawn. powiecie nowogradwołyńskim.

prowadził, życiem. Był on milczący, podejrzliwy, ostrożny, w przystępie największego gniewu poskramiał siebie, ale nie zmniejszał zemsty. Raz osnuty zamiar z dziwnym taktem i obojętnością przyprowadzał do skutku, a gdy dokonał, co zamierzył, znowu odlewał oblicze w ten martwy, ale straszny wyraz, którym odstręczał wszystkich. Nosił się ubogo: latem w płóciennym kubraku, zimą w kozuchu pokrytym szaraczkiem; a dom jego był cichy i pusty, życie w nim tęskne, a święta odznaczające się gdzie indziej zabawami i wesołością, u niego nawet między czeladzią przechodziły w milczeniu i spoczynku. Do takiego to domu, w ustron najpustynniejszą Ukrainy, z jednej strony ciemnym otoczoną lasem, z drugiej wodą, przeniósł on dziecię wesołe, żywe, kazał mu tu rozwijać wrażenia, sympatie i młodość. Józia z początku tęskniła za gwarem i ludźmi; ale jak dziecię, przywykła prędko potem do tej grobowej cichości i całe godziny przesiadywała zadumana, patrząc na wody i obłoki. Ojciec nauczył ją czytać i pisać, dziewczęta wiejskie dumek i piosnek; baby prawily jej kazki, gdy przędła z nimi w długie zimowe wieczory – oto były jedyne jej rozrywki i zajęcia.

Na cztery lata przed przybyciem Józii Mohylski przyjął był gospodynię dla domu. Była to kobieta ze Smiły imieniem Praksesta, lat około trzydziestu, typu prawdziwych Ukrainek z czarnymi oczami, kruczym włosom, śniadą cerą i ponętymi formami ciała, pełnymi jeszcze siły i życia. Młodość spędziła ona w mieście na hulankach przy muzyce i wódce, a że była wesołą, że przepadała za ulicą i karczmą, straciła prędko wstążkę dziewiczą. Z owocem miłości tułała się najprzód po służbach, potem po karczmach, nosząc wodę Żydom, a zbierane pieniądze tracąc w święta na hulankę i muzykę. Mohylski w początkach za jej swawole odprawiał lub batożył ją często; ale przeniósłszy się do Hulajgrodu, gdzie już Praksesta nie miała sposobności ucześnieć do karczem, jak w Smile, przywykł do niej, oddał jej klucze od spiżarni, potem w zarząd całe kobiece gospodarstwo i, co dziwniejsza, tak nieugięty i srogi dla wszystkich zaczął jej nie sprzeciwiać się w niczym i znosił cierpliwie krzyki, wymówki i swary. Takie pobłażanie ośmieliło Praksestę do coraz większych praw i wymagań, a gdy Mohylski wydał się z domu na kilka tygodni dla zrobienia pomiarów w odległych wioskach, natenczas Praksesta spraszała gości i ucztowała z nimi po całych nocach. Wtedy biedna Józia, walając się w piekarni lub sieni, zostawała bez najmniejszego dozoru i opieki, służyła często gościom u stołu i nieraz musiała przespać pod płótem noc całą. Tak upłynęło lat pięć dla Józii. Dziewczyna rosła jak kwiat pustyni i każdy dzień nowych dodawał jej wdzięków. Giętka, świeża, prześliczna, tylko smutna i zadumana zawsze. Syn Praksesty urósł także w chłopca; był żywy, porywczy, sprytny; lecz postrzegala matka, że nie ma on miłości u Mohylskiego i że to mu tylko świadczy, co sama wymoże na nim. W tak zepsutym sercu jak Praksesty nienawiść rozplómiła się prędko, a raz zapalona, nie gasi się niczym. Dręczyła ją myśl, że nie ma dzieci – tego węzła, którym by już na wieki przywiązała Mohylskiego do siebie; dręczyła ją także miłość ojca dla Józii, której dzielić nie chciała z nikim – i zwyczajem kobiet

gminu zbierała wróżki, przyrządzała czary, napawała nimi siebie, Józię i Mohylskiego, a tymczasem starała się obudzić w Mohylskim nienawiść ku córce, przeskarżając ją ciągle. Gdy postrzegła, że usiłowania jej nie prowadzą do rychłego skutku, wpadła na myśl inną. Zbliżyła syna z Józią – oddała ich ciągiemu z sobą obcowaniu, kazała im sypiać w jednej izbie i wywołałszy tym sposobem skłonność serc, połączyć ich potem. Mohylski, tak przenikliwy zawsze, został zupełnie ślepy na podstęp Praksey i pozwalał jej rozrządzać swym dzieckiem, jak się jej podoba.

Jednej niedzieli, kiedy Mohylski od tygodnia wydalili się z domu, Praksesta sprosiła gości, najęła muzykę i hulała. Józię ubrała starannie, po ukraińsku. W krusze jej włosy zaplotła mnóstwo kolorowych wstążek, które trzepotały się jak motyle dokoła białych jej ramion; na szyi zawiesiła obrazki i korale, a biała koszula szyta w kwiaty na rękawach rysowała uroczo formy stanika i piersi. Biedna dziewczyna nie mogła pojąć, na co jej tak staranny ubiór wziąć zalecono. Sama Praksesta zaplatała striczkę⁵⁸ w jej kosy i złożonymi kwiatami ozdobiła głowę; ale gdy się przystroiła, gdy spojrzała w zwierciadło, uśmiechnęła się sama do siebie, bo miłość własna szepnęła jej do uszka, że w całej wsi nie było ładniejszej. Syn Praksey pożerał ją oczyma i na krok nie odstępował przez dzień cały. Praksesta całowała ją, gładziła ręką po twarzy, tuliła do piersi i wieczorem rzekła:

– Słuchaj, *doniu!*⁵⁹ Jak mi zrobisz, co dziś każe, to cię będę kochała, będziesz szczęśliwą całe życie. Jak nie, to przeskarżę ojcu i wypędzi ciebie, i przepadniesz gdzieś, włóczęc się po wsiach jak ostatnia.

– Och, serce, Praksesto! Nie przeskarżaj! – zawołała Józia ze łzami.

– A zrobisz, co ci powiem?

– Zrobię... lecz czegoż to chcesz ode mnie?

– Głupia dziewczyno! Twojego szczęścia; ale o tym powiem ci wieczorem.

I to rzekłszy, przycisnęła ją pieszczotliwie jak matka do piersi i osypała pocałunkami. Syn Praksey, siedząc wtedy na zedlu przy drzwiach, patrzył i oczu odebrać nie mógł od dziewczyny, która zdała się być ładną jak nigdy, a serce stukało mu gwałtownie pod czarną świtką. Postrzegła to matka i niby zwracając na inny przedmiot rozmowę, rzekła do Józi:

– Powiedz mi prawdę, czy kochasz ty mego syna?

Dziewczyna zmieszana tak nagłym zapytaniem, rzuciła nań wzrokiem i oblała się szkarłatem.

– Ty go kochasz, ja to widzę; a ty, synu, czy kochasz Józię?

– O, mammo! Mammo! – rzekł chłopiec, drżąc cały. – Ja ją kocham jak samego

Boga!

⁵⁸ *Striczka* – wstążka, tasiemka.

⁵⁹ *Córeńko*.

Prakseda zadowolona, pocałowała Józię i wyszła z izby, zostawivszy oboje. Nestor mi później tak opowiadał ten moment: „Byłem wtedy durnym chłopcem; żadna jeszcze zła myśl nie powstała w mym sercu. Ja kochałem tak Józię, że myślałem, iż stoję w ogniu, patrząc na nią. U nas nie całują parobcy rąk dziewczynie jak u was, ale całują w usta, kiedy kochają. Ona siedziała wtedy na ławie za stołem – i była jak obrazek. A gdy, bywało, spojrziała, gdy się uśmiechnęła, rzekłbyś, słonko weszło do pokoju, tak robiło się i widno, i jasno. Nie przeciągnęła ona rąk do mnie, nie przyznała się, że kocha, ale popatrzyła tak czule jak turkawka i splotła dłonie na kolanach. Zbliżyłem się natenczas do niej, usiadłem obok i zacząłem łuszczyć nasiona. Ona przeciągnęła swą rączkę – wsypałem na jej dłoń kilkanaście ziarenek i objąłem ją, i przytuliłem się, i całowałem w usta, jak długo? Nie pamiętam... Wtem skrzypnęły drzwi i wszedł chłopiec stajenny Makar, lat moich, może rokiem młodszy, chytry i przebiegły, o którym mówiła mi matka, że często donosił Mohylskiemu, co się tu robi bez niego. Wszedłszy i widząc siedzących nas razem, zmieszał się i zapytał: czy nie ma tu pani (tak zwano moją matkę), wybiegł z izby. Zmieszaliśmy się równie i Józia rzekła:

– Co to powie ojciec, jak dowie się o tym?

– Nic – odpowiedziałem, a serce mi jakby zamarło od gniewu.

– Tobie nic; ciebie matka wyprosi – rzekła ze łzami – a mnie bić będzie...

Wypadłem z izby, znalazłem Makara w stajni i rzuciwszy się jak wilk na jagnię, zwałem go na ziemię. Potem nacisnąwszy kolanem piersi, ręką zdusiłem za gardło i rzekłem:

– Słuchaj no, ty psi synu, ja ciebie zaduszę.

– Za co? Za co? Zmiłuj się! – charczał Makar.

– Ty podskarżysz pannę...

Ale Makar zaczął się prosić, zaklinać, że nie powie ani słowa; jadł ziemię – błagał mnie ze łzami – puściłem go.

Działo się to w tydzień po Zielonych Świątach. W liczbie gości byli Dmytro Kulesz, mieszczanin z Czerkas z żoną; jeden szlachetka Onufry Janicki, trudniący się rymarstwem w Smile, pijaczyna i włóczęga, i pisarczuk gubernatorski ze Smiły, duży szlachcic Piotr Łapiński, z którym Prakseda niegdyś w bliskich zostawała stosunkach, i jeden sługa kościelny. Prakseda równie była wystrojona od święta; miała na sobie zieloną w pąsowe kosmyki jubkę⁶⁰, głowę zawiązaną w złociste kwiaty chustką i dziecięć sznurków koralu czerwieniały na białej jej szyi. Pito więc i tańczono w najlepsze; a gdy już podchmielili się wszyscy, Prakseda starała się ugościć przed innymi owego sługę, a na koniec wyprosiła go do sąsiedniej izby i tam rzekła:

– Rybko moja, serce moje! Czy wy domyślacie się, na com tu was sprosiła?

– Nie domyślam się, czcigodna pani matko – odrzekł nieco odurzony miodem.

⁶⁰ Jubka – sukienka.

– Dam wam, co zechcecie, tylko wyświadcacie mi jedną łaskę.

– Cóż takiego?

– Oto wy wiecie moje opłakane życie! Zestarzeję się – i nie dziś, jutro, nie jutro, przez rok, nawiedzony Lach porzuci mnie i wypędzi z domu. Pókim ja harna, to i on dla mnie dobry; a gdzież się ja potem obrócę, sierota, sama jedna, z dzieckiem? Mój Nestor już chłopiec dorosły, a Laszka ładna dziewczyna i za rok, za dwa, pójdzie między ludzie. Jak tylko przewąchają w Smile, że Lach ma taką córkę, a wiedzą, że groszowity, to tu naleci jak szarańczy młodych Laszków i wezmą ją sprzed nosa, bo to zawsze lepiej być panią, jak chłopką. Otóż chcę was prosić braciszku, dopomóżcie mi! A raczej mojemu Nestorowi do wzięcia z Laszką ślubu sekretnie. Wam to nie straszno, bo Lach nie ma do was prawa, a ja wybiorę godzinę, przyznam się mu i Lach połaje, pokrzyczy, lecz tym się i skończy. Takim sposobem będziemy sobie żyli razem i byłabym już nie wiem czym, żebym nie pamiętała o was.

Wysłuchawszy takiego zeznania, sługa zamyślał się, puścił z objęć Praksedę i zaczął gładzić brodę. Widocznie zrobiło to na nim wrażenie, ale gdy Praksesta dołała mu szklankę, on ją wypił duszkiem i nie chcąc wydać się z bojaźnią, rzekł żartobliwie:

– Trudna to sprawa; a co mi dasz za to dobrodziejko?

– Dam wam zaraz pięćdziesiąt złotych, a w reszcie drugie tyle.

– Daj mi jeszcze, ot tego, wiszniaku baryłkę.

– Dam, serce moje.

– I wiesz co jeszcze? Na lewadzie *hlybokiej* są dwa sadki, co je trzyma Hryćko Bondarczuk ze starostwa – czy wyprosisz je dla mnie na lat dwa bez opłaty?

– Wyproszę – dalibóg, wyproszę.

Kiedy sługa jeszcze się namyślać zaczął, Praksesta rzecze:

– Przygotowałam już bryczkę i konie. Pojedziemy niby do was w gości i tam zrobimy wszystko. W tę samą chwilę w otworzonym oknie od ogrodu osłonionym bzami ukazała się w cieniach nocy straszna, biała postać Mohylskiego, w białym płóciennym kubraku, z łaską w ręce...

Mohylski jeszcze za dnia powracał do domu po żabotyńskiej drodze. Makar posłany na lewadę po konie spotkał go w lesie i odwoławszy na stronę, opowiedział o mającej być wieczorynce, a razem i o jakichś niedocieczonych zamiarach Praksedy względem Józki. Oburzyło go to nadzwyczajnie i wnetże postanowił ukarać winną. W tym celu zaczekał do późna w lesie, ludziom, którzy z nim byli, kazał zostawić miernicze narzędzia, a uzbroić się w różgi i kije, i cicho podstąpił do okien domu. Tu widzieliśmy, jak wysłuchał rozmowy Praksedy i zjawieniem się swym przeraził wszystkich. I goście, i Praksesta wytrzęźwili się w okamgnieniu. Józka zemdlała i osunęła się na zydel; Nestor zacisnął zęby i kułaki i stał jak martwy. Cisza grobowa nastąpiła po śmiechach i tańcach.

Mohylski wskoczył przez okno i stanąwszy pośrodku izby, zimnym wzrokiem powłóczył po towarzystwie. Potem dobył z kieszeni króciutką swą fajkę, nałożył ją, przytknął do świecy, zapalił i rzekł:

– Praksedo, bawże gości, a ja tymczasem jak gospodarz rozporządzę się, żeby ich przyjąć godnie.

I to powiedziawszy, wyszedł do sieni. Wnet na głos Mohylskiego zbiegli się ludzie, otoczyli dom cały i kilku z nich weszło do środka. Powiązano wszystkich bez oporu, jeden tylko Nestor wymknął się przez okno jak sarna.

W zeznaniach Nestora cała ta nocna scena i następujące z nim przygody opowiedziane są w tych słowach:

„Wyskoczywszy przez okno, uciekłem w głąb sadu; lecz widząc, że mnie prześlępiono, powróciłem znowu pod okno, wcisnąłem się w krzak bzowy i patrzyłem na wszystko, co się działo we środku. Żał mi było za matką i Laszką, i przeczuwałem, że ich czeka niedobra godzina. Mohylski łąkał wszystkich, matkę zaś moją kazał położyć na środku izby i dwóm chłopom chłostać różgami. Każde jej krzyknięcie lazło mi do uszu gadziną i jakby kawałkami odrywało serce... Wściekły, cały trzęsąc się od żalu i złości, chciałem już raz rzucić się przez okno i zadławić Mohylskiego; ale na jedno wspomnienie, że ze mną postąpiono by równie, odrętwiałem zupełnie... Wtedy postrzegłem, iż obok mnie stał diabeł z lewej strony, cały czarny i nagi, ze świecącymi się oczami, z ogonem i pazurami jak u jastrzębia – spoglądał na mnie i śmiał się, że aż mróz przechodził po mnie... Ja bałem się zawsze nieczystej siły, ale w tej chwili patrzyłem nań obojętnie, jakby na znajomego. Jak pies zdawał się on badać z moich oczu, czym mógłby mi służyć, i w tejże chwili świeca stojąca za oknem na stołku zaczęła się zbliżać do mnie i już nie wiem jakim sposobem znalazła się w mojej ręce... Pamiętam tylko dobrze, że sam jej nie wziąłem ze stolika. Podniosłem ją pod strzechę i pomału, z krwią najzimniejszą, przeszedłem od węgła do węgła... Wtenczas mnie diabeł uderzył po ramieniu i rzekł: »Idź teraz na szostową przystań⁶¹, tam przed świtem znajdziesz swoją matkę...«, a sam przepadł z oczu.

Zalazłem w nadbrzeżne oczerety obok łodzi i siedziałem tam, słuchając z wewnętrzzną rozkoszą trzasku pożaru i krzyków ludzi. Czarne po górach i jarach lasy jak diabli śmiały się oświecanymi łuną pożaru paszczkami, a Taśmina jak upiór trupim migąła blaskiem. Widziałem jak w dzień Mohylskiego, stojącego spokojnie na środku dziedzińca i chwytającą się nóg jego córkę. Dowiedziałem się później, iż ów kościelny sługa spalił się wraz z domem.

Przed świtem posłyszałem kroki dwóch ludzi zbliżających się do przystani. Nieśli oni coś ciężkiego w radnie⁶², złożyli na łodzi i zabierali się do odpłynięcia.

⁶¹ *Szostowa przystań* – przystań na rzece Szosta w dawn. guberni czernihowskiej.

⁶² *Radno* – dawn. grube, zgrzebne płótno, utkane z najgorszej przędzy.

Wtedy wyskoczyłem z ukrycia i w jednym z nich poznałem Makara. Myśl jak piorun przemknęła mi przez głowę, iż obitą moją matkę niosą, by utopić w splawach – i kijem, co go miałem w dłoni, tak silnie przez pól uderzyłem Makara, że ten spadł z łodzi jak bodziak od uderzenia kosy. Drugi uciekł, myśląc że widzi złego ducha, a ja wskoczyłem do łodzi i odepchnąłem ją od brzegu, a potem jak łyska pod oczeretami przekradłem się do splawów.

Matka moja była oćwiczoną od szyi do stóp samych. Krew z niej lała się i zupełnie zwilgotniła radno. Jest na Taśminie wyspa wśród niedostępnych oczeretów, która była niegdyś własnością chłopca z Werhun⁶³, lecz od niego kupił ją Mohylski, założył fruktowy ogród, zbudował chatę i tam liczną hodował pasiekę. Ścieżkę do niej znał Mohylski, znałem ja, pasiecznik i bodaj czy kto więcej. Tam często lubiła przesiadywać Laszka i matka moja miała zakopane pieniądze. Korzystając z trwogi i zamieszania, jakie panowały w Hulajgrodzie, zawiąłem do tej wyspy, opowiedziałem pasiecznikowi przypadek zmyślonym sposobem i zabrałem wszystkie rzeczy i pieniądze mojej matki. Bielizny była spora wiązka, a pieniądze srebrnych garnuszek. Złożyłem to wszystko do czółna i już chciałem płynąć na brzeg przeciwny, gdy postrzegłem, iż stan mojej matki wymagał rychłej pomocy. Zapłynąłem więc w oczerety, obmyłem moją matkę ze krwi, przewiązałem rany, skleciłem kureń⁶⁴ ze trzyciny i tam ją trzymałem trzy doby. Ale krwi z niej spłynęło tak dużo, iż chora o samej północy dnia czwartego wyzionęła ducha. Długo siedziałem nad trupem, oganiając owady i robactwo i nie wiedziałem, co zrobić z ciałem i co z sobą. Na koniec następnej nocy położyłem trupa w czółno i popłynąłem do Werhun, wioski leżącej przeciwko Hulajgrodu. Wyciągnąłem go na brzeg, zarzuciłem na ramiona i o samej północy zaniósłem do księdza. Tam położyłem na przyźbie⁶⁵ pod chatą, nakryłem radnem, a sam podniósłszy okienko, huknąłem do chaty: Panocze – ha panocze! Pochowajcie tego oto trupa, który leży u was na przyźbie – i odprawcie Mszę Świętą za duszę nieboszczki – a oto wam zapłata. I to rzekłszy, cisnąłem do środka garść pieniędzy, a sam uciekłem do Taśminy.

Dopadłszy czółna, wypląnąłem na środek Taśminy i sam jeszcze nie wiedziałem, dokąd się udam. Dziwna, jak to czasem losy całego naszego życia zależą od jakiegoś małego wypadku! Zjechałem na splawie czaplę i czas niejaki, myśląc zupełnie o czym innym, patrzyłem na nią. Potem przyszła mi dziwaczna myśl do głowy, zawróżyć na nią. Dokąd ta czapla polecą, powiedziałem sam do siebie, w tę stronę i ja powędruję... I oto zerwała się ona, pokrażyła nad Taśminą i pociągnęła za pisarską groblę... Świtało już i na jasnym niebie wschodu widziałem długo, długo jeszcze, jak leciała ponad rzeką i na koniec roztopiła się w oczach... Zaraz przeżegnałem się i rozpędziłem łódź

⁶³ *Werhuny* – wieś na lewym brzegu Taśminy, powiat czerkaski.

⁶⁴ *Kureń* – chata bez komina, tu: w postaci szałas.

⁶⁵ *Przyźba* – wał usypany z ziemi dokoła podmurówki dawnej chaty wiejskiej.

moją ku grobli. Wstałem z niej, raz jeszcze rzuciłem okiem na Hulajgród, zapłakałem za Laszką – a potem ponad brzegiem Taśminy udałem się pieszo do Medwedówki, a stamtąd do Czechryna. W Czechrynie trafiłem na jarmark i ludzie, co przyjechali od *Orłowej Bałki*⁶⁶ powiadali, że tam zbierają się burłaki⁶⁷ i chcą iść na Polskę. Zaraz kupiłem rusznicę na bazarze i wprosiłem się do jednego chłopca, ażeby mnie podwiózł w tamte strony. Po całodziennej podróży nazajutrz wjechaliśmy na stepy szerokie jak tylko zajrzeć okiem. Oj, pierwszy to raz obaczyłem stepy i z początku zajmowały mnie one swym bezgraniczem, ale wkrótce nawiały tęsknotę... Upał był nieznośny – woły ledwie stąpały po drodze – a ja siedziałem znużony, a duma goniła za dumą i serce czegoś bolało, jakby je kto brał w rękę i co moment ścisnął. Zasnąłem – i we śnie widziałem Hulajgród i Laszkę z tymi wstążkami, w tej samej koszuli, jak była ubraną raz ostatni – a ja niby przyjechałem na koniu o czterech czerwonych skrzydłach, siejącym ogień, zupełnie jak diabli malowani w cerkiewnym *prytworze*⁶⁸. Potem niby byłem gdzieś w mieście, takim jak Smiła, a na bazarze jego rosło żyto bujne i wysokie, które ścinaliśmy kosami i nakosili dużo... Na koniec przechodziłem przez jakieś bagnisko, grzęznąc po pas w błocie, z wojskiem niezliczonym jak stada kawek, co to jesienią obsiadają pola – i spotkaliśmy mnóstwo kobiet trzepiących konopie. Na żerdziach leżały *powisma*⁶⁹ w takim mnóstwie, iż każdy z nas wziął po jednym i starczyły dla wszystkich, a owe kobiety oddawały nam je, nie rzekłszy ani słowa... Gdy obudziłem się, pot zimny wystąpił mi na czoło, a serce stukało, jakbym bez oddechu biegł przez łan cały. O południu stanęliśmy na popas przy kurenium stepowym. Pierwszy to raz w życiu, wszedłszy do środka, zachciało mi się wódki, ale pragnieniem takim, iż ubiłbym tego, kto by mi jej wzbroniał. Tam zastałem czterech ludzi, ogorzałych, brodatych, w podartych koszulach i spodniach, pijących za stołem. Zaczęli mnie pytać, dokąd jadę, i ja podпиты opowiedziałem im wszystko, co zrobiłem już i co zrobić myślę.

– Kupże dla nas wódki – rzekli – a my ci zaśpiewamy piosenkę do snu.

Postawiłem przed nimi flaszkę – oni ją podsunęli ku sobie i częstowali się wzajemnie. Ubodło mnie tylko, iż na mnie żadnej nie zwracali uwagi. Gdy wypróżnili naczynie, jeden z nich zapytał:

– Cóż teraz myślisz robić z sobą?

– Szukam watażki – rzekłem.

– A jak znajdziesz?

⁶⁶ *Orłowa Bałka* – wieś w dawn. powiecie ustinowskim, na Zaporozżu.

⁶⁷ *Burłak* – robotnik rzeczny w Rosji, pracujący przy wioślach lub przy holowaniu statków na linie.

⁶⁸ *Prytwor* – (przedśionek) część świątyni, gdzie w pierwszych wiekach chrześcijaństwa stali ci, którzy przygotowywali się do przyjęcia chrztu świętego, zwani katechumenami (ukr. ohtaszenni), jak również pokutnicy, grzesznicy i heretycy.

⁶⁹ *Powisma* – dawn. splecione przedziwo.

– Pójdę z nim na Polskę.
 Na te słowa zaśmiali się w głos wszyscy.

– No, a jak przyjdiesz do Polski, zapewne wstąpisz do Laszki, co tam biedna tęskni po tobie?

– Pójdę, żeby zabić jej ojca!

– E..., daj pokój! – rzekł inny. – Psiawiarski Lach, widać zawzięty; dał radę niejednemu i jeszcze księżowskiego rodu, co to silni i zdrowi, bo śpią na pierzynach, a karmią się knyszami⁷⁰, toż on ciebie zarznie jak ciele.

– Łzesz, czortów synu! – krzyknąłem w gniewie.

– Łzesz, i ja mówię – dodał inny, niby ujmując się za mną. – Ale przyznaj się no nam, Kozacze: czy nie obracałeś ty różna na kuchni u jakiego Lacha, bo to sztuka lepsza nad inne? Watażka rozsyła chłopców swoich, żeby mu znaleźli takiego rzeźmieślnika – i znaleźć nie może.

– Różna jak różna – wtrącił trzeci – ale ja coś zgaduję, że szablą musisz robić jak żołnierz. Był już u nas jeden taki i przyznał się, że opędzając gałęzią muchy od jejmości, nauczył się machać jak pałaszem.

– Daj pokój! – odezwał się znowu pierwszy. – Dość spojrzeć na niego, żeby się przekonać, że *horował* (cierpiał) biedaczysko. Twarz ogorzała, koszula gruba i zasmolona, ręce spracowane, a pleców nie znać od batogów. (A ja miałem twarz białą, koszulę cienką i ręce delikatne.)

– U nas to, bracie, życie! – odezwał się czwarty. – A na Zaporozu – raj prawdziwy! Nic sobie nie robisz – a jeść i pić masz, ot, dopóty czego tylko dusza zapagnie. I prązniki⁷¹ ciągle. Ale żebyś został przyjęty do kurenia, dwóch potrzeba rzeczy. Najprzód – trzeba umieć grać w *rzemyka*⁷², a po wtóre – mieć wasy.

I to mówiąc, dobył rzemyka z kieszeni, złożył we dwoje, zwinął w kółko i położywszy na stole, kazał trafiać sztydłem w sam środek. – Tylkoż chłopcze nie gramy na wiatr – dostań no pieniędzy. Jak zaczęli mnie poić wraże syny i grać takim sposobem, przegrałem im wszystko, com miał w worku. Wtedy jeden z nich dostał sadyz z komina, wysmarował nią palce i porobił mi wasy. Nie pamiętam dobrze, co było potem, bo zwaliwszy się na ziemię, zasnąłem; a gdy się obudziłem nazajutrz, moich towarzyszy już nie było, ja pozostałem bez grosza przy duszy i bez kawałka chleba, czym bym mógł głód zaspokoić.

Wtedy mnie ogarnęła złość i zastawiwszy ostatnią siermięgę, upiłem się po raz drugi. Jeszczem siedział nad flaszką, gdy z podwórza dał się słyszeć tętent koni

⁷⁰ *Knysz* – kawałki strudla z nadzieniem z ugotowanej kaszy gryczanej, wymieszanej ze zrumienioną na skwarkach cebulą.

⁷¹ *Prażnik* – święto.

⁷² *Rzemyki* – gra wymyślona i praktykowana przez oszustów na jarmarkach.

i kilkunastu jeźdźców z nahajkami i spisami, a niektórzy z rusznicami przewieszonymi przez ramię, stanęli przed karczmą. Ten, który wszedł najprzód, był to Kozak średniego wzrostu, średniej tuszy, żylasty, ale chudy na twarzy, wąsy miał rude, niewielkie, brodę rzadką, a oczy przenikliwe i biegające. Żupan na nim z siniej kitajki⁷³ był dobrze już wytarty, a zbroi nie miał żadnej prócz sprężystej nahajki, której uderzeniem drzwi otworzył. Postrzegłszy mnie, zapytał: – A to co za *pisanka*?⁷⁴ Opowiedziałem mu wszystko. Kozak patrzył mi w oczy przenikliwe, a potem rzekł do swoich: – Ej, czy nie szpieg to tylko?... Powiedz no prawdę, bo jak psa cię powieszę. I skroił mnie nahajką przez plecy, że aż mi iskry zabłysnęły w oczach. Potem przetrząsnęto mi kieszenie, buty, czapkę i gdy znaleziono kawał papieru, w który zawijałem słoninę w drodze, polskie na nim pismo, wprawiło mnie w tym większe podejrzenie. Kto wie? Może bym zadyndał na wrotach, jeśli by nie przyszło na myśl watażce kazać mi przeżegnać się i zmówić pacierz. Widząc, że modłę się po chłopsku, roześmiał się i rzekł: – No *pisanko*, pojedziesz z nami. Ale czy znasz ty dobrze żabotyńskie lasy? Odpowiedziałem, że znam, bom nieraz wzdłuż i poprzek chodził przez nie z łańcuchem przy Mohylskim. – Zabrać więc go! – Powtórzył znowu i od tego czasu zaczęli mnie Kozacy nazywać *pisanką*.

Kazano mi wsiąść na konia za plecami jeźdźca i tak pokłusowaliśmy w stepy. Jadąc, dowiedziałem się, iż starszy Kozak nazywał się Maksym Żeleźniak i chodził z szajką na pograniczne powiaty polskie. Kiedy dziś przypominam sobie, jak była wtedy licha to garstka, jak nie miała obuwia, odzieży, broni ani pieniędzy, to wydziwić się nie mogę; a gdybym nie patrzył na wszystko własnymi oczami, to bym nie uwierzył, że ten sam Żeleźniak będzie miał do tysiąca ludzi, w krótkim czasie zabierze Smiłę, Zwinogródkę, Łysiankę; że z ogromnym wojskiem podstąpi pod Humań i sprawi tam rzeź, jakiej nie pamiętają ludzie; że nazwie się na koniec księciem smielańskim i cała Ukraina na jedno wspomnienie jego nazwiska drżeć będzie. Ale że to był zuch, to widać było z jego twarzy. Ujechawszy hoń⁷⁵ z dziesięć, zawróciliśmy z drogi i przez ogromne burzany pociągnęli w stepy, trzymając się zawsze jarów i bałek, a nie pokazując się na górach z obawy, żebyśmy nie zostali postrzeżeni przez elizaweckich pandurów. Zostawiliśmy na prawo czutowskie lasy i ponad Ingulec⁷⁶, o zmroku już, zajechali w jar duży, porośły bodiakami i burzanem tak wysokim, iż koń się w nich skrywał zupełnie. Tu stał tabor Żeleźniaka złożony z kilku wozów, przy których porobiono z burzanu pokrycia dla ochrony od deszczu i upału; opodal pasły się

⁷³ *Sinia kitajka* – gładka tkanina bawełniana lub jedwabna, tu koloru ciemnoniebieskiego (siniego).

⁷⁴ *Pisanka* – tu: nawiązanie do wyglądu Nestora, którego ciało było pokryte bliznami – jak pisanka wzorami.

⁷⁵ *Honia (goń)* – w zachodniej Rusi: nieoficjalna jednostka długości, jaką pokonywał koń zaprzężony w pług do nawrotu, licząca od 80 do 120 kroków.

⁷⁶ *Ingulec* – rzeka w dawn. guberni chersońskiej, prawy dopływ Dniepru.

konie, a przy wozach kilkunastu Kozaków leżało lub siedziało, pałac fajki i gotując kulesz w kociołku.

- *Puhu*⁷⁷, Kozaki! – odezwał się Żeleźniak, zbliżywszy się ku nim.
- *Z łuhu!* – odpowiedzieli mu, ale ani się poruszyli z miejsc swoich.
- Czy powrócił Pańko?
- Jeszcze w nocy, ale śpi, ot tam, pod wozem.

Rozbudzili Pańka i ten rozmawiał o czymś długo z watażką. Po czym Żeleźniak kazał posiadać świeże konie i wybrał dwunastu do wycieczki.

Nikt nie wiedział, dokąd udawał się watażka; ale ta nocna wyprawa tak mnie zajęła, iż odważyłem się prosić Żeleźniaka, by mi pozwolił należeć do niej. Bogu jednemu wiadomo, com przecierpiał szyderstw i śmiechu od Kozaków. Z rusznicy strzelać umiałem doskonale, ale w życiu moim nie miałem w ręce spisy. Każdy z Kozaków uzbroił się teraz dobrze, a nadto zabrali noże i po pęku powrozów, które uwiązali w trokach. Księżyc nie świecił – noc była cicha, ale ciemna. Pańko z Żeleźniakiem na przedzie, a my za nimi sznurkiem, pociągnęli w stopy. Pewnie była już północ, gdy zjechaliśmy na szlak szeroki i bity, idący z Kremeńczuga⁷⁸ do Elizawetu⁷⁹. Wtedy Pańko zsiadł z konia i poszedł naprzód drogą, przypatrywał się czegoś do niej, coś zbierał i po chwili powrócił. – A co? – zapytał Żeleźniak półgłosem. Pańko skinął głową. – Jedźmyż... – i pojechaliśmy noga za nogą, przestrzegając jak największą ciszę. Na rozdole przy strumieniu postrzegliśmy kilkanaście powózek ruskich, postawionych szeregiem. Spętane konie pały się nieopodal – ognisko dopalało się, a jakiś człowiek z białą głową stał na warcie. Zostawiwszy konie na ręce dwóch Kozaków, zbliżyliśmy się po cichu z nahajkami i powrozami w rękach. Wartownik wyszedł na spotkanie. – *Puhu!* – odezwał się z cicha. – *Z łuhu!* – odpowiedział mu Żeleźniak i wskazał palcem na śpiących. Stróż skinął głową i pantominami wskazywał, ażeby wzięto się do wiązania. Gdy Kozacy przystąpili do uspionych pod kożuchami kupców, Żeleźniak tymczasem najspokojniej chodził około wozów i macał towary. Zostałem sam tylko bezczynny. – A cóż ty, *pisanko?* – szepnął mi groźnie watażka nad uchem i targnął za czuprynę – przyjechałeś łuszczyć nasiona? – Krew mi uderzyła do głowy... obejrzałem się... nieopodal ode mnie leżał siwobrody kacap⁸⁰, barczysty, ogromny, z nożem i rusznicą przy boku. Jak wilk rzuciłem się na niego – nadeptałem kolaniem piersi i rozwinąłem powróż. Wtem obudzeni kupcy zaczęli krzyczeć, wyrwać się i wszczęło się borykanie, przerywane pruciem noża, dławieniem i śmiertelną chrypką. Kacap, na którego rzuciłem się, porwał noża i zamachnąwszy nim, zrobił mi

⁷⁷ *Puhu...* *Z łuhu* – zwyczajowe przywitanie Kozaków zaporoskich.

⁷⁸ *Kremeńczug* – miasto powiatowe w dawn. guberni połtańskiej nad Dnieprem.

⁷⁹ *Elizawet* (*Elizabetgród*, *Elizawetgrad*) – miasto powiatowe w dawn. guberni chersońskiej.

⁸⁰ *Kacap* – pogardliwie o Rosjaninie.

szeroką bruzdę przez prawą rękę. Ból przejął mnie aż do serca... ścisnąłem zęby – przypadłem jak rosomacha⁸¹ do jego piersi – wcisnąłem mu kulaka w gębę i nożem przebiłem szyję na wylot. Podniosłem natenczas oczy i postrzegłem, iż Żeleźniak z lulką w zębach stał nade mną.

– Dobrze, chłopcze! – rzekł mi. – Tylko tak od razu nie należy... ucz się od moich chłopców... Oni im szamotać się nie dali długo.

Jak słowo rzec, wszyscy już byli powiązani. Żeby nie słychać było jęku, wpakowano jednemu czapkę, drugiemu grudkę, innemu kamień w gębę.

Żeleźniak kazał złożyć ich na wozy, pozaprzągać konie i nie zwłócząc ani chwili, ruszyliśmy w stepy. Zajechawszy w najbliższą bałkę⁸², zatrzymaliśmy się w burzanach i zaczęli przetrząsać kieszenie i towary. Tu wszczęła się kłótnia między Kozakami o podział i skończyłyby się pewnie bójką powszechną, jeśli by Żeleźniak, skroiwszy nahajką tego i owego, nie uciszył ich takim sposobem. Przypadek zdarzył, iż w trzosie zarzniętego przeze mnie kacapa znalazło się najwięcej pieniędzy. Żeleźniak dał mi z nich garść całą, a resztę zsywał do kupy na przesłaną na ziemi burkę. Potem kazał nam ostąpić go dokoła i po kolei dawał po garści każdemu. Gdy obdzielił wszystkich, dawał po drugiej, aż rozdzielił wszystko. Nareszcie wypiliśmy wódkę, ile jej było; po czym Żeleźniak kazał czterem z nas przydziać się w kacapskie kolorowe koszule i kaftany i wysłał ich z temiż powózkami do Elizawetu, zaleciwszy uprzednio wykonać przysięgę na krzyż święty i zjeść ziemię, jako nie zatają nic z tego, co wezmą od sprzedaży. Później już dowiedziałem się, jakim sposobem kupcy ci wpadli w ręce nasze. Pańko Bezhubij z drugim – Ołeksą Szulakiem, co to później sam został wiadomym watażką, będąc w Kremeńczugu, dowiedzieli się, iż siedem powózek kupieckich ma wyjść do Elizawetu. Ołeksa najął się do nich za przewodnika, umówiwszy się uprzednio z Pańkiem, gdzie ma zaprowadzić Żeleźniaka: że będzie sywał po drodze harbusowe nasiona⁸³ na znak, iż przeszedł po niej, a na noclegu, stojąc na warcie, zawiąże białą chustką głowę.

– Pierwszy to raz w życiu rznałem człowieka jak kure – mówił mi potem Nestor – a choć serce zapiekło się we mnie od czasu, jak wpatrzyłem się w pokrajany różgami trup mojej matki, ale straszno zrobiło się w duszy... Świat boży przemienił mi się w oczach i nie wiem, co bym dał za to, żebym znowu mógł zostać czysty, jak byłem pierwiej. W jednej koszuli latałem po stepach, a zdało mi się zawsze, że jakiś ciężar noszę z sobą... Pamiętam – zostawiwszy trupów na pastwę wilków i szulaków (bo nie zakopywaliśmy ich nigdy z tej przyczyny, że zakopany mógłby być znalezionym i poznanym, a ptaki i zwierzęta objedzą ich tak, że śladu nie pozostanie), zabrnęliśmy

⁸¹ *Rosomacha* – rosomak.

⁸² *Bałka* – suchy jar stepowy.

⁸³ *Harbusowe nasiona* – nasiona arbuza.

w step dalej od drogi. Obawiając się napadu, spaliśmy zawsze takim sposobem: konie jeden lub dwóch z nas odprowadzali opodal, a my rozchodziliśmy się na wsze strony i kładli się w burzany osobno. Moi towarzysze zasnęli natychmiast, a ja leżałem – tarzałem się – i zasnąć nie mogłem. Słońce już podjęło się wysoko – nastąpił upał i wiatr taką na mnie nawiał tęsknotę, żem siedząc na ziemi, rozpląkał się jak dziecię... , ale był to mój płacz i ostatni!...

Już nie powróciliśmy na to samo miejsce, skąd wyszli; lecz obóz nasz znaleźli przeniesionym bliżej ku Dnieprowi. Obawialiśmy się, żeby Kozacy wysłani z towarami, gdyby ich połowiono przypadkiem, nie wydali na torturach miejsca pobytu i zawsze nikt z nas prócz Żeleźniaka nie wiedział miejsca koczowiska. Ale i towarzystwo nasze nie zawsze trzymało się kupy. Dostawszy cokolwiek pieniędzy, wnet rozłazili się po traktach i wszystko, co mieli, przepijali w pierwszym na drodze szynku. Żeleźniak rozpuścił wszystkich na dni dziesięć i mnie tylko zostawił przy sobie.

Od tego czasu zaczęło się bujne moje życie na stepach i w rozbojach. Opaliłem się... ręce mi zgrubiały, nauczyłem się robić pałaszem i spisą, kraść tabuny i zwiedziłem stepy aż do jedyczkulskiej hordy⁸⁴. Na Zaporozżu⁸⁵ bywaliśmy nieczęsto, a raz tylko w Koszu. Żeleźniak, chociaż liczył się Kozakiem tymoszewskiego kurenia wraz z rodzonym swym bratem, ale nie widziano go nigdy w Koszu ani pałance⁸⁶. Nikt z Zaporozców⁸⁷ nie wiedział, gdzie się on obraca przez całe lato; zimę zaś przesiadywał często u ojca w jego zimowniku nad Hromokleją⁸⁸. Ojciec jego był to Zaporoziec jeszcze tych dawnych Zaporozców, co pamiętali Sierka⁸⁹ i zburzenie Czehryna⁹⁰. – „Synu – powiedział Maksymowi razu jednego, gdy mu ten przywiózł lackie aksamity i sukna – pohany to gościniec, nie po kozacku ty robisz! Ja byłem Zaporozcem, a ty podobno zostałeś hajdamaką. Ja w czystym polu i w dzień biały dobywałem zdobyczy, a ty obdzierasz kupców i Żydów nocą, w komorach i na drogach. Het z oczu, nie dówódź mnie do grzechu, bo jak psa cię zabiję!”. Od tego czasu nie byliśmy tam więcej.

Za to w pałance mieliśmy dosyć takich, którzy chodzili z nami na Polskę i poddawiali drugich. Uptłynął rok cały mojej u Żeleźniaka służby. Szajek u nas było kilka, ale w różnych stronach: jedna pod łebedyńskim monasterem, druga w motroreńskich

⁸⁴ *Jedyczkulska horda* – orda tatarska koczująca nad brzegiem Morza Azowskiego, na północny wschód od Krymu.

⁸⁵ *Zaporozże* – historyczna nazwa terytorium nad dolnym Dnieprem, leżącego poniżej tzw. porohów (progów skalnych na rzece).

⁸⁶ *Pałanka* – u Zaporozców: siedziba pułkownika i starszyny oraz obwód podlegający jego władzy.

⁸⁷ *Zaporoziec* – Kozak, mieszkaniec Zaporozża.

⁸⁸ *Hromokleja* (inaczej: *Inguł*) – rzeka w guberni chersońskiej.

⁸⁹ *Sierko* – Iwan Dmytrowycz Sirko (1610–1680), kozacki ataman koszowy Siczy Zaporoskiej. Brał udział w powstaniu Chmielnickiego oraz wielu wyprawach i starciach z Turkami i Tatarami.

⁹⁰ *Zburzenie Czehryna* – zburzenie twierdzy w Czehryniu i samego miasta przez Turków w 1678 roku.

lasach, a trzecia w szutowskich, w Serbii⁹¹. Tamte napadały na dwory lackie i na Żydów, a ta na kupców i tabuny. Pod jesień zaczęły dochodzić do nas słuchy, że gubernator humański Mładanowicz z setnikiem Gontą dużo przełowili hajdamaków i na pal powbijali, a konfederaci dochodzili aż do starostwa czehryńskiego. Że to była prawda, a nie bajka, przekonaliśmy się stąd, iż z szajki naszej łebedyńskiej trzech tylko pozostało. Żeleźniak miał zażyłość z Ihumenem motroneńskiego monasteru i często przesiadywał u niego po miesięcy kilka. Ostatnim razem przyjechał on ze mną jesienią i przywiózł trzy bryki gościńców dla Ihumena. Tu dowiedzieliśmy się, iż lacki ksiądz Kostecki był w Smile i rozkazał gubernatorom porobić wszystkich chłopów do Wielkiejnocy unitami. Zaczęli zjeżdżać się do nas ze wszystkich stron księża, byli mieszczanie i Zaporozcy, a z narad i często przesyłanych listów zgadywałem, że się zanosi na coś większego, jak było dotąd.

Drugiego tygodnia Wielkiego Postu kazał mi Żeleźniak jechać do Smiły i tam, zostawszy niby *najmytem*⁹² u ojca Nikifora, podmawiać lud do buntu. Oj, jakże byłem rad temu zleceniu! Wiedziałem już, że Laszka od spalenia się domku Mohylskiego bawiła w Smile na zamku u gubernatora Dobrzyńskiego; że już przestała nosić nasz ubiór, a przywdziała lackie suknie; że wyrosła i wyładniała; a chociaż przeczuwałem, iż przez to samo straconą dla mnie została na zawsze, ale serce ciągnęło mnie tamte dy, żeby ją choć obaczyć, żeby choć być tam, gdzie jest ona... To tęskniłem za nią, to znowu kłąłem ją na czym świat stoi, a za co? Sam nie wiedziałem, bo cóż mi ona zrobiła złego? Już siodłałem konia, gdy Ihumen otworzył okno od swojej celi i skinął, żebym szedł do niego. Tam on zaszczepnął drzwi i z cicha, ale z rozplamienionymi oczami, rzekł do mnie:

– Synu, nad głowami Lachów zbierają się chmury... Biesów ksiądz Kostecki, dokażę mu, nie będzie tu panował! Jak nie wyrzniemy ich, to oni nas puszcza z torbami... Zaporozie obiecało nam pomoc, a pan Żeleźniak będzie hetmanem Ukrainy i będzie, jak było po dawnemu! Wszyscy są z nami, ale nam trzeba więcej ludzi orężnych, a w smilańskim zamku jest milicyjnych żołnierzy ze sto. Otóż siedź tam – podmawiaj wszystkich i przygotuj na dobry koniec sprawę naszą!

Zaledwie Nestor wyszedł z izby, gdy przed ganek zajechała kryta, zielona bryczka, czterema zaprzężona końmi, wyszedł z niej mężczyzna lat około czterdziestu, o dużych czarnych wąsach, w kożuszku siną pokrytym kitajką, a z nim dwie kobiety; jedna niemłoda, druga w samym kwiecie wieku z czarnymi oczyma, na które, gdy spojrział Nestor, zbladł jak ściana, bo poznał z nich córkę Mohylskiego.

⁹¹ *Serbia (Nowoserbia)* – terytorium w dawn. guberni chersońskiej, przed rozbiorem graniczące od północy i zachodu z Rzeczpospolitą, od wschodu zamknięta Dnieprem, a od południa okolone posiadłościami Kozaków siczowych.

⁹² *Najmyta* – najemny żołnierz.

Józia spojrzała mu w oczy, przechodząc obok, ale go nie poznała. I nie dziw; Nestor już nie był tym młodym, ładnym chłopcem, jakim go przywykła widzieć w Hulajgrodzie. Od tego czasu upływał rok trzeci, a stopowe życie pod słońcem i na wiatrach zmieniło jego oblicze, opaliło je i usta czarnym pokryło wąsem.

Nestor przystąpił do furmana i wszedł z nim w rozmowę.

– Kto to przyjechał do ojca Ihumena? – zapytał.

– Chybaż ty nietutejszy? – rzekł furman. – Pułkownik Kwaśniewski z Mielnikówki.

– A te panie?

– Jedna żona pułkownika, a druga Laszka ze Smiły, córka Mohylskiego.

– Dokądże wy jedziecie?

– Do Smiły – odwozimy Laszkę do ojca.

– Cóż ona u was robiła?

– Nic nie robiła; at, siedziała sobie, *taj hody!*⁹³ Pani nasza często ją bierze do siebie, żeby samej nie było tęskno.

– A jak w Smile, to gdzież ona mieszka?

– Na zamku u gubernatora; bo i stary teraz częściej przesiaduje w Smile, jak w Hulajgrodzie. Od czasu, jak dom mu się spalił wraz z księżmi, powiadają, że w nowym coś tłucze się, że ani sposobu tam mieszkać. I ksiądz święcił, ale nic nie pomaga.

– Cóż to, że ona dotąd nie wyszła za mąż?

– A czart ją tam wie! – odbąknął furman obojętnie i głupowatym okiem patrząc na Nestora. – Dziewka hoża; Lachów w Smile dużo, szczerzy do wszystkich zęby.

Nestor tymczasem osiodłał konia i po chwili skrył się w gęstym lesie, co się rozścielał od bram monasteru do Żabotyń. Gdy znalazł się samotnym, wstrzymał wierzchowca, zwolnił mu cugle; koń poszedł stępem, a on pochylony na siodle dumiał a dumiał. Jakoś mu tak dziwnie wszystka przeszłość ocknęła się w pamięci, że zebrać wrażeń swych nie umiał.

– Nie – rzekł na koniec do siebie, a oczy mu niezwykłym zapałały blaskiem. – Nie żyć mi z Laszką... ona niewinna i czysta... a ja... o, gdzież wy moje młode lata!

Nestor, przyjechawszy do Smiły, stanął w domu ojca Nikifora i wieczorem udał się na miasto. W karczmie poznał się z żołnierzami zamkowymi, ucęstował ich gorzałką i miodem i hulał z nimi do północy. Przyjaciele ojca Nikifora zaprowadzili go nazajutrz do swych znajomych, do szlachty i bogatszych chłopów; ci nawzajem odwiedzili Nestora – i niespełna w tydzień znany on został wszystkim mieszkańcom Smiły. Parobcy go szanowali i słuchali, a dziewczęta przepadały za nim, bo i pił dobrze, i grał na teorbanie⁹⁴, a tańczył, że aż miło. Podczas Wielkiego Postu nie chodzono na ulice, ale za to były wieczornice i doświtki, na które w umówionym

⁹³ *Daj spokój.*

⁹⁴ *Teorban* – dawny instrument muzyczny, lutnia basowa.

miejscu zbierała się młodzież, i gdy dziewczęta przędły lub szyły, chłopcy tymczasem zalecali się, przygrywali na sopilkach⁹⁵ i teorbanach. Nestor rej wodził wszędzie, a dziewczęta hurmem zbierały się w to miejsce, gdzie on bawił, i niejedna zazdrościła szczęśliwej rówieśnicy, z którą on poszeptał za przełazem.

Lecz jedna tylko była dziewczyna, do której Ignął bardziej. Była to młoda Ukrainka, Oksana z Hulajgrodu, służąca Józi Mohylskiej. Dla niej on sprawiał wieczornice, najmował muzykę, słowem, robił, co mu kazała, i zawsze był gdzie ona. Kiedy tak dokazuje Nestor i w tych hulankach usposabia młodzież i żołnierzy do nieposłuszeństwa i zemsty nad Lachami, tymczasem w zamku nikt nie domyślał się gotującej się burzy i Wielki Post spędzano na modlitwach. Na koniec nastąpiła Wielkanoc. Wielkanoc na Ukrainie to święto najuroczystsze, najweselsze ze wszystkich świąt dorocznych. Każdy, od wieśniaka do pana, gotuje wtedy co najlepszego na stoły i stroi się w nową odzież. *Chrystos woskres!* – brzmi we wszystkich ustach i zastępuje zwykłą formułę powitania. Zamieniają pisanki i kraszanki⁹⁶ i całują się po trzykroć usta, starzy i młodzi, parobcy i dziewczęta. Ulice do późnej nocy przepełnione są ludem strojnym w jaskrawe szaty, snują się chorowodami⁹⁷ parobcy i dziewczęta, a pieśni i teorbany brzmią na rynku i het po wszystkich zaułkach miasta. Zamek magnata i uboga chatka wieśniaka, ubielone, umiecione natenczas, i wioski z rozkwitającymi sadami wyglądają jak wianki zielone różnobarwnym przeplecione kwieciami.

Na zamku smieleńskim było równie uroczyście i wesoło. Z rana po mszy udali się wszyscy mieszkańcy Smiły i goście do gubernatora Dobrzańskiego na święcone. Tam już stół, zastawiony obficie ciastami, oczekiwał gości. Między mnóstwem kontuszów z wylotami snuły się mundury kawalerii narodowej i milicji nadwornych panów polskich z Korsunia, Humania i Łysianki. Spomiędzy pierwszych odznaczał się młody towarzysz chorągwi pancерnej Jan Niezabitowicz, brat żony pułkownika Kwaśniewskiego, przybyły z Hulajpola. Od dawna dojeżdżał on do Smiły, bo serce ciągnęło go do młodej Mohylskiej, pięknej jak róża i giętkiej, i wysmukłej jak topola. Kochała go i dziewczyna, bo jak nie kochać chłopca z takimi czarnymi wąsikami, z twarzyczką co jak krew z mlekiem i w mundurze świecącym od stali i złota?

Jeżeli nasze dziewczęta ładne są w każdy dzień powszedni, to któż nie wie, że sto razy piękniejszymi się stają podczas każdego święta, a cóż dopiero święta takiego, jak Wielkanoc? Od uszka do paluszka na nóżce, i sukienka, i ciało, wszystko tam czyste, świeże i wychuchane. Biała sukienka Józi i kilka kwiatów na czarnych jak heban włosach, obrysowały tę giętką postać i tę uroczą twarzyczkę w ramkę, nad które

⁹⁵ *Sopilka* – narodowy instrument Ukrainy, wykonany z twardego drewna, z dziesięcioma otworami palcowymi.

⁹⁶ *Kraszanka* – jajko kurze zabarwione na jeden kolor, ozdoba stołu wielkanocnego.

⁹⁷ *Chorowód* – korowód.

nic już nie można było wymyśleć piękniejszego. Czarne oczy o długich rzęsach tak rozkochały chłopca, że ciągle wzrok swój zwracał ku nim. Co się z nim działo, co on czuł, o czym marzył wtedy? – wy to wiecie moi drodzy przyjaciele, którym Bóg pozwolił kochać i być kochanym przez takie jak Józia istotki. Pułkownikowa Kwaśniewska umiała poznać się na wdziękach i przymiotach Józki, a pokochawszy ją jak córkę, szczerze pragnęła ożenić z nią brata. Łatwo jej przyszło zbliżyć ich ku sobie i nie potrzeba było namowy, ażeby wzajemne rozbudzić w obojgu uczucia. Nasz młody rycerz od pierwszej chwili poznania zakochał się zapamiętale; bo jeszcze nie widział w życiu swoim tak pięknych oczu, nie słyszał tak dźwięcznego głosu; a Józka, raz pozwoliwszy sercu rozpatrzeć się bliżej w marzeniach, które lubiła przywoływać ku sobie, ani się postrzegła, jak poddała się ich tajemniczej potędze i już odtąd żyła pod ich wpływem. To była miłość dwojga serc czystych, młodych, silnych nie ideałami poczerpniętymi z poetów i książek, ale uczuciem wyczerpniętym z siebie, zgotowanym w łonie pod tajemniczym wpływem ukraińskiego nieba, rozkwitłym z taką siłą i wdziękiem jak kwitną stepowe obszary i lasy. To była miłość, jakiej dziś nie ma już podobno między nami, bo nie ma w nas samych; ta prosta, silna, co pysznym rozkwitała kwiatem i jędrnym zdołała się owocem. Objawy jej, jak chcecie, dwojako uważać można. Piękne są i czyste lub śmieszne i naiwne – dla widza. Było w niej życie, choć może zbywało na artystycznej formie; dziś – wiele w niej szlachetnego wdzięku, za mało życia.

Trzeciego dnia świąt, już o zmroku, Kwaśniewska z Józką weszły do swego pokoju w oficynie zamkowej i usiadły przy otwartym oknie.

– Czy ty długo, swawolnico, będziesz mi męczyć mego chłopca? – zapytała Kwaśniewska Józkę, śmiejąc się i przegarniając krucze jej włosy, spadające na czoło.

– Ciociu, serce, to on mnie męczy... – szepnęła Józka, całując namiętnie jej rękę.

– Co ty pleciesz? Przyjechał chłopiec jak róża, a teraz choć puść go z wiatrem. Niech no mi, broń Boże, zachoruje, jak ciebie kocham, wyjadę i nie powrócę nigdy.

– Ja prędzej zachoruję... – skarżyła się dziewczyna – bo ciocia im wierzy, a oni często udają i miłość, i chorobę.

– Ach, ty nic dobrego! Maszże ty sumienie posądzać o takie bałamuctwo mego brata?

Józka uśmiechnęła się, przycisnęła główkę do piersi Pułkownikowej i patrząc jej w oczy szeptała z zadowoleniem:

– Doprawdy ciociu, zdaje mi się samej, że nie na żarty zbałamuciłam chłopca. Mnie wczoraj aż śmiech brał pusty, patrząc, co się z nim działo, gdy mu zaśpiewałam: *Kotyłysia wozy z hory, a w dolyni stały; lubyłysia, kochałysia, teper perestały!*⁹⁸

⁹⁸ *Toczyły się wozy z góry, stanęły w dolinie; lubiły, ochały, a teraz przestały.*

– Patrz mi! Wszyscy mówią: skromna dziewczyna, trzech zliczyć nie umie, a ona bałamuci chłopców jak warszawianka! Powiedz no mi, czy ty nie kochałaś nikogo?

– Nikogo, moja ciociu! Kogoż miałam kochać w tej głuszy, w Hulajgradzie? Moje tylko róże, com je własną ręką sadziła w ogródku przed oknami – i zamysliła się.

– Ej, czy tak?

– Jak ciocię Kocham...

– A skądże zaszła ta awantura z Praksedą? Wszak to głośno o niej mówiono wszędzie? A tenże Kozaczek?

– Ciociu, serce, a grzech wygadywać niestworzone rzeczy! – rzekła Józia, ujawnszy Pułkownikową za obie ręce i z żalem patrząc jej w oczy. – Czyż to ciocia nie wie, jak mnie tatko chował do lat piętnastu? Toż ja chodziłam w świtce i zapasce, ze wstążkami na głowie, jak teraz moja Oksana! Ja byłam wtedy taka głupiuteńka, że aż mi wstyd, jak przypomnę sobie te lata.

– Jaki dziwak twój ojciec! Żeby nie ten wypadek, kto wie, co dziś byłoby z tobą?

– Ach, ciociu, nie gadajmy o tym! Aż mi straszno, jak przypomnę ten pożar...

– Wszystko to tak – ale ja powinnam myśleć o tym, bo tu chodzi o mojego brata. A może ty, bałamutko, dałaś temu parobkowi słowo, a on gdzieś zemknął, może zrobił się Zaporozcem albo hajdamaką i powróci upomnieć się o narzeczoną?

Wtem jakiś szmer dał się słyszeć z alkierza⁹⁹, na który mimowolnie obie wzdrygnęły się kobiety. Już ściemniało – w pokoju nie było świecy – ale wszedł Niezabitolowicz i obawa znikła.

Któż z was, moi słuchacze, nie doświadczał uroku tej szarej godziny z kochanką sam na sam? O, jak wtedy błyszczały dla szczęśliwego Jasia czy Józki? Jak na tle ciemnem białało łono, jak głos jej dźwięczny wibrował w powietrzu? Rycerz nasz był w siódmym niebie i co chwilę osypywał rączkę dziewczyny cichymi pocałunkami, to odbierał swawolne uściśnięcie. Potem wziął gitarę i podając ją Józki, rzekł:

– Niech panna Józka zaśpiewa nam jaką dumkę, tylko nie taką smutną jak wczoraj.

– Dobrze, zaśpiewam weselszą; bo miałabym na sumieniu, żebyś się pan rozplakał.

I szumyt i hude,
Dribnyj deszczyk ide;
Ta ktoż mene, czornobrowu,
Ta do domu odwede!
Obizwawsia Kozak

⁹⁹ Alkierz – przest. mały, boczny pokój, służący za sypialnię.

Na słodkim medu,
Hulaj, hulaj, czarnobrowa,
Ja do domu odwedu¹⁰⁰.

– Czy teraz pan weselszy?
– Weselszy, panno Józefo. A jeszcze byłbym weselszy, żeby panna Józefa zaśpiewała mi ot taką.

I wzięwszy gitarę, przysiadł się i spoglądając boczkiem na Józję, brzęcząc w takt ostrogą, zaśpiewał:

Zostań, zostań, chłopcze lubyj,
Ne pochoty mojej zhuby;
Chot' ja tebe curajusia,
Ale w tobi kochajusia¹⁰¹.

I puścił tę samą zwrotkę znowu po strunach tą skoczną przygawką, które charakteryzują wszystkie ukraińskie piosnki. Józia uśmiechnęła się, a on znowu zaczął:

Pid wikoncem u sadoczku maju ja kałynu,
A w czużoi storonońci kochanu diwczynu;
Sochne moja kałynońka, nikomu pidłyty,
Wiano serce, bo ne możu bez diwczyny żyty.
Osidłaju ja konyka w szowkowe siedełce.
Ta pojedu czerez hory, ta do tebe serce;
Oj, jak lubysz, wyjdy serce do worit striczaty,
A ne lubysz, to...¹⁰²

¹⁰⁰ *I szumi, grzmi,
Drobny deszcz nadciąga;
Któż mnie, czarnobrewa,
Do domu odprowadzi!
Oblizał się Kozak
Od słodkiego miodu,
Hulaj, hulaj, czarnobrewa,
Ja do domu odprowadzę.*

¹⁰¹ *Zostań, zostań, chłopcze luby,
Nie chciej mojej zguby;
Choć ja taka wyniosła,
Ale się w tobie Kocham.*

¹⁰² *Pod okienkiem w sadku mam kalinę,
A w obcym kraju kochaną dziewczynę;*

– Kończże, pan, kończ! – rzekła Józia, tupnąwszy nóżką.

– Nie mogę, panno Józefo! Ja tak kocham, że podobnie zemścić się nie potrafiłbym.

– Zmyśla pan, jak ciocię kocham, zmyśla! Otóż to! A ciocia broni ich jeszcze!

Ja wiem, jak się kończy ta zwrotka: *A ne lubysz, to pojedu inszoi szukały!*¹⁰³ Tak to panowie zawsze; dziś klękają przed jedną, a jutro gotowi przed drugą. Nie zaszkodzi teraz panu wiedzieć, że ja umiem piosnkę, co się tak zaczyna:

Koły lubysz, luby duże,
A ne lubysz – nie żartujże!¹⁰⁴

– Panno Józefo – rzekł towarzysz, klękając – ja nie żartuję; ja kocham nad życie! Proszę mi rzec choć jedno słówko, że mnie kocha panna Józefa, a przekonam, że mówię prawdę.

– Ale kocha cię, kocha, mój ty biedny Jasiu! – przerwała mu Kwaśniewska. – Nie męczże ty mi, powiadam, chłopca, bo już mi żal jego. Pocałujże go i daj mu słowo.

Zalecający się rycerz nie czekał dłużej przyzwolenia i gorący pocałunek wycisnął na karmazynowych ustach Józji. Kwaśniewska uścisnęła ją i pocałowała w czoło, a przez chwilę szczęśliwa para dłoń w dłoni, oko w oko, siedzieli obok siebie i poufną rozmowę do późnej przewlekli pory.

Wysłuchałem co do słowa wszystkiego, mówił mi potem Nestor, z alkierza, dokąd mnie wprowadziła Oksana. Od dawna prosiłem, by mnie puściła do siebie, ale bała się, i zaledwem umówić ją potrafił. Nareszcie podczas świąt, że to był na zamku tumult ludzi, przemknąłem się o zmroku niepostrzeżony, skryłem się za grubę¹⁰⁵ i czekałem, aż się wszyscy spać położą. Głupia dziewczyna ani się domyślała, że nie ona mi w głowie... Gdy się już obie spać pokładły i Oksana weszła do alkierza, głowa mi gorzała, a serce stukało tak silnie, że dziewczyna głowę swą od piersi mojej odjęła z przestachem. Sam nie wiem, czego mi zachciewało się wtedy... Rozmawiałem z Oksaną, a tymczasem przez drzwi na wpuł otwarte przysłuchiwałem się do oddechu, do sennych poruszeń Laszki.

*Usycha kalina, nie ma komu podlać,
Więdnie serce, bo nie może żyć bez dziewczyny.
Osiodłam konika w jedwabnym siodłem.
I pojedę poprzez góry, do ciebie, moje serce;
Jeśli kochasz, wyjdź, serdeńko, do bramy mnie witać,
A jeśli nie kochasz, to...*

¹⁰³ *Jeśli nie lubisz, to pojedę szukać innej.*

¹⁰⁴ *Jeśli kochasz, kochaj mocno,
A nie kochasz – nie żartuj.*

¹⁰⁵ *Gruba – duży piec, w którym palono całe kłody drewna, ogrzewając w ten sposób kilka pomieszczeń.*

– Czy panna twoja ładna? – zapytałem Oksany.
– Ładna i dobra dusza – szepnęła mi dziewczyna. – Słowa mi złego nie powie, nie nałaje nigdy, a zawsze na święta czymś obdarzy. Ot, te monista¹⁰⁶, co mam na szyi, to mi kupiła przed świętami.

– A Laszek?

– I Laszek dobry.

– A panna, czy kocha jego?

– Oj, i bardzo!

– Pokaż mi, Oksano, swoją pannę?

– Nawiedzony! – rzekła Oksana. – Co tobie przyszło do głowy? Jak się obudzi a obaczy, to przestraszy się na wieki, a mnie stary czart na śmierć zaćwiczy.

– Nie bój się – rzekłem. – Ja umiem zamawiać sen, że się nie obudzi.

I nie czekając zezwolenia Oksany, otworzyłem cichutko drzwi od alkierza i na palcach zbliżyłem się do łóża Laszki. Spała ona snem twardym, leżała bokiem, jedną rękę podścieliła pod skroń, a włosy przesywały się z ramion na piersi i prawie całe zasłoniły oblicze, tylko ramię białe i centka dziewiczej piersi wyzierała przez sploty. Ogarnęła mnie namiętność tak gwałtowna, że aż skry wysypały się z oczu. W zapamiętaniu pochwyliłem ją oburącz, położyłem wznak i odrzuciłem na bok włosy. Oksana w tej chwili porwała mnie za czuprynę i szepnęła:

– Het! Nie ruszaj jej, bo zadławię cię, biesów synu!

Laszka spała snem pierwszym, tak mocnym, iż nie obudziło ją nagłe poruszenie. Wyjąkała tylko przez sen słów kilka, położyła rękę na piersi i znowu zaczęła oddychać spokojnie. Mój Boże! Co się ze mną działo, kiedym spojrział na jej oblicze i przypomniały się mi te same rysy, też koralowe usta, które pocałunkami moimi ukrywałem niegdyś!... Patrzyłem w nie, patrzyłem i oczu oderwać nie mogłem... twarz moją tak zbliżyłem do jej lica, że już oddech jej czuć zaczynałem... wtem nagle poruszyła się ona, pchiknęła kilka razy jak dziecię i otworzyła oczy... Zniknąłem w okamgnieniu.

Oksana, wbiegłszy za mną do alkierza, stanęła naprzeciwko i załamując ręce przed samym moim nosem od złości i zgrozy, słowa wymówić nie mogła.

– No, czegoś się gotujesz jak ukrop? – rzekłem. – Widzisz, nic się nie stało?...

– Ach ty szelmo, gadzino, rozbójniku! – szypiała mi Oksana. – Co ty sobie myślałeś? Czy ty przy swoim rozumie?

Długo zła dziewczyna nie dała się przeprosić, aż gdy przyrzekłem jej, że już podobnego głupstwa nie zrobię więcej, uspokoiła się cokolwiek. I już się nie gniewała, już mnie objęła, pocałowała, a jeszcze kilka razy, jak niby ją czart napadał, odpychała nagle mą rękę od pazuchy i niemiła¹⁰⁷, że słowa doprosić się nie mogłem”.

¹⁰⁶ *Monista* – ozdobna chustka na szyję.

¹⁰⁷ *Niemiec* – tu: nie chce rozmawiać, nie odpowiadać na czyjeś zapytania.

Nazajutrz znowu wieczorem na rynku i ulicach zabrzmiały teorbany i dały się słyszeć okrzyki i śpiewy. Nestor, zebrawszy kilkunastu parobków, wynajawszy muzykę, z dzikimi okrzykami przechadzał się po mieście – i zbliżył się na koniec pod bramę zamkową. Że to nie było przedtem we zwyczaju i uważało się nieposzanowaniem dla pana wykrzykiwać hajdamackie pieśni pod oknami, gubernator wysłał Kozaka z rozkazem, żeby się oddalono; ale Nestor dobrze już pijany odpowiedział śmiechem i pogroźkami, a nareszcie, zwabiwszy Oksanę, pomimo jej próśb i płaczu, otoczył ją kołem parobków i wraz z innymi dziewczętami wprowadził na miasto.

Miał gubernator setnika z dawno zamieszkałej w Smile szlachty nazwiskiem Podhalskiego. Dowiedziawszy się o tym, co zaszło, kazał mu wziąć dwudziestu Kozaków i złowić herszta pijanej bandy. Dogonił setnik Nestora w samym mieście i schwycić rozkazał: ale wnet wszczął się rozruch, Kozacy zamkowi spełniali rozkaz jak nieżywi, a setnik okrzykiem od tłumu rozjuszonego chłopstwa, obity i odarty, ledwie z życiem zemknąć potrafił. Lecz na wieść o rozruchu i bójce wysłał gubernator resztę milicji, którzy pochycili Nestora wraz z kilkunastoma jego towarzyszami i przyprowadzili do zamku.

– Oto herszt! – krzyczał setnik, wskazując Nestora.

– Ktoś ty? – zapytał gubernator.

– Nestor Pisanka, Zaporozec!

– Nestor? – powtórzył przytomny temu badaniu Mohylski i podniósł latarnię do jego twarzy. Patrzył w nią długo..., jakby coś przypominał, a potem zapytał:

– Skąd ty, hultaju?

– Z Hulajrodu – odrzekł zimno i zuchwale Nestor.

Latarnia wypadła z rąk Mohylskiego, lecz opamiętawszy się, rzekł do przytomnych:

– On kłamie! Był tam w istocie jeden hultaj Nestor, ale zbiegł od dawna i zapewne wisi już gdzieś na szubienicy. Darmo cudzym przykrywasz się imieniem; ja cię od kijów zasłaniać nie myślę.

– To ty łiesz, Lasze! – krzyczał Nestor, podczas gdy mu krępowano ręce. – Obaśmy dobzi, tu taić się nie ma czego. Znasz ty mnie dobrze, ja ciebie jeszcze lepiej. Tyś zaćwiczył moją matkę, a jam dom twój spalił. Ale poczekaj trochę; będziecie się wy przyznawać do nas nie tak...

Wtenczas Mohylski blady i trzęsąc się od złości, przystąpił do Nestora i wyciął mu policzki. Powrozy zatrzeszczały w rękach Nestora, lecz nie mógł ich przerwać – i wrokiem, w którym skupił całą potęgę ujarzmionej zemsty, przeszył on do głębi Mohylskiego. Gubernator, widząc zapamiętałość obydwu, wziął za rękę Mohylskiego i odprowadziwszy na stronę, rzekł:

– Daj pokój! To jakiś łgarz albo wielki zbrodniarz. Jutro wybadamy go lepiej.

Setnikowi zaś rozkazał odprowadzić go do kordegardy¹⁰⁸, nałożyć kajdany i pod mocną strażą zatrzymać do jutra.

Jeszcze nie rozszedł się tłum ludzi, których zebrała ta scena, gdy z kordegardy dały się słyszeć gęste razy kijów, które jednakże najmniejszego nie wywołały jęku. Tam już setnik oddawał za swoje.

Jakkolwiek podobne wypadki nieposłuszeństwa zaczynały być częste w Smiełańszczyźnie, wszakże zuchwałe pogroźki Nestora zrobiły wrażenie na wszystkich, Józia tylko nie wiedziała o niczym i wesoła udała się na spoczynek do swojego pokoju. Tam ją płaczącą spotkała Oksana.

– Czego ty płaczesz? – zapytała strwożona.

– Pani, serce, *hołubko!* – rzekła dziewczyna i padła jej do nóg. – Obrońcie mnie, zasłońcie! Pan, jak dowie się, zaćwicz mi na śmierć.

– Cóż takiego? Ja nie wiem o niczym.

I po wielu prośbach, po długim szlochaniu odpowiedziała, co się stało. Biedna Józia strwożyła się bardzo. Cała ta krwawa scena, której w młodości swej była świadkiem, stanęła jej żywo w pamięci – i ona rzekła, drżąc cała:

– Oksano, serce, nie odchodź ty ode mnie... ja się boję i czegoś mi straszno.

Oksana usiadła na ziemi u progu, przesłała świtkę¹⁰⁹ i kiedy panna jej, leżąc na łóżku z twarzą opartą na dłoni, słuchała opowiadania Oksany o poznaniu się jej z Nestorem – jakiś szmer dał się słyszeć za oknem.

– Zgaś świecę, Oksano – szepnęła Józia – i obacz, czy zaszczepnięto okno.

Oksana zdmuchnęła płomień i tylko co się zbliżyła do okna, gdy ktoś z drugiej strony rozwarł je cicho i ogromna, czarna postać wskoczyła do pokoju.

Oksana i Józia krzyknęły razem i zemdlały. Hajdamaka zbliżył się do łóżka Józii, porwał ją na ramiona, narzucił burką i wyskoczył. Na krzyk powstałej Oksany zbiegli się domownicy, zbudzono zamek cały, narobiono gwałtu, krzyku, ale nie złowiono nikogo. W kordegardzie strażnicy spali pijani, a inni zniknęli wraz z więźniem.

Gdy to dzieje się w zamku, my pospieszmy za Nestorem. Powiedzieliśmy już, iż bawiąc w Smile, Nestor buntował chłopstwo i podmawiał załogę. Do świąt ostrożnie i trzeźwo robił swoje; ale po awanturze, jaka go spotkała na zamku, wytrzeźwivszy się, poznał, że źle z nim być może; więc podmówił kilku ze straży i zemknął z nimi razem. Gdy ręce mu uwolniono z kajdan, gdy poczuł się swobodny, zemsta do Mohylskiego zawrzała w jego piersi. Potem Laszka stanęła mu w oczach taka wesoła i ładna, to znowu tak bezpiecznie śpiąca, jaką ją oglądał po raz ostatni. A komnata jej była tak niedaleko... oto tam błyszczało światełko przez bzy i firankę – tam,

¹⁰⁸ *Kordegarda* – pomieszczenie dla straży wojskowej, służące także dla trzymania pod strażą aresztowanych.

¹⁰⁹ *Przesłać świtkę* – rozesać siermięgę (na podłodze).

w tym rogu jej łoże... na dziedzińcu było cicho i ciemno, „pójdę – obaczę ją – obaczę i schwycę – pomyślał Nestor. – Mohylski nie ujdzie rąk moich; jedno dobre uderzenie obuchem skończy z nim wszystko, a jak się zawieruszy Ukraina, wtenczas nie czas będzie myśleć o dziewczynie i albo ją zabiją, albo wywożą i stracę ją na zawsze”. Ta chwila jego czynu dysze szczególnym uczuciem miłości i zemsty. Taszczyłem ją, powiadał mi, na wózku popowicza¹¹⁰, zaprzężonym parą dobrych koni, a pędziłem, ile mogły wyskoczyć. Obok niepokoju o pogoń ciągle mi stało w myśli: co powiem jej, jak przyjdzie do siebie? Jakoś tak się to stało wszystko nagle, że nie był zupełnie przygotowany na coś podobnego. Wyjechawszy za groblę, zostawiłem na prawo żabotyńską drogę, a wziąłem się na lewo, szlakiem na Buzukowiec. Zgadywałem, że pogoń nie uda się tamtędy i że tam zajadę w jary i lasy, gdzie mi skryć się będzie łatwo, bo znałem je od dzieciństwa mego. Laszka leżała na moim ręku bezwładna i blada jak glina, a mnie przejmował dreszcz, ile razy spojrzałem na nią. – Na co ty wzięłeś tę *pohoń*? Mówił mi popowicz i ja kłamałem przed nim, różne wymyślając przyczyny. Raz żałowałem tego czynu, to znowu cieszyłem się, że nie dostanie się Niezabitowiczowi, temu hardemu Laszkowi, i że ją wydarłem Mohylskiemu. Słowem, byłem jak nie swój i już wreszcie chciałem czekać na drodze pogoni, ażeby ją sobie wzięli do czarta, a ja żebym mógł porąbać się z Laszkiem, tak, żeby tu go diabli wzięli zaraz. Serce mnie zaczęło boleć, jak już dawno nie bolało – i zachciałem znowu wódki, że rozstap się ziemia. Napadłem w Buzukowcu¹¹¹ na szyneczek i wypilem dwie kwarty od razu. Czułem, że mi oczy zabłyszczały i jak wilczyca swe dzieci, tak ją bronić byłem gotów. Objąłem – przycisnąłem do piersi i tak jechałem dalej. Zaczęło nam świtać pod Hołowiatynem. Przed wsią jest tam jar głęboki po prawej ręce, a od niego rozchodzą się pomniejsze doliny i giną w lasach, co już ciągną się do samego Żabotyń. Tam zwróciliśmy na prawo z bitego szlaku i zajechali na futory. Należało tu nam przebyć dzień cały, gdyż niebezpiecznie byłoby przejeżdżać przez Żabotyń w dzień biały, a ominąć go nie można. Popowicz wyprzągnął konie i poprowadził je na lewadę, a ja zostałem przy Laszce. – Co mi mówić do niej? Myślałem, mnie, okrwawionemu zbrodniarzowi do tego czystego anioła? Jak hulałem na wieczornicach, tam miałem o czym mówić dziewczętom, ale to w wesołości i żartach – a tu, ona drżała jak w febrze, a płakała, że aż mi straszno robiło się w lesie... Ani prośby, ani błagania moje uspokoić jej nie mogły, aż zniecierpliwiłem się i uderzyłem kulałem w głowę: „Cyt, przekłete dziecko! – rzekłem – bo zadławię jak kurczę!...”. Postrzegłem już wtedy, że nie tak się coś składa, jak myślałem. Już bo myślałem durny, że ona przypomni nasze dawne życie, moją szczerą miłość i pokocha mnie znowu jak kochała kiedyś – a ona wtedy była prosta jak chłopka, a teraz lacka krew

¹¹⁰ *Popowicz* – syn popa.

¹¹¹ *Buzukowiec (Buzuków)* – wieś w dawn. powiecie czerkaskim nad rzeką Taśminą.

w niej ożyła... Poczekałże, myślałem, wyrznię ja wszystkich Lachów, nawiozę ci sukien ze wszystkich Laszek, jakie są w Smile, posadzę cię panią na Hulajgrodzie, a wtedy, jak nie będzie ci już oglądać się na kogo, musisz przywyknąć do mnie. I tak z nią męczyłem się dzień cały. O zmroku wyjechaliśmy z lasu i przed świtem zbliżyli się do monasteru. O kilka hoń od monasteru są dwa młyny wodne, a przy nich chat kilka. W jednej z nich mieszkała młoda i hoża mielniczka Fedora. Zajechaliśmy do niej, a że byłem jej znany, bo tam chodziliśmy często z monasteru na wieczornice, opowiedziałem jej wszystko i oddałem Laszkę pod dozór, zaleciwszy, żeby nie pokazywała jej nikomu – a sam poszedłem do Ihumena. Padłem mu do nóg, przyznałem się do wszystkiego. Co mówię: nie przyznałem się, a skłamałem, bo rzekłem:

– Ojczy, przywozłem tu Laszkę, córkę Mohylskiego. Ona chce wyjść za mnie i jeszcze nieboszczka matka moja pragnęła nas połączyć, ale biesów Lach nie pozwala.

Ihumen pokiwał głową i rzekł mi:

– Nie czas teraz, synu, myśleć o tym, pierwej trzeba wywiać kąkol z pszenicy. Cóż będzie, jak dowie się o tym ataman, jak dowie się całe towarzystwo? My gotujemy się na Lachów, a ty już się z nimi bratasz, już ich skrywasz? My zalecamy rycerzom naszej świętej wiary bezżeństwo, a ty chcesz splamić siebie nieczystym grzechem? Szatan cię kusi, pluń na niego po trzykroć!

Stałem przed Ihumenem ni żywy, ni martwy, a potem padłem mu do nóg i rzekłem:

– Przebac mi, ojczy! Zgrzeszyłem, ale odtąd obiecuję poprawę.

– Cóż zrobisz z Laszką?

– Zaprowadzę ją w las i zabiję.

Ihumen pomyślał trochę, a potem rzekł:

– Czy nie ta to sama, co bywa u mnie z Kwaśniewską?

– Ta sama, ojczy.

– Dla Kwaśniewskiego nie rób tego. To dobry Lach i kto wie, czy na naszą nie przetrzuci się stronę. Czy Mohylski bogaty?

– Skąpy diabeł – rzekłem – więc nie wiadomo, czy ma co, czy nie ma; ale ludzie powiadają, że mierząc grunta, poznajdował *prykmeta*¹¹² i powykopywał pieniądze. Potem kazał mi, żebym odesłał ją do jego pasieki pod Hruszkówką w Kalinowym Jarze, nieopodal od monasteru, i tam kazał trzymać.

Powróciwszy do Fedory, zastałem Laszkę w gorączce, wygadującą niestworzone rzeczy. Oczy jej błyszczały jak rozpalone węgle, a twarz buchała ogniem i czerwieniała jak kawon. Żeby zbyć się kłopotu, a najbardziej żeby Żeleźniak nie dowiedział się o tej kradzieży i nie kazał mnie obić, bo to u niego było łatwo – zaprząłem konie do wózka, ubrałem Laszkę w zapaszkę i świtkę, a głowę

¹¹² *Prykmeta* – znak, przedmiot wskazujący miejsce, w którym zakopane są kosztowności, pieniądze.

zawiązałem chustką jak młodocy i odwiozłem do Kalinowego Jaru. Tam oddałem ją babie i dziadowi, zaleciwszy, żeby ją leczyli i pilnowali, ażeby gdy wyzdrowieje, nie uciekła.

Teraz wróćmy do smielańskiego zamku. Pochwycenie Mohylskiej sprawiło tam trwogę i powszechne oburzenie. Rozbieżono się na wsze strony dla odszukania jej, lecz na próżno. Młody Niezabitowicz latał po okolicznych drogach i lasach przez całe trzy dni, lecz powrócił z niczym. Nikt prócz Mohylskiego nie domyślał się istotnych pobudek porwania i dlatego dziwiono się, że hajdamaka skradł dziewczynę, a nie pieniądze, bo to u nich nie było we zwyczaju. Lecz na koniec, gdy ściśle badania odkryły stosunki Nestora z Oksaną, zgodzono się na domysł, że Józję pochwycił hajdamaka jedynie w zamiarze wymożenia na Mohylskim okupu, tym bardziej, że o Mohylskim chodziły wieści, iż znalazł duże skarby, lecz je skrywał. Ten przypadek i inne odkryły w krótkim czasie innego rodzaju obawę. Zaczęto postrzegać między chłopstwem, a nawet w szczupłej, zamkowej straży oznaki nieposłuszeństwa, jakichś ciemnych przechwałek, ciąglą pijatykę i udawanie się tłumami niby na odpust do motroneńskiego monasteru. Gubernator zapełnił więzienia nieposłusznymi, chłostał ich, wzbronił wydalać się bez świadectw, zbierał się gromadnie na ulicach, lecz to nie zmniejszało niekarności i najspokojniejsi dotąd chłopci, wezwani do tłumaczenia się, odpowiadali ciemnym: „Nie wiemy. Bóg że go wie, co to wszystko znaczy!“. Żydzi wszakże naprzód przewąchali, co się święci i o zbieraniu się jakichś tajemnych narad w monasterze donieśli rządcy. Skoro wieść o mającej nastąpić rzezi gruchnęła między ludem, szlachta z okolicznych wsi zaczęła wynosić się do miasteczek i zamków z żonami, dziećmi i dobytkiem – a niedługo czekano i samego rozwiązania obawy. Z Kwaśniewskim, gubernatorem i natenczas pułkownikiem milicji czehryńskiej, komunikacja została przerwana. Poślani Kozacy nie wracali, lecz i setnik Podhalski nie wrócił także i nie wiadomo, co się z nim stało. Wtem zaczęła krążyć wieść, że na jarmarku w Medwedówce Kozak Maksym Żeleźniak zbuntował chłopów, namawiając do łączenia się z nim dla rzezi Lachów i Żydów; potem, że w monasterze motroneńskim święcono noże, a na koniec, że szarańcza ta krwawa wyrzygnęła z lasów, że w Żabotynie wyrznęła Żydów i ciągnie ku Smile.

Żeleźniak sam, zda się, nie wierzył w swe postępy. Rozpoczął jak watażka bandy i usposabiając chłopstwo na swoją stronę, robił to jedynie w celu niestawienia mu oporu, a przybywszy do Śmiły z secin, liczył już na tysiące wyjącą tłuszczę, która go pchała krwiożerczym instynktem z mordów na mordy. Smielański zamek padł bez obrony i stąd to na większą skalę buchnął ów krwawy strumień, co nie zatrzymał się aż na Humaniu, gdzie wezbrał już jak rzeka.

Nie pójdziemy w ślad za jego szalonym biegiem, ale musimy rozjaśnić cokolwiek tę okropną scenę na smielańskim zamku, o tyle przynajmniej, o ile wiąże się z naszą powieścią. Nestor, zaprawiony do rzezi w stepach, wiódł i tu tłuszczę na mordy.

Wybrawszy ze czterdziestu ludzi z motłochu, rzucił się w prawo, wpadł do Hulajgrodu, przetrząsnął najskrytsze wyspy taśmińskie, lecz nic tam nie znalazł i nikogo; nie tracąc więc ani chwili czasu, poszedł stamtąd ku Smile. Łuna pożaru wskazała mu, że tam już zdążył watażka Szyło. Był to pierwszy wzięty zamek i powodzenie ich oręża upoiło Nestora do reszty. Na zamku zastał on już rzeź ukończoną. Motłoch zabawiał się na rynku, pijąc gorzałkę i miody, obdzierając kościółek i piekąc na spisach Żydyt. Nestor przepatrzył uważnie trupy, lecz między nimi nie znalazł Mohylskiego. Wchodzi do oficyny zamkowej i w ciemnym kącie jednej izby postrzega tulącą się Oksanę.

– Gdzie twój Lach? – krzyknął. – Mów, ty musisz wiedzieć!

Oksana wskazała ku stajni. Wpadł tam Nestor i na poddaszu zapełnionym sianem odszukał Mohylskiego.

– Wstawaj, Lasze! – krzyknął Nestor. – Rozliczymy się z sobą, czas już dawno!

– Czy córka moja żyje? – zapytał Mohylski.

– Żyje.

– Daruj mi życie, powróć mi ją, a dam, co zechcesz! – i upadł na kolana, wznosząc ręce.

– Gdzie twoje pieniądze? – zapytał Nestor.

– Powiem, ale przyrzeknij mi pierwej, że darujesz życie i oddasz córkę.

I Mohylski rozognionym okiem patrzył w oblicze Nestora.

– Przyrzekam... – mruknął Nestor z piekielnym uśmiechem.

– Kazanek¹¹³ srebra i hładysz¹¹⁴ dukatów są zakopane na ostrowie taśmińskim o dwadzieścia kroków od chaty, ku wschodowi słońca, pod jabłonią.

I Mohylski na potwierdzenie prawdy słów swoich złożył na krzyż palce i krzyż ów pocałował. Nestor stał nieruchomy – oczy mu straszny gorzały blaskiem, a lica co chwila w inny przeobrażały się wyraz. Jakieś myśli, jakieś straszne zamiary w piersi i głowie, a oczy tymczasem nieoderwanie pasły się zdobyczą, której nie spuszczał na chwilę. Mohylski z całego ciągu tej niemej, ale straszliwej walki odgadł rozwiązanie inne niż to, jakiego się spodziewał – i wściekła rozpacz oładnęła nim w okamgnieniu. Żył nabrzmiały mu na skroni – i konwulsyjnie ściągnęły się pięści. Lada skinienie przyspieszyć mogło śmiertelną walkę... Nestor spostrzegł, że wróg przeczytał z jego oczu dawno mu zgotowany wyrok i podwoiwszy ostrość spojrzenia, zapytał:

– A córkę oddasz?

– Córkę?... – powtórzył Mohylski i zaryczał. Nadludzkie męstwo oładnęło nim w tej chwili. Podniósł on kułaki, przystąpił bliżej do Nestora i krzykiem serdecznym, na który wzdrygnął się zbójca, rzekł:

¹¹³ *Kazanek* – kociółek.

¹¹⁴ *Hładysz* (*hładysza*) – gliniane naczynie podobne do dzbana.

– Chamie! Rozbójniku! Maszże ty sumienie tą krwawą dłonią dotknąć szaty tego niebieskiego anioła?

Silne uderzenie kułakiem w głowę przerwało dalsze słowa. Zwalonego Nestor pchnął spisą, ale Mohylski zerwał się, pochwycił Nestora za szyję i rycząc, tocząc pianę z wściekłości i bólu, kąsał go i szarpał tak silnie, iż w tym wzajemnym pasowaniu się obydwaj z poddasza upadli na ziemię. Mohylski zacharczał i skonał z zębami zaciśniętymi głęboko w ramię zbójcy i skostniałymi rękoma około szyi jego.

*

Wiemy z historii, jak się skończyła koliszczyzna. Tłuszcza, oblawszy krwią niewinnych Ukrainę, rozsypała się później lub dała powiązać bez boju garstce żołnierzy. Historycy Małej Rusi mylnie upatrują w tym czynie patriotyzm i wybuch rozpacz. Ukraina nie była doprowadzoną do takiej ostateczności. Była to podżegniona wściekłość motłochu przez intrygi pokątne, gdzie indziej mające swe przyczyny i źródło. Żadnej walki szlachetnej nie stoczyła ta horda w pochodzie swoim aż do Humania i nigdzie nie spotkała tych mniemanych ciemiężców, którym wypowiedziała wojnę. Wszędzie lała się krew niewinnych i nigdy tak tyrańskimi środkami nie zmuszała Rzeczpospolita do uszanowania jej władzy, jakich oni dali przykłady podczas rzezi. Toteż słusznie odpowiedział Branicki, gdy mu zarzucił Gonta:

– Czymże to gorsi jesteśmy od Chmielnickiego? I ja z Żeleźniakiem, jak Bohdan, wyrzynaliśmy Lachów i Żydów?

– Tym – odrzekł Branicki – że Chmielnicki karał winnych, a ty pastwiłeś się nad niewinnymi.

Ale jeśli spojrzymy na stan tamtoczesnej Ukrainy, przyznać musimy, że i pod względem gospodarskiego bytu, i miejscowych swobód najmniejszego tu nie doznawano ucisku. Gubernator dóbr Potockiego, Mładanowicz, był wielkim gospodarzem i jednym z najzdolniejszych swojego czasu administratorem. Pod jego rządem kraj, co od wieku był pustynią, zamienił się w kilkanaście lat w kwitnący dostatkiem, handlem i rolnictwem. Pańszczyzna była nieuciążliwą i nie przechodziła dwudziestu czterech dni rocznie od gospodarza, daniny niewielkie i słuszne, ulgi i zapomogi wszelkie, wymiar sprawiedliwości najściślejszy. Podniosły się miasta, zwiększyły jarmarki, kilkaset wsi w samej Humańszczyźnie powstało nowych, a ze stanu owoczesnego rolników mamy dowody, że posiadali obszerne pola, sady, futory, pasieki, stada, czumaczkę¹¹⁵, słowem, byli nie w porównanie zamożniejsi, jak są dzisiaj.

¹¹⁵ *Czumaczka* – zajęcie, które polegało na przewozie płodów rolnych z terenu Ukrainy do Odessy.

Rzućmy tedy zasłonę na ten krwawy obraz i zostawmy następnym pokoleniom prawdziwe wyjaśnienie przyczyn. Co do nas, w tym strasznym ocknięciu się ludu widzimy wyraźnie palec Boży, wiodący ludzkość do jemu tylko wiadomych celów. Nie masz tu następstw, które by obrachował polityk, ani kar, którym by ulegli winni; bo wszakże zemsta, jakiej dopuścili się potem Polacy, wbijając tysiące na pale, ucinając nogi i ręce, wypłaszając na pustynie wsie całe – równa się znowu w pewnym względzie zadanej przez nich klęsce. Gdzież tu winny i niewinny? Gdzie tu obwiniony i sędzia? Gdzie cnota i zbrodnia? Tryumf i kara? Są to burze ludzkości, jak są huragany natury, a jak się one wcielają w życie, na kogo spadną i dla czego takie, a nie inne porobią w przejściu swoim ślady – tego nie wiemy jeszcze!

Tak myślałem nieraz, przesiadując w tajemniczej ustroni Nestora i ze wzdrygnięciem serca patrząc na tego zakamieniałego zbrodniarza, któremu niebo w mękach moralnych, ponawiających się periodycznie, odmówiło, czego nie odmawia nikomu – łaski pokuty! Jakże prędko ścierają się te krwawe ślady z lica ziemi! Jeszcze rozbitek tej strasznej epoki, ten stuletni dziad, dożywa w tej głuszy swego wieku; jeszcze z tą patrzącą się i ruszającą postacią chodzą wspomnienia tylu scen krwawych – a tuż obok też sama Ukraina, niezmiennie piękna i wiecznie kwitnąca, rozesała się spokojnie przed obliczem nieba i dysze oddechem niewinności, jakby po jej łonie żadne nie przeszły burze!

Ale skończmy naszą smutną legendę o losach Józi. Nestor z nożem i spisą przeszedł Ukrainę od Smiły do Humania, a stamtąd uciekł w stopy z Żeleźniakiem. Gdy wojska rosyjskie dognały ich i rozbiły ostatecznie, Nestor potrafił uniknąć¹¹⁶ i waleśał się czas długi w pustyni, przesiadując najczęściej na buhskiej wyspie Mihei¹¹⁷, sławnym koczowisku włóczęgów.

Doszła do nich wieść od zbiegów, że na Ukrainie hetman Branicki i regimentarz Stempkowski całymi secinami łowią i tracą hajdamaków i że Gonta wyzionął ducha w mękach. Gdzie się obracał Żeleźniak? Nikt nie wiedział. Jedni mówili, że zginął; drudzy, że odesłany został do Kijowa, a inni, że chowa się w motroneńskich lasach. Nestor widział, że już bujne życie na stepie z buławą i nożem wrócić się nie może i że trzeba szukać dalekiego kątko, gdzie by ochronić głowę od szubienicy. Do Siczy¹¹⁸ nie poszedł, bo tam na groźny ukaz Carycy łowiono równie Zaporozców za wydalenie się i należenie do koliszczyzny – a więc postanowił zabrać skarb Mohylskiego, pójść za Dniestr i osiąść gdzieś w besarabskich stepach. Odziany po chłopsku, bez broni, pieszo, ruszył ku Smile. Szedł nocą, a dni przesiadywał

¹¹⁶ *Potrafił uniknąć* – zdołał umknąć.

¹¹⁷ *Buhaska wyspa Miheja* – wyspa Miheja, położona na rzece Boh (Południowy Bug).

¹¹⁸ *Sicz* – od XVI do XVIII wieku: warowny obóz Kozaków zaporoskich.

w bajrakach¹¹⁹ i lasach. Do wsi wejść było niepodobiestwem, bo wszędzie rozjeżdżały komendy i łowiły rozpierzchtych zbójców. Głód i steranie się po lasach wyniszczyły jego siły, lecz na koniec po dniach kilku wędrówki dostał się do motroneńskich lasów.

„Przypomniałem sobie wtedy, mówił mi, Mohylszczankę i przyszła mi dziwaczna myśl, jeśli żyje dotąd na futorze, zabrać ją z sobą; ale w tejże chwili stanął mi w pamięci stary Lach, jej ojciec, i jego słowa: »Chamie, rozbójniku! Maszże ty sumienie tą skrwawioną dłonią dotknąć się szaty tego niebieskiego anioła!« i zdało mi się, że szczęki jego dotąd mnie trzymały za ramię, że ręce obwijały szyję, a twarz zapieniona z błyszczącymi oczami patrzyła na mnie, ot tak, bliźutko, że aż cofnąć się musiał... Tak nadchodziły na mnie dумы jedne po drugich i przechodziły, jak nadchodzą i przechodzą chmury w noc jesienną, a ja niszczałem i schłem. Było już dobrze późno – serce mi piekło, a wody pić nie mogłem. Żeby mi kto podniósł teraz czarkę wódki, pomyślałem, życie moje oddałbym za nią!... Wtem pokazał mi się znowu diabeł, drugi to raz w mym życiu, taki sam jak pierwiej w Hulajgrodzie. W jednej ręce trzymał flaszkę wódki i podawał mi ją, a drugą tymczasem zarzucił na moją głowę stryżek i ciągnął do dębu. Wyprężyłem się, schwyciłem za powróż i ten pękł w mojej ręce, a diabeł zachichotał i zatupał po lesie, że aż zaszumiały wierzchołki drzew het po jarze. Od tej chwili obrzydło mi życie; wałęsałem się jak pijany po jarach i szedłem sam nie wiem dokąd i którądy. Jakim cudem trafiłem na futor motroneński – Bogu to wiadomo jednemu! Stary didora¹²⁰ nie poznał mnie od razu, a poznavszy, dał mi w kark kułakiem i wypchnął za drzwi, mówiąc:

– Idź sobie z Bogiem, skądeś przyszedł! Mało zgubiliście ludzi, że jeszcze mnie starego chcesz zawiesić na szubienicy. Wyszłe kości czterech moich synów, synów jak sokołów, jak chorągiewki, ot tam, w Żabotynie kręcą się na palach...

I przeklinał, aż straszno. Wyszedłem. Na przelazie spotykam babę, jak z próżnymi wiadrami przeszła mi drogę.

– Babo, gdzie Laszka? – zapytałem.

– Och, moja neńko! Och, Boże mój! – krzyknęła, załamując ręce. – A wy od kogo? Może od rejmentarza? Nie wiem, serce, nie wiem, *hołupczyku*¹²¹, sokole, rybko, *dalibóh*¹²², nie wiem! Niech szernieję jak ziemia, niech jutra nie doczekam, jeśli wiem choć na tyle... Chorowała biedaczka długo – wyschła jak trzaska, zwariowała i uciekła!...

¹¹⁹ *Bajrak* – zarośla złożone z sosny karłowatej.

¹²⁰ *Didora* – dziadora, dziadyga.

¹²¹ *Hołupczyk (hołubczyk)* – gołąbeczek.

¹²² *Dalibóg*.

Zimny pot mnie oblał – opuściłem futer, przeszedłem przez Żabotyń i za dnia jeszcze stanąłem w Smile. Pierwszy to raz pokazałem się między ludźmi i czego zaszedłem do Smiły, kiedy mi trzeba było z Żabotyń wziąć się na prawo do Hulajgrodu, tego sam nie wiem dotąd. Tam stały przy carynach pale i szubienice, a na nich wisiały i kręciły się trupy. Na bazarze było mnóstwo ludzi; ostąpili coś jak tabunne konie i straszne było ich milczenie... Zbliżyłem się – przecisnąłem przez tłum i poznałem Pańka Bezhubego, jako go parą wołami kat naciągał na tykę. Poznał on i mnie, bo mrugnął, jakby się żegnał ze mną, potem schwycił brodę w zęby i zaczął przewracać oczyma... Wtem naprzeciwko mnie krzyknął ktoś nieswoim głosem... podniosłem oczy i postrzegłem nędzną i wychudłą kobietę, w podartej koszuli, z rozpuszczoną kosą, jak wskazywała na mnie palcem i wrzeszczała:

– Ratujcie mnie, kto w Boga wierzy!... Nestor! Nestor! Hajdamaka! Hajdamaka!

Ktoś inny zląkłby się w podobnym zdarzeniu; ze mnie zaś, czułem, jakby jakiś ciężar spadł z serca. Ostąpili mnie siepaki i zapytali:

– Czy ty istotnie hajdamaka?

Przyznałem się im od razu, a gdy wtrącili do więzienia, pierwszy to raz spałem noc całą jak zabity”.

*

Do czasu wyznań Nestora nikt ze smieleńskich mieszkańców nie domyślał się, że obłąkana biegająca po Smile była to ta śliczna niegdyś Mohylska Józia. Wzięła ją do siebie Kwaśniewska, lecz jak długo wlekła opłakane życie i czy powróciła do zdrowia? Dowiedzieć się nie mogłem. Tyle faktów tej smutnej historii, myślałem nieraz, odsłoniłem z podań, a ostatniego o losie tej biednej dziewczyny nie mam w ręku. Pojęcie moralne, co żyje w nas, o nagrodzenie i karze, co godzi nas z życiem i losami, z którym tak błogo duszy, jeśli upatruje przystępną dla jej pojęć sprawiedliwość wyrazów boskich, szeptało mi, że może ta wydarta ostatnia kartka historii jest właśnie opisem tej pięknej nagrody za cierpienia... i już dopisywałem ją w sercu wedle jego moralnych sympatii, kładąc na głowie młodej dziewicy męczeński wianek z cyprysu i cierni – gdy zdarzenie odsłoniło mi zakończenie w najwyraźniejszy sposób.

Pewien szlachcic staruszek, Walenty Bujnowski, miał u siebie spis cudów dopełnionych przy obrazie Najświętszej Maryi Panny w kościele smieleńskim i złożonych na ołtarzu *votum*¹²³. Przepatrując ową książeczkę, jakże byłem uradowany, znalazłszy między innymi taki zapis: „Piętnastego augusta 1770 roku Stefan i Jadwiga Kwa-

¹²³ *Votum* – ofiara przebłagalna lub dziękczynna.

śniewscy wraz z Janem i Józefą z Mohylskich Niezabitowiczami złożyli na ołtarzu przed cudownym obrazem Najświętszej Maryi Panny w kościele smielańskim złote *votum*, wyobrażające dziewiczą głowę w cierniowej koronie, a to na pamiątkę wysłuchania ich modłów, cudownego znalezienia na rynku w Smile 20. 7bra¹²⁴ 1768 roku w stanie obłąkania, ur. dziewicy Józefy Mohylskiej, porwanej przez hajdamaków przed rzezią i nie mniej cudownego przywrócenia onej do zdrowia na dniu 15 aug. 1769 roku”. Relacja cudu taka: „Ur. ur. Stefan i Jadwiga Kwaśniewscy wraz z ur. Niezabitowiczem, narzeczonym Józefy Mohylskiej, nie mogąc odszukać porwanej ze smielańskiego zamku przez hajdamaków panny, udali się z prośbami swymi pod opiekę Najświętszej Maryi Panny, ażeby za jej przenajświętszą przyczyną, jeśli znajduje się przy życiu, była im powróconą; ślubując przy tym pójść pieszo do kościoła na odpust przypadający w dzień Wniebowzięcia N. Maryi Panny 15. aug., leżeć krzyżem przez czas całego nabożeństwa i odprawić Nowennę. Co dopełniwszy i zawiesiwszy *votum*, zeznali uroczyście przy świadkach i własnymi stwierdzili podpisami. Maryjo, Matko Boża! Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej, amen”.

*

Nestor już umarł. Kamienne jego zdrowie wytrzymałoby dłużej, ale wyrzuty sumienia go dobiły. Ostatniego roku swego życia zaczął pić bez przerwy i jednej nocy znaleziono go nieżywego w Hołowiatynie na ulicy.

Stary zbrodniarz mówił mi często:

– Powiedz mi, Lasze, za co mnie Bóg trzyma jeszcze na świecie? Za co mnie jednemu sądzono było ująć rąk kata, kiedy tylu moich towarzyszy skończyło na palu i kości ich dawno już, dawno przejadła ziemia?

A ja pomyślałem:

– Może dlatego, że dla takiego jak ty zbrodniarza pal byłby za małą męczarnią, Bóg ci zgotował kilkadziesiąt lat męki powolnej i śmierć – może bez przebaczenia, jak sam byłeś bez pokuty i skruchy!

Mijają lata, z latami zdarzenia.
W ostatnim dymie zgasłego płomienia,
Wróciły w piekło szatany zniszczenia.
Świetnie przejrzały nieba Ukrainy,
Zabrzmiała śmiało cicha pieśń dziewczyny,
Czas lasem okrył ostatki ruiny.

¹²⁴ 20. 7bra – czyli 20 septembra (20 września). Poniżej: 15 aug. – 15 augusta (15 sierpnia).

Gdzie bojowiska czaszkami białe –
Ulewna burza bruzdy tam zorywa,
W skwarny dzień lata złocą się tam żniwa,
Kwiat się tam z wiosną wykłują nieśmiały,
Złomki szubienic świecą próchnem ziemi;
Nad zwycięzcami, nad zwyciężonymi,
Trawą usłana mogiła zapada;
Tam błędny żebrak do snu pacierz gada¹²⁵.

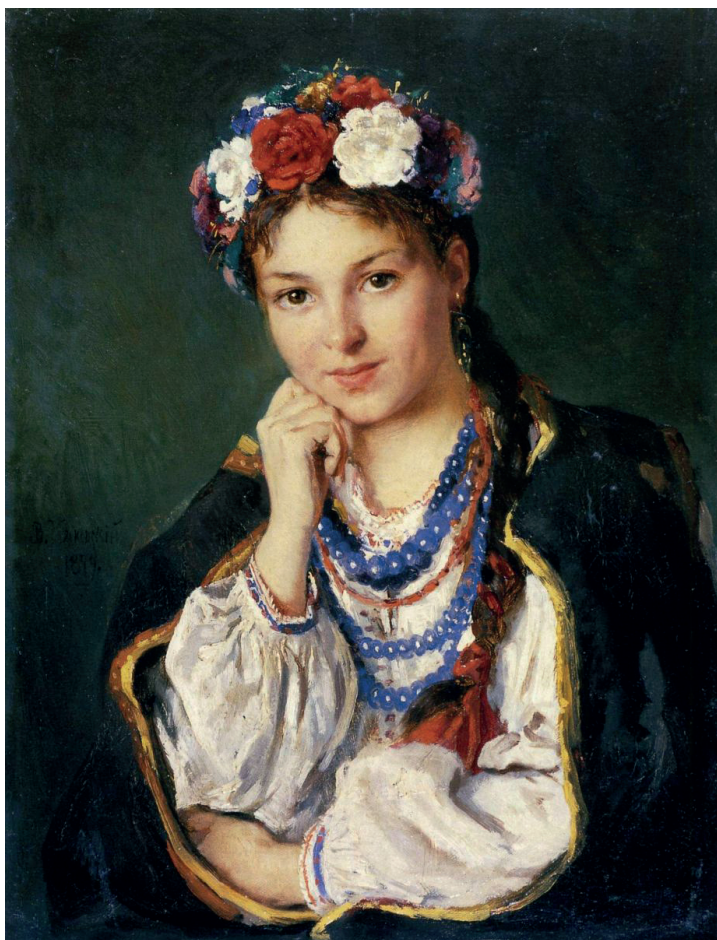
KONIEC

¹²⁵ Końcowy fragment *Zamku kaniowskiego* (1828) Seweryna Goszczyńskiego, twórcy należącego do ukraińskiej szkoły w poezji polskiej. Zob. S. Goszczyński, *Zamek kaniowski*, wprowadzenie H. Krukowska, wyd. 2, Białystok 2001, s. 155. Fisz pominął dwa ostatnie wersy utworu:

*Piekła za wojnę zatrzaśnięto bramę,
Znów tenże pokój, i zbrodnie te same –!*

Zenon Fisz

POWIEŚCI I SZKICE
SPOŁECZNO-
-OBYCZAJOWE



Władimir Makowski (1826–1920), *Ukraińska dziewczyna* (1879 r.)

POKOJÓWKA. SZKIC OBYCZAJOWY

Co by było wśród okresu,
Na którym ludzie rzućeni,
Bez światła, ciepła, magnesu,
I elektrycznych promieni.

A.M.¹

I.

Czy wy wiecie, co to jest pokojówka? Ale któż nie zna u nas pokojówki! U nas, zwłaszcza na Ukrainie, Podolu, Wołyniu, gdzie tyle młodzieży, gdzie tak bujnie rozkwitło baragolstwo², gdzie takie śliczne pokojówki!... Pokojówki są to młode, wiejskie dziewczęta, z pełną piersią, giętkim i wysmukłym stanikiem, z czarnymi lub błękitnymi oczami, długimi kosami³ i ładnie obrysowanymi ustami, słowem: są to – cudo dziewczęta! Zsyłam się wprost na zdanie moich kolegów: Nieprawdaż? Czyż nie ponętne? Czy nie ładne? Jaka szkoda, że nic nie mówi za nimi! Mówią tylko ich własne przymioty i to nie do każdego. Jednakże co by ludzie nie przemyślali nad narzuceniem naturze praw swoich, ona ciągle rada się wyłamywać spod ich przemocy. Siedemnaście latek, różowe jagody i usta żywe, lśniące się oczy, takie zawsze i miały, i mają, i mieć będą swą wartość... Tu babunia piorunuje na dwudziestoletniego wnuka za to, iż obaczyła go raz w lustrze, jak mrugał za jej plecami na Marylkę; tu żona wyrzuca mężowi, iż często zagląda do garderoby, kiedy to wcale nie rzecz jego; tu student, bawiący przez wakacje w domu, zaczyna widocznie nabierać gustu do Józki, a nawet razy kilka zostawił Hegla na płocie, a sam o zmroku latał jak za chrząszczami niegdyś około domu; tu blady, wymuskany palestrant⁴, co niedawno jeszcze utrzymywał, iż nie masz nic lepszego nad Konstytucję i Kodeks, widział się tylko razy parę z czarnobrewą Kasią i bodaj czy nie przyznał jej względnej wartości nawet

¹ Fragment wiersza Adama Mickiewicza *Toasty* (ok. 1821) z okresu filomackiego.

² *Baragolstwo* – gw. hulactwo, zawiadiactwo.

³ *Kosa* – warkocz; włosy splecione u dziewczę były najcenniejszą ozdobą ich głowy i symbolem ich dziewictwa, z wplecioną w koniec warkocza czerwoną wstążką.

⁴ *Palestrant* – dawn. prawnik, członek palestry.

w stosunku co do jurydyki⁵; tu na koniec twarda natura czterdziestoletniego ekonoma i kawalerskie serce pana Pisarza, widocznie i oczywiście uginają się pod jarzmem miłosnego uczucia ku Horpynie i Pałażce⁶; i te wszystkie tak nadzwyczajne zmiany zrząda któż? Jedna słaba, młoda dziewczyna, za którą nic nie przemawia prócz jej koralowych ustek, nic nie zniewala prócz jej palącego spojrzenia, nic nie broni prócz białych jej ramion i słabych rączek!... Muszą więc być w tym jakieś tajemne czary, wielka, choć niewidoma przeciwność, tak urągająca się bezkarnie i ciągle z naszych środków. Na co tu długo; przypomnijmy tylko sobie nasze tak niedawne życie w rodzicielskich domach, i nasze wizyty u sąsiadów, i nasze pogadanki na polowaniu, przy winie i fajce – i przyznajmy się szczerze: czy nie około tego przedmiotu krążyliśmy ciągle? Czy nie on nas zajmował najbardziej? Czy słuchał kto z nas ciekawiej rozpraw o tablicach kategoriycznych Kanta⁷, o ekonomii politycznej lub o mowach Pila⁸ – Nie, jako żywo nie! – Prawda, że byliśmy wtedy diable młodzi, diable roztargnieni, jeździliśmy ciągle konno, śmieli się zawsze, zawsze z czołem podniesionym i piosnką na ustach. Jeśli uniwersytecki mundur i szpada u boku, a broń Boże jeszcze okulary na nosie czyniły kogo poważnym, niby uczonym i niby ślepym; jeśli jaki młody paniczyk i zbierał sobie tuzin afirmatyw na kuratora zapasnych magazynów lub deputata do rewizji karczem, a stopień czternastej klasy i obywatelski mundur z suto naszytym złotymi kłosami kołnierzem i rozdymał go obywatelską dumą na wyborowej sali – wszystko to nie mogło się utrzymać na tym stopniu powagi w życiu wiejskim wobec jednej prostej dziewczyny!... Ale na co wam więcej: dzielne baragolstwo nasze nie z tychże powstało przyczyn? Wiem, iż zaprzeczyć mi gotowicie tłumem, a tymczasem ja mam najprawdziwszą rację. Wy gotowicie zachodzić z daleka, bając o polityce, o periodach umysłowego życia, o różnych względnie i bezwzględnie działających na nie epokach, Bóg wie o czym! Któż, jeśli nie pokojówki, był pierwszą tego przyczyną? Ich wdzięki i pogardzony stan przemówiły silnie do serc namiętnych; młodzież ujęła się za ich prawa, wypowiedziała wojnę arystokracji, chciała dowieść, że brylanty, atłasy i romanse Balzaka nie ulepszają rasy. Może by i dowiodła, gdyby się nie spiła, nie połamała karków na bałckich i berdyczowskich⁹ kursach, nie pozadłużała majątków,

⁵ *Jurydyka* – dawn. nauka prawa.

⁶ *Horpyna* i *Pałażka* – ukraińskie imiona żeńskie, tu: użyte jako symbol – kobiety o silnym charakterze.

⁷ *Kant* – Immanuel Kant (1724–1804), niemiecki filozof oświeceniowy, profesor logiki i metafizyki na Uniwersytecie Albrechta w Królewcu.

⁸ *Pil* – Robert Peel (1788–1850), brytyjski polityk, premier Wielkiej Brytanii w latach 1834–1835 oraz 1841–1846. Swoją pierwszą mowę na forum Izby Gmin Peel wygłosił na początku 1810 r. i była ona jedną z odpowiedzi na mowę tronową króla.

⁹ *Na bałckich i berdyczowskich kursach* – na wysigach, gonitwach w Bałcie i Berdyczowie (miasta na Ukrainie).

nie rozlazła się potem na kuracje, a przez takie i tym podobne ekscesy zupełnie nie pokpiła swej sprawy.

Ale wróćmy do pokojówek. Pokojówka jest najmizerniejszą u nas dziewczyną w epoce wstąpienia jej do dworu. Jeśli to dwór państwa rozległych włości, dziewczęta nabierają się ze wsi okolicznych na wiarę jakiego starego, karmionego szpakami sługi, który zna gust i pana, i pani, i rozumie do czyjego więcej przychylić się trzeba. Jeśli to są obywatele o jednej wiosce, tam wszyscy ich włościanie są im znani mniej więcej i tu już wybór zależy od przewagi, jakiej używa w pożyciu domowym którakolwiek strona. I tak na przykład jeśli mąż młody, żona zła, brzydka lub stara, tam ani życzę zazierać do garderoby... pewno same wybiórki! Dziewczęta ospowate, twarzy szpetnych, zbyt otyłe lub zbyt chude, głupie, nieumyte, odziane ubogo i bez gustu. Dozorczynią nad nimi bywa zwykle jaka stara jędza, najczęściej zezowata albo bez kulszy¹⁰ panna, ze wszystkimi pretensjami i kaprysami, którymi tylko może ich obdarzyć szczodrobliva natura w zamian za wyrządzoną krzywdę – za panieństwo kwitnące do lat czterdziestu z górą. Tam zupełnie nie ma dla nas powabu; mąż równie omija przez dziesiąte pokoje ten harem. Rzecz się ma inaczej w domach, gdzie żona nie jest pod wpływem zazdrości, ma gust i nie ma podejrzenia, kocha męża i nie domyśla się zdrad z tej strony, jest łagodną lub niewinną – o! tam garderoba pełna jest ślicznych twarzyczek i malowniczych ubiorów! Tam panna służąca bywa zwykle sentymentalna i romansowa bardziej niż sama pani; tam mąż zaziera bardzo rzadko, pani ledwie razy parę i kilka słów powiedzieć raczy, a dziewczęta ciągle wzdychają i marzą. Panuje w tym wszystkim jakaś harmonia, swoboda i ciągła spokojność. Ale właśnie, o ile w każdym innym razie są to symptomy szczęścia, o tyle, naszym zdaniem, nie mają tu dla nas pożądanego charakteru. Tam, gdzie nie ma tamy, nie ma siły naporu, a tym samym mocy. Mógłbym tu dać pole filozoficzniejszym kwestiom i w dobre koło roztoczyć moje *widzi mi się*, ale przestańmy i na tym. Mówiąc o garderobie, na co nam wychodzić za jej progi? Siądźmy przy krosienkach, przy pultyńku¹¹ i piszmy.

Garderoby młodych, modnych naszych obywateli nie podobają mi się pod niektórymi względami. Są w nich wszystkie potrzebne warunki, ale nie masz najważniejszego – siły oddziaływania, a tym samym ruchu. Wieje z nich jakaś sielankowa sentymentalność, jakiś wiek opiewany przez Nazona, który, mówiąc nawiasem, najnieprawdopodobniejszym jest ze wszystkich wymarzonych wieków, bo człowiek tak i był, i jest stworzony, że jak tylko mu będziesz dawał wszystko, czego zechce, on zechce i szyby z okna, i księżycą z wody, a gdy mu dasz i to i już nie będzie mu do czego napierać się więcej, on, jak dziecko, rozkaprysi się i płakać z nudów gotów.

¹⁰ *Kulsza* – staw biodrowy, biodro.

¹¹ *Pultynek* – mały pulpit do robót kobiecych.

Jemu koniecznie trzeba, żeby spotykał na każdym kroku to tajemniczość, to niewiadomośc lub przeszkody. Odemknij mu drzwi – on nie wejdzie; zamknij – on wyjmie okno i wlezie podczas nocy.

Ja nie znałem ponętniejszej garderoby i dziewcząt na mil dwadzieścia wokoło jak w domu państwa Cześniakostwa. Trzeba wam wiedzieć, iż Cześniak był to sobie poczciwy z kośćmi człowiek, ale to tak poczciwy, że byli źli ludzie, którzy mówili o nim, iż przez tę samą wygórowaną poczciwość na nic się nie zdał. Miał on wieść prześliczną, dom wygodny, obok ogród fruktowy starodawny i duży.

Któż u nas nie znał Cześniaka? Jak bo go nie znać, kiedy to był drugi Kato¹² co do gospodarowania, ubioru i sposobu życia. Odkąd go zapamiętam sobie, tak po dzień gospodaruje tymże trybem; tak pędzi gorzałkę, sprzedaje produkty, taki sam nosi surdut z szaraczkowego sukna, podszyty barankami; takąż czamarkę¹³, tenże płaszcz granatowy, takimże samym wózkiem jeździ w pole i cug koni wiecznie wiedz się biały. Jaki on gościnny! Jaki dobry! Jaki punktualny! Wstaje ciągle o czwartej i wnet rusza po gospodarstwie. Biję szósta i już nasz Cześniak dąży wprost do sypialni żony, a stanąwszy na progu, woła:

- Imościuniu! Imościuniu, dzień dobry! A daj no kluczyki od szafy.
- Nie ma pani – odpowiada czasem dziewczyna przybierająca pokój.
- A gdzie? Może sroka uchwyciła? – mówi Cześniak.
- W lochu – odpowiada dziewczyna – albo w praczkarni, albo w ogrodzie.
- Co, po brodzie? – powtarza Cześniak: bo miał zawsze zwyczaj niby niedosłyszec odpowiedzi. – A, biegajże prędzej, przynieśże prędzej!

Dziewczyna bieży, Cześniak, śpiewając coś sobie pod nosem, włóczy się po pokojach i w oczekiwaniu powrotu posła zachodzi do garderoby. Garderoba pani Cześniakowej był to duży, o czterech oknach pokój z kominkiem, na którym rzadko kiedy nie paliły się drewna i nie prażyło się kilka garnuszków śmietanki. Na środku pokoju stał stół duży i krzesłami po obu stronach, na których siedziały za robotą dziewczęta, niektóre przy stole, niektóre przy oknach, a dwie małe przy kominku czuwały nad całością śmietanki, cerując pończochy i drzemiąc ciągle. W rogu izby stało łóżko panny służącej pod kolorowym baldachimem, zasłane białą jak śnieg kapą, a w głowach zawieszony był obrazek patronki. Sama właścicielka siedziała zwykle na pierwszym miejscu przy stole, zajmując się robotą, i tylko kiedy niekiedy odzywała się do pokojówek pracujących w milczeniu. Oto macie prozaiczny obraz garderoby. Prawda, że nic czarującego? Nie – zaiste! Na pierwsze spojrzenie cicho

¹² *Kato* – Marek Porcjusz Katon (234 p.n.e. – 149 p.n.e.), mówca, polityk i pisarz rzymski, wślawił się nieprzejednaną wrogością do Kartaginy i ciągłym nawoływaniem do jej zburzenia; tu: synonim konsekwentności, niezmienności.

¹³ *Czamara* – dawne męskie ubranie wierzchnie.

tu i smutno, a jednakże jak wiele te skromne ściany mieszczą dla nas pamiątek! Jak wiele przyjemnych i pociesznych wypłynęło stąd zdarzeń! Powiedzmy to szczerze: kto z nas w szkołach jeszcze nie tęsknił za swawolnymi dniami wakacji, a te swawole, czyż odbyły się kiedy bez zamieszania w nie i garderoby?¹⁴

Cześnikowa była już kobieta niemłoda, ale czerstwa, gospodarna, rubaszna i sroga. Panna służąca bała się jej, dziewczęta drżały przed nią. Nie była ona okrutną, popędliwą; przeciwnie: pełna współczucia, dobroci i wyrozumienia, ale miała coś w obejściu się, co nakazywało szacunek i bojaźń; co do dziewcząt zaś, było ich wszystkich do dziesięciu; lecz cztery w samym kwiecie wieku: Ukrainki czerstwe, kształtne, ładne i przebiegłe w znalezieniu się.

Zmiłujcie się, moi kochani czytelnicy, jeśli ktokolwiek z was, nieznających stron naszych, widział w przejeździe nasze wiejskie dziewczęta z opaloną twarzą, czarnymi rękami, amarantowymi łydkami, opięte niekształtnie różnokolorową płachtą i z ogromną pazuchą z przodu, mieszczącą zawsze przynajmniej dwa garnce słonecznikowego nasienia – jeśli kto z was widział je, jak siedzą tak w dnie świąteczne na przyzbach, na ulicach, jak przed karczmą śmieją się głośno, śpiewają jeszcze głośniejszej albo odpowiadają głupio – o, zmiłujcie się, powtarzam, nie sądzcie wy z nich o pokojówkach naszych! Te chłopki ani się umyły do nich! Nasze pokojówki z tejeż klasy, ale co za różnica! Naprzód wiedzcie, iż wybierają na nie z najpiękniejszych dziewcząt. Bojaźliwa i dzika przy wstąpieniu, ona przez czas niejaki nabiera gracji, wdzięku i przyzwoitości w obejściu się – do niewierzenia! Rysy delikatniejsze przybierają kształty – słońce nie pali twarzy; włos kruczy albo blondynowy staje się lśniący; pierś i ramiona przybierają białość marmurową i zaokrąglenia cudne; usta nie pierzchną od wiatru i koral ich lamuje uroczo dwa rzędy białych ząbków; oczy nawet, te oczy nużone ciągłymi promieniami słońca i przyćmione pyłem, palą się tu jakimś brylantowym blaskiem... A stanik! A nóżka! – O, mówię wam, że to przeistoczenie do niewierzenia!

Ja nie mogę powiedzieć, żebym nie był gorliwym stronnikiem narodowej poezji lub żebym nie lubił sielanek – lecz nigdy nie mogłem zmusić siebie do uwierzenia w te opisy wdzięków wiejskich dziewic, w te ich sentymentalne uczucia, którymi tak szczerze pozalewali poeci całe swe tomy! Rzeczywistość okropnie mi psuła moją, choćby na najwyższych szczytach stawianą iluzję. Z codziennych przykładów i na samym sobie i na drugih, jako myśliwy i wieśniak, przekonałem się jaśnie a oczywiście, iż murawa na naszych łąkach chociażby najmiejsza, wszakże nigdy nie była tak miękka, jak perskie kobierce w naszych bawialnych pokojach; że wiatr stepowy opalał okropnie twarz całą, a zefiry wieczorne, tyle opiewane przez poetów, były częstokroć tak zimne, iż bez ciepłego pałta nabawiały niechybnie febrą; słyszałem

¹⁴ *Garderoba* – pokój, gdzie przechowywano odzież.

też tę wysławianą naiwność naszych rolniczych ludów, te melodyjne ich tony – i cóż? Pomimo potężnej dozy uprzedzenia nie mogłem pogodzić przez żaden sposób ani moich uszu, ani mego uczucia z nimi. Szukałem miłości na koniec, tej miłości tyle już naśpiewanej przez naszych ukrainomanów!¹⁵ Szukałem jej pod różną postacią, w różnym czasie – i cóż? Znalazłem ją... wprawdzie, ale Bożeż mój, Boże!¹⁶ Cóż to za miłość?! Stądże to poczerpnął ją Zaleski, Goszczyński, Czajkowski?...¹⁷ W chacie – była ona głupia, cielesna, niema; na ulicy – krzycząca, gruba; w karczmie – pijana, cała pod wpływem dzikich pasji i szaleństwa – a zawsze okryta tak grubą powłoką, iż ledwie możesz się dorozumieć, iż pod tą powłoką musi być istotnie jakaś cząstka prawdziwej siły, jakieś tajemnicze żyjątko, które jednakże nie w stanie jest rozedrzeć swych pieluch.

I tu dopiero tłumaczyłem sobie poetów, dorozumiewałem się oczywiście, iż oni odrzucali ledwie nie wszystkie zewnętrzne formy, a brali tylko tę skrę wewnętrzną i w swym już ją rozniecali ręką. Tak zaiste, inaczej być nie mogło. Naród bez ukształcenia, natura bez wygodnych warunków – już są nie dla nas; są to surowe materiały – nic więcej.

A pokojówka, czy wiecie, jaką by rolę w tej rozprawie grać mogła? Ona jest wiernym uosobieniem czystych, gminnych elementów, tylko już szerzej rozjaśnionych uczuciem. To taż sama wiejska, przed chwilą ślepa, a dziś już widząca jakby siłą cudu dziewczyna; toż samo serce, też jego sympatie, taż pokrewność z miejscowością, tylko oświecone jaśniej, podniesione wyżej na działanie słońca.

- Cześnik wchodził do garderoby noga za nogą i wnet zawiązywał rozmowę z panną.
- Dzień dobry pannie Tekli.
 - Dzień dobry Panu.
 - Pan Pisarz kazał się kłaniać pannie.
 - Ot, tobie i raz! Pan zawsze coś wymyśli.
 - Doprawdy; mówił wyjeżdżając w pole: „A niech tam pan będzie łaskaw kłaniać się ode mnie mojej kochanej Teklusi”.
 - On nie powie tego.
 - Czemu?
 - Tak.
 - Jak to tak?
 - Tak, *taj hodi!*¹⁸ Bo to nieładnie...

¹⁵ *Ukrainoman* – pisarz należący do tzw. szkoły ukraińskiej w literaturze, piewca Ukrainy.

¹⁶ Pisownia w oryginale kapitalikami.

¹⁷ Twórcy zaliczani do romantycznej szkoły ukraińskiej w literaturze polskiej XIX wieku: Józef Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński i Antoni Czajkowski.

¹⁸ *I dosyć.*

– Bo ukradnie? Chi, chi, chi, chi – zaśmiał się Cześnik (a śmiał się zupełnie tak, jak krzyczy kaczką, zwołując dzieci). – Oto ślicznie! To on pannę ukradnie? Eee – kiedy tak, to my postawimy przy oknach wartowników.

Dziewczęta uśmiechają się, panna Tekla niby nieukontentowana:

– Pan, jak mamę kocham, zawsze coś wymyśli!

– Już przyszli? Oto jak prędko! A gdzie oni?

– A niech Matka Boska *obroni z tym panem!*

– Chi, chi, chi, chi... A Józia myśli sobie: oto jak tej pannie dobrze! A mnież to mój huncwot Podsędek nie kłaniał się ani razu!

– Jaki Podsędek? – odzywa się zarumieniona Józia, podnosząc piękne swe oczy na Cześnika.

– Chi, chi, chi, chi, jaki! A ten, co umizgał się do ciebie?

– Do mnie żaden nie umizgał się! – rzecze obrażona Józia.

– To może ty do niego.

– I ja do niego nie!

– To może wy oboje do siebie razem... Chi, chi, chi, chi! Ot, jak Oksana, to już pewnie nie zaprze się Rachmistrza.

– Ja jego i znać nie chcę! – rzecze Oksana, patrząc na robotę w krosienkach.

– Ehe, jaka zła aspanna!¹⁹ – mówi Cześnik. – A jak darował obrazek, to tak pocałowała głośno w korytarzu, że ażem się obudził.

– Pan zawsze coś wynajdzie do każdej.

– Wynajdzie! A bodaj was – ha! *Trastia waszu matir!*²⁰ – dodaje zwykle Cześnik, gdy jest w dobrym humorze. – Ot, kiedy Julka poczciwa i skromna, to nikt nic na nią nie powie.

Panna Tekla ruszyła dwuznacznie głową; dziewczęta uśmiechnęły się cichutko; Julka zarumieniła się jak karmazyn.

Julka była w moim zdaniu najśliczniejszą z nich wszystkich dziewczyną. Wyobraźcie sobie postać ile można kształtną, na której rok siedemnasty odbijał się uroczko w dziewiczych formach: wyobraźcie sobie płeć białą i świeżą, włosy jak kruk czarne, brwi także, rzęsy gęsie i długie, a spod nich, w najśliczniejszej oprawie błyszczące, błękitne, duże, melancholijne oczy!... W tych oczach, przy tych brwiach i włosach czarnych, był jakiś szczególny urok, jakaś wróżba niezgłębionych rozkoszy, siła uczucia tak wielka, iż tylko tak czarowna i namiętna pierś, jak pierś Julki, pomieścić je i oddać z siebie mogła; że tylko te usta, zdaje się, były godne purpurować się i palić tym trawiącym oddechem, że tylko te ramiona, zdaje się, pojęłyby to serce i mogły wypełnić jego chęci...

¹⁹ *Aspanna* – skrót od: waszmość panna.

²⁰ *Do stu diabłów!*

Taką była Julka. Niepodobna było z zimną krwią wpatrywać się w jej rysy... oko nie mogło śledzić za cząstkowymi wdzięki, chyba byłoby to oko nie młodzieńca! Ja długo nie wiedziałem, jakie jej brwi, jakie oczy, jakie jagody, jakie usta... wiedziałem tylko, iż w tej twarzy był ogień – był dzień – była noc – były półświatła i półcienia – słowem: barwy i żywioły wszystkie – ale gdzie? Jak? Co? – dalibóg nie wiem!

Patrząc na tę dziewczynę, jak skromnie siedziała za krosienkami, jak usługiwała do herbaty – nie mogłem pokrywać wzruszenia. Kiedym myślał, że tyle wdzięków ma przekwitnąć w tej głuszy, w tych samotnych ścianach garderoby, bez widoku świata, bez użycia jego rozkoszy, do których takie tylko wdzięki, według najbezzstronniejszych praw ludzkości, powinny by mieć większe od innych prawo, żal mi było natenczas, iż ta natura, raz zbyt skąpa, drugi raz zbyt szczodrobliva, rzuciła tyle skarbów w tak ciasne warunki świata, a ten głupi świat tak się wstydzi jej praw odwiecznych, iż przeniesie jego urojone opinie nad jej prawa i minie obojętnie ten wonny fiołek dlatego, że on mały i w trawie, a schylił się kornie przed bodiakiem²¹ dlatego, że kołący i wielki.

Gdyby Cześnikowi przyniesiono niebawnie kluczyki od szafy, on by wywędrował sobie wnet z garderoby dla uraczenia się kielichem anyżówki i zostawiłby Julkę spokojną – ale jak na toż poseł nie wracał, a Cześnik nie mógł siedzieć cicho.

– Julku, czy uważasz – mówił – wszak prawda, że ty cicha i skromna?

Julka milczała.

– Oj, te ciche – odezwała się panna Tekla – czasami gorsze od głośnych.

– Chi, chi, chi, chi... – zaśmiał się Cześnik, rozpatrując krosienkową robotę Julki. Biedna dziewczyna znowu oblała się rumieńcem; postrzegł to Cześnik i rzekł niby litującym się tonem:

– Wymyślają na dziewczynę Bóg wie co! Czegóż bo ty milczysz, Julku? Powiedz im: A wy, to już święte czy co? To, jak pannie Tekli gra co wieczór na skrzypeczce Pisarz – to nic? To, jak Józia odnosiła Podśędkowi do oficyny²² kołnierzyki – to nic? To, jak Praksesta romansuje z ogrodnikiem – to nic? To, jak Oksana biegała po kolacji z Rachmistrzem po ogrodzie – to nic? A ja, powiedz, że tam raz, kiedyś, zdarzyło się czy nie zdarzyło się sięść przy paniczu, to już wszyscy na mnie jak na wilka!

– Kiedyż bo ja ani myślałam siedzieć przy paniczu!

– No, ot wam! Czy słyszycie? – rzekł Cześnik, niby przyjmując stronę obwinionej. – Ona może doprawdy ani myślała siadać, a tu już nagadali Bóg wie co! Może ona tak niby siadła albo może ten łotr ją podczepił?

– Ale gdzież tam! Nic – nic – zgoła! – rzekła Julka, podnosząc błagalne spojrzenie.

²¹ *Bodiak* (*bodziak*) – roślina stepowa z rodziny złożonych, o kolczastych liściach i łodygach.

²² *Oficina* – boczne skrzydło kamienicy lub budynek stojący za kamienicą frontową; skrzydło pałacu lub budynek w pobliżu pałacu czy dworu, zwykle o przeznaczeniu gospodarczym.

– O, czy słyszycie? Ani nawet podczepił! To może to i wtenczas zdało się pannie Tekli, że niby słyszała, jak szeptaliście z sobą pod gruszą – a to był wiatr albo coś podobnego?

– Zapewne...

– O, przepraszam! Przerwała, podnosząc dumnie głowę panna Tekla. – Co już ja słyszałam na własne uszy, temu wierzę!

– Ale gdzie tam! – rzekł Cześnik. To pannie tak się śniło.

– Nie, jak mamę kocham – nie!

– O, toż śniło się!

– O, toż nie!

Nie wiem, jak długo ciągnęłaby się ta gra w odbijanego, gdyby szczęściem nie przybył poseł z pożądanym pękiem kluczy. Cześnik wziął je i na progu jeszcze mówił niby ustami Julki:

– Otóż ja to byłam – no, taj cóż? No ja, no i cóż? Ja kocham panicza, bo on łeński chłopiec, a on mnie kocha, bo ja ładniejsza od was wszystkich! Na złość wam kochać jego będę!

W podejrzeniach panny Tekli istotnie było wiele prawdy. Leon był jedynym synem Cześnikostwa, chłopiec żywy, pojętny, pełny zapału i wyobraźni, młodzieniec, którego jeszcze świat nie rozczarował w niczym, który rad widział w całusie miłość, w uścisku zadatek przyjaźni, w słowach prawe uczucie serca; który głośno obstawał za wszystkimi krzywdzonymi przez los bohaterami romansów i gdyby mógł, wymordowałby co do nogi tych wszystkich wyrodków społeczeństwa rodzaju ludzkiego, którzy częstokroć przez całe cztery tomy trzymali pod kluczem niewinność i psuli szczęście kochanków właśnie w tę samą chwilę, gdy już, już ci czuli kochankowie zaczęli kosztować rozkoszy miłości jak gołąbki. Leon był na pierwszym uniwersyteckim kursie²³, nosił stosowany kapelusz, mundur z sinym kołnierzem i szpadę u boku, a że przy tym był wysmukły, ładny i hoży, cóż dziwnego, iż mógł się podobać Julce, a Julka podobała się jemu? On czytał Zaleskiego, Goszczyńskiego, Olizarowskiego, on już dał sobie słowo honoru napisać coś w podobnym guście – przyznajcie więc, iż wszystko to po *Julii* i *Adolfie*²⁴, po *Matyldzie*²⁵, po *Pawle* i *Wirginii*²⁶ złożyło się jakby umyślnie do zagustowania w Julce. Przy tym toż życie wiejskie, czyż nie sentymentalizuje już naszych uczuć? Ta śliczna natura wokoło, te słowiki tuż pod oknem,

²³ *Był na pierwszym uniwersyteckim kursie* – był studentem pierwszego roku.

²⁴ *Julia i Adolf, czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru* – romans autorstwa Ludwika Kropińskiego (1767–1844), wydany w roku 1824.

²⁵ *Matylda: powieść szkocka* – utwór autorstwa Gottlieba Konrada Pfeffela (1736–1809).

²⁶ *Paweł i Wirginia* (oryg. fr. *Paul et Virginie*) – utwór Jacques'a-Henriego Bernardina de Saint-Pierre, opublikowany po raz pierwszy w 1788. Bernardin de Saint-Pierre napisał *Pawła i Wirginię* jako część *Studiów nad przyrodą*.

ta kukułka gdzieś w borze, te gołąbki gruchające na dębie – a na koniec te cudne noce z księżycem i płynącymi cicho obłokami – o! Nie, jużciż to wszystko nie obudzą w nas uczuć! Obudzą, zaiste, nawet w sercach zużytych już, zepsutych – a cóż dopiero w niewinnych, marzących, młodych...

Co do Julki zaś: wszak wy wiecie, jakie to jest ciągle życie na wsi? Jest to życie zupełnie przeciwne w stosunku do życia miejskiego. Tam głowa, tu serce w działaniu ciągiem. Tam człowiek wszystkie swe uczucia, z którymi przyszedł, rozgubia, brucze²⁷, ściera, trwoni razem z pieniędzmi, aż zostanie z zimnym tylko rozumem i z zimniejszym ciałem; a tu przeciwnie, uczucia pod ciągłym wpływem natury żyją, korzenia się, wrastają w naszą istotność tak, iż potem trudno je oderwać od serca, iż zawarte w ciągle jednostajny tryb życia, stają się drugą dla nas naturą i potrzebą. I cóż dziwnego, że w życiu takim każda nadzwyczajność zajmuje nas mocno? Kupiec z towarami, gazeta z poczty, asesor²⁸ z dzwonkiem – o! już to są ważne periody! A cóż dopiero gość z gubernatorskiego miasta, chłopiec taki na przykład jak Leon, co to ze śmiałą miną spacerował pośród mnóstwa dam i elegantów, co to umiał na pamięć kilkadziesiąt miłosnych oświadczeń i mógł całe przedeklamować *Dziady*²⁹, co to w galopadzie nie żenował się objąć i przycisnąć do piersi pierś młodą, chociażby to była pierś należąca do księżniczki, cała w perłach i brylantach – i cóż dziwnego, powtarzam, iż Leon zawrócił głowę wielu? To tak niezwykłe na wsi! Gdzież, pokażcie mi, wieś może tak kształcić młodzież?

Jak w drobnostkach nawet swych zajmował wszystkich Leon! Było to już na przykład rzeczą niepodlegającą najmniejszej kwestii, iż prowentowy Pisarz³⁰ zawijał sobie włosy tak modnie, ale to tak modnie, iż na całym jarmarku żaden z młodzieży ani śmiał go przewyższyć efektem i wdziękiem... i cóż? Przyjechał Leon – i tegoż samego wieczora, taż sama panna Tekla, która nie dalej jak wczoraj wychwalała pod niebiosa wysokie na łbie pisarskim koki, powiedziała, o zgrozo! – że u Leona ładniejsze!!... Zgódźcie się, iż na mil sto wokoło nie nosił nikt piękniejszej mycki jak Podsędek. Była to pamiątka afektów świętej pamięci Kunegundy – cała z pąsowej włóczki, cała wzwyż w botanicznych kwiatach z kupidynami, łukami i pokłutymi na wylot sercami; Cześnikowa, sama pani Cześnikowa przyznała, że to robota *mister-na* – i cóż? Leon, nazajutrz po przybyciu, wyszedł do ogrodu w swojej amarantowej,

²⁷ *Brucze* – miele, rozdrabnia.

²⁸ *Asesor* – w dawnej Polsce urzędnik towarzyszący sędziemu lub marszałkowi sejmiku; uczestnik rozprawy sądowej m.in. w sądzie nadwornym (asesorii).

²⁹ Chodzi o II i IV część *Dziadów* Adama Mickiewicza (Wilno, 1823).

³⁰ *Pisarz prowentowy* – (ekonom) był urzędnikiem prywatnym, rejestrującym i prowadzącym kontrolę przychodów, wydatków i dochodów oraz prowadzącym nadzór nad robotnikami w majątku ziemskim.

z pływającym kutasem³¹ i złotymi na atlasie kwiatami – i wszyscy domownicy, wszystkie dzieci z piekarni biegły w ślad za nim, wytrzeszczając oczy i rozdziawiając gęby! Nie wiem, czy miał kto podobnie piękny zegarek, sznurek paciorkowy i większe przy nich pieczętki, jak Rachmistrz. Cała okolica wiedziała o tym. Wieleż to one tajemnej budziły zazdrości we wszystkich tych paniczach, którym dwustuzłotowa pensja nie pozwalała przez żaden sposób ozdobić podobnie kamizelki! Wieleż to westchnień młodych piersi, wiele pierwszeństw w zalotach winien był szczęśliwy Rachmistrz tej błyskotce! – i cóż? Znowu Leon i tu pomieszał szyki! Jego łańcuszek był cały ze złota i nadzwyczaj misternej roboty, jego kluczyk grzechotał tak mile, jego na koniec repetier, według zdania samego Leśniczego (który, mówiąc nawiasem, służył kiedyś u Potockiego i widział nie takie rzeczy!), jego, mówię, repetier był według tego zdania „taki, że to nu!”. Perfum i pomady nikt nie miał lepszych jak panna Ekonomówna. Przyczyna tego objaśni się sama przez się, gdy dodamy tu, iż do panny Ekonomówny dojeżdżał już od pół roku z sąsiedniego miasteczka Aptekarz. Aptekarz, panie dobrodzieju, co się zowie! Proszki zawsze w takie ładne obwijał papierki, iż panna Tekla zbierała je i chowała do swej toaletki; słoiczki, sygnaturki – choć rysuj! A co najbardziej, że wszystko pachnące! Otóż i tu niedobre zamieszało Leona. Leon przywiózł perfum i pomady z taką wonią, w takich puszkach, że gdy spojrzął na nie znowu ten sam Leśniczy, co był u Potockiego, tak nie myśląc długo, wyrzekł *ex promptu*: „Ot, co to, to z samego Paryża! Daleko do nich aptekarskim!”. Byli na koniec pod ten czas u Cześnika Herszko z Lejbą – sławni krawcy na całą okolicę! Oni robili niedawno *samemu* panu Marszałkowi tużurek z sukna po 20 rubli za arszyn! Oni zrobili jak ulał cały garnitur dla pana Kasjera – do ślubu! Stanowy przystaw³² nie nosił innego wicemunduru, tylko ten, co wyszedł z rąk Herszka i Lejby – ale na co wam więcej: Podsędkowi nikt jeszcze w życiu nie zrobił pantalonów, które by dostawały do kroku. Ubierając się każdego rana, ten człowiek kłął kahał³³; przybywa na koniec Herszko z Lejbą – opatrują Podsędką od stóp do głowy, szwargoczą, zdejmują miarękę – jak utną panie – tak choć rysuj! Wszyscy powiedzieli natenczas, że byłoby *barbarzyństwem* żądać lepszych. Ale oto zjawia się w salonie Leon, a Leon był wysoki, kształtny, cienki w pasie, pełny w piersi, szeroki w plecach. Cóż dziwnego, iż mundur Udinka, iż pantalone Wąsowicza leżały na nim jak ulane? Widzieli to wszyscy i przyznali, że leżały lepiej jak na Podsędku; ale Pisarza zachwyciły najbardziej pantalone z szerokimi strzemionkami. Miał on kilka łokci sinego sukna i kawał rzemienia; jak tylko

³¹ *Kutas* – przest. ozdoba z nici, jedwabiu, wełny, sznurka, zrobiona w kształcie pędzla.

³² *Prystaw* – w carskiej Rosji: naczelnik niewielkiego okręgu administracyjnego.

³³ *Kahał* (hebr. קהילה *kehilla* – zgromadzenie, gmina) – wyrażenie z języka jidysz oznaczające gminę, formę organizacji społeczności żydowskiej. Słowo to oznacza zarówno samo skupisko ludności, wewnętrznie zorganizowane i posiadające władzę, jak i grupę władz gminy.

więc rozebrał się Leon, tak całą jego garderobę przeniesiono wnet na sesję do oficyny, gdzie za dużym stołem siedzieli już: Herszko, Lejba, Pisarz, Rachmistrz i Ekonom, a opodal stali: Kredensierz, Kucharz, Ogrodnik i Stolarz.

Leon był trzpiot jeszcze; on przyjmował te tylko wrażenia od świata, które mu się podobały najwięcej, ale były to wrażenia od oka, nie wyrabiały się wewnątrz, a tym samym nie mogły wpływać stanowczo na jego wyobrażenia i życie. Wczoraj na przykład czytał on Coopera³⁴ i tak pokochał majestatyczne widoki pustynnych Ameryki lasów, iż gotów byłby wsiąść wnetże na parowy statek i udać się do Zjednoczonych Stanów; dziś był w teatrze – już marzył o kilkowiecznej sławie Szekspira; tam znów widział wodza na dzielnym koniu przebiegającego przed świetnymi kolumny, słyszał brzmienie wojennego marszu i już całe hufce zdawały się nieść pod jego wpływem na zastępy wroga – i już myślał dzień cały o Napoleonie, o jeneralskich epoletach i bitwach. Gdy był na balu – przelatał w wicherze walca sale – szeptał jakiej piękności z uśmiechem o wrażeniach serca i wywoływał z jej serca podobne; gdy zostawał pod wpływem muzyki, balowego półgwaru, półszmeru i brzęących ciągle uczuć... tam znowu świat cały zdał mu się być przepasany cudowną girlandą ciągłego wesela i szczęścia. Cóż dziwnego, że i wieś z początku śmieszna, nudna, cicha, mało pomału³⁵ zaczęła nabierać w jego oczach powabów więcej, że zajmowały go już łany, stawy i polowanie, a w Julce już nie tylko nie zrażały ani jej wieśniaczy ubiór, ani jej skromność – ale ładniutkie rysy wyobrażały się ładniejsze z dniem każdym.

Nic łatwiejszego jak zakochać się w kokietce w mieście, w wieśniaczce na wsi. Obie te istoty są na swych miejscach, w swej sferze; wszystko dla nich służy stosownymi ramy, a przyznajcie, że stosowne ramy podwyższają piękność każdego obrazu, a tym bardziej takiego, który jest robiony na efekt. Julce wszystko, co ją otacza, bardzo było do twarzy: i ta podejrzliwa panna, i ta sroga Cześnikowa, i ten pocziwy Cześnik.

II.

Było to jakieś święto. O, wy wszyscy, co mieszkaliście na wsi, kiedy byliście jeszcze i niewinniejsi, i młodszy – przypomnijcie sobie, jakie to u nas na wsi święta! Dalibóg, mają one coś uroczystego w sobie. Nie ma tego szumu, buku, blasku jak w mieście; przeciwnie: w jakąś godową szatę zdaje się oblekać natura cała, skromna, świeża, cicha i woniejąca.

³⁴ *James Fenimore Cooper* (1789–1851) – powieściopisarz amerykański i jeden z twórców literatury amerykańskiej. Autor powieści przygodowo-awanturnych, których akcja rozgrywa się podczas walk z Indianami i Francuzami w drugiej połowie XVIII w.

³⁵ *Mało pomału* – powoli, z czasem.

We wsi Cześnika od samego kołowrotu poznać można było święto. Chaty ubielone, umiecione podwórza, wieśniacy w czystej, świątecznej odzieży – a we dworze tym bardziej. Jeszczeż to do godziny ósmej jako tako widzisz i ruch, i krzątanie: tu wypędzają bydło w pole, tam poją konie, tu kucharz idzie *wybierać na obiad*, tu bieży dziewczyna do piekarni z żelazkiem, chłopiec niesie imbryczek do golenia, a tam stróż zmiata dziedziniec, ogrodnik polewa kwiaty, w ptaszarni słychać zwołują kury do karmienia (bo i domowe ptastwo na wsi używa prerogatyw święta) i malec w podartej świtce, ale za to w białej koszuli i nowym słomianym kapeluszu, wypędza na lewadę cielęta; gumieny przyprzątał tok³⁶ na górze, obmiótł czyściutko stodołę i sterty, poodciągał wozy, poskładał jarzma i zamknąwszy na klucz przełaz i wrota, idzie sobie, kaszając do domu. Jeślibyś mógł patrzeć z jakiego wzniesłego punktu, na przykład choćby z toku, na zabudowania Cześnika, widziałbyś to wszystko jak na dłoni. Ale oto wychodzi sam Cześnik w swym dobrze znanym surducie i sukiennej czapce. Trybem już zwykłym kaszła naprzód przy drzwiach jeszcze, potem zażywa tabakę i idzie do stajni; tu dysponuje, jakie konie i powozy pójdą dziś do kościoła. Stamtąd rusza po gospodarstwie, zaziera wszędzie, opatruje wszystko, zatrzymuje każdego, a każdy ze spotkanych zdejmuje czapkę, kłania się nisko i mówi: *Zdrastwujcie, miłostwyjy panie!*³⁷ – *Zdrastwuj!*³⁸ – odpowiada Cześnik. – *S praznykom, bud’te zdorowi!*³⁹ – *Zdorow buw!*⁴⁰ – znów powiada Cześnik. Po skończonym obchodzie powraca do swego pokoju i zasiada do golenia się, a tymczasem zewnątrz i wewnątrz domu ważne dopełniają się odmiany. Wszystko już umiecione, przybrane; teraz zajmują się wszyscy ubiorem własnym. Cześnik, zacząwszy od koszuli, a skończywszy na chustce do nosa, wszystko bierze inne. Jego granatowa węgierka, żółte nankinowe spodnie, biała pikowa kamizelka, takąż chustka na szyję i, już to rozumie się samo przez się, potężne kołnierze. Do fraka miał garnitur inny, lecz potem o tym. Cześnikowa nosiła nie modne, ale wygodne suknie i rzadkiej białości kołnierzyki. Panna Tekla stroiła się zwykle w coś bardzo jaskrawego albo zupełnie biało; perły, granaty, kolczyki, pierścienie, bransoletki – wszystko to było w obfitości i żeby tak te wszystkie błyskotki obaczyć na jakiej hrabinie czy księżnie, a nie na pannie służącej, pobierającej rocznej pensji, podług zwykłej u nas formuły: *150 złotych, sztukę płótna i dwanaście par trzewików* – jak mego Boga kocham, pomyśleć można, że tu się świeci na jakie kilkadziesiąt tysięcy złotych; tymczasem pocziwe nasze berdyczowskie Żydki – czy dałby kto wiary! – ustąpią z pocałowaniem ręki te wszystkie drogocenne klejnoty za

³⁶ *Tok* – klepisko, równa, gładka płaszczyna z mocno ubitej gliny (zmieszanej z plewami lub siewką), znajdująca się w części stodoły, przeznaczona do młócki (dawniej cepami) i czyszczenia ziarna.

³⁷ *Witajcie, wielmożny panie!*

³⁸ *Witaj!*

³⁹ *Zdrowia życzę z okazji świąt!*

⁴⁰ *Nawzajem.*

piętnaście złotych! Dziewczęta miały gustownie zastosowany ukraiński ubiór i trzeba przyznać Cześnikowej, iż postępowała w tym względzie roztropniej od tych wszystkich pań, które gwałtem chcą robić ze swych chłopek miejskich gryzetek⁴¹ lub jakichś arlekiniek⁴², dając im ubiory ze swej głowy, na co nie targa się żadna w świecie stolica przed Paryżem. My weźmy na przykład za model do opisu Julkę. Czarne jej włosy zaplecione były we dwie spadające na ramiona kosy, błękitną przy końcach połączone wstążką. Koszulę białą jak śnieg, z szerokimi wyszywanymi w kwiaty rękawami, ścisła króciutki ciemnofioletowy gorset, zgrabnie określając stanik i piśszczotliwie obrysowując piersi. Kolorowa, fałdzista spódnica, czarny materialny fartuszek i takież z czarnymi wstążkami na białej pończoszce trzewiczek kończyły ubiór.

Gdy Cześnikostwo wyszli wsiadać do powozu i za nimi wyniesiono pełną chustkę nabożnych ksiązek i woreczek z pieniędzmi dla ubogich – na dziedzińcu inny już był widok. Ciż sami ludzie wyglądali jak nie ci. Jest to godne uwagi, iż w święto każdy z wiejskich mieszkańców staje się bielszy. Nowe suknie niepospolitej dodawały każdemu powagi. Wszyscy stąpali powolnie jak indyki i obracali się jak wilki, nie zawracając karku. Woźnica na koźle, ponieważ widocznie górował nad wszystkimi, więc marzyło mu się zapewne, że w istocie wyższym jest od wszystkich, bo diable gęstą zrobił minę. Za koczem stała bryczka przeznaczona dla panny i Pisarza. Pisarz zwracał szczególniejszą na siebie uwagę: jego granatowy surdut z ogromnym kołnierzem, jego kok na łbie, zakręcony już *à la Leon*, napierśnik wyszywany ręką panny Tekli, spodnie na koniec z szerokimi już strzemionkami – zapewniały mu z góry i serce Panny Tekli, i podziwienie młodzieży. Z wyciągniętą jedną nogą naprzód stał on obok swej dulcynei i bawił ją rozmową, prowadzoną w tym guście: że dziś *piękna* pogoda, że ja *ukradnę* w kościele *książkę* od panny Tekli itd. Przed Pisarzem stał Ekonom w ciemnozielonym surducie, z tabakierą w rękę i przebąkiwał to z tym, to z owym. Był tu i Leśniczy, dowodzący, iż miał takiego samego wierzchowca jak ten, co w dyszlu, gdy służył jeszcze u Potockiego; było kilka pokojówek uśmiechających się i szepczących o czymś między sobą – a z kuchni, ze stajni, z piekarni, to w oknach, to we drzwiach widniały głowy: kucharza, stróżówek i stróżów; dzieci nawet, stojąc między kolanami starszych albo przewracając się z psami na słońcu, patrzyły gapiowato na powozy stojące przed gankiem.

Pojechali na koniec – i oto dom inny znowu przybiera widok. Oficjaliści rochochodzą się do domów, służcy i kobiety do cerkwi, dzieci bawią się pod oknami, rozigrane psy nawet biegają wesoło po dziedzińcu. W ogrodzie, na toku, na łąkach, cicho

⁴¹ *Gryzетка* – młoda pracownica domów mody, szwaczka, ekspedientka, lubiąca zabawę i flirt.

⁴² *Arlekin* (wł. *arlechino*) – postać błazna w czarnej masce „komicznej”. Ubrany w kostium zszyty z kolorowych trójkątów albo rombów. Jedną z postaci w *commedii dell'arte* m.in. obok Pierrota i Scapina.

i spokojnie świergoczą tylko wróble i przelatują sroki; słońce zaczyna palić nietoście – zamykają okiennice dokoła domu i w pokojach robi się półciemno i chłodno.

Leon przeczuł tę tajemniczą chwilę, udał chorego i został się w domu. On już kochał Julkę, chciał z nią pomówić sam na sam, chciał ją choć raz uścisnąć, pocałować, a tu jak na toż trudno było wybrać taką chwilę! I Julka kochała Leona – ale ona kochała tajemnie i skromnie: Leon ledwie mógł podejrzewać ją o to.

Leon cichutko i z bijącym sercem wszedł do garderoby – w garderobie było półciemno – Julka siedziała sama jedna...

– Julko! Serce! Duszko! Czy ty tu sama?

– Paniczu! Po co wy tutaj?

– Csss... csss... milcz serce!... Milcz, mój kotku!... – I zbliżył się na palcach, usiadł, objął, przycisnął – drżał cały...

I Julka drżała jak listek...

– Julko!

– Paniczu!

– Nie gniewaj się, lubko...

– Idź Pan sobie...

– Ja cię kocham!...

– Ktoś idzie...

– Nad życie!...

– Przestań pan...

– O, wierz mi!

– O, nie chcę!

– ...Daruj mi...

– Zostaw mnie...

– Julko, bo jaka ty niedobra! Czemuż ty mnie nie kochasz, kiedy ja cię tak kocham?

– Panicz żartujesz sobie z biednej dziewczyny...

– Ja? – Nigdy!

– Wy tak zawsze...

– Jaż, bo cię kocham... – szeptał Leon, przyciskając ją do swych piersi. I głos jego był zmieniony, oko pożerało bliźniutkie wdzięki lica. Julka nie podnosiła oczu i drżała w jego objęciach.

– Ja cię kocham... O, ja cię kocham nad życie, moja duszko! Jak bo cię nie kochać, kiedy ty taka ładna! Tak czarująca! Nie gniewaj się na mnie, daruj mi, powiedz: nie gniewasz się na mnie?

Julka milczała.

– Hmm? Za cóż? Za cóż? Za to, że cię kocham?

Julka milczała.

– Julko! Nie zasmucaj mnie!

I Leon patrzył półbłagalnie, półsmutnie na jej spuszczone oczy.

– Ty gniewasz się ciągle – choć powiedz: za co ty tak gniewasz się na mnie?

– Ja nie gniewam się na panicza...

– Nie? O, serce moje!

I palące usta jego społyły się z ustami Julki.

– Ty nie gniewasz się na mnie – to dobrze! – mówił natrętny Leon. – Ale czemu ty mnie nie kochasz?

– Bo wy nas nie kochacie szczerze...

– Julko, a moje słowa nic nie ważą u ciebie? Czyż zdradziłem w czymkolwiek cię kiedy?

Julka podniosła powieki i patrzyła na Leona pełnym uczucia i melancholii wzrokiem: zdało się, iż z jego oczu badała siłę jego uczuć i swą przyszłość.

O, wy wszyscy, których gniewają te obrazy, którzy z zimną krwią gotowicie analizować i ich serca i mój o nich opis – powiedzcie, powiedzcie mi na miłość Boga: za co tyle piorunów na to uczucie? Wypowiedzcie, że ich kierunek jest poniżający, a skutki zgubne? – niech i tak – ale co im do tych skutków? Kto o nich myśli w tę chwilę?? Czy można o nich myśleć wtedy?? Czy ten sam zimny rozmyślnie upośledziłby mnie w obliczu tegoż uczucia?.. A też skutki złe potem – czy wiecie skąd mają swe źródło? – Oto ze zdrady tegoż samego uczucia! Posłuchać jego głosu – to występki; iść według zdań świata – to cnota. A jeśli ja pójdę pierwiej za głosem serca, a potem za przekonaniem świata – na kogo wtedy spadnie wina? Czy na wasz świat, czy na moje serce? Wy powiecie: nie trzeba było słuchać uczuć! – A ja pytam: A można się im oprzeć zawsze? – Oto więc patrzcie, czym stajemy się często! Uszlachetniamy najnienaturalniejsze związki i dajemy im prawo obywatelstwa; potępiamy najnaturalniejsze i wstydzimy się, gdy czasami nie jesteśmy zbyt mocni odeprzeć je gwałtem... Stąd to te ciągłe walki w naszym życiu i tyle brudnych czynów... Stąd prawdziwe szczęście wstydzony świat, a rachuba złości się pozorem. Stąd to ten ciągły rozbrat młodzieńczego naszego życia z prawidłami świata – bo ono słucha głosu serca, a świat za nic go waży. Stąd te wynaturzenia się nasze, wiodące za sobą częstokroć smutne następstwa, fatalne przesilenia – bo każde, choćby cząstkowe, nadwyrężenie w człowieku praw natury nie może się odbyć bez wstrząśnienia budowy jego całej. Wy powiecie: Ale spójrz na skutki, a przekonasz się, iż głos uczuć bywa częstokroć zdradliwszy od pieśni Syreny⁴³: brzmi chwilę – zamiera na zawsze. Miłość jest ślepą i nie patrzy w przyszłość. Oto patrz! Ci, owi, tamci – młodzi, niedoświadczeni posłuchali pierwszych uderzeń serca, pierwszego przylewu krwi do głowy – i dziś – jak nieszczęśliwi! – Zgoda; ale czyż zastanowiliście się wy

⁴³ *Pieśń Syreny* – zdradliwa pieśń (jak pieśni mitycznych Syren).

nad trudem ich pielgrzymki? Czy nie wiecie, iż człek odważający się do tego kroku staje sam jeden do walki z całym światem i musi tak walczyć całe życie? Czy nie widzicie, że ażeby przetrwać z Katona czołem⁴⁴ te ciągle burze, trzeba mieć i moc duszy Katona? Trzeba być i wyższym nad ogół? A z tych ofiar, co mi wskazaliście, pokażcie, kto szedł nie tylko z tą siłą, ale choćby z prostą wiedzą o tym, co go czeka? Z czym i w czym wypłynęli oni na to burzliwe morze? Z młodym, bijącym sercem i na wiarę tej ciszy, co ich otaczała w ustroniu... O, zaiste! Słaba to nadzieja i obrona! Cóż dziwnego, iż na pierwszym kroku ułękli się rozhukanych fal, co złały się na nich? Cóż dziwnego, iż skrzywili kierunek w dążeniu, rozdęli dłonie, ratowali się podłą ucieczką lub ginęli na dnie?...

Nie; młodzieniec, dziewica, idący za głosem serca potępianym przez świat, niech pierwiej obliczą się dobrze ze swymi siłami i niech wyrozumieją, czy jego kochanka lub jej kochanek równie będą niezachwiani, nieustraszeni podczas burzy. Gdy znajdą w sobie, w nich jedną li sentymentalność tylko, a nie znajdą energii i mocy – o! – niech zerwą te związki! Niech się żenią i idą za mąż na wiarę rodziców, opiekunów, pierwszej lepszej ciotki, choćby nawet i *na niewidziane* – a będą szczęśliwsi, obędą się, przywykną do siebie...*

– Więc ty mnie kochasz – kochasz? – napierał się ciągle Leon. – Powiedz, że ty mnie kochasz, a będę szczęśliwy i spokojny.

Julka, ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich moich czytelników, rzekła cichutko:

.....Kocham.....

Zdaje się, zbyt czynnym byłoby powtarzać, iż słodko brzmiące to słowo pochwycił Leon jakby w locie i usta Julki zamknął pocałunkiem najszczęśliwszym. Nie będę wam opisywał tej chwili – bo jak opisać: dźwięk, barwy i ciepło? A właśnie była to chwila złożona z tych trzech pierwiastków, tak świeżych, tak uroczystych, jak tylko mogą być one przy blasku fosforycznego słowa: *kocham*.

Wszystko to byłoby prozaiczniejsze dla nas, co nastąpiło potem, dlatego nie myślę wam powtarzać, od słowa do słowa, rozmowy ich dalszej. Słowo: *kocham*, wymówione po raz pierwszy ustami kochanki, jest najpiękniejszym, ale razem ostatnim już wieńcem naszego uroku. Gdyby potrzeba było użyć tu porównania, powiedziałbym, że to jest ów punkt najwyższy, do którego dolata kula ciśnięta w bezgraniczną

⁴⁴ *Przetrwać z Katona czołem* – przetrwać w prawości i uczciwości.

* Ważne ostrzeżenie. Boję się, żeby czasami Szanowni moi Czytelnicy i Czytelniczki, biorący często rzeczy zbyt literalnie, nie pomyśleli sobie, że oto namawiam publicznie młodzież do żenienia się z Horpynami, Ulanami, Pałażkami itp. A, broń Boże! Zbyt jestem troskliwy o czystość rasy, iżbym miał na widoczną krzywdę *karmazynu* rozsiewać podobne opinie!... To się mówi tylko *à propos* Julki. [Nawiązanie do ludowych i literackich kreacji kobiet o zdecydowanym charakterze, w tym do *Ułany* J. I. Kraszewskiego – Red.]

przezeń – zatrzyma się na nim przez chwilę i jakby od niewidomej ręki odbiera pchnięcie przeciwne, które powraca ją na ziemię. Tej szczególnej rozkoszy niepodobna kosztować ani powtórnie, ani długo; sama też przez się nie może być ona wystarczającą dla nas. Jest to punkt, na którym pełną piersią i w jednym mgnieniu chwytamy iskrę miłości z nieba, ażeby ją znieść i jej promieniem ozłocić miłość ziemską.

Turkot powozu dał się słyszeć z podwórza. Leon podbiegł do okna, spojrzął przez szparę okiennicy i postrzegł Cześnikostwa wysiadających z kocz⁴⁵. W okamgnieniu przyskoczył do Julki – objął ją – ucisnął – pocałował i w kilka susów ocucił się już w swoim pokoju, narzucił szlafrok, nacisnął mykę, rzucił się na łóżko i zachrapał głośno.

– Oj, wa waaaa... oj, wa waaaa! – rzekł Cześnik, otwierając na roścież drzwi do pokoju Leona. – Oto, panie! Śpi jak ser w pierogu! Wstydz się, wstydz, belbasie⁴⁶ – mówił, zbliżywszy się i trącając go z lekka. – Wstawaj, wasze, a pójdziemy jeść obiad. Dam ci kielich doskonałej anyżówki, która cię orzeźwi w ten moment.

Gdy Leon wszedł do sali, tam już siedziała za stołem Cześnikowa i kilka osób zaproszonych z kościoła na obiad. Śmiano się, żartowano, rozmawiano, a najwięcej o tym: kto był na jarmarku, kto w kościele, a w jakiej była salopie⁴⁷ pani Marszałkowa, w jakim czepku Sędzina, jakimi krojami zrobiona suknia panny Chorążanki itd., itd.

III.

Całą resztę dnia Leon był zajęty to gośćmi, to podwieczorkami, to herbatą, to wieczrą – bo na wsi ciągnie się to wszystko w nieprzerwanym prawie szeregu od rana do nocy; nie miał więc czasu ani był w usposobieniu podumać o Julce, o sobie. Za to gdy oddał dobranoc, udał się wnet do swego pokoju, usiadł w szlafroku przy otworzonym oknie, kazał podać sobie karafkę zimnej wody, fajkę – i dopiero zaczął marzyć, co się zowie poetycko.

Julka w tę samą porę, chociaż było już późno i spali wszyscy, zasnąć równo nie mogła. Księżyc świecił przez okno wprost na jej łożo, a jego melancholijne światło skłaniało jeszcze bardziej do dumań. Jakich ona myśli nie rozwinęła na strzałach jego promieni! Ile zerwała, ile osnuła nowych!...

⁴⁵ *Kocz* – powóz czterokołowy z nadwoziem zawieszonym na łańcuchach lub pasach, zaprzęgany w dwa lub cztery konie.

⁴⁶ *Belbas* – w gwarze lwowskiej: grubas.

⁴⁷ *Salopa* – noszony dawniej płaszcz kobiecy, długi i obszerny, zwykle watowany, z peleryną.

O, toż bo te noce miesięczne, to jedyne do dumań! Leon rozkoszował się w milczeniu cudnym obrazem i jeszcze cudniejszym urokiem tej chwili. Całe niebo iskrzyło się w gwiazdach; księżyc jak lampa świecił pośrodku, a białe chmurki, to w dużych masach, to pocięte w drobniutkie cząstki jak senne na jeziorze kaczkę pływały po całej przestrzeni. Te zakryły go zupełnie, tu przeziera on co chwila przez szpary, ówdzie widnieje jakby osłonięty muślinem, a oto wyłynął na czysty błękit i świeci ciągle. Od jego promieni obrysowały się malowniczo lasy między obłokami i spokojną powierzchnią stawu.

Suche dęby po górach z bocianimi gniazdami widnieją dokoła, a same góry albo czarnieją przy tle jasnego nieba, albo bieleją ołowianą powłoką przy ciemnych chmurach. Trzy kopuły cerkwi wybiegły z cieni sadów i błyszczą w górze; bieleją facjaty folwarcznych zabudowań i karczemka sama jedna stojąca gdzieś daleko pod lasem. W powietrzu chłód, woń, obfita rosa i uroczyście cisza. Nie ciągnęła wszakże cisza; co chwila coś ją przerwie na moment: tam zaszczekał pies, tam zakolał wartownik, tam przejechał skrzypiący wóz – słyhać go coraz ciszej – ciszej – a na koniec zniknął w oddali; ale te odgłosy są to jak słowa wyjąkane przez sen – po nich zdaje się jeszcze ciszej.

I Leon, i Julka byli jeszcze tak młodzi, iż miłość ich zajmowała tylko bez względu na przyszłość. Tak upłynął im miesiąc i na koniec zbliżył się dzień wyjazdu Leona do Kijowa. Ostatnie ich sam na sam miało miejsce w ogrodzie, w gęstej altance z powoju i przy tęsknym blasku księżyca. Nie była to już tyle urocza jak pierwsza, ale nie mniej rozkoszna dla nich chwila. Oboje, jak się to praktykuje od wieków, przysięgli sobie miłość niezmienną, wieczną; Julka jednakże miała jakąś niespokojność na sercu. Ona mówiła mu, że on zapomni o niej, że ją zdradzi, gdy ona zostanie ciągle stałą. Leon wszystkie te podejrzenia tłumił ciągle powtarzanym: nigdy! I możemy to rzec na jego stronę, iż mówił z serca, bo kochał szczerze, jak tyko może kochać otwarty, niedoświadczony jeszcze młodzieniec.

Życie wiejskie, spokojne, nadzwyczaj roztkliwia uczucia, bo żyje li uczuciem. Tam wszędzie spotkasz mniej więcej poufność, przyjaźń, sympatię i żyć one tam mogą pod osłoną spokojności i nieskłóconej wiary. Leon uczuł wpływ jego. Było to dlań toż samo uczucie, jakiego doświadczał przed kilkoma laty, opuszczając dom rodziców, z tą tylko różnicą, iż pierwiej żał mu było za cukrowymi sucharkami, za orzechami i wierzchowym konikiem – a dziś – za Julką.

Ala bądź co bądź, wyjechał nasz bohater. Na popasach i noclegach marzył tylko o miłości i Julce, napisał z pół tuzina sonetów i jedną ważną rozprawę o demokracji, której gorliwym ogłosił się stronnikiem. Lecz oto i miasto, oto pałace, cerkwie, piękne bulwary i ulice, seciny dorożek i koczów, eleganci, elegantki; gryzетки, szum, turkot, gwar, chaos, muzyka i spacer. Na zmysły Leona uderzyło to wszystko razem, nagle, silnie, otoczyło go, porwało w swoje zaczarowane koło.

Tegoż samego dnia jeszcze Leon w eleganckim mundurze pokazał się na spacerze w publicznym ogrodzie. O! Iluż znajomych! Jak serdeczne powitania się! Tu młode mężatki rozpytywały go z podejrzliwym uśmiechem o powabach wiejskiego życia; tu panienki zazdrościły mu słowików i kwiatów; tu koledzy chwyтали go w ramiona i ściskali po bohatersku – aż cały ten pożar uczuć ledwie potrafiło zalać szampańskie⁴⁸ u Finke⁴⁹.

Leon nazajutrz wstał zupełnie jak nie ten; na drugi dzień zmiana w nim jeszcze większa; na trzeci przyszedł doń z rana stangret z zapytaniem: Czy nie pora by go już odesłać z końmi do domu? Dopiero Leon wspomniął o Julce, uśmiechnął się, zasiadł do pisania listu do rodziców, a tymczasem posłał służącego, żeby kupił obrazek w Peczerskiej Ławrze⁵⁰ i pierścionek św. Barbary w Soborze Św. Zofii⁵¹.

– Słuchaj no, pocziwy Omelku – rzekł, wręczając stangretowi te obie rzeczy i rubla srebrem na wódkę. – Ta trzpiot, Julka, prosiła mnie, ażeby jej przysłać te cacka z Kijowa. Oddaj jej to, tylko proszę cię, żeby nikt o tym nie wiedział, bo najniewinniej mogą mieć biedną dziewczynę w podejrzeniu...

– *Jjj – kryj Boże!*⁵² – rzekł z dwuznacznym uśmiechem Omelko. – *Kto by ce podumaw na Panycza takuju nebytyciu!*⁵³ – Ukłonił się, pocałował rękę i ruszył do domu.

Nadeszła jesień, później zima, a w styczniu Kontrakty⁵⁴; bale, zabawy ciągłe. Leonowi już dawno wywietrzała z głowy sentymentalna miłość, już on nie żywił jej tajemnie od świata, zapał się pierwszych uczuć, a jeśli i wspominał kiedy, to zawsze z lekceważeniem, z jakąś nawet chlubą, podciągając je pod zwykły rodzaj awanturek kawalerskiego życia. Z początku nic nie wyznawał przed kolegami; później nadmieniał krótko; na koniec wyobraził sobie, że to było dlań ze wstydem tak neutralną w kole młodzieży odgrywać rolę, zaczął więc od kłamstwa i toż samo uczucie, którego prawa wyniósł przedtem tak wysoko, dziś postawił najniżej, odarł ze skromności i wdzięków, zaledwie przyznawał mu materialną wartość... Niedługiego trzeba na to było czasu, ażeby opinia drugich w tak nieustalonym umyśle wyrobiła się w opinię własną. Przez pół roku już on istotnie nie myślał inaczej; przez rok dowiódł to czynem – a gdy

⁴⁸ *Szampańskie* – wino szampańskie.

⁴⁹ *Finke* – prawdopodobnie nazwa lokalu.

⁵⁰ *Peczerska Ławra* – prawosławny klasztor w Kijowie, siedziba zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego.

⁵¹ *Sobór Św. Zofii* (Sobór Mądrości Bożej, Sobór Sofijski) – najstarsza cerkiew w Kijowie, zbudowana jeszcze w I połowie XI wieku.

⁵² *Jej, uchowaj Boże!*

⁵³ *Któż by pomyślał o paniczu coś takiego!*

⁵⁴ *Kontrakty* – dawniej umowy handlowe zawierane przez kupców na największym jarmarku w regionie (tu: w Kijowie), odbywającym się każdego roku w styczniu.

wyjeżdżał na święta Bożego Narodzenia do domu, dał kolegom słowo honoru przy pożegnaniu, iż powróci zupełnym zwycięzcą.

Leon wsiadł do sani w usposobieniu dziwnym. Szampan go robił to namiętym, to cnotliwym na przemian. Gdy mrozy i wiatry wytrzeźwiły go trochę, zaczęły w swą kolej działać na jego umysł pustynne widoki natury. Owinięty niedźwiednią, marzył przez dnie całe w podróży. Podróż podczas zimy w naszych stronach jedyna do dumań. Ciągłe przed oczyma albo tęskne stepy, albo ogromne lasy. Oko nuży się tą martwą jednostajnością, tą bezgraniczną przestrzenią i często z przyjemnością wita karczemkę wybiegłą na trakt, jakby umyślnie dla widzenia się z podróżnym, z pobliskiej gdzieś wioski. Z drogi tu i ówdzie widnieją zaśkoki⁵⁵ zająca, po rozdolach myszkują lisy, pod tokami siedzą kuropatwy, w wioskach kurzą się kominy, skrzypią żurawie i rażno młóca cepy. Nikomum w życiu nie zazdrościł tak szczerze, jak tym szczęśliwym obywatelom, na których domy patrzyłem wprost z brudnego okna zimnej i brudnej karczmy. Zły, głodny i przeziębły, śledziłem za najmniejszym ruchem na dziedzińcu obywatelskiego domu i z tego zewnętrznego życia wpadłem na najpoważniejsze domysły, do jakich tylko mogą natchnąć dwadzieścia gradusów mrozu i pusty żołądek. Jeśli przechodził kucharz, jeśli pokojówka przeniosła do prażenia śmietankę – o! – wnet wyobrażałem sobie tę naszą rozkoszną, wiejską herbatę, przy wesołej pogadance i przy palącym się kominku... , gdy przyjeżdżał z wizytą sąsiad albo młodzież wracała z polowania – o! – zazdrościłem im w duszy i tego polowania, i tego wieczoru! Wnet mi się roiły wesołe pogadanki to o tym, to o owym, ładne dziewczęta, nawet uśmiechy ich..., nawet ich pieśzotliwe gorsy... Budził mnie zwykle z tych ponętnych marzeń krzyk bachorów i kłótnie pijanego chłopstwa tuż za ścianą.

Możemy to powiedzieć na pociechę własną, iż i Leon nie lepszą miał drogę. Ale przyszedł na koniec dzień Wigilii. Już mrok osiadać zaczął, gęsty szron pokrył drzewa i burzany, lasy zamieniły się w jakieś cudowne pałace, pełne tajemniczych ustroni i katakumb; wioski jakąś poważniejszą zda się przywdziały szatę, pobieleły konie, obmarzły futra i włosy. Leon już wjechał na grunta rodzicielskiej wioski. Omelko, dotąd milczący, zaczął często i wesoło rozmawiać z lokajem, potężnie palił z bicia i odzywał się do koni. I konie poczuły bliskość domu, poznały znajomą drogę i pola, na których pasaty się ciągle; poszły kłusem ochotnie i rażno, strzygły uszami, parskały co chwilę. Oto już karczemka – oto figura – oto kołowrót, grobla, bicz rozlega się po wiosce, stróż otwiera wrota. Cześnik w szaraczkowym⁵⁶ surducie stoi na ganku, słudzy wytrzeszczają oczy i w okamgnieniu roznosi się wieść: panicz przyjechał!

⁵⁵ *Zaskoki* – ślad skoków kluczącego zająca.

⁵⁶ *Szaraczkowy* – o suknie tkanym z nitki czarnej i białej, szarym.

Leon wysiada – całuje rękę ojca – wita się ze wszystkimi – hurmem prowadzi go do matki. Tu nowe powitania, nowe uściski; ledwie po upływie godziny powraca wszystko w dawne karby i przypominają, że trzeba zająć się wieczerzą.

Leon wchodzi do garderoby – wita się z panną Teklą – zbliża się do Julki. Julka nie śmie podnieść oczu – lica jej goreją w rumieńcach – pierś nie może stłumić gwałtowności oddechu... Leon patrzy na nią z zachwyceniem: ona zdaje mu się stokrotnie ładniejszą niż przedtem. Weszła Cześnikowa.

– No cóż? Moje dziewczęta – rzekła – urosły, odmieniły się, nieprawdaż? Ty u nas, Leosiu, nie byłeś półtora roku! – Wakacje przepędziłeś gdzieś na Wołyniu – ja na próżno kazałam ci przygotować twój pokój! Zapomniałeś, hultaju, o nas, a my cię tu tak wspominali często! Omelko ile razy przyjedzie, zawsze pyta: – *Ej, myłostywa Pani! Cze skoro ja pojedę za panyczem? Czy ne buło od nioho tystu?*⁵⁷ U nas i zmiany zaszyły w domu, moje dziewczęta powychodziły za mąż. Przez rok jeszcze i z czterech słuszniejszych nie zostanie żadna. Nabrałam już ze wsi innych. Jedna Julka rozkapsyła się mi trochę.

– Cóż takiego? – zapytał ciekawie Leon.

– Ją swatali dwaj zamożni gospodarze i obydwóm odmówiła. Nie chciałam jej zmuszać, ale bodaj, czy dobrze na tym wyjdzie?! Lepszej partii już nie znajdzie, a szlachcic z nią się nie ożeni.

– Czemuż? – bąknął Leon półgłosem. – Julka taka ładna, młoda!...

– O! To to ich najwięcej i gubi! – przerwała Cześnikowa. – Że jak ładna i młoda, to już się jej marzy Bóg wie co! Jeśli Julka liczy na piękną twarzyczkę, to omyli się bardzo. Bóg z nią! Przymuszać jej nie będę; chce, nie chce – jak zechce. Ja zresztą nic złego nie mam powiedzieć o niej, bo że pracowita, poczciwa i skromna – to prawda.

Julka przez ten czas cały nie podniosła oczu – była jak w ogniu. Leon patrzył na nią z zajęciem i milczał. Po chwili powrócono do sali, gdzie już zebrani byli oficjaliści⁵⁸ – i podano wieczerzę.

Wy wiecie naszą uroczystą wieczerzę w Wigilię Bożego Narodzenia? Cześnikostwo obchodzili ją prawdziwie po staropolsku. W rogu izby stał snop zboża, stół był pokryty sianem, na stole było mnóstwo strucli, pierogów z powidłami i makiem, sztof⁵⁹ doskonałej anyżówki i opłatki na talerzu przy miseczce z miodem.

Cześnik wziął naprzód do rąk talerz z opłatkami i miodem, zbliżył się do żony i łamiąc z nią opłatek, złożył jej życzenia wszelkich pomyślności i zdrowia. Kiedy poczciwy Cześnik całował żonę, łzy mu zabłyśły w oczach, Cześnikowa

⁵⁷ *Oj, miłościwa Pani! Czy szybko pojedę po panicza? Czy listu od niego nie było?*

⁵⁸ *Oficjalista* – dawn. osoba zatrudniona przy zarządzaniu majątkiem ziemskim.

⁵⁹ *Sztof* – naczynie o pojemności pół kwarty (w systemie staropolskim 1 kwarta = 0,9422 l).

zapłakała widoczniej. Następnie zwrócili się oboje z życzeniami do Leona, potem do domowych – i tu dopiero rozjaśniły się oblicza gospodarstwa. Posypały się życzenia potomstwa, bogatych mężów i żon ładnych. Ekonom całował w ramię Cześnika; Pisarz kłaniał się i coś mruczał; Rachmistrz pokręcał bakenbardy⁶⁰ i wyrzucał najzyczliwsze adekta; panna Tekla zarumieniła się nawet, gdy jej Cześnik prorokował szybkie zamążpójście. Potem zaczęły się życzenia wzajemne każdego z każdym – i tu już i Rachmistrzowi, i Pisarzowi, i Ekonomowi, i pannie Tekli rozwiązał się język.

Leon był pod wpływem tej tak wiele przemawiającej do uczuć uroczystości. Inne życie zepsuło już go o wiele, lecz nie zepsuło na tyle, ażeby jak drudzy upatrywał w podobnych obrzędach śmieszne strony i zwał je prowincjonalizmem. Prawda, nie mógł on już być właściwą częścią tego pięknego obrazu, ale mógł jeszcze być godnym jego widzem.

Nie dano mu chwili spokojnej z zapytaniami o Kijowie, o drodze, o nowinach itd. Skończyła się wieczerza. Leon wyszedł do przedpokoju.

– A gdzie mój Trezor? – zapytał chłopca. – Czy zdrów? Czy dobrze go pilnowano?

– Ijj, Paniczu! Zdrów i duży jak buhaj! – rzekł malec. – Klucznica tak go karmi jakby na słoninę. On w jej pokoiku i leży zawsze.

Leon wybiegł do oficyny. Dwa pokoiki Klucznicy były ubogie, niewielkie, ale czyściutkie i przyjemne. Stół nakryły obrusem białym, podłoga umyta, piec ubielony, a na kominku dopalały się drewnka. Nie było nikogo, tylko Trezor leżał na sienniku u progu. Pies poznał swego pana – skakał – szczekał. Wtem otwartą się drzwi i wbiegła Julka.

– Julka!

– Ach! Paniczu! Wy tutaj?

– Jakie szczęście przyniosło cię do mnie? – rzekł Leon, porywając ją w swe ramiona i okrywając lice pocałunkami.

– Mnie Pani posłała za Klucznicą... – mówiła drżąca Julka.

– Ach – serce!...

– Ach – Paniczu!...

– Czy ty tęskniłaś za mną?

– Tęskniłam... a wy?

– O! I ja tęskniłem! Ach! Jaka ty ładna!

– Ładna... mój Boże! – rzekła smutnie Julka. – A czemu wy mnie nie zapytacie: czym szczęśliwa?

– Czyś szczęśliwa? – powtórzył Leon. – A czemuż byś nie miała być szczęśliwą?

⁶⁰ *Bakenbardy* – bokobrody.

– Czemu? To wy i nie domyślacie się – mówiła Julka, pieszcząc się z jego włosami. – Temu, że was kocham... O, paniczu! Żebym ja cię nie kochała, byłabym szczęśliwą! Już ja przeczuwam, co mnie czeka...

– Moja miłość... – rzekł Leon.

– Gdzie tam! – westchnęła Julka. – Wy znacie tę pieśń, którą śpiewałam często:

Ne żyt' hołubci z Orłom syzokryłym,
Chot' win win rozłuczyt' ii na wik z myłym!
Dla nioho insza je w poli myłaja,
Jak win kryłasta i jak win syzaja!⁶¹

Otóż, ta pieśń ciągle mi i teraz w pamięci! Panna już mnie kilka razy łajała, że śpiewam ją zawsze, ale ja często i nie postrzegę się jak zaśpiewam i potem wstyd mi przed wszystkimi. Mój Boże! Jak ja płakałam za Wami! Ten obrazek, co mi przysłaście, mam ciągle na szyi..., ale wy, o, wy paniczu, dalibóg zapomnieliście o mnie! Gdzie tam wam, bogatym, przy bogatych pannach myśleć o biednej chłopce! Kiedy pomyślę sobie, że ta moja miłość może się skończyć dla mnie smutnie, to gniewam się sama na siebie: czemu ja, jak Prakseda, jak Ulana⁶², nie zakochałam się w równym mnie i nie idę za mąż? Moje lata giną... Pani gniewa się, na wsi i tak już mnie nie lubią i mówią, że harda, a ja milczę – cierpię i płaczę – bo nikt nie wie, co się dzieje w moim sercu!

– Zbyt już wiele czułości – rzekł Leon. – Do czego ten ciągły smutek?

– Alboż ja jemu rada! Ja chciałabym być wesołą, lecz nie mogę! Szczęście jeszcze, że pani nie domyśla się przyczyny tego smutku!

– Proszę cię, nie smuć się, kochana Julko – rzekł Leon. – Ty taka ładna, gdy wesoła! Twoje rumieńce mogą zbladnąć od troski; twoje oczy mogą stracić blask swój cudny: a czyż nie szkoda tylu wdzięków?

Julka zamyślała się.

– Czy prędko pojedziecie, paniczu, znowu od nas?

– O, teraz prędko! Przez miesiąc najdalej.

– A kiedy powrócicie?

⁶¹ *Nie dla gołębicy orzeł szaroskrzydły,*

Choć rozłączy i na wiek z miłym!

Dla niego inna jest polu miła,

Jak on skrzydlata i jak on ciemnoszara

Syzyj (ukr. *cuzyj*) – ciemnoszary z niebieskawym odcieniem.

⁶² *Ulana* – bohaterka powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego *Ulana. Powieść poleska* (1842), traktującej o miłości panicza i kobiety z ludu.

- Może latem.
- A jeśli mnie nie zastaniecie już tak ładną, to nie będziecie mnie kochać?
- Co za dziwaczne zapytanie!
- Nie to, paniczu – ale ja uważam, iż panicz kocha mnie dlatego tylko, że ja ładna.
- Ale nie wiecież bo co! – rzekł Leon z widocznym wzruszeniem, bo ta prosta uwaga tłumaczyła dobrze jego cele. – Kto to wie, co jeszcze będzie! Ty już marzysz o tym, co ma nastąpić przez pół roku! Daj temu pokój! Powtarzam ci: ty czarująca, gdy się trochę trzpioczesz... Ale – Julko, mam ja ci wiele do powiedzenia; powiedz, czy nie mógłbym pomówić z tobą później sam na sam?
- Julka spojrzała mu przenikliwie w oczy.
- Nie... paniczu.
- A jakąż ty podejrzliwa! I ty możesz mówić, że mnie kochasz? Kto kocha, ten ufa.
- Serce panicza – szeptała Julka ze łzami, opierając na jego ramieniu swą główkę. – Niech mnie Bóg skarże, jeśli cię nie Kocham nad życie!
- Więc jakże?
- Nie żądaj ode mnie tego...
- Julko, ufaj mi!
- Wtem czyjeś kroki dały się słyszeć w korytarzu.
- Ktoś idzie! – krzyknęli oboje i rozdzielili się w okamgnieniu. – Słowo jedno: tak czy nie?
- Nie... – odpowiedziała Julka, drżąc cała.
- Już trzymała za klamkę.
- Więc teraz wiem, że ty mnie nie kochasz...
- Kto? Ja? – zapytała zmienionym głosem.
- Ty!
- O, Boże mój, Boże!
- I wybiegła z izby.

IV.

Ażeby odwrócić wszelkie podejrzenia wchodzącej osoby, Leon położył na nosie Trezora kawałek chleba i zaczął recytować przed nim najpatetyczniej całe abecadło. Klucznica tak była uderzona uroczystością tej chwili, iż otworzywszy drzwi, nie odważyła się zrobić kroku i czekała u progu końca tego wielkiego przedstawienia. Gdy wyszła, Leon tak zaczął myśleć, chodząc po pokoju:

– Szczególna zaiste dziewczyna! Kocha się we mnie serio! Sam głupiom zrobił, że wprowadził ją w tę sentymentalność. Trzeba było zacząć od razu inaczej.

Jej teraz roi się Bóg wie co! Przywiązała się jakaś cnota... a ta łzawa czułość tak jej nie do twarzy! Nie, trzeba ją przygotować inaczej. Powiem, że później wydam ją za mąż za kogo sama zechce, dam posag, a to będzie i pewniej, i lepiej.

Jak skoro podczas Świąt zdarzył się moment do pogadania sam na sam, Leon zaczął ją traktować rubaszniej, z lekceważeniem i dwuznacznymi żartami. Julka na każdy taki żart odpowiadała pełnym zdziwieniem i niepewności wzrokiem. Nie mogła sobie wytłumaczyć, jak ma pojmować tę zmianę w Leonie. Kiedy mu się chciała uskarżać czasem, on nie dawał jej domówić do periodu i grubym śmiechem zagłuszał wszystko. Słowem: prowadził siebie, jakby Julka nie zajmowała go wcale. Biedna dziewczyna okropnie cierpiała chwile! Zazdrość, gniew, żal, poniżenie na przemian zatruwały jej serce. Stała się milcząca, pogardliwa i smutna, a w nocy ciche łzy wylewała obficie. Gdy czasami Leon, po zadawanych jej tym sposobem mękach, usiadał obok i wpatrywał się z głęboką ironią w jej rysy i ona, podnosząc oczy, spotykała się ze wzrokiem jego: w tym wzroku czytał on głęboki wyrzut i zimną pogardę dla niego.

Ale od czasu, jak Leon zaczął się spotykać z tym zimnym Julki wzrokiem, czuł i on, iż nie mógł go znosić bez przykrego wrażenia. Jej kamienna obojętność obudziła w nim stłumione uczucia i już mu ciężko było w takim stanie trwać dłużej.

Jednego poranku Leon wybierał się na polowanie, gdy weszła Julka.

– Pani każda zapytać panicza – rzekła zimno – czy będzie pił kawę czy herbatę? Leon patrzył na nią i milczał. Julka czekała odpowiedzi.

– Cóż pan każe powiedzieć pani?

Leon milczał.

– Niech panicz będzie łaskaw, odpowie, bo ja nie mam czasu – rzekła znów, patrząc zimno w lice Leona.

Leon zbliżył się i rzekł z uczuciem:

– Julko! Ja wiele winienem przed tobą!

Jej lice oblało się rumieńcem gniewu czy pogardy.

– Co pan każe powiedzieć pani? – powtórzyła znowu najobojętniej.

– Masz rację gniewać się na mnie – rzekł znowu Leon najłagodniej. – Serce, Julko, o jedną cię proszę łaskę: pozwól mi usprawiedliwić się przed tobą.

Julka spuściła oczy.

– Ja wiele winienem przed tobą – mówił Leon – ale nie ty sama przyczyną naszego poróżnienia?

– Czy nie dlatego, że nie posłuchała panicza wtedy? Nie, paniczu, ja widzę teraz, jak wy mnie kochacie!

– Julko, ja bym pamiętał o twym losie.

– Co to ma znaczyć?

– Że wydałbym cię za mąż, za kogo zechcesz, dałbym ci posag, wyprosiłbym dla cię kilka par wołów, chatę i gospodarstwo.

– Alboż nie zgadłam? – rzekła Julka smutnie. – Nie, paniczu, nie potrzeba mi ani waszego posagu, ani waszych wołów! Mnie już swatali tacy, którzy są bogaci i bez pańskiego wsparcia. Ja chciałam, żeby mnie panicz kochał!... Głupia ja! Biedna ja! Jakże mnie zaślepiła ta miłość! Teraz jasno już wszystko między nami. Bóg z wami, paniczu! Bóg z wami! – powtórzyła ze łzami w oczach. – Mam tylko żal do was największy za to, na co wy z początku udaliście, że kochacie mnie szczerze.

– Bo ja cię kocham..., ale mówmy otwarcie: powiedz sama, czy mogę ja ze-
nieć się z tobą?

– Żebyście wy powiedzieli: zostań moją kochanką, tylko nie rzucaj mnie, ja bym była szczęśliwszą nawet wtedy, bo zostałoby mi przekonanie o waszej miłości, a dla niej przeniosłabym cierpliwie i gniew rodziców, i pogardę wsi całej... Straciłabym wiele, zawiązała sobie świat, ale byłabym z wami i żyłabym dla was... Wy dalibyście mi jaki futer w lesie – mówiła, nie mogąc powstrzymać łkania i przez łzy patrząc w lice Leona... – ja godziłabym się prędzej już na to, na wszystko, byleby nie rozłą-
czać się z wami... a teraz!...

Zasłoniła ręką oczy i wybiegła z pokoju. Leon roztargniony i smutny wyjechał na polowanie. Powróciwszy do domu, chciał się co najprędzej obaczyć z Julką, przebiegł garderobę, zaszedł do pokoju matki – Julki nie było nigdzie. – To go uczyniło niespokojnym. Zaczął on śledzić za wszystkim baczniej i postrzegł, iż słudzy, a nawet sama panna Tekla, chowały niezwykajne przy nim milczenie, a gdy opuszczał pokój, spoglądały znacząco i z ukosa. Cześnik zdał mu się być nie tak serdecznym jak przedtem, a Cześnikowa była widocznie milczącą i gniewną.

Leon udał, że nie zważał na nieobecność Julki, chociaż ona tylko jedna, gdy nie było gości, ciągle usługiwała do herbaty, wszedłszy do swego pokoju, zawołał lokaja i rzekł doń z cicha:

– Powiedz mi, mój Grzegorz, co tu było beze mnie?

– Harmider wielki!

– A Julka gdzie?

– Odprawiona na wieś.

– Na wieś! Za co?

– Widzi panicz, tylko niech panicz będzie łaskaw, nie powie, że to ja mówił. Imość postrzegła, czy dowiedziała się od kogoś, że panicz niby to z nią romansuje; zawołała do siebie i wzięła na ścisłe badania. Julka nie przyznawała się długo – długo – a na koniec padła do nóg Imości i wyznała wszystko. Imość rozgniewała się i wypędziła ją z domu. Tu był taki rejwach z samego rana, że niech Matka Boska broni i zachowa! Panicz wie, że nasza pani dobra i sprawiedliwa, ale już jak się rozchodzi, to trzymaj się tylko! A najbardziej nie lubi miłostek. Panie Boże! Myślę sobie, doznała się pani, jak to czasami po miastach panicze bawią się sobie po kawalersku – o toby dała nam bobu!

I to rzekłszy, Grzegorz wziął się za głowę. Wtem otwarły się drzwi i weszła Cześnikowa.

– Słuchaj no, Leonie – rzekła, ledwie mogąc stłumić wybuch gniewu. – Żle prowadzisz siebie w naszym domu...

– Jeśli to się stosuje do Julki, to ona niewinna! Klnę się Bogiem, że niewinna! – rzekł Leon.

– I niech mnie dziękuje, jeśli to tylko prawda. Ale jak ty miałeś sumienie prowadzić ją do zguby? Tego po tobie nie spodziewałam się nigdy!

Leon zaczął się tłumaczyć, jak tylko mógł i umiał. Cześnikową nic przekonać nie mogło. Od wymówek przeszła do morałów, od morałów do katechizmu. Jej prawdy były proste i tak gruntowne, że ich nic zwalić nie mogło. Leon przygotował się już do cierpliwego słuchania na całe pięć godzin, gdy wtem otwarły się drzwi i wszedł Cześnik.

Jeśli mamy rzec prawdę, Cześnik bał się Marysi w chwili gniewu. Gdy ta burza wybuchała w dzień, naciskał wnet czapkę na uszy i szedł na tok lub wyjeżdżał w pole; gdy wieczorem, rejterował się wnet do swego pokoju. Kładł głowę pod poduszkę i już go ładne prośby nie mogły zwabić do wieczery.

Czasami obwoływał się mediatorem, ale najczęściej trzymał stronę Marysi, chociaż w istocie nie pomagał ni tej, ni owej. Gdy gderała Cześnikowa, on zwykle dodawał po wszystkim:

– A prawda! Bo to niepięknie! I ja mówię, że to niepięknie!

Gdy znowu usprawiedliwiał się obwiniony, mówił natenczas, śmiejąc się: – *Chi, chi, chi, chi!* *A szczob tebe – ha!* *A trjasta waszu matir!*⁶³ Oto hultaje! – I brał kluczyki i wychłał najspokojniej, stojąc przed szafką, kielich anyżówki.

Cześnik wszedł z tajemniczą miną, jakby pojmując całą uroczystość obecnej chwili, i usiadł milcząc na łóżku Leona. Cześnikowa mówiła ciągle; gdy przestała, Cześnik rzekł wtedy:

– A prawda... bo to bardzo niepięknie, Leonek, chwała Bogu, powinien by już mieć rozum.

– Ależ nic się nie stało złego! – odpowiedział Leon.

– A co! – przerwał Cześnik. – A ty chciał, żeby się stało? *Chi chi chi chi!* *A szczob tebe – ha!*⁶⁴ No, przepros Mamę i powiedz, że już więcej nie popełnisz takiego głupstwa.

Leon ucałował rękę matki, a Cześnik powtarzał z przesłankami:

– No mówże za mną: Mamo dobrodziejko, już ja więcej nie będę takim hultajem. *Chi, chi, chi, chi!* *A szczob was – ha!*⁶⁵ No, Marysiu, wybacz jemu.

⁶³ *A niech cię! Żeby to cholera wzięła!*

⁶⁴ *A niech cię – ha!*

⁶⁵ *A niech was – ha!*

– Nie tylko mnie – rzekł Leon z udanym żalem – ale powróć i Julkę do swej łaski.
– O, to nic do tego! Julka powróci do dworu chyba w Wielki Post po spowiedzi.
– Mamo, serce, miej litość nad nią!... Ona tak młoda! Tak delikatna! Gdzież jej żyć na wsi?

– Jezu Chryste! – krzyknęła Cześnikowa. – I aspan ośmielasz się mi mówić takie wszeteczności?

– Chi chi chi chi! – zaśmiał się Cześnik. – *A szczob was – ha!*⁶⁶ – rzekł.

I na tym skończyła się ta scena.

V.

Dowiedziano to już arcylogicznie, iż zakazany owoc słodszy się nam być zdaje i że przeszkody podwajają usilność ich zwalczania. Ta wielka prawda spełniła się i na Leonie. Kiedy Julka poddawała się niewzbronnie⁶⁷ pieszczotom jego, on nie umiał ocenić tej rozkoszy; gdy dziś ją oddalono od niego, jego wyobraźnia pokolorowała na nowo w najpiękniejsze barwy to uczucie. Julka marzyła mu się ciągle – on nie mógł żyć bez niej.

Tu on zaczął przemyślać nad sposobami widzenia się ze swą lubą. Wielkie miasta zdały mu się być na daleko wyższym stopniu cywilizacji jedynie z tego względu, iż dostarczały na to środków, w czym mógł się zesać i na romanse Paul de Kocka. Wieś, jeszcze podczas lata – jako tako; ale zimą, nie ma ani sposobu, ani miejsca. Awanturka, na pozór niewielka, w moment rozniosła się po dworze, a następnie wsi całej i ledwie nie każdy krok, nie każdy ruch niefortunnnych kochanków zwracał powszechną uwagę. Ale miłość nie zraża się niepowodzeniem. Dla niej nie ma niepokonanych przeszkód, jak skoro są cele. Leon dla uchylenia podejrzeń nie wychodził nawet na polowanie. Po całych wieczorach grał w mariasza⁶⁸ z Cześnikiem albo trzymał na rękach motki dla przysłużenia się mamie. Tymczasem wierny Grzegorz i przychylny Omelko, wsparci gorzałką i pieniędzmi, osnuwali spisek na wielką skalę. Rzecz się tak miała: w głębi ogrodu, daleko od domu, była duża ananasarnia z obszerną cieplarnią dla kwiatów. Podczas zimy, a jeszcze bardziej, podczas zimowych wieczorów nikt tam nie zazierał prawie. Jeden dziad tylko jak świat stary miał polecenie opalać tę budowę; nosiszwy więc dREW przez dzień cały, zasiadał potem do palenia w piecach na cały wieczór, robił łyżki, plótl węcierze⁶⁹ i piekl kartofle.

⁶⁶ *A niech was – ha!*

⁶⁷ *Niewzbronnie* – bezwiednie.

⁶⁸ *Mariasz* – tradycyjna polska gra karciana.

⁶⁹ *Węcierz* – siatka do łowienia ryb, rozpięta na drewnianych obręczach; żak.

Dziad niezawodnie pamiętał koliszczyznę, a może nawet miał honor znać osobście samego Żeleźniaka⁷⁰. Z tego względu mógłby był Leon skorzystać bardzo wiele i przysłużyć się zbiorem zajmujących podań literaturze krajowej, gdyby Julka niezbyt zajechała mu głowę, ale w tym to sęk, iż myśląc o niej, nie mógł więcej myśleć o niczym. Oranżeria miała być miejscem *rendez-vous* dla kochanków. Już się porozumiano przez posłów i oto – jednego wieczoru, już późno – bardzo późno – w zamieć straszną – po dniach dziesięciu niewidzenia się Julka i Leon padli sobie wzajem w objęcia.

Obrządki witania się kochanków od wieków są jedne i te same: uściski, pocałunki i wykrzykniki i na odwrót: wykrzykniki, pocałunki i uściski; czasami łyzy, czasami przyspieszone oddechy, a często i to, i owo razem. Nasi bohaterowie i po degradacji literalnie wypełnili ten zwyczaj.

Tak upłynął im wieczór jeden, drugi i trzeci. Miłość ma to do siebie, iż pali się żywiej w ukryciu. Może dlatego i noc przeznaczona jest dla niej?... Ma li ona właściwości brylantu czy charakter ślepiów wilczych, dalibóg zdecydować nie umiem! Widoczna tylko to, że unika ludzi i słońca.

Tu już nie było wzajemnych wymówek, nieufności, a przeciwnie: miłość tylko i miłość bez względu na skutki. W wigilię wyjazdu Leonowi tak żal było zostawiać Julkę, iż podał jej myśl ucieczki i udania się z nim razem... Z początku Julka nie chciała ani słyszeć o tym, ale po chwili rozognionej wyobraźni obojga kochanków przyszłość uśmiechnęła się tak ponętnie, iż ułożono projekt ucieczki Julki i... mamże wam rzec? Przez tydzień... Julka już była w drodze.

Leon taił swą zdobycz przed kolegami, a w razie odkrycia onej miał ją podciągnąć z lekceważeniem pod liczbę awantur młodzieńczego życia, gdyż bądź co bądź, a nie chciał wyznać tego przed nikim, iż zakochał się w Julce.

Póki jeszcze człek wstydzi się swego czynu przed ludźmi i pragnie go wszelkimi sposobami utrzymać w sekrecie; nie dlatego jedynie, iż ten czyn przez sekret tylko żyć może, lecz że postawiłby go w innym świetle w opinii świata, jest to znakiem, iż człowiek ten toczy jeszcze wewnętrzną z sobą walkę, której wypadek niewiadomy i zależny od okoliczności. W takim stanie był Leon. Gdyby tę jego miłość otoczyło życie ciche, wiejskie, niebudzone gwarem wielkiego świata, skończyłby on niezawodnie tym, iż przywykłby do Julki. Pierwej odsyłałby jej herbatę, później polecił rozlewać samej, potem posadził do stołu z sobą razem, na koniec oddałby pod jej zarząd dom cały – a tam – kto wie? – może by i ślub wziąć był gotów. Lecz że go otoczyło życie miasta, gwarne, tłumne, świetne; że go zmuszało ciągle przebywać w wyższych towarzystwach, gdzie rozum tak wysoko niósł czoło, gdzie uczucie, acz nieprawdziwe,

⁷⁰ Maksym Żeleźniak (ukr. Максим Залізняк) (1740–1768) – Kozak zaporoski, przywódca koliszczyzny.

tak wyszukane jednak miało formy, iż było stokroć piękniejsze od prawdziwych – cóż dziwnego, iż Leon powracał zawsze do Julki rozczarowany, zimny, zniechęcony, że miłość jego gasła z każdym dniem, jej wyrazy, choć wprost z serca, zdały mu się zawsze zbyt głupie, jej miłość śmieszną, ruchy proste – a skargi na jego obojętność psuły złudzenie do reszty. Tak on przestawał z dniem każdym kochać Julkę.

Otóż to są uczucia młodzieńca, a raczej młodzieży!... Zapytajcie ich o odpowiedź z serca, a każdy przyzna się do podobnych błędów, bo one są koniecznym skutkiem tych wrażeń, pod których wpływem ustala się człowiek. Póki opinie świata obracają go to w tę, to w ową stronę, jak wiatr chorągiewkę na dachu, on się wtedy i zakochać, i odkochać może dziesięć razy, chwycić za pałasz, za pędzel, za cyrkiel, za pióro – i w każdym jego przedsięwzięciu może być szczerą chęć, serdeczne zamiłowanie – ale niewłaściwe, a stąd i niedługie. Nic bardziej utopijnego nad wyobrażenia, przyznające szczególną wartość pierwszemu uczuciu! Tysiące papierowych romansów rozrobiły się na to tema⁷¹, a ledwie kilka jest w naturze!... *Zastanie się* często u nas biorą za *stałość*, a to zupełnie co innego.

Przy takim zbiegu okoliczności los Julki pogorszał się z dniem każdym. Przepędzała ona często dnie całe samotna i we łzach. Kochać Leona nie przestała, bo miłość jej żyła pod ciągłym wpływem obawy o wiotką jej przyszłość i była niejako satelitą jego. Leona gniewało to tym bardziej – ale najzgubniejsze wpływy wywierali nań koledzy, w których gronie przepędzał dnie całe. Właśnie *podtenczas*⁷² zawiązały się i rozrastały bujnie w naszych stronach towarzystwa *baragołów*⁷³, *skórkowych*, *cichostępów* itp. – tej to hucznej młodzieży, która napełniła głośną sławą kraj cały i dała się we znaki wieśniaczkom, koniom, nejtyczankom⁷⁴ i Żydom. Któż u nas nie znał, któż u nas nie widział członków tych towarzystw? Kwiat młodzieży należał do nich. Były to skutki próżniactwa czy rozpaczki? Czy miała stąd powstać nowa Sparta⁷⁵ – Dalibóg zadecydować trudno! Jeśli będziemy sądzić ze skutków, skutki wcale nastąpiły niekorzystne ani dla ogółu, ani dla indywidualów – ale czyż i najpiękniejsze zamiary nie kończą się niczym?... Może historycy zbadają przyczynę, co do mnie, zdałoby mi się, iż było w tym wszystkiego po trochu... Chodziło im najwięcej o to, ażeby zabębnić z całej siły... Zabębniiono – i posłyszano ich aż za górami!... Tymczasem każdy młodzieniec z pieniędzmi i zdrowiem – o! jakież miał tu do popisu pole! Już nie miały więcej dla nich powabu salony i śliczne nasze damy, te damy, którym winniśmy podobno najwięcej, jeśli błyszczymy jakimkolwiek polem i zdolnością

⁷¹ *Tema* – temat.

⁷² *Podtenczas* – w owym czasie, wtedy, wówczas.

⁷³ *Baragoła* (*bałagula*) – tu: hulaka, zawadiaka.

⁷⁴ *Nejtyczanka* – czterokołowy pojazd konny z wyplatany podwoziem.

⁷⁵ *Sparta* – w starożytności: miasto-państwo greckie, słynące ze sprawnego zarządzania i dzielności swych wojsk.

do życia w towarzystwie; nie miały dla nich powabu nauki, usługi dla kraju, pożyteczność dla ogółu, co więcej; nawet małżeńskie związki!... Gdyby się wyrwał z tym ktoś sam jeden, dokazałby niewiele; ale w kilkudziesięciu, w kilkuset – o! to rzecz wcale inna! Jeden chłop sam przez się nic nie znaczy, ale *Hromada – wetykij czołownik!*⁷⁶ – mówi u nas przysłowie. Ta to *hromada* zaszumiała i u nas. Rzecz godna uwagi, iż żadne prawidło nie było rozwinięte u nich tak estetycznie, jak te, które tyczyły się wprost diabełka, uniformu, wina i epikureizmu. Co za rozkosz była palić z biczna na kozle, jeździć czwórką, w której orczykowy koń z prawej strony miał być koniecznie srokaty i nalegać na prawą nogę, dlaczego umyślnie zagwoźdzano mu nogę przy okuciu! – Jak dzielny był uniform! Wysoka, barankowa czapka w kształcie głowy cukru, czerkieski srebrem nabijany pasek, tartanowy surdut i najszersze jakie tylko być mogą pantalone! Albo kurtka i spodnie z rzemienia, krzesiwko u boku, króciutka kozacka fajka w zębach i kapszok⁷⁷ bakunu⁷⁸ w kieszeni! Wino lało się zdrojami – złoto było po niczemu – kobiety bez braku i wszędzie!

Przyznajcie teraz: czy sentymentalna miłość Leona mogła pokazać się z odkrytym czołem w takim towarzystwie? Jak skoro został on jego członkiem, przywiązanie jego znikło do reszty. Julka płakała, widząc, jak Leon traktował ją obojętnie, a nawet urągliwie, jak zimnym okiem patrzył na grube zaloty towarzyszków swoich i śmiał się nad jej prostactwem z nimi razem. Życie jej upływało w smutku i poniżeniu – serce bolało mocno – tęsknota i żal dręczyły na przemian. Ale najokropniejsze były chwile opamiętania się w błędzie! Gdy wspominała o życiu przeszłym, dziewiczym i czystym... o! wtedy obecność była dla niej czarną jak noc... palącą jak piekło!...

Na domiar nieszczęść Leon jednego razu przybył z kolegą do jej mieszkania i z nim cały przepędził wieczór, rzekłszy ledwie słów parę do Julki.

– Dlaczego tak zobojętniałeś ku niej? – rzekł baragoła. – Ona cię kocha, ona nie zepsuta – a to rzecz rzadka!

– Naprzykrzyła mi się bardzo, Stanisławie – odpowiedział obojętnie Leon.

Julka zimnym okiem spojrziała na niego, a w tym wzroku był okropny wyrzut i najzimniejsza wzgarda.

– Wiesz co? – rzekł Stanisław. – Ten wzrok wart czegokolwiek! Tak mogą patrzeć tylko Włoszki, gdy usiadają na kolanach wiarołomnego kochanka ze sztyletem w ręku...

– Julko! – rzekł Leon. – Ty doprawdy gniewasz się na mnie? – Oczy dziewczyny błysnęły jak piorun.

⁷⁶ *W kupie – siła!*

⁷⁷ *Kapszok* – woreczek na tytoń, kapciuch.

⁷⁸ *Bakun* – słaby, tani tytoń.

– Cud – nie dziewczyna! Co to za ogień! Co za życie w tym wzroku! Nie, Leonie, ty straciłeś gust do reszty.

– Kiedyś gustowałem w niej, lecz niepodobnaż ciągle... Julko! – powtórzył Leon, siadając obok. – Czy ty doprawdy obrażona jesteś na mnie?

– Paniczu, dajcie mi pokój!... Proszę was: dajcie mi nieszczęśliwej pokój!...

– No, skończone dusery! Nic mi tak nie psuje przy niej humoru, jak ta jej płakliwość! Na tobie może to przeciwny robi skutek.

– Ale nie rozumiesz jej! To namiętność, to gwałtowność uczuć! Gdzież ty to znajdziesz dzisiaj?

Leon uśmiechnął się, spojrzął z politowaniem na Julkę, a Stanisław nie spuszczał z niej oka. Julka siedziała nieruchoma: była blada, milcząca i smutna.

Po chwili przypomniał Leon, iż obydwu dali słowo znajdować się na wieczorze u jednego z baragołów, gdzie, jak powiadał, miały być i ładne dziewczęta, i diabełek, i wino. W nadziei użycia tych wszystkich przyjemności, wesoło rozmawiając, opuścili pokój. Leon nie spojrzął nawet na Julkę – Stanisław patrzył ponuro i długo.

Ledwie uszedł Leon kilkanaście kroków, gdy ktoś trącił go z lekka w ramię. Obejrzał się i postrzegł Julkę bladą, zmienioną nadzwyczaj, a z jej oczu płynęły łzy obfite.

– A to co znowu? – rzekł, marszcząc brwi i patrząc przenikliwie w jej oczy.

– Paniczu, wróćcie na moment! Mam wam powiedzieć rzecz ważną...

– Pewnie jakaś nowa skarga?

– Skarga? O, nie! Skarżyć się już więcej nie będę! To... to może ostatnia moja prośba!... – rzekła i zapłakała.

– Csss... cicho... cicho... – rzekł Leon. – Śmieszysz tylko ludzi!

I wzięwszy ją za rękę, powrócił spieszny krokami. Stanisław wyszedł na ulicę.

– No, co mi masz do powiedzenia?

Julka, płacząc, padła na kolana.

– Paniczu! Serce! – rzekła, wyciągając doń ręce. – Nie gniewaj się na mnie! Nie łaj mnie! Nie bij mnie, że ci powiem prawdę! Wy mnie nie kochacie już jak pierwiej! Dla mnie nie ma już szczęścia przy was! Na co ja wam mam być przeszkodą... gniewać was... płakać przed wami ciągle.

– No, cóż dalej? – rzekł zniecierpliwiony Leon.

– Odeślijcie mnie, paniczu, do domu! Błagam was – odeślijcie mnie zaraz!

– Głupia jesteś! Czy zastanowiłaś się nad tym, co cię tam czeka?

– Oj, wiem, wiem, co mnie czeka! Ale ja zasłużyłam na karę! Niech mnie biją, niech mną gardzą, zniosę wszystko cierpliwie, bom przewiniła wiele!...

– Bredzisz bez sensu... to być nigdy nie może!

– Oj, Boże mój! – krzyknęła Julka, załamując ręce. – Więc ja umrę, nie prześląwszy matki, nie przeprosiwszy Pani!

– Nie tak prędko, jak ci się zdaje, będzie jeszcze czas pomyśleć o tym.

– Paniczu – mówiła Julka, chwytając Leona za rękę i okrywając ją pocałunkami – proszę ja was, błagam ja was, odesłajcie mnie stąd! Wyrwijcie mnie stąd!... Bo ja tu zginę, otruję się, powieszę, nóż pogrążę w serce!... Tu mnie duszno, ciężko... o Boże mój, Boże!

I klęcząc, skłoniła głowę, zakryła rękami twarz, płakała rzewnie.

– Co ci się wymarzyło! – krzyknął gniewnie Leon – Kiedy mówię ci, że nie można, mam na to powody. Patrz, oto odebrałem dziś list od rodziców, w którym piszą, że: „Julka nie odszukała się dotąd i śladu jej ucieczki nie odkryliśmy. Nie życzyłbym już dzisiaj jej powrotu. Nie chciała być wdzięczną za naszą opiekę, niechże teraz szuka opieki lepszej. Matka ją przeklina, Marysia ani chce słyszeć o niej, a dla mnie jedna mniej, jedna więcej – to nic nie znaczy; ja, owszem, rad będę, gdy to hultajstwo nie będzie się trzymało wsi mojej, bo korzyści z nich żadnej, a przykład zły psuć może innych”.

– *O hore-ż mini hore*⁷⁹ – krzyknęła Julka, załamując ręce z wyrazem niewysłowionej rozpacz i bólesci. Padła twarzą ku ziemi – oko jej było suche – lice blade – wzrok obłąkany.

Leon z najzimniejszą krwią nacisnął czapkę na uszy i opuścił pokój. Długo Julka po wyjściu Leona nie ruszyła się z miejsca. Okropne obrazy przeklęstwa matki, gniewu Pani, nade wszystko stracona nadzieja powrotu, co jedna jeszcze nie zastaniała całkiem żałobą jej przyszłości, snuły się w jej myśli, dręczyły uczucia, obudzały najgwałtowniejsze paroksyzmy serca.

Tymczasem Leon hulał w wesołym towarzystwie. Zaiste, zajmujący był widok ich zabaw. Pyszenie umeblowane pokoje zostawały w najnieporządniejszym stanie. Meble stały nie na miejscach, częściej przewracane, częściej połamane zupełnie. Na posadzce leżały kule słomy, materace, pościelenie i tłumoki; po kątach strzelby, biczki i trąbki. Kilkanaście zielonych stolików stało tu i ówdzie; kilka z tych otoczone były grającymi, pokryte stosami asygnat i kupami złota; na innych kipiały samowary i gęsto widniały butelki.

Goście używali wszelkich prerogatyw towarzyskiej swobody. Jedni w baranowych czapkach, inni w amarantowych myckach, ci bez surdutów, a owi bez halsztek⁸⁰, z fajkami i cygarami w zębach, otaczali stoły gry lub trunków, brzęczeli złotem i kieliszkami, niektórzy włóczyli się jeszcze po salach, niektórzy spali już obok legawych psów, na kanapach, sianie i materacach.

Leon był uczestnikiem gry największej. *Diabełek* w ogromnych stawkach pochłaniał w okamgnieniu całe tysiące i albo wznosił z nich ogromną piramidę, albo burzył

⁷⁹ *Oj, biada mi, biada.*

⁸⁰ *Halsztuk* – trójkątna chusta wyparta przez krawat. Noszona na szyi przez mężczyzn w XVIII i XIX wieku; biała lub kolorowa, często haftowana.

ją i wysypywał przed fortunnym graczem. Leonowi nie szczęściło się nadzwyczaj. Błady i milczący, czyhał on na kolej niecierpliwie, za nadejściem chciwie porywał karty, milcząc, wystawiał złoto garściami – i gdy przegrywał – ścisnął, miał konwulsyjnie talię, miotał przekleństwa, kazał podawać wina i duszkiem wychylał kielichy.

Już pozostało u Leona nie więcej nad pięćdziesiąt peców⁸¹ – postawił je naraz i przegrał wszystkie. Siedzący obok Stanisław przyjął z rąk Leona talię, wystawił tyleż i zabił pierwszym *plie*⁸². W puli było do kilku tysięcy. Wygrany ciągnął dalej, raz... dwa... trzy... ubił po raz drugi. Ciągnął dalej – los mu dopisał po raz trzeci – czwarty – na koniec – piąty! Wykrzykniki podziwienia wyrwały się z ust świadków. Stanisław zmierzył okiem pulę i zażądał obliczenia.

– Masz jeszcze sto peców do wzięcia – rzekł jeden z rachujących.

– Dzielnie zerwał pulę! – mówili drudzy.

– Tysiąc sześćset peców! – rzekł pierwszy.

– Ja przegrałem trzysta.

– Ja dwieście.

– Leon podobno najwięcej – rzekł ktoś z grona.

Leon patrzył ponuro na złoto i milczał.

– Na resztę! – rzekł uroczyście Stanisław i wyrzucił kartę.

Tą kartą była pikowa dama.

– A, dama! – rzekł z przyciskiem i krwią najzimniejszą. – Dama! – Powtórzył z lekkim uśmiechem. – Słuchaj Leonie: zamyślę na *twoją damę* – a nuż wygram!

Padło *plie*.

Leon zgrzytnął zębami. Stanisław zgarnął do siebie wszystkie złoto i najobjętniej zaczął dopalać fajkę.

Rozwiązał się diabełek. Ci, co zgrali się do reszty, nie mieli już czym napełnić puli; ci, którym pozostało jeszcze cokolwiek, nie odważyli się ryzykować ostatnim. Wszyscy w różne rozeszli się strony, Leon tylko i Stanisław nie ruszali się z miejsca.

Stanisław nie zbierał złota, przesuwał tylko niekiedy z lekka po nim ręką i zdawał się słuchać z przyjemnością łagodnego dźwięku sprawianego przez zsuwające się półimperiał⁸³. Leon wsparł głowę na rękę i milczał ciągle. Wzrok jego zdawał się być przykuty do złota.

Upłynęło pół godziny – Stanisław zabierał się do wyjścia.

– Może w stosa? – mruknął wtedy ponuro Leon.

– Jak zechcesz.

⁸¹ *Pec* – w zaborze rosyjskim: nazwa półimperiału, złotej monety, będącej w obiegu od 1755 r., mającej wartość 5 rubli, później 7 rubli 50 kopiejek.

⁸² *Plie* – w niektórych grach w karty: wygrana bankiera przy określonym układzie kart.

⁸³ *Półimperiał* – to samo, co *pec*.

– Załóż bank.

– Oto masz.

Leon zdjął z szyi złoty zegarek, postawił na kartę i – przegrał. Zdjął z palca pierścień wysadzany brylantami – i ten stał się własnością bankiera w przeciągu dwóch minut.

– Ależ ci nie idzie! – rzekł Stanisław.

– Jakiś fatalizm! – bąknął Leon.

– Paniczu! – odezwał się za plecami błagając Grzegorz (bo stał tak przez cały ciąg gry i śledził ją baczny okiem), pochwytyjąc Leona za rękę i całując ją z uczuciem. – Przestańcie grać! Widocznie wam dzisiaj nie...

Silny policzek przerwał perswazję. Grzegorz przyjął tę obrazę z krwią najzwyklejszą, lży mu tylko kręciły się w oczach. Stał znowu za krzesłem, pomimo grózb pana, z oczyma utkwionymi na karty, i tak stał jak posąg.

– Wiesz co? – rzekł półgłosem Stanisław, patrząc przenikliwie w wykrzywione gwałtowną pasją Leona rysy. – Zaproponowałbym ci jeszcze *coup*⁸⁴ jedno, gdybym był przekonany, że cię to nie obrazi?

– No – cóż?

– Kto wie: a może w tym twa *szansa!* – dodał zachęcająco.

– Cóż? – powtórzył niecierpliwie Leon.

– Zresztą choćbyś i przegrał – strata dla cię... ile wnosić mogę – nie byłaby zbyt wielką. Ja bym... ja bym... przyjął tę stawkę – ciągnął z wolna Stanisław, puszczając w górę kłęby dymu – sto... e! nawet w sto pięćdziesiąt peców!

– Cóż u trzykroć sto tysięcy diabłów?!

– *Ona* – wymówił cicho, ale dobitnie i tajemniczo Stanisław.

Fatalne to słowo zastało Leona z ręką wspartą na talii kart, z której zwierzchnia już była podjęta do wykrycia. Grzegorz zadrżał. Leon machinalnie wyświecił kartę – tą kartą była – pikowa dama! Nastąpiło grobowe milczenie. Każdy z trzech zdał się być wtedy silnym, ale tajemniczym wulkanem. Z oczu tylko, tych jedynych kraterów duszy, można było dorozumieć się, co się dziać musiało w głębi.

– Wygrałem... – rzekł zimno Stanisław, wyświecając pikową damę na swej stronie.

Grzegorz wypadł nagle z pokoju. Idąc, tak dumal: panicz był dobra dusza; karty i wino go zepsuły. Kto wie, jak teraz skończy? Może straci majątek, jak potraciło wielu? A Julka? O, ja przewiduję, co ją czeka! Ale tu nie ma nad czym rozmyślać długo! Bądź co bądź – trzeba ją wnet wyprawić do domu! Niech wyzna wszystko przed państwem... Daj Boże, żeby przeniosła wszystko... Mnie to, mnie grzech śmiertelny, żem pomagał do wszystkiego złego... Ale ja ją znam lepiej jak kto inny, ja będę prosił starych państwa o rękę Julki; wykupię ją tym od poniżenia i wstydu.

⁸⁴ *Coup* – francuski termin określający rundę gry.

VI.

Z Kijowa idą trzy szlaki na Ukrainę: pocztowy gościniec na Wasylków i Białocerkiew; partykularny – na Gwozdów i Kopaczew, i ostatni nad Dnieprem przez Trypol wychodzi na bohusławskie stopy. Wasylkowska droga przykra, bez widoków, bez przyjemności żadnych. Kopaczewski szlak już rozmaitszy i weselszy, zwłaszcza jadąc nim do Kijowa. Wyobraźcie sobie ciągle góry okryte lasami. Po jarach błyszczą stawy, widnieją wioski, a w nich topole i cerkwie. Te lasy to dziś po większej części drobna krzewina. Są wały, na których wieczyste porastają dęby; są liczne mogiły i kurhany, ale co najpiękniejszego – to widoki. Z każdej góry, jak tylko dosięgasz jej wierzchołka, inny rozwija się obraz. Celem onego zawsze dla ciebie Kijów. Szukasz wśród gór i lasów bielejącej dzwonnicy *Peczerskiej Ławry*, a w miarę, jak się zbliżasz do miasta, odsłaniają się złote dachy *Ławry*. Potem monaster Św. Zofii, monaster Św. Michała, katolicki kościół, wybiega tu i ówdzie mnóstwo kopulek cerkwi innych, mury nowego Uniwersytetu – a po prawej stronie spadzistość nagła – i w dole – śliczny, szeroki Dniepr z zielonymi ługami, z wioskami, z całą nieścigłą perspektywą poziomych czernihowskich okolic. Ale kto się chce cieszyć widokiem Dniepru przez wiorst pięćdziesiąt niech jedzie na Trypol. Tu bory i bory. Cała bajeczna przeszłość Kijowa zdaje się, że tu ukrywa się jeszcze; wszystkie jego sławne dzieje, jego poetyczne podania i tysiące skazek, tu zda się miały miejsce, stąd wzięły swój początek. Czarne masy odwiecznych sosen drzemią nad wzniosłym brzegiem, a często zsunawszy się nad same wody, patrzą w jej głębie. W dole ługi, ale ługi godne wielkiego Dniepru, godne nazwiska *bat'ka* (ojca) danego mu przez Zaporozców. Wyobraźcie sobie płaszczyznę szeroką jak tylko można zajrzeć okiem, zieloną, całą okrytą mnóstwem wysp i najpiękniejszymi lasami, które sama ręka natury tak umiała rozłożyć wdzięcznie i tak je zastosować do wyrazu okolicy jak żaden Anglik w swym ogrodzie. Wyobraźcie sobie teraz mnóstwo jezior, mnóstwo zalewów na tych ługach, a każde jak w wianku, jak w najpiękniejszych ramach to z łozy, to olch, to z oczeretu. Płaszczyzny znów – cudne! – zielone, równe i tak czyste, jakby umiecione umyślnie, ciągną się i ciągną w długie pasma, niekiedy aż pod bory. Tu prześwieca smuga wód, za nią drobne drzewka, dalej młode brzozy, wyższe i wyższe olchy, za nimi widnieją wyższe drzewa, a nad nimi już brzeg wysoki, pokryty jedną ciemną masą milczących borów. Po tych to ługach, wśród tych wysp płynie Dniepr nasz piękny. Jego oblicze różne. W borach – ponure, poważne, złowrogie. Wśród drobnych olch, wśród kwitnących łoż, na białych piaskach luby on i przyjemny jak bawiące się dziecię, a na płaszczyznach – wesoły i świetny. Ale żeby go widzieć w całym jego blasku, trzeba go widzieć, trzeba po nim płynąć w maju, kiedy już te tysiąc jego ogrodów rozwiną się

i zakwitną, a on wzbierze wtedy północnych rzek wody i zatopi całą przestrzeń ługów. Wybierz wtedy wieczór cichy albo noc miesięczną i puść się w łodzi na te wody. Wpłynij pomiędzy te wpół-pozatapiane drzewa i wsłuchaj się, jak chwieją się gałązki, trzepocą listki, między którymi jak przez palce leją się cicho wody. Spójrz w głąbie, a poznasz dno, po którym chodziłeś suchą nogą latem; obaczysz krzewy, niegdyś przewyższające cię o wiele, a dziś one albo całkiem skryte, albo kilka tylko z nich gałązeczek jak chorągiewki kołyszą się nad wodą, a pomiędzy ich gęstwą pluszczą się ryby. Spójrz na wodne ptastwo, jak oszukane też gęstwą wije w nich swe gniazda. Wpłynij w jaki rękaw jaru, a tym rękawem niegdyś suchym zapłyniesz daleko w ciemne lasy, w prześliczne miejsca; zawiniesz do ustronnej gdzieś wioski i będziesz płynął po jej ulicach, wśród jej kwitnących ogrodów, ponad palami grobli, ponad dachami młynów. Wpłynij na czystą przejrzeń właściwego Dniepru, gdzie on jak morze odkryje się przed tobą bezbrzeżny – i puść się z jego biegiem. Przed tobą płaszczyzna, a nad tobą obłoki i błękit. Jeśliś malarz, obacz: co tu stwarza zachodzące słońce, co robi z tych widoków księżyc!

W tę piękną porę uciekała Julka. Gdy ocuciła się za miastem, znalazła się wśród obrazów natury, odetchnęła wolniej, pełniej, jej lżej zdało się być na sercu. Ona wieś rzuciła zimą, a w mieście dotąd nie widziała wiosny. Pierwsza wioska, o jakże jej przypomniawszy wiele! Ten głos dzwonów, ten ryk bydła, te prace i zabawy ludu, wszystko to było pokrewne, także same jak te, na które przywykła patrzeć, z którymi żyła do czasu ucieczki. Często w miejscach, gdzie się rozwierały bory, spoglądała za siebie i widziała wysmukłą dzwonnice Ławry i wzrok jej jak gwiazdka drżał nad nią, jakby chciał dojrzeć przy niej to miejsce, gdzie mieszkała ona, gdzie mieszka Leon... Ale oto i Trypol, a za Trypołem już kraj inny. Jeszcze raz z gór jego witasz dzwonnice kijowską i Dniepr szeroki – ale to już i raz ostatni: droga zwraca się na prawo – zaczynają się bohusławskie stepy.

Julka szła stepami całe dwa dni i tęskne myśli zajmowały ją ciągle – bo step to jedyny żywioł tych myśli. Jak kret, gdy poczuje wokoło siebie cichość, toczy wnętrze ziemi, dobywa się z jej głębi i wyrzuca czarne na powierzchnię plamy, tak one ożywają na nim coraz bardziej a bardziej – rosną – brzękną – wypuszczają pazury – otwierają niewidome dotąd oczy – chwytają się serca – czepiają się jak pająki po najskrytszych tajnikach jego.

Te dręczące myśli, a przy nich niewygody podróży, zimne noce i upały dniowe, wywarły wpływ i na zdrowie Julki. Po kilku dniach oświadczyło ją znużenie, dreszcz przebiegał po ciele, paliło pragnienie, rozboleła się głowa. Na piąty dzień stan się jej pogorszał i uszła niewiele; odpoczywała przy każdej karczynie i przy każdej krynicy piła wodę, aż na koniec objawił się gwałtowny paroksyzm febry i Julka nad wieczór, nie mogąc już przedłużyć podróży, padła bez sił wśród stepów, pod stojącym na rozdrożu krzyżem.

Okropne jej położenie wzięło w jej oczach stokroć okropniejszy obraz podczas gorączki. Wszystkie moralne cierpienia zda się uosobiły i przybrały najstraszniejsze rysy. Wyobraziło się jej, iż otoczyły ją dokoła, to groziły, to naigrawały się z jej boleści – i ona to kryła się bojaźliwie od nich, to pasowała się, to błagała ze łzami o litość, aż ostateczne znużenie owładnęło nią całkiem i bezsilna wyobraźnia traciła twórczą siłę.

Gdy otwarła oczy nazajutrz, był to najpiękniejszy wschód słońca. Ranek cichy, świeży, stepowy, budził naturę i to w tę, to w ową stronę odbijał po rosie to krzyk czajki, to śpiew skowronka, to wabienie się po zbożu przepiórek. Julka już była przytomna; paroksyzm przeszedł, ale skutki jego zostały przy niej. Twarz zbladła – oczy przygasły – usta były spalone – włosy w nieładzie i znużenie w całym czuła ciele. Spojrzała na krzyż i zaczęła od modlitwy; potem zeszała w pobliski jar, znalazła nieopodal krynicę ocembrowaną starym ulem i przejrzała się w spokojnej jej powierzchni. – Taż to Julka! – myślała, wpatrując się w swe oblicze – co niedawno jeszcze była tak ładną, tak kochaną od Leona, tak chwaloną od wszystkich! – westchnęła i zamyśliła się.

Oto jeszcze wiorst kilka i ostatnie już miasteczko, a za nim rodzinna jej wioska. Serce jej ścisnęło się na samo wspomnienie, jak się odważy pokazać na oczy panom, matce!... Nie, nie pójde wprost do matki, rzekła do siebie. Mieszka tu przy młynie, jak raz na drodze do wsi i nieopodal od miasteczka nasz krewny, Petro Mielnik, człowiek poczciwy i dobry, i jego żona staruszka, którą kocham i cenię jak własną matkę. Pójde ją pierwszej do nich, wyznam przed nimi wszystko i będę błagała o radę i pomoc. Oni mi poradzą, pomogą – bo ja sama – o, Boże mój, Boże ! Ja nie wiem, jak mam sobie zaradzić teraz!

To rzekłszy, otarła łzy, umyła się, zaciesała głowę, przyodziła się staranniej i puściła w drogę. Omijając miasteczko, zwróciła na prawo, na wąziutką drożynę idącą ponad ogrodami i niknącą gdzieś w pobliskim, leszczynowym lasku. Ciągłe przykre jary nużyły Julkę bardzo. Musiała odpoczywać często i ledwie nad wieczór zbliżyła się do celu.

Petro Mielnik mieszkał przy samej drodze wiodącej ze wsi Cześnika do miasteczka. Młynek był niewielki, grobla niewielka, stawek szczupły, a ze strony przeciwej rozlewający się po łące i trzcinach. Tuż pod górą biała chatka młynarza pomiędzy lipami z przybudowaniami i chędogim⁸⁵ podwórzem, na którym w tej chwili kwakały wracające z wody kaczki i przechadzało się psów kilka.

Po obydwu stronach grobli porastały duże wierzby, a dołem od młyna cały jar był zarośnięty u góry od chaty – konopiami i słonecznikami, a niżej – łożą i burzanem

⁸⁵ Chędogi – dawn. piękny, ładny, śliczny.

tak, że tylko widać było wyraźnie ścieżkę od przełazu do młyna; na prawo zaś szły długie grzędy warzyw, kapusty, na koniec drobna leszczyna kończyła ten pejzaż.

Julka opuściwszy gościniec i teraz zbliżała się nie drogą, lecz idąc brzegiem stawu. Wieczór był majowy przecudowny! Niezblakła jeszcze zieloność drzew i roślin ubierała każdy obrazek w przesłiczne ramki, w jakąś nową, pełną wdzięku szatę. Słowiki het po jarze śpiewały bez ustanku, w trzcinach odzywał się buhaj, krzyczały łyski, po wrzosach trzepotało się mnóstwo ptasząt, a w dodatku tysiące żab skrzeczało w stawie.

Julka zbliżyła się do przełazu, zaszczekały psy, wyszedł Petro.

– *Zdrastwujcie! Niechaj wam Boh pomahaje*⁸⁶.

– *Spasybi!*⁸⁷. I wam także! – A co nam dobrego powiecie?

– Czyż wy mnie nie poznali?

– Nie... – rzekł Petro, patrząc na Julkę z natężoną uwagą.

– Julka.

– Jak to? Ta sama, co była we dworze i uciekła?

– Oj, ta sama, ojczy! – rzekła smutnie Julka.

Petro wziął ją za obie ręce, stanął naprzeciw, wpatrywał się w jej rysy i nie wierzył sam sobie.

– Czy to słyszane rzeczy! – mówił, prowadząc ją do chaty. – Żono, ha – żono! Oto dziwo! Julka niby miała powrócić do nas znowu? Ot, wyjdź no prędzej, obacz, czy prawda to tylko? Ona niby to, doprawdy, ona, ależ bo i nie ona! Tamta, zdaje się, była ładniejsza, a ta blada i chorobliwa.

Młynarka wybiegła z chaty, zdziwiona, niespokojna. Spojrzała przenikliwie Julce w oczy, klasnęła rękami i rzekła:

– *Och, neńko moja!*⁸⁸ Ona, ona! Moja ptaszyna luba!

I uścisnęła ją czule.

– Gdzież ty bywałaś moja *donju?*⁸⁹ Cóż się z tobą stało, że porzuciłaś i matkę, i krewnych, i panów? Ty, zdaje się, pocziwego rodu?

Julka uścisnęła mocno młynarkę i łzy jej polały się z oczu.

– Ja wiele zawiniłam przed wami, ale skarał mnie Bóg za to ciężko!

Julka wyznała wszystko. Petro często pokręcał głową, słuchając opowiadania a staruszka wzdychała, wykrzykując: – *Oj, neńko moja! Oj, hospody mij myłostywyj!*⁹⁰

– Cóż mówią o mnie państwo? – zapytała smutna Julka.

⁸⁶ *Witajcie! Niech wam Bóg pomaga!*

⁸⁷ *Dziękuję!*

⁸⁸ *Och, dziecko moje!*

⁸⁹ *Córeczko.*

⁹⁰ *O, dziecko moje! O, Boże mój miłościwy!*

– A co? Gniewają się, bardzo gniewają się! Sam pan, jaka to dobra dusza, a mówi mi zawsze, jadąc do kościoła: – Ej, Petro, nie spodziewałem się nigdy tego po waszej Julce.

– A matka?

– Matka smuci się, niepokoi – rzekła młynarka. – Idąc na jarmark, zawsze wstępuje do nas i płacze gorzkimi łzami.

Julka schyliła głowę na piersi; łzy ciche popłynęły z oczu. Postrzegli to starzy i smutne jej położenie wzruszyło ich serca. Zaczęto naradzać się, jak by teraz wypadało postąpić najlepiej. Petro myślał długo, siedząc na przyzbie i rysując pałką na piasku różne figurki, a na koniec rzekł:

– Jutro mamy sobotę, pojutrze niedzielę i jarmark. Zapewne państwo będą w kościele, a matka twa na jarmarku. Horpyna zawsze przychodzi do nas na noc, ot, my wtedy pomówimy i zrobimy jak lepiej.

Wkrótce Młynarka nakryła do wieczery. Przyszli dwaj najmyci, najmyczka⁹¹; – wieczerano pod gołym niebem, na ziemi, u progu izby, jak zwykle lubią Ukraińcy wieczerać podczas lata. A tymczasem noc legła na ziemię. Petro poszedł spać do młyna; najmy ruszył z wołami i końmi na łąkę, drugi położył się w sianie pod spichlerzem, a kobiety w izbie.

Po chwili spało wszystko, tylko nie przestawały krzyczeć dzikie kaczki, skrzeczeć żaby i śpiewać naokoło słowiki.

Nazajutrz pod wieczór Julka usiadła przy oknie i z ciekawością patrzyła na drogę rozścielającą się przez łąkę, po której ciągnęły się bez ustanku wozy, pędzono bydło, wieziono produkty. Droga szła obok samych wrót podwórza. Julka poznawała wielu z jej wsi ludzi; widziała, jak witali się, rozmawiali z Petrem, niektórzy poili woły, inni jechali, nie zatrzymując się.

Już mrok dobry padł na ziemię, a turkot przejeżdżających wózków i biczujących się na górę czumackich parowic⁹² dawały się słyszeć z drogi ciągle. Julka słuchała tylko, bo nic widzieć nie mogła. W chacie było cicho i półciemno, tylko młoda kotka bawiła się kłębkami po izbie; wtem dały się słyszeć szepty za ścianą... kilka urwanych wykrzykników potem nagle otwarły się drzwi i głos, który przeniknął do głębi serca Julki, wyrzekł:

– Doniu moja nieszczęśliwa, doniu moja – gdzież ty?

W gnieniu oka córka i matka znalazły się we wzajemnych objęciach.

Nazajutrz o zwykłej porze pokazał się na łące powóz Cześnika zaprzężony czterema białymi końmi, Petro już stał na moście, oparłszy się plecami i łokciami o poręczę i tak zdawał się oczekiwać przejazdu Cześnika.

⁹¹ *Najmita* – człowiek wynajmujący się do prac rolnych, zwykle sezonowych.

⁹² *Czumacka parowica* – zaprzęg złożony z dwóch wołów, którym ukraińscy chłopcy przewozili towary, głównie sól.

Cześnikostwo mieli zwyczaj, który od ciągłego powtarzania zamienił się i im, i sługom, i koniom w drugą naturę, zatrzymywać się nad górą dla zahamowania powozu, na górze dla wythnienienia koniom, a przy młynie dla widzenia się z Petrem i rozpytania: kto już z sąsiadów pojechał do kościoła, bo był to trakt jeden dla kilkunastu wiosek. Przy tym grobla, acz bezpieczna, nie była jednakże zbyt szeroką i miała wyboje, a Cześnikowa tak bała się wywrócenia w rzekę, iż za nic w świecie nie zgodziłaby się przebyć ją w powozie. Cześnik, trzeba rzec prawdę, nie był z liczby podobnych tchórzy, ale nie chcąc robić przykrości żonie, zawsze wysiadał z nią razem, do czego tak przywykł, iż jeśli jechał kiedy i bez Marysi, wysiadał już koniecznie, kazał sobie wynosić kufel wody i wywołać Petra, a nim powóz przejechał groblę, on rozmawiał z młynarzem to o tym, to o owym.

Cześnik, wiecznie w dobrym humorze, wnet zawiązał z Mielnikiem rozmowę. Petro skierował ją nieznacznie na Leona i Julkę i dowiedział się, że odebrano wczoraj list od Grzegorza, a tym samym oboje Cześnikostwo wiedzieli o wszystkim. Cześnikowa groziła, że Grzegorza i Julkę odprawią na wieś, a Leonowi, mówiła, trzeba dać porządną i ostatnią naukę, bo to jawna obraza Pana Boga.

Cześnik milczał. Petro spojrzął na Cześnikową i rzekł:

– Miłościwa pani! Nie karzcie nigdy i nikogo w gniewie! Wszyscy oni bardziej zasługują na litość jak na karę! I panicz dobra dusza; i Grzegorz poczciwy człowiek; i Julka bogobojna dziewczyna. Zgrzeszyli, bo młodzi. Jeśli państwo wyrzucą Grzegorza i Julkę ze swej łaski, oni wtenczas doprawdy zepsuć się mogą, bo jakąż ich może czekać przyszłość bez waszej pomocy?

– A to prawda, Marysiu, Petro dobrze mówi – rzekł udobruchany Cześnik. – Podług mego zdania, ja bym przy dzisiejszej zwłaszcza spowiedzi przebaczył im wszystko; niech im Bóg nie pamięta!

Cześnikowa zamilkła.

– Ja mam do państwa prośbę – rzekł Petro, kłaniając się nisko. – Jak będziecie wracać, nawiedźcie moją ubogą chatkę. Moja stara już od dawna czeka was w goście. Uzbierała wczoraj dla was pełen kosz jagód, a ja przygotowałem z mej pasieki kilka plastrów miodu. Czym bogaci, tym będziemy wam radzi.

Cześnikostwo przyjęli zaprosiny i wkrótce kocz ich znikł Petrowi z oczu.

Słońce już powróciło z południa, gdy powóz Cześnikostwa pokazał się znowu na górze i zahamowany spuszczał się na groblę. Petro czekał gości u wrót, przywitał uprzejmie i wprowadził do izby. Czy wy widzieliście świetlicę zamożnego ukraińskiego chłopca? Jest to duża izba o trzech najczęściej oknach. Cały jej kąt przeciwległy wejściu zajmują obrazy uwieńczone w kwiaty; przy ścianach długie ławy; przed nimi stół nakryty obrusem czystym, tkanym w kolorowe desenie; z boku przy piecu tapczan; na żerdzi wiszą ręczniki i odświętna odzież, a u progu w szafce przytwierdzonej do ściany widnieją misy, łyżki, garnuszki. Taką była świetlica i Petra Mielnika.

Maryna przyniosła wkrótce pierogi z serem i ze śmietaną, miód, jagody i zaprosiła do zakąski. Nie bez zadziwienia postrzegła Cześnikowa, iż poziomki były przyrządzone zupełnie podług jej gustu. Cześnik nie mógł się ich odchwalić i jadł za dziesięciu. Maryna dziękowała, a uradowany Petro gładził brodę i powtarzał ciągle:

– *Iżte, moi dorohii party, na zdorowie wam, spasybi za dobreje słowo!*⁹³

Upłynęła przeszło godzina. Już Cześnikostwo zabierali się do wyjazdu, gdy Petro, stanąwszy na środku izby, rzekł, kłaniając się:

– Miłościwi, drodzy moi państwo! Do samego końca mojego życia będę wam wdzięczny za nawiedzenie ubogiej mojej chaty; lecz jakeście pocieszyli nas, tak pocieszcie i jeszcze kogoś, co od was wygląda przebaczenia i łaski. Wszak wy przysięgliście dziś przed Bogiem, iż odpusciliście winy winowajcom waszym?

Nastąpiła cichość. Cześnikostwo spojrzeli po sobie. Ten zwrot mowy prosty, ale wysoki, przejął ich serca jakimś świętym uczuciem.

– Otóż tedy my oboje, to jest ja i moja stara, mamy do was serdeczną prośbę. Bądźcie miłościwi i wysłuchajcie jej, a Bóg was wynagrodzi za to. Któż zlituje się, jeśli wy nie zlitujecie się. Do pana mówią jak do ojca: i ukarze, i pożałuje.

– Cóż, o co tu chodzi? – zapytali Cześnikostwo oboje.

– Oto, o co – rzekł Petro. – Żono, ha – żono! Przyprowadź ją tu, niech padnie Państwu do nóg i prosi przebaczenia.

Jeszcze Maryna nie doszła do drzwi, gdy te otwarły się na roścież. Julka wbiegła do izby i rzuciła się do nóg Cześnikostwu.

– Przebaczcie mi Państwo! – zawołała ze łzami. – Przebaczcie ten raz jeszcze – raz ostatni!... I ubijcie, jeśli dopuszczę się podobnego czynu więcej! – Słowa jej przerywały łkania.

– Przebaczcie! – błagała matka Julki ze łzami.

– Przebaczcie, przebaczcie jej! – prosili Petro i Maryna.

– Przebaczamy z duszy i serca – rzekli Cześnikostwo oboje wzruszeni tą sceną – i oby tak Bóg dobry przebaczył jej błędy!

VII.

Kiedy przeszedł pierwszy moment wzruszenia, Petro ani mógł, ani umiał lepiej wykazać swą radość jak użyciem butelki i kieliszka. Petro był poczciwy i stateczny człowiek, ale miał jedną, wspólną wszystkim prawie Ukraińcom, a sukcesyjnie wziętą od Zaporozców⁹⁴ wadę – zahulać, a gdy zahulał, hulać całe dni kilka z rzędu.

⁹³ *Jedzcie, moi drodzy, na zdrowie, dziękuję za dobre słowo.*

⁹⁴ *Zaporożec* – lekkobrojny Kozak znad dolnego Dniepru, Niżowiec.

Czasem zmartwienie, czasem radość były tego przyczyną. Zwykle wtedy zasiadał w domu lub karczmie, lub we młynie, tam kazał przynosić sobie miód, gorzałkę, obiady; zapraszał każdego, kogo obaczył, do uczy i pił tak dzień i noc, nie zajmując się zgoła niczym, ani chcąc wiedzieć o niczym. Arendarz⁹⁵ znał jego nałóg i kontent bywał nadzwyczaj z tych periodów. Po przepiciu się i wytrzeźwieniu, po dniach kilku, wracał znów do swych zajęć i znów pędził jakie pół roku najwstrzeźmiejsze życie.

Ten period zbliżał się widocznie i dzisiaj. Tyle naraz szczęścia i zadowolenia owładnęło sercem jego, iż poddał się bezwzględnie pod wpływ uczuć, a te silne i dzikie nie mogły zadowolić się inaczej, jak tylko hulanką i trunkiem.

– Panie, ojczy nasz i dobrodzieju! I wy pani, matko nasza i dobrodziejko – mówił Petro, kłaniając się obojgu po kilka razy. – Niech wam Bóg nagrodzi wasze łaski, wasze przebaczenie!

– Słuchaj, Julko – rzekł Cześnik, biorąc ją za rękę i stawiając między żoną a sobą. – Czy ty kochasz Grzegorza?

– Och, panie! Jam teraz niegodna wybierać męża!...

– Tak..., ale, jeśli cię Grzegorz kocha?

– On? On, który widział wszystkie moje występki? I on mnie kocha? Nie, panie – on mnie nie kocha!

– On cię kocha; ja mam na to dowody – rzekł Cześnik. – On pisał do mnie, iż jeśli przebaczymy i jemu, i tobie, więc prosi o pozwolenie ożenienia się z tobą.

Julka zaś myślała sobie: A Leon? Leon zapomniał już pewnie o mnie! Boże! A ja tak go kochałam! I już nikogo tak lubo kochać nie będę! On był moją gwiazdą, moją nadzieją, moim życiem!... Zdradził – Bóg z nim! Przeszanę – o! Teraz już przestanę myśleć o nim! Ten koniec czekał mnie zawsze. Ja uboga, ja chłopka bez wychowania, co on ukochał we mnie? Nie serce, nie rozum. Podobała się mu pierś moja, moje usta, moje błękitne oczy. On nie kochał mnie samej, a tylko me wdzięki – a ja go kochałam całą siłą mej duszy!... Bóg z nim! Obrał on mnie z najśodszych uczuć; a co dał w zamian? Czym się wywdzięczył? Kartą, która los mój miała uczynić zależnym od człeka nieznanego i równie zepsutego jak Leon! Mój Boże! Jak on miał na koniec sumienie dopuścić się tego czynu! Co we mnie mógł znaleźć teraz Grzegorz? Czy on myśli może, że też same uczucia, co miałam dla Leona, będę mieć i dla niego? Och! Tych już nie dam! Te już nie nawet Grzegorz: jak ja sama nie pojmowałam, że tak kochać można, nim mnie nauczył Leon. Ale będę odtąd wierną słowu i za nic w świecie nie zejdem z prawej drogi. Dla Grzegorza wystarczy moja przyjaźń, a dla mnie – jego szczęście i moja przeszłość.

⁹⁵ Arendarz – dzierżawca.

VIII.

Posłanymi do Kijowa końmi powrócił tylko sam Grzegorz z listem od Leona zawiadamiającym, iż całe wakacje przepędzi na Wołyniu gdzieś u znajomych, a stąd przyjechać do rodziców nie może. Ta obojętność Leona była bolesnym ciosem dla starych Cześnikostwa, tym bardziej, iż dowiedzieli się już po części, jak rozpustne i stratne zaczął prowadzić życie. Ale jak naprawić młodzieńca, zwłaszcza studenta, co słuchając filozofii, ocierając się z ludźmi w mieście, czytając romanse i widząc w lustrze wysiewające się już pod nosem wąsy, zaczął uważać siebie za rozumnego i skończonego człowieka? Jak poniżyć tę dumę, którą podtrzymuje baragolswo, do której ośmiela szpada, a podżęga wrząca krew i sypiące wino? Na dziecię jest stołek i różga, ale co na młodzieńca?...

Stójcie! Stójcie! Nie rozpaczajcie wy, patroni i stronnicy krzywdzonych obyczajów i moralności! Jest, jest jeszcze jeden środek, jeden port zbawienia; otrąbcie go nad głowami burzącego się ludu, a umilkną i nic nie odpowiedzą. Tym środkiem są: Czas i Pieniądze!

Zaraz wam dowiodę.

Czy myślicie, że wszyscy ci, którzy od lat siedemnastu do trzydziestu nie mówią pacierza, śmieją się w kościele, szermują oderwanymi zdaniem Hegla⁹⁶, dewizami Woltera⁹⁷, nie wierzą w nic zgoła i nic nie uważają już świętym, doprawdy mają taki sam rozum, jak miał Hegel, lub także samo złe serce jak Robespierre⁹⁸ czy Wolter? – Bynajmniej! Oni, siwo tylko puszczeni samopas i wzdęci nadmiarem sił fizycznych, *wyplacają dług młodości*, jak mówią u nas, to jest: śmieją się na całe gardło, kpią, tańczą, chodzą w czapkach na bakier; a Żydki niech im zwracają z drogi, a wino niech im wysadza korki, a dziewczęta niech idą tuż pod rękę – i oto wszystko. Żeby tak szło sobie to wszystko bez oporu, przeszłoby jak te burze nad oceanem, niezostawiające po sobie ani powodzi, ani ruin; ale w tym to i sęk, że jest opór. Prawa, policja, opinia świata, częste i bolesne kuracje, a na koniec niedostatek pieniędzy, oto są ustawiczne tamy na ich drodze, dla zwalczania których dobywają sił ostatnich, buntują się moralnie, walczą do omdlenia i wstrzymani przez jedną z nich, jakkolwiek nienawidzą stąd wszystkie i często kończą tym, iż myśląc zaszkodzić światu, wysysając zeń najszkodliwsze pierwiastki dla oplwania mu lica, zapominają, iż też

⁹⁶ *Hegel* – Georg Wilhelm Friedrich Hegel (1770–1831), niemiecki filozof, twórca nowoczesnego systemu idealistycznego.

⁹⁷ *Wolter* – właśc. François-Marie Arouet (1694–1778), francuski pisarz epoki oświecenia, filozof, dramaturg i historyk.

⁹⁸ *Robespierre* – Maximilien Marie Isidore de Robespierre (1758–1794), jeden z czołowych przywódców rewolucji francuskiej, przywódca lewicowego klubu jakobinów.

sama trucizna, nim zatruje świat, już pierwszej przelała się w ich piersi i właściwie zaszkodziła im samym.

Żeby ten czas wiosenny, silny, burzliwy płynął i płynął zawsze; żeby to złoto sypało się i sypało ciągle – o! najuporczywsza wtedy walka z nimi, zaprawdę, nie zdałaby się na nic! Ale to zwykle trwa póty, póki nie ostygnie krew, nie wypadną włosy i nie zadłuzą się majątek – i – o, cudo! Ten lew pustyni, ten nieukrócony rumak staje się wnet łagodny jak baranek, miękki jak wosk, wierzy w kalendarz i mówi pacierze.

Cóż go nawróciło? Widzicie, że ani różga, ani morały, ani wstyd, ani sumienność – ale Czas i Pieniądze. Tak szumiał i tak przesuszał młode swe lata Leon. Dokuczyły mu na koniec kuracje; Cześniak mało przysyłał pieniędzy; Żydzi nie kredytowali już *a conto* przyszłej sukcesji – a stąd samo przez się zbrzydło mu i baragolstwo. Bo czym jest baragolstwo bez zdrowia i pieniędzy? Pijak chcący się upić zimną wodą może tu służyć jakimkolwiek dla nas porównaniem.

Przyjechał na koniec Leon zamieszkać już wieś stale. Cześniakostwo gniewało się, gderali, wyrzucali marnotrawstwo, zapomnienie; lecz pokora Leona skruszyła ich serca i przebaczyli mu młodości błędy. Mówiąc prawdę, nie wiedzieli oni ani połowy tych awantur i skryptów, którymi wzbogacił się Leon; na te zaś, o których wiedzieli, były przygotowane po większej części, jakie tylko można było zastosować, usprawiedliwienia.

Lecz niestety! Leon już nie był więcej tym ślicznym, hożym i czerstwym młodzieńcem, jakim widzieliśmy go w epokę zakochania się w Julce. Bujne życie zostawiło swe ślady. Dzięki silnej, młodej naturze nie zeszpeciło rysów, ale nacechowało je znużeniem, bladeścią i goryczą. I charakter Leona odmienił się znacznie. Był on milczący, zimny, nic go nie zajmowało szczerze, nic nie budziło ani zapału, ani sympatii.

Ale czego też nie naprawi nasze stokroć błogosławione wiejskie życie! Zbawieniejsze od karlsbadzkich wód⁹⁹, skuteczniejsze od najlepszych dekoktów¹⁰⁰, dziwniejsze częstokroć w skutkach od gräfenbergskich kuracji!¹⁰¹ Mało pomału przywróciło ono i Leonowi nadwątlone zdrowie. Świeże powietrze, wstrzemiężliwe życie, polowanie, konna jazda i ciągła spokojność umysłu – oto czemu jeszcze winna jest nasza młodzież odrodzenie i byt energiczniejszy nadal.

Cześniakostwo starzeli się, często zapadali na zdrowiu i ani słysząc o nowomodnym, emancypacyjnym życiu, radzi już byli widzieć Leona ożenionego, bo ożenienie się uważali za rzecz tak konieczną do dopełnienia kariery jak szczepienie

⁹⁹ *Karlsbadzkie wody* – uzdrowisko w Karlowych Warach (Czechy), dawniej: Karlsbad.

¹⁰⁰ *Dekokt* – dekokt, przest. wywar; odwar, wodny wyciąg z ziół lekarskich.

¹⁰¹ *Gräfenbergskie kuracje* – uzdrowisko w Jaseniku (Czechy), niem. nazwa uzdrowiska: Bad Gräfenberg.

ospy, jak coroczną spowiedź. Leon znów myślał zupełnie na wywrót. Ożenienie się było, według jego zdania, parafianstwem, śmiesznością, trąciło staroświecczyną, sentymentalizmem, wyobrażało człeka straszliwie głupim w oczach świata i zastałym w postępkach ludzkości. Tak on myślał przy wpisaniu się do towarzystwa baragołów.

Ale gdy po dwóch latach został bez grosza przy duszy i po uszy w długach, wtedy podczas podróży do Kijowa na Kontrakty, podróży fatalnej, bo na kontraktowej sali miał go spotkać nieochybny jak śmierć cały tuzin najformalniej sporządzonych skryptów, a w pularesie nie było więcej nad paręset rubli – wtedy to z innego punktu zaczął on uważać małżeństwo. Nie był to już w jego oczach związek dwojga serc, mający swe źródło we wzajemnej miłości, ale wprost mniej więcej trafny do załatwienia interes, kupno o ile zyskowniejsze, o tyle lepsze. Połączenie się nie było samą rzeczą, lecz wstępem do rzeczy, konieczną formułą dla świata dla zadośćuczynienia jego prawom, a cel właściwy zasadał się na ulepszeniu czysto materialnego bytu. Skoro raz dopełnione formalności ograniczyły obojgu, następować potem miało modne życie. A ponieważ, jak wiecie, duch mody stale i wbrew przeciwnym jest zawsze naturze i prawom, domyślić się więc możecie łatwo, jakiej to natury ma być to modne życie.

To przekonanie było widocznie wypadkiem rozpasanego życia. Człowiek, co nie uznał w samym sobie praw serca, azali mógł myśleć inaczej? Nie wolałże on pójść za głosem namiętności, materializmu, które mu tyle dawały swobody w działaniu i tyle przystępniejszych wróżyły rozkoszy? Czy zauważyliście, że dopóki człowiek jest zwolennikiem tych rozkoszy, a natura nie wymówiła mu jeszcze posłuszeństwa, on nie tylko nie potępia w przekonaniu swoim tej dążności, ale i tam nawet, gdzie cierpi jego honor, czuwa zazdrość, patrzy często przez palce na jej rozkosz?

Czy wiecie, dlaczego to tak? Oto uczucie własnej winy robi go względniejszym na winy drugich. Ale niechże jakaś ekscentryczność czy upadek sił fizycznych postawią go w niemożności dalszego dążenia po tej drodze – o! wtedy wszystkie drzemiące hydry serca zbudzą się – powstaną – wypuszczą swe pazury i czuwać będą nad swoją ofiarą... I czuwanie to będzie miało wyraz stokroć dziwszy nad inne; bo gdy tamte wypływają z moralnego o rzeczy przekonania, te z najbrudniejszych namiętności, a co najgorsza, z namiętności tych samych, które urągały się przed chwilą i zadawały fałsz moralnej prawdzie – a dziś – widzą jej prawość, swą od niej zależność i muszą patrzeć w oczy...

Wdzięki kobiet zajmowały Leona, ale już zachwycać nie mogły. Sądził on o nich trafnie i umiał oceniać doskonale przez wykształcony gust, lecz nie przez uczucie. Były jak posąg ze wszystkimi warunkami ekspresji: brakło im tylko siły ruchu. I teraz to dopiero stanął on wobec ślicznych naszych dziewic dla wybrania z ich grona towarzyszeki. Czyż nie krzywdził on teraz płęć piękną? Czy mógł zjawić się przed nią ze śmiałym czołem i spokojnym okiem?...

Cóż by to była za sprzeczność – o, mój Boże! Tu już lód – a tam jeszcze ogień; tam cudne barwy – tu przykra bladeść;... tam najpiękniejsza wiosna – tu najsmutniejsza zima... Rzekłbyś: rozkwitła oaza Wschodu, przez jakąś rewolucję natury padła na chłodne łono lodów, a blade słońce Północy trupim patrzy na nią okiem...

Ale kobiety nasze, prowincjonalne – O, ich życie czystsze i los bywa smutniejszy!... Tu często obowiązki, konieczność, rezygnacja... otoczą ze stron obydwu samotną drogę życia i każą jej iść po niej... Uczucia nie tracą się, nie niszczą; serce pragnie rozkoszy, miłości... ciche życie, piękna natura rozwijają szeroko wyobraźnię – a tu dokoła – ani współczucia, ani rozkoszy, ani nawet pojęcia ich siły! –

Mówimy śmiało tę gorzką prawdę mężom, bo widzieliśmy nieraz ową niestosowność związków z niestosownego wypływającą życia i żal nam było patrzeć, jak te śliczne pączki wędły w zimnym ich ręku...

Leon wybrał dziewczynę młodą, śliczną i pełną uczucia. Jeśli Emilia rozumie siebie być szczęśliwą, to dlatego, iż jest zbyt niewinna.

– A Julka? Co z Julką?... – Julka wyszła za mąż za Grzegorza.

IX.

Byłem niedawno u Leona. O, jak mnie czarowało pełne szlachetności i wdzięku obejście się jego młodziutkiej żony! Ale co dziwniejsza: Leon był jak nie ten! Zupełnie nie ten, jakiego widzieliśmy tak często w Berdyczowie na konnych wyścigach, w lekkiej koczaninie, z długimi włosami, ogromnymi wąsami i dużą brodą, opalonego, zapyłonego, siedzącego na bachmacie z nahajką w ręku lub w nejtyczance z biczem; albo jak go widzieliśmy w Kijowie na kontraktowej sali¹⁰², albo u Bellota¹⁰³ przy winie. Dziś on przeistoczył się do niepoznania! Ubiera się elegancko i skromnie; wąsiki nosi małe i pełne wdzięku, włosy niedługie; twarz jego myśląca i blada.

Zdziwił mnie też podczas rozmowy. Zdania jego nie wpadały w ostateczność, ani trąciły zarozumieniem. Wszystko wypływało, zda się, z łagodnego i rzetelnego o rzeczy przekonania. Po obiedzie, kiedy wyszliśmy do ogrodu i nam podano kawę w altance z powoju, gospodyni zapytała mnie: czy lubię ja konne spacerować? Odpowiedziałem, że konna jazda jest najulubieńszą moją rozrywką. Leon przerwał mi i starał się wmówić w Emilię, iż zmyślam. Zdziwiłem się na to usprawiedliwianie mnie

¹⁰² *Kontraktowa sala* – Dom Kontraktowy – budynek w Kijowie, w którym w czasie Kontraktów, tj. spotkań kupców, zbiegających się w czasie z dorocznym jarmarkiem, były zawierane umowy i prowadzona wymiana handlowa. Bywał także ośrodkiem życia towarzyskiego, odbywały się tu przedstawienia teatralne i koncerty.

¹⁰³ *U Bellota* – w jednej z kijowskich restauracji.

w fałszywy sposób. Zacząłem upierać się przy swoim. Leon zamilkł. Gospodyni domu zaproponowała wieczorną przejażdżkę i gdzieś na futorze herbatę. Zgodziłem się chętnie na tę propozycję – i wieczorem piękne trzy wierzchowce poniosły nas w łany. Zwiedzaliśmy prześliczne miejsca. Po lasach – pasieki i sady; po jarach – słuchaliśmy szmeru strumieni; z mogił i kurhanów rozkoszowaliśmy się obszernymi widokami okolic; mówiliśmy z wiarą i uczuciem o poezji, o wieszczach, o naturze.

– Ot, chwilkę jeszcze – rzekła nasza piękna towarzyszka, gdy jechaliśmy wijącym się jarem, osłonionym odwieczną dąbrową – i wskażę Panu na tym oto zakręcie miejsce, które zapewne widziałeś już nieraz, lecz nie zwracałeś na nie uwagi. Z tej strony widok tego ustronia tajemniczy i prześliczny! Nie wiem, jak się podoba Panu, ale co do mnie – jest to mój najmilszy futerek!

– Czy nie tu kazałaś przygotować herbatę? – zapytał z lekkim uśmiechem Leon. Emilia skinęła głową.

Zwróciliśmy na prawo, podjęli się nieco na górę, i tu odkrył się nam miły widok. Po lewej stronie białały między odwiecznymi lipami ściany domku; obok, nad konopie i słoneczniki, podnosiły się niziutkie dachy zabudowań: stary płot spod powoju i młodych wierzbek przezierał tu i ówdzie to kołkami, to chruścianą plecionką, i tak, zniżając się aż nad strumień, ginął w gęstych burzanach wodnych. Bliżej, pod górą, rozścielał się długi fruktowy ogród, okopany rowem i otoczony lasem. Wprost przed nami rysowała się równa powierzchnia grobli porośnięta gęstymi wierzbami i wodny młyn w profilu, a za groblą przebłyskiwała woda.

– To domek Mielnika! – rzekłem, poznając miejscowość.

– A cóż: prawda, że w przyjemnym miejscu?

– Podzielam gust pani.

Wjechaliśmy na podwórze. Ledwie zsiadliśmy z koni, gdy Julka ukazała się we drzwiach. Głowa jej była obwiązana niewielką kolorową chusteczką; na szyi czerwieniło się kilka sznurków koralu; kształtny gorsecik obrysowywał postać. Poznałem ją od razu. Ona była równie jak pierwej piękną, tylko jej oczy przybrały jakiś melancholijny wyraz; pierś zachowała swój uroczy powab, tylko w pełniejszych nieco kształtach, a w rysach, jak w czystych topielach wód, przezierała wewnętrzna cisza i pogoda. Patrzałem przenikliwie na Leona. Widziałem, że spodziewał się tego spojrzenia i unikał go wszelkimi sposobami; nie patrzył na mnie, a czuł, że wzrok mój płatał siłą elektryczną promienie wzroku jego.

Julka przyjęła swą panią, jak się zdawało, najszczerzej. Na Leona spojrzała śmiałym, zimnym, jakimś matowym wzrokiem. Co w nim było: głęboki li wyrzut czy kamienna obojętność – rzec trudno. Nic w nim pogardy, lecz jeszcze mniej uczucia.

Julka mnie знаła dobrze z Kijowa: spojrzała – poznała – i udała, że nie zna. Weszliśmy do środka. Już to nie była świetlica ukraińskiego chłopca, lecz pokój z obrazami, stołem, krzesłami i kanapą. Podłoga była usypaną tatarskim zielem.

– Widzisz Pan – rzekła do mnie nasza towarzyszka, siadając na kanapie – iż tu prawdziwie wiejską możemy pić herbatę. Moja kochana Julka niedorównana pod względem przyjmowania gości. Wszystko u niej czysto i porządnie. Nigdzie z taką przyjemnością nie piję herbaty.

– Dziękuję Pani za dobre słowo – odpowiedziała Julka, spuszczać oczy.

Poznałem z toku rozmowy dalszej, iż Emilia nie wiedziała wcale o przeszłych stosunkach Julki z Leonem. Piliśmy herbatę wesoło, śmiejąc się, żartując, a co najbardziej czyniło śmiesznym nasze położenie, to naiwne skierowywanie rozmowy przez naszą piękną towarzyszkę o Julce i zapytania w najniewinniejszej myśli zadawane w tym przedmiocie mężowi.

– Gdzież twój swawolnik Józio? – zapytała Emilia Julki. – O, jaka ty niedobra, nie pokażesz nam swego chłopczyka! Przyrowadź mi go, Julko.

– On... Pani... Dalibóg taki opalony!... Nieumyty! – skarżyła się zaambarasowana Julka.

– Nic! – Nic! Przyrowadź mi go zaraz.

Julka nie mogła się wymówić, wyszła i za chwilę powróciła, prowadząc za rękę rzeźwego lat trzech chłopczyka. Na pierwsze spojrzenie znalazłem w nim wierny obraz Leona i mimowolnie dla porównania przerzuciłem z niego na dziecię kilka razy wzrokiem.

– Jak się masz Józiu! – rzekła nasza towarzyszka, biorąc go za rączkę. – Patrz pan: wszak prawda, że ładny chłopczyk, a do kogo podobny?

Spojrzałem na Julkę i postrzegłem, że była jak w ogniu.

– Do ojca – rzekłem z przyciskiem i uśmiechem.

– Cha, cha, cha! Co pan mówisz? Józio podobny do ojca! W moim zdaniu nic nie masz niepodobniejszego. – Spojrzałem na Leona – on puszczał tak gęsty dym z cygara, jakby się chciał nim zakryć od naszego wzroku.

Chłopczyna był wesoły i ruchliwy. Bębnił ciągle, choć go rozumieć było trudno, i miłutko zaglądał swej opiekunce w oczy. Widziałem, ile to sprawiało ukontentowania tej, co już zdawała się pojmować uczucia matki, i jak pieszczotliwe były jej pocałunki. Ale najszcześniejszą była Julka. Oczy jej, pełne wyrazu miłości, śledziły nieoderwanie za najmniejszym ruchem dziecięcia i za każdą pieszczotą jej pani. Szczęście matki biło z nich w pełnym blasku.

Po skończonej herbacie wyszliśmy na przechadzkę, z której mieliśmy już powrócić do domu. Nie pamiętam, czegom zapomniał, dość, że trzeba mi było wrócić do izby. Otworzy drzwi, postrzegłem Julkę samą jedną, stojącą przy stoliku z Józiem na rękę i tak pogrążoną w zamyśleniu, iż mego nie postrzegła wejścia.

– O czym tak zamyślałaś się?

– Ach! To pan!

– Ja, Julko. Powiedz, dlaczego nie przywitałaś się ze mną: udałaś nawet, że mnie nie znasz?

– Ach! Ja całej tamtej przeszłości rada bym nie znać! – rzekła Julka z uczuciem.

– Smutneż ci obudzą wspomnienia?

– Pan to możesz wiedzieć bez mojej odpowiedzi.

– A teraz posiadłaśże spokojność i szczęście?

– Szczęście! – powtórzyła Julka, utkwivszy wzrok pełen niewyrażonego uczucia na uśmiechającą się do niej twarzyczkę Józia. – Ot, gdzie moja spokojność, mój świat, moje złoto, moje całe dziś szczęście!...

I to mówiąc, osypała go gorącymi pocałunkami, namiętnie przycisnęła do serca i tak trzymała chwilę – potem nagle opuściła pokój. – Łzy były w jej oczach.

Pojąłem to jej szczęście!...

Czerwiec, 1845 r.



Wasilij Szternberg (1818–1845), *Jarmark na Ukrainie* (b.r.)

**PAMIĘTNIK LEGITYMUJĄCEGO SIĘ¹ SZLACHCICA.
(URYWEK)
UDZIELIŁ TADEUSZ PADALICA**

I.

Przed laty dziesięciu papiery moje wywodowe² były w najopłakańszym stanie. Pocziwy mój dziadunio, świeć Panie jego duszy! Kasper Baltazar, dwojga imion Szlachciński, herbu Prawdzic, kiedy kazano przedstawić szlachcie dowody rodowitości swoich, zamydlił oczy wołyńskiemu deputackiemu zgromadzeniu jednym, jedniuteńkim świadectwem dwunastu obywateli, którzy przyznali: iż pan Kasper Baltazar był szlachcicem z dawien dawna; że on i jego przodkowie prowadzili żywot szlachecki; że piastowali urzędy właściwe szlachcie; że żenili się przez kilka pokoleń ze szlachciankami; że bawili się rycerskim rzemiosłem itd., itd. Słowem, napakowawszy w owo świadectwo mnóstwo takich i tym podobnych ogólników bez dat, imion i nazwisk i co najprędzej dobrawszy się do końca, zrobili długi ogon z podpisów, między którymi figurowały prawdziwe figury jak na rozdrożu, bo cztery krzyżyki niepiśmiennych jakichś patrycjuszów, a każdy familijny ogonek, przypieczętowawszy herbową pieczętką, jakby dla pewności, ażeby nie mógł zemknąć z opisanego takim sposobem półarkusza: taki oto dokument, kamień węgielny naszego szlacheckiego rodu, zachlapany funtem laku i upstrzony mnóstwem kruczków podpisowych, wręczyli mojemu dziaduniowi.

Kiedy to piszę, mam przed sobą ów drogocenny arkusz, patrzę nań i napatrzeć się nie mogę... Kropelki jak z esencji tabaczej, i drugie bledsze, niby od maślaczu³ (a może to łyż rozczulenia), zalegają całkiem facjatę arkusza; a litery każdego podpisu zdają się przeobrażać w kuntuszowe i wąsate postaci, różnego stroju i miny, jak te, które porysował Zaleski do Paska⁴, albo Chodźko w swych *Litewskich obrazach*⁵.

¹ *Legitymujący się* – tu: udowadniający, potwierdzający swoje szlachectwo.

² *Papiery wywodowe* – dokumenty stwierdzające szlacheckie pochodzenie.

³ *Maślacz* – węgryzn, wino węgierskie otrzymywane poprzez dolanie gorszych tokajów do pozostałych po dobrych tokajach osadów.

⁴ *Zaleski do Paska* – mowa o ilustracjach, które przygotował Antoni Zaleski (1824–1885) do XVII-wiecznych *Pamiętników* Jana Chryzostoma Paska (1636–1701).

⁵ *Litewskie obrazy* – seria opowieści romantycznego gawędopisarza Ignacego Chodźki (1794–1861). Właściwie: *Obrazy litewskie*, Seria I–V, 1840–1850.

I widzę, jak oto napelnia się nimi stała kwatery dziadunia u Aronka przy Wilskiej ulicy w Żytomierzu⁶, jak uszczęśliwiony dziadunio poi szlachtę i sam nie pozostaje w tyle; jak się obejmują, ściskają, całują, brzęczą karabelami, poprawiają pasów, pokręcają wąsy; i jak ten oto sam arkusz, duma dziadunia, kolosalne dzieło zgromadzonego ciała, leży na wznak na stoliku pomiędzy butelkami węgryzna, a przy nim laseczka laku, co przekazała potomności wraz z herbami kilkadziesiąt bębnow i całą kolekcją buńczuków, kul i sztandarów; i żydowski kałamaryk z brudnym piórkiem, które wyśliniło tyle znakomitych imion!

Najpierwszy podpis był pana Mateusza Brzechwy, prezesa Izby Cywilnej, zakrecony u spodu, napisany wprawna ręką, ale niedbale, na kształt podpisu Stefana Czarnieckiego⁷, czarniejszym atramentem i innym piórem. Jakże tu nie poznać, iż dziadunio sam musiał jeździć do niego i prosić o przyozdobienie świadectwa tym podpisem? A stąd, iż musiał to być pan, którego dziadunio považał, od którego może miał posesyjkę zastawną⁸, któremu prezentował się, ile razy zjeżdżał do Żytomierza – przedstawiał mojego ojca, który jeszcze natenczas był w infimie⁹ (i nie marzył zapewne, iż sam kiedyś zostanie ojcem) w nowym kontusiku, każąc mu z uszanowaniem całować rękę pana prezesa. Dalej szedł podpis pana Statucińskiego, adwokata przysięgłego przy sądzie grodzkim, napisany drobnuteńko, równo, niby sznureczek napięty od tyczki do tyczki, i dopiero na końcu pokręcony w esy-floresy, jakby to reszta tego sznureczka, zbywająca od węzła, sama się tak splątała misternie. Wyraźnie stoi mi w oczach pan Staluciński: wysoki, chudy, czarny, małowówny, uśmiechający się i kłaniający sędziom, pocierający czuba przed pryncypałem, gryzący statut jak rzepę, cytujący daty konstytucji, uchodzący u mego dziadunia za najrozumniejszego człowieka – w Żytomierzu. Za nim wali się pan Pafnucy Wichromtyński, herbu Pstrokoń, towarzysz pancerny, sztuka wojskowa, z wąsem ostrym do góry, szerpetyną¹⁰ u boku, z szramem na czole i przysłowiem: „Ostrubie panie”. Dogrobowy druh dziadunia, rezonujący dużo, robiący mało, punktualny gość wszelakich hulanek, a któremu oto zdarzyła się szczęśliwa zrzeczność wyświadczenia olbrzymiej przysługi dziaduniowi dołączeniem swojego podpisu. Rad więc, iż wywiązał się z długu przyjaźni, rozprawia głośno, śmieje się i trzęsie ręką, jaka mu tylko wpadnie w pięść żylastą. Jego popis cały ułożony z liter czubiastych, stojących, dużych jak fasole; pióro widać trzeszczało pod palcami i rozdarło się w końcu; atrament przebił na drugą stronę i przy ostatnim

⁶ Żytomierz – siedziba władz dawn. guberni wołyńskiej.

⁷ Stefan Czarniecki – (1599–1655), polski dowódca wojskowy, oboźny koronny, kasztelan kijowski, wojewoda ruski, wojewoda kijowski, hetman polny koronny.

⁸ Posesyjka zastawna – dobra ziemskie wzięte w dzierżawę.

⁹ Infima – najniższa klasa w dawnych szkołach w Polsce.

¹⁰ Szerpetyna – krzywa szabla noszona w XV–XVIII wieku przez uboższą szlachtę do codziennego stroju; karabela.

skręcie spuścił żyda. Wnet za nim, czwarty z kolei, idzie króciutki podpis: „Jan Pszyk”, rzucony ukośnie z boku, bez wykrętasów i tytułów, przypieczętowany małą pieczętką, zdaje się być przy niej ogonkiem czerwonego latawca. Jak nie poznać pana Pszyka, którego tytułowano cześnikiem, który chodził po posesjach w Owruckiem¹¹, nosił płócienny żupan, nie pił żadnych trunków i będąc w towarzystwie, milczał zawsze. Dalej idzie podpis pana Horhorhorowicza Barnaby, podsędka ziemskiego, i coś dalej, czego wyczytać trudno. Litery tu rozsypały się jak obwarzanki na podłodze: żadna z nich nie łączy się z drugą, stoją bokiem, ukośnie, prosto, wyżej i niżej wiersza, i wykrętas przy końcu zerwany w połowie. Figura to otyła, pąsowa: cięży mu chustka na szyi, ciśnie żupan pod pachą, okulary nie do oczu. Sąsiad to dziadunia, gderliwy, sapiący, wiecznie narzekający na gospodarkę, na wydatki: gorąco mu, znowu zimno bywa razem; odwiedza sąsiadów często, w kościele bywa każdej niedzieli, a zawsze czegoś się boi, ogląda się poza siebie, chodzi prędko i narzeka na złe czasy. Następnie czytam: „Józef Dobroduski, stolnik, herbu Ślepowron”. Ten poczciwy Polak patrzy, zdaje się, na mnie ładnymi błękitnymi oczami spod brwi białych i spokojnego czoła. Bóg go obdarzył małym mająteczkiem i pięcią córkami jak łanie. Gości tam huk zawsze: kręci się młodzież, zaleca, ale nie śle swatów! Stara jejmość narzeka na wydatki, na liczną czeladkę, a stary powtarza jej: Bóg łaskaw, moja Małgosiu! nie opuści nas: i mająteczek nie zginie, i córki powydajem za męż... jakoś to będzie! Charakter tu czytelny, litery postawione ukośnie, zgrabnie. A po kilku jeszcze podpisach, na samym końcu, przy familiach: Gąsiorowskich, Kogucińskich, stoją w kółkach krzyże, kreślone palcami grubymi, dłonią, co naciskała pługi. Są to skazówki niezgrabne, ale widome i proste, jak zapewne ich serca.

Złapawszy taki dokument, dziadunio mój przedstawił go do szlacheckiego, deputackiego zgromadzenia, i za kilkadziesiąt złotych dostał ogromny kawał pergaminu z pieczęcią i podpisami guberskiego marszałka i dwunastu deputatów, którzy go zatwierdzili w szlactwie. Nie podaje mi kronika domowa, czy chwalił się tym nabyciem przed moją babką; ale musiał się chwalić, gdyż pergamin ów, obwinieyty starannie w arkusz tabeli pańszczyznianej, chowany był odtąd w kufrze babki, gdzie była złożona ślubna suknia mojej matki, i prawie w takim stanie doczekał się moich już czasów.

Rodzice odumarli mię młodo, zostawując bez żadnego funduszu. Daleki krewny mojej matki, bogaty, ale skąpy, zajął się moim wychowaniem, to jest: oddał mię do szkół. Lata więc domowego życia, pieszczot matki, te najpiękniejsze lata, z których pamiętają się i wesołe święta, i ogródek bżowy, i łakocie domowe, wszystko to nie było mi znane! Rosłem w mieście, z książką w rękę, marząc tylko czasem o wiejskim życiu, z którego pamiętałem jak przez sen domek i lewady mojego ojca.

¹¹ *Owruckie* – okręg z Owruczem, miastem w dawn. guberni wołyńskiej.

Ale ze wstąpieniem do uniwersytetu nauki mię zajęły zupełnie: świat jakiś nowy, nieznany, im dalej, tym piękniejszy, rozwinął się przede mną i rozkrywał swe piśmienne skarby, które mi mój biedny pokoik, oświetlony jednym oknem i jedną łojową świecą, zaludniały pierwszymi geniuszami ziemi. O północy, gdy miasto spało, często z Sokratesem, Platonem, Demostenesem i Liwiuszem¹² prowadziłem biesiadę o dawnych ich czasach, prawdach i cnotach; i zdawało mi się nieraz, jak ci sławni mężowie w laurowych wieńcach na czole, w długich szatach, z otwartym obliczem chodzili po mojej izdebce, siadali na moim krzeselku, kładli swe prawice na moim ramieniu i rozmawiali ze mną, a każde ich słowo głęboko zapadało w mą duszę, i jak podnoszona zasłona ukazywało nowe coraz obrazy. Hej, hej! O, święty! O, złoty czasie! Gdzie dziś ta wiara i pogoda? Ten zapach i te chęci? Anim ja myślał wtedy o tym głupim i powszednim świecie, który tacza się w modnych powozach po bruku i szuka świeżych kosmetyków po magazynach! Ocierałem się o te modne figury codziennie, błoto ich kół często mi bryzgało na płaszcz; a ja byłem dumny moim szczęściem i żalowałem ich w duchu, że nie mogli pojmować moich rozkoszy umysłowych! I duma ta nie była to owa brudna namiętność, którą wyhodował paryski proletariat, ale pełna powagi i spokoju, pełna wiary, gotowa do ofiar, skoro zażądane w imię braterstwa i cnoty.

Z takim usposobieniem przeszedłem trzy kursa literackiego fakultetu, gdy zdawszy egzamen z ostatniego, ze stopniem kandydata wracałem wesół i szczęśliwy z kolegami do mojego mieszkania. Późno już po dwunastej opuścili mię moi towarzysze. Chodziłem samotny po pokoju i pierwszy raz w życiu zrobiłem sobie pytanie: co będę robił dalej? Życie moje przechodziło dotąd w sferze tak czysto umysłowej, iż anim wiedział o innym; anim się zastanowił, iż kiedyś trzeba będzie zostawić te piękne kraje nauki i ducha i zstąpić na ziemię, ażeby pracować na kawałek chleba, pracować do grobu! Marzenia moje owoczesne, jeślibym szczerze przyznał się z nich przed wami, były nader śmieszne. Świat wyobrażałem sobie po swojemu, i sadowiłem w nim moją jaźń jak najdogodniej; nie było dla mnie ani przeszkód, ani zmartwień, ani obłudy: wszędzie cnota, wiara, współczucie, słowem, raj ziemski! Mój Boże! Jakże wielkie było ze mnie dziecko! Rozumiałem Platona, Hegla; czytałem w oryginale Homera¹³, Szekspira¹⁴ i Danta¹⁵, a nie umiałem abecadła z praktycznego naszego na tym padole życia! Co to jest ten nasz świat praktyczny? – pytałem siebie nieraz, nim mi się dobrze nalał w uszy, i nie umiałem odpowiedzieć! Wyobraźcie sobie rozkwitły krzak kamelii czy dalii, który wzrósł w cieplarni i rozwinął pełne bukiety kwiatu, i tak jak jest piękny, kwitnący, postawcie go w październiku pod mglistym niebem jesieni, i śledźcie: co się

¹² *Sokrates, Platon, Demostenes i Liwiusz* – greccy filozofowie, politycy i historycy.

¹³ *Homer* – (VIII w. p.n.e.), grecki pieśniarz wędrowny (*aojda*), epik, śpiewak i recytator.

¹⁴ *Szekspir* – William Shakespear (1564–1616), angielski poeta, dramaturg, aktor.

¹⁵ *Dante* – Dante Alighieri (1265–1321), włoski poeta, filozof i polityk.

z nim dział będzie? Pierwsza mroźna noc zwarzy rozwinięte jego kielichy: zwiną się one, stracą blask pierwotny i opadną; wiatry chłodne pozrywają listki jeden po drugim, zamknie się vegetacja, sparaliżuje roślinność, i oto po dniach kilku z tego pięknego i aromatycznego krzewu pozostanie suchy ostow badyli¹⁶, na który mgła rzuca lży rosy, ażeby płakał nimi!... I ów krzew cudny, ów mieszkaniec jaśniejszego nieba, zginie niepowrotnie, gdy tuż obok ogromny krzew bodiaku ostoi się i burzom, i śniegom!...

Biedni my doprawdy z tym naszym życiem w krainie ideałów! Dla łokcia sukna, które nam potrzebne dla okrycia grzbietu, dla kawałka chleba, który podtrzymuje organizm: dla tych oto nędznych potrzeb, potrzeb najniższych, jakże często musimy pożegnać się na zawsze z poezją, nauką, tymi pięknymi córami krain wyższych!

Ale zostawiam narzekania, a będę wam pisał o sobie.

Po owym wieczorze zrobiłem tak samo, jak Leon Janiszewski¹⁷ po rozstaniu się z najmiłszą kochanką:

 Nie znajdując sposobu nędzne skończyć życie,
 A chcąc przenieść się duszą za miłym obrazem;
 Zrobił, co najlepszego mógł zrobić tym razem,
 To jest: – wyspał się sownie¹⁸.

Nazajutrz ledwie przetań oczy, gdy wszedł pocztylion i list mi doręczył. Był to list od mojego najukochańszego opiekuna, który pisał zawsze do mnie lakonicznie, bez wykrzykników, zapytań, kropeczek, jak ja wtedy nie pisałem do nikogo, nawet do kolegi, prosząc o pożyczanie na fajkę tytoniu; nakazując, ażebym najawszy krakowską brykę, niebawnie¹⁹ przyjeżdżał do niego dla zajęcia się własnym interesem. W końcu zaś dodał: „Zdaje się, mój Józefku, że dosyć będzie tych nauk, bo będziesz umiał liczyć gwiazdy na niebie, a nie potrafisz utrzymać prowentowych registrów²⁰. Na karku wisi co innego: twój ojciec zostawił cię jak narodził, bez żadnej wiadomości o swoim pochodzeniu, a tu potrzebują zapisania się do skazek²¹ i dowodów na szlachectwo. Zobligowałem ci ja wprawdzie niejakiego pana Szlachtorubskiego, ażeby się zajął wyszukaniem i zebraniem papierów, ale on mnie doi, a nic dotąd nie zrobił. Przyjeżdżaj więc i sam się weź do tego interesu, jeśli nie chcesz być jednodworcem²²”.

¹⁶ *Suchy ostow badyli* – wyschnięty szkielet badyli.

¹⁷ *Leon Janiszewski* – (1810–1861), polski poeta i muzyk, tłumacz Puszkina.

¹⁸ Fragment wiersza Leona Janiszewskiego pt. *Sen*.

¹⁹ *Niebawnie* – niechybnie, nie zwlekając.

²⁰ *Prowentowe registry* – dawn. wykazy dotyczące dochodów, zwłaszcza z posiadłości rolnych.

²¹ *Skazka* – spis ludności.

²² *Jednodworzec* – szlachcic zagonowy w prowincjach południowo-zachodnich Cesarstwa Rosyjskiego.

Pierwszy to raz w życiu przywilej rodu ugodził w miłość moją własną. Dziś wszystko, co się ze mną i innymi dzieje, nie ma w oczach moich nic nienaturalnego; ale natenczas z wrażenia, jakie odebrałem, nie umiałem sobie zdać sprawy. Kwestia o arystokracji drzemała jeszcze w naszym piśmiennictwie, niebudzona przez Bejlę²³; bałagulstwo²⁴, ile słyszałem, nie bardzo starało się o poprawność rasy: więc i między nami nie było o tym mowy. Czy jestem chłop czy szlachcic, o tym nawet mój opiekun nie wiedział. A to pięknie, myślałem sobie! Cóż będzie, jeśli się pokaże, iż mój ojciec był chłopem? I rozmarzona głowa zaraz mi natasowała tuzin przykładów z historii o ludziach gminnego pochodzenia, a którzy jednakże tak wstawili się nauką i czynami, iż stanęli na najwyższych szczeblach społeczeństwa. Ale z drugiej strony przecucie mówiło mi, iż nie tak muszą się dziś pojmować te rzeczy, kiedy mój opiekun niepokoił się losem moim. Pożegnałem więc kolegów moich, wynająłem białą, ogromną budę²⁵ i ruszyłem w drogę.

II.

Któż z was nie doświadczył tych wrażeń, którymi wnet po opuszczeniu studenckiego życia i miasta napełnia się krakowska buda? Z cygarem w ustach siedziałem sobie pod patriarchalnym płóciennym nakryciem, a myśli, uczucia i pamiętki zdawały się lecieć ku mnie ze wszech kończyn miasta, i jak muszki letnie goniły, igrając za powozem. Żał mi było tego spokojnego w krainie nauk i ducha życia; tych murów, w których słuchałem rozpraw o wszystkim, co zdobyła ludzkość, do czego dosięgał rozum lub co się wcieliło w formy wiekuistego piękna! Ale z drugiej strony świat i życie nowe uśmiechały się do mnie, pokazując twarz zakrytą przez zasłonę, o której jeszcze nie umiałem dać sądu... Lecz czegoż młodość nie ożywi, nie ubarwi w swym ręku?

Trakt żytomierski, po którym jak korab w piaskach sunęła się moja bryka, zdał mi się przebiegać przez najcudniejsze okolice. Wieże kijowskich świątyń ginęły mi z oczu jedne po drugich; widniały tylko dłużej od innych budowli mury uniwersytetu i dzwonnica Pieczarskiej Ławry²⁶, ze złotą swą kopułą. Natomiast coraz nowe przede mną odkrywały się krajobrazy: brodaty Jojna²⁷ dzielił mi je sobą na dwa landszafty. Każdy punkt zdawał mi się być miejscem historycznym, wszędzie chciałem zbierać

²³ *Bejła* (pseud.) – Henryk Rzewuski (1791–1866), polski powieściopisarz i publicysta.

²⁴ *Bałagulstwo* – zbiorowe określenie bałagulów ‘na Ukrainie w I poł. XIX wieku – zawadiaków, hulaków, lekceważących przyjęte obyczaje’.

²⁵ *Buda* – kryty wóz.

²⁶ *Pieczarska Ławra* (*Ławra Peczerska*) – kompleks klasztorny w Kijowie.

²⁷ *Jojna* – żydowskie imię męskie.

pamiętki i podania jak grzyby i, wyznaje, dziwiłem się, spotykając powozy zakryte, albo najtyczanki, na których drzemiące huštały się łutowy.

Pierwszy nocleg przypadł mi w tak nazwanym krasnym traktierze²⁸. Mamże go uwiecznić w mych wspomnieniach? Któż z kontraktowiczów, kto z podróżnych nie zna tej arki, która rozczepierzyła się na samej drodze w polu, i połyka jak smok krakowski swe ofiary. Powiaty okoliczne jak przez ucho igły ciągle przełażą przez nią.

Nazajutrz rano już znowu wędrowałem w moim korabiu. Jojna urozmaicał mi obrazek przed samym nosem: owinąwszy się w pasiaste szaty Zakonu Mojżeszowego²⁹, a oplotłszy rzemieniem ręce i uczepiwszy do czoła czarną skrzyneczkę³⁰, tak się kiwał, wysławiając modlitwy poranne. Konie rozumiały widać dobrze godzinę rekreacyjną, gdyż zwolniły kłus na stępa. Tak ciągnąłem dzień cały, mijając karczemki, wioski, miasteczka, i już mię zaczęły nudzić jednostajne obrazki, już pragnąłem co najrychlej dostać się do celu podróży, gdy bałagała mój o zachodzie słońca przyciągnął do miasteczka. Według rozkazu mojego opiekuna, miałem poprzednio wstąpić po drodze do dalekiego krewnego i z nim już udać się do niego. Wioseczka, gdzie mieszkał ten mój krewny, leżała od owej ostatniej miejsciny w odległości mili, a że mogłem przebiec tę przestrzeń wieczorem, więc po długim targu namówiłem do podróży Izraelitę.

Nie zapomnę nigdy tych szczególnych odwiedzin. Droga od miasteczka zmieniła zupełnie wyraz: zjechałem ze szlaku głównego na wąziutką taśmę, wijącą się pomiędzy brzozowymi gajami i łanami zboża. Wszystkie przedmioty, co mię zajmowały, lecz na które patrzałem z oddali, tu zbiegły się i zaglądały aż do bryczki. O kłosa żyta zawadzały orczykowe konie, gałęzie brzoź ocierały się o wierzch budy; noc była cicha, wonna, prześliczna, jakich już, zdaje się, nie ma teraz! Księżyc, zanim się postrzegł, jak wyplął na niebo i poglądał na te cuda z jakimś tak rzewnym wyrazem, jakby dzielił zachwycenie moje. Wszystko, com wymijał, stało nieporuszone, milczące. Jeziorka świeciły się tu i ówdzie z żywej zieleni trzciny i zielska; od pieśni słowików rozlegały się gaje, przepiórki wabiły się w zbożu i chruściel³¹ derkotał tak blisko, jakby był na bryczce. Pamiętam wszystkie drobnostki z tej nocy, na przykład krynicę, przy której Jojna zatrzymał się dla napojenia koni, i ja z bryczki patrzałem na żurawia od studni, który tak wyraźnie rysował się na tle nieba, iż odróżniałem drobne zaciosy³² i włosy od łyka. Pamiętam, iż przejeżdżałem potem jakąś wioseczkę uśpioną, gdzie dom był na prawo i gdzie szumiał młyn wodny, a z masy drzew błyszcząca kopała cerkiewna. Ale oto na koniec dojechałem do celu. Już nad

²⁸ *Krasny Traktier* – dawna nazwa starego zajazdu na przedmieściach Kijowa.

²⁹ *Pasiaste szaty Zakonu Mojżeszowego* – tu: szaty, tradycyjne ubranie żydowskie.

³⁰ *Uczepić do czoła czarną skrzyneczkę* – założyć podczas modlitwy na czoło rytualne pudełko, wykonane z jednego kawałka skóry koszerne zwierzęcia, zawierające fragmenty Tory.

³¹ *Chruściel* – ptak z rzędu żurawiatych, zamieszkujący błota, trzciny, zarośla i stepy.

³² *Zacios* – znak na drzewie wykonany siekierą, znak od zaciosania.

łanem żyta dostrzegłem ciemną smugę drzew, które mi przypomniały coś na kształt wysepek, jakie widziałem na widokach morskich. Łan żyta wyobrażał najzupełniej morze i od pierwszego spojrzenia można go było wziąć za duży rozlew wody. Nagle wyrosła figura, zabielały wrota i znalazłem się w wiosce. Ciągnąłem ulicą, szukając wzrokiem dworku, bo żywej nie spotkałem duszy; ale oto zabielał komin, zaczerpnął dach większy i zamiast łatanych płotków równy pociągnął się częstokół. Jojna zatrzymał się przed samymi wrotami.

– A co teraz będzie? – zapytał mię, nie ruszając się z miejsca.

– Idź, dowiedz się, czy tu mieszka pan Poczciwski.

– A jak tam psów, to co będzie?

– Weź batoga.

– Nu, to jeszcze gorzej, bo oni pomyślą, że ja iść bić!

– Więc zostaw.

– Nu, hürste! A jak napadną, to czym ja bronie się?

– To weź...

– Aj waj! Niech pan zdrów żartuje, a z tym nie ma czego żartować!

– Ależ trzeba się dowiedzieć; tu na ulicy nocować nie będziem.

– Z przeproszeniem, czy pan zna, że to kiepska ewś?³³

– Z czegoż tak sądzisz?

– Już koniec, a nie ma karczmy; gdzie ja nocować?

– Tu, we dworze.

– Nu, co to za dwór! Jak to, żeby nie było karczmy? Ja świt przejechać, a nie widział ewsi bez karczmy.

To mówiąc, zlął Żyd z kozła, alic ledwie zakołatał klamką od furki, gdy zgraja psów ze szczekaniem ogromnym rzuciła się z dziedzińca. W okamgnieniu Jojna już był na kozle, przestraszony, drżąc cały. Widząc to, wysiadłem z bryczki i zakołatałem powtórnie. Po chwili zbliżył się jakiś człowiek i zapytał w małoruskim narzeczu:

– Kto tam?

– Czy to dom p. Poczciwskiego?

– A czego wam trzeba?

– Otwórz wrota.

– Któż wy za jedni?

– Goście.

– Ale kto mianowicie?

Żyd wiedział, iż na takie zapytania najskuteczniejszą odpowiedzią jest rosyjski język, którym wielowładnie panują po wioskach pisarze asesorów i sprawników; wyrwał się więc z żydowska po rusku:

³³ Tak w oryginale; wyrażenie charakterystyczne dla żargonu żydowskiej ludności na prowincji.

– Skażi: Czynownik iz Kijewa, wojenny feldjeger, unteroficer, kapitan mundierny z krestami!³⁴

Na taką improwizacją, wyspaną na kształt worka grochu i zaprawioną żydowskim akcentem, parsknąłem śmiechem. Przerażony chłopiec otworzył co najprędzej wrota, skoczył do sieni i wkrótce w oknie zabłysło światelko.

Żyd kontent, iż tak dobrze się znalazł, trwał w przyjętej roli.

– *Tak im wasze blahorodije! Ech wy, dietki! Dzeleń, dzeleń, dzeleń!* – i naśladując dzwonek jemszczyków³⁵, strzelając jakimiś niezrozumiałymi słowami, wtoczył się na dziedziniec.

Dworek, do którego przybyłem, był to jeden z tych miłych szlacheckich dworków, gdzie tak często znajdowałem wzory poczciwości i pracy, i tych cnót ewangelicznych, o których zapomniano w pałacach. Bzy i wiśnie osłaniały go dokoła i pachniały na dziedzińcu. Na prawo od wrót stał mały spichlerzyk z galerią, gdzie na wiązce słomy spał stróż, którego obudziłem moim przybyciem. Na lewo była stajenka; obok niej studnia z żurawiem i korytem; za domem widniał przydłuższy dach szopy, a jeszcze dalej stodoły z bocianim gniazdem. Całe to zabudowanie otaczał ogród fruktowy, a za nim warzywny i lewady.

Oczekując na ganku ukazania się gospodarza domu, rozpatrywałem się w tym wiejskim landszafciku. Psy już uspokoiły się i jeden z nich poznał się ze mną, pozwoliwszy głaskać kudłatą swą głowę. Tymczasem kilkoro drzwi we środku domu nie próżnowały ani chwili i dawały się słyszeć szepty i bieganina.

Nareszcie ukazał się szlachcic wzrostu średniego, lat przeszło czterdziestu, w długim, barankowym surducie, bez chustki na szyi. Spojrzał mi w oczy z bojaźnią, bąknął kilka słów po rusku, ale skoro usłyszał me nazwisko, wstąpiła weń dusza.

– Aaaaa...! – wyciągnął radośnie. – *Szczob tebe, ha!*³⁶ Pan Józef! Józio! Taż-to ja spodziewałem się ciebie! Chodźże, chodź do pokoju! Gdzieżeś popasał? Możeś głodny? Marysiezko! Czy wiesz, kto to taki? Taż-to Józio!

– Jaki Józio? – szepnęła pani Pocziwska przeze drzwi.

– Józio, z Kijowa! nasz kuzynek!

– Aaaaaa!... – wyśpiewało za drzwiami kilka głosów.

– Beeeee! – odśpiewał im uradowany Pocziwski.

– Żeby cię kaczki zdeptały! A tu jak wpadnie stróż, jak narobi harmideru: – Czynownik jakiś, krzyczy, z Kijewa! – Tam do diabła! myślę sobie. Tylko co zbyłem się przystawa, a tu nowy kłopot na głowę. Moja żonka już spała; ja budzę Karolinę, ale ani sposobu! Sapi, pociąga się, choć ją weź i wynieś!

³⁴ Powiedz: urzędnik z Kijowa, kurier wojskowy, podoficer, kapitan odznaczony krzyżami.

³⁵ Jemszczyk (jamszczyk) – furman powożący bryczką.

³⁶ A niech cię!

Karolina była to pokojówka, ładna i wysmukła brunetka, która uwijała się po pokoju, sprząając to i owo, i potrafiła już ubrać się staranniej od jegomości.

Słyszając, iż o niej mówi Pocziwski, odezwała się, biegnąc obok:

– Ależ, bo jak mamę Kocham, wstałam zaraz.

Pan Pocziwski spojrział na nią z wyrazem dumy i pewności, przeprowadził ją tymże wzrokiem do drzwi i rzekł, przedrzeźniając dziewiczy jej głos:

– Ależ, bo jak mamę Kocham... no i cóż dalej? Jak mamę Kocham, że ja spała rozchryslana³⁷, rozczochrana, jak piekarniana Oksana!

– Ależ bo nie! – odcięła dziewczyna kręcąc główką.

– *A szcżob tebe, ha?*³⁸ Ot, idź, no każ, niech konie wypręgą, nastaw samowar, a tymczasem podaj tu kurczę z sałatą, bo tyś pewnie głodny? A znieście tłumok i łóżko pościelcie.

Kiedy tak rozporządzał się Pocziwski, tupcząc po izbie, tymczasem ukazała się we drzwiach gosposia. Była to zdrowa i pełna, ale już nie pierwszej młodości kobieta. Oczy miała czarne i biegające, a na jedno jej skinienie służące latały jak kręciutki³⁹.

Po godzinie rozmowy zostałem wtajemniczony we wszystkie ich domowe historyjki i sekreta: nietrudno mi było dostrzec, iż pani Pocziwska rej wodziła w tym domku, a pocziwy mężulko był u niej pod pantoflem. Była to przebiegła i sprytna kobietka i tak umiała męża ugodzić z słabej strony, iż ten, rad nierad, wołę jej zawsze spełnić musiał. Pocziwski, w początkach, póki nie wywietrzało jeszcze kawalerskie, niezależne życie, nadstawiał się śmiało; ale miłość go usidliła i wkrótce podbiła całkiem, i został żony pokornym sługą. Z tym wszystkim było to rządne i pocziwe stadło. Mieli jedynego synka Kostusia, chłopczyka lat 12, znajdującego się natenczas w szkołach, i nań zleli całą swą czułość. Rozpowiadali mi o nim co dnia, wychwalali i dość nadziwić się nie mogli wszelakim jego zdolnościom. Posiadał on, wedle ich rozumienia, talenta, wdzięki, rozum; nie miał tylko jednej rzeczy, rzeczy bodaj czy nie potrzebniejszej u nas jak rozum, ważnej i koniecznej jak pieniądze: nie był zatwierdzonym przez heroldią. Pocziwski czuł konieczność załatwienia tego interesu, ale ze był flegmus, jakich mało, że ufał łatwowiernie ludziom, którzy załatwienie tej sprawy wzięli na siebie: stąd upływał rok po roku bez skutku. Aż gdy całą ważność interesu pojęła żona, Pocziwski wzięty we dwa ognie, już nie mógł zwlekać go dłużej. Łatwo wyobrazić sobie, z jakim byłem przyjęty uczuciem, gdy wspólną nagłeni potrzebą, razem odtąd mieliśmy wziąć się do załatwienia naszych interesów. Nie upłynął dzień jeden, ażeby o tym nie było przede mną mowy.

³⁷ *Rozchryslany* – rozchełstany, niedbale ubrany, rozpięty.

³⁸ *A ty czego tu?*

³⁹ *Kręciutka (kręcielka)* – ślimakowata szyszka z ciasta na korowaju.

Od tego interesu zależały wszystkie inne, tyżące się stosunków, fortuny, znajomości: słowem, cała historia życia, obok której, naturalnie, rozwinięto przeszłość. Ile mogłem sądzić z opowiadania, najpiękniejszym periodem ich życia były to lata przepędzone w skarbie ks. Sanguski, gdzie się poznali, gdzie Pocziwski oświadczył się i gdzie się pobrali na koniec. Ale ci pocziwi ludzie po swojemu pojowali to szczęście. Bohdan Zaleski⁴⁰ wiek młody nazwał snem złotym, snem na kwiatach; oni, że tak powiem, nazwali go snem na donośnej ordynarii⁴¹ i karmnych kabanach⁴². Dla mnie, marzącego, przesiąkniętego poezją i ideałami, jakoś dziwnym zdało się to określenie szczęścia. Nie było tu wzmianki ani o uczuciu, ani o tych rozkoszach miłości, którymi ja zapełniałem życie; a pomimo to, nie było tu ani nieszczęścia, ani łez, ani narzekań na losy. Gdzież tu romans – myślałem w duchu: skądże go wydobyć, jak go wcielić w powieść?

– Mama mi turkała⁴³ ciągle (mówiła mi z zupełną spokojnością Pocziwska), idź, taj idź za niego: ot, ja durna i wyszła.

– Ty ją słuchasz – przerwał Pocziwski, przerzucając kartki kalendarza – przepadała za mną...

– O! co już tego, to nie mów, bo dalibóg nieprawda. Ot, nie grzech, że zabożyłam się. Ale myślałam sobie: wyjdę, będę panią swej woli. Zechcę, pojedę w gości; zechcę, zostanę w domu; a podoba mi się jaki perkalik, to kupię.

– E, nieprawda Marysiu! A tyż mi mówiła, że mię kochasz nad życie?

– Przeżegnaj się, nie byłam ja nigdy z tych romansowych, a jeszcze dla ciebie. Prawda, był on wtedy troszkę czupurniejszym⁴⁴, ale zawsze nie było tam w kim kochać się.

– Więc ty może mnie i teraz nie kochasz? – rzekł mąż, podginając kolana i rozczepierzając ręce; a pozycja, w jakiej się prezentował, trzeba przyznać, wcale nie była do miłości.

– Franciszku! Pan Bóg z tobą! Jak tak można mówić przy ludziach takie głupstwa? Otóż jak wyszłam, tak bywało, śpię sobie do południa, a w spiżarni i kuchni gospodaruje, kto chce sobie. Mój Franciszek żałował mię, bywało, jak dziecko: co prawda, to prawda! Widział on, jaki to porządek w domu, ale nigdy mi nie rzekł ani słówka. Ja śpię, a on sam powydaje na obiad, sam do garnków zagląda, pójdzie do lochu, do karmników, a wieprzów karmi ze 20. Wtem raz przyjeżdża do mnie mama:

⁴⁰ *Józef Bohdan Zaleski* – (1802–1886), polski poeta okresu romantyzmu. Zaliczany jest do „szkoły ukraińskiej” polskiego romantyzmu.

⁴¹ *Ordynaria* – część zarobków oficjalistów dworskich i stałych robotników rolnych w folwarku, wypłacana w naturze.

⁴² *Karmny kaban* – tuczny wieprz.

⁴³ *Turkać* – przen. suszyć głowę, namawiać.

⁴⁴ *Czupurniejszy* – bardziej zawadiacki.

„A pokaż mi, Donin⁴⁵, gospodarstwo”. A ja – ani w ząb. Dopieroż to, jak nagderze na mnie. Było tu i skarg, i płaczu, a Franciszek jeszcze mnie i broni! Wyjechała mama, a ja myślę sobie: trzeba się poprawić. Ot, i nauczyłam się, a teraz już bym ja takich jak Franciszek nauczyła dziesięciu.

– *A szczo!*⁴⁶ – zakonkludował mąż z przyciskiem.

– A jak Boga Kocham! Nie darmo Michaś mówi, żeś ty fletuch do niczego!

– Och, twój Michaś! A zaraz z Michasiem!...

– Alboż nie tak? Od którego czasu mówię ci: przywieź mi klucznice⁴⁷ – A cóż? Czy ty posłuchasz? Niechaj Marysia sama chodzi z kluczami, niechaj tupcze⁴⁸ jak durna... Och! Żebym ja już prędzej umarła, jak mam żyć z takim...

I to rzekłszy, otarła łzy z oczu.

Nie wierzyłem sobie, iż jestem świadkiem podobnej sceny. Spojrzałem w oczy tej kobiecie i postrzegłem, iż łzy w nich błyszczały istotnie... Nie wiedziałem jeszcze wtedy, iż łzy u kobiet jedno, co u nas chustka do nosa: dość sięgnąć, by ją dostać. Dziwiły mię więc takie nagle przechody, lecz często się zdarzało, że bywało przeciwnie i początek łzawy kończył się uśmiechem.

Pan Franciszek był z kośćmi pocziwy człowiek. Serca w nim było, zdaje się, we dwójnasób w stosunku do innych części systematu nerwowego. Łza Marysi rozbijała go w okamgnieniu. Zwykle postrzegłszy ją, powstawał i wychodził z pokoju, powtarzając: *A szczo! Ot tobi Hapko knysz!*⁴⁹ A na progu dodawał: Wstydź się! Dziecko jesteś! Po wyjściu Pocziwskiego Marysia wydalala się⁵⁰ przez drzwi drugie; ale p. Franciszek nim obszedł gospodarstwo, zmiękł jak papka, stopniał jak wosk, i można było ręczyć, iż za kilka minut znajdą się oboje w sypialni czy garderobie, i że będzie ją całował w głowę, w twarz (w ręce nie całował nigdy) i przyrzecze spełnić, co tylko żąda.

Raz, podpatrzony ze słabej strony, pocziwiec ten odbierał ciągle w to samo miejsce ciosy i na koniec tak przywykł zostawać zwyciężonym, że jeśli by zdarzyło mu się kiedy istotnie odnieść tryumf, zaręczyć można, iż nie wiedziałby, co robić ze zwycięstwem.

Jedną ze szczególności tego domu było to, iż oprócz stróża i furmana cała resztująca służba składała się z kobiet i dziewcząt. Dziewczęta nam usługiwały do stołu, służyły do herbaty, chodziły z kluczami na tok i pasły trzody. Pamiętam dotąd

⁴⁵ *Donin (donia)* – córka; tu: córciu.

⁴⁶ *A co!*

⁴⁷ *Klucznica* – ochmistrzyni zarządzająca gospodarstwem domowym.

⁴⁸ *Tuptać* – dreptać, chodzić.

⁴⁹ *A co! Ot, masz babo placek!*

⁵⁰ *Wydalala się* – wychodzić, oddalać się.

tę barczystą Małaszkę, która w XIX wieku pełniła poetyczne obowiązki Chloryndy⁵¹, chodząc bosą za bydłem po gajach i borach. Jak palnie, bywało, z bicza na dziedzińcu, to szyby brzęczą w oknach. Ale spomiędzy wszystkich, odznaczała się wdziękami Karolinka. Co tu było romansów i plotek w tym pułku amazonek, opisać trudno! Patrząc na tę sułtańską girlandę, którą był opasany Pocziwski, mówili niektórzy, iż opływa w rozkoszach; tymczasem nic nad to nie było fałszywszego. Jak przyjdzie niedziela, dopiero to dom cały zakoloruje się jak pilipoński kramik⁵². Wieją wstążki, błyszczą we włosach kwiaty, migają wysmukłe staniki i co chwila spotykasz się to z rumianą twarzyczką, to z ognistym okiem. Pocziwska lubiła otaczać się tą gwardią nadworną i często zebrawszy je i postawiwszy w szeregu, kazała śpiewać różne ukraińskie piosnki. Cóż powiecie? Z początku wydało mi się to wszystko śmiesznym i prościutkim; nie było tu życia dla moich ideałów, nie było istoty, co je pojąć mogła: tęskniłem i pragnąłem wyjazdu; ale po dniach kilku to ciche życie jak tajemnicza żyłka wody zaczęło się sączyć do serca i przywykłem do tej ustroni.

Nie wierzcie, jeśli wam kto opisuje wieśniacze życie z poetycznej i uczuciowej strony. Te pocziwe dusze, na które wylewamy całe kałamarze ambrozji sielankowych, są powtórzeniem wyłącznie naszych li wrażeń. Wprawdzie mieszkaniec wioski czuje powab tego życia, ale czuje go po swojemu; nie barwi w poezję, w egzaltowane uczucia, powiem więcej, ma wstręt nawet do nich. Kiedy cię w podróży zachwyci miły jaki obrazek w podobnym rodzaju, poetyzuj go, ale we własnym sercu. Tam nie ma poezji – tam praca. Jak wstają, nie zachwycają się wschodzącym słońcem, ale wycierają przez okno, czy będzie pogoda i czy już pańszczyzna na polu; jak kładną się, nie czują wdzięku wieczora, ale zajmują się dyspozycją na jutro. Nieraz powracając z wycieczki do lasu, na pole, gdy mówiłem o tych cudach natury, śmieli się ze mnie, a Pocziwski dodawał.

– *Szczob tebe ha!* Jakie ty dziecko jeszcze! Jakby kto słyszał cudzy, pomyślałby, żeś tego nigdy nie widział. Karolinka nawet śmiała się z ciebie wczoraj. Mówiła mi: niech pan patrzy, jak nasz panicz biega po łące! – Czegóż on biega? – pytam. – Za motylkami, mówi. *A szczob tebe, ha!*⁵³

– Dłaboga! Wszakże to cuda! Nocy, jakich nie widziałem w mym życiu! A ten las, Boże! Wyjść się zeń nie chce: tyle tam widoków, kwiecica i ptaków! Jakie tam są drzewa! Jest tam jedna brzoza, ot, może pan pamiętasz, nieopodal od pasieki, nad jeziorem?

⁵¹ *Chlorynda (Korynda)* – saraceńska wojowniczką, bohaterka eposu *Jerozolima wyzwolona* (1881) Torquato Tasso (1544–1595).

⁵² *Zostanie przystrojony jak pilipoński sklepik* – tj. przystrojony jak sklepik w Pilipońskiej Słobodzie, na przedmieściach Korsunia.

⁵³ *A niech cię, ha!*

– No, no, pamiętam. Cóż dalej? – mówił Poczcwiński, mrużąc oczy i kiwając głową. – Znam ją dobrze: pokrzywiona, sękowata, do niczego; już dawno zrąbać ją kazałem.

– Co? zrąbać? Na co? – krzyknąłem, jakby chodziło mi o życie.

– Na co? Na opał, rzecz prosta. Do czegoż to paskudztwo zdatne więcej?

– Zrąbać taką brzozę, panie Poczcwiński! To grzech, to kryminał!

Poczcwiński patrzył mi w oczy, jakby chcąc zbadać, azali broniąc pokurczonej brzozy, nie robię zeń żartu; ale gdy się przekonał, że mówię na serio, zaśmiał się i rzekł:

– *A szczob tebe ha!* Awantury z tobą, *taj hody!* Ja go obwiozłem po polach, po lesie, a on wybrał sobie z tego wszystkiego jedną krzywą brzozę.

– Ale nie o to tu chodzi – rzekłem – tamte lasy są pożyteczne, lecz tu trzeba zrozumieć wdzięk tej miejscowości. Czy pan wiesz, iż jeśli by tam pod górą, gdzie płot, zbudować szwajcarski domek, a przez dolinę pod laskiem przeciągnąć drożynę jak tasiemkę, z lewej zaś strony troszkę odsłonić widok na tę daleką wioskę z topolami, a podgórze i domek osłonić kwiatami i na koniec pod tą brzozą postawić kamienną ławeczkę, miałbyś pan pasiekę, jakiej nie posiada całe Pobrżeże!⁵⁴

– Che, che, che! – zaśmiał się Poczcwiński. – A kuzynek, a radzi jak wrogowi! Cóż by o mnie powiedzieli sąsiedzi: zwariował czy co! My uprawiamy rolę, a on grasuje⁵⁵ ścieżki w lesie! Czy to da mnie chleb, czy co?

Z podobnym usposobieniem była i pani Franciszkowa. Gospodarstwo pochłaniało wszystkie ich myśli, na nim koncentrowało się ich uczucie. Nie rozumiano zgoła tych przyjemności, jakimi obdarza wioska, natura, jakby w nagrodę za ciężkie prace, których wymaga. Lecz cóż powiecie? Pomimo to wszystko domek ten, ci ludzie, zaczęli mieć dla mnie pewny powab. Po kilku dniach pobytu przywykłem do wszystkiego, co mię otoczyło, i patrząc na ten sielski obrazek z wyróżnieniem siebie, znajdowałem w tym przyjemność. Czułem, jak uchylały mi się z pamięci systemata nauki, a natomiast uczucie brało górę. Co bym tu sobie począł z Kantem, Heglem, Szellingiem⁵⁶, kiedy Karpiński⁵⁷ i Zaleski⁵⁸ przypominali się ciągle.

Poczcwiński myśleli, iż się nudzę, gdy chodziłem samotny na przechadzkę lub usiadłszy na ganku, śledziłem za lotem jaskótek latających około domu; niekiedy więc przychodzili z widocznym celem zajęcia mię rozmową, ale właśnie wtenczas nudziłem się bardziej. Pamiętam, iż razu jednego w niedzielę udobruchany Poczcwiński, ogoliwszy się i przywdziawszy białą koszulę, co znać było po kołnierzach, przy śniadaniu

⁵⁴ *Pobrżeże* – tereny położone nad brzegiem rzeki, tu zapewne miejscowego Teterewu.

⁵⁵ *Grasować* – tu: przemierzać, przeszukiwać.

⁵⁶ *Z Kantem, Heglem, Szellingiem* – w znaczeniu: z dziełami tych filozofów.

⁵⁷ *Karpiński* – Franciszek Karpiński (1741–1825), poeta epoki Oświecenia, pamiętnikarz, dramatopisarz, moralista, twórca i główny przedstawiciel nurtu sentymentalnego w polskiej liryce.

⁵⁸ *Zaleski* – Józef Bohdan Zaleski (1802–1886), poeta romantyczny ze szkoły ukraińskiej w poezji polskiej).

zagaił literacką gawędkę i z tajemniczą miną kazał przynieść kuferek z garderoby. Po oczyszczeniu go z pyłu i otwarciu, okazało się, iż zawierał kilkanaście książek.

– Wybierz sobie – rzekł – jedną książkę do czytania; tylko pamiętaj, nie powydzieraj rysunków.

Tymczasem brał je sam i czytając tytuły, stosownie o każdej dawał zdanie.

– Ot, tę weź, pewnie jej nie czytał: *Podróże Guliwera*⁵⁹, albo *Bajki* Krasickiego...⁶⁰ O, tykoż tu nie ma kilku kartek! To pewnie mego Kostusia sztuka! Asani – rzekł do żony – dajesz książki dziecku: wszak one nie przyszły darmo? Żebyś ty wiedział, co to u mnie książek już przepadło! Razu jednego przyjechał porucznik, ot, jak ty teraz, obaczył, iż *Gawel na księżycu*⁶¹ leży na stole: „O, pożycz, zmiłuj się!” Pożyczył, i na dziś dzień! Czytałeś *Gawła*?

– Nie.

Widziałem, jak to wyznanie ucieszyło Pocziwskiego, podając mu zręczność powtórzenia treści dziełka i razem popisania się przede mną ze znajomością książek. Wylazł tedy *Gawel* na scenę, a raczej wyciągnął go za uszy Pocziwski, ale wszystkie śmieszne sceny wychodziły w opowiadaniu zupełnie nie takimi; co widząc Pocziwski, dodawał:

– Ale mówię ci, że to trzeba pękać od śmiechu.

Tak przepatrzyliśmy całą bibliotekę, z której, niestety! Nic nie mogłem wybrać do czytania. Widząc to, pani Franciszkowa, mrugnęła na mnie tajemniczo, abym poszedł za nią do jej pokoju, i tam, otworzywszy swoją toaletkę, spod pokładów nici, tasiemek i gałganków wydobyła kilkanaście ćwiartek papieru i rzekła:

– Ja ci dam wierszyki, tylko żeby Franciszek nie obaczył, bo gderze, gdy się dowie, że je kto czytał.

– Dlaczegoż? Co w tym złego?

– Przeczytaj, to się dowiesz. Ot, te wierszyki z gołąbkami napisał dla mnie w dzień moich imienin, jeszcze jak się starał o mnie. A ot te, dostałam sekretnie od jednej panny, do której on dojeżdżał...

– Ooo!...

– A ty myślisz? To było takie kochliwe lichy, że niech tylko mrugnie która, już się i zakochał...

– I cóż teraz p. Franciszek na to?

– Gniewa się, gdy obaczy, że je kto czyta. A ot te, napisałam sama na jedną pannę.

– Pani?

⁵⁹ *Podróże Guliwera* – powieść Jonathana Swifta (1667–1749), napisana w 1726 roku, stanowiąca połączenie satyry nad ludzką naturą z parodią popularnych wówczas „powieści podróżniczych”.

⁶⁰ „*Bajki*” Krasickiego – utwory Ignacego Krasickiego, najczęściej o zwierzętach, jako opowieści o naturze ludzkiej, opublikowane w tomie: J. Krasicki, *Bajki i przypowieści*, Warszawa 1779.

⁶¹ *Gawel na księżycu* – komedia Heinricha Becka (1760–1803), przetłumaczona przez Alojzego Żółkowskiego (1777–1822).

– A ty myślisz? Zwyczajnie byłyśmy jeszcze błaźnice⁶², fiu, fiu w głowie! Teraz, jak zacznę czasem czytać, to sama wstrzymać się nie mogę od śmiechu. At, zachciałeś! Co młodej innego może przyjść do głowy?

Zebrałem te skarby serdeczne i zacząłem je czytać; ale, jak domyśleć się łatwo, nie odkryłem żadnego geniuszu. Były to wierszowania w rodzaju tych, jakimi zaopatrzywały się wszystkie czułe serca w początkach dziewiętnastego wieku. Łzy tu płynęły potokami, miłość była płaksiwą⁶³ i wiecznie bez wzajemności, a z serc twardych jak skała można było murować całe domy. Rozamorowany jaki szlagus⁶⁴, ważący ośm pudów i wypróżniający salaterkę bigosu, przyrzekał pójść „w odludne pustynie” i skarżył się że „usycha” albo zapytywał naiwnie Pana Boga, „na co go stworzył tak nieszczęśliwym?”. Była tu i owa znana dumka: *Kiedy okropna cichość panuje*⁶⁵, i Karpińskiego: *Potok płynie doliną*⁶⁶, i ukraińska: *Oj Bożeż mij myłostywyj, czyż to twoja syła? Czyż je w świti taka druha jak ja nieszczęśliwa!*⁶⁷ Wszystko to jednakże posłużyło mi za dowód, iż Kupidyn musiał kiedyś strzelać do tych serduszek i miłość wzięła swoje.

Po obiedzie, pamiętam tę cichą godzinę, siedziałem przy oknie, patrząc na wróble skaczące po gałązkach krzaku bzuowego; w drugim pokoju chrapał donośnie Poczcziwski, w trzecim zaś sama pani. Za przykładem gospodarzy poszedł dom cały. Wszyscy spali na ławach, zedlach, pod strychem i w ogrodzie. Na niebie zbierały się chmury, słońce piekło i było duszno w powietrzu. Wtem otwarły się drzwi od sieni i na ganku pokazała się Karolinka. Była to czuła i marząca istotka, ale przy tym i ładna. Postrzegłszy mnie w oknie, spuściła oczy i stanęła jak posąg. Kolorowe wstążki, wplecione we włosy, jedne leżały u niej na plecach, drugie przewiały się na ramiona. Jedna z tych, zielona, położyła się w poprzek na piersi, jakby słuchała ich bicia...

– Czemu nie śpisz, Karolinko? – rzekłem cicho.

– Nie chce się, paniczu...

– Może ty się kochasz?

– Nie – odpowiedziała i zadumała się chwilkę; lecz nagle podnosząc oczy i z figlarnym uśmiechem, zapytała mię:

– A panicz czemu nie śpi?

– Nie chce się, Karolinko...

⁶² *Błaźnica* – podlotek, trzpiot.

⁶³ *Płaksiwa* – płaczliwa, rzewna.

⁶⁴ *Rozamorowany szlagus* – rozkochany ziemianin (ze szlachty).

⁶⁵ *Kiedy okropna cichość panuje* – pieśń ze zbioru *Pieśni polskie i ruskie ludu Galicyjskiego* (1833) Wacława z Oleska (właśc. Wacława Michała Zaleskiego; 1799–1849).

⁶⁶ *Potok płynie doliną* – wiersz Franciszka Karpińskiego (1741–1825); właściwie utwór pt. *Przypomnienie dawnej miłości*.

⁶⁷ *O Boże mój miłościwy, czyż to twoja siła? Czyż jest w świecie druga tak jak ja nieszczęśliwa?* – słowa ukraińskiej pieśni ludowej.

– Może panicz się kocha?

Przechręłem jakby instynktownie, iż teraz czas był najprzód westchnąć, potem podnieść oczy do góry, nareszcie odpowiedzieć; tak i zrobiłem.

Com odpowiedział, niech to wieczną zostanie tajemnicą. Karolinka błysnęła na mnie oczkami, z których sto razy więcej wysypało się iskier jak zwykle; jakby nie dosłyszawszy, zapytała mię o toż samo po raz drugi i nic nie odpowiedziawszy, weszła do ogródka i zaczęła przechadzać się po ścieżce. A wtem nadciągnęła chmurka i deszcz puścił się kroplisty. Gdzie tu skryć się? Dziewczę stanęło na przyzbie pod strzechą, opodał ode mnie; ale tego już nie pamiętam, jakim sposobem, czy ona zbliżyła się do mnie, czy okno moje przysunęło się do niej, dość, iż znaleźliśmy się bliźutko obok siebie.

Śmiesznym wam zdawać się będzie, kiedy powiem, iż ja, kandydat literackiego fakultetu, drżałem jak liść osiny przy tej prostej dziewczynie, ilekroć zajrzała mi w oczy swoimi aksamitnymi oczkami. Przekonałem się natenczas, iż ani Arystoteles, ani Plato, nie na wiele przydać się mogą, gdy deszcz pada i dziewczyna stoi tuż obok, i że nie w słowach, ale w jej głosie była cała tajemnica uroku...

Ile przypominam sobie tę chwilę, uderza mię jeszcze jedna szczególność. Rozprawa nasza obracała się na jednym słowie: kocham, o którym, jakem pocziw, najmniejszego dotąd nie miałem pojęcia, chociaż je przechodziłem w różnych językach przez wszystkie tryby i czasy. Co dziwniejsza: nie czuliśmy oboje żadnej potrzeby użycia gramatycznie spójników, zaimków, imiesłowów, które czym się zastępowały, sam nie wiem dotąd, choć mię zabij!

Nazajutrz uczułem w sobie jeszcze większą zmianę. Jak dotąd zdawał mi się uniwersytet ogromnym, a domek Pocziwskiego małym, tak dziś przeciwnie: uniwersytet zmalał, a domek wyolbrzymiał. Miałem też sen jakiś medyczny, który mi ciemno odrysował stan obecny. Śniło mi się na przykład, iż głowa moja zrobiła się mała jak kartofel, a serce jak ogromna purchawka pływało po wodzie. Wiersze, z których śmiałem się wczoraj, dziś uważałem za najpiękniejsze. Zaczynały się one od tej strofy: „Nie stoję o skarby świata, / Ni honory, ni zasługi itd.” – i po raz pierwszy w życiu zazdrościłem Pocziwskiemu jego sposobu życia!

Takich to zmian doświadczałem na łonie spokojnego, wiejskiego życia! Żadna zewnętrzna przeszkoda nie zrywała mi nici moich marzeń. Zacząłem wcale nie tęsknić do świata; ale jedno wspomnienie, iż lada dzień wypadnie mi pożegnać ten cichy kątek, smutkiem mię przejmowało, chociaż go ukrywałem starannie.

Na cios ten, niestety, czekałem niedługo! Po dniach kilku, jednego wieczora, przed wieczerzą, kiedy Pocziwscy chodzili gdzieś po gospodarskich kątach, nagle zaszczekały psy i wjechał na dziedziniec posłaniec. Karolinka odebrała od niego list i oddając mi go, rzekła:

– To od starego pana (tak nazywali tu mego opiekuna).

I lży jej zakrećciły się w oczach.

Tak, istotnie był to list od mojego opiekuna, nakazujący mnie i Pocziwskiemu przybycie. Mieliśmy najprzód udać się do niego, a stamtąd gdzieś dalej szukać naszych wywodowych papierów, o których nie wiedzieliśmy, czy są, gdzie i jakie?

III.

Pierwszy to raz w życiu byłem świadkiem wyjazdu na wsi. Pocziwski nie należał do rzędu tych gorąco kąpanych ludzi, którzy wymyśliwszy żelazne drogi i elektryczne telegrafy, jeszcze się tym nie zadowolili i chcą posiąść sztukę latania. Wyjazd z domu był dla Pocziwskiego epoką, zwłaszcza wyjazd daleki. Zaraz zostały wzięte cztery konie na stajnię i zaczęto im wydawać po cztery garnce owsa dziennie; nejtyczanke zatoczono przed kuźnię dla poprawienia nie tylko popsutych, ale nawet wątpliwych jej części; oddano do prania bieliznę, posłano po drożdże i napieczono pierożków i bułek tyle, iż nimi pełną naładowano torebkę; nadto do pudła od świec, a które miało stać u nas w nogach, przygotowano kilkoro kurcząt, indyka, cztery zwitki kiełbasy, herbatę, cukier i garnuszek masła. W jednym tłumoku pomieściliśmy nasze rzeczy i ten wpakowano pod siedzenie, a na koźle umieszczono worek owsa. Nie tyle mię wszakże dziwiła ta obfitość zapasów, ile sposób, w jaki dokonywał się nasz wyjazd. Pocziwska nagle złagodniała dla męża i to uczucie okazywała przy każdym zdarzeniu. Pamiętam, iż dla ułożenia sukien wzięła przez omyłkę prześcieradło cienkie zamiast grubego, które już było przygotowane. Dziewczyna to postrzegłszy, bieży przestrzec o omyłce.

– At, głupiaś! – rzecze jej Pocziwska. – I cóż stąd, że cienkie: pan więcej wart jak dziesięć prześcieradeł!

Okazało się także, iż furman miał podnoszone buty. Na jedną myśl, iż zdeptać się mogą, kazano mu dać inne, a że nie było zupełnie nowych, więc zrewidowano nogi wszystkich domowników i ściągnięto z jednej służącej co najlepsze. Stąd lamenty, protestacje, ale to nic nie pomogło.

– Ty w domu zostajesz – mówiła Pocziwska – a on jedzie w drogę. Ty wiesz, co to znaczy droga? Jak podrą się, skąd on weźmie inne?

Karmiono nas przed wyjazdem tak obficie, ledwieśmy ruszać się mogli. Pocziwska dodawała:

– Jedzcie teraz, bo potem głodni będziecie, to droga!

Sam Pocziwski zrobił się czegoś taki dobry, taki łagodny, iż doprawdy zdał mi się być jak nie ten. Widział on tę czułość ze strony żony i jakby bolał, iż się okazała właśnie wtedy, gdy ją opuścić musiał. Ale najpocieszniejszym stawał się wtedy, gdy go kto zapytywał: kiedy powróci? Podejrzynam go nawet, iż czyhał na to zapytanie, ażeby wnet odciąć: kiedy Pan Bóg da! Człowiek wie, kiedy wyjeżdża, a nie wie, kiedy wróci! Albo gdy układano, gdzie będzie popasał, gdzie nocował. – Gdzie

Pan Bóg da! – odcinał znowu i z marszruty jego innej byś nie wycisnął wiadomości. Część tej czułości, którą jakby napuchł domek, złała się i na mnie. Nie było, zdaje się, rzeczy, której by nam odmówiono: i gdybym żądał całusa od dziewczyny i za odmówieniem oskarżył ją przed Pocziwską, przekonany jestem, iż zgromiono by niebogę za czyn tak okrutny! Ale gdzie tam, domownicy żegnali nas z większym jeszcze rozczuleniem. Pocziwska pożegnała się z mężem raz pierwszy w sypialni, sekretnie, bez świadków, i wyszli stamtąd oboje z zapłakanymi oczami; drugi raz pożegnanie miało miejsce wnet po śniadaniu; trzeci raz przy wzięciu do rąk czapki; czwarty na progu; ostatni w ganku. Idąc ślad w ślad za Pocziwskim, odbywałem podobny ceremoniał z ręką pani Pocziwskiej, a ona z moim policzkiem. Patrzałem wtedy na Karolinę, widziałem jej smutek i musiałem udawać obojętność! Ale gdy wsiedliśmy na koniec do powozu, gdy Pocziwski po raz ostatni, podgartując⁶⁸ płaszcz, przemówił jak z ambony do czeladzi o pilności w ogóle, a w końcu szczegółowie polecił ich pieczy wycieranie kominów i klacz, co się ożrebiła niedawno, i zakończył mowę słowy: Niech was Pan Bóg ma w swojej opiece!... moment to był tak uroczysty, iż wszyscy zaszlochali razem... Spojrzałem na ganek: moja śliczna brunetka jedną ręką ujęła główkę, a w drugiej trzymała u oczu fartuszek, którym łzy ocierała kropliste... Czy to ją rozczuliła mowa Pocziwskiego? – nie wiem.

Wiozły nas trzy klacze i koń jeden. Były to zdrowe i mocne szkapy, ale już nie pierwszej młodości. Wątpię, czy ogiery księcia Sanguszki regularniejsze prowadziły życie. Pocziwski w szczególnej swej opiece miał stajnię, a w drodze używał klaczy ze wszelkim należnym dla płci pięknej poważaniem. Na górę wchodziły one zawsze stępo, a przed karczmą stawały dla wytchnienia. Jeśli się zdarzało, iż furman zaciął którą batogiem, zaraz Pocziwski odzywał się:

– *Na szczo ty jeje biesz? A jakby tebe tak, czy dobre butoby?*⁶⁹

– *Ależ proszę wielmożnoho pana – mówił Poleszuk – ne weze!*⁷⁰

– *To ty nalakaj, ale ne byj; bo to doroha! Pożenesz, a potim perestanut, taj tohdi kukaj! A na szczo ty tak dowho pustyw postoronki? A czom ty ne zapriah Moszka w dyszel, a Komornyczku na orczyk? Wonyż tak chodiat’ zawsze!*⁷¹

– *Proszę pana, kołyż Komornyczka kusaje Dobrowolsku!*⁷²

– *To tobi treba buło Dobrowolsku na orczyk, a Książdziwnu w dyszel na prawo!*⁷³

⁶⁸ Podgartywać – podgarniać.

⁶⁹ Dłaczego ją bijesz? A gdyby ktoś ciebie tak, dobrze by było?

⁷⁰ Ależ proszę wielmożnego pana – mówił Poleszuk – nie ciągnie.

⁷¹ To ty popędzaj, ale nie bij; bo to droga! Pogonisz, a potem przestaną, i weź wtedy pogoń! A czemu tak popuściłeś postronki? A czemu nie zaprzęgłeś Moszka do dyszla, a Komornyczki do orczyka? Toż one tak zawsze chodzą.

⁷² Ale kiedy Komornyczka gryzie Dobrowolską.

⁷³ To trzeba ci było Dobrowolską na orczyk, a Książdównę do dyszla na prawo.

Dla objaśnienia tych imion własnych zapomniałem dodać, iż u Pocziwskiego każdy koń miał nadane sobie nazwisko od osoby, u której kupiony został.

Ubiegłszy milkę, zatrzymaliśmy się dla wytchnienia przed karczmą w borze. Podczas kiedy furman zsiadł z kozła i według rozkazu ocierał koniom oczy połą swej opończy, tymczasem Pocziwski gwizdał, namawiając ich tym sposobem do ulżenia sobie dla dalszej podróży. Wtem otwały się drzwi karczemne i wyszedł z nich Żydek.

Był to Lejba, poważny Izraelita, z długą siwą brodą. Ublżywszy się do nejtyczanki, potrząsł jarmułką i rzekł:

– Kłaniam pana, a dokąd to Pan Bóg prowadzi?

Pocziwski wierny tajemniczości, jaką przybierał w podróży, odpowiedział od niechcienia:

– At, zachciałeś! Żonka przepędziła z domu: jadę szukać drugiej.

– Niech pan zdrów żartuje! – rzekł arendarz, pogłaskał brodę i dobywszy tabakierki, podniósł ją Pocziwskiemu.

Pocziwski przeciągnął dwa palce i zażywszy, rzekł:

– Jak obaczysz się z Herszkiem, powiedz mu, niech nie przyjeżdża za pszenicą, aż dam znać.

– Nu – rzekł Żyd, patrząc przenikliwie Pocziwskiemu w oczy. – Chyba pan nieprędko powróci?

– Człowiek wie, kiedy wyjeżdża, a nie wie, kiedy wróci! – pochwycił Pocziwski.

– To prawda! – odrzekł Lejba. – Rozumnie powiedziano; nu, doprawdy: dokąd pan jedzie?

Zapytany tym tonem Pocziwski, zmiękczał i rzekł półgłosem:

– Do Żytomierza, a może za Żytomierz. Mam tam kawałek swego interesu.

– Nu, niech Pan Bóg szczęśliwie prowadzi! – rzekł Żyd uspokojony.

– Dziękuję.

I potoczył się nasz powóz przez bory, a Pocziwski tymczasem zaczął mi opowiadać historyjkę o Lejbie: gdzie on trzymał arendę pierwej, jak się zbogacił; a że w tych stronach, zaczawszy historią o Żydzie, mimowolnie kreśliło się drugą o obywatelach, więc przechodząc z materii w materię, opisał mi takim sposobem kilka domów. Ja zaś słuchając opowiadania, wzrokiem śledziłem za bąkami, które towarzyszyły nam od samej karczmy i usiadłszy na grzbiecie jakiej szkapę, do energicznych ruchów przyprowadzały ich ogony.

Pocziwski wiedział to do siebie, iż nie wymyśli prochu, ale nigdy nie wyznał, iż tak jest w istocie; lecz żeby rozjaśnić czymkolwiek tę ciemną stronę obrazu, zwykle chlubił się swoją pocziwością, za którą mieli go szacować⁷⁴ wszyscy. Sens moralny historii był ten, iż czego inny nie dokazał rozumem ani sprytem, on to zrobił jedynie,

⁷⁴ Szacować – szanować.

iż był poczciwym i lubionym od wszystkich. Rozgadawszy się, Poczciwski bajął mi przez całą drogę, a zaczepiwszy o siebie, rozpowiedział całą swą przeszłość. Według jego rozumowania on by już dawno dorobił się mająteczku, a nie chodził po posesjach⁷⁵, gdyby nie Marysia. U ks. Sanguszki było mu jak w raję; ordynarii nie zjadał, lecz sprzedawał. Samych wieprzów karmił zawsze 20. Ale, mówił, Michaś wziął wtedy właśnie dużą posesję i przysłał po mnie. Przyjechałem, on mi mało butów nie zdejmuję, gości, nie puszcza, a taki, że choć do rany! Nareszcie powiada: „Ot, wiesz co, panie Franciszku: sprowadź się do mnie, gospodarujmy razem: zawsze to lepiej. Jest z kim pomówić, poradzić się, a potem wszystko to będzie wasze!”. Ja – za nie! Posyła on za Marysią. Jak zaczął jej, jak zaczął turkać, a złote obiecywać góry – ta z prośbami do mnie, a ty wiesz, że jak baba przyczepi się z jaką prośbą, to nie ma rady!

– Ależ pan musiałeś jej perswadować?

– Ta, ta, ta! – rzekł Poczciwski. – Moja Marynia gospodyni, tego jej i wróg nie zaprzeczy; ale jak się jej czego zachce, to już nie wyperswadujesz, choćbyś gadał jak z książki. Sameś widział, co ja mam kłopotu z klucznicami: ta jej zła, a ta dobra; ta znowu zła, a ta dobra... i tak ciągle.

– E, panie Franciszku! pan źle się uprzedził – rzekłem z uśmiechem.

– A co? Chi chi chi!... – zaśmiał się dobrodusznie Poczciwski. – Jaka ty jeszcze detyna, nie znasz ty jeszcze kobiet! Jak się rozchodzi, to żeby anioł przyleciał z nieba, i ten nie dogodzi!

– No, cóż dalej?

– Otóż, jak mi żonka zaczęła turkać, rzucam ja jak durny gotowy kawałek chleba i przebieram się do Michasia. Pracowałem tam jak wół lat siedm, a w ósmym roku on wychodzi z posesji i ja zostałem jak na lodzie... *Ot, tobi hapko knysz!*⁷⁶ Bo to ty nie znasz jeszcze swojego opiekuna!

– Nie znam...

– No, to poznasz, da Pan Bóg!

– Cóż on: zły czy dobry?

– Ot, tak jak kiedy, planetami!⁷⁷

– Powiedźże mi pan, co my teraz mamy robić?

– Jedziemy szukać naszych papierów.

– Przyznam się panu, iż nic z tego nie rozumiem: jakich to papierów?

Poczciwski zażył tabaki i zaczął mi tłumaczyć interes.

– Widzisz, ukaz jest taki, żeby wszyscy przedstawiali swoje papiery, a jeśli nie przedstawiają, więc ich heroldia nie zatwierdzi i trzeba będzie zapisać się

⁷⁵ *Chodzić po posesjach* – dzierżawić u kogoś majątek, ziemię.

⁷⁶ *Masz babo placek*.

⁷⁷ *Planetami* – tu w powiedzeniu: jak się gwiazdy ułożą.

w jednodworcy... Miła rzecz! Michaś poruczył nasze interesa jednemu tu w Żytomierzu Szlachtorubskiemu, rok już czwarty, a ten ciągle pisze: daj a daj... a czy co zrobił? Nie wiadomo.

– Niechże mi pan objaśni jeszcze rzecz jedną. Cóż ten pan zrobić istotnie może, kiedy zapewne nie zna ani nas, ani naszych przodków? Skądże on weźmie te papiery?

– Ba! W tym to i sztuka! Za toż się i płaci!

– Nie wieszże pan, czy po moim ojcu pozostały jakie papiery?

– Gdzie tam nie wiem: żadnych! Twój ojciec, świeć Panie jogo duszy, był to poczciwy człowiek. Ot, tak jak ty był w uniwersytecie i przez całe życie miał zajączka w głowie⁷⁸. W rozmowie to księdza w kąć zapędzi. A po łacinie, to po łacinie; a po niemiecku, to po niemiecku! Bywało, Węgier przyjdzie z olejkami i z tym się rozmówi. Dobre on miewał miejsca, ale grosz się u niego nie zatrzymał.

– I nie powiedział nigdy: kto on i skąd?

– Jak to nie powiedział! Raz zapytaliśmy się jego, gdzie są twoje papiery? On jak odciął, więc żeby ci jedną tylko literę powiedział, domyśliłbyś się resztujących czterech! Michaś pisał znowu do niego w tym przedmiocie; ale jak odpisał na całym arkuszu, to ów list chodził z rąk do rąk po powiecie. Zdaje mi się, iż jest dotąd u Michasia. Pisał na przykład, że i chłop nie gorszy od nas, i mnóstwo innych banialuk, których ja nie pamiętam. Ale sam widzisz, że to głupstwo! Jak tak można równać szlachcica z chłopem? To chłop, a to szlachcic! Na cóż ich tak nazwali, jeśliby nie było różnicy?

Widziałem, iż obrona z mej strony listu nieboszczyka ojca, którego treść istotną zgadywałem, nie zdałaby się na nic; chciałem przeto oświetlić moje pojęcia argumentacjami p. Franciszka i zapytałem:

– Skądże pan to wziął, że ich tak nazwali? I któż to ich tak nazwał?

– *A szc zob tebe-ha!* – odrzekł Poczciewski. – Był taki, co ich tak nazwał! A kto nazwał sosnę na przykład, że to sosna? Tak to już Pan Bóg dał; a nam tego dochodzić grzech, bo kto tak robi, dowodzi, że niby to rozumniejszy od Pana Boga.

Umilkłem, a Poczciewski, widząc, iż pozostał zwycięzcę, sam się puścił w argumentację.

– Bo ty czytałeś zapewne – rzekł – iż u Noego było trzech synów: Sem, Cham i Jafet⁷⁹, i że ojciec upiwszy się raz u jednego, zasnął i...

– Wiem – rzekłem – co się stało potem...

– No, jak wiesz, to jeszcze lepiej! Otóż on za to przeklął Chama, bo to Cham tak zrobił, i od tego oto Chama poszli chamy, co nam pańszczyznę robią.

⁷⁸ *Mieć zajączka w głowie* – mieć bzika na jakimś punkcie.

⁷⁹ *Sem, Cham, Jafet* – synowie Noego, którzy wyszli z arki i od których zaludniła się ziemia.

Ale i Pocziwski nie zawsze patrzył na świat z poważnej strony. Były chwile, iż znajdował się w wesołym usposobieniu i natenczas żartował ze mną, a nawet z furmanem Denysem. Razu jednego postrzegł jadącego naprzeciwko nas chłopka. Wóz jego naładowany był z czubem, ale czym – nie wiedziałem. Pocziwski rzekł do furmana:

– *Denyse! A spytaj no sioho czołowika!...*⁸⁰

– Proszę pana – odpowiedział, uśmiechając się Denys, który zapewne wiedział figle swego pana – *nałaje, pohano słuchat' bude*⁸¹.

– *Ale ne bude byty?*⁸²

– *Ta były, to ne bude*⁸³ – i poskrobał się w głowę.

– *No, aby ne byw!*⁸⁴

– *Sława Bohu, czołowicze!*⁸⁵

– *Na wiki amień!*⁸⁶

– *A czy ne do stupiu jedesz?*⁸⁷

Poleszuk⁸⁸, który przy spotkaniu się pokornie zdjął czapkę, posłyszawszy te słowa, spojrzął na Denysa groźnie i rzekł:

– *A szczob ciebie choroba napęła! A szczob ciebie miedzowiedź zjeu!*⁸⁹

Denys zaciął konie, a Pocziwski kładł się od śmiechu. Potem dowiedziałem się, iż spotkany wieśniak był garncarzem i wiózł swój towar na jarmark. Łatwo się domyśleć, iż zapytanie: czy nie do stępów⁹⁰ jedzie? nie musi tym biedakom przyjemnie brzmieć w uszach i że to był hounour⁹¹ prawdziwie miejscowy. Spotykaliśmy też baby pielgrzymki⁹² w białych chustkach na głowie, w łapciach, z dzbankami na plecach, idących do Kijowa. Pocziwski z najpoważniejszą miną odzywał się do nich: „Słabe baby” (zamiast: „sława Bohu!”⁹³), a te odpowiadały chórem: „na wieki, amień!”⁹⁴.

⁸⁰ *Denys! A zapytaj tego oto człowieka!...*

⁸¹ *Złaja, aż przykro będzie słuchać.*

⁸² *Ale bić nie będzie?*

⁸³ *Bić to nie będzie.*

⁸⁴ *No, oby nie bił.*

⁸⁵ *Niech będzie pochwalony, człowieku.*

⁸⁶ *Na wieki wieków, amen.*

⁸⁷ *A ty nie do stępów jedziesz?*

⁸⁸ *Poleszuk* – zamieszkujący bagna Polesia, dzisiaj odległe tereny Polski, Białorusi i Ukrainy.

⁸⁹ *A żeby cię choroba dopadła! Żeby cię niedźwiedź zjadł!*

⁹⁰ *Stępa* – dawne urządzenie do obłuskiwania i kruszenia ziarna na kaszę, złożone z misy i ubijaka.

⁹¹ *Hounour* – żart.

⁹² *Baby pielgrzymki* – kobiety, tu: pielgrzymujące do Kijowa, zapewne do Ławry Peczerskiej.

⁹³ *Niech będzie pochwalony!*

⁹⁴ *Na wieki wieków. Amen!*

IV.

Już odbyliśmy popas w karczynie, których po trakcie było pełno, już ubiegli dobry kawał drogi po popasie i słońce skłaniało się ku zachodowi; gdy w lewo na pięknej równinie postrzegłem wioskę niewielką, ale ozdobną jak wianuszek. Grupy topoli rysowały swe wierzchołki na czystym tle błękitu. Z zielonej masy ogrodu białł dom właściciela i drożyna równa jak taśma wiodła wprost do bramy tego domu. Przypomniałem sobie *Myśliwca*⁹⁵ Zaleskiego, który powiada:

Jak widzicie: rząd topoli,
Niegdyś dwór tam stał na lewo,
W nim czcigodny żył podstoli,
A miał córkę czarnobrewą!
Przywitała jeno skromnie,
Rzekła słówko – i już po mnie.

I potem, o! Ileż razy w życiu przypomniałem ten dom i te wierszyki. Serce mi zastukało gwałtownie: byłoż to przeczucie? Niezawodnie!

Pocziwski rzekł do Denysa:

– Zawertaj do Haju!⁹⁶

Wioska nazywała się Gajem.

– Czy tu wstąpimy? – zapytałem.

– Tu mieszka mój przyjaciel Hornicki – odpowiedział mi Pocziwski. – Przenocujemy sobie u niego wygodnie, a jak wyjedziemy jutro o ósmej, więc na 12-tą staniemy w Rozbiorówce u Michasia.

– Któż ten p. Hornicki?

– Pocziwa dusza! Służyliśmy z nim i twoim ojcem w jednym skarbie, u księcia Sanguski, i żyliśmy w wielkiej przyjaźni.

– Czy to dom familijny?

– Oboje już nie młodzi i mają jedną córkę.

– Słuszna?

– A tobie ta wiadomość na co? Nie bardzo się no zapalaj, mój chłopcze, bo zawiedziesz się. Tych lat co panna Pchlińska.

– Może i taka ładna? – rzekłem, krzywiąc się.

⁹⁵ *Myśliwiec* – wiersz Józefa Bohdana Zaleskiego pt. *Co mi tam, czyli poranek starego myśliwca*. Zob. J. B. Zaleski, *Poezye*, Lwów 1838, s. 31.

⁹⁶ *Zawracaj do Haju!*

– Niczego! Przez chustkę pocałować można.

Tymczasem zbliżaliśmy się do domu. Nie zapomnę tego zielonego dziedzińca i tego płotu z akacji, który go otaczał. Było tu czysto, ładnie: z ogrodu widniały klomby okryte kwiatami; pośrodku dziedzińca stał kompas; ściany oficyny zakryte były bzami i różą; za ogrodem przez drzewa przezierwały wody rzeki; szumiął młyn gdzieś na dole i ciemny pas boru widniał za rzeką. Zjeżdżaliśmy w samą porę powrotu trzody z pola i ledwie że mogliśmy przebrać się przez stada bydła i owiec. Ryk i beczenie rozlegały się po całej wiosce, srebrzysta smuga pyłu leżała na ulicy, a chłopcy i dziewczęta uwijali się na niej, oddzielając bydełko swe od stada.

Dość było objąć całość okiem albo upatrzeć jakikolwiek szczegół, ażeby się przekonać, iż pieczęć gustu leżała tu na wszystkim. Na Pocziwskim nie robiło to wszakże najmniejszego wrażenia. Wsiadłszy z powozu przed gankiem, dobył on z flegmą chustkę, zdjął czapkę i zaczął ją otrzepywać z pyłu; potem napomniał Denysa, ażeby koniom dał wygodę i nie napawał gorących⁹⁷; na koniec zwrócił się ku drzwiom i zapytał służącego, czy pan jest w domu?

Ale nim stąpił na próg sieni, gospodarz stanął przed nami.

– Pocziwski! O, jakże się masz mój przyjacielu – rzekł, biorąc go w ramiona. – A toż kto z tobą: czy nie kuzynek? – dodał ciszej.

I przystąpiwszy do mnie, wziął za rękę, ścisnął mocno i powiedział:

– Miło mi widzieć pana w moim domku; słyszałem o nim wiele dobrego.

Na tłumaczenie się moje, iż nie jestem we fraku, że mnie Pocziwski zawiózł tu, nie uprzedziwszy o wizycie, dodał:

– E, panie! Ja w etykiety i ceremoniaty nie wierzę: kochaj mię pan jak ojciec pański kochał i nam fraków nie potrzeba! Hm – mówił, patrząc mi w oczy – znałem pana jeszcze dzieckiem, a teraz mnie przerosłeś. Żywo mi przypominasz ojca... Służę moim panom.

I weszliśmy do sali, a stamtąd na balkon.

Hornicki był wzrostu średniego, twarzy niegdyś pięknej, dziś już nieco zwiędłej od lat i cierpień. Jakaś miła pogoda, nie przechodząca w rubaszność, patrzała mu z czoła. Trzymał się prosto, mówił niewiele, ale przyjemnie, ze swobodą. Czasem, gdy się rozgadał Pocziwski i plótl androny, uśmiechał się, cisnął jaki łagodny żarcik i wnetże przeproszał, całując go w czoło. Upłynęła nam godzina na bardzo miłej rozmowie. Potem weszła gospodyni domu, kobieta jeszcze czerstwa, form pełnych, rysów otwartych i bardzo ładnych, błękitnych oczu. Zaledwem został jej przedstawionym, gdy dał się słyszeć tętent konia. Dama w ciemnej amazonce⁹⁸, w tyrolskim kapelusiku⁹⁹,

⁹⁷ *Nie napawać gorących* – tu: nie dopuszczać koni do wody, póki nie ochłoną od wysiłku.

⁹⁸ *Amazonka* – długa suknia o obcistym staniku i szerokiej, fałdziej spódnicy dawniej używana przez kobiety jako strój do jazdy konnej.

⁹⁹ *Tyrolski kapelusik* – kapelusz myśliwski.

na dzielnym, gniadym rumaku zatrzymała się przed ogrodową furtką, lekko skoczyła z siodła i trzepiąc wierzchowca po szyi, rzekła do stojącego tu jakiegoś mężczyzny:

– Panie Żytnicki, to dziecko, nie koń. Jak mamę kocham, pan mógłbyś na nim jeździć!

– Ja, pani dobrodziejko! – zaburkotała wąsata twarz p. Żytnickiego. – Nie takich dosiadaliśmy koni w tysiąc ośmset...

– Wierzę! Wierzę! – przerwała śmiejąc się. Potem dodała, oparłszy swą rączkę na jego ramieniu: – Mam do pana prośbę: czy to po rycersku mścić się nad słabym stworzeniem?

– To się na mnie nigdy nie pokaże, jak panią szanuje!

– Powiadano mi, żeś zamęczył swego Myszkę, uganiając się po lewadzcie za cielątkiem mojej poczciwej Praksedy, i że wzięwszy je do niewoli, trzymasz w fortecy swej dotychczas. Przebacz mój, Żytnisiu, wspaniałomyślnie słabemu nieprzyjacielowi.

I to rzekłszy, nie czekając odpowiedzi, wbiegła na balkon. Postrzegłszy Poczciwskiego, uśmiechnęła się doń i skłoniła trzpiotowato, ale z wdziękiem. Spojrzawszy na mnie, twarzyczka jej przybrała wyraz ciekawości: przymrużone dotąd oko zajaśniało w szerszym orbicie, zbiegły się koralowe usta i to чудо, ta rusałeczka stanęła na chwilę jak sarna, spłoszona bliskim szmerem. Nie zapomnę tej chwili: było to jedno mgnienie, ale obrazek, na który spojrzałem, jak dagerotyp skopiował się w pamięci i sercu. Była to brunetka, była to czarnobrewa; rzekłbyś, kochanka Zaleskiego, którą on opisał w *Rusałkach*¹⁰⁰:

Jakie oczy! Jakie lica!
Oczy jasne, czarne, duże;
To nie lica, ale róże,
Czysta, czysta czarownica!

Doprawdy: oczy jej były jasne, czarne i duże. Spojrzawszy na nie, nic nie postrzegłem więcej: ich blask i wyraz pozostawiały w cieniu resztujące rysy oblicza; ale gdy je spuszczała lub pokazywała w profilu, gdy ten blask magiczny nie działał na widza, podziwiałeś wtedy śliczny ich rysunek i tę świeżość cery, i ten rumieniec, których wdzięku nie powtórzy ani poeta, ani malarz. Rysy tej twarzyczki były regularne, wszakże nie była to regularność greckich arcywzorów: nie wyrażały one spokoju ani powagi, lecz budzące się życie. To jeszcze niepełny kwiat róży, to był wpół rozwity pączek. Chwile, kiedy z nią mówiłem, nie były mi tyle przyjemne, jak te, kiedy patrzyłem na nią wolny od wpływu tych czarujących oczu. Dziwne mię przy niej niepo-

¹⁰⁰ *Rusałki* – utwór Józefa Bohdana Zaleskiego. Zob. J.B. Zaleski, *Poezye*, Lwów 1838, s. 5.

koity myśli. Żalowałam na przykład, iż to spojrzenie, co wystarczyłoby na oświetlenie ciemnej ścieżki niejednego życia, ona je trwoniła na kwiaty, na książkę, na kolka!... Wyobrażało mi się, iż ją otacza jakiś szczególny promień, jakim się otaczają gwiazdy, i że dopiero od ostatnich jego strzałek zaczyna się nasz świat pospolicie; i razem z tym, jakby czułem, iż ja, zbrukany powszednimi żądzami świata, nie byłem godzien ani o moich mówić jej uczuciach, ani wywołać dla siebie z jej serca. Czy tak się zaczyna pierwsza, czysta, święta młodzieńcza miłość? – na to do dziś dnia nie umiem odpowiedzieć. Ileż to dziwnych myśli wywołałem, marząc o tej dziewczynie! Jeśliby mi, marzyłem czasem, wyznała, że mnie kocha: umarłbym na tę jedną myśl, iż kocha mnie dlatego, iż nie poznała się na tym przedziale, jaki istnieje między mną, synem świata, a tą wysłanką nieba! Jeśli bym miał jej kiedy sam zrobić to wyznanie, to bym błagał ją jak o łaskę o odmówienie, czując, żem jej niegodzien! Roje takich i tym podobnych myśli latały mi po głowie, kiedyś udał się na spoczynek z Pocziwskim. Nie mogąc zasnąć, oparłem głowę na dłoni i myślałem; wtem Pocziwski:

– A ty nie spisz jeszcze?

– Nie śpię.

– I mnie coś spać się nie chce. No cóż, jakże ci się podobała panienka?

– A! – westchnąłem, trąc czoło; bo i cóż miałem mówić Pocziwskiemu.

– Niczego warta – dodał on, poziewając szeroko. – Rodzice by i nie drożyli się; żeby tak ktoś zdarzył się z mająteczkiem choć niewielkim, to by i wydał.

Na te słowa odcedzone z największą flegmą, porwałem się jak polany ukropem: gorąco mi się zrobiło, chwyciłem twarz w dłonie i wnetże upadłem na łóżko.

Pocziwski tymczasem, patrząc na sufit, ciągnął dalej:

– Bo to córki to towar niebezpieczny! Jak to mówią: do dziesięciu chesz, do piętnastu strzeż, a potem zapłać jeszcze komu, żeby ci ten gnój wywiózł z domu.

– Boże! – krzyknąłem. – Jakże ten człowiek bluźni!

– *A szczo!* – rzekł Pocziwski. – Ot, jak będziesz miał sam dzieci, wtedy powiesz, czy mówiłem prawdę.

– Ależ to grzech! – krzyknąłem w żalu i gniewie, a lzy mi paliły się w oczach. – To oszczerstwo! To potwarz! To... Panie Pocziwski! Czyż to się godzi? Gdzie u pana serce? Gdzie uczucie? Gdzie gust? Tego anioła, ten ideał piękności, tak obojętnie, z takim cynizmem pomieszać z błotem! Czy pan rozumiesz, że ta dziewczyna to bóstwo!

Ostatnie słowo wymówiłem głośno, namiętnie i zerwałem się na nogi. Zapewne nie musiałem się wydać Pocziwskiemu zbyt groźnym, zwłaszcza w bieliźnie, gdyż on, biorąc taki wybuch oburzenia się za żart, za farsę, odcedził znowu z flegmą, która mię dobiła ostatecznie:

– *A szczo! tebe, ha!* To ty umiesz robić jak na teatrze? Przeszłego roku widziałem w Żytomierzu, jak na komedii jakiś Gustaw zakochał się w jednej panience i ona

niby to go zdradziła. Oto, panie, jak zaczął wygadywać na nią niestworzone rzeczy! Panny myślą: ot, zabije się, ot, przepadnie! A te żytomierskie scyzoryki, jak nasłuchają się, więc potem doprawdy tak samo robią przed pannami.

– Wstydz się pan – rzekłem – mówić takie rzeczy! Przywykłeś pan patrzeć na miłość pospolitą i najpiękniejszy kwiat uczucia pod to samo podciągasz prawdę. Zresztą, mów pan sobie, co chcesz, ale nic nie mów o Józii; nie mów, bo dalibóg wyniosę się w ten moment do drugiego pokoju!

– Chi! chi! chi! – zaśmiał się Pocziwski, ale był to śmiech przymuszony, dający mi poznać, iż wahał się: czy co powiedziałem brać za prawdę, czy jeszcze za udanie.

– No, nie będę... – rzekł po chwili – ale możeś ty doprawdy zaszłapał się?¹⁰¹

– Och, serce, p. Pocziwski! – odpowiedziałem, westchnąwszy. – Taki anioł nie dla mnie!

– Czy tak już śpiewasz? – odbąknął, ucierając nosa. – No, bywajże zdrów, kiedy jedziesz! Ot, tobie i legitymacja!

– Nie znasz mię pan jeszcze – rzekłem z dumą – kiedy tak sądzisz. Czyż myślisz, że zapominam, kto jestem, co mię czekać może? Oh, mam ja jedną tylko wadę – mam serce, a sierocie ono niepotrzebne!

– Fiu fiu...! – gwizdnął przeciągle Pocziwski! – *Kudy jechaw, a kudy zajechaw!*¹⁰² No proszę, anim się spodziewałem, żeś taka turkawka! Haj, haj! jak my tak będziemy romansować na każdym noclegu, to co to z nas będzie?

– Ale któż panu powiedział, że się kocham?

– Ty sam.

– Cha, cha, cha! Mój drogi panie Pocziwski! Ja ją wielbię, szacuję, bo to anioł, jakiegom jeszcze nie widział w moim życiu: ale kochać to wcale rzecz druga!

Pocziwski, którego już zaczęła przerażać moja gwałtowna miłość, uspokoił się i zapytał serio:

– Dalibóg nie kochasz?

– Nie kocham; nie myślałem nawet o tym!

– Powiedzże: dalibóg.

– Ale sto razy powiem!

– Nie, bratku, stara sztuka! Bez wykrętów powiedz mi wyraźnie: dalibóg nie kocham, to powierzę.

Musiałem powtórzyć z dalibogiem to słowo i wyznaję, że przysięgałem z serdecznym uśmiechem. Raz, iż śmieszyła mię formalność Pocziwskiego; po wtóre, śmiałem się ze słowa: kocham, słowa, które u nas służy za zdatkową monetę, już sporniewierane, zużyte, a które przy obecnym stanie moich uczuć straciło nawet dla mnie

¹⁰¹ Zaszłapać się – zakochać się.

¹⁰² *Gdzie jechałem, a gdzie dojechałem!*

i to, jakie w słowniku ma znaczenie; i – rzecz dziwna! – zdało mi się być trzaską leżącą na stole, którą wziął i cisnął za okno.

Natenczas Pocziwski, uspokojony, zażył tabaki, położył się na wznak i założywszy obie dłonie pod głowę, rzekł:

– Z tym jednakże nie żartuj, paniczu, bo wplądziesz się, ani się postrzeżesz. A ty taka gorączka! Sam teraz powiedz: czyż to nie głupstwo tak interesować się osobą, którą znasz od kilku godzin? I żebyż to jeszcze osobą, a to, żal się Boże, kurczęciem, co zaledwie wczoraj wstało od elementarza! Co to, panie, młode lata! Michaś dobrze powiada: Młodość – bujność, a bujność – głupłość!

– Głupstwo, a nie głupłość...

– Głupłość... tak lepiej... do wiersza; ale mniejsza o to. I zaraz Bóg wie, co się wam roi! A już to dawniej chciałem ci wymówić rzecz jedną. Masz wadę, o czym byś nie mówił, zaraz porównywać ziemskie rzeczy z niebieskimi... To grzech! Widać, że ksiądz nie słyszał cię nigdy mówiącego, w przeciwnym razie dałby ci nauczkę... Teraz na przykład ni stąd, ni zowąd Józję równać do aniołów? Do kogóż ty już ojca i matkę porównasz, bo ci starsi: chyba do Pana Boga? Fe! Wstydz się! U was to tak powiedzieć, jak zjeść chleb z masłem!

– Uchodzi to – rzekłem. – U poetów naszych najpiękniejsze porównania są w tym guście.

– Tere-fere! Co innego ksiądz, a co innego mosiądz! A jak ktoś głupstwo zrobił, więc trzeba i sobie?

Pocziwski, rozgadawszy się, mówił mi długo o różnych rzeczach, przeplatając opowiadania napomnieniami. Z kolei objaśnił mi, iż Hornicki był synem bogatego obywatela na Litwie, że pobierał nauki w Wilnie i podróżował za granicą; ale powróciwszy do domu, zakochał się w jednej ubogiej sierocie i pojął za żonę, który to postępek tak obraził dumnego jego ojca, iż mu go przebaczyć nie chciał. Wkrótce zamieszania krajowe pchnęły go na nowe zgryzoty i dopiero po śmierci rodziców, powróciwszy z głębi Rosji, wydarł oto z biedą od rodziny cząstkę spuścizny, za którą kupił wioskę, gdzie mieszka. – Tak mi gwarzył Pocziwski, aż zasnąłem. Czy długo jeszcze gawędził potem, tego nie wiem; ale powiadał mi nazajutrz, iż na koniec ciągle milczenie moje zwróciło jego uwagę; zawołałszy więc mię po imieniu, gdy nie otrzymał odpowiedzi, aż wtedy, rzekł, domyślałem się, żeś musiał zasnąć.

Obudziwszy się nazajutrz, gdy przypominałem wrażenia dnia wczorajszego i nocną rozmowę z Pocziwskim, cały mi ten obraz w innym pokazał się świetle. Byłem spokojniejszy, rozważałem rzecz na zimno i dziwiłem się: jak mogłem popełnić tyle śmieszności w tak krótkim czasie? Pocziwskiego już nie było: ubrał się i wyszedł; czułem, jakby wstyd spojrzeć mu po raz pierwszy w oczy. Czym bym się tak mógł upić? Myślałem; wdziękami Józji? Czy to podobna? Dziewczę ładne, wesole, czarujące, ależ zawsze nie jestem już dziecko!... Przypominałem sobie, jak przepędziłem

wczorajszy wieczór, moje z nią rozmowy, czytanie książek, jej zdania, jej myśli: znajdowałem, że były pełne uczucia, że miały dużo trafności i powabu; na koniec starałem się wyobrazić ją samą i zdała mi się być piękną. Pokazałem mojemu sercu raz i drugi ten sam portrecik, przeciągnąłem go przed moim wzrokiem lekko, pomaleńku, umyślnie, żeby się nim zachwycić i wypróbować miarę wczorajszego zapału; lecz wszystkie to próby nie wstrząsnęły mię w tym stopniu jak wczoraj.

Ubrawszy się, poszedłem do ogrodu. Po półgodzinnej przechadzce spotyka mię służący i prosi do herbaty. O! któż z was, szczęśliwi mieszkańcy wioski, nie zna przyjemności naszej wiejskiej, porannej herbaty, kiedy zebrani w kółko przyjazne i poufne, gwarzym na balkonie, okrytym powojami i kwieciami; kiedy jedna czy dwie osobki, równie świeże i nadobne jak kwiaty, w bieli jak lilie, w kolorach jak róże, z oczkami jak zorze, ozdabiają to kółko, darząc nas jak niebo pogodą i szczęściem; kiedy przed nami leżą nuty, poezje, gazety i książki... Motyl usiada na pyłkach Zaleskiego¹⁰³, konwalia wyciągnęła szyjkę i białą swą główkę jak zadumana kochanka zwiesza nad *Marią*¹⁰⁴ Malczewskiego; miriady muszek złocą się na promieniach słońca, a dokoła słowiki aż łaszczą¹⁰⁵, wyśpiewując po gajach; gdzieś z boru dolatuje głos kukułki i tafla wody, to lustro przyrody, obramione puszystymi dębami, przeziera u dołu, dwojąc wszystkie te cuda! Taką była herbata u Hornickich. Zastałem tu już wszystkich, a skorom spojrział na Józię, moje wszystkie marzenia rozwiały się w nic przed tą śliczną pogodą oblicza i tym wzrokiem, który zdawał się mówić o wszystkim, co było w jej duszy. Zastałem Pocziwskiego w chwili, gdy doń przypuszczono ze wszech stron atak dla zatrzymania na obiad. Pocziwski z początku tłumaczył się niemożnością bawienia dłużej, ale gdy postrzegł, iż krasomówstwo jego nie na wiele tu przydać się może, zwalczony usiadł i odpowiadał spokojnie:

– Aha! Jak raz! Tak jak raz! Naturalnie! Was tylko słuchaj! Itp.

– Zgódź się na ostatni mój wniosek – rzekł Hornicki – zapytamy pana Józefa, a jeśli oświadczy się za tobą, jedź chociażby zaraz.

– Za nic! – krzyknął jak oparzony Pocziwski. – Dobrze bym wyszedł! – dodał, poglądając na mnie znacząco i jakby przypominając wczorajszą rozmowę.

– Co do mnie, byłoby mi najprzyjemniej – rzekłem – ale...

– Czy i pan już znasz to słówko: ale? – przerwała mi Józia z figlarnym uśmiechem; a choć to miało charakter żartu, postrzegłem jednakże, iż jej zapytanie było ogólniejsze.

– Nauczono mię tego wyrazu... – rzekłem.

– I ukarać nim mogą... – dodała; i pomyślawszy chwilkę: – Przyznam się panu, iż jest to wyraz, którego nie lubię. Wszystkie biedy mojego biedniutkiego życia od tego

¹⁰³ *Pyłki* – nawiązanie do utworu Józefa Bohdana Zaleskiego pt. *Pyłki*.

¹⁰⁴ *Maria* – powieść poetycka w dwóch pieśniach Antoniego Malczewskiego.

¹⁰⁵ *Łaskać* – pieścić.

słówka wzięty początek. Wszak prawda, mamó? Mój kotek zdechł przez „ale”, nasza Komorosia gniewała się na mnie onegdaj przez „ale”, o! I wiele, bardzo wiele złego wyrządziło mi to „ale”! I jeszcze mię uczono, że „ale” jest spójnik; przeciwnie, gdzie się wścibi, wszędzie „ale” rozrywa, a nie spaja!

– Słyszac pannę Józefę – powiedział Pocziwski – ktoś by rzekł, że się tak gniewa na gramatykę nie bez przyczyny.

– O! Wiem to sama, iż tak mężczyźni myślą o nas! Wielka to już z ich strony łaska, iż przyznali maleńką znajomość Tańskiej¹⁰⁶ i Ziemięckiej¹⁰⁷; a o nas, o tej biednej rzeszy, przekonani są zawsze, iż nie jesteśmy w stanie pojąć Kopczyńskiego¹⁰⁸. Jednakże jeśli by która z nas pisała gramatykę, jak papę mego Kocham, napisałaby jaśniej...

– Nic byście tam nie poprawiły – rzekł z uśmiechem Hornicki – wyjąwszy rodzaju żeńskiego, który na pierwszym postawiłybyście miejsku.

Pocziwski machnął ręką:

– Byłby ład! Nie ma co mówić. Panna Józefa czytała zapewne komedią Fredry...¹⁰⁹, och, daj Boże pamięć!... Nie przypomnę sobie tytułu... jak kowala kazały powiesić kobiety zamiast ślusarza¹¹⁰; a dlaczego? Oto że ślusarz, choć był winien, ale był jeden tylko na całe miasto, a kowalów kilku.

– Któż to pisał? Mężczyzna. – rzekła nachmurzona Józia. – I cóż dziwnego, iż taką splótł na nas bajkę.

– To prawda, a nie bajka.

– Więc pan wierzysz nawet, że tak było istotnie?

– Oto ślicznie! – rzekł Pocziwski – Wszakże muszę wierzyć, kiedy napisał i wydrukował! Dalibóg sam czytałem i to nie pisane, ale drukowane. Hę, nie ma co! Czarno na białym – to już basta!

Józia zaczęła się śmiać serdecznie, pokazując dwa rzędy białych ząbków.

– O! kiedy już i pan powstajesz na nas, zemszczę się, daję słowo honoru.

I to mówiac, łupnęła energicznie nóżką, a dwie brewki wyrównały się i zbiegły na białym czole.

¹⁰⁶ *Tańska* – Klementyna Hoffmanowa z domu Tańska (1798–1845), polska prozaiczka, dramatopisarka, pierwsza kobieta w Polsce utrzymująca się z pracy twórczej i pedagogicznej.

¹⁰⁷ *Ziemięcka* – Eleonora Ziemięcka (1819–1869), reprezentantka polskiego mesjanizmu, uznawana za pierwszą kobietę filozofa w Polsce; pisarka.

¹⁰⁸ *Kopczyński* – Onufry Kopczyński (1735–1817), ksiądz pijar, poeta łaciński, pedagog, językoznawca, prekursor badań nad polską gramatyką, autor pierwszego podręcznika gramatyki języka polskiego.

¹⁰⁹ *Fredro* – Aleksander Fredro hrabia herbu Bończa (1793–1876), komediopisarz, pamiętnikarz, poeta, wolnomularz, tworzył w epoce romantyzmu.

¹¹⁰ Mowa o komedii Aleksandra Fredry pt. *Gwattu, co się dzieje*.

– Karaj, Boże, takimi wrogami do śmierci! – rzekł flegmatycznie Pocziwski, zażywając tabakę.

Józia tymczasem szepnęła coś na ucho starej klucznicy Komorowskiej i znów prowadziliśmy rozmowę o różnych przedmiotach, a Hornicki z Pocziwskim o gospodarstwie.

Tak upłynęła godzina, gdy wtem Pocziwski przypomniawszy sobie, iż miał wyjechać wcześniej, kazał sprzęgać konie; a nie dowierając spełnieniu rozkazu, sam pomaszerował ku stajni. Natenczas Józia, jak swawolny kotek, zerwała się z krzesła i śmiejąc się, szepnęła coś ojcu na ucho, całując go w rękę. Roześmiał się Hornicki, skinął na mnie i wyszliśmy na ganek. Na samym środku dziedzińca stał Pocziwski, a przed nim Denys, kiwający się to w tę, to w ową stronę.

– *De ty tak ubrawsia?*¹¹¹ – krzyczał Pocziwski.

Denys w takim stanie miał szczególne zamiłowanie do polskiego języka.

– Ja... Jaśnie Wielmożny Panie – cedził – dobre ludzie... niech im Bóg daje zdrowie... nie zapomnieli o człowieku; to nie tak, jak u pana marszałka, iż kawałka chleba nie dadzą, jak przyjadziesz.

Pocziwski machnął ręką i powrócił na ganek.

– Więc koniecznie chcesz jechać? – zapytał go Hornicki, jakby nie wiedząc o niczym.

Pocziwski rozgderał się.

– Chciałbym, ale mój Denys taki, że choć mu zęby wybierz!¹¹² To kara boska z tym człowiekiem. Co tu u ciebie za porządek?

I chodził po pokoju, rozmachując rękoma, narzekając na Denysa, gderząc na gospodarza.

Wtem Hornicki mrugnął nań, dając poznać, że to sprawka Józii. Wszyscy parsknęliśmy śmiechem; Pocziwski roześmiał się także, ale wnet przybierając nadąsaną minę, usiadł w kącie i rzekł:

– Śmiejcie się, bardzo pięknie! Otóż to panienka!

– Wszakże mówiłam panu, że się zemszczę.

– Ehe, zemszczę się! Bardzo ładnie!

– Serce, panie Pocziwski...

– Ehe, serce!

– Duszko...

– Ehe, duszko!

– Darujże mi – rzekła trzpiotka – już nie będę więcej!

¹¹¹ *Gdzieżeś się tak zatatwił?*

¹¹² *Choć mu zęby wybierz* – choć mu zęby wybij (i tak do niego nie dotrze – taki pijany).

I to mówiąc, koralowe jej usta wycisnęły całus na ogorzałym czole Pocziwskiego. Staruszek spojrział na nią, rozszczępił ręce, obrócił się ku nam, podrzucił ramionami i rzekł:

– A to awantury z nią! Jak Pana Boga Kocham!

Nie potrzebuję tu powtarzać, jak mi było przyjemnie przepędzić jeden dzień więcej w tak miłym towarzystwie. Ja, który od tygodni kilku żyłem marzeniami, sam z sobą, odosobniony od istot myślących, dziś słuchałem szczebiotu tej swawolnej dziewczyny o poezji, o naszych wieszczach; a każdy ich wiersz powtórzony przez te koralowe usta, oddany z całym uczuciem tych młodziutkich piersi, nowym dla mnie brzmiał życiem i nad wyraz zdawał się być pięknym. Po tej żywej główce myśli latały jak promyki, serce zapalało się w okamgnieniu, skoro pojmowało piękno; a przez oczy, jak przez jasne okna, jak przez czystą toń wody, mogłeś widzieć dno tej namiętej i szlachetnej duszy i śledzić za jej wrażeniami.

Razu jednego, kiedyśmy powtórzyli kilka ustępów naszych wieszczów, Józia zamysliła się i zapytała:

– Powiedz mi pan, nie znałeś żadnej kochanki któregośkolwiek z tych dziwnych ludzi?

– Żadnej – odpowiedziałem. – Wiem jednakże, iż wzory były dalekie ideałów.

– To samo i u mnie mówiono; wszakże dla porównania, byłaby to rzecz nader ciekawa znać te wybrane istoty! Dziwna! – dodała po chwili – a im się zapewne zdało, że te rysy zdjęte z ich wdzięków? Wątpię. Dla poetów byleby był punkt wyjścia, byleby coś było na temat... dalej dopełniają wszystko ideały. Pan jesteś mężczyzną, powiedz mi otwarcie, ale otwarcie – dodała z przyciskiem – bez tych nudnych waszych komplementów, co je ekspensujecie¹¹³ jak pomadę; czy można pomiędzy nami spotkać coś podobnego jak na przykład *Maria* Malczewskiego, jak *Zoryna*¹¹⁴ Bohdana?

– O! Można! Można! – przerwałem prawie zachwycony, a wzrok mój taki miał wyraz, jakby ja nazywał po imieniu.

Józia oparła główkę na rączce, patrzyła mi zimno w oczy; na koniec rzekła:

– Ktoś by pomyślał, iż nic łatwiejszego, jak dowiedzieć się od was o tym: dość was zapytać. A tymczasem i wy sądzicie albo pod wpływem uroku, albo, co jeszcze gorzej, umyślnej obłudy. Jacy wy nieznośni z tym swoim udawaniem! I pan, jak widzę, nie lepszyś od reszty. Pan mówisz, iż są takie wzory... i jak mamę Kocham! Nieprawda.

– Skądże pani masz dowody przeciwnie?

¹¹³ *Ekspensować* – tu: stosować bez umiaru.

¹¹⁴ *Maria*, *Zoryna* – bohaterki utworów Antoniego Malczewskiego *Maria* oraz Józefa Bohdana Zaleskiego *Rusalki* – tu pojawiają się jako uosobienia ukraińskich dziewczyn.

– Skąd? A to ślicznie! Pytałam pana o zdanie co do nas; wszak, zdaje się, mam prawo być zapytaną o zdanie co do was?

– Zupełne.

– Dziękuję za pozwolenie...

– Z góry klękam przed nim.

– Nie ma się z czym tak spieszyć. Otóż, powiem panu zdanie troszkę niegrzeczne, iż w żadnym z was nie udało mi się dostrzec tych rysów, pod jakimi wyobrażacie samych siebie. Powiedźże mi pan – dodała – czyż nie mogę stąd wnosić, iż obadwa te wzory żyją tylko w wyobraźni poetów?

– Nietrudną mi pani podałaś kwestię do rozwiązania – rzekłem. – Jeśli bym ją spotkał w książce, jeśli by jej nie podało oko i słowo żywe, może bym jej rozwiązać nie potrafił. Uczucia nasze...

– Ale co to ma do tego! – szczebiotnęła dziewczyna, niby dąsając się. – Pan mi mów prawdę, bez żadnych retorycznych figur! – I zasłoniwszy oczy rączką, dodała półgłosem: – On mię gotów zamęczyć rozprawą! Przypomnij pan sobie, iż tu nie chodzi o stopień kandydata, że pan mówisz do wiejskiej dziewczyny, która nie tylko tablic Kanta¹¹⁵, ale nawet u poetów choreów¹¹⁶ i jambów¹¹⁷ nie rozumie. No, mówże pan, mów tylko prędko! – I przechyliła się swawolnie, nadstawiając uszko owinięte w prześliczny, hebanowy pukiel. Ta twarzyczka z tak nowego pokazana punktu zachwyciła mię i zbiła z tropu do reszty. Zdało mi się, iż Józia nie widziałem jeszcze z tej strony. Na oczach jej leżały różowe paluszki, więc oczy nie działały na mnie; ale przed wzrokiem moim płynęła ciemna fala włosów i rumienił się jak morel¹¹⁸ kawałeczek twarzyczki wspartej na szyi, którą zwykle zowią poeci marmurową, ale najniewłaściwiej, gdyż marmur nigdy nie miał takiego życia, nawet w posągu Kanowy¹¹⁹. Milczałem zachwycony.

– I cóż? – pytała znowu moja ślepa piękność.

– O czym że mówimy? – zapytałem ni w pięć, ni w dziewięć.

– A co! Nie mówiłamże? – rzekła śmiejąc się Józia. – Otóż na hańbę uniwersytetu pan na proste zapytanie wiejskiej dziewczyny nie umie odpowiedzieć!

– Nie umiem. O! Dalibóg, w tej chwili nie umiem! – powiedziałem i złożyłem jak do modlitwy dłonie – chociaż czuję silniej, marzę goręcej, jak, ot, te wszystkie tomy leżące przed nami!

¹¹⁵ *Tablice Kanta* – system podziału sądów logicznych dokonany przez Immanuela Kanta.

¹¹⁶ *Chorea* – w starożytnej Grecji: taniec w kole połączony ze śpiewem.

¹¹⁷ *Jamb* – w metryce antycznej stopa metryczna złożona z dwóch sylab: krótkiej i długiej; w wierszach polskich odpowiednikiem jest sekwencja dwóch sylab: nieakcentowanej i akcentowanej.

¹¹⁸ *Morel* – dawn. morela.

¹¹⁹ *Kanowa* – Antonio Canova (1757–1822) – rzeźbiarz, malarz i architekt włoski, jeden z czołowych przedstawicieli klasycyzmu w rzeźbie.

Dziewczę spojrzało na mnie jak spłoszona sarna; i oczy te, przed chwilą tak żywe, przybrały głęboki i myślący wyraz. Myśl jakaś tajemnicza, nowa przeciągnęła przez tę główkę i zatoneła w sercu. Co to za piękna, co za uroczą chwila, gdy młode dziewczę, igrając, uderzy po raz pierwszy w owę nieznaną jej samej dotąd strunę i zadrzy na dźwięk, co tak blisko serca się ozwał, a pierwszy raz go słyszy!... Chwila jedna i Józia już jak nie ta! Usiadła ona spokojnie, wzięła wstążkę od paska, co jej legła na rękę, i zamyśliła się, gładząc frędzelkę¹²⁰. Widzieliście, kiedy dziatwa latając wesoło po pokoju, nagle zawadzi o sprzęt jaki, wywróci go i zrobi szkodę? Uważaliście, jak rozognione ich twarzyczki paraliżuje przestrasz i wesołość znika jak jedno tchnienie? Coś podobnego było z Józią. Ale chmurka ta na tym pięknym czole, jak na niebie Południa¹²¹, nie trwała długo.

– Czy pan znasz – zapytała mnie – polonezy Ogińskiego?¹²² Zagram panu jeden. – I to rzekłszy, usiadła do fortepianu, główka jej zwiesiła się zadumana, przebiegła po klawiszach, zamilkła; tak marzyła chwilkę i przez tęż chwilkę lice jej w inny, nowy przeobraziło się wyraz. To już nie była wesoła i trzpiocąca się dziewczynka, ale z oczu tych biła myśl, z piersi uczucie; marzenia ją uniosły w jakiś daleki świat wspomnień, świat przeszłości, i spod palców trysnęły tony, nabrzmiałe tą rzewną, mówiącą harmonią, której któż z nas nie słyszał choć raz w życiu i komu ona łez nie wycisnęła z oczu... Mój Boże! gdzie się podziały: owa wesołość, owa swawolność dziewczyny! Za falami harmonii, którą porywała słuchacza, leciałem w zaczarowane przeszłości krainy, i zdało mi się, iż otwarłem serce, a ona brała mi stamtąd nagromadzone pamiętki, przeobrażała je w tony i odsyłała do jakichś krain wyższych!... Tak w chwilę zachwycenia oddałem jej wszystko; czułem się niby odartym z najmilszych moich skarbów i z tym wszystkim cieszyłem się, że mi je takim odebrała sposobem... Gdy umilkły czarowne tony tego jedyne, smutnego, rozdzierającego duszę poloneza, gdy spojrzeliśmy po sobie, nasze oczy spotkały się i łzy nam płynęły po twarzy. Wzrok jej zdawał mi się dziękować za współczucie i pojęcie się wzajemne¹²³.

– O! Cóż to za kompozycja! – rzekła.

Wziąłem jej rękę, przycisnąłem do ust i wycisnąłem pocałunek, nie namiętności, nie miłości, ale pełen czci jak na obrazku.

– O! Dziękuję pani – rzekłem – za tę chwilę! Tak raz zamarzyć, a można potem żyć tą chwilą czas długi!

¹²⁰ *Frędzelki* – luźno i gęsto zwisające nitki lub wstążeczki, łączone po kilka jako ozdoba serwet, firanek, pasków.

¹²¹ *Niebo Południa* – niebo południowych krajów Europy, tu: synonim pogody, bezchmurnego stanu nieba..

¹²² *Polonezy Ogińskiego* – utwory Michała Kleofasa Ogińskiego (1765–1833), kompozytora i teoretyka muzyki, pamiętnikarza, pisarza politycznego.

¹²³ *Pojęcie się wzajemne* – wzajemne zrozumienie się.

Lica jej oblały się rumieńcem; odgarnęła szybko pukiel, który jej spadł na czoło, uderzyła znowu po klawiszach i wstając, rzekła:

– Chodźmy; nie, już mi niepodobna grać coś więcej.

Wyszliśmy do ogrodu, i dziwna! Po tym momencie zupełnie w innych stanęliśmy stosunkach względem siebie. Szlachetna poufałość, swobodna zamiana najdroższych nam myśli, zastąpiły etykietalną grzeczność, którą przed chwilą posługiwaliśmy się wzajem.

Czytelnik zapewne oczekuje tu wyznania miłości; wyznaję, iż naśladowując manierę książkowych bohaterów, właśnie tu by należało zostawić dla niej w rękopiśmie moim okienko: wszakże postanowiwszy pisać pamiętnik zgodny z wypadkami mojego życia, muszę przyznać, iż pobyt mój w domu Hornickich nie sprawdził w moim losie tak decydującej go katastrofy. Wywoziłem z tego miłego domku wiele wspomnień, wiele uczuć, których nie przywiozłem był z sobą. Tarabaniąc się na nejtyczance Pocziwskiego, już nie zajmowały mię wprawdzie, jak przedtem, okolice; i, wyznaję, zamiast legitymacji¹²⁴ częściej widziałem przed sobą dwoje czarnych, pełnych uczucia oczu Józi; ale też marzenia same dopełniały niezakończoną historią serca. Puszcząłem je jak latawca aż pod obłoki, a potok ich tak był fantastyczny, iż śledzić za nimi ja sam tylko byłem w możności.

¹²⁴ *Legitymacja* – potwierdzenie szlachectwa.

PROFILE

List z kijowskich kontraktów

Gdy samotnego z mego marzenia,
Ten gwarny tłum mnie więcej nie budzi,
I ja rozwinę na tle wspomnienia,
Wszystkie wrażenia, com pobrał z ludzi –
A rozstrojone uczucia tłumem,
Na prawą drogę zwiodę rozumem –
O! Jak mi innym zda się być człowiek!

Wiadomo ci, kochany Józefie, iż u nas podczas Kontraktów¹ nie ma zbywającego czasu, a stąd nie mogłem pisać do ciebie wnet po przybyciu do Kijowa; dziś nawet jeszcze myśli moje tak są rozerwane, uwaga tak rozpryśniona na tysiąc przedmiotów, iż nie czekaj ode mnie czegoś więcej nad pobieżne sprawozdanie faktów. Myślałem nieraz, iż Kontrakty nasze zasługują na przygłębszą uwagę i zapatrując się na nie z wyższego stanowiska, mogłyby dać pole do rozwinięcia żywotnych i pełnych interesu myśli. Ale ja nie z tej strony chcę ci mówić dziś o nich. Ja chcę mówić o częściach, o indywiduach składających na dwa tygodnie tę huczącą, stugłową i stujęczyczną całość i potem rozsypującą się na tysiączne części. Jakie tu materiały, jakie obrazy dla powieściopisarza, dla malarza! Tu każdy ten obrazek przybiera jeszcze ten szczególny efekt, iż ukazuje się na tle zupełnie nowym i w kontrastach, jakie tylko może stwarzać przypadek. O, ci nasi prowincjonalni mieszkańcy, jakże są pełni swego wyrazu w mieście! Każdy z nich ma coś z sobą, na sobie, przy sobie, co ci wnet da poznać jego stan, miejsce, a jeśliś wtajemniczony w charakterystyczne odcienia, rodzaj jego inteligencji nawet. Ty wiesz, że nasze prowincje, jako nieobfitujące w miasta wykształcone

¹ *Kontrakty* – dawniej umowy handlowe zawierane przez kupców na największym jarmarku w regionie (tu: w Kijowie), odbywającym się każdego roku w styczniu.

po europejsku, a przez to pozbawione środków ciągłego z nią porozumiewania się, przechowują dotąd w swoim łonie spuściznę wieków przeszłych. Jest już ona nieco skrzywioną dzisiaj i właśnie przez pokątny wpływ tej cywilizacji; bo inna jest przekształcić się z gruntu z samopoznaniem natury tego przekształcenia, a inna chwytając ją powierzchownie, nie pojmując ani istotnego jej znaczenia, ani celów. Taki stopień kultury odbija najwydatniej klasa średnia, a w połączeniu z niższą i arystokratyczną składa właściwie publiczność kontraktową. Zlewają się tu one na chwilę i to z najróżnorodniejszych pobudek, a często w zabawnym sposobie. Nie spisałbym ci wszystkich przygód, tak ich treść różna i różne znaczenie. Co tu za pole do badania charakterów tych ludzi! Jaka szkoda, że nikt dotąd z naszych powieściopisarzy nie odsłonił nam tego obrazu z artystycznej strony! A fizjonomie tak wyraziste, charakterystyczne, zewnętrznie malownicze nawet! To nie fraki tylko, a fraki², to nie salonowe maniere i nie francuskie tylko komplementy u tych ludzi. U was, w miastach, wszystko to, na czym właściwie zasadza się różnica jednego indywiduum od drugiego, ukryte pod jedną ogólnie podobną maską salonowych warunków; a tu jeszcze często i głowa, i serce żyją na zewnątrz całym zapasem rozumu i uczuć, na jakie im staje. O tak, mój kochany Józefie! Było wesoło i rozmaicie u nas. Może dla kogoś obcego opisy o tym byłyby nudne, ale ty znasz wszystkich prawie aktorów tej sceny, ich umysłowe stanowiska, naturę kultury, namiętności, drobne kaprysy nawet. Dla ciebie każde czchnięcie³ pana Podkomorzego, tureckie kłaczki Chorążego, mazur Podsędka, koncepta pana Kapitana, pretensje pani Marszałkowej, zarozumienie pana Kuratora i egzaltowane zdania pani Majorowej i napoleonizm pana Rotmistrza, dla ciebie – mówię – to wszystko, aż do fanfaronady i bałagulskich⁴ zacięć pana Kazimierza, znane w szczegółach najdrobniejszych, w samej ich naturze; moja więc, choć pobieżna, o tym wszystkim wzmianka nie powinna być bez interesu.

A więc zejdźmy do przykładów.

Cały komplet urzędników naszego powiatowego sądu zastałem wczoraj za zielonym stolikiem u Chorążego, gdzie diabeteł⁵ rozwinął się, a w całej świetności i całej kupy peców⁶, całe pliki asygnat przechodziły z rąk do rąk. Zwykłą koleją jedni z nich obłowili kieszenie, drudzy zgrali się do nitki. Jeden z liczby tych ostatnich, chcąc poprawić interesy, zaprzedał całą krescencję⁷ Żydom, jak tę, którą posiał jesienią,

² *Fraki* – zapewne gra słów: powtórzenie tego samego wyrazu dla podkreślenia wyjątkowości opisywanej osoby, przedmiotu sytuacji.

³ *Czchnięcie* – kichnięcie.

⁴ *Bałagulski* – od bałaguła ‘hulaka, zawadiaka’.

⁵ *Diabeteł* – popularna w XIX w. gra w karty.

⁶ *Pec* – w zaborze rosyjskim: nazwa półimperiału, rosyjskiej złotej monety, będącej w obiegu od 1755 r., mającej wartość 5 rubli, później 7 rubli 50 kopiejek.

⁷ *Krescencja* – dawn. plony uzyskane w ciągu jednego roku w gospodarstwie rolnym.

tak i tę, którą ma jeszcze siał wiosną, a którą to ma jeszcze zebrać aż w jesieni. Drugi mówi, że idzie za *duchem czasu* i w myśl tego ducha zakłada cukrową fabrykę, która to podług jego wyrachowania ma mu tyle przynosić najoczywistszego zysku, iż na to konto można będzie śmiało puszczać się w diabełka⁸ na nieograniczoną już ilość.

Pan Sędzia latał jak szalony za pieniędzmi. Gdzie tylko zasłyszał o ciepłym szlachcicu, który przywiózł do ulokowania choćby kilkaset złotych – wnet się go dopytał, wyszukał, poznał, nauściskał, zaprosił do siebie na traktament⁹, usadowił na adamaszkowej kanapie¹⁰ – i szlachcic jak się nie opierał tym wynętrzeniom jaśnie wielmożnej przyjaźni, jak się nie pocił biedny, ślizgając po posadzce – opojony, nakarmiony, ujęty, otumaniony, oszołomiony, że tak powiem, wysypał z rzemieennego trzosa¹¹ krwawicę¹² swoją i pełny zadowolenia z tak chlubnego, jakiego doznał, przyjęcia, powracał do domu chwalić się przed żoną i sąsiady, jak też pomyślnie załatwił interesy! Nie dość na tym. Tych, co uzbierał, było za mało na diabełka, opłatę banku dawniejszych długów, procentów, na liberię i inne potrzeby; słał więc list za listem do majątku, by mu przysłało pieniędzy, skąd tylko zarwać można. Biedny komisarz sam nie wiedział, co począć! Były wprawdzie jeszcze produkty, lecz – choć zapal¹³ – nie masz na nie kupca! Ale nareszcie przyszła mu myśl szczęśliwa do głowy. Zbiera podwody¹⁴, pakuje na nie żyto, pszenicę, gorzałkę¹⁵, len, wełnę, wymiata spichlerze¹⁶, wypróżnia magazyny i na łeb na szyję pędzi to wszystko do Kijowa. Kiedy cały ten łatany obóz zatrzymał się na bruku przed oknami Jaśnie Wielmożnego, kiedy Jaśnie Wielmożny przeczytał list rządcy – wziął się za głowę z rozpacz i gniewu... Ale nie było nad czym myśleć długo. Posłano za faktorem¹⁷ – zjawił się usłużny Żydek – w mgnieniu oka rozleciały się na wsze strony podwody: wypróżniono je na rynkach, w magazynach za bezcen i nazajutrz Żydek przyniósł Jasnemu Panu za to wszystko aż trzy tysiące złotych! Ale co znaczyło dla pana Sędziego trzy tysiące złotych! Była to kropla w morzu. Tu bank przez rząd guberski¹⁸ prosi najgrzeczniej o kilka tysięcy

⁸ *Puszczać się w diabełka* – oddawać się grze w diabełka (rodzaj gry w karty).

⁹ *Traktament* – dawn. poczęstunek, uczta, biesiada.

¹⁰ *Adamaszkowy* – zrobiony z adamaszku, jedwabnej tkaniny o błyszczącym wzorze na matowym tle.

¹¹ *Trzos* – w dawnej Polsce od XVI w. skórzany lub wełniany pas z kieszeniami na pieniądze; woreczek na pieniądze; trzosik, sakwa, sakiewka, kiesa.

¹² *Krwawica* – bardzo ciężka praca, tu: cały kapitał zdobyty ciężką pracą.

¹³ *Choć zapal* – tu: choćby nie wiem co; żadną miarą.

¹⁴ *Podwoda* – dawn. wóz z zaprzęgiem dostarczany do dyspozycji organu administracji państwowej lub wojska w celu podwiezienia kogoś lub czegoś.

¹⁵ *Gorzałka* – dawn. wódka.

¹⁶ *Spichlerz* – budynek przeznaczony do przechowywania zapasów żywnościowych.

¹⁷ *Faktor* – tu: pośrednik w różnych sprawach.

¹⁸ *Rząd guberski* – inaczej: władze guberni.

rubli srebrnych, tu stanowy przystaw¹⁹ domaga się na gwałt co najrychlejszego zaspokojenia zaległych podatków, klnie się na wszystkie bogi, że mu jedynie z tego powodu przyaresztowano jego własną gażę²⁰, pokazuje oryginalne polecenia Gubernatora, grożące udaleniem z obowiązku²¹ i oddaniem pod sąd za nieczynną egzekucję podatków, tu szlachta tarabani od szóstej z rana nejtyczankami²² pod samymi oknami, wałęsa się po korytarzach – a wygląda, a dopytuje się o zdrowie Jaśnie Wielmożnego Pana – a wszystko to w celu uzyskania procentów od sumek, co wręczone zostały od lat kilku, kilkunastu, i na które już nie za górami czeka *Requiem...*, a tu na dobitkę wszystkiego trzeba się i pokazać świetnie, i dać wieczorów kilka, i odłożyć kilka tysięcy na powóz, konie, garderobę itd.

Znany ci pan Celestyn odznaczał się i teraz, jak pierwiej, dziwactwami swymi. Kupił popielaty burnus²³ i jak kot zagorzały latał po Kijowie. Jak zawsze – dumny, głupi, zarozumiały. Od czasu wyjazdu twego przybyło mu czworo dzieci, sześćdziesiąt tysięcy długu, potężny brzuch – a teraz stara się o rangę, bo ma gardło jedyne do krzyczenia: „prosimy! prosimy!” na wyborach. Był też i pan Pafnucy. Poczciwy Sędzia nie odmienił się w niczym. Tak jeździ na Kontrakty, tak załatwia interesy, kupuje konfitury u Bałabuchy, chustki dla żony, herbatę, cukier, kawę i bałykę²⁴ na rok cały, jak to przywykł czynić od lat trzydziestu. Kocz²⁵ ma tenże, co go zapewne znasz od czasu, jak znasz i Sędziego: cytrynowa farba, malowane koła z gryszpanowym²⁶ pudłem. Taż liberia, takie cugi i ciż ludzie. Warto go było widzieć opuszczającego Kijów. Pudła, pudełka i tłumoki okrywały ze wszech stron powóz. Z tej fantastycznej budowy wyzierała co chwilę głowa pana Sędziego z długim włosiennym cybuchem²⁷ w rękę, opatrzona lisiurką²⁸ ze stojącym kołnierzem wyżej uszu i podróżną, barankową czapką, naciśnioną nad same oczy. Traf zrządził, żem jechał dorożką obok jego powozu przez całą Peczersk²⁹. Szanowny Sędzia nie zważał na nic i tylko co chwilę odzywał się z budy:

¹⁹ *Prystaw* – w carskiej Rosji: naczelnik niewielkiego okręgu administracyjnego.

²⁰ *Gaża* – wynagrodzenie za pracę, pensja.

²¹ *Udalenie z obowiązku* – zwolnienie z pracy (rusycyzm).

²² *Nejtyczanka* – czterokołowy pojazd konny z wyplatany podwoziem.

²³ *Burnus* – długie okrycie wełniane bez rękawów, z kapturem; szeroki płaszcz.

²⁴ *Bałyka* – ryba.

²⁵ *Kocz* – powóz czterokołowy z nadwoziem, zawieszonym na łańcuchach lub pasach, zaprzęgany w dwa lub cztery konie.

²⁶ *Gryszpan* – trująca mieszanina zasadowych octanów miedzi o zielonym lub niebieskim zabarwieniu; dawniej stosowana do wyrobu farb olejowych i wodnych.

²⁷ *Cybuch* – podłużna, rurkowata część fajki, przez którą przechodzi dym.

²⁸ *Lisiurka* – dawne futro z lisa, okrycie wierzchnie podbite lisim futrem; dawna męska czapka z nausznikami, najczęściej z lisiego futra.

²⁹ *Peczersk* – historyczna część Kijowa, położona na wysokiej skarpie dniewowej, na południe od Górnego Miasta.

– *Charku! A ne zabuweś wiwsa?*³⁰

– *Ni, Pane!*³¹

– *A udar lijcom byczowoho!*³²

– *Udaryw, Pane!*³³

– *A czyś ohladiw powóz, może de czoho brakuje?*³⁴

– *Ohladiw, Pane!*³⁵

– *A czyś obwiazaw resory?*³⁶

– *Wse sprawno, Pane!*³⁷

– *A smotry tilki, bo to wy ne pomiatajete niczoho; wam, aby najestyś, ta wyspatyś, a tam czort joho bery, dumajete, pan maje hroszi, nechaj płatyt. A czy ne rozsuponywsia dyszlowy? Szczoś na niomu duże chomut triaseccia*³⁸.

– *Ni, Pane!*³⁹

– *A smotry tilki, bo to wy ne pomiatajete niczoho; wam, aby najestyś... A czyś prybyw hwoździa do luszni szczo koło wizka?*⁴⁰

– *Prybyw, Pane!*⁴¹

– *O, a kazawem iszcze pozawczoraj, szczo ot tut do firanki pryszyt łuczsze priażku*⁴² – ozwał się znowu pan Sędzia, postrzegając nadprutą sprzączkę przy firance przed samym swoim nosem. – *A trysta waszu matir! Łezni bisowi! Wy ne pomiatajete niczoho; wam, aby najestyś, ta wyspatyś... A Andrij, czy ne ostajećsia*⁴³

Tu siedzący na koźle sługus, okryty białym ukraińskim kozuchem, przechylił się z koźła i spojrział za powóz:

– *Ni, Pane!*⁴⁴ – rzekł.

³⁰ *Charku! Nie zapomniałeś owsa?*

³¹ *Nie, Panie!*

³² *Uderz lejcem byczego!*

³³ *Uderzyłem Panie!*

³⁴ *A czyś obejrzał powóz, może czego brakuje?*

³⁵ *Obejrzałem, Panie!*

³⁶ *A czyś obwiązał resory?*

³⁷ *Wszystko jest sprawne, Panie!*

³⁸ *A patrz tylko, o niczym nie pamiętacie; byleby najeść się, wyspać się, a resztę niech diabli biorą, myślicie, pan ma pieniądze, niech płaci. A czy dyszlowy nie rozsuptał się? Chomąto bardzo się na nim trzęsie.*

³⁹ *Nie, Panie!*

⁴⁰ *A patrz tylko, nie pamiętacie o niczym, byleby tylko się najeść... A czyś przybił gwoździa do luśni przy wozie?*

⁴¹ *Przybiłem, Panie!*

⁴² *Kazałem jeszcze przedwczoraj żebyś o tu do firanki przyszył sprzączkę.*

⁴³ *Żeby cholera waszą mać wzięła! Łgarze przekleci! Nie pamiętacie o niczym; byleby się najeść i wyspać... A czy Andrij nie zostaje z tyłu?*

⁴⁴ *Nie, Panie!*

I istotnie, wnet za koczem ciągnął się lichey, dyszlowy wózczyzna, zaprzężony parą bronowłoków⁴⁵ i opakowany pudełkami i owsem. Na tych bagażach siedział w nie bardzo wygodnym położeniu z rozrzuconymi na dwa wiatry nogami, wieśniak, cmokając co chwilę do koni i wodząc ogłupiały wzrok po obydwu stronach ulicy. Taka i tej podobna rozmowa ciągnęła się bez przerwy przez cały Peczersk, i kiedy już nawet zmuszony byłem zostawić pana, Sędziego jeszcze przez jakie kroków pięćset słyszałem powtarzane napomnienia: „*A smotry tilki – bo to wy ne pomiatajete niczoho!*”⁴⁶ i temu podobne. Szczęśliwa mu droga!

Była też i ładna siostra Karola. Widywałem ją, ubierającą się modnie, uczęszczającą na bale, teatru i koncerta. Ładnaż bo to doprawdy dziewczyna! Żal tylko, że rozumie o sobie za wiele, nie poprawia złych nałogów i zbyt się sadzi na stroje, jakby miała krocie, kiedy młodzież wietrząca fortuny wie arcydobrze z akt urzędowych, iż na tę śliczną rączkę przypada nie więcej trzydziestu tysięcy złotych. Cóż poradzisz ze światem! Dziś wdzięki nie zachwycają nikogo... Lada posesor z dużym kołnierzem i ogromnym krwawnikiem⁴⁷ na brzuchu zrobi pierwej kwerendę w aktach ziemskich, nim uda się w zaloty. Oto masz przykład nie dalej jak na naszym szczególnym Poruczniku. Jest to człowiek, jak mówią u nas, światowy. Światowy znaczy jedno, co hultaj, który włóczęg się po świecie, wyciągnął z niego ten jedyny dla siebie wniosek, że pieniądze są wszystkim, a reszta niczym. Ale w tym to był i sęk: jak dostać tych pieniędzy? Pracować i czekać? – a niech Bóg broni! Z kart? – już się sparzył na tym... Służyć? – a to najnudniejsza perspektywa w świecie! Ożenić się więc z bogatą? – wyśmienicie! Odnawia się więc staroświecki koczyk, bierze się jedną klacz u Lejby, drugą u sąsiada, parę koni było domorostłych, piątego dokupił umyślnie na jarmarku – sprzęgł piątkę – ubrał Hawryła po krakowsku, Omelkowi kazał zapuścić niemieckie bakenbardy⁴⁸ – sprawił sobie modny garnitur – i dalejże w zaloty. Nie wiele stracił na to czasu. Zwykle – dziś przyjedzie do obywatela, wypije herbatę, zje kolację, przenocuje – toż samo jutro do obiadu, a po czarnej kawie już klęczy u nogę piękności i wyznaje jej dozgonną miłość. Panna mu odmawia – on najobojętniej strzepuje pył z kolan – zapala cygare – pyta, czy daleko mieszka pan taki to a taki – i oto przez parę godzin już Hawryło pali z bicza na dziedzińcu drugiego obywatela. Bywalec-porucznik wziął u nas tej zimy harbuzów⁴⁹ siedem; podczas Kontraktów ta liczba mnoży się jeszcze na siedem.

⁴⁵ *Bronowłoki* – konie robocze.

⁴⁶ *A popatrz tylko – wy o niczym nie pamiętacie.*

⁴⁷ *Krwawnik* – roślina z rodziny złożonych, o pierzastych liściach i białych lub różowych kwiatach zebranych w koszyczki.

⁴⁸ *Bakenbardy* – przest. baki, bokobrody.

⁴⁹ *Harbuz* – dawn. dynia, arbus; metaforycznie: dać harbuza – odrzucić zaloty.

Bellot jak zawsze nawiózł i teraz gotowych kotletów z Berdyczowa⁵⁰. Były też i arfiarki⁵¹, te zużyte Niemki, którym to niegdyś Baragoli⁵² napełniali tace pecami⁵³. Co zaś do samych Baragołów, już nie dokazywali oni jak przedtem, bo też i ich towarzystwo rozprzęgło się zupełnie. Wszakże kilkunastu weteranów przypominało sobą niekiedy to świetne grono – i poznać ich nietrudno, bo jedni z nich noszą dotąd wysokie czapki i tartanowe⁵⁴ kozaczyny z czerkieskimi paskami, drudzy ogromnymi bakenbardami i długimi włosami obchodzą niejako żalobę, u innych tylko na twarzy zostały niestarte ślady bujnego życia, a inni znowu powrócili cichaczem do dawnych warunków społeczeństwa, siedzą po domach i udają, jakby nie byli nigdzie, nie wiedzą o niczym.

Znajomy ci panicz zgrał się wczoraj do nitki. Widziałem go dziś, jak smutny, błady, niewyspany wałęsał się po sali i jak ćma do świecy, tak on czepiał się do każdego szlachcica, jak skoro zasłyszał, że jeszcze nie ulokował swej sumki na procent. Bolesnie, ale razem śmiesznie, było widzieć to jego początkowe zaprawianie się załatwiania kontraktowych interesów, to kłopotliwe położenie, w którym nie może się jeszcze ostać ani uzbroić z męskim postanowieniem w środku, lecz przeciwnie: traci głowę, przechodzi pod wpływ rozpaczony i wałęsa się z dziecinną łzą w oku, co mi przypominało proformistów i ich lamentacyjne: „Niech mi pan dyrektor daruje – dalibóg, jak mamę kocham, nie będę więcej!”.

Pani Chorążyna została w domu. Z jej córunią wielkie zaszły zmiany. Jej się podobał Porucznik, a mamie tytularny Sowietnik⁵⁵. Mama gwałtem chce wydać za tego, a panience gwałtem chce się tamtego. Dopieroż tu zaczęły się perory i dowodzenia, jako miłość należy poddawać pod władzę rozsądku, co do tyła zmiękczyło panienkę, iż postanowiła pogodzić obie przeciwności w sobie. Tandem tedy dzieli miłość swoją na poetyczną i urzędową. Pierwsza odbywa się przy tęsknym blasku księżycy i tajemniczo, jak to bywało w średnich wiekach, druga zaś przy świadkach i etykietalnie, jak to się zwykle dzieje w dzisiejszych czasach. Nieszczęściem dla nas, ten fatalny dzisiejszy wiek miedziany zupełnie nie odpowiadał warunkom miłości z wieków średnich. Nie było ani zamków, ani lochów, ani turniejów, ani trubadurów,

⁵⁰ *Berdyczów* – miasto w obwodzie żytomierskim Ukrainy, w latach 30. i 40. XVII wieku własność wojewody kijowskiego Janusza Tyszkiewicza.

⁵¹ *Arfiarka* – przestarz. harfiarka.

⁵² *Baragoli (bałagały)* – na Ukrainie w I poł. XIX w. – hulaki, zawadiaki, lekceważący przyjęte zwyczaje.

⁵³ *Napełniali tace pecami* – tu w znaczeniu: nie żalowali grosza na zabawy z kobietami, na hulaszczę życie.

⁵⁴ *Tartan* – szkocka tkanina wełniana, tkana w różnobarwną kratę; odzież z tej tkaniny; wzór w różnobarwną kratę, w jaki tkane są wełniane materiały, będący w dawnej Szkocji oznaką określonego klanu.

⁵⁵ *Tytularny Sowietnik* – radca honorowy.

ani giermków nawet! Co gorsza: ani pustyń, ani skał, ani samotnych mieszkań pustelników! Nie ma, zgoła nie ma! A tu koniecznie trzeba! Co począć? Są domy wprawdzie – ale gdzież im do feudalnych zamków! Zamiast podziemnych lochów jeden tylko loch na nabiął; zamiast pustych komnat – oficyna o czterech pokojach; a zamiast pustyń – o zgrozo! – było tylko dziesięć krzaków porzeczek przy domie, a dalej całe grzędy kartofli, a jeszcze dalej łąka, na której ciągle przechadzały się z pobliskiego folwarku cieleta. To już do niezniesienia. Żeby choć chatka pustelnika? Choć zapal, ani jednej!! Ale miłość płodna w wynalazki i w potrzebie przystaje na złudzeniach. Wakującą posadę giermka bierze foryś⁵⁶, za uprzednim go wynagrodzeniem dwudziestopięciorublową asygnatą; płot dzielący obory od mieszkania kochanki staje się jedyną tamą, jaką przebyć wypada kochankowi, ażeby paść w ramiona piękności – i oto *jednego pięknego wieczoru* rozpoczyna się w najlepsze akcja. Nasz bohater, jak powiada Zaleski, „przez kolczate pnie się tarny”, przebywa okno – pada na kolana, i ponieważ tu już dalszy ciąg romantycznej sceny zależał bezpośrednio od kochanków, więc odbył się zupełnie według przepisów d’Arlincourta⁵⁷. Ale cóż poradzisz? Natura bierze swe!... Szlochania i zaklęcia nie zadowolily kochanków – jeszcze chwilka... chwilka i pan de Kock⁵⁸ dowiódł, że ma lepszą rację od nich wszystkich.

Kiedy się to dzieje, tymczasem Tytularny Sowietnik⁵⁹ punktualnie o godzinie czwartej po południu wpada do bawialnego pokoju jakby tylko co z igły i uwija się około swej Dulcynei, pali jej francuskie komplementa – wzdycha – i robiąc po raz ostatni sentymentalne oczka, leci na całą noc do domu na złamanie karku. Z panem Sowietnikiem słyby rzeczy niezgorzej, ale czujne oko kochanej mamy podstrzegło tę niewinną zabawkę córunki – i – o barbarzyński czynie! – w okamgnieniu zniszczono całe szczęście. Forysiowi wyliczył ekonom pięćdziesiąt odlewanych batów; kochanek z zakrwawionym sercem i bez czapki zemknął z placu, a panienska... co panienska? Jak myślisz? Pograżyła zapewne z rozpaczysztylet w łonie? Gdzie tam! Utopiła się? Nie! – jako żywo. Powiesiła się więc niezawodnie? Tak, powiesiła się! – ale na czym?... na szyi pana Sowietnika!!...

PS. Nasz powiatowy poeta, mieszkający pod bokiemy stenografował aż do tego zdarzenia od *a* aż do *z* wszystko w celu ułożenia później pięcioaktowego dramatu – i tak był przekonany, że to się skończy w guście *Romeo i Julii*, że stąd pozyska wiekiustą sławę, a za poemat ogromne pieniądze, iż zakazał sobie na to konto

⁵⁶ *Foryś* – dawniej u możnej szlachty konny pacholek z trąbką (w nocy ze światłem) poprzedzający karete w celu zbadania drogi; także pomocnik stangreta powożącego wielokonnym zaprzęgiem.

⁵⁷ *d’Arlincourt* – Charles-Victor Prévot, vicomte d’Arlincourt (1788–1856), pisarz francuski doby romantyzmu.

⁵⁸ *De Kock* – Charles Paul de Kock (1793–1871), pisarz francuski.

⁵⁹ *Radca tytularny* – urzędnik, IX stopień w tabeli rang wprowadzonej przez Piotra I, odpowiednik stopnia kapitana w wojsku.

zrobić garnitur nowy (stary już był diable wyszarzany) i porozdawał w sąsiedztwie prenumeracyjne bilety. Wtem nagle zostaje rażony jak piorunem wieścią, iż panna wzięła ślub z Sowietnikiem, a Porucznik wypalił po powrocie z wycieczki trzy funty waksztafu!⁶⁰ – Piszże teraz, proszę – rzekł mi prawie ze łzami – obrazy w tym wieku i z tych ludzi. Choćby na śmiech ani jednej śmierci, ani jednego puginału!⁶¹ Taka prozaiczność, taka prozaiczność, że niech Bóg broni! No i jak tu proszę zakończyć ten dramat? Nie! – krzyknął prawie w rozpacz – To być nie może! Tak przez żaden sposób być nie może! Ona się otruje, Porucznik zastrzeli, a Sowietnik zwariować niezawodnie musi! Tak wypada u mnie z naturalnego zbiegu rzeczy.

Pan Deputat kocha się, gra, tańczy, je i śpi po kolei. Co do majątku, jest już zupełnie na to konto spokojnym. Młyny i majdany puścił w dzierżawę Żydom na lat dwadzieścia; bór poleski sprzedał na wyrąb; całą wieś założył w banku na lat trzydzieści siedem i wypuścił w dzierżawę, a na opłatę coroczną długów wynalazł *perpetuum mobile*, zasadzające się na tym, iżby pożyczać tych Kontraktów u jednych, a oddawać drugim. To mu przynosi oczywiście, jak sam powiada, zysku dwadzieścia pięć na sto.

A pan Henryk z Podola? A zmiłuj się! – nie darowałbym sobie nigdy, jeśli bym ci nie wspomniał o nim. Pan Henryk ani na włos nie odmienił się w niczym. Tak paraduje czwórkami, piątkami i szóstkami, jak i pierwej. Jak tylko dowiesz się, że dziś sprzedał chleb i wódkę, tak niezawodnie nazajutrz cały kahał⁶² zalamentuje w niebogłosy.

– To bestie całe, ci Żydzi! – krzyczy Pan Henryk. – Proszę pana, umówili się ze mną tak, a teraz chcą inaczej!

– *Aj waj! gwałt!* – krzyczą Żydzi. – *Win nas obizaje! Win gorszy od samego Faraona!*⁶³ My pójdziem na sprawnika⁶⁴, na gubernatora! – Dojźże tu prawdy!

Ale stój! stój! Na miłość Boga! Co mi Henryk! Oto złoto: Rotmistrzowa ze swymi córuniami! Oj, oj! Pędzli i piór, piór i pędzli – na miłość Boga! Wyobraź sobie Rotmistrza, który krzyczy tak, że ogłuszyć może i komenderuje wszystkimi jak plutonem; wyobraź sobie Rotmistrzową, która widząc cię po raz pierwszy w życiu, opowie, wiele to jedna córunia dała harbuzów, a jak druga maluje, a jak przed rokiem były one u kogoś tam na balu i jak zakochał się w trzeciej Podsędek. Wyobraźże teraz te panienki prościutkie, ciche, serdecznie ograniczone i z tym wszystkim pełne przekonania, że grają, śpiewają, rysują jak... jak kto? Nie odpowiedzą – bo nie wiedzą o Bożym świecie nawet i do porównań braknie im najpospolitszych przykładów. Cicho a cicho, głucho a głucho w tej wioszczynie. Ledwo brudny okólnik⁶⁵ sądu

⁶⁰ *Waksztaf* – dawn. wypełnienie do fajek, rodzaj tytoniu.

⁶¹ *Puginał* – krótka broń obosieczna, pochodzenia wschodniego; handzar, kindzał.

⁶² *Kahał* – żydowska gmina wyznaniowa.

⁶³ *O, rety, gwałt. On nas obraża! On jest gorszy od samego Faraona!*

⁶⁴ *Sprawnik* – naczelnik powiatu w carskiej Rosji.

⁶⁵ *Okólnik* – tutaj: pismo urzędowe wydane przez organ administracyjny dla organów niższych.

ziemskiego albo dzwonek stanowego przystawa obudzą raz w miesiącu umysłową stagnację tego domu. Te ryciny porozwieszane w bawialnym pokoju – o, wy wszyscy, co macie oczy, uciekajcie od nich na miłość Boga! Ten fortepian – o zatykajcie uszy! Ale to są posażne dziewczęta i młodzież, żeby nie bała się Rotmistrza, już by dawno zawitała w te progi. Jako leżący kapitał, kursują tu one i na Kontraktach. Rok temu pan Komornik, zgrawszy się jakoś podczas zapust, wniósł, iż nie może godnie odpokutować za grzechy i przepędzić postu, jak starając się o jedną z tych panien. Z panienką nietrudna była sprawa. W życiu, gdzie się tylko przywykło patrzeć na obdartego sługusa, pan Komornik zajaśniał w jej oczach jak słońce i to biedniutkie serce oddało się mu bezwarunkowo; ale pan Rotmistrz nie tak to łatwo kapitulował i poddał kawalera pod najcięższe próby. Zrobił go gumiennym⁶⁶, leśniczym, ekonomem, młynarzem, pisarzem, łanowym⁶⁷ nawet. Opłata podatków, wydanie koniom owsa, dopilnowanie młocków⁶⁸, żeńców i tysiąc podobnych obowiązków, wszystko to leżało na nim. Chwile miłości, niestety! – były krótkie – ach! I to tajemnicze!... Tak... gdzieś... czasem sobie... za węglem... w ogrodzie... przy lochu... cmok... cmok – moje serce! moja duszko! – i dalejże w nogi, bo będzie bieda, jeśli zobaczy papa. Otóż to mi miłość!

Jest też i nasz zawołany literat-dyplomata, ta Alfa i Omega swojego zaścianka. Już oto upływa lat dwadzieścia, jak powrócił na wieś, już to tak dawno! Tyle odtąd przemian! Ale on po dziś dzień żyje zapasem owych to zdań i wyobrażeń. Ledwo go dojrzeć można, tak został daleko za postępem ogólnej oświaty, ale jemu się wyobraża, że i dotąd między nami stoi na czele. Zjawi się nowa książka: a co pan Erazm mówił o niej? – Mówił, że to niewarte funta kłaków! A więc całe sąsiedztwo niezawodnie będzie powtarzać wszędzie: pan Erazm mówił, że to niewarte funta kłaków. Czynnici też zajmuje się i polityką, chociaż od lat dwudziestu żadnych nie czyta gazet. U niego zawsze pobór rekrutów w jesieni, niechybna wojna na wiosnę, rewolucja w Paryżu, rozbiór Turcji, bunt w Egipcie, a najskrytsze rzeczy gabinetowe znane są jak kąty własnego domu.

Był też i nigdy nieoszacowany godnie Chorąży z synem. Byłem z dziesięć razy u niego i dziesięć razy prowadził mnie po błocie do stajni, kazał wyprowadzać ogiery, patrzył każdemu w zęby – przejeżdżał – przeprowadzał – zaklinał się na wszystkie bogi, że w żyłach ich płynie krew arabska, czerkieska, tatarska, turecka, angielska i hiszpańska nawet. Wczoraj powracałem o godzinie drugiej z kontraktowej sali. Mnóstwo powozów leciało na Peczersk; w tym patrzę... co u licha! W ślad za czwórką

⁶⁶ *Gumienny* – człowiek mający nadzór nad gumnem (tu: budynkami gospodarskimi i całym obejściem).

⁶⁷ *Łanowy* – człowiek kierujący robotami w dobrach królewskich.

⁶⁸ *Młoczek* – człowiek młócający cepami zboże, młocarz.

jakiegoś jegomości leci znajoma mi piątka Chorążego w krakowskich chomątach z ozdobami, wprzężona do lekkiej a prostej nejtyczanki. Woźnica w mazurskim ubiorze, w rzuconej na bakier amarantowej czapce, z długimi włosami i stokroć dłuższym biczem, pali z bata i leci szybkim kłusem. Na licu Chorążego malowało się szczególne zadowolenie, nawet duma.

– A co, he? Żle może? – rzekł, wysiadając przede mną. – Wszyscy, jak wrony, porodziawiali pyski. Patrzą jak na raroga!⁶⁹ Tak to u nas, mości dobrodzieju! A gdybyż to u mnie była jeszcze ta piątka, którą sprzedał w przeszłym roku w Odessie, i mój Grzegorz, co to, mości dobrodzieju, jak palnie z bicza, to aż wszystkie szyby zabrzęczą w oknach! He? Oto by się dziwili! A cóż, może nieprawda?

– Na honor, panie Chorąży, doskonałą masz piątkę!

– Ba! He! Sam widzisz. Właśnie jakiś barysznik⁷⁰ chciał ją kupić; naparł się, bym pokazał ją w cugu. – A chcesz, mości dobrodzieju, pokażę ci i w cugu. Obaczył – i przez całą godzinę z podziwu nie rozdziawił pyska. – *No, sztoże, poriadocznyje łoszadi?*⁷¹ – rzekłem. – Das – i uciał. – Das – powtarzał, uśmiechając się Chorąży. – Kupiec nie mógł przyjść do siebie; robił oczy zupełnie jak szarak. Wczoraj, mości dobrodzieju, dawał mi jakiś Poleszuk..., hm... spekulant na rydzach! – po czterdzieści dukatów głowa w głowę! Toż ja bym, mości dobrodzieju, lepiej w łeb wypalił każdemu z nich, aniżeli oddał za tę cenę! – *Nie dlinnaja griwa batiuszka, da nie chodit w ogłoblach*⁷² – mówił mi jakiś drugi huncwot barysznik. A do stu fur beczek batalionów diabłów, mości dobrodzieju! Śliczny mi znawca koni! Ja mu powiadam, że mój Herkules pochodzi z czystej arabskiej rasy, bo jest wnukiem owego sławnego Sanguszkowskiego Achillesa, o którym słyszałeś zapewne, mości dobrodzieju, a on mi mówi: *szto nie chodit w ogłoblach batiuszka!* – Patrz błazniu na głowę, na oko, nogę, pierś, odsadę ogona, a nie pytaj, czy chodit w ogłoblach, bo to popłaca rasa, a nie ogłoble! Co do Westy znów moje: wszak widzisz, co to za brylant? Sułtan nie ma lepszej! Rzewuski, widząc ją, powiedział, że w całej Arabii ze świecą nie znajdziesz takiego łęku. Poszedłbym w zakład, że kształtniejszej główki nie widział od urodzenia żaden z baryszników! Otóż opatrzył mi ją ten jegomość i rzekł: *Jetaja nie gaditsia, sliszkom nieżnaja*⁷³. A bodajes się upi! – Myślę sobie; nie ma co z tobą widzę gadać dłużej; śliczne mi pojęcie ma o koniach! Ten cug tysięcy kierbików, mości dobrodzieju! Tysiąc – mniej ani grosza! Bo też widzisz, sam nie lubię trzymać aby czego. Każdy dwa werszki i z czwartego na piąty, a to coś znaczy!

⁶⁹ *Raróg* – ptak drapieżny z rodziny sokołów.

⁷⁰ *Barysznik* – pan.

⁷¹ *No co, porządne konie?*

⁷² *Nie długa grzywa, nie chodit w hołoblach (hołoble* – w zaprzęgu jednokonnym: każdy z dwóch dyszli, między które wprzęga się konia).

⁷³ *Ta się nie nada. Zbyt delikatna.*

A głowy? A karki? A nogi? – wszystko jak ulane! A jak idą w cugu! Wszak widzisz? Macieju, ho – Macieju! Zatinj no licowego z prawej strony – o, uważasz, co to za krew w tym koniu! A gdybym ci to jeszcze opowiedział, jak szczegółna jego genealogia! Jest to potomek owego Sanguszkowskiego, sławnego na cały Wołyń, Archimedes! Sam Abramowicz dawał mi za niego sto dukatów, a Abramowicz to wiadomo całemu światu, że zna się na koniach. I nie zapomnij Wasze, że z czwartego na piąty! Mój Justyn, jak wsiądzie nań – to choć rysuj! A prawda Macieju?

– Oj, i jeszcze jaka prawda!

– A Małek-Adel, a Fra-Diawolo – złe może? Uważasz, te co w dyszlu? Wszak prawda, Macieju, co to za konie?

– I – świat nie pokaże, co to za konie! – odpowiedział Maciej. – Takie, takie konie, że to nu! Że konie, to konie – nie grzech powiedzieć!

– Słyszysz? A co? – mówił uradowany Choraży. – Słuchajże no, Macieju, a czyś ty był wtedy, gdy Mykoła ścigał zającą na Ibrahimie-Baszy pod Onyńskowym futorem? Pamiętasz – co to wyprzedził lotkę?

– A jakżeż! – rzekł Maciej. – Był, i jeszcze dobrze był! Toż ja sam tego zającą wiozł w trokach.

– A prawda! No, więc co? Czy źle może?

– A, co to i mówić!

– Słyszysz? – rzekł Choraży, wskazując palcem na Macieja. – U mnie nie lada co w stajni! Już jeśli trzymam – to co dobrego. Jutro obaczycie Hektora, Romulusa i Atalantę. Jeśli znacie się na rzeczy, dostrzeżecie zaraz rasy. Szkoda, że ty nie widziałeś nigdy, jak mój Justyn jeździ konno! To landszaft⁷⁴, powiem ci, w profilu! Zwykle mu daję Romulusa, wiesz, tego dzielnego karosza beduino-angielskiej rasy z gwiazdką na czole? Jego ojciec ze stajni egipskiego baszy. Branicki go sprowadził na okręcie. Na własne oczy widziałem go w Bałcie⁷⁵ we trzy tygodnie po wylądowaniu; słowo honoru, jeszcze nie przestał być nawet tupać nogą! Przyjeżdżaj do mnie: dam ci Atalantę; to dziecko, nie klacz! Nasz ksiądz Proboszcz jeździ na niej, a trzeba ci wiedzieć, że Proboszcz nie umie inaczej jeździć jak po łacinie. – Nóżki, mówię ci, jak u sarny; oprawa oka jak u Wenery; a nosi jak lekko! Będzie ci się zdawać, że plyniesz... Spytaj Macieja, jeśli nie wierzysz. Sam zaś ja zwykle dosiadam Hektora – o, to harda sztuka, mości dobrodzieju! Siwosz z nakrapianym grzbietem. Cały tygrys: twardousty i uparty; ja nim tylko kierować mogę. Stawię sto przeciw jednego, że wszystkich waszych Baragołów nie-Baragołów, ile ich bywa w Berdyczowie, jednego po drugim powyrzucałby z siodła. Pochodzi on z tatarskiej klaczy po czerkieskim ogierze. Sprowadzony wprost z Kaukazu. Kupiłem go u dońskiego pułkownika, a ten

⁷⁴ *Landszaft* – dawniej obraz przedstawiający pejzaż.

⁷⁵ *Bałta* – miasto na Ukrainie nad rzeką Kodymą, w obwodzie odeskim, stolica rejonu bałckiego.

odbił od jakiegoś góralskiego księcia. Mówię ci: Terek⁷⁶ dla niego był niczym. Z góry na górę lata jak sarna, a nie zna, co to znaczy potknąć się choć raz w życiu; tylko trzeba, żeby czuł pod sobą jeźdźca, bo zaraz pokaże, co umie.

Jedynym przejściem od koni są polowania i dubeltówki pana Chorążego. Gdy spadnie na trop myśliwski, tak bądź pewny, że się to zanosi na całe godzin cztery. Wszystkie zające jego powiatu, wszystkie słomki⁷⁷ i bekasy błot okolicznych muszą przejść przez jego strzały. Cała akcja polowania powtarza się w pokoju. Krzesła służą dębami, stoły kniejami, filiżanki i szklanki zwierzyną, cybuch strzelba – a paf! puf! Jak go rznie, jak go grzmotnę, mości dobrodzieju! Sypie się bez liku. Onegdaj przy herbacie diabli nadali Podśędkowi, mówiąc o Kontraktach, porównać kontraktową salę do tokowiska poleskich cietrzewi. Jak złapał Chorąży za cietrzewia, tak uraczyłże nas myśliwską pogadanką. Przebiegały obok nas i dziki, i niedźwiedzie, i łosie, i wilki, i lisy, leciały kszyki⁷⁸, zrywały się kuropatwy, krzyczały kaczki. Jam milczał; bo sprzeczać się lub przerywać Chorążemu w czymkolwiek znaczyło jedno co rozdmuchiwać płomień; ale Podśędek nie był tyle przewidujący. Zdarzyło mu się kiedyś podstrzelić w zaspie zająca i zbić zupełnie głowę kaczce siedzącej na jajach, którą zszedł o dwa kroki. Około tych dwóch najważniejszych zdarzeń krążyły już wszystkie inne pomniejsze z myśliwskiego jego życia i obydwaj przez cały wieczór nie dali mi pokoju.

Mówiąc ci piąte przez dziesiąte o bardziej charakterystycznych jednostkach naszego tu społeczeństwa, nie mogę zamilczeć wczorajszego zdarzenia, którego byłem świadkiem. Trzeba ci wiedzieć, że i wy tu niepoślednie zajmujecie role. Jak tylko zaszumią Kontrakty, tak wnet ni stąd ni zowąd, jak żabki z wiosennym deszczem, spadają wasi petersburscy *owczarze*, jak ich przed kilkoma laty ochrzcił „Tygodnik”. Ledwie raz, drugi przeszedłeś się po kontraktowej sali, byłeś gdzieś na wieczorze, na koncercie – a spotkasz ich tam zaraz. Każdy z nich widnieje w tym naszym ruchliwym gronie szaraczkowej szlachty jak białe pęcherzyki na świeżo rozgrzebanym mrowisku. I jak to proszę nie poznać między nami petersburżanina? W modnym fraku, złotych okularach, pysznych szopach⁷⁹, żółtych francuskich rękawiczkach, lakierowanych butach – tak nie ma sobie równego, tak awantażownie odbija przy wołyńskich burnusach, przy ogromnych szlacheckich kołnierzach i baranich kozuchach, że go zobaczysz, poczujesz wszystkimi zmysłami razem o kilkadziesiąt kroków. Całe rzędy rozdziawionych gęb, wytrzeszczonych oczu śledzą go z końca w koniec.

⁷⁶ *Terek* – rzeka na Przedkawkaziu.

⁷⁷ *Słomka* (*słonka zwyczajna, Scolopax rusticola*) – gatunek średniego ptaka wędrownego z rodziny bekasowatych.

⁷⁸ *Kszyk* (*bekas, bekas baranek, Gallinago gallinago*) – gatunek średniego ptaka wędrownego z rodziny bekasowatych.

⁷⁹ *W szopach* – w futrach z szopów.

– Panie Gaudenty! Panie Gaudenty! – wołał wczoraj jeden szlachcic z tłumu, ciągnąc za poły towarzysza. – O, patrz się, ondzie – czy widzisz?

– Gdzie?

– Ondzie!

– A co tam takie?

– To ten pan, co niedawno przyjechał z Petersburga. Oto ten, co idzie z panem Sędzią.

– Aaaaaaa!... – zaszybiała szlachta do koła.

– *Wun Sowietnik*⁸⁰ – rzekł Gawęł, przeciągając wskazujący palec pod samym Gaudentego nosem.

– A ja słyszał – rzekł ktoś z tłumu – że niby to już ma kawalerię?

– Wielkie dziwo! – odbił pan Gawęł. – Nie darmo to Petersburg! Żeby nie to, to nie nazywaliby jego Petersburgiem!

– Wczoraj rozmawiali jedne państwo – rzekł inny – że on niby to zapisał się w jakieś bardzo ważne urządowanie.

– W urządowanie! Ot, tobie, i powiedział! – bąknął z dumą pan Bartłomiej, stojąc z opartymi na kolanach rękoma i wyciągając głowę z szeregu patrzących. – On, jeśli już chcecie wiedzieć, zrobił się najstarszym sekretarzem.

– Oto, panie, sztuka! – rzekł, ocierając pot z czoła pan Gaudenty.

– Nie, on nie sekretarz – odezwał się znów Gawęł. – On tak jak ja powiedział – sowietnik. Tak mojej ciotce powiadała Ekonomowa pani Podstoliny.

– Ot, tobie i raz! – rzekł Bartłomiej. – Niby to nie wszystko jedno, co sowietnik w Petersburgu, a co najstarszy sekretarz!

– To na nasze rangi, niby to będzie jak marszałek? – zapytał jakiś nowy heroldzista z czerwonym nosem.

– Oj, ba! Jeszcze jaki! – odezwał się ktoś z boku.

Pan Gawęł popatrzył z ukosa na dowodzących marszałkowskiej rangi jegomościów i rzekł, zażywając tabakę:

– To chyba niedawno poszedł w górę.

– A rozumie się, że niedawno! Przeszłego roku, mój panie, jak napisał do niego pan Sędzia, żeby pomógł Gnoińskiemu – a ja sam odwoziłem to pismo na pocztę, bo było w niem, mój panie, dwa tysiące rubli samymi sturublowymi asygnatami – więc tylko com odwiózł, mój panie, a tu buch! Przez tydzień już i utwierdzony!

– O, już to i ja mam nadzieję – rzekł z cicha szlachcic w lisiurce do drugiego, który stał z założonymi na brzuchu rękoma – Pan Marszałek napisał do niego takie protekcyjne pismo, że to strach.

⁸⁰ *On jest Radca.*

– Oto – rzekł potężny szlachcic – jak komu samo szczęście idzie do rąk! A mnie taka bieda z moją legitymacją, że w głowę zachodzę i nie wiem, co począć! Prosiłbym tego pana, ale nie mam przez kogo! Prawda, że moja cioteczna siostra знаła go jeszcze dzieckiem, kiedy rodzic jego służył u pana Marszałka ekonomem; nieraz nawet nosiła na rękę, dalibóg prawda! ale może on teraz spaniał⁸¹.

– Uch! Dobry wieczór, panie Makary! – przerwał jakiś krępy, w długim, barankowym surducie szlachcic, chwytając go za rękę i ocierając pot z czoła. – Czy nie widziałeś się z Walentym? Jezusie Nazareński! Czy nie ulokował on jeszcze swej sumki na procent? Bieda, bracie: Szachrajski mnie zgubił! Posłałem mu raz dwieście rubli; później jeszcze sto; na koniec pisze do mnie: przyślij jeszcze sto – i bądź spokojny; posyłam jeszcze sto – aż przez dwa miesiące drugi list: przyślij jeszcze sto – i bądź spokojny. Jezusie Nazareński! – rzekł szlachcic, biorąc się za głowę. – Musiałem sprzedać moje szpaki za bezcen – posyłam jeszcze sto – aż dowiaduję się dziś, że dzieło od dwóch miesięcy zwrócono bez skutku... Lecę ja do Szachrajskiego: Mam honor słać się pod stopki Jaśnie Wielmożnego Pana! Jestem Onufry Szychlicki; moja la... le... lamentacja pod wspaniałomyślną opieką J. W. Pana. – A, pamiętam! Pamiętam! Starałem się! Starałem się! Trzeba jeszcze rubli srebrnych dwieście. Ja, jakem to posłyszał, tak, czy dasz wiary, Panie Makary, niech żony i dzieci nie oglądam, jeśli kłamię w czymkolwiek, tak mi i poźóciaaaaał w oczach... Pierwszy to raz taka ze mną obfuskacja⁸² w życiu.

– No i cóż dalej? – rzekł ktoś z tłumu.

– A cóż! *Wodu wary, woda bude!*⁸³ Lecę ja do deputata Rodosłowskiego: Ej, ratuj, panie – zginąłem! Poradził, daj mu Boże zdrowie!

– A jak poradził?

– Żeby poręczyć Zdzierskiemu.

– A pieniądze przepadły?

– Och, westchnął szlachcic; przepadły, jak w wodę wpadły! Pan Deputat powiedział: daj pokój! – bo jak nie widzieć ci przeszłorocznego śniegu, tak nie widzieć twoich karbowaniców!⁸⁴ I myślę sobie: *cur jemu, pek jemu!*⁸⁵ Niech go paraliż tam weźmie... Bóg sprawiedliwy, będzie kiedyś sądził i mnie, i jego!

Rozległ się cichy szmer między szlachtą; pan Makary dobył potężną z brzo-zowej kory tabakierę, otworzył ją, zapuścił wewnątrz dwa grube swe palce, zgar-nął potężną szczyptę i już transportował do nosa, i już nos sfałdował się z ukosa,

⁸¹ *Spaniał* – nabrał wielkopańskich manier.

⁸² *Obfuskacja* – tu: zaciemnienie, zaćmienie.

⁸³ *Wodę gotuj, woda będzie!*

⁸⁴ *Karbowaniec* – rubel na dawnej Ukrainie (zapewne od karbów, nacięć monety).

⁸⁵ *Cur jemu, pek jemu!* – w znaczeniu: idź do diabła!, bodajś szczezł! (*cur* – gw. diabeł).

jakby spodziewając się prędkiej wizyty sympatycznego gościa, gdy w tym czyjeś cudze dwa palce, z których jeden był opatrzony potężnym pierścieniem z pieczętką na krwawniku – sięgnęły w tabakierę pana Makarego.

– Aaaa! *Słychom słychaty, w wiczy wydaty!*⁸⁶ – krzyknął pan Makary. – Pan Michał z Podola! Kopa lat! Jakże się miewacie, co porabiacie! I ścisnął go serdecznie, i całowali się oba.

– Dawno, doprawdy, dawno nie widzieliśmy się, panie bracie! Całe lat cztery! Nie ma gadania, postarzałem się zapewne jak sirko?⁸⁷

– Wyglądasz jak rydz poleski!

– Nie ma gadania! To może jak kawon besarabski?⁸⁸ – bo to my stepowi mieszkańcy nie znamy się na waszych rydzach.

– Niech i tak! No, cóż go zagnało tutaj? Zapewne ciepłe zanadrze? – rzekł pan Makary, ochwytyjąc kieszenie lisiurki. – Może posesyjka⁸⁹, a może i dziedzictwo?

– Nie ma gadania! – zadrebotął⁹⁰ pan Michał. – Nie ma gadania! Dziś nie to mi w głowie! Wszak wiesz, zem zapisany w waszej guberni do skazek?⁹¹ Stanowy przystaw, nie ma gadania, zaczął mi piekielnie dokuczać o dokumenta.

– O, to każdemu podobno.

– Ale co to! – rzekł, potrząsając dumnie głową pan Michał. – Albo to ja nie szlachcic z pradziadów? Mój ojciec służył w skarbie ks. Lubomirskich leśniczym, mój wuj był prowentowym pisarzem⁹², moja nieboszczka matka, nie ma gadania, wiadomo całemu światu, że urodzona Gądziebska! Co tu, panie, długo: nie ma gadania, niech zapytają Proboszcza i berdyczowskiego Organistę, a i ci powiedzą, że ja nie aby jaki! Mam też świadectwo dwunastu obywateli, nie ma gadania, z pieczęciami i na stemplowym papierze, a oprócz tego była w Deputacji sel... sem... sempulterna⁹³ mego ojca i men... metryka mojej matki, wszelakoż ja dla bezpieczeństwa zapisał się w jednorozcy (*)⁹⁴.

– Tego dziś nie dość panie – rzekł jakiś nowy przybysz, ile sądzić można było z powierzchowności, należący do innego towarzystwa. – Trzeba starać się o nowe dowody.

⁸⁶ *Uszy słyszą, oczy widzą.*

⁸⁷ *Sirko* – człowiek ubogi, wzbudzający litość.

⁸⁸ *Kawon besarabski* – arbuż zwyczajny z Besarabii, słodki, soczysty.

⁸⁹ *Posesyjska* – tu: dzierzawa.

⁹⁰ *Zadrebotał* – powiedział, zagadał.

⁹¹ *Zapisany do skazek* – prawdopodobnie: mający zeznawać.

⁹² *Pisarz prowentowy* – w dawnej Polsce urzędnik trudniący się kontrolą dochodów (prowentów) majątku ziemskiego.

⁹³ *Sempulterna (sempiterna)* – żart. tyłek.

⁹⁴ *Zapisać się w jednorozcy* – przyjąć herb szlachecki Bończa, w którym znajduje się jednorozec.

– Ale kiedyż piekielnie drogo kosztuje, widzi pan – rzekł ktoś, drapiąc się w głowę. – Ja, widzi pan, służę, a poręczyłem przed sześciu laty jednemu panu zebrać dokumenta; on wziął u mnie dwadzieścia obrączkowych i jak w wodę wpadł – nie wiem nawet, czy żyje na świecie.

– A u mnie i te dokumenta, co były, przepadły w zastawie.

– A u mnie jest jeden bardzo ważny papier, niewiele mówiąc, zaraz utwierdzą, jak pokażę! List oryginalny od księcia Lubomirskiego do mego ojca, który, niewiele mówiąc, służył koniuszym w jego skarbie. Na kopercie, niewiele mówiąc, tak napisano: Wielmożnemu Jmci Panu Tomaszowi Szlachcińskiemu w Kogutówce, a we środku, niewiele mówiąc, prosi, żeby ojciec przysłał mu do Warszawy tureckiego ogiera, i podpisano, niewiele mówiąc: iks, ka, Lubomirski i, niewiele mówiąc, zakrecono na końcu.

– To nie dowód.

– O, jak nie dowód! Toż niech, niewiele mówiąc, spojrzą na twarz, na ręce – rzekł dobrodusznie szlachcic, zakasując rękawy. – Czyż to nie szlacheckie ręce? Czy takie u chłopca?

– Te to tak straszą, straszą, taj przestaną – rzekł z tłumu jakiś rura z ogromnie długą i wygiętą szyją, szerokimi ustami i nabrzęktą twarzą. – Jakoś to będzie! *Szczo buło – baczyły, a szczo bude – pobaczym*⁹⁵. Diabeł nie taki straszny, jak go malują – a jak Pan Bóg da, tak będzie, widzi pan Gaudenty. Chodźmy no do Bartłomieja na gorzałeczkę.

– O, źle tak myśleć! – rzekł znowu ten jegomość, który zdawał się mówić rozsądniej od nich wszystkich.

– Kiedy widzi pan, nie ma czasu, ot co! Ja na przykład jestem w obowiązku, a wydalę się, to nie będę miał żyć z czego, ot co.

– Więc poręczyć komu innemu.

– Ale kiedy oszukują, niewiele mówiąc. Pieniądze wezmą i nic nie zrobią.

– I tak się to zdaje, widzi pan, a jak przyjdzie co do czego, to tyle kłopotów, niech Bóg broni!

– Nie ma gadania, a potem może jeszcze starać się i w Petersburgu?

– Starania nigdzie nie zaszkodzą, zawierajcie je tylko zacnym ludziom. Czyż wy myślicie, że i tu, i w stolicy nie znajdziecie takich? Są, tylko trzeba dowiedzieć się, poszukać. Nie ci to są poczciwi i sumienni, którzy wam obiecują złote góry, byle wydrwić pieniądze; nie ci, co wietrzą interesów, nastęrczają się sami, bez braku biorą wszystko, co się nawinie pod rękę, umówią się za bezcen, a potem wydoją dziesięć razy więcej, tumanią w żywe oczy fanfaronadą, chlubią się stosunkami, słowem, uchodzą w waszych oczach za ludzi, mogących robić z białego

⁹⁵ *Co było – wiadomo, co będzie – zobaczymy.*

czarne, z czarnego białe, bez względu na sprawiedliwość i prawa. Są to pastki⁹⁶ na nieopatrnych – nic więcej. Człowiek sumienny przejawia swą wartość nie fanfaronadą, nie przepłaconym frakiem, ale czynem, a właśnie dla was potrzeba ludzi sumiennych, ludzi czynu. Czy myślicie, że modna kamizelka, żółte rękawiczki, takie same robią wrażenie w stolicy, jak i u was? Dla waszych to zaściankowych oczu blask zaślepiający. Sądźcie tych panów z opinii ludzi uznanej cnoty, ludzie ci żyli w świetle i znają jego stosunki, lecz nie na własne oko – bo wy możecie być poczciwi, ale ograniczeni; znacie, kiedy posiać żyto, kiedy skosić sianozęć, jak wypisać pańszczyznę, wykarmić wieprza, ale nie wiecie ani praw, ani porządku, ani co też robią ludzie na świecie za miedzą siedzib waszych.

– Święta prawda, łaskawy panie! – rzekł jakiś przyzwoicie ubrany szlachcic. – Przekonałem się i ja o tym. Włączyłem się w interesie moim i tu po aktach, i tam w stolicy; poznałem tych ptaszków i dziwnych o nich nasłuchiwałem się rzeczy! Tumań mi jeden z tych jegomości w najlepsze przez lat cztery, doił jak krowę, aż gdy przyszło zbyć ostatniego konia, zbyłem, wziąłem tłumoczek na plecy i poszedłem. Bogu wiadomo, wiele ucierpiałem! – ale znalazłem przecie dobrych ludzi, których wzruszyła moja nędza!

Po chwili rozprzęgło się zgromadzenie. Ten poszedł gawronić w magazynach, ten rozdziawił gębę, słuchając grającej pozytywy, ów targował cybuch, inny sylabizował afisze pouczone do słupów, a reszta zmieszała się z tłumem na środku sali.

Zmiłuj się, mój kochany Józefie, czyż u was wszyscy tacy? Nie, nie myślę tak, smutno byłoby nawet myśleć podobnie!... Cel tak szlachetny, tak święty, być patronem dalekich, nieświadomych i biednych, miałżeby być tak nadużywany przez wszystkich?... O nie! Stokroć nie! Słyszałem, znam nawet wielu godnych ludzi, którzy pojęli ważność swojego powołania, których tu błogosławią w lepiankach, szanują w pałacach. Ale tu znowu nastęcza się pytanie: czemuż te kilka brudnych kropel tak powszechną rozlewają zarazę? Tyle zrzadzają złego? – Czemu? – Bo wielu mamy jeszcze poczciwych i naiwnie prostych, dla których lada okólnik sądu ziemskiego jest już nierozwiązanym węzłem, którzy tak są obcy i praw, i znajomości świata, i środków, jakich jać się wypada, że lada szarlatan wmówić w nich wszystko może: jurysdykcje powiatowe są już dla nich niepojętą rzeczą, a cóż dopiero gubernialne, a cóż dopiero stoliczne?!

Podkomorzy kazał kłaniać się tobie. Tego człowieka nie przestaną szacować nigdy. On sobie nie filozofuje, ale myśli naturalnie, po prostu, postępuje poczciwie, jest prawdziwie pożytecznym w społeczeństwie naszym. Prawda, że jest człowiekiem starej daty, nie ma wysoko ukształconego smaku, nie wda ci się nigdy w filozoficzne kwestie, nie lubi naśladować mody – ale za to ma inne przymioty.

⁹⁶ *Pastki* – małe zasadzki, potrzaski, pułapki.

W niedzielę obaczysz go zawsze w granatowej węgierce, w białej chustce, ubranego czysto i skromnie. Jak tylko dziesiąta, Podkomorzy już dziarską piątką zajężdża przed kościół, słucha mszy przykładnie, potem odwiedza proboszcza, sprasza sąsiadów na obiadek, który zawsze zowie szlacheckim – a w domu tak u niego wszystko idzie porządnie jak zegarek. Wesoły bez przymusu, ale razem z tym nie lubi ludzi wolno myślących i oszczerstwa. Dziwnie przenikliwą ma znajomość ludzi, trafny i głęboki sąd o rzeczy – a wszystko to wyciągnął z praktycznego życia. Jego dowodzenia nie trącą ani pedanterią, ani paradoksami, ale zdaje się, że ożyły, wylęgły na miejscu, a rozrabiają się w szczególnie trafnym i oryginalnym sposobie na przysłowia i przypowieściach narodowych. Nie potępi on z góry reformy, ale też i nie chwyci się jej bez gruntownego o lepszości onej przeświadczenia się. Poszedł w świat, jak sam powiada, z jedną złotówką w kieszeni i przez lat trzydzieści dorobił się to w obowiązkach, to na posesjach, to handlem pięknego majątku. Z Marysią kochają się od lat dwudziestu jak gołąbki i nie mówią do siebie inaczej jak: jegomość i jejmość. Trzeba, żeby termometr rozczulenia stanął o kilka stopni wyżej (co się zdarza ledwie kilka razy do roku), ażeby on ją nazwał: Marysiu, a ona jego: Stasiu. Niedawno, widząc się u Sędziego, zawiązaliśmy z nim rozmowę o jednym tu młodym człowieku, którego stronę trzymaliśmy wszyscy.

– Pozwólcie, pozwólcie, panowie – rzekł on, załamując według zwyczaju, prawą ręką na lewej palce, jakby dla odbicia taktu. – Wy go znacie osobiście, a ja chociaż nie znam osobiście, ale znam z czynów. „Po ich owocach poznacie ich”. Rodzice mu dali wychowanie piękne i oddali do wojska. Jak on tam służył, to służył. Może szalał, może hulał – ale to się przebacza. *Kto ne buw mołod, toj ne buw dureń*⁹⁷. Umarł ojciec, on wystąpił ze służby, powrócił na wieś, został dziedzicem wsi dużej, dobrze zagospodarowanej, czystej jak łza w oku. I oto nie upłynęło lat pięciu, gdy tyle zmian zaszło w jego losie: 1-mo, ożenił się z młodą i śliczną dziewczyną. 2-do, majątek założył w banku i obciążył długami. 3-tio, wojażował za granicą. 4-to, przegrał do trzechkroć w karty. 5-to, zakochał się w jakiejś rozpustnicy, która poróżniła go z żoną. 6-to, opuścił żonę bez sposobu do życia, a majątek obciążony długami. 7-mo, żoneczka zaromansowała z drugim i ruszyła w inną stronę świata. 8-vo, wypadło stąd kilka kłótni i kilka pojedynków, a z tych znowu: procesa, śledztwa, oskarżenia i wyprowadzenie na jaw takich domowych rzeczy, które nigdy nie powinny widzieć słońca i 9-mo, na koniec, majątek za długie przeszedł w cudze ręce, a on dziś ze złą opinią, bez sposobu do życia, stokroć nieszczęśliwszy od tego na przykład chłopca, co pasie bydło, co zarabia siekierą, co czyści buty – bo zasmakował już w próżniactwie, zepsuł się w zbytkach, pracować nie umie i nie może, cierpliwości i wytrwania mu braknie, religii i pokory

⁹⁷ *Kto nie był młody, ten nie był głupi.*

nie znajdziesz choćby szukał ze świecą; ani ty go nie weźmiesz na rządce, ani ty na pisarza, ani ten pan na nauczyciela, ani ów magnat na domowego przyjaciela – bo on tam jakże potrafi rządzić na cudzym, kiedy nie umiał na swoim, tam mu za nisko, tam niczego nie nauczy, tam porodzi intrygi – i oto ten człowiek jest rozumny! Że gada, mój panie, płynnie różnymi językami, że umie i ma powiedzieć o czym, że ci zdefiniuje, co to jest religia i cnota tak, że nasz Proboszcz nie potrafi lepiej, że ci najgruntowniej wyłuszczy potrzebę, pożyczając pieniądze, i oczywiste stąd zyski – to prawda; ale cóż, kiedy to wszystko są słowa na wiatr! Nazajutrz przy kieliszku cnotę wytłumaczy na wywrót, religię wydrwi, pieniądze straci – i znów smutny, cnotliwy i goły. O! Nie, moi panowie! Żeby go uczono katechizmu przy francuszczyźnie, byłby on i rozumny, i cnotliwy przy tym; gdyby mu nie pozwalamo tracić na fraszki tysiące, nauczyłyby się on za młodu cenić pieniądze... Dziś wszystko już za przewozem. Gnij drzewo, gdy się gnije. Teraz, jak mówią u nas: *I lisa zbawysz, i bisa ne naprawysz*⁹⁸.

No i jak tu nie kochać Podkomorzego, kiedy on taki poczciwy i tyle w jego słowach nieperfumowanej wprawdzie, ale szczerzej, staropolskiej prawdy? Stąd też jest on u nas wyrocznią. Jego obierają kompromisarzem⁹⁹, do niego udają się po radę, od niego zaczynają wszystkie uchwały, składki i projekta, jego słowa cenią jak dukaty. Ale nikt go nie szacuje bardziej nad dorobkową szlachtę. Temu oto na przykład trzeba na posesyjkę, temu włożyć w handelek, temu na cośkolwiek innego jakie kilkaset czy kilka tysięcy złotych – udają się wprost do niego, spowiadają się mu szczerze z zamiarów – on ich wysłucha, wyrozumie, a skoro obaczy, że człek poczciwy i opatrny, że dopomóc mu można, pożycza zadaną sumkę, a w dodatku daje długą radę i porządną naukę.

Jakby dla umyślnego kontrastu jest tu i drugi podkomorzy. Głupstwo i zrozumienie tego człowieka nie zmniejszyły się ani o włos jeden. Obywatelstwo, tytuł podkomorzego, dusz pięćset, siedzą mu ćwiekiem w głowie. Nie cierpię tego człowieka. Oburza mnie ta pogarda, to ubliżenie biednym, to zaprzanie się własnego pochodzenia, jakaś źle zrozumiana duma, przez którą chce się oddzielić od uboższej klasy. O! Jakże obfitujemy w podobnych półgłówków! To kłęska, to plama, to hańba nasza! A toż unieżenie się przy tym wszystkim, gdy idzie o interes?... Serce boli patrzeć, jak ten zaraźliwy rozsądnik naszych prowincji, fundujący się li wyłącznie na dumie, a upoważniony i kursujący przez majątek, nie odpowiada godnie obowiązkom leżącym na nich, w złą nas wprawia opinię u obcych, a co najgorsza, iż wywiera zębny wpływ na biedniejszą klasę. Tą klasą są tak nazwani oficjaliści, potomkowie tych to dawnych oficjalistów, którzy odrębną, a tak charakterystyczną,

⁹⁸ *Lisa zbawisz, a diabła nie naprawisz.*

⁹⁹ *Kompromisarz* – dawn. sędzia polubowny.

składali klasę onego czasu, kiedy to jeszcze też prowincje nie poklatkowały się na tysiączne cząstki, lecz w kilku zostawały rękach. Wszak wiesz, jak to liczna była przed luty gałęź szlachty i jak przez długą, a jednostajną kolej życia, odrębnym siebie nacechowała charakterem? Służąc z pradziadów po wielkich skarbach, byli to po większej części ludzie poczciwi, przywiązani i wierni. Przekonani, że za pocziwą służbę czeka ich na starość domek z dożywotnią pensją i opieka dla dorastających pokoleń, służyli ci dobrzy ludzie gorliwie, a co najbardziej – uczciwie, nie obciążając sumienia hańbiącym czynem. Jeszcze przed niedawnym czasem widziałem ja po większych skarbach te ocalone szczątki i z serca kochałem się w tej ich serdecznej otwartości, w tych szlacheckich dworach z kalendarzem i kwitami na kołku, z tabelą do wypisywania pańszczyzny na stoliku, kwiatami na oknach, skrzypcami, fuzją i cyfrą gospodarzy na ścianie. A owe folwarki w kwitnących ogrodach wioskach? Owe zawsze przy nich sady, gołębniki, ganeczki z czysto wymytymi ławkami? Owe zabawy, polowania, zjazdy do kościoła albo na wieczorynki? Owe hoże, czarnobrewi ekonomówny i wielbiciele ich wdzięków, panowie pisarze, leśniczowie, rachmistrze itd.? Owe mazury ze wszystkimi akcesoriami i te gry w cenzurowanego, w wojażera itd.? Wszystko to było proste, ale serdeczne i weselsze jak dzisiaj. Tak rozsadzona po wioskach szlachta, gospodarząc i bawiąc się na przemian, przechowywała w łonie swym te tylko pojęcia o obecnym ich bycie, jakie odebrała przy dworach – tymczasem ogólny stan rzeczy zmieniał się i inne na masę narzucał formy. Rdzeń mas nie tak prędko uczuł wpływ zewnętrzny i aż dopiero wyzuł się z biernej roli, kiedy zmuszono go do tego. Zaczęły się kratkować majątki, nikły ogromne magnatów dobra, a z nimi dawniejsze instytucje gospodarskiego bytu. Pozbawiona miejsc szlachta tułała się tu i ówdzie bez zasobów i wsparcia, aż na koniec, przyciśniona głodem i chłodem, czepiała się lichych miejsc po wioskach drobnych obywateli, i już samo przez się nie mogła mieć tych wygod i niezależności jak niegdyś. Od tych, co byli zanadto starzy na odrodzenie, nie można już było i żądać odrodzenia – ale byli młodzi, lecz na nieszczęście ci młodzi nie mogli się otrząsnąć tak prędko od wyobrażeń ojców. – „Źle na świecie!” – mówili ojcowie – „Źle na świecie!” – powtarzały i dzieci – i szli dalej a dalej z tym przekonaniem, że to nie im tylko, lecz wszystkim źle na świecie. Jeśli kto i rozpatrywał się czasami około siebie i mógł wpadać na myśl, czy nie obrać innej drogi, to znowu z drugiej strony niewiadomość, przyzwyczajenie, ciągnęły go na stary trop jak wilka do lasu – bo on zwykł się z tą biedą i jak ów Poleszuk nie śmiał budować sobie z cegły pieca, nie dlatego ażeby to nie było dogodniej, ale że brakło mu na odwagę przejść z kurnej do wybielonej chaty.

Cóż więc następowało po tym wszystkim? Jak w każdej ostateczności – wynaturzenie się i nędza... Ta niefortunna młodzież, straciwszy się, siedząc na bruku do ostatniego grosza, rozlaża się po miejscach, mało zważając na dogodność, byleby

zapewnić mizerny kawał chleba. Ten tam został pisarzem za kilkadziesiąt złotych, ten przyjął obowiązek quasi-ekonoma u obywatela, co sam niedawno powstał z ekonoma, kupił część wioski i sam zamieszkał folwark, i sam wypisywał pańszczyznę, i był istotnym ekonomem; czym więc tam mógł być ekonom, jeśli nie posługaczem? Inny został rachmistrzem miniaturnej registratury¹⁰⁰ i przy tym odbierał polecenia zastępować miejsce gumiennego; inny na koniec leśniczym kilkadziesiąt dziesięcin lasu bez gajowych i chaty itp. – I to nic jeszcze – ale zważ, że ci *pomieszczyki*¹⁰¹ są to różnego rodzaju, różnych plemion, dumni, kapryśni, głupi – ci znowu – ulegający i biedni. Kiedy tamci nie czuli wędzidla w obejściu się – ci musieli znosić w milczeniu wszystko. Szczęście nie zmienia złych nałogów w głupim człowieku: na to trzeba oświaty; ale nieszczęście może wynaturzyć i najszlachetniejsze uczucia... Lżony, pogardzany, w ubóstwie i nędzy, pędząc ciągle koczujące życie – on pierwiej zamknie usta, potem przyzwyczai uszy, później zobojętni uczucia, na koniec ubecznelni czoło – i oto masz z prostego, poczciwego człowieka godną litości i pogardy istotę. Nie posiadając głębszej oświaty, co by go jedna podźwignąć mogła z niedoli, dając wyższy pogląd na rzeczy – on przeciwnie: zniża się jeszcze bardziej, zaspokojenie doczesnych potrzeb uważa za jedyną rękojmnię bytu, tak myśląc osłabia moralność i na koniec przychodzi do piątego aktu życia, w którym kończy stosownie do tego jak przemaga, jakiego rodzaju siła wewnętrznych skłonności – gorzałką albo hańbiącymi czynami... Mój Boże! Iluż to z pięknymi nadziejami młodości, podpadłszy podobnej kolei, skończyli tak smutnie!... I cóż tu więcej winić należy: przyczynę czy skutek?

O! Jak mnie bolało nieraz, kiedym widział, jak młodzieniec zdolny do broni lub pióra, tracił młodość na lichej funkcji pisarza lub stajennego, czapkując przed panem, zlizując w kredensie talerze, spełniając najniższe rozkazy, obrywając kpy¹⁰², durnie i z tym wszystkim, nie mając dostatecznego grosza na okrycie grzbietu!... A tak otoczonemu głuszą wiejskiego życia, odosobnionemu od postępowego świata, obcemu ustaw o właściwych stosunkach w społeczeństwie – ten pan pozyskuje w jego oczach jakąś uległość bojaźliwą i bezwzględna. Czegóż to jest skutkiem, jeśli nie ograniczonych pojęć o świecie, jego instytucjach, jego dążeniu i potrzebach? Nabralbym ci na to spod ręki kilkadziesiąt przykładów. Z kolei mógłbym ci wskazać i tych, których jakiś szczególnie wypadek na inną pchnął drogę. Podczas Kontraktów napływa tu tej tułacej szlachty mnóstwo. Poznać ich nietrudno z ubogich szat, kornej miny, niepewnego wejrzenia, stłumionych pojęć. Ale jeśli wielka ilość odważa się szukać aż

¹⁰⁰ *Registratura* – dawn. kancelaria, biuro, gdzie się dokonywało rejestracji, przechowywało zbiór dokumentów.

¹⁰¹ *Pomieszczyk* – dziedzic, właściciel majątku ziemskiego (ros. помещик).

¹⁰² *Kiep* – przest. osoba głupia; tu *obrywać kpy* 'przyjmować obelgi'.

tu dla siebie miejsca, daleko większa nie wyziera z głuchych wiosek, obcą jest nawet w pojmovaniu troszeczkę wyższej cywilizacji. Ten, który się nie zastanowi głębiej nad ich obecnym położeniem, posądzi ich o zły pierwiastek i posądzi najniesprawiedliwiej. To ni mniej, ni więcej jak jeszcze dawnego kopyta szlachta, tylko o tyle niższa od nich moralnie, o ile niższa stanem. Duma, otwartość i szlachetna uległość tamtych żyje i w tych, ale już trąci albo śmiesznością, albo poniżeniem. Jezuicka i bazylikańska oświata uczepiła się od ojców i sukcesorów, ale tak sobie – bez wymusu – więcej przypadkowo jak z porządku rzeczy i to piąte przez dziesiąte, bez zasad i przygotowania, ot, jak ta babiego lata pajęczyna, co lecąc z wiatrem uczepi się pierwszego z płotu kołka. Są nawet, jeśli chcesz, zdania o warunkach bytu, o społeczności, o stanowisku własnym, o przeszłości, nadziei, polityce nawet, ale biedne to zdania! Tak i poznasz na pierwszy rzut oka, że wylęgle jeszcze z łbów sejmikowych albo cuchną gorzałką Radziwiłła! Kiedy świat ledwie nie co rok jak wąż nową bierze na siebie łuskę, to jakoś dziwnie cudzo pływają one po dzisiejszej warstwie wyobrażeń... Oto co w nich jest najbogatszego – serce. Ponieważ uczucia nie mają daty, więc chociaż odziane nie w nowe formy, ale zawsze nie są bez interesu i ceny. Prawdziwe złoto ma swą wartość w najbardziej staroświeckim naczyniu. Wielu z nich noszą ten drogi skarb w swym łonie, nie czyniąc z niego użytku, nie znając właściwej jego ceny i, powiem śmiało, są nim bogatsi od wielu bogatych przy całej swej nędzy – i będą bogatsi, aż póki nie wyduszą go u nich za jakąś podejrzaną wartość błyskotkę, jak wydusza Żyd znalezione przez prostaczka klejnoty za kwaterkę wódki.

A więc potrzeba lekarstwa. Jakiegoż? Oświaty! I jeszcze raz oświaty! Jak tym drożdżowym panom, ażeby pozbyli się głupstwa i dumy – tak tym biedakom, ażeby nie zapomnieli zupełnie, że są ludźmi!

A może to już zakrawa na rozprawę, mój kochany Józefie? Wybacz mi moje zbyt nie uniesienie się. Kiedyż, bo ot tak – słowo po słowie, myśl za myślą, zagnały mnie aż do tego punktu. Tak to w najmniejszej części, w każdej stronie społeczeństwa, z jakiego byś stanowiska nie patrzył na nie, skoro wpatrzysz się głębiej, musisz zawsze odsłonić moralną stronę człeka, bo ta jest, że tak powiem, wielkim ogniskiem, gdzie pod tysiącnymi kształtami, stosownie do miary społeczeństwa, różnorodne odlewają się formy.

Twój Karol

PS Zapomniałem wspomnieć ci jeszcze o Podkomorzym, który tu przybył z żoną, z tą młodą, prześliczną Ewelina, którą porównywał często do *Psyche* dłuta Kanowy¹⁰³.

¹⁰³ *Psyche dłuta Kanowy* – chodzi tu o rzeźbę *Psyche budzona przez pocałunek Kupidyna*, znaną także jako *Kupidyn i Psyche*, Antoniego Canovy (włoskiego rzeźbiarza doby klasycyzmu). Wykonana w trzech wersjach, pierwsza pochodzi z 1787 roku.

Na samo wspomnienie o niej stają mi mimowolnie w myśli upłynione lata, twoje stosunki z tym domem, twoje myśli, słowem cały chaos najsprzeczniejszych uczuć, pod których wpływem zostawałeś często i co cię w końcu wyгнаło od nas na daleką Północ i dziś przerobiło może na wyrachowanego, zimnego, obojętnego człeka. Podkomorzyc wprost stąd jedźcie do Petersburga z żoną i ma tam u was zabawić miesiący kilka. Widząc się wczoraj ze mną, wziął twój adres i miał być u ciebie.

Czy przypomnieć ci Ewelinę? O, Ewelina jest dziś prześliczną kobietą! Młoda, świeża, z czarnymi oczami, z czarnymi włosami, spojrzeniem pełnym to melancholii, to ognia i ślicznie obrysowanymi ustami. Harmonia w tych rysach zachwycająca; składa się z nich całość pełna nieopisanego uroku; patrząc na nią, zdaje się, że morze rozkoszy zalałoby szczęśliwca w jej objęciach... Te ramiona, te piersi, ta wspaniała i razem pełna najrozkoszniejszych form postać... słowem wszystko, aż do chińskiej stopki, zachwyca w niej oczy... Ale jest to piękność nie tylko dla oczu – o, nie! Przez zmysły, które natura oblekła w tak czarowne formy, bije uczucie, wywnętrza się myśl, ta myśl, co to w kobiecie promieni się przez serce, przeświadcza nas o jego pełnym życiu i ubiera w niewypowiedziany urok to wszystko, co wyprowadzi na jaśnie¹⁰⁴.

Boże mój, Boże! Myślałem nieraz, żeby taka żona malarzowi, poecie – o! Jak oni umieliby czuć, ocenić te przymioty i wdzięki! Do iluż to by prześlicznych natchnęła ich utworów! A może by i nie tak? Myślałem znowu. Może ten kwiat dotąd tylko i wonny i uroczy, pokąd nie dotkniemy go dłonią?... O! Nie rozczarowujmy się dobrowolnie, bo nie będziemy w stanie dopisać i tej oto stronicy.

Podkomorzyc jest to człowiek, jak poznasz na pierwszy rzut oka, zakochany w sobie po uszy. Zwierciadło i modne suknie są dla niego najważniejszym zajęciem i głównym prawie życia przedmiotem. On wnioskuje i o ludziach na teźże zasadzie. Kto się ubiera najmodniej, ten jest według jego zdania i najrozumniejszy człowiek; taki tylko może zająć całą jego uwagę, pozyskać przywiązanie, z takim wejdzie w bliższe stosunki, bo ta powierzchowna tożsamość uprzedza go już z góry, że znajduje swego. Pieszczotliwe, domowe wychowanie, powierzchowny jedynie polor, zniżone do drobnostek pojęcia, nieznamość świata i jaka taka twarzyczka – oto co wyradza u nas tę kukielkową młodzież, która zaniechawszy głębszego ukształcenia umysłu, traci pół życia przed zwierciadłem, drugie pół na salonie i potem przerabia się w jakiś nijaki rodzaj bez męskiej energii i siły, lecz i bez wdzięku kobiecego uczucia. Podkomorzyc był jeszcze w samym okresie działalności władz duszy, ale prowadzony za rękę po jednej ciemnej a nudnej drodze, stał się ociężałym nadzwyczaj. Młody umysł zawrzał trochę z początku, ale przykryty pokrywą

¹⁰⁴ *Jaśnia* – jasność, tu: wydobyć na światło dzienne, uczynić widocznym, znanym, pokazać światu.

zadusił sam siebie i rozciął się na kilka żyłek zmysłów, które odtąd przemogły nad całym. Tak mu było z tym dobrze, tak był kontent za niczym nie chodząc daleko, iż przeniósł to niziutkie, wegetacyjne stanowisko nad wszystkie szczeble wysokiej drabiny losu i, jak sam powiadał, nie mógł spojrzeć do góry, żeby nie dostać zaraz zawrotu głowy.

Wychowanie Eweliny, jak ci wiadomo, było prawie na tę samą stopę, ale jej wdzięki, jej naturalna bystrość pojęcia mają widoczną wyższość nad bierną rolą męża. Zauważałem, że umysł jej nie leni się wyrabiać z różnych wrażeń jednego stałego przekonania, chwytą każdą nowość, z niedowierzaniem przyjmuje słabszej natury zdanie, ale lgnie namiętnie do takich, których czuwa wyższość. Są to zwykłe skutki tych żywych uczuć, co wyszły w świat bez stałych zasad o prawdzie, chciały ją znaleźć – szukały dokoła – i znalazły... co? – Romanse francuskie pod ręką... Te romanse napełnione całymi tysiącami najsprzeczniejszych, najróżnorodniejszych idei na drugie tyle rozgałęziły się idee w pojęciach naszych czytelniczek. To już nie jedna stała, a niedwuznaczna prawda, to już nie ten przybytek, do którego z jakiegokolwiek zakochałabyś strony, wstęp mieć będziesz, lecz wskażą ci jedną tylko do wyjścia drogę – tu przeciwnie: jak w magazynie ubiorów, na każdy wzrost, do każdej figury doберiesz odpowiednią szatę. Gdzie się nie zwróc, dokąd nie zajdziesz¹⁰⁵ – wszędzie znajdziesz apostołów twej wiary. Ty nie pytaj ich uprzednio, czy tak można czynić. Ty czyń i tylko zażądaj temy¹⁰⁶ na swoje *widzi mi się*, zaręczam z góry, że nie powiedzą: tej szkoły nie masz u nas.

Ewelina była właśnie kobietą naszego czasu! Ojciec jej, sztuka harda, nadęta i głupia, kupiwszy majątek i nazwawszy się obywatelem dusz tysiąca, a do tego będąc wybrany urzędnikiem, dał wychowanie swej jedynaczce, jak je pojmują teraz – a gdy nadpłynął rok siedemnasty, Ewelce podano balową suknię i wprowadzono w towarzystwa.

Mówiąc prawdę, nie wie i Ewelina, że strona moralna w niej nie odebrała wcale wykształcenia i że to, co posiadała pod tym względem, jest nabytym już z praktycznego życia lub na gołą nitkę naczepianym z przykładów, z książek, co nawinęły się pod rękę. Jest tylko sprzeczność pod jednym względem. Uczucie miłości, zwykle przemagające nad wszystkie inne, w tak młodym jak Eweliny sercu, podniesione do ideału przez ustawiczne czytanie romansów, jakoś nie może obżyć się¹⁰⁷ ze światem i ludźmi. Widzę, iż niekiedy rada by już ona była wypełnić go do szczętu, zagłuszyć w gwarnym balu, ubezczywnić w sobie, widząc, jak pustelniczą gra rolę i jak dziś niepodobna dogodzić jego chęciom – ale młodość ma swoje prawa:

¹⁰⁵ *Zajdziesz* – zajdź.

¹⁰⁶ *Zażądać temy* – tu: zażądać tematu; zażądać czegokolwiek.

¹⁰⁷ *Obżyć się* – pogodzić się, przyzwyczać się, poradzić sobie.

ona zawsze w chwili ciszy lub rzewnych dumań przynosi na pieszczotliwie trzepoczących się skrzydłach swoich prześliczne ideały miłości, które tak jakoś lubo krewnią się z jej sercem, że bez nich i bardziej smutno i bardziej czczo zdaje się być na świecie. Jak tu zapobiec temu? Zgaduję, że to pytanie nastęcza się jej nieraz, lecz nie ma zaradczego środka. Ona myślała, że związek małżeński zapełni próżnię życia, ale nie; rzeczywistość jest daleką od stworzonego ideału, miłości nie posiada w jej sercu...

Wyjątki z pamiętnika Eweliny

O, nie budź, śpiące serce, przez zwoodne nadzieje!
Bo jeśli twoim losem życie w samotności,
A serce raz zapagnie i dozna miłości –
Lub ciebie w proch obróci – lub samo zwiędnieje!

Ludwik de Perthées¹

Był u nas dzisiaj Józef. Gdybym nie była uprzedzoną o jego wizycie, nie poznałabym go za nic – tak się odmienił, tak ukształcił, tak zajmującym jest młodzieńcem! Przywykłam sądzić naprzód z powierzchowności – i tu nie zauważyłam nic, co by źle uprzedzało o nim. Modny, czarny frak rysował pięknie kształtną jego postać; ciemne włosy, rozdzielone nad czołem, zwijały się dokoła głowy w pełny jeden pukiel; czoło jego wysokie i czyste; małe, czarne wąsiki nadają jego delikatnej twarzy wyraz razem trochę efektowny, lecz męski. Jeśli można badać z wyrazu oblicza czegoś więcej, to powiem, że przejawia ono ślady rozwijania się umysłu, co nadaje mu myślący i jakiś wyższy wyraz, a nade wszystko, cechuje nie tylko rysy, lecz każdy ruch jego prawie, tym przyzwoitym i razem ujmującym taktem, który jest własnością osób wyższego towarzystwa. Jego też zdania zajęły mnie nadzwyczaj; nie wiem jeszcze, czy są istotnym wypadkiem jego przekonania, ale jakkolwiek bądź dały mi próbkę jego wyobrażeń. Kiedym go zapytała, czy też świat wpłynął na jego uczucia, on mi rzekł:

– Ja wyszedłem na świat z doświadczeniem już i znajomością jego. Wszystko, co on rozkrył przede mną i czym mógł mnie zachwycić, nie czarowało mnie, bom był rozczarowany tym wszystkim. Utrzymują, że rozum zyskuje, uczucia tracą na tym. Przykro mi jest wierzyć tej myśli. Chciałbym mieć tę raczej pewność, że one mogą zostać w pierwotnym swym stanie, poddać je tylko należy pod władzę rozsądku, bo uczucie samo przez się nie ma mocy. Jest to śliczna korona palmy, ale dlatego śliczna, że rozwiewa się wspaniale nad ziemią, wyniesiona na pniu, bez którego nie miałyby tego stanowiska i tej co ma mocy.

¹ *Ludwik de Perthées* (1820–1887) – XIX-wieczny poeta i dramatopisarz polski. Wydał w Wilnie trzy serie *Poezji* (1842–1845).

...Im bliżej poznaję Józefa, tym korzystniejsze wywiera on wrażenie na umyśle moim. Jego obecność jest dla mnie jakby konieczną. Ciągłe układa się w mej głowie jakiś niewyraźny zarys obecnego mojego stanowiska, którego wytłumaczyć sobie jednakże nie umiem, czuję tylko, iż nie jestem z niego zadowolona... Zostają pod wpływem marzeń i jakiejś nieokreślonej nadziei... Romanse francuskie przypadają mi dziś najwłaściwiej do gustu. Im czytam je chciwiej, tym więcej odkrywam pierwiastku dziwnie stosownego do mego stanu... Potem stopniowo z tej amalgame kombinacji i wniosków powstają w moich myślach twory różnego oblicza i kształtu, które ażeby zaczęły proces życia, braknie, zdaje się, im tylko siły ruchu. Rozogniona wyobraźnia złoci swe skrzydła w oba końce: kierunek jej polotu jeszcze mi niewiadomy – ale chwila czynna... porwanie się bliskie...

...Kiedy Józef mówił mi o swoich uczuciach, nie powiedział on nigdy tak, żeby to mnie zupełnie uspokoić mogło. On mi kreślił wdzięk tego uczucia, szczęście, jakiego doznać można pod jego wpływem, cierpienia z nim nierozłączne, skutki pod najróżnorodniejszymi względami – słowem: w tej ślicznej powieści przewijał i najpiękniejsze kolory i najbrudniejsze cienie, płątał w nie obrazy swoje i swoje wrażenia, wskazywał czyjeś rysy tak podobne do mnie i mówił, że te mu są najmilsze, a jednakże nie powiedział mi nigdy, że mnie kocha... Uśmiechał się nawet z ironią na to zużyte słowo, gdy je słyszał przy mnie w teatrze lub powtarzał z książki. Po rozmowach z nim zdaje mi się nieraz, iż zostałam panią najskrytszych jego tajemnic, że on wypowiedział się z najdroższych mu uczuć, lecz zapuszczając się w analizę tego uroku, dziwiłam się później swej iluzji, bo w istocie on mi nie mówił tak o sobie. Niespokojność i lube wewnętrzne przekonanie zajmowały mnie na przemian. Wątpiłam, azali nie skłonność serca rodzi te marzenia? Ścierałam więc je i składałam już te drobniutkie cząstki pod wpływem innym, z usposobieniem nowym. I cóż? Prawda była nieomylną: tenże sam formował się obrazek – lecz czemuż go, myślę, nie złożył nigdy sam Józef, lecz ja tylko, ja sama koniecznie?...

...Tak skryta, tak zawarta sama w sobie, tak ograniczona od uroku i zadowolenia. Nie jużciż to jest miłość? Nie, nigdy! Możnaż to uczucie nazywać miłością, kiedy ono jest mało co więcej nad prosty obrazek myśli wysnuty przez wyobraźnię, jakich tysiące przeciągają co wieczora, co noc przez nasze głowy...

Czym jest dla mnie Józef? Istotą zupełnie obcą, niemogącą wyrzucić żadnego wpływu na me losy. Lecz cóż jest w tym losie, iż tak zda się wymagać zmiany? Żadnej dolegliwości; takież stan trwa jak przedtem. Więc skądże źródło niepokoju?... Z własnego serca, bo ono nie ma zadowolenia.....

Kiedy raz spadnie myśl na ścieżkę taką, łatwo zgadnąć, że tym śladem poleci i dalej. Nic łatwiejszego, jak zbrukać tło jej czyste – na to starczy jednej kropli brudu...

...Byłam wczoraj na balu u Hrabiny***. Pałac jej zamienił się w czarowny ogród pełny najpiękniejszych kwiatów, przepelniony blaskiem i wonią. Cud-

ne wyroby pędzla okrywały ściany oświeconych salonów; posągi i biusta białaty karraryjskim² marmurem z ark okwieconych różami, obwitych bluszczem. Pod stopą czuleś albo płyty zwierciadlanej posadzki, albo deptałeś miękkie puchy perskich kobierców... Ale któż z bawiących się mieszkańców stolicy nie widział tych ślicznych obrazów, gdzie gust i sztuka używa wszelkich środków omamień i ułudy, ażeby oczarować zmysły, stworzyć obraz idealnych wdzięków i rozkoszy, urzeczywistnić to wszystko, co mitologia rozumiała być wyłączną posiadłością bogów.

I oto bal się zaczął – zabrzmiała muzyka – salony osnuły się tańczącymi pary – skrzyżowały się wdzięczne figury kadryla³ – przeleciały lekkie wichry walca – rozwinął się swobodny mazur – bal ożył pełniejszym i rozmaitszym życiem; ruch, gwar, pieszczośliwy szmer jedwabi i wpołgłośnie rozmowy – wszystko to zlewało się w jedną nutę, pełną jakiejś szczególnej przyjemności, jakiegoś upojenia, uroku, który nieopstrzeżenie pociągał słuchacza w swoje zaczarowane koło.

Pomimo tylu jednakże ponęt nic nie znam przykrzejszego, jak być uczestnikiem tych balów, nie mając osoby, z którą można by zamieniać się myślami swobodniej, szczerzej wypowiedzieć się z uczuć, rzucić kilka na ogół uwag, słowem pomówić, odrzuciwszy na stronę te zużyte formy salonowych rozmów, które jak maska kryją zmyślonymi prawdziwe rysy.

Jeszczeż to na prowincji. Tam nie tak zużyte serca, tam jeszcze po kilku słowach zawiążesz rozmowę, która zajmie cię przez nieudany interes, niewymuszoną uwagę, odsłoni ci często charakter pełny albo naiwnej prostoty, albo silnego uczucia, albo wprost sobie pocziwy, bogobojni, który od razu przejrzysz aż do dna jak czysty źródło wody, i którego nie pokochać nie można. Ale tu, tu, gdzie raz na zawsze nosi z sobą każdy wykute, odlane frazesa, które rzucają sobie wzajem jak piłkę, gdzie często po całej godzinie rozmowy żadna myśl głębsza, otwartzsza nie związała wzajemnego interesu – i rozeszło się – i wnetże zapomniało się o wszystkim; kłamane uczucia tu powlekły się ironią, tam przelotnym uśmiechem, często sama tylko ironia wyłącznie zaprawiała rozmowę i przez szczypiącą swą własność podtrzymywała jej interes – o mój Boże! – jak te bale, te świetne bale, odstręczają i nudzą tych wszystkich, którzy nie w pokazaniu białych rękawiczek lub modnej sukni chcieliby znajdować przyjemność!...

I ja, ja sama, kiedy mnie niezowyczajoną owionął ten czad miast wielkich, myślałam z początku: o, jakaż tu obfitość i rozkoszy, i szczęścia! A dziś, kiedy poznałam składowe jego cząstki, miałam możność obaczenia odwrotnej strony – mówię: o, jakaż tu czczość! Jakie tu nudy!

² *Marmur karraryjski* – szlachetna odmiana białego marmuru plamiście popielatego z harmonijnie rozmieszczonymi na białym tle żyłkami. Nazwa pochodzi od złóż w miejscowości Carrara we Włoszech.

³ *Kadryl* – XVIII-wieczny taniec salonowy, modny za czasów Napoleona I we Francji, szybko zyskał popularność w innych krajach europejskich.

Będąc znudzona na koniec tym ciągłym chaosem i gwarem, szukałam ustroja, gdzie bym odetchnąć wolniej mogła. Przechodząc salony, spotkałam Józefa, podałam mu w milczeniu rękę i wyszłam z nim na balkon opleciony gęsto powojem i uwieńczony w kwiaty.

– Powiedz mi pan szczerze – rzekłam – czy znajdujesz dotąd przyjemność w balach?

– Od dawna oceniłem ich według wartości – odpowiedział mi Józef.

– Serdecznie mi żal bywa tych chwil, co tak bezpowrotnie ronią się w przeszłość.

– Alboż dziś zdanie inne?

– Zupełnie.

– Cóż za przyczyna?

– Żadnej – ale czuję, iż jestem w usposobieniu ciągłym patrzeć na świat zupełnie innym okiem.

– Jest to zapewne skutek nienaturalnego stanu uczuć? – zapytał Józef.

Spojrzałam na niego zimnym i badającym wzrokiem.

– Tak, nienaturalnego – powtórzył Józef najobojetniej. – Dopóki jesteśmy wolni sercem, dotąd żyjemy więcej zewnątrz – ale gdy w nas samych zapładnia się uczucie, wtedy serce zawiera się i żyje samo przez się. Jest to stan – dodał z uśmiechem – wszystkich egotycznych poetów, budowników nowych systematów filozofii, wszystkich męczących się nad wynalezieniem siły wiecznego ruchu, a nawet – dodał biorąc moją rękę i przyciskając ją do ust swoich... – Czy pozwolisz mi skończyć, Ewelino?

– A nawet – kochających skrycie od świata – rzekłam. – Czy zgadłam myśl jego?

– Jestże to tylko myślą moją?

– Nie... – odpowiedziałam i czułam, że głos mój był zmieniony. – Sama to widzę, iż tak niedoskonałą jestem w wymuszonej roli, że musiałeś już nie od dziś dorozumieć się prawdziwej przyczyny... Ale na co mnie było udrećcać tak długo? Czyż nie odgadłeś, czyż nie zbadałeś mnie od razu? Och – rzekłam, kładąc rękę na piersi – oto w tej chwili lżej mi jest na sercu... Kochasz lub nie kochasz mnie – ale przynajmniej zniszczona już między nami ta niepewność, co mnie tyle tajemniczych kosztowała cierpień! Ja cię odtąd mogę pytać się śmiało i równie otwartej żądać odpowiedzi.

Spojrzałam na Józefa – on milczał i patrzył na me lice jak w tęczę. Przybrał taki wyraz, jakby był widzem, a nie połową tego obrazu. Patrzył wzrokiem pełnym uwagi, ale wzrok ten miał coś podobnego bardziej do wzroku doktora śledzącego konwulsyjne drgania dogorywającego człowieka.

Ten szczególny wyraz jego oblicza przeraził mnie. Miałam tyle odwagi, iż patrzyłam na niego nieruchomo przez chwilę..., badałam znaczenie tego zimnego spojrzenia..., lecz sił mi zabrakło... – rumieniec wstydu oblał me lice... cofnąłam się, jakby poczuwszy pod stopą gadzinę...

W tę samą chwilę Józef pochwyił moją rękę i przycisnął do ust swoich. Czulałam, jak ją paliły jego usta..., jak drżała jego ręka...

Kiedy dziś przypominam sobie z zimną krwią tę scenę, pomnę, że Józef się wahał... On chciał przybrać na dłużej zimny wyraz oblicza – ale to było nad siły! On pomyślał zapewne: ta kobieta, tak pełna uczucia, z całą ufnością dziecięcia, z wiarą po raz pierwszy zbudzonego serca, podawała mu rękę – miałaby on ją odrzucić w tej chwili? On widział trudne me położenie, czuł, iż lada dotknięcie wiadomej struny obudzi powinność – wywoła łzy – podda cierpieniom serce – i miałaby on sumienie być w tej chwili mym katem?... Spojrzał on w moją przyszłość – i obaczył ją ciemną i smutną..., rozwinął więc co najszerzej przed moimi oczyma zasłonę obecnego szczęścia – otoczył nią dokoła i, nie obierając z uroku, zagłuszył wszystko w objęciu, w pocałunku – i nie budząc, tak przeniósł w chaos balu, tak oddał mnie światu!

...Pojutrze opuszczamy stolicę. Jestem niespokojną i smutną. Pomimo całej sztuki udawania nie mogę przezwyciężyć siebie w tej chwili. Uczucia me widocznie zaczynają się oddzielać spod wpływu przekonania i wyrozumowanej woli. Jest to już nie podrzędna siła, ale coś żyjącego sobą i przez siebie. Niekiedy zdaje mi się, iż ta siła chce się wyzwolić zupełnie i w swą kolej wziąć wszystkie inne uczucia pod swą władzę. Walczę różną bronią i czuję, iż jest to stugłowa hydra, której życie odradza się i przewija na wszystkich punktach wiedzy.

Kiedy przybywa Józef, nie mogę pokrywać wzruszenia. Każdy mój w jego obecności uśmiech ledwie nie bryzga łzami.

...Wieczorem, w wigilię wyjazdu, siedziałam sama jedna w pokoju, gdy wszedł Józef.

O, jakże byłam wtedy inna od owej płoczej Eweliny, co przed kilkoma jeszcze dniami śmiała się wesoło z jego morałów. Na wszystkie odcienia mojego charakteru rozlała się czułość. Jak przedtem najpoważniejsze zdania lubiałam obracać w śmieszność, tak wtedy gotowa byłam zapłakać z najbłahszej pobudki.

Józef przejrzał jak czysty źródł wody me uczucia. Zbliżył się – powitał smutnie i usiadł obok.

– Czy widzisz, żem ustawicznie smutna? – rzekłam mu nieśmiało.

– Widzę.

– Mnie żal udęcza... daj mi radę, mój luby, ja nie przeniosę⁴ tej chwili...

– Radę? Któż daje radę sercu? I jestże serce, co by przyjęło radę?

– Tak i ja myślałam przed chwilą. Ja, co wyrobiłam teorię miłości naszej, widzę dziś sama, iż trudno by mi było utrzymać ją na raz oznaczonym stopniu, może to stąd, iż nie jestem tak wyrachowaną osobą, jakich widziałam wiele. Dziś wcale nie żal mi

⁴ Nie przeniesć – nie znieść.

tego. Boleśnie to jest wprawdzie mieć uczucie, bo przez nie słyszę ból mej rany, ale gorsza odrętwić je do tego stopnia, ażeby obojętnym okiem można było patrzeć na szerzącą się w ciele zgniliznę.

– A ja, Ewelino – rzekł mi on (o! te słowa wryły się na wieki w mej pamięci!...) – ja, Ewelino, widziałem i doświadczyłem, że ta chwilowa rozkosz, co tak ułudnie wkrada się do uczuć, nie jest istotną rozkoszą, ale tylko zręczną komplikacją często najgorszych pierwiastków; to więc, com powiedział, powiedział jedynie dlatego, że żał ciebie; wspomniałem, że ty robiąc z siebie ofiarę dla mnie, nadwątlasz może nierozważnie swą przyszłość, a twe szczęście, choćby okupem własnego, jest dla mnie i pożądane i drogie. Wmów sobie raz na zawsze, że ten ogień nieziemski, co go zowiemy miłością, ażeby jaśniał czystym swym ogniem, trzeba, ażeby się rozniecił w najczystszej atmosferze. Lada chmurka już go ciemni lub gasi; dlatego to nie wierzą dziś w istnienie prawdziwej miłości, bo ona nadwyzczaj rzadka, a często niemożliwa. Może ją stworzyć wyobraźnia poety, ale najwyższa moralność ledwie zdolną jest wcielić w krótkotrwałą rzeczywistość. Gdyby się i znalazła para ludzi, którzy uczuwszy taką miłość ku sobie, i po odejściu od ołtarza żyć nią mogli, już ta sama miłość zdolną byłaby zamienić ich w istoty doskonalsze nad ludzi. Ukochać samemu taką miłością istotę pospolitą, ziemską i przejrzyć ją po chwili zaślepienia, i obaczyć wszystkie jej wady, jest to zostać wariatem, samobójcą, Gustawem, jak go widzimy w *Dziadach*. Nie szukajmy więc na próżno tej miłości, bo nie znajdziemy jej nigdzie; dajmy pokój tym ideałom, bo jak nie mamy złotego wieku, tak nie będziemy jej posiadać w tym życiu. A ty, Ewelino, ty właśnie marzysz o tym szczęściu, które od nas, zbrukanych cywilizacją naszego wieku, tak dalekie! My jesteśmy zepsuci, a może (co pewniej) niedoskonali. Nie mamy stałej prawdy i niewzruszonego pojęcia, a gdzie żyć może prawd kilka, tam żyć musi i fałsz oczywisty. Zastanów się więc: ty miłość swoją uważasz jako istotną prawdę, a ona może jest skutkiem chwilowej namiętności albo fałszywie pochlebia twojej miłości własnej, albo poniżając męża, pozornie wywyższa mnie, wszakże bez istotnej zasługi. Któż zareczy, że nie przyjdzie moment, w którym przejrzysz bez zasłony albo pod wpływem drugiego jakiegokolwiek pryzma⁵ otaczające cię przedmioty, obaczysz wtedy, że i ja nie byłem bez wad, jak się to może tobie zdaje dotąd – ty rozczarujesz się tym odkryciem i znowu nadwątlisz nietrwałą budowę twego szczęścia.

A ja – o, ty nie znasz mnie jeszcze, Ewelino! Ja poznałem, iż cele naszego szczęścia często dopóty ładne, aż zbliżymy się do nich. Pod ręką ono staje się pospolite. Posiąść go, ogarnąć na zawsze – niepodobna. Trzeba umieć użyć w chwilę spotkania się – i zakochać się najszczerzej, i rzucić bez żalu – bo jeśli zabawisz się nad nim

⁵ *Pryzma* – dawn. pryzmat, punkt widzenia.

choćby chwilę dłużej, ono jak nietykalny kwiat osypie się z różowych listeczków w twym ręku. Nie zbliżam się więc nigdy – patrzę na nie z dala – zachwycam się jego blaskiem – biorę z całym złudzeniem – ale stoję, nie dobiegłszy mety, lub jeśli już chcę koniecznie dotknąć go mą dłonią – to zawczasu buduję sobie zamiar, obieram dogodną stronę – i tak przygotowany wypełnię tylko plan skreślony uprzednio i wnetże odbiję od brzegu. Te moje czyny często są dziwacznej natury, często wbrew przeciw pojmowanej z głupiego punktu moralności, często w duchu najczystszej cnoty – wszakże zawsze sumienne. Ja cię kocham, Ewelino, ale wiesz jaką miłością? O, nie duchową, lecz i nie materialną! Więcej uczuciową, lecz czystą! Twa obfitość uczuć czaruje mnie mocno: zachwycam się niemi, jak zachwyca się malarz niszczącym obrazem pożaru... Ale nie chciałem patrzeć na skutki jego – o! – i Bóg mi świadkiem, iż nie chcę – nie żądam. – Zgubić kobietę wcale nie trudno, jeśli ta kobieta już kocha. Można ją przyprowadzić do kresu zguby i ona nad przepaścią jeszcze obdarzy namiętnym pocałunkiem i czutym uściskiem, i pełnym miłości spojrzeniem... Nic nie widzi – nie zważa na nic... Dla niej dokoła świat różowy i wschodzą kwiaty szczęścia... Dusząca atmosfera rozkoszy upaja jej zmysły, rzekłbyś, zalewa ją, jak dzień zalewa świat swym blaskiem...

Wtem ozwał się dzwonek w przedpokoju: był to mój mąż powracający z miasta. Józef zbliżył się do mnie:

– Ewelino – rzekł, biorąc mą rękę i cisnąc do ust swoich – daj mi ostatnie pożegnanie... kochanki!

Niestety! Jakże się on omylił! Nawracając, czyż on mógł marzyć, że nawrócę się zaraz? Mógłże on przewidzieć, iż gdy jeszcze łązy, co je wywołała miłość ku niemu, trzęsły się na mych rzęsach – już serce stało się zimne, jakby nie biło dla niego... jakby nie kochało go nigdy!... Jedna chwila zrobiła to wszystko! Jakie pierwiastki wpłynęły na to przeistoczenie – nie wiem; jak się to stało – nie wiem. Był to hart, hart okropny mych uczuć! Chwila decydująca, przesilenie fatalne, z którego bodaj czy setny wychodzi szczęśliwie... Pamiętam, że odpowiedziała mu pod wpływem tych uczuć, ale co – nie pamiętam. Dziwna wszakże, jak mogłam nie zatrzymać tych słów w pamięci, kiedy jestem przeświadczoną, że je mówiła z wcielonego we mnie w tę chwilę przekonania, nie zaś przez uczucie? Ja czułam zimno, które wwionął mi w serce..., ja czułam, jak to serce drętwiało pod jego wpływem, ziębło – lodowaciało – aż na koniec straciło swą siłę... Otoczyła mnie najzimniejsza wiedza... jakieś matowe koło bez granic, barw i cieni rozwinęło się przede mną... nie czułam potrzeby ciepła... nie mogłam wydać głosu... nie było echa...

Józef spojrzął mi w oczy i zapewne wyczytał z twarzy całą okropność niemego mojego cierpienia – bo zbladł i stanął nieruchomy jak posąg: – on myślał zapewne, że m straciła rozum...

Niestety! – czemuż tylko serce!!...

WYZNANIE JÓZEFA

O! W jakie plamy czoła ich złane!
 Jak myśl odarta z zasad potężnych!
 Czucia kłamane – zdania nabrane –
 Na wąż nitkę słów niedołącznych...
 A tak w poziomej mniemań kolei
 Idą bez celów i bez nadziei –
 W nich wcale nie masz wyższych łask Nieba,
 Lecz egoizmu nawet prawego,
 Żyjąc dla siebie – siebie jednego,
 Kochać niezdolni, jak kochać trzeba!
 I tym to ludziom ja mam dać serce,
 Co powołanie swoje rozumie
 I wyższe cele ocenić umie?
 O! Nie dam, nie dam, wy je zbruczecie,
 Zwichniecie prawe jego koleje
 A nic lepszego w zamian dać nie ma –
 Wy w przepaść błędu mnie zaciągniecie
 Ja stracę Wiarę, Miłość, Nadzieję,
 A bez nich gorzki żywot pielgrzymy!
 Bo co mi w waszym życiu, wśród waszej niemocy,
 Gdzie słońce nigdy czoła mi nie rozpromienia,
 Gdzie za mną mgły się gęste kładą zapomnienia,
 A w oczy patrzy przyszłość czarniejsza od nocy!...

Ja cię kochałem, Ewelino, jeszcze wtedy, gdy służyłem u twego ojca, pogardzany i biedny, gdy pędziłem wyrobnicze życie.

Czy przypominasz? Ty byłaś wtedy dumną, ty nie zważałaś wcale na prowentowego pisarza⁶ albo śmiałaś się może z jego nieśmiałości i ubóstwa.

Wszakże ja miałem za sobą prawe uczucie honoru, szlachetność czynu – i może lepiej rozumiałem te cnoty, jak twój ojciec, jak wasi obywatele wszyscy. Powiem ci więcej: one wyrabiały się we mnie z oddziaływania na was-że samych i rozrastały bujnie. Ja pokochałem te moje jedyne skarby i postrzegłem, że przewyższam was nimi – a wy, przewyższacie mnie tylko – złotem!

Po kilku latach ciężkiej próby obliczyłem się i postrzegłem, że miałem za sobą ciężkimi kolejami życia wyrobiony rozum – miłość pracy – stałość wytrwania

⁶ *Pisarz prowentowy* – urzędnik trudniący się kontrolą dochodów majątku ziemskiego.

w przedsięwzięciu – głębokie poznanie ze złej strony ludzi – spojrzałem na was znowu – i postrzegłem, że przewyższam was o wiele cierniową koroną doświadczenia – a wy przewyższacie mnie tylko – złotem!

O! Jakże byłem dumny z tych moich bogactw! Z jaką pogardą i uczuciem wyższości słuchałem nieraz, stojąc u progu waszych głębokich rozumowań, które starłbym na miazgę w dwóch mych palcach! Jak często postrzegałem niedołęzne uswojenie myśli wydartej żywcem z książki i przyczepionej niezręcznie do fraka – zwichnięte pojęcia chwilowego zapachu, któremu nie byłyby w stanie dopisać w razie potrzeby ani głowa, ani serce, ani prawica!... O! Ileż to razy oddzielałem z waszego towarzystwa jakie ogromne zero, odzierałem je w myśli z szat, co na nie uczepił los wędrowny – i przymierałem je natenczas, jak mierzą rekruta do istotnej miary społeczeństwa... I cóż? – Widziałem jak na dłoni niedołężność, nicość tej istoty... Zazierałem wtedy do jego głowy – ale trąciła okropnym pustkowiem... do serca – a to kruszyło się i gięło od najlżejszego powiewu wiatru... Spojrzałem naprzód – i widziałem drogę jego życia ciężką – błotnistą – ciemną...

I widziałem was pełnych popołitego egoizmu, niedowierzających, bojaźliwych, przekonanych w duszy, że majątek tylko stanowi właściwie jakąkolwiek waszą wartość, troskliwych o niewypuszczenie z rąk jego, poświęcających wszystko dla interesu – i honor, i przyjaźń, i sumienie nawet... – i myślałem: o, niedołężny stanie! Gromadzicie te skarby dla przyszłych rozkoszy, zmuszacie uczucia wasze, ażeby służyłaczą dla kruszcza wykonywały powinność, a potem myślicie, gdy zgromadzimy miliony, posadzimy je na wierzchu tej kupy, a będą szczęśliwymi! – O, nigdy!! Azali człowiek, co raz zdeptał wyrozumowanie świętość swojego powołania, może później szczerze nawrócić się do cnoty? Cóż to będzie za skrucha, którą układam w myśli przed chwilą zbrodni?

I widziałem was dumnych, bojących się otrzeć o ramię z biednym, jakby obawiając się złania z nim w jedną całość, a zasadzających całe pojęcie o wyższości na hardej względem uboższych postawie, na ustawicznej chęci odbierania hołdów i zbliżenia się z pany. Oni niedowidzali nas, biednych – oni nie mieli nas za ludzi, a ja, patrząc na nich, myślałem: O! Czemuż nie mogę przez jaką czarnoksięską siłę przemienić się choć na chwilę w bogacza! Tylko co odprawiony pogardliwym spojrzeniem, przyszedłbym do nich wnetże drugimi drzwiami, lśniący się od kamieni i złota – i w tenże sam moment, gdy się chyłą przede mną kornie ich czoła, zrzuciłbym z ramion płaszcz mój lśniący – stanął w pierwotnej mojej szacie – i rzekłbym: wstyďte się sami siebie – czyż mnie nie poznajecie?...

I widziałem latorośla wasze, a na ich czole pisane wyraźnie palcem losu gorzkie prorocstwo Baltazara...⁷, bo na czyjaż zaprawdę chlubę rosło to pokolenie? Czy żeby

⁷ *Gorzkie prorocstwo Baltazara* – tu: zapowiedź upadku, śmierci (odniesienie do biblijnego króla Baltazara, który zbeczczeświwszy naczynia ze świątyni Jahwe, zgodnie z prorocstwem jeszcze tej samej nocy umarł, a jego królestwo Babilon upadło).

wznieść i rozślawić imię wasze? Czy wyrzucić jakiś zbawienny wpływ na masy? Czy żeby pojawszy obecne swoje stanowisko, zespolić się wyobrażeniami, umiejętnie zastosować się do okoliczności i iść śmiało naprzód pod wpływem silnej, stałej woli i męskiego ducha?... Gdzie tam! Wy jak spłoszone kuropatwy rozlecieliście się na wsze strony i w śnieg pozatapiali głowy... Jedni z was, oblekliście się fałszywą pozłotą cywilizacji, zasiedli rodzicielskie domy, a wegetując w stęchłej atmosferze dawno przewianych przez świat wyobrażeń – idą, zdaje się, na pozór, a w istocie pracują na jednym miejscu, jak ów koń w stępaku⁸. Kształcą się mechanizm świata jest dla nich zupełnie cudzy – żyją szczupłym zapasem przeszłości lub jeśli i wezmą co z nowszych przedmiotów, to nie będzie to zbadanie dzisiejszego stanowiska myślących ludzi, przyjęty systemat, jakieś ulepszenie lub pożyteczna nowość wpływająca na ogół – ale będzie to frak przywieziony z Warszawy lub Odessy, najlepsze perfumy z Francji, kapelusz modny lub coś podobnego.

Drudzy, zasmakowawszy w próżniackim życiu, w winie i kartach, objeżdżają powiaty – wietrzą balów – zaludniają jarmarki – ażeby grać, pić, śmiać się, nic zgoła nie umieć i nic nie robić. Ich rozum tak porósł pasożytem od zupełnego zaniechania uprawy, iż każda myśl – jak ziarno na kamieniu – albo leży, nie puszczając porośli, albo zwiewa się od najłżejszego wiatru. Nie pojmują wyższego przeznaczenia – nie biorą żadnych obowiązków – nie wypełniają żadnych moralnych funkcji; żyją oderwanymi jednostkami i nie pojmują obowiązków tych jednostek względem społeczeństwa.

Trzeci, na koniec, są to owe ogniste głowy, które niby nie mogąc ukoić wzburzonej moralnej siły, podmieszali do niej potężną dozę rozpacz i zbuntowali się już materialnie. Proces ich działania ten sam, tylko na stopniu najniższym. Utrzymują oni, że to wszystko niewarte uwagi, czego nie można dostać ręką. Powiązali się w towarzystwa, jakby w skutek zakładu z duchem Złego, że i w jednym roku można przeżyć całe życie i bez drogi dojść do tego samego, co inni doszli celu. Im bardziej rozrzutniejszą ręką kto trwoni dary jego, ten według ich rozumienia odpowiada godniej przeznaczeniu. Taki stan ich bytu trwa dopóty, dopóki młodość i pieniądze są na rozkazy żądy. Gdy którakolwiek z tych pobudek traci władzę, zaraz całość rozchwiewa się w swoich fundamentach, oddziela od ciała i wyrzuca chorobliwe wrzody. Stąd zaczyna się już życie inne – życie jednostki, można wyobrazić sobie na jakich postawione szczudłach i do jakiego dążące celu...

I ja między tymi to ludźmi pędziłem życie. Te różnobarwne obrazy przesuwały się ciągle przed moimi oczyma; miałem możność poznania ich z gruntu, badania w źródle; widziałem w różnych okolicznościach i różnym czasie – bo nie wystrzegano się mnie, nie podejrzewano we mnie skrytego badacza ich natury – szpiega, idącego tuż w ślady za ich życiem.

⁸ *Koń w stępaku* – koń przyuczony do chodzenia stępem.

Gniewały mnie długo te wady, ale najwięcej bolałem na wpływ, jaki wywierały one na masie. Prosta jej, ale mocna budowa rysowała się ciągle, a grzy i podnóża świadczyły, że co dzień kruszyły się części tego wielkiego niegdyś gmachu, wystawionego dziś na wpływ niepogody i burze... O! Jakże szukałem wtedy środków zapobiegających tym skutkom! jak przemyślałem nad sposobami, które byłyby zdolne otworzyć im oczy na własną zgubę! Zdało mi się, że ambony powinny być pierwsze rzucić pioruny, przemówić językiem ducha do serc zepsutych, rozdmuchać w nich przygasłą iskrę cnoty... Zdało mi się, że cała literatura powinna by była oświadczyć się głośno przeciwko tej dążności i powagą mędrca, uśmiechem szyderycy wyprowadzać ich z błędów, otrząsać z wad, budzić z uśpienia...

Tak marzyłem często – ale były to proste marzenia, ładne obrazki zapału – nic więcej. Przeszły one bez wpływu na ogół, rozwiązały tylko dla mnie kilka zagadnień i właściwie mówiąc, na mnie tylko samego wywarły niejaki skutek.

Moja niemożność wywarcia wpływu na ogół zwróciła całą usilność na samego siebie. Raz na zawsze utworzyłem sobie w myśli normalny typ człowieka naszego wieku i do tego ideału starałem się stosować wszystkie moje czyny.

A tymczasem żyłem w ubóstwie i poniżeniu; pracowałem ciężko, znosiłem nieprzyjemności służalczego mojego stanu, a przy ustawicznej pilności i rozwadze szło mi życie jeśli nie zupełnie spokojnie, przynajmniej znośnie. Dręczyło mnie najbardziej to, iż nie miałem przyjaciela. W klasie niższej, to jest tej, której byłem członkiem, znajdowałem poczciwych z kośćmi ludzi, ale tak nieukształconego umysłu, że ani stanowiska swego, ani zależności względem drugich pojmować nie mogli, a tym bardziej przewidywać skutki, zbliżać je lub zapobiegać onym; kochałem więc ich, szacowałem szczerłość uczuć, cnotliwość czynów – ale nie mogłem widzieć w nich godnych wyznawców mych idei. Klasa wyższa miała zdolniejsze głowy, ale uprzedzenie o nierówności stanu było szkopułem, który psuł ciągle moje z nią stosunki, to jest przeszkadzał wywnętrzeniu się całkowitemu myśli i rodził jakąś ciągłą nieufność, nawet pośród najżyczliwszej na pozór wymiany przyjaznych uczuć.

A przyjaciel, powiernik dla myśli, był konieczny! Niezadowolony rzeczywistością trąciłem o poetyczną strunę moich uczuć – i te wskazały mi – kogoż? co? – naturę!... Z nią to ja często w dni wolne od zatrudnień biesiadowałem samotny godziny całe wśród głębokich lasów, na rozlewach pustynnej rzeki i gdzie tylko podobało mi się piękne jej oblicze. Skoro brzask, dosiadałem konia i leciałem gdzieś w samotne objęcia mej kochanki. Czułem całą dziwaczność mojej sympatii – i z tym wszystkim – jak rozmarzony poeta, jak dziecię czepiałem się na jej tęczyowych barwach... budowałem napowietrzne zamki, kochałem się w moim dziwactwie i w tych mozaikowych obrazkach wyobraźni. – Były to najszcześniejsze chwile w moim życiu!

Wtenczas to ukształciłem w sobie niepostrzeżenie uczucie piękności i znalazłem cudne urzeczywistnienie tych idealnych form w twoich, Ewelino, rysach...

Zakochałem się w tobie, ale cóż to była za miłość? Głęboka i tajemna jak dno niezgłębionej otchłani!... Przy całej sile jej uroku wszakże nie zaślepiła mnie ona. Czułem ciągle moje stanowisko – widziałem wasze wady – nienawidziłem was jak pierwej – a jednakże kochałem ciebie!... Za skarby świata nie wywnętrzyłbym się przed tobą z moich uczuć, bo czułem, iż gdybyś ty je przyjęła – podejrzewałbym o nieprawdę ciebie; gdybyś wzgardziła nimi – stałbym się zły i mściwy. Ja zresztą nie spodziewałem się od ciebie czegoś innego jak ironii, jak wyśmiania. Ty byłaś zepsuta wychowaniem i ja wiedziałem o tym. Ja kochałem cię miłością czystsza od ciebie nawet, jakże więc mogłem powierzać ci to uczucie? Ty wtedy nie byłaś w stanie pojąć je jak należy. Widziałem, że macie zwrócone ciągle na wasz świat oczy, że jego życie zdaniem – a moja miłość, jakże mogła przyjść do tej formy? A gdzie tam! Gdybym się nawet i podobał tobie, to ty byś sama nie nazwała inaczej tej sympatii jak dziecianną.

Ja jednakże byłem szczęśliwy mą miłością. Czemu? Bo ona nie miała rywala. Tłum młodzieży otaczał ciebie, ale żaden z nich nie był zdolny kochać ciebie takim jak ja uczuciem – i to mi sprawiało jedyną pociechę. I ty gustowałaś w wielu, ale miłość prawdziwa tak była wtedy daleko od ciebie jak słońce od ziemi. Nie chowałaś jej wprawdzie dla lepszego serca, ale czuć jej, jak wszyscy, nie umiałaś; ta więc miłość, którą czułem ja wtedy, wyobrażała mi się skarbem ukrytym w tobie, mimo twej nawet wiadomości i woli – i zdało mi się, że przyjdzie czas, gdy ja go dla siebie odkryję w twoim łonie.

I wiesz: ta myśl dziwna kołysała się długo na złotopiórej mojej wyobraźni. Po jakimś czasie uczuwać zacząłem, iż czystość moich uczuć w pierwotnej swej szacie nie ma znaczenia u ludzi. W obliczu ruchliwego świata ta cicha sentymentalność moja jak wiejska dziewczyna była rumieniącą się i niemowną. Trzeba było koniecznie dumy do mego czoła, wyższości i zasług dla mego egoizmu, gdyż bez tego świat zdał się lekceważyć i rozum, i uczucie; trzeba było iść w świat i zarabiać na imię. Długom wahał się w myślach. Jakoś nie mogłem sobie wytłumaczyć przez żaden sposób, ażeby ten świat próżny i dziecienny, w tym obwodzie, który przez moje maleńkie widziałem okno, miał mi istotną nadać wartość i wpłynąć korzystnie na mój umysł. Dziś przekonałem się, że poznanie z bliska wielkiego świata dla młodzieńca jest koniecznym. Wszystkie jego teorie, wylęgte w ciszy, nie będą miały za sobą prawdy opartej na praktyce i wszechstronnej wiedzy.

Ale tę prawdę odkryłem już później: wtenczas poetyczniejsze myśli roily się mi w głowie. Chciałem zostać przynajmniej wiadomym, jeśli nie sławnym. Wytłumaczyłem sobie natenczas z pobudek własnych wyprawy dawnych rycerzy, tę nieprzewyciężoną chęć szukania przygód i wstawienia imienia, bo był w tym jakiś zaślepiający blask, co wznosił nad tłum mą wartość w oczach świata, w oczach kochanki i w oczach moich.

Jeślibym z tą tylko myślą opuścił rodziną moją stronę, może zostałbym sentymentalnym tylko – ale wiedząc, że moja miłość była więcej marzeniem własnym moim, a nawet nieodwzajemnianym uczuciem – lubiłem tylko pieścić się niekiedy tym obrazkiem mojej wyobraźni, jak pieścimy często przez całe godziny myśl dziwną, która wynosi nas nad tłumy, obdarza bogactwy i honory, podprowadza na skinienie i idealne rozkosze, i cudne wdzięki.

Ale żyła we mnie pobudka druga. Ja pragnąłem szlachetnej zemsty nad tym, co się na mnie nie poznał, co mną pogardzał, tłumem. Do nich tylko przez odgłos lub bogactwa trafić można było – bo większa część nie byli zdolni poznać i ocenić ani rozumu, ani talentu, ani cnoty.

Cel więc mojego wyjścia na świat musiał być z samej natury rzeczy inny od celów wielu innych z gorącą piersią ludzi. Oni szli po imię, po sławę, ażeby zostać godnymi tych nagród, jakie ich czekały czy to na łonie rodziny, czy w objęciu zostawionej kochanki – oni zawsze mieli zwrócone oczy na punkt wyjścia i do niego kierowali swe czyny – a ja szedłem w świat oderwany całkiem od przeszłości, a przede mną rozścielała się przyszłość wątpliwa i bezbrzeżna, a za mną łożyły się mgły zapomnienia głębokie... O! Gorzko mi było nieraz w tej ludnej pustyni!... Bo niech mówią, co chcą, ale boleśnie jest zostawiać i te miejsca, do których chociażby się samymi nieszczęściami przywykło. Mnie żal było nade wszystko mojej natury. Gdybym mógł, nieraz chciałbym zlecieć na jej łono, obaczyć te lasy, co mi szumiały tak melancholijnie jesienią; widzieć te pola, po których błąkałem się często samotny w znojne dnię lata; usiąść na kurhanie, na górach, gdzie nieraz przemarzyłem noc całą; oblecieć jak niewidzialny duch rodzinny mój domek i pola, i sady, zajrzeć wszędzie – lecz nie zbudzić nikogo – nie widzieć się z nikim, a potem znów powrócić do dalekiego kraju, w gwarze stulejycznej stolicy zagłuszyć rozbrzmione uczucia i otarłszy łzę, zmieszać się z tłumem i z nim razem iść a iść ubitą drogą życia!...

O! Nie chciałem ja wywnętrzyć przed nikim, a tym bardziej przed wami, mego żalu. Wy byście mi odpowiedzieli urąganiem lub dali poznać, że nie umiał cenić łask waszych – i ja zostałbym upokorzony, znieważony tym bardziej. O! Ja nie tego chciałem od was! Ja pragnąłem zjawić się przed wami aż wtedy, gdy będę wyższy i oświata, i zasługą, i stanem. Chciałem przekonać was samym sobą o wewnętrznej mej wartości, dać świadectwo o świecie, że on lepiej od was ocenia zdolnych ludzi – i gdy stan mój daje mi wstęp w wasze progi i możliwość objawiania zdań moich, stawiać wam w żywe oczy wady wasze, wskazywać jak na dłoni niskość waszego stanowiska.

O! I taka zemsta byłaby godną cierpień moich! Nic dla mnie nie byłoby przyjemniejszego, jak zwałać jednym, lekkim podmuchem te budowy, nad wzniesieniem których pracowały wszystkie pojęcia wasze. Oczy, olśnione blaskiem moich, równych z waszymi bogactw, nie pośmiałyby mnie niedowidząc w waszym społeczeństwie,

a rozum nie byłby zdolny utrzymać się przy fałszu... Zniszczyłbym go siłą prawdy i tak rozebranemu podniósłbym zwierciadło do oczu.

Wtenczas to, myślałem, zjawiłbym się przed tobą i rozebrałbym w twych oczach składowe części twoje, ten zlepek i modnego wychowania, i wyobrażonych uczuć, i materialnych pobudek, i zdań waszego świata, oblepionych grubą warstwą fałszywego o rzeczach przekonania – rozebrałbym je i pokazał ci całą ich bezzasadność.

Wiedziałem już przedwcześnie, że mi wcale nietrudno byłoby zachwiać twe przekonanie, bo gruntowało się ono na najbliższych zasadach i przewidziałem, że mógłbym zrobić dowolną igraszkę ze szczęścia twego..., ale poznałem cię i dojrzałem, że wychowanie twe nie zniszczyło, lecz przytłumiło tylko dane ci od natury skarby, że jeszcze mogłaś i wartaś była być szczęśliwą.

Wiem to dobrze, że przy moich środkach, przy tak szczęśliwej nad tobą przewadze, każdy inny zszedłby z prawej drogi i liczyłby za tryumf przywieść cię nad próg błędu..., gdzie potem zostawiłby cię samą, twoim własnym poruczyłby cię siłom – i ty nie wyszłabyś inaczej z tego położenia, jak kosztem niewinności i wstydu... Może byś nawróciła się później, ale kto wie? Może byś z rozważą została na tym stanowisku i dewizami Soulié⁹, analizą Sand¹⁰ tłumaczyła i sobie, i drugim czyn podobny?

O! Ja nie chciałem widzieć cię taką, bo przyznaj: czym się staje kobieta przejęta tą niszczącą filozofią? Jak karleje, a raczej niktne jej uczucie, a natomiast jak wzdyma się władza zwichnionego rozumu i sili się zamienić to, czego zamienić nie jest zdolną.

⁹ *Soulié* – Frédéric Soulié (1800–1847), francuski pisarz popularny i dramaturg.

¹⁰ *Sand* – George Sand, urodzona jako Amantine Aurore Lucile Dupin, *primo voto* Dudevant (1804–1876), francuska pisarka epoki romantyzmu.

Listy Józefa do Karola

Dopuściłem się głupstwa, jakiego, daję ci słowo honoru, nie powtórzę już nigdy w moim życiu! Purytanin wyśmiałby nawet skrupulatność moją. Czy dasz wiarę? – Zakochałem się w Ewelinie! A zakochałem się szalenie!!... Nie jestem w stanie opisać ci tych uczuć, co potrząsły pierś moją, gdy już opuściła stolicę. Bo też od czasów Józefa¹, który wyrwał się z białych ramion żony Putyfara², aż po dzień dzisiejszy, pewno nikt oprócz mnie nie powtórzył takiego heroizmu! Aj! Aj! Krew zalewa lice, gdy wspominam sobie mój stoicyzm!... Ja, tak zachwycający się zawsze wdziękami kobiety, tak głęboko wtajemniczony w rozkosz cudnych ich wdzięków, tak lubiący zbudzać parokszymy ich uczuć i potem rozkoszować się nimi – ja, mówię, wszystko to miałem pod ręką urzeczywistnione w najidealniejszych formach i właśnie kiedy byłem w chwili zupełnego upojenia się tym nektarem rozkoszy, co pewnie nie powtórzy się już nigdy – dobrowolnie oderwałem od czary me usta!...

Nie! Nie daruję sobie tej filozofii póki mojego życia! Już oto upływa dzień trzeci, a ja jeszcze bynajmniej nie ochłonałem z wrażeń... Jest to szal tak mocny, że najharrowniejszy miecz prawdy stępi na nim swe żądło. Powiedz mi dziś jeszcze, że wrócisz mi go okupem szczęścia całego życia, a odpowiem: bierz i szczęście, i życie – wróć mi tylko pierwszy urok, niech nim pożyję choćby chwilę...

Cóż bo to za kobieta! Co to za powaby! Co to za uczucie! I wy nie oceniliście jej dotąd? Nie złożyliście u jej stóp swych hołdów? O! Jaki u was brak gustu! Jak wy cenić piękności nie umiecie!

Nie wiem, co bym dał za to, żeby mi kto przeniósł choć na płótno jej wdzięki, ożywił je tymże życiem!...

Na pociechę własną mógłbym ci powiedzieć, że stokroć chlubniejszego dopiął czynu, bo skłoniłem tę kobietę ku cnocie, gdy stała już na rozstajnej drodze, pokazałem jej świat w prawdziwym świetle, zdarłem z jej oczu mgłę fałszywego przekonania i wskazałem czystą, godną jej przyszłość – ale zimny to owoc dla płomieniącego się serca!... Czym on nagrodi mi tak wielką ofiarę?

¹ *Józef* – kupiony przez Putyfara niewolnik, bezskutecznie kuszony przez jego żonę, w akcie zemsty oskarżony przez nią o napaść i wtrącony do więzienia.

² *Putyfar* – postać biblijna ze Starego Testamentu, egipski urzędnik, który kupił jako niewolnika Józefa i z czasem uczynił go zarządcą swojego majątku.

Dalibóg postąpiłem najgłupiej! Dla jakichś może chybionych w analizie rozumowań rozwarłem ramiona i cudną chwilę uroniłem z mych objęć!...

Jak to trudno, mój drogi, pokonywać rozumem uczucie! Ono zawsze ma racje swoje. Najgruntowniejsze rozumowania przystają do niego jak groch do ściany...

Ale jeśli bym posłuchał namiętności tylko i zimnego rozumu... O! Natenczas zgubiłbym nieszczęśliwą!...

Lecz kto wie, a może i nie? Dziś już nie sprawdza się podobno na wielu ta dawnych romansów teoria, że tylko dwie są w życiu drogi: jedna na lewo, a druga na prawo? Przecięto pomiędzy nimi graniczną miedzę i chodzą po niej wyśmienicie.

Kto wie: może by i ona poszła tą średnią drogą? Taką rzeczą ani do tej, ani do owej nie należałaby strony, a zatem byłaby oddaną samej sobie i dążność jej nie byłaby wsteczną.

Tak – ale podrozumiawszy działającą siłę, czy mógłbym kochać się w machinie wtedy?

Mógłbym, ale cóż by to była za miłość?...

O, nie! Nie chciałbym widzieć tego anioła w tej szacie! Nie chciałbym kochać go tą miłością!...

Czemuż więc, jeśli kochałem ją prawdziwiej, nie wynalazłem środka zniszczyć obecne przeszkody; połączyć się, ażeby nie rozłączyć się nigdy?

Nie, mój drogi! Powiem ci prawdę: nie mogłem – bałem się. – Ja mógłbym ją przyprawić o boleść i sam zostać nieszczęśliwym. – Kto zbadać jest w stanie tajemnicze zarody żądań naszych? A może ten owoc dlatego jest tak czarowny, że zakazany?... Na uczucia nasze nie można liczyć wiele... Wszak ja i ona nie przystąpilibyśmy do ołtarza w pierwszej niewinności szacie; świat już wycisnęła na nas swą pieczęć.

A skoroby spadł pryzmat uroku – ideał zszedł na poziom rzeczywistości – któż zaręczy, że to samo oko, co przed chwilą widziało niewidzialne wdzięki, po chwili nie dostrzegłoby wad nierzeczywistych?...

A więc obecny nasz stan jest szczęśliwszym. Nie obciążył on sumienia – nie znużył życia. W godziny rozważki bierzemy stąd wewnętrzną pociechę – w godziny marzeń dorysowujemy według swoich usposobień pieszczotliwe obrazki wyobraźni.

Oto żem zakapturzył wybornie moją miłość! Milczmy, może choć cokolwiek uspokoi się w tym stanie... O! Pisz mi, mój drogi, o niej, o jej czynach, o wszystkim, z czym dziś żyje i co ją otacza albo nie! Nie! Nie pisz, nie mów mi nic i nigdy o niej, bo jak dziecko, gotowym zburzyć jednym dmuchnięciem ten oto mój pracowicie wystawiony z kart domek.

Pisałem w Petersburgu w czerwcu 1845 r.

KONTRAKTY KIJOWSKIE (W ZARYSACH À LA KWACZ)

Ja: Patrzcież obiema oczyma: czy to my, czy wy, czy oni?

Czytelnik: Tak jak wy... i tak jak oni... ale mnie tu wcale nie ma.

Ja: Mocno się stąd cieszę.

...Wstąpiłem wieczorem o godzinie S do kontraktowej sali. Krzyk furmanów, seciny karet, sani i nejtyczanek¹ uwijających się dokoła gmachu, tłum ludu różnego stanu i różnych powierzchowności otoczyły mnie razem, jakem tylko wstąpił pod kolumny frontonu. Mnóstwo szyldów oświetlonych lampami spojrzały wnet na mnie prawdziwie diabelskimi oczyma. Muszę tu rzec nawiasem, iż kunszt szyldowski doszedł dziś szczególnego stopnia oryginalności. Litery, same przez się podebrane w wyrazy, często zdawały się mi jakimiś żyjątkami i dziwiły jak idący zegarek zadziwia dzikiego człowieka. Ze wszystkich bo wynalazków wynalazek pisma jest bez wątpienia najtrafniejszym. Postwarzać tyle pewnych figur, dać każdej właściwe znaczenie i taką mnogość najdelikatniejszych odcieni, połączyć je i móc tak umiejętnie charakteryzować kilkoma znaczkami to właśnie, czego określić niepodobna, bo uczucia serca, bo wrażenia duszy lub zmysłów jest to zadanie, którego całą trudność wtenczas tylko pojąć moglibyśmy, jeśliby nam dał kto to zadanie do rozwiązania przed wcieleniem go w rzecz samą. Siedząc nieraz wśród ciszy nocnej przy stoliku, patrzałem na pootwierane księgi, a każda stronica zdawała się rodzić w konwulsyjnych rzutach jaką ofiarę wywołaną do życia autorem. Wszak krzyk ten trwał ciągle... wykrzykniki trzymały scenę jakby w napięciu, a to budzące się życie dramatu zdawało się być zamienione jakąś wyższą potęgą w inne formy, chciało oderwać przyrosłe krzyże od swej trumny i wstać nie było w stanie!... I tak krzyczało, wrzało, pasowało się wszystko z tą jedną okropną wyłącznością, iż nie wydawało głosu, nie przejawiało swego życia na zewnątrz, ale jak larwy piekielne, jak tańce dla głuchego, jak daleka scena pożaru wśród nocy, było razem jak trup i namiętność.

Na ganku jak na mrowisku rozmijały się tłumy różnobarwnego ludu. Tysiąc dróg i tysiąc celów! Tyleż marzeń, nadziei, chęci zemsty, miłości, gniewu, rozkoszy, a może

¹ *Nejtyczanka* – rodzaj czetorkołowego pojazdu konnego, używanego na Kresach wschodnich w XIX i na pocz. XX wieku.

żadnej pokory, dobroczynności, współczucia – leciały w ich ślady! Ale oto wciskam się w podwoje: tłoczą mnie – dręczą – niosą – stojcie na miłość Boga! Pozwólcie mi odechnąć tu na stronie, pozwólcie uciec na te schody... tam kraina sztuk pięknych... z dała uśmiechają się do mnie ładne główki z etiud Julienu², piękne kompozycje Delacroixa³ i Verneta⁴, tam zapomnę o tobie interesowna gawiedzi, tam obaczę włoskie noce i Esmeraldę⁵, i moją śliczną Kolombinę...⁶ Och, którą tak szczerze pragnąłbym poznać w naturze i w Wenecji!... Tam... nie słyszą – nie zważają – niosą – wspieram się na lisich kołnierzach jakichś dwóch asanów, podnoszę się nad ich głowy o jakie pół łokcia – jak srebrna błyskawica mignął mi magazyn Frageta, przeleciały czerkieskie kobierce i burki, i mińskie boty⁷, i perskie materie... Oglądałam się – ścisk się zwiększa – wpatruję się i parskam ze śmiechu... materia bierze widocznie górę – duch upada! Zmiłujcie się: czyż to wiek dziewiętnasty?! Przede mną, jak zajrzeć okiem, morze głów w przyływach i odpływach ciągłych. Kilka rozumnych łbów tkwi uwięzionych wśród tych tysiąca czaszek; kiedy tymczasem zamaszysta szlachta, jak delfiny rozpie-
 rają barkami piętzące się wały – idą naprzód – rzucają wzrok dumy i politowania na sparaliżowane tłumy – buchają gorzałką – sapią bakunem⁸ – ryczą tubą.

Ale ludzie jak czas nie mogą być bezczynni, zaczynają się więc monologi.

– Szukam właśnie JW. Pana od dni kilku! – odezwał się radośnie jakiś jegomość, postrzegłszy o parę sążni przed sobą swego Jaśnie Wielmożnego debitera⁹. – Dopytać się nie mogłem. Do nówek upadam JW. Panie! A to kara Pana Boga! Wyłabudać¹⁰ się nie mogę przez żaden sposób z tego ścisku!

JW. Pan chciał się już witać, ale zwietrywszy kredytora¹¹, podjął ramiona jak w kąpieli i zaczął tyłem oszukującą rejteradę.

Procentowicz¹² ucieszony, iż przed nim widnieje duża jaśnie wielmożna głowa, rozumiał, iż ten go chce uściskać, że nań czeka; dobywa więc sił ostatnich, a nie mogąc rozeprzeć tłumy barkami, postanowił dotrzeć mety innym sposobem i dał nurka.

² *Julien* – Pierre Julien (1731–1804), francuski rzeźbiarz.

³ *Delacroix* – Ferdinand Victor Eugène Delacroix (1798–1863), francuski malarz, przedstawiciel romantyzmu.

⁴ *Vernet* – Horace Vernet (1789–1863), francuski malarz i grafik.

⁵ *Esmeralda* – przypuszczalnie chodzi o operę *La Esmeralda*, skomponowaną przez Louise'a Bertina (1805–1877), z librettem Wiktora Hugo.

⁶ *Kolombina* – chodzi o jedną z głównych postaci komedii *dell'arte*.

⁷ *Boty* – inaczej śniegowce; damskie lub dziecięce wierzchnie obuwie, najczęściej gumowe, z wysoką cholewką, nakładane na pantofle w celu zabezpieczenia nóg przed przemoczeniem lub zimmem.

⁸ *Bakun* – tani tytoń marnej jakości.

⁹ *Debiter* – dłużnik.

¹⁰ *Wyłabudać się* – gwar. wydostać się.

¹¹ *Kredytor* – osoba udzielająca kredytu.

¹² *Procentowicz* – człowiek utrzymujący się z dochodów od procentującego kapitału.

Ale jakież było jego zadziwienie, gdy wynurzywszy głowę, znalazł się oko w oko przed policjantem, który go zmierzył podejrzliwym wzrokiem i napomniął, żeby nie starał się szukać, czego nie zgubił.

– Aha, ha, ha, haaa! – przejechał mi ktoś nagle jak kołami nad głową. – Moja rybeńko! Gdzież to zapisać? Tomasz na Kontraktach! Ta nu, bo Tomaszu, czy to ty? Haj, haj! A żonka, a dzieci jak, czy zdrowi? Czy panna Małgorzata wyszła już za mąż? Ba?

Zapytany tworzył oczywistą sprzeczność z pytającym. Ten był olbrzymiego wzrostu szlachcic, a kozuch jego musiał spożyć ze dwadzieścia baranów, nim opasał mu biodra; tamten zaś mały, żywy, w płaszczu i konfederatce. Rozmowa ciągnęła się:

– A jakże?

– A za kogo?

– Za Tupajkoskiego.

– Za Tupajkoskiego! Moja rybeńko – mówił drąg-szlachcic, kładąc palec na ustach – coś słyszałem o Tupajkoskich... jego rodzi podobno Kozubska, co to spokrewniona z Wierzgajłem, ha, moja rybeńko, czy ten sam?

– To ty znasz, panie Macieju, i Wierzgajłównę? – krzyknął mały, nie posiadając się z radości.

– Oto! Czy ty ją znasz, a ja znam jak łysego konia! Po nocy bym poznał. Też to ona nosiła mnie na rękę, moja rybeńko.

– Na rękach! O mejn Got! – krzyknął spod ziemi jakiś suchy Niemczyk, na którego głowie ciążyła trzecia część brzucha naszego dzieciaka. – Moja winszować na takie fors pani Firgalówna!

Szlachcic spojrział na prostującego się z talią miną, jak się patrzy na zegarek, dobywając go z kamizelki:

– He, he, he, ale widzi pan, moja rybeńko, temu już dosyć dawno. A pan zna ją?

– Zna! Nejn!

– Pocziwa z kośćmi kobieta!

Jakiś lew kijowski w okularach, w niedźwiedni¹³, z głową zadartą i w modnym kapeluszu prowadził damę pod rękę, ale ścisk zatamował drogę.

– Place, messicurs! Place!¹⁴ – wołał dandys, jakby kręcąc się w walcu.

– Stara facecja¹⁵ – szeptał szlachcic do sąsiada. – Tu i z francuskim językiem czekać trzeba.

– A jak ścisną po polsku, ciekawym jest, jak będzie wyłaził? Po francusku?

¹³ *Niedźwiednia* – futro z niedźwiedzia.

¹⁴ *Miejsce, bataganiarze! Miejsce.*

¹⁵ *Facecja* – żart, żartobliwa opowieść.

– Bykowski!! – krzyknął ktoś z prawej strony.

– Waligóra!! – odezwał się drugi z lewej.

Wybuch radości ze znalezienia się tak był potężny, tak prawdziwie szlachecki, że spojrzawszy na te kolosy, zadrżał o całość tułowia mego. Jakoż przypłaciłem kawałkiem peleryny od szopów¹⁶. Dwie żyjące potęgi jak huragany afrykańskie poszły naprzemy siebie¹⁷, zmiatając po drodze wszystko, co napotkały. Oczy ich błyskały ogniem radości, usta drgały, nozdrza otwały się i robiły bokami jak u tatarskiego konia... Bogi! Oto się już spotkały!... Porywa prawica prawicę – chruszczą żyłaste pięści – trzęsą się ramiona – głośny śmiech, a jeszcze wyraźniej, jak mówią Ukraińcy – *rechot*, połączony ze śliną z ust bryzgającą, zamienia im natłok uczuć i tłumaczy nadzwyczajność położenia; na koniec rozlega się głośne czterokrotne uderzenie w ćwiek młotka.

To były całusy-pioruny, fenomena, którymi rozwiązała się burza. Grzmoty rozmowy potoczyły się w ślad za nimi.

Patrzyłem ze szczególnym zajęciem na tę scenę. Jaka to siła i świeżość natury! Jaka potęga uczuć! Ptak dziki, co się ciska w okno lub uderza w sufit, tłumaczy nam poniekąd wyobrażenia tych ludzi.

Dwaj bracia z jakiej europejskiej stolicy, gdyby się spotkali z sobą niespodzianie na szczycie Himalajów nie wybuchliby tak gwałtowną radością.

Wprost przede mną stał jakiś obywatel w szopach¹⁸, oparty o kolumnę, a przed nim z miną służalczą, w długim, bojowym surducie, z wyciągniętą szyją, zgarbiony w krzyżach, młody jeszcze i czerstwy szlachcic, typ naszych oficjalistów. Widocznie prosił się na miejsce.

– Mam w moich dobrach istotnie wakujące miejsce – mówił obywatel.

– Jakież to miejsce? – zapytał szlachcic nieśmiało.

– Widzisz, asan, ja lubię, żeby u mnie nikt nie jadł darmo chleba. Leźniów¹⁹ cierpieć nie mogę. Mnie trzeba człowieka sposobnego, czynnego, trzeźwego; kraść, broń Boże! Chcę, żeby się on zajął gospodarką, dozorem lasu, gorzelnii, propinacji²⁰, utrzymywał porządnie rejestraturę i miał cały dom pod zarządem.

– A jakie położenie JW. Panie?

– Pensy²¹ i 200 złotych.

– A można trzymać remanent?

¹⁶ Szop – ssak z rodziny szopowatych.

¹⁷ Naprzemy siebie – tu: naprzeciwno siebie.

¹⁸ W szopach – w odzieży wykonanej z szopów.

¹⁹ Lezeń – gwarowo: leń, próżniak.

²⁰ Propinacja – wyłączne prawo właściciela dóbr ziemskich do produkcji i sprzedaży piwa, gorzałki i miodu w obrębie jego dóbr oraz do sprowadzania tych wyrobów z innych miast i czerpania z tego tytułu dochodów.

²¹ Pensy – od. *pens* ‘angielska moneta’.

– Broń Boże! Stąd tylko kradzieże owsa, pośladów.

– A czymże ja JW. Panie jeździć będę?

– Jeździć! A zaraz jeździć! Jak będzie potrzeba, więc folwarcznymi końmi. Ale, ale, może masz asan żonę?

– Mam JW. Panie.

– Może i dzieci?

– Troje, JW. Panie.

– A to i z usług kwita! Daremna fatyga! Niech asana Bóg prowadzi gdzie indziej. Nie przyjmuję familijnych oficjalistów²². Ordynarii²³ nie daję, pomieszkania nie mam – to kłopot tylko.

Obywatel odwrócił się, szlachcic poskrobał głowę, zamyślał się i postrzegłszy nieopodal brata swego po służbie bakenbardziste²⁴, wąsala, dobrej tuszy, tegiej miny, w kożuszku i wołyńskiej burce, zbliżył się do niego.

– *A szczo, panie Radłowski, najszow misce?*²⁵

– Ot, panie! – westchnął szlachcic. – To już trzecia taka dzisiaj odprawa!

– *Oto pan, to ale, ne ma szczo kazaty! A szczo, jakby takich paniw ta bilsze? Tob to zabohatiła nasza szlachta!*²⁶

– Aj, prawda!

– *I dohlań jomu wsioho i nie kradnij, a masz za to 200 złotych. Rad ja znat, te win najde takoho czołowika. Jakże ne krasty, koły ne ma czoho jesty! Ałe ty, bratiku, ne umiw z nym howoryty?*²⁷

– A cóż ja miał gadać?

– *Treba buło jomu skazały: Niechaj mnie JW. Pan daść stilki, jak braw rządca w Pszenyczyniach, koły wy pro nioho czuwały, to wże i ja takyj budu czesny?*²⁸

– A któż to był taki? – zapytał gapiowato szlachcic.

– *Win sam, mij hołubczyku!* – rzekł wąsala, nachylając się do ucha Radłowskiego. – *Staw na szisćsot złotych, a wywiz stotysiacz. Ne kraw poślidu, hrich kazaty, za te hołu pszenyciu, to ałe!*²⁹

²² Familijny oficjalista – zarządca, urzędnik posiadający żonę, dzieci.

²³ Ordynaria – część zarobków oficjalistów dworskich i stałych robotników rolnych w folwarku wypłacana w naturze.

²⁴ Bakenbardzista – mężczyzna z bakenbardami, czyli bokobrodami.

²⁵ *A co, panie Radłowski, znalazł pan miejsce?*

²⁶ *Oto pan, to ale, nie ma co mówić! A co jeśli takich panów więcej? To by się wzbogaciła szlachta nasza!*

²⁷ *Dopatrz mu wszystkiego, nie kradnij i masz za to 200 złotych! Ciekaw jestem, gdzie znajdzie takiego człowieka. Jak nie kraść, skoro nie ma czego jeść! Ale ty, braciszku, nie umiałeś z nim mówić.*

²⁸ *Trzeba było mu powiedzieć: Niechaj mi JW. Pan da tyle, ile brał rządca w Pszenyczyniach, kiedy pan przez niego czuwał, to i ja będę taki uczciwy.*

²⁹ *On sam, mój gołubeczku. Stawiał na sześćset złotych, a wywiózł sto tysięcy. Nie krał pośladu, grzech powiedzieć, ale czystą pszenicę, ałe!*

Wtem nowa masa ludu pchnęła mnie w głąb sali, a na środku poczułem się nieco wolniejszym od ścisku. Wokoło mnie stały grupy Żydów, obywateli, szlachty; przeciągały postacie coraz nowe w płaszczach, burkach, szopach, niedźwiedniach, wilczurach, paltotach, w czapkach nade wszystko rozmaitych form i kolorów. Rzecz to szczególnie i tu ją zanotować muszę, iż nigdzie nie widziałem sklepów tak obfitujących w różnorodność czapek, jak to ma miejsce w Kijowie na Kontraktach. Ledwie nie każdy magazyn ma je tuzinami, a już to pewna, iż każdy kontraktowicz nabyć choć jedną musi. Stąd po dniach kilku postrzegasz seciny głów ozdobione tym nowym kupnem. Co głowa to rozum: przysłowie to o wiele nie wytrzymałoby sumiennego rozbioru, ale co głowa to czapka, jak ulął da się zastosować do naszych kontraktowiczów. Kto wie zresztą, czy by ta pstrokaczna pokrywa najszlachetniejszej części istoty ludzkiej nie wytłumaczyła nam poniekąd pstrokaczny w tym, co się pod nią kryje? Mimowolnie pióro chce się ześliznąć na dowody, ale zostawmy to na potem.

Obok mnie złapał Żyd za poję jakiegoś chudeusza wchodzącego z miną zajęta na kontraktową salę bocznymi drzwiami.

– Panie! Panie! – mówił doń prędko. – A co, czy pan był u pana Marszałka?

– Nie mogłem odszukać kwatery.

– Proszę no pana – odprowadzając na stronę i stanąwszy tuż przy mnie, tylko obrócony plecami. – Niech pan staje na dyrektora. To a gilte³⁰ miejsce.

Miałem sposobność przypatrzeć się tym indywiduom. Żyd był dobrej tuszy, rudych włosów, a jegomość, z którym mówił, młody brunet, suchej i wyrazistej twarzy z długimi włosami, małymi wąsami i gęstą hiszpanką³¹.

– Ale uważasz, panie Froim – rzekł z roztargnieniem, ciągle spoglądając na przechodzących. – Nie mam rekomendacji, chciałem mieć list od deputata.

– Jaki aspan śmieszny! – rzekł Żyd protektorskim tonem. – Wid czego panu rekomendacja? Na co panu tego? Jak powi pan, że pana rekomendował Froim, to nie trzeba więcej rekomendacji. Pan myśli, że jak Deputat, to wielkie fanaberia? Jak on powi, tak będzie? Nu, jak Froim powi, to tak będzie! Chwalić Pana Boga, ja nie takie mam enteresa! U mnie tu (pokazując na bokową kieszeń łapserdaka) – może ze dwadzieści papierzech na sprzedawanie i kupowanie wsiów. Niech pan spyta, kogo chce: czy znają Froima? Mnie wszystkich panowie znają. Ja już przedal Czepkiwce i Rozaliwkę, nu, po siedemdziesiąt dukatów duszę, to może źle? A u pana Sędziego kupuję Szczurzyńce, nu, to mnie mówił: przyjeźdź do mnie Froimku na herbatę, to skończymy. To dla pana Atanazego, co pan jego zna, to win ożenił się.

³⁰ *Gilte* – zapewne od jid. *gelt* ‘pieniądz’, a zatem: intratny.

³¹ *Gęsta hiszpanka* – gęsta bródka.

– Ożenił się?...

– A kto jemu to zrobił? To ja, Froimko: niech win mnie dziękuje. Ja jak przyjechał do niego, to on mnie sady koło siebie, a ściska, a herbaty dla Froimka, a romu³² dla Froimka. Czy winby³³ wziął pannę Kuperkównę, jakby nie Froim? Ja jego postawił teraz na nogi.

– Jakimże sposobem?

– Nu, jakim sposobem? – rzekł Żyd z dumą. – Już to ja wiem jak zrobić! Czy to ja jednego obywatela postawił na nogi! Pan generał Koreniowski, jak przyjadę to zaraz: a, jak się masz, Froimku! – Och, bardzo dużo roboty!

– Ale powiedz, jak się ożenił Atanazy?

– Nu, to ja jego ożenił, on by się nie ożenił, win nie znalazł Kuperkiewicza, a co wziął, po ojcu to stracił. To ja jemu powiedział: a chce pan, to ja panu dam żonek z posagiem? Ot, my i pojechali, niby za kupieniem żyta do gorzelnii, a ja po tym i pogadał z Kuperkiewiczem. Co to, czy win mnie nie zna? Ajaj! Ja jego znam jeszcze, jak win był ekomonem u Branickiego! U niego, jak Froim powiedział, że czarno to czarno, a białe to białe.

Młodzieniec patrzył na Izraelitę z jakąś pogardliwą ironią przez czas opowiadania – potem oddalił się, nie rzekłszy ani słowa.

Wtem postrzegłem Froima, jak wgramoliwszy się na pudło od botów, z gębą pełną gwoździ i pękiem papierków w ręce, zabierał się widocznie do przybijania ogłoszeń na kolumnach; jakoż wkrótce dały się widzieć uczeplone dwie ćwiartki rudego papieru. Ciekawi i gapiący się otoczyli Żyda.

– A co tam nowego? – zapytał jeden.

– Niech pan czyta – odpowiedział Froim z dumą.

Szlachcic zaczął sylabizować:

– „Przedaje się wieś Łapcie...”

Froim stanął ze spuszczoną głową, wyteżonym słuchem i słuchał jak pies, gdy mu łechcą podgardle.

– Tak. Łapcie, git!³⁴

– „Dusz 70, wioska oddzielna, sąsiadów nie ma, morgów w łanach po sto dwadzieścia”.

– Git! Dalej...

– „Młyn na dwa kamienie – właścicielka jedna i z nią jedną robota – gacie³⁵ całe – upusty nowe”.

³² *Rom* – rum.

³³ *On by*.

³⁴ *Git* – jid. dobrze.

³⁵ *Gacie* – tu: ubranie.

– Git, git! – powtarzał Froim. – To ja tak powiedział napisać, niech pan czyta dalej.

– „Karczem trzy na handlowym trakcie. Arenda chodzi za 2000 złotych”.

Żyd pogładził brodę:

– Niech pan kończy.

– „A jak lito chce pogadanie zrobić, to niech gada z Froimem”.

Froim zajaśniał.

– To ze mną, to ja Froim! Aj waj, co to za wieś! Niech państwo kupują, ona zechce niedrogo.

– A założona?

– Nie, ale można założyć. Zechce niedrogo: ona bardzo dobra kobieta. Niechże panowie będą łaskawi czytać drugie wiadomości. To już inny enteres; to a gitte posesy. Dusz 200 na Ukrainie. A jaki pytel!³⁶ To także jedna pani puszcza i z nią jedną robota.

Jakiś jegomość z porządną łysiną i w okularach zabrał się do czytania drugiego obwieszczenia, ale i po mozolnych usiłowaniach ani słowa przeczytać nie mógł. Okazało się, iż papier zawieszony był do góry nogami.

Otoczający faktora parsknęli śmiechem. Froim wlaźł powtórnie na pudło i zmieszany nieco, odrywając papier, powtarzał:

– Nu, to omyłka; a posesja gitte.

Kiedy się rozprzęgła grupa ciekawych, łysy jegomość pozostał sam jeden i zaczął cichą rozmowę z Froimem. Rzecz szła o posesję³⁷. Widoczne było, iż propozycje kontrahenta zadziwiły z początku Froima. Pozierał on nań przenikliwie, ale posesor wytrawny w podobnych interesach nie mieszał się bynajmniej i przebijał ciągle rękę, jakby dobijając targu.

– Panie Froim – rzekł na koniec głośniej. – Ja już żyję w świecie nie od wczoraj; nie z jednego pieca chleb jadłem i nie pod jednym żyłem dachem. Włóczę się po posesjach, bo jestem dorobkowy szlachcic. Możesz mi dopomóc. Dobrze; a nie – nie! Mądrej głowie dość dwie słowie.

Froim potrząsnął rękę.

– Tak, tak. Nu, a co mnie będzie za fatygę?

– A wiele bierzesz zwykle?

– Pół procentu.

– Dam półtora, tylko żeby było dobrze.

– Nu, nu, git! Niechże pan będzie jutro u tej pani i targuje się. Jest dużo posesorów, ale oni wielkie fanaberie: Froima znać nie chcą, to ja im tak zrobię, że woni pójda z kwitkiem. A potem niech pan nie pokazuje się przez całe kontrakty. Ja rozpowiem

³⁶ *Pytel* – worek do przesiewu mąki.

³⁷ *Posesja* – dawn. dzierżawa.

na sali, że posesja wzięta – wszyscy odstąpią – jej trzeba pieniędzy – pan wtenczas przyjdiesz i weźmiesz.

Otóż jedna próbka z tysiąca przebiegłości faktorów! – rzekłem sobie w duchu. Proszę nie wpaść w ich sidła? Ktokolwiek straci – on zarobi zawsze. Te wszystkie obroty handlowe, jakie tu mają miejsce, te sprzedaże dóbr i produktów, przyprowadzają się do skutku koniecznie przez pośrednictwo Żydów.

Jest-że bo kraj więcej błogosławiony dla ich zniwa nad naszą ziemię?! Czym dla artysty Włochy, dla lubownika starożytności Grecja, dla modnisia Paryż – tym dla Żyda zachodnie prowincje nasze! Jak mu tu dobrze! Jak mu tu dogodnie! On tu i wszechwładny, i nikiemny – jak Rodin. On tu natrafił na trzy żywioły, których znaleźć już nie mógł gdzie indziej: na gnuśnych panów, na głupieli³⁸ chłopów i na kraj żyzny. Jeżeli Jezuci trzęśli przez intrygi politycznymi sprawami świata, to ci w obrotach handlowych – nami. Trzeba przyznać, iż (biorąc rzeczy w ogóle) był w nas zawsze widocznym brak spekulacyjnego ducha. Wdrożoną od wieków koleją siedzieliśmy tylko po wioskach i pilnowali roli: wszelki inny handel był dla nas upokarzającym... Rzecz szczególna! Bo jakaż różnica zachodzić może na przykład między korcem a łokciem? Ale ta wyłączna dążność ma po części swoje tłumaczenie. Nasz kraj jest wyłącznie krajem rolniczym, więc ten pierwiastek przeważać musiał. Miał on tylko niedogodność z tej strony, iż przyzwyczajając do zagrodowego życia, zbyt wczesnie odzwyczajał od świata. Jeszcze niedawno Ukraina i Podole stękały pod olbrzymimi stertami zboża, a odpływ tej ogromnej arterii zaniedbany był na zewnątrz. Obywatele, że tak wyrażę się, chodzili naokoło stert bez botów. Tyle dóbr ogromnych przeciągało swe ramiona do Niemna, Dniepru, Dniestru i brzegów Czarnego Morza, a żaden magnat nie pomyślał o założeniu kantor handlowych w Trieście, Marsylii, Londynie. Tyłu obywateli przebiegało corocznie Europę, znali Paryż dokładniej jak swe dobra, a żaden nie wpadł na myśl pchnąć do tamtych krain produkty bogatej swej ziemi. Jedyne u nas handel odeski nierozwinięty dotąd na korzystną stopę i właściwie mówiąc, pałamarują w nim kupcy zagraniczni, a obywatele na ich zostają łasce. I rzecz trudna do wiary: te tysiące stert, te miliony kapitału, przechodziły zawsze przez ręce Żydów! W środku wsi, po wszech gościńcach prowincji naszych, jak zarażające wrzody powznosiły się karczmy, a w nich rozsadowili się Żydzi. Przebiegłością, wyrachowaniem, ciągłą gotowością do wyręczania i spełniania wszelkich kemisów³⁹, oni do tego stopnia potrafili owładnąć przekonaniem obywateli, że jak widzieliśmy, jak znamy, a co rzecz i bolesna, i śmieszna, Josie i Jankiele, Herszki i Moszki sprzedawali i puszczali dobra w posesję, pożyczali pieniądze, zbywali produkty, co mówię: prowadzili interesy, żenili młodych paniczów, szukali

³⁸ *Głupiel* – tu: głupi.

³⁹ *Kemis* – jid. zachcianka.

nauczycieli itd. O! Jakże się to wkrótce przywykało do pocziwego Awrumka! Cóż bo to za wygoda! Ja sobie siedzę w domu, nie wyłażąc ze szlafroka, a on mi znalazł kupca na wódkę, wyszukał ekonoma i załatwił tak niedrogo interes. Nawet dla mojej córki kupił nuty, a dla Józia geografę. Ani ja gadam z kim bądźkolwiek! A jak zdarzy się interes, zaraz posyłam po Awrumka. Dzięki też Bogu nie szukam nigdy kupca; nie gryzę sobie głowy, że zgnije zboże w stercie i gorzelnia u mnie zawsze zabezpieczona. To poddanie się pod przekonanie Żyda odkrywało często jeszcze śmieszniejsze strony. – Co wasan pleciesz z gazet! To wszystko kłamstwo! Czekam na noc Awrumka z Berdyczowa: on to nawiezie nam nowin. Takie stosunki na pozór nieważne, wywierają jednak ważne skutki. Przyzwyczajenie staje się drugą naturą: próżnowanie i spuszczenie się we wszystkim na Awrumkow oddała od czynnego świata, od przedsięwzięć własnych, a na tym wegetacyjnym gruncie nieznacznie korzenia się przesady i uprzedzenia, które opóźniając postęp, wyplenają się trudnie. Z drugiej strony, tenże Awrumek wielowładnie rządzi gminem jedną blaszaną czarką. Całą bandą! I bogactwo kmiotków w jego ręku. Rozpoiwszy masy, on sam jeden stoi wśród nich – trzeźwy, przebiegły, chytry.

Trzeba jednakże dodać, ażeby ten szkic był zupełnym, iż dziś zmieniają się okoliczności. Duch czasu wionął i na nas. Obywatele ulepszają gospodarstwo wiejskie i zakładają handlowe biura. Gałęzie przemysłu posunęły się aż za granicę kraju. Jeden czy dwóch założyli fabryki cukru burakowego. Patrzano na nie z niedowierzaniem. Kilku lat trzeba było, nim większość odbyła proste, arytmetyczne odciążanie rozchodów od przychodu, i oto pola zaczęły się okrywać plantacjami buraków, a po wioskach wzniosły się kominy fabryk. Dziś zmniejsza się zysk, a szał się wzmaga. Przykłady nas rażą, nad kombinacjami nie suszymy głowy.

Z tych myśli obudził mnie nagle uścisk potężny i pocałunek tak szorstko-serdeczny, żem aż cofnąć się musiał.

– A witajże nam, panie Antoni! – rzekł ktoś grubo. – I postrzegłem dobrej tuszy mężczyznę w wilkach⁴⁰ i dużej barankowej czapce, z bakienbardami⁴¹ i wąsami. Twarz mi była nieznaną: stałem w osłupieniu, usiłując go sobie przypomnieć. Mój serdeczny impromptu⁴² wpatrzył się w twarz moją.

– Wszak mam honor mówić z panem Antonim?

– Mylisz się Pan...

– Darujże mi, Panie! Jak mamę kocham, myślałem, że to pan Antoni! Ale to jak dwie krople wody!

⁴⁰ *Wilki* – tu: futro z wilczych skór.

⁴¹ *Bakienbardy* – bokobrody (ros. бакенбарды).

⁴² *Impromptu* – forma muzyczna o ścisłej symetrii trójdzielnej; tu raczej w znaczeniu: improwizator.

I przepraszając, cofał się, kłaniał ciągle, aż znikł w tłumie. Otarłem chustką ten drogi dar czułości, który mnie bolał cały wieczór, i pomyślałem w duchu: o, ludzie! I wyż to posądzacie wiek XIX o obojętność uczuć!

Zbliżając się do sklepu myśliwskich narzędzi, cybuchów, fajek, siodeł itp., postrzegłem grupę młodzieży kupującą te drobiazgi i rozmawiających wesoło. Każdy z nich już się zaopatrzył czymkolwiek. Całe to towarzystwo wtoczyło się na koniec do księgarni. Poszedłem za nimi.

Jak tam byli gwarni, tak tu zmilkli. Zastąpili pulpit i zaczęli przepatrywać książki. Źle ukryta nieśmiałość wykrywała poniekąd nowość ich położenia, do którego przyznać się nikt by nie chciał, a w którym brawować się⁴³ nie odważył. Ta niema potęga geniuszów tłoczyła im czoła całą tajemniczą swą siłą. W tej milczącej scenie był wyraz trudny do opisania. Pomyślałem wtedy: choćby dla uniknięcia podobnego spotkania, warto się uczyć więcej.

– *Listopad*⁴⁴ – rzekł na koniec jeden, oglądając książkę. – Czy to co dobrego?

– Jeden z najcenniejszych przejawów literatury naszej – odpowiedział księgarz katalogowym stylem.

– Proszę pana, przez kogo to?

– Przez Hrabie Rzewuskiego⁴⁵.

– Aha... tak... prawda, zapomniałem. Tego samego podobno, który napisał *Mieszaniny*?⁴⁶

– Bejle? – przerwał drugi. – Ooo!

– Nie warto *mon chère* tracić pieniędzy na podobne głupstwa – rzekł trzeci, który coś zapewne słyszał kiedyś o *Mieszaninach*. – Jego wszyscy skrytykowali.

– No, a na cóż on wysławia takie książki na sprzedaż, które skrytykowane? Chyba nas chce okpiwać? – rzekł jeden do drugiego półgłosem.

– A czy nie ma pan co nowego, świeżego, ciekawego? – zapytał jeden.

– Z najnowszych zagranicznych oto są: *Zwierzenia się Lamartine'a*⁴⁷ i *O własności Thiers'a*⁴⁸.

– *O własności*? – rzekł, poziewując jeden. – To coś musi być straszliwie nudne!

⁴³ *Brawować się* – chwalić się.

⁴⁴ *Listopad* – romans historyczny Henryka Rzewuskiego w pełnym brzmieniu: *Listopad. Romans historyczny z drugiej połowy wieku XVIII* (1845–1846).

⁴⁵ *Rzewuski* – Henryk Rzewuski (1791–1866), powieściopisarz i publicysta, wolnomularz.

⁴⁶ *Mieszaniny* – pełny tytuł: *Mieszaniny obyczajowe*, utwór Henryka Rzewuskiego, t. 1: Wilno 1841, t. 2: Wilno 1843..

⁴⁷ *Lamartine* – Alphonse Marie Louis de Prat de Lamartine (1790–1869), polityk, pacyfista i pisarz, tradycyjnie uważany za pierwszego twórcę francuskiego romantyzmu.

⁴⁸ *Thiers* – Louis Adolphe Thiers (1797–1877), francuski polityk, historyk, zwolennik monarchii konstytucyjnej.

– Oto *Grosz Wdowi*, pisemko zbiorowe przez Aleksandra Grozę⁴⁹, oto *Wędrowki oryginała* przez Korzeniowskiego⁵⁰, oto *Gwiazdy N. 3*, oto...

– *Nowy Sowizdrzał!*⁵¹ – krzyknął jeden. – To coś musi być zabawnego?

– A pokaż!

– A pokaż!

– A co za to?

– Niedrogo – pięć złotych.

Kupiono *Sowizdrzała* pięć egzemplarzy.

Nagle zaśmiał się w głos jeden z przytomnych.

– Patrzcie! Czytajcie! – rzekł, wskazując książkę. – *Rozkosz miłości i szczęście stanu małżeńskiego*⁵². *Poradnik...*, cha, cha, cha, cha, ...*dla kochanków i małżonków...*, cha, cha, cha, cha, ...*tudzież nauka o chorobach*, cha, cha, cha. Nie wytrzymam – a to nic nie może być doskonalszego!

Na te słowa książka poleciała z rąk do rąk – śmiech wszczął się powszechny.

– Oj, koniecznie kupię! – rzekł jeden.

– Ja biorę trzy egzemplarze! – krzyczał drugi. – Jeden pošlę bezimiennie przez pocztę pani Antoniowej, a drugi w dniu imienin na wiązanie przywiozę Józiewi. Oto będzie śmiechu! Brawo! Proszę mi dać trzy egzemplarze.

– Mnie dwa.

– I mnie dwa.

– Mnie jeden.

Księgarz, patrząc na tę powszechną wesołość, równie nie mógł powstrzymać się od śmiechu; zapakował żadaną ilość egzemplarzy i młodzież, uszczęśliwiona z nabycia tak szczególnego dzieła, z hucznym śmiechem opuściła księgarnię.

Nadszedł wnet mężczyzna dobrej tuszy, tłustych policzków, w szaraczkowej lisiurce⁵³, z potrzebami.

– Mam do pana prośbęczkę – rzekł cicho do księgarza, mizdrząc się szczególniejszym sposobem. – Tylko uprzedzam, żem chudopacholek, niech pan nie droży się.

– U mnie ceny katalogowe, a bagatelę jakąś ustąpić można.

⁴⁹ *Aleksander Groza* (1807–1875) – polski poeta epoki romantyzmu, jeden z twórców tzw. szkoły ukraińskiej.

⁵⁰ *Korzeniowski* – Józef Korzeniowski (1797–1863), polski poeta, powieściopisarz, nowelista i dramaturg. Uważany za czołowego twórcę dramatu romantycznego.

⁵¹ *Nowy Sowizdrzał* (właśc. *Nowy Sowiżrzał*) – utwór autorstwa Jana z Kijan (pseud.), nieznanego polskiego poety plebejskiego, czołowego twórcy literatury sowizdrzałskiej.

⁵² *Rozkosz miłości...* – czyli: *Rozkosz miłości i szczęście stanu małżeńskiego. Poradnik dla kochanków i małżonków, tudzież nauka o chorobach*, utwór Juliusza Wolfa.

⁵³ *Szaraczkowa lisiurka* – płaszcz lub czapka koloru szarego, podbite lisim futrem, zwykle noszone przez mniej zamożną szlachtę.

– Tak, panie – rzekł szlachcic, ściskając obiema rękami rękę księgarza. – Grosz teraz trudny, posucha, dla pierwszej znajomości... coś może da Bóg więcej, dopi się potem.

– Niechże wiem, czego pan potrzebujesz?

– Więc mam już łaskawą obietnicę?...

– Ustąpi się, co będzie można.

– Ale tak... panie dobrodzieju – rzekł znowu szlachcic, ściskając księgarza za rękę i z miną śmiesznie układną przechylając głowę – dziękuję panu! Pan tak łaskaw... może da Bóg odwdziczę mu kiedyś!... Góra, powiadają, z górą nie zejdzie się, a człowiek... zresztą... mam dziateczki... może da Bóg wychowają się... kto wie, co ich czeka! Pan Śliwkowski – dodał, nachylając się do ucha – chodził ze mną z przeproszeniem bez butów, a teraz jeździ kareta. U Pana Boga wszystko gotowe... wszak, prawda, panie dobrodzieju?

Księgarz, który pierwszy raz w życiu widział przed sobą to indywiduum, zrobił duże oczy i nie mógł pojąć, co to znaczy.

– Niechże wiem żądanie pana...

Szlachcic znowu umizgnął się, wyrócił oczy i przechylił głowę.

– Jaki pan dobry! Niech mu Bóg stokrotnie wynagrodzi! – rzekł, ściskając rękę księgarza. – Znałem to ja jeszcze w szkołach w Lubarze ś.p. księdza Kapuściewicza... dobry to był księżyna (niech tam Bóg świeci jego duszy i przyjmie ją do chwały swojej, czego zapewne i dostąpiła przez swe cnoty); pan bardzo podobny do niego... bywało mi zawsze daruje obrazek na Wielkanoc. (Zamyślając się.) Hej, hej! Dobrze to były czasy! Bywało, kupią rodzice gramatykę, alwar⁵⁴ jeszcze ojcowski, a tam w szkołach od kolegów dostanie się za domowe łakocie książek parę – i obchodzi się człek wybornie – a dziś... (przewracając głowę i spuszczać oczy) jak to pan wiesz zapewne: dziatki w domu – kłopot w domu. I pociecha z nimi, i ambaras! A broń Boże powrócić z miasta bez gościńca! Oto kupiłem już dla nich pierniczków, a jaszczce chciałbym jaką książeczkę.

Księgarz uśmiechnął się.

– Więc pan potrzebujesz książeczek dla dzieci?

– Tak, panie – odrzekł szlachcic, kłaniając się i ściskając księgarza za rękę.

Księgarz rozłożył przed nim kilkanaście książeczek francuskich i polskich w pięknych oprawach. Szlachcic wziął jedną, przewracał kartka po kartce, wpatrywał się w ryciny.

– Ładna książeczka, nie ma co mówić... proszę pana dobrodzieja, w jakiej cenie, jeśli łaska powiedzieć?

– Ostatnia cena: trzy ruble srebrem.

⁵⁴ *Alwar* – dawn. potocznie: podręcznik gramatyki łacińskiej z XVI wieku.

– Matko Najświętsza! – krzyknął szlachcic. – Pan sobie żartuje na zdrowie! Daj nam Boże śmiać się, a nie płakać.

I wziął księgarza za rękę, zrobił szczególną, jemu właściwą minę i dodał, mizdrząc się:

– Ja chudopachołek... z tuzów bierzcie, co chcecie... Czy nie można by, panie, za dwa złote, jak pan łaskaw?

– Panu trzeba za dwa złote książki? Wątpię, czy to da się skutecznić... Oto najtańszy abecadnik warszawski, ale i ten kosztuje cztery złote.

– Niech już dla mnie będzie taniej..., jak pan łaskaw..., no 40 groszy i rzecz skończona! Pan sam wiesz, jakie teraz czasy!

– Przepraszam pana, nasza gadanina daremna. Pan mi zabierasz dużo czasu, a to Kontrakty... Są inni kupujący – muszę być na ich zawołanie.

– No, to jak za tamtą – dwa złote?

Księgarz ruszył ramionami; szlachcic odchodził do drzwi pomaleńku, namyślając się. Nagle wrócił i chwytając za rękę księgarza, jakby dobijał targu o konia na jarmarku:

– *No, chit' prohraw, chit' wyhraw!*⁵⁵ Gdzie więcej, tam i mniej! Narzucam jeszcze 40 groszy... za pół rubelka! Sam pan dobrodziej widzisz: to prosty elementarz! Żeby to jaka filozofia albo matematyka, coś zamorskiego... no, to jeszcze połatawszy – gdzie to drukowane.

– W Warszawie.

– Widzisz Pan! W Warszawie! Wielkie święto! Tam tego musi być jak śmiecia! A może on i nie widział Warszawy? Może tylko leżał koło warszawskiej książki? To jak konie w Berdyczowie... same arabskie! A im tak daleko do arabskich, jak i moim bronowłokom!⁵⁶ Czy to my nie znamy tych rzeczy! Ale pan Bóg z panem! A stracę – stracę!

To dowodzenie rozśmieszyło księgarza. Zawinał mu elementarz i rzekł:

– Dziwi mnie, skąd pan posiadasz tajemnice naszego handlu?

– Jaki pan łaskaw!... – i ścisnął rękę. – Tak... (trzepiąc głową), żyło się trochę na świecie... Zdarzało się, jak to mówią, być i na wozie, i pod wozem.

To mówiąc, dobył kieskę, z westchnieniem odliczył pół rubla i dawał księgarzowi, mówiąc pod nosem:

– Ocho, cho, cho! Na każdym kroku rozchody, ekspensa⁵⁷, a przychodu znikąd! Dasz pan wiarę: rozeszło się już dwieście złotych, a com kupił? Nic prawie! I pieniędzy nie ma, i nie ma!

⁵⁵ *No, choć wygrać, choć przegrać.*

⁵⁶ *Bronowłok* – nędzny, wychudły, fornalski koń.

⁵⁷ *Ekspens* – dawn. wydatek, koszt.

Wtem młody, przystojny mężczyzna wszedł do księgarni. Księgarz przywitał go jak znajomego.

– Maszże pan dużo nowości? Chciałem zająć tu jeszcze wczoraj, ale ani chwili wolnej!... *Parole d'honneur*⁵⁸, przyjdzie upaść na siłach! Kilka nocy już spać się nie kładę. Dziś wstałem o czwartej od diabełka. Wybierz mi pan co ciekawego i nowego na 50 r. srebrem... rozumie się z romansów francuskich... Tylko co najświeższego, co *en vogue*⁵⁹. Mam z tego zrobić prezent cudownej dziewczynie!... A może co jest ciekawego i w polskim języku?

– Wyszły dzieła niezaprzeczonej wartości, np. Korzeniowskiego *Powieści i opowiadania*⁶⁰, Wilkońskiego *Ramoty*⁶¹, bardzo miłe.

– *Vraiment? Mais prenez garde*⁶², żeby mnie nie skompromitować. A jeszcze co?

– Oto *Wędrówki oryginala*⁶³ tegoż pióra, co i powieści, oto *Bigosu hultajskiego*⁶⁴ tom trzeci...

– Fi!

– Oto *Album warszawski*⁶⁵, oto *W Alpach i za Alpami*⁶⁶, *Listopad, Sfinks*⁶⁷, *Noworocznik*⁶⁸, *Rocznik... Ideaty i karykatury*...⁶⁹

Młody panicz przymrużył oczy i z niedowierzaniem patrzył na księgarza.

– *C'est trop, c'est trop!*⁷⁰ Cośkolwiek z tego, ale nie wszystko: będzie to miało złą minę. *Ajoutez Assi quelques livres des ètrennes avec vignettes, charges et caricatures*⁷¹, oto należność: za książkami przyślę jutro – *adieu!*

Jeszcze ten nie odszedł, gdy wpadł jak kula jakiś młodzieniec w paltocie, z nosem zadartym, miną pustą, poświstując szpicrutą.

– Czy nie ma pan *Wykładu sztuk*⁷² Bosko?

⁵⁸ Słowo honoru.

⁵⁹ W modzie.

⁶⁰ *Powieści i opowiadania* – zbiór utworów autorstwa Józefa Korzeniowskiego (1797–1863).

⁶¹ *Ramoty* – pełny tytuł: *Ramoty i ramotki Augusta Wilkońskiego*, autorstwa Augusta Wilkońskiego (1805–1852).

⁶² *Naprawdę? Ale proszę uważać, żeby mnie nie skompromitować.*

⁶³ *Wędrówki oryginala* – utwór Józefa Korzeniowskiego z 1848 roku.

⁶⁴ *Bigos hultajski* – pełny tytuł: *Bigos hultajski, czyli szkoła trzpiotów Jana Drozdowskiego* (1759–1810).

⁶⁵ *Album warszawski* – album autorstwa Kazimierza Władysława Wóycickiego (1807–1879).

⁶⁶ *W Alpach i za Alpami* – utwór autorstwa Łucji Rautenstrauchowej (1798–1886).

⁶⁷ *Sfinks* – tytuł jakiejś XIX-wiecznej powieści popularnej.

⁶⁸ *Noworocznik* – popularny w XIX wieku tytuł almanachów i czasopism.

⁶⁹ *Ideaty i karykatury*... – pełny tytuł: *Ideaty i karykatury: zarysy fantazyi i rzeczywistego świata: (etiudy nakreślone dwoma tępyimi ołówkami (aux deux crayons) / przez Antoniego Nowosielskiego*, autorstwa Antoniego Alberta Marcinkowskiego (1823–1880).

⁷⁰ *To zbyt wiele.*

⁷¹ *Proszę również dodać kilka książek o darze dawania z miniaturkami i karykatury.*

⁷² *Wykład sztuk* – zapewne tytuł XIX-wiecznego dzieła o estetyce.

- Nie mam, panie.
- Co za fatalizm! Nigdzie znaleźć nie mogę!
- I już go nie było.
- Założmy się!
- Założmy się!
- A o co?
- O co chcesz.
- No, o kalendarz berdyczowski! Kto przegra, ten dla drugiego kupi.

Z tymi słowami weszli dwaj dobrze rumiani jegomości w wołyńskich burkach i przed pulpitem księgarskim uderzyli dłoń w dłoń, ale ponieważ dla odbycia w całej formie zakładu należało przebić komuś ze strony ręce, a księgarz był zajęty, więc biorąc mnie zapewne także za księgarza, gdyż stałem za pulpitem, zwrócili się do mnie.

– Oto niech pan nam przebiję ręce i rozsądzi. Ja utrzymuję – rzekł jeden – iż to panowie księgarze popisali wszystkie te książki, co tu stoją na półkach, a on mówi, że nie; że panowie tylko ponajmowali takich ludzi i podrukowali, co oni napisali. Ale jakże to być może? To oni by sami podrukowali bez panów, bo jak to mówią: *stałob na szkurku, ne stało na wyczynku*⁷³. A znowu dla panów cóż by za zysk był: nie robiąc książek, sprzedawać je? To jakby ktoś handlował butami, nie będąc szewcem.

– Więc poddajecie się pod mój sąd panowie? – zapytałem, ledwie powstrzymując się od śmiechu.

– A już tak! Słowo się rzekło – rzekł drugi.

– Czy macie synów?

– A jakże! – krzyknęli obydwa. – Jego Makarcio w 5 klasie, a mój Ignas już w Uniwersytecie.

– Otóż rozstrzygnięcie tej kwestii przelewam na nich, a teraz powinniście kupić wzajemnie dla siebie po kalendarzu. Oto są dwa egzemplarze.

– Cha, cha, cha, cha! – zaśmiali się w głos obydwa. – Oto panie uciał sztukę! Jaja będą kury sądzić – słyszane rzeczy! A sam wyszedł najlepiej, bo zbył dwa kalendarze. Wyszliśmy jak Zabłocki na mydle!

Po krótkim przeciągu czasu księgarnia napełniła się kilkunastoma osobami. Ten potrzebował filozofii, ten z medycyny, ów coś z architektury i agronomii, a tamten z historii. Obijały się o uszy nazwiska sławnych ludzi, tytuły wymawiane były w różnych językach; obrót tak był wielki, iż księgarz ledwie wystarczył zaspokajając żądania. Było to pocieszającym zjawiskiem! Ale nowa bieda! Dla mnie zupełnie brakło materiału. Bo cóż miałem dla was notować – o rozsądnym gospodarzu, kiedy kupował przyteczne agronomiczne dzieła; o budowniczym, kiedy nabywał

⁷³ *Starczyłoby na skórę, a zabrakło na wyprawkę.*

architekturę; o studencie, kiedy wybierał Platona, Arystotelesa lub Kanta⁷⁴; o poecie, kiedy brał Goethego i Dantego; o damie, kiedy kupowała *Pierścionki mej babuni*⁷⁵, i dzieła Tańskiej...⁷⁶, ale stójcie! Otom znów przy robocie.

Dwóch jegomościów spotykają się. Jeden w niedźwiedni, w okularach, drugi w paltocie.

– Właśnie szukam pana... Procentowicz całe dwa dni nie daje mi ani chwili pokoju. Czyśćcowe męki cierpię od niego! Przyrzekłem mu na koniec, iż będzie miał wypłacony dług w połowie, bo chciał skrypt podać do wyzyskania.

– A niech podaje! Ja nie mam dziś pieniędzy, więc choćby on krzyczał, wylazłszy na dzwonnice peczerską⁷⁷ – nic nie wskóra!

– A wszakże pan sprzedaje pszenicę?

– I cóż stąd? To kupiłem kocz, zwierciadeł parę i u Schafnagla te chińskie urny – prześliczne! Przecudowne! Postawię je w moim błękitnym pokoju i nikt piękniejszym nie pochłubi się meblem. Czyś widział warszawskie obicia? Pamiętasz te w kwiaty na dnie fioletowym ze zwieszającymi się girlandami? Coś jak cudowny szpaler à la dernière gout?⁷⁸ Do sali mojej coś pyszniej iść nie może! Musiałem to kupić, bo rozbiorą. Targuję karetę na leżących resorach, coś ją widział zapewne przed magazynem Wąsowicza... wprost z Wiednia – to coś znaczy! Kupiłem już nowe meble do bawialnego pokoju... pfiuuu! Pyszne! Królewskie! – Co to za Żyd chodzi za tobą, panie Stanisławie?

– Kupiec na żyto.

– Hm... dobrze! Ja bym mu sprzedał jakie parę tysięcy korcy.

– Alboż jeszcze nie sprzedane?

– Tak, sprzedane i niesprzedane. Mój Elo coś nie bardzo pewny, a przy tym nie cierpię tych wypłat przy zaborach. Mógłbym temu sprzedać, a z tamtym jakoś się skończy.

Jurysta poglądził swą szczękę tak, że bakenbardy z obu stron pobrał w zęby i milczał. Obywatel wziął go za guzik od paltota, kręcił nim i mówił:

– Nie myśl, panie Stanisławie, żebym chciał krzywdy Ela. A to mi na co? Żeby ten kapcan⁷⁹ miał mnie szkalować potem! Ale sam osądź: sprzedałem mu po rublu korzec, kiedy teraz po złotych dziewięć. Oczywiście moja strata, bo i pieniędzy nie mam, i żyta

⁷⁴ Platon, Arystoteles, Kant – chodzi o wybitnych filozofów.

⁷⁵ *Pierścionki mej babuni* – zbiór utworów Karoliny z Rylskich Woynarowskiej (1814–1858).

⁷⁶ *Tańska* – Klementyna Hoffmanowa z domu Tańska (1798–1845), polska prozaiczka, dramatopisarka, pedagog, popularyzatorka, tłumaczka, redaktor, edytor, wydawczyni, jedna z pierwszych polskich pisarek dla dzieci i młodzieży.

⁷⁷ *Dzwonnica peczerska* – dzwonnica Ławry Peczerskiej w Kijowie.

⁷⁸ *Do ostatniego smaku*.

⁷⁹ *Kapcan* – dawn. człowiek ubogi, biedak.

nie mam. Otóż tak: co wzięł, to jego, a za resztę albo niech mi da po dzisiejszej cenie, albo sprzedam drugiemu. Sam osądź: czyż to będzie niesprawiedliwie? Za cóż mam tracić po dwa złote z górą na korcu? Moi sąsiedzi posprzedawali po dziewięć, a ja mam po rublu? To byłoby jawne głupstwo! Tak dobre moje żyto jak i czyjeś drugie. A kiedy dają po dziewięć, to nie dają na stratę, ale na zarobek, więc Elo zgodzić się powinien, bo tu zysk jego oczywisty.

Jurysta milczał.

– A nie da, to nie da! Jak sobie zechce! Nie napraszam się. Znajdę kupca innego. Ty kupujesz żyto? – rzekł głośniejszym głosem do Żyda.

Żyd zbliżył się, kłaniając, ale wyćwiczony w targach, nie narzucał się z kupnem, lecz zaczął od czego innego.

– Czy nie ma jasny pan łożu na sprzedaż?

– Co? Łoju! Słyszysz, panie Stanisławie, on mnie o łój pyta. A ja skąd ci, trutniu, dostanę łożu? Co to, czy ja różną owcę?

– Nu, bo mnie łożu trzeba! Każdy pyta, czego mu trzeba.

– A żyta nie kupujesz?

– Mnie żyta nie trzeba, już nakupił. Nu, ale ja mogę i jeszcze kupić, a wiele pan ma?

– Dwa tysiące korcy.

– Dwa tysiące – powtórzył Żyd, założył za pas ręce i milczał.

– Żyto doskonałe, waży 5 pudów 15 fun. bez worka.

– Nu, a co by pan zechciał wid korca?

– Żeby nie targować się?

– Nu, a na co targować się? Co to pomoże? Teraz Kontrakty, trzeba końcować prędko. Cena wiadoma; czy to Pan, niech będzie zdrow, nie zna, jak sprzedają?

– Sprzedają po dziewięć złotych.

– Po dziewięć? *Szczob moi worohy*⁸⁰ tak szczęście mieli, jak kto sprzedał po dziewięć!

– Jak to? Żytnicki sprzedał po dziewięć; Pszenickiewicz także po dziewięć, i na miejscu. Hreczyński przy mnie wczoraj skończył o pięć tysięcy korcy i gotówkę z góry...

– Nu, dobrze sprzedali. *Nechaj ti wydychajut' szczo kupyły*⁸¹. To jak oni durnie, to już i mnie trzeba być durniem? Żydek kupuje na zarobek⁸², a nie na stratę.

– A ty co dałbyś?

– Niech ja posłyszę od jasnego pana pańską cenę?

⁸⁰ *Żeby moi wrogowie.*

⁸¹ *Niech ci się martwią, co kupili.*

⁸² *Zarobek – zysk.*

– Powiedziałem ci – nudzisz bo mnie...

Żyd wpadł w zapał.

– Żeby ja był taki kapcan jak Boruch albo Szloma – rzekł śpiewnie z żydowska – to i ja by kupował po dziewięć. *Za te wony bez soroczki chodiat*⁸³. Ale ja chce będziować tantnym u jasnego Pana, to jo płacę po cenię. Pan wierzy, że Żytnicki sprzedał po dziewięć? To win daje dostawę do gorzelni. Nu, a Pszenickiewicz to ja znalazł jego kontrakt, to pieniądze aż na Onufreja, a miara u niego na czterdzieści garcy... aj wej! To i ja tak zapłacę jasnemu panu po dziewięć! Nu, a pan Hreczyński to kupił u niego Chaim, to win ma osobny kontrakt na pejsaczne pszenicę korcy pięćset, nu, to co innego! A ja panu pokażę Kontrakty, co ja kupował po siedem złotych trzy tysięcy i pięćset korcy⁸⁴.

Obywatel widocznie skłaniał się do wyperswadowania sobie uporu własnego. Żydek składał dowody tak przekonywujące!

– A jasny pan chce gotówki wszystkie?

– Nieodmiennie!

– Nu, to bardzo trudno! Teraz procenta wielkie.

– A mnie co do tego!

– Nu, a mnie jest co do tego, bo to wszystko strata. Ale żeby mieć z jasnym panem enteres, żeby jasny pan poznał, że ja tantniejszy jak te kapcany, to dam po siedem i po groszów dziesięć.

– Idź do stu diabłów! – rzekł obywatel. – A to trzeba zwariować, żeby tak sprzedać.

– Nu, a cóż? Wszystkie pieniądze z góry, to to nic nie znaczy? – mówił Żydek, idąc za oddalającym się panem. – Niechże ja posłyszę od jasnego pana ostatnie cenę?

– Osiem i pół.

– Nie mogę, jasny panie! Pod chejrym, że nie mogę.

Obywatel opuścił księgarnię – Żyd założył za pas obie ręce i zaczął namyślać się, zbierając sobie jakieś liczby pod nosem. Wkrótce nadszedł Żyd drugi, a z układów ich pojąłem, iż ten drugi miał być dziś u obywatela i dawać mu po siedem, a nazajutrz pierwszy przyjść i dobić targu. Okazało się przy tym, iż interesy jasnego pana były im tak dobrze znane, jak może nie były znane samemu ich właścicielowi.

Wtem zbliżył się młody panicz z czarnymi wąsikami, miną zafrasowaną i przepatrzwszy tytuły niektórych pod ręką książek, zapytał z westchnieniem:

– Na Boga! Czy nie masz pan jakiej doskonałej myśliwskiej książki?

– Mam *Poradnik dla myśliwych*.

– I ja tę mam, ale przepisane w niej lekarstwa nie pomagają. Ot, bieda! Przyjdzie się stracić najlepsze w świecie charty! I westchnął głęboko.

⁸³ *Za to oni bez koszuli chodzą.*

⁸⁴ Cały ten fragment imituje żargon kupca żydowskiego z Kijowa.

– Cóż to, zdychają?

– Ach, zdychają, panie! Za Lotkę, jak honor kocham, dawano mi przed miesiącem dwadzieścia dukatów – i zdechła! Dolot chory... ach, co to za pies! Co to za pies! Nie zna on, co to upuścić kota. Jeszcze jak mi zachoruje Zaleb, to dalibóg zwariuję!

– Cóż to za choroba?

– Nosacizna⁸⁵, panie! – rzekł i znowu westchnął, po czym oddalił się ze spuszczoną głową, wolnym krokiem, jakby szedł za konduktem pogrzebowym.

Natomiast przez drzwi drugie wszedł młody jeszcze mężczyzna w szopach. Nie tyle zdawał się szukać przedmiotów do kupna, jak spotkać, kogo mu trzeba było. Jakoż wkrótce wpatrzywszy się ciekawie w jednego przechodnia, złapał go za rękę.

– Moje uszanowanie panu.

– Aaaaaa! Całuję nóżki!

– Mam do pana ważny interes, a kwatery dopytać się nie mogłem. U Schafnagla adresu pańskiego także nie ma.

– Gdzie to nam szlachcie, hołyszom, po Schafnaglach zapisywać adresy! Pan przez cały miesiąc nie znalazłbyś mojej kwatery. Ja stoję aż na Korzeniówce. W jednym pokoiku tam nas aż pięciu.

– Uważa pan, rzecz taka. Panu wiadomo, że mam fabrykę cukru: doskonała – nie ma co mówić. Tego mi i wróg nie zaprzeczy. To panie dziś nie lada afera! Ludzie porobili majątki w rok jeden i ja niezawodnie miałbym w tym roku jakie dwadzieścia pięć tysięcy rubli srebra, żeby zarodziły buraki. Na ten już rok będzie co innego! Ale tymczasem potrzebuję 8000 rubli srebra (dotąd mówił cicho i z ubolewaniem, ale od periodu wypadła mu mowa jak bąk w najsprężystszym rzucie). Zmiłuj się, panie Grzegorzu, jeśli Boga kochasz, jeśli mam u ciebie choć trochę względów, zaratuj mnie tą sumką! Wszak udzielasz się drugim? Dam ci ósmy, dam ci dziewiąty procent.

– Ebeeeee! Szkoda! Nie ma już, panie! Co było, to rozdało się – rzekł szlachcic z jezuicką minką. – To suma!

– Ho, ho! Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Zechciej no pan, a znajdziesz.

– Zachciałeś pan!

– Więc jakże?

– Nie mam, panie! – protestował się szlachcic, rozszczępiając ręce. – Jak pana szanuję, nie mam!

– Kutwa przekłety! – mruknął obywatel do siebie.

– Stara sztuka! – bąknął szlachcic, wynosząc się z księgarni.

Znudziła mnie na koniec ta ciągła i ciągle zmienna panorama ludzi z ich wadami, zaletami i oryginalnością. Myśl, co zaraz z danych puszcza się na morze kombinacji i wniosków, składała z tych cząstek w całość i chciała dopatrzeć w niej przerażającego

⁸⁵ *Nosacizna* – przewlekła zakaźna i zaraźliwa choroba zwierząt nieparzystokopytnych.

charakteru. Charakter! Charakter! Myślałem, idąc i ocierając się o tłum przesuwający się to w tę, to w ową stronę. Jaki być może charakter Kontraktów, jeśli nie czysto materialny! To nie pracownia artysty, gdzie króluje duch i geniusz! To nie plac sławy, gdzie grzmi trąba wojenna, a czarodziejskie słowa: honor! ojczyzna! niosą cię z bagnem na szanice! To nawet nie to ciche wiejskie życie, gdzie się przywyka do modlitwy i natury. Tu królem spekulacja, cnotą – zysk, zbrodnią – strata! Tu nie masz uczuć, tu są – procenta, nie pytają o zalety, lecz o złoto; nie jakość, lecz ilość stanowią tu rzecz całą!... Patrz na tych zajętych tysiącnymi interesami ludzi – są to rybitwy złota!

Opuszczając salę, tak byłem pod wpływem różnorodnych wrażeń, iż nie umiałem się zdecydować, dokąd by się udać. Przypadek, co zawsze rad nastęrcza się w podobnych zdarzeniach, wyręczył mnie, otaczając półtuzinem znajomej młodzieży. Właśnie wszyscy szumnie i wesoło udawali się na wieczór do pana Augusta: zaciągnięto i mnie – pojechałem.

– Fajek! cygar! papierosów! herbaty! – krzyczał, wchodząc wesoły nasz gospodarz. – Już to mówcie, co chcecie, a pani Alfredowa jeszcze i teraz tęga kobietka!... Jakie ramiona! Pfiuuu...

– Jestem twego zdania – rzekł Ignasz, zrzucając frak. – Ona mi przypomina Julkę. Ej, Julka, Julka! *Parole d'honneur*, oto mi dziewczynka!

– Powiem wam nowinę – rzekł Staś, zapalając cygaro – Atanazy żeni się, ale z kim? Zgadnijcie.

– Może z Agnieszką?

– A to by jak raz była dobrana para! Z dwóch małżeńskich nosów piramidę złożyć by można. Ale właśnie, że nie – z Emilką.

– Z Emilką? No, maszże! Ten Karol diabła musi mieć na usługach zawsze! Ot i gratka! Karolu, musisz nam zafundować pół tuzina szampana akonto przyszłych sukcesów.

– To rzecz Atanazego – rzekł Karol z ironią.

– Cha, cha, cha, cha! – huknęło towarzystwo.

Oleś wybiegł na środek, uścisnął Augusta i mówił:

– Serce, Guciu! Jak mnie kochasz, namów ty Atanazego, żeby nam jutro zafundował te pół tuzina na naszą intencję... rozumiesz mnie? Będzie wiele wart figiel!

– Czemuż! Ale to jutro, a dziś może byś ty dał się namówić na podobną fundację?

– A, bestio ty! – rzekł Oleś. – A zresztą – czart cię bierz! Ustępuję narzeczoną, lecz ty mnie zarekomenduj na garderobianą do swej siostrzyczki.

– Myśl szczęśliwa – rzekł błądy Józio. – Postawię na nią w diabełku dziesięć peców.

– Naturalnie – odbąknął Władzio. – Tobie w tym tylko i został rewanż.

– Wczoraj fatalny postawiłem remiz! – rzekł, śmiejąc się, Józio.

– Za gorąco wzięłeś rzeczy...

Staś zaczął nucić.

– Wczoraj – rzekł – śpiewałem pani Alfredowej przy fortepianie:

Mamoż moja, mamó! Tak budu robyty,
Budu muża szanowały, a chłopciw lubyty⁸⁶.

Ale! Piotruś zgrał się wczoraj u Apolinarego tak gładziutko, że aż śmiech było patrzyć. Przyszedł wesół bawarda, ale jak *spuścił* wszystko, więc zrobił się taki popularny, dobry, rzewny, że choć do rany. Usiądź, serce, Piotrusiu – wnet siada; wstań duszko – wstaje; może jeść chcesz? – więc je; może pić – więc pije. Co to było śmiechu, wyobrazić sobie nie możecie. Dziś już widziałem jego kasztany przed Halperynem⁸⁷.

– *A propos!* – rzekł Jędrus. – Dobijmy targu o kasztanki! Niech cię diabli wezmą, że daję ci dobrze.

– Chyba dodasz jeszcze lepażówkę⁸⁸.

– No tak: ty mnie dasz jeszcze karosza i siodło, a ja dubeltówkę i toaletkę, Schafnagloski komplet – słowo honoru, mnie kosztuje sto sześćdziesiąt rubli srebra. Albo czart cię bierz, dodam jeszcze krócićę⁸⁹, a ty mi ustąpisz nejtyczankę.

– Czy ty kpisz, czy drogi pytasz? Myślisz, że tak i mnie okpisz, jak Podsędka na gniadym? – Nie chcę! Wolę założyć je w diabełka⁹⁰. No, panowie; *nie traćmy czasu*. Atanazy, serce: ani kart, ani wina. Cóż to u diabła za diabeł! Czas nie stoi; zapłacisz mi za każdą godzinę po sto dukatów. Może teraz moja byłaby szansa.

Atanazy klasnął w dłonie:

– Kart! Wina!

Lokaj i Kozak rozłożyli stolik i wkrótce stanął szatański ołtarz z dwoma święciami, z zielonym tłem i kartami – tą ewangelią XIX wieku, około której zaczęli się grupować wyznawcy.

Nie mając nic lepszego do roboty, dobyteł gazetę i czytałem.

– A co tam nowego? – przerwał jeden obojętnie – czy już obrali Prezydenta?

– Już! Już! – przerwał drugi. – Zdaje się Kaweńjak⁹¹.

⁸⁶ *Mamo, moja mamó! Tak będę robiła,
Będę męża szanowała i chłopców kochała.*

⁸⁷ *Halperyn* – zapewne nazwa sklepu.

⁸⁸ *Lepażówka* – dawna broń myśliwska.

⁸⁹ *Króćica* – pistolet o krótkiej lufie i małej donośności, używany w XVII i XVIII wieku.

⁹⁰ *Diabełek* – tu: rodzaj gry w karty.

⁹¹ *Kaweńjak* – Louis Eugène Cavaignac (1802–1857) francuski generał, generalny gubernator i szef rządu w 1848 r., zwany „czerwcowym rzeźnikiem” z powodu krwawego stłumienia robotniczego powstania w czerwcu 1848 r.

– Nie, Bonaparte – odezwał się trzeci. – A czy biją się gdzie?

– Proszę ciebie, gdzie to? – zapytał innego zapytany. – To się nigdy nie trzyma mojej głowy, a zwłaszcza w Kontrakty, kiedy człowiek tyle ma interesów!

– Na Węgrzech – rzekłem.

– Na Węgrzech? A tak, przypominam sobie – rzekł Atanazy, łamiąc karty.

– Coś mówią o tym... – rzekł Ignaś, poziewując.

– A ja nigdy nie mam zwyczaju dowiadywać się – powiedział Antoś. – Jak coś się zrobi ważnego, to samo wlezie w uszy, choćbyś nie chciał wiedzieć.

– No, panowie! Gotowe wszystko, do puli!

Na to wezwanie wszyscy powstałi z miejsc, zaturkotały krzesła i stolik otoczony został. Towarzystwo inny przybrało charakter, jak skoro brzęk kruszcu i szelest asygmat dał się słyszeć. Napełniła się pula i los ślepy obierał jednych, a darzył drugich. Ciężkie dorobki ojców, pożyczki łatwowiernej szlachty, całoroczne dochody dóbr szły na kartę z trudną do opisania rezygnacją. Twarze grających mieniły się stosownie do szczęścia lub niepowodzenia, oświetlane łuną gasnącego lub wzmagającego się jakiegoś straszego, wewnętrznego pożaru.

Przez ciąg nie więcej godziny los fatalny tak prześladował Jasia, iż przegrał, co miał w pularesie; przegrał konie, zegarek i kocz. Rwał ze złości karty zębami, darł je w rękę, ciskał o ziemię, na koniec wstał gniewny i milczący, chodził po pokoju; gra tymczasem szła swoim porządkiem i na niego nikt nie zwracał uwagi.

– Ot, podłe szczęście! – rzekł, usiadając przy mnie. – Przez całe Kontrakty nie przyszła szansa!

– Trzeba było zaniechać zupełnie.

– Zaniechać! – krzyknął, porywając się z miejsca. – Ślicznie bym wyszedł! Znasz się, widzę, na grze jak ślepy na kolorach! Słyszysz: zaniechać! Ty wiesz, że natrafiwszy na szansę, można wszystko ściągnąć do kieszeni pięcioma kartami. Można dziesięć razy więcej! Wczoraj Hilary poszedł z dwudziestoma pięcioma rublami i wziął sześć tysięcy – trafił na szansę! At, nie ryzykowałem i dlatego przegrałem! W diabełku rzecz główna *force d'argent*⁹².

Te matematyczne pewniki zostały dla mnie niezrozumiałe. Szczegółne dowodzenie! Nie ryzykować – wierna przegrana! Zaniechać gry – jeszcze gorzej! Szansy trzeba szukać koniecznie. Ona gdzieś czeka na cię... , ot tu, może w tej, a może w tej talii... Prawda, że Jaś zgrał się, działając w myśl tej metody, ale gadajże z nim! Kiedy butelki zaczęły wypróżniać się częściej, a twarze rozpalać, opuściłem towarzystwo, udając się do Marszałka. Wchodzę do salonu – oświecony rześisto – zielone stoliki na placu – i tu karty!

Gospodarz ściska mnie jedną ręką, a drugą podaje kart parę:

– Może siądziesz do preferansa?

⁹² *Force d'argent* – z franc. siła srebra.

– Nie grywam, panie Marszałku.

– Jak to? – rzekł zdziwiony, jakbym mu powiedział: nie jadam nigdy. – Żartujesz, to być nie może!

– Istotnie.

– Ależ daj pokój! Jak można nie grać! Jakże czas przepędzasz? No, daj się uprosić: niedrogi – po pół rubla.

Po najuroczystszy na koniec oświadczeniu moim, iż nie gram, podjął brwi, wzruszył ramionami i udał się do innych z tą samą propozycją.

Opuściłem rychło Marszałka. Udałem się do Sędziego. Otwieram podwoje – o, nieba! Dwa obszerne pokoje zajęte są stolikami. Grają damy i mężczyźni. Ze mną razem weszli dwaj jacyś jegomoście.

– Wybornie! – rzekł Sędzia. – Jeszcze przybywa partii. Kart! Ej! Kart i stolika!

Poty mnie oblały. Zacząłem litanię tłumaczenia się. Nieznajomi słuchali mnie z podniesionymi brwiami i nie zostawiali kapeluszów. Kiedy zęgnąłem Sędziego i oni zrobili toż samo.

– A panowie czegoż odjeżdżacie? – rzekł Sędzia.

– A cóż, nie ma partii. Pojedziemy do Deputata.

– A jakaż to szkoda! Ach, przez pana – rzekł, obracając się do mnie – pozabiam się tak miłych gości!

Odwiedziwszy jeszcze kilka domów, znalazłem i tam preferans lub diabełek. Uciekając z ostatniego, mimowolnie chwyciłem się za kieszeń, ażeby się przekonać, czy są przy mnie pieniądze, bo już zacząłem myśleć, że ów kartowy diabełek jest żywą istotą, wprowadził mnie w obłąd, wodzi umyślnie po swych drogach i usiłuje rozdzielić mnie z moim pularesem. Przywiązanie doń zwiększyło się w miarę niebezpieczeństwa: przycisnąłem go do serca i zadumałem się. Grę w karty mienią być jedni rozrywką, drudzy zbytkiem, inni określają ogólnym wyrażeniem choroby moralnej XIX stulecia. Tak nie jest. Rozrywka nie ma na celu ruiny własnej ani cudzej; zbytek prowadzi do rozkoszy i zaspokajania żądz ciała, a choroby cechą charakterystyczną jest właśnie, że jej unikają i obawiają się, lecz nie lgną do niej ludzie. Jest to więc pasja – chęć – coś na kształt gorzałki, na kształt opium, ale skąd tej pasji źródło? Wszyscy narzekają na karty, wszystkich rażą okropne przykłady, najgorliwszy zwolennik gier nie ma słowa na usprawiedliwienie gry własnej – i z tym wszystkim ona nie przestaje między nami królować wszechwładnie. Skądże ta jej potęga?

Konieczną wynikłością materialnego wieku jest wyrabianie się w jego łonie wielkiej liczby umysłowych próżniaków, którzy zaniechawszy zupełnie kształcenia się na tej drodze, nie wierząc w wyższe cele, wyrobili w sobie to przekonanie, iż pieniądze są wszystkim, a wszystko reszta niczym. Tych próżniaków zwykle dwie postrzegają się klasy. Jedni bogaci, których fałszywe albo niedbałe wychowanie, a często towarzystwa, pchnęły na drogę grubej zmysłowości, którą się polubiło, do której się

przywykło, z której naokoło nic rozbudzić nie mogło. Drudzy biedni, lecz mający pośredni sposób zakosztowania tych wszystkich rozkoszy i przypatrzenia się błogiemu stanowi bogacza. Charakter nasz wewnętrzny jest dagerotypem⁹³ zewnętrznych wrażeń, a usamowolnione ciało despotą ducha; młodość zaś z natury swej i giętką, i lgnącą pochopnie nie do czystych li, lecz do byle rażących obrazów... Cóż, jeśli temu wiotkiemu umysłowi i temu bijącemu sercu przedstawiają się tylko obrazy zepsucia? Czyż podobna, ażeby nie zaraził się nimi? Pchnięty raz na tę kolej, przechodzi nieznacznie pod wpływ żądz i namiętności; ciernista droga sławy i pięknych celów gubi się, niknie przed jego okiem w miarę, jak się oddala od niej, a znałogowanego już przez zepsucie i zbytki, zwykle u kresu lub w środku samym drogi życia, spotyka brak kruszcu, który był jedyną dźwignią wszystkich jego pomysłów, na którym oparł całą przyszłość i wszelkie rozkosze życia. Łatwo jest wyobrazić sobie, jak człowiek taki poczuwa wtedy całą swą nicość; jak zgangrenowany lenistwem, brakiem energii i zupełnym odłogiem umysłu, uczuwa, iż bardzo by mu było trudno, a może i niepodobna, rozpocząć tak niewczesnie pielgrzymkę dalszą pracowitą koleją, a zgubiwszy wiarę we wszystko, co cnotliwe i wzniosłe, nie widzi w tym nawet żadnego rodzaju zasługi, bo egoizm wyrobił w nim maksymy bez jutra. Spogląda on wtedy naokoło siebie i widzi ten (wiekuisty, niestety!) charakter świata, gdzie cnota w ubóstwie, pogardzie i zapomnieniu, a bogactwo ludziom pospolitym, często plewom spofeczeństwa, otwiera podwoje do zasług, wziętości, dogadza ich żądom, uściela kwiatami ich drogi! Jakiejże to trzeba rezygnacji, jak mocnych zasad, ażeby z tych dwóch dróg obrać skromną, ubogą i długą, a zaniechać tej świetnej? Jeśli na tę wielką próbę natrafia wysoki talent albo pełen złotych marzeń umysł, jeszcze to marzenie, ta nadzieja ubarwia poniekąd kwieciami ciernie jego, a oddalając coraz cele, wiecie go częstokroć niepostrzeżenie przez całą Saharę życia do – mirażu! Ale, na nieszczęście, mocnych umysłów niewiele znajdujemy między nami! Więcej takich, którzy nie mają siły poczęcia, a cóż dopiero wytrwania w przedsięwzięciu... A talenty! O, ileż jest takich, którzy jednym wysilonym skokiem, nie stanąwszy w świątyni sławy, cofają się i za nic koniecznymi szczeblami iść nie chcą. Cóż mówić na koniec o umysłach przekonanych o swej pospolitości, dla których ani gwiazda nadziei, ani promień sławy, nie mogą być przewodnikami do przyszłości, a którzy jednakże do tyła zepsuci są beczynnym życiem, iż chwycić się pracowitej i skromnej kolei nie są w stanie. Trzeba pojąć to straszne słowo: *nie być w stanie*, ażeby jednym rzutem objąć całe ich położenie. Ten sam człowiek, co wytrzymałby długie lata niewoli, wygnanie, najcięższe prace, co w tych najokropniejszych próbach znalazłby spokój i rezygnację – ten sam, mówię, staje się nieszczęśliwszym stokroć w obecnym położeniu, bo przychodzi mu oprzeć się na woli własnej, która mu wymówiła

⁹³ *Dagerotyp* – obraz otrzymany metodą dagerotypii, najdawniejszą techniką fotograficzną.

posłuszeństwo, której ujarzmienie obce już byłoby dlań lżejszym, bo wyzułoby go z ciężaru panowania nad sobą, z ciągłych walk z tąż buntowniczą wolą.

Do tego koniecznego kresu przychodzą wszyscy, co zmarnowali życie i pieniądze i, co najbardziej, stanąwszy w pół drogi bez żadnych zasad, przymierzili swe siły do potrzeb świata i powiedzieli sobie: pieniędzy! pieniędzy! zginionym bez nich! I oto zaczęła udręczać myśl opatrzenia bytu. Szlachetne nieszczęście, piękny upadek, daje do ręki miecz, pióro, rezygnuje na⁹⁴ dalekie przesiedlenie czy skromną gdzieś w zaciszu pracę, ale zawsze oświetlone zadowoleniem, pokojem i cnotą. Występny już w tych środkach nie czerpie pociechy, zdają się mu one zbyt ograniczone i ciężkie. Przemyśla więc nad sposobami wrócenia do dostatniego bytu. Wyjątki losu rażą go i z nich buduje sobie system, nie pomnąc, że to są wyjątki spotykające jednego z tysiąca. Goły Piotr ożenił się bogato; Józef wygrał na loterii sto tysięcy; Paweł został pieczeniarem i dobrze mu się dzieje: Adam, którego zawiodły te próby, gra w karty i żyje z nich jak magnat. Szuka więc pierwszego, drugiego, trzeciego, a na ostatni koniec bada się tajemnice fortunnych gier – i zostaje się *graczem*.

Com rzekł stosuje się do graczy *eks professo*⁹⁵, których wyrabia nasz wiek tak obficie. Ale tenże materialny charakter jego, ta cena i poszukiwanie przede wszystkim pieniędzy nie mogło nie odezwać się na masach wszelkimi porami przemysłowego ich życia. Stanął on do walki z moralnością, obyczajami, a party duchem spekulacji podniesionej do wysokiej potęgi, zmusił je do ustąpienia kroku. Nie stosują też powyższego twierdzenia wcale do gier rozrywkowych. Tam gra nie przestaje być rozrywką, nie staje się więc rzemiosłem. Ale od niejakiego czasu młodzież u nas oddała się kartom z taką namiętnością, iż zamieniła je w profesję, a obrana wprzód sama zaczęła w swą kolej obierać drugich i czyhać na własność cudzą. Całe stada próżniaków wyrabiają się dziś u nas na tej drodze, a epoki ich życia znaczą się ruiną niedoświadczonej młodzieży. Dziwi mnie zawsze punkt honoru, jaki utrzymują ci ludzie przy tej najniehonorowszej profesji. Zadłużony panicz, co wydoił ostatni grosz od biednego szlachcica, nie ma sobie za wstyd nie dotrzymać mu formalnego skryptu, a dług kartowy, choćby przyszło zapisać diabłu duszę, najsumienniejsz wypłacić musi! Widziałem graczy, jak z najzimniejszą krwią obierali niedoświadczoną młodzież nie już z pieniędzy, lecz z powozów, koni, pierścionków, zegarków i sukien; jak widzieli ich w tęż samą chwilę pijanych lub zapalonych przegraną aż do stracenia pojęcia własnego czynu*.

⁹⁴ *Rezygnować na...* – dawn. godzić się na coś pod naciskiem konieczności.

⁹⁵ *Eks professo* – z wł. ze znajomością rzeczy.

* Zdarzyło mi się słyszeć jednego jegomościa, który ograwszy *swego przyjaciela*, co się zowie, bo wziął konie, powóz, zegarek, dubeltówkę i suknie, mówił potem: niech nie będzie durniem, nie siada grać, kiedy nie umie (więc ogrywał na pewne). – Ale trzeba było mieć litości cokolwiek, rzekł kłóś z boku. – Oho – rzekł tamten – nade mną nie miano litości, kiedym przegrywał, za cóż mam być lepszym? Ja równie ryzykowałem; jeślibym przegrał, musiałbym płacić.

Ale są gracze, powiecie, których zacie jako szlachetnych ludzi i w sposobie myślenia i w czynach. Są zaiste; ale są to zawsze gracze bierni, przegrywający. Naturalnie, iż cała ta masa dziś grających nie nosi plam czarnych, ale się bruczy i z czasem plamić zacznie. Pochyłość widoczna ku tej stronie, a pochwyconemu w ten prąd nie zawsze się udaje wycofać nazad ze stratą tylko pularesa⁹⁶.

Jadąc i tak rozmyślając, przypomniałem sobie, że nie był dotąd u Marszałka, godnego obywatela, zacnego urzędnika i zawołanego gospodarza. Otóż postanowiłem odwiedzić go zaraz. Marszałek, jako prawdziwy typ naszego obywatela, nie wyjeżdżał nigdy na Kontrakty bez kuchni, bez lokai, kredensu i ośmiu koni. Najmował dom wygodny i od lat siedmiu u jednego gospodarza. Nie jadał nigdy obiadów ani pił herbaty w traktierze⁹⁷, a rzadko u kogoś ze znajomych: tym bardziej wymawiał się od obiadów oficjalnych albo takich, gdzie się znajdowała pieć piękna, z tej prostej przyczyny, iż lubił jeść dużo i to potrawy przyrządzone według swego gustu; że ponieważ Bóg go nie upośledził objętością, więc surduta i halsztuchów cierpieć nie mógł i zrzucił je, skoro stał na próg własnego domu; po obiedzie zaś przywykł uciąć szpaczka⁹⁸ na pół godzinki, a potem kurzyć fajeczkę za fajeczką, siedząc z nogami na kanapie. Bardzo był rad gościom i niewypowiedziane lubił zbierać nowiny polityczne i powszednie, zaczawszy od prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej, a skończywszy na tureckim tytoniu, który się sprzedawał w sklepie Greka obok kontraktowej sali. W młodszym wieku podróżował za granicą, potem służył cywilnie i znał doskonale konstytucje, statut i zbiór praw rosyjskich z całą ogromną kolekcją ukazów. Stąd co tylko ważniejszego zdarzało się w powiecie, niezawodnie musiało się oprzeć o Marszałka. Ale za narodowe jego nałogi, których nie zaniechał, ocierając się z nowszego kroju ludźmi, lubili go najbardziej ci tradycyjni powietnicy, dla których język rosyjski był dotąd równie misternym jak chiński, a płodozmianu przez lat sześć jeszcze sobie dobrze wytłumaczyć nie mogli. – Jeśli p. Marszałek był im konieczny na wsi w czas spokojny z powodu odebranej powiestki, zdarzonego kupna, zaprojektowanej sprzedaży albo chociażby dla zaopatrzenia się w nowinki (bo p. Marszałek jeden tylko na mil cztery wokoło odbierał gazety), to o jakże stokrót bardziej był on poszukiwanym w Kijowie, gdzie to i pożyczyć, i dać na procent, i kupić, i sprzedać, i posesyjkę wziąć trzeba było, a tam ani się znało, ani wiedziało, jak sobie poradzić należy.

Przed domem Marszałka stało z sześć sani i parę nejtyczanek, bo zima tego-roczna tak była niestałą, iż jedni powyjeżdżali z domu kołami, a drudzy na saniach. Pochodzenie ich wiejskie zdradzało się między arystokracją furmańską miasta

⁹⁶ *Pulares* – portfel.

⁹⁷ *Traktiernia* – dawn. restauracja gorszego gatunku, jadłodajnia.

⁹⁸ *Uciąć szpaczka* – uciąć drzemkę.

jak chudzizna koni, tak powozami i uprzężą. Hawryły i Opanasy siedzieli na kozłach w płaszczach z grubego szaraczkowego sukna lub po prostu w kozuchach, a niektórzy leżeli, chrapiąc w najlepsze. Koniki, zwłaszcza te, których boki ładniej szczeblowaniem świeciły, pospuszczawszy głowy, rozmyślały nad srogością zimy i oddaleniem od rodzinnego kraju – *który im w gęstej zniknął pomroce* – a na ganku stał Kozak w szerokich płóciennych hajdawerach⁹⁹ i granatowej kurtce, sapiąc z całej siły w samowar i przymawiając: *A szczob win zakypiw w smoli ta w pekli bisyw joho czortiw samowar!*¹⁰⁰ Samowar, zapewne przerażony tak strasznym przekleństwem, zaczął jęczeć jak komar, potem nagle spuścił o całą oktawę, potem zaczął przechodzić z tonu w ton bez przestanku jak śpiewający kacap¹⁰¹, a na koniec zaszyjał groźnie i buchnął kłębami pary. Na ten widok Kozak wyprostował się, podkręcił opadłą czuprynę i wzięwszy pana samowara za uszy, wniósł go tak gwałtującego do przedpokoju i postawił na stole. Razem prawie z samowarem i ja wszedłem. Jaki tuzin lokajów z wąsami, w płaszczach lub kozuchach obsiadał ławę i stół przedpokoju. Na mój widok, a raczej na widok moich szopów, runęło to wszystko z miejsc i stanęło na nogi. Lokaj Podsędka poznał mnie z tego tytułu, iż wynosił kiedyś ognia do fajki z karczmy pod Białocekwią¹⁰², gdym się tam zjechał przypadkiem z Podsędkiem i na konto dawnej znajomości wykrzyknął:

– I pan tu? – i cmoknął mnie w rękę. – Ja pana od razu poznał!

Na to hasło przypomnieli się i inni. Każdy więc cmokał i kontent był, iż w cudzej stronie spotkał się, jak powiadał, ze znajomym ze stron naszych.

– A i ty tu, Pawełku! I ty, Grzegorz! I ty, Stefanu! – pytałem się kolejno.

– A i ja tu, panie! – Z moim panem przyjechał.

– I ja tu! I ja tu! Itd. – mówili Pawełek, Grzegorz, Stefanek i inni po kolei.

Uwolniwszy się z szopów i kaloszy, wszedłem do salonu. Zastałem tam towarzystwo liczne, złożone po większej części z powietników¹⁰³. Uprzejmy gospodarz powitał mnie i posadził, usłużny Grzegorz wetknął szklankę herbaty i cybuch w rękę i nie postrzegłem się, jak mnie przyswojono sobie. Obejrzałem się i przekonałem, iż wyglądałem zupełnie jak wszyscy; z cybuchem, ze szklanką i na krzeselku. Dopieroż to zaczęła się dręcząca ceremonia! W miarę tego, jak oswajały się oczy ze światłem, poznawały się fizjonomie. Znajomy po znajomym jak żuczki wyłazili na światło, a zaledwo z jednym odbyłem obrzęd powitania czterema szczerymi całusami i tyleż mocnymi potrząśnięciami dłoni, zaledwie usiadłem na krześle, żeby spocząć,

⁹⁹ *Hajdawery* – dawn. szerokie, bufiaste spodnie.

¹⁰⁰ *A niech on w piekle w smole zakipi, diabelski samowar!*

¹⁰¹ *Kacap* – w XIX wieku nazywano tak rosyjskich chłopów bezrolnych lub małorolnych.

¹⁰² *Białocekwie* (właśc. *Biała Cerkiew*) – miasto na Ukrainie, położone nad rzeką Roś 84 km na południe od Kijowa, dawna polska rezydencja magnacka.

¹⁰³ *Powietnik* – dawn. mieszkaniec tego samego powiatu.

zjawiała się nowa facjata, z którą musiałem powtarzać toż samo. Z początku całowałem najszczerzej i trząsałem rękę po ramię należycie, ale później siły mnie opuściły, już tylko byłem automatem – robili ze mną, co sami chcieli.

Obejrzałem się po pokoju: to była arkadia nasza! Wszystko tak przypominało prowincję, osoby i miejsca!

Kiedy się zawiązała rozmowa, zbliżył się do mnie p. Wincenty Pieczarka, posesor znad Prypeci¹⁰⁴, średniej tuszy, niewielkiego wzrostu, zgarbiony wiecznie i z łysiną, a siadając obok i przysuwając się bliżej do mnie z krzeselkiem, dmuchnął potężnie na ucho:

– A co tam, panie, słysząc o inwentarzach?

– Oj, nic nowego.

– Bo tu gadają, uważa pan dobrodziej, jakoby wszystkie darmochoy przywrócić mają i że pańszczyzna tak będzie, jak była.

– Nie słyszałem.

– No proszę! A tegoż pan dobrodziej nie słyszał, że niby to propinacje będą skarbowe wszędzie? To już rzecz pewna. To mówił pan Podsędek. Czy dasz pan wiary? Człowiek chciałby sobie znaleźć i zapewnić kawałek chleba na rok czy tam na lat kilka – i choć miej salomonową głowę, nie możesz zdecydować się czego chwycić! Posesja! Co dziś znaczy posesja! Głupstwo! Czy to to, co bywało kiedyś! Czy ci ludzie głowy potracili, jak Pana Boga mego kocham, że nie pojmuje! – mówił zapalając się, machając rękoma i wstając z krzesła – Wiunczyńce¹⁰⁵ trzymałem lat sześć po tysiąc złotych, a teraz, co pan powiesz? Dali 3500 rocznie z góry!

– O! Majątki teraz w cenie – odezwał się Kurator magazynowy. Mnie za Wszobródkę dawano wczoraj... zgadnijcie panowie, po czemu?

– Po osiemdziesiąt dukatów! – rzekł energicznie pan August.

– Tak, po osiemdziesiąt.

– Zgódźcie się więc panowie – rzekł znowu August – że jeśli jemu dawali po osiemdziesiąt za Wszobródkę, to moje Tałypińce warte po sto. I od stu nie sprzedam, jak honor kocham!

– To szła, a nie właściwa cena! – rzekł jakiś nieznajomy mi, suchy jegomość z dużymi bakembardami. – Panu Bruńkiewiczowi np. dawano dziś na sali po siedemdziesiąt trzy dukaty za duszę!

– Pan Jarowiecki zrobił lepszą aferę – rzekł Podsędek – bo kupił Łapajpsówkę na Ukrainie po osiemdziesiąt i sprzedał nazajutrz po dziewięćdziesiąt. Natomiast kupił wnetże Zarwigrosz, a niech mu kto da parę dukatów więcej, słowo honoru odstąpi.

¹⁰⁴ Prypeć – rzeka na Ukrainie i Białorusi, prawy dopływ Dniepru.

¹⁰⁵ Wiunczyńce – wieś na Wołyniu, będąca przez pewien czas w posiadaniu Ignacego Kraszewskiego.

– Miły Boże! – rzekł starsuszek Sędzia. – Jak to Kontrakty terażniejsze niepodobne do dawniejszych! Pamiętam tutejsze z 1805 roku. Sprzedawały się i kupowały dobra wprawdzie i wtedy, ale nie tak frymarczono nimi. Wszak to istny targ liwerantów¹⁰⁶ na konie, jak to widzimy w Berdyczowie.

– Cóż dziwnego! A pan Sędzia nie sprzedałby Lepiszek, żeby mu dano po sto czerwonych złotych?

– Za nic!

– Jak to? A gdyby po sto dwadzieścia, gdyby po sto pięćdziesiąt? – pytał pan August. – Wszakże w takim razie wyliczono by Sędziemu gotówki czterdzieści pięć tysięcy obrączkowych¹⁰⁷. Jak honor kocham, można się ukłonić Lepiszkom! Ej, bo to i szczęśliwy pan Sędzia! Nie zna, co to banczek, a pieniądze za pszeniczkę kupi. Jednakże jest to epoka wielkich szans, period robienia ogromnych fortun. Kto ją zbadał, może zostać u nas Rotschyldem – tylko trzeba przejąć się duchem spekulacji, zbadać ekonomię polityczną, trzeba intuicji we wszystkich rozgałęzieniach przemysłu wiejskiego.

– Co to, panie, on powiedział? – rzekł mi na ucho znowu Posesor, podsuwając się z krzeselkiem. – I u Bazylanów nie słyszałem takiego słowa.

– Zamorskie to ziółko – rzekłem z uśmiechem.

– Za pozwoleniem więc – odezwał się uroczyście Posesor, naprowadzony widocznie moim objaśnieniem na bity gościniec – jeśli rzecz idzie o zwiększeniu i utrzymaniu remanentu, niezaprzeczenie, że zaprowadzenie traw nowych jest jednym z najpożyteczniejszych warunków w gospodarstwie; ale wiem to z długiego doświadczenia, iż trykom¹⁰⁸ nasza koniczyna daleko lepiej służy.

Wszyscy zaśmieliśmy się w głos, a nim się wyjaśniła rzecz cała, tymczasem pan August mówił dalej:

– Mamy świeżych przykładów kilka, jak doskonale afery porobiono na majątkach. Pan Major, np. widząc, że się las opłaci, sprzedał wszystko za dwadzieścia tysięcy rubli srebrnych z wioski, która u niego na Ukrainie, a potem i wieś samą, za którą jeszcze wziął drożej, niżeli zapłacił niegdyś ojciec jego. A pan Przybłędowski, nie mając ani grosza przy duszy, kupił dusz kilkaset z targów publicznych.

– Oto sztuka, panie dobrodziej! – rzekł Posesor. – Na rany Chrystusa, naucz mnie pan, jakim to sposobem?

– A oto takim. Kupił niedrogo, udał się do bankiera i wziął na opłatę pieniądze. Następnie założył zaraz w banku, sprzedał las, puścił arendę i młyny na lat dwańście – i jak raz rozliczył się z długami.

¹⁰⁶ *Liwerant* – pośrednik, dostawca, zwłaszcza wojskowy.

¹⁰⁷ *Obrączkowy* – tu: w złocie.

¹⁰⁸ *Tryk* – dojrzwały do rozplodu samiec owcy domowej.

– Ten duch spekulacyjny – rzekł Marszałek – nie zasługuje, według mego przekonania, na nagane. Jemu to winniśmy ruch, jaki dziś widać u nas. Pszeniczka nasza dzięki Bogu częściej wojażuje do Odessy, a cukier poznał nas z handlem na większą skalę, jak ten, którym nas opłatywali Żydzi. Lecz to frymarczenie majątkami, spuścizną przodków przykre na mnie robi wrażenie. Rodzinna wioska jest tym dla mnie w miniaturze, czym w znaczeniu obszernym ojczyzna. Powiedziawszy Bogiem a prawdą i godzi się, i miło jest szanować swój kątek. Tam ślady pracy przodków moich i mojej własnej: tam tyle pamiątek mego życia! Tam częstokroć złożone popioły rodziców!... A zostawiać to dla zysku kilku tysięcy, osiąść na nowym, podjąć się znowu i z tamtego, i tak koczować ciągle – nie widzę w tym koniecznych powodów, a więcej nawet straty, jak zysku.

– Przedsiębiorczy duch XIX wieku – rzekł pan August – zajęty wyższym zadaniem usunął ten skrupuł i okazał całą nicość zdania, jakoby kamień na jednym tylko miejscu mchem porasta. Pięknie to mieć poszanowanie dla pamiątek, ależ śmieszną równie jest rzeczą ślęczyć na jednym kawałku roli dlatego, że się dostał od dziadka, kiedy na tej dziadowskiej spuściznie, z przeproszeniem, chodzę głodny i bez butów.

– Masz rację, panie Auguste – rzekł znowu Marszałek. – Mamy chorujących i na tę chorobę i trudno wyobrazić, ile to zamiłowanie jednego miejsca przynosi straty. Uboga szlachta nasza, wegetując na pińskich i poleskich błotach, ginie przez to. Ale zaproponujże mu przesiedlenie, zaraz powie: czy to ja Cygan, żeby koczować od wioski do wioski! Ojciec mój tu się rodził i żył jakoś – i ja będę. Ale to wyłącznie stosuje się do uboższej klasy.

– A jak bogatszy, a chce żeby mu było lepiej jak jest – zapytał pan August – więc dlaczegóż by nie mógł postąpić równie? Żeby ci panowie, co mieli majątki na Polesiu, nie powynosili się wcześniej na Ukrainę, pytam, czy porobiliby na Polesiu wsie drugie, jak teraz na Ukrainie pozakładawszy cukrowe fabryki? Słowo honoru! I ja sprzedam wieś moją, a kupię na Ukrainie i założę fabryki cukru.

– Zapłacisz drogo – rzekł Marszałek – bardzo drogo, a fabryka wymaga równie ogromnych wydatków.

– Głupstwo, wszystko się wróci! To druga Kalifornia! Pan Patoka ma już trzykroć sto tysięcy; pan Burackowski wylażł z długu i robi majątek; pan Press na tych Kontraktach wziął osiemdziesiąt tysięcy za piasek, a jego żona jeździ kareta na leżących resorach, chociaż niedawno ledwie starczyło na bryczkę. Ale na co mam dowodzić: Pan Marszałek sam ma fabrykę i może zaświadczyć, że robi sto na sto przy najgorszym roku.

– Sto na sto! – powtórzyli wszyscy.

– Baniałuki! – rzekł Marszałek. – Mam fabrykę i daj mi Pan od niej czystego zysku 15 proc., a wypuszczę mu dziś w posesję. Fabrykacja cukru daje zyski jeszcze

ogromne, nie przeczę; ale też i pracy wymaga piekielnej. Nie myśl pan, że to pieczone gołąbki wlatują do gąbki. A na koniec – to szal przechodny. Ta gałęź przemysłu trwać długo u nas nie może. Piękne ukraińskie lasy już w połowie zostały wyniszczone; bydło i siano podrożały; nadto demoralizację chłopów mamy w zysku. Czemuż pan nie wyliczysz tych, którzy potracili na fabrykach?

– Pan Marszałek świętą prawdę mówi! – rzekł Sędzia, zażywając tabaczkę. – Nie masz, jak nasi ojcowie robili! Pilnowali roli, więc chleb był i pieniądze były. A te niemieckie wymysły – bodajby nikt na nie nie przechodził! To, panie dobrodzieju, Prezes sprowadziwszy angielskie płużki, razu jednego zapytał swego chłopca, co o nich myśli? Chłop, panie dobrodzieju, chytry, udał durnia i pyta: kto je wymyślił tak misternie? – Anglicy, rzekł Prezes. – Bóg ich tam zna po nazwisku, rzekł chłop, ale czy nie ci to sami, panie, co do nas po pszenicę co rok jeżdżą? – A ci sami. – *Nu. Myłostywyj pane, czymże to wono tak dijetsia, szczo ti rozumni ta do nas durniw jezdiat' po chlib zawsze?*¹⁰⁹

Koncept ten uradował nadzwyczajnie szlachtę; rozległ się śmiech powszechny.

– Dobre to jest jak na chłopca – rzekł Marszałek – ale nie jak na świątę obywatela. Że gospodarstwo nasze wymaga ulepszeń, o tym przekonany każdy, jak równie i o tym, iż wielu nie umiejąc zastosować do miejscowości zagranicznych wynalazków, okryli się tylko śmiesznością.

Potem Marszałek, przypatrując się ciekawie do rajtfraka¹¹⁰ pana Augusta, rzekł z uśmiechem:

– Powiedz mi, panie Auguście, skąd masz zawsze tak gustowną garderobę?

– Wszak byłem całą zimę w Warszawie.

– A, prawda, prawda! Zapomniałem.

– Zaopatrzyłem się więc we wszystko na rok cały. Samych rękawiczek kupiłem tuzinów osiem. Tam to sprawiać suknie – zysk oczywisty. I dobre, i tanie. Np. taki rajtfrak kosztuje u Wąsowicza najmniej trzydzieści rubli srebrnych, w Odessie tyleż, gdy w Warszawie tylko osiemnaście! Kamizelki...

– Przepraszam, że przerwę – rzekł Marszałek. – Właśnie chciałem wziąć od pana informację co do maszyny do żęcia zboża, wynalezionej przez naszego rodaka w Warszawie, o czym czytaliśmy, pamiętasz, w gazecie codziennej. Jako obywatel wiesz, co to znaczy u nas żniwo – i już też kogo bardziej jeśli nie nas interesuje ta okoliczność. Musiałeś ją opatrzeć doskonale... opowiedzże nam, proszę, jaka jej mechanika?

Zmieszał się biedny pan August.

¹⁰⁹ *No, miłoścywiu panie, dlaczego tak się dzieje, że ci rozumni do nas durniów po chleb przyjeżdżają?*

¹¹⁰ *Rajtfrak* – dawn. frak do konnej jazdy.

– Przyznam się panu Marszałkowi – rzekł, trzepiąc i mnąc warszawską rękawiczkę – że... tak... chciałem bardzo ją widzieć... ale magazyn zawsze był zamknięty... a potem zachorowałem... a interesy... różne zajęcia... i wypadło mi to z myśli.

– Szkoda – rzekł Marszałek. – Dobra była zręczność przekonania się o użyteczności wynalazku. Objasńże mnie przynajmniej, panie Auguście, gdzie skład tych machin i jak mam adresować listy?

– Skład?... Zaraz... zaraz... na Krakowskim Przedmieściu... Nie! Nie! Na Nowym, zdaje się, Mieście... ot, zapomniałem!

Umilkli wszyscy. Pan Marszałek smoktał tylko głośniejszą fajkę i spuścił oczy, a pan August był jak na szpilkach.

Wtem dało się słyszeć za drzwiami głośnie kichnięcie raz i drugi, a w ślad za tym otwarły się podwoje i wszedł, a raczej wpadł do nas mężczyzna we fraku i okularach, z chustką od nosa w rękę, w którym poznaliśmy od razu dobrze znajomego nam pana Zygmunta.

Ledwie że się przywitał, gdy rzekł:

– No, wiecie co się dzieje? Ważne nowiny! – Tymi słowy jakby naelektryzował towarzystwo. Wszystko ruszyło z miejsc, ustąpiono Zygmunta i z natężonym słuchem, wyciągniętymi szycami, rozdziawionymi gębami czekano, co obwieści.

– Z ostatnich gazet – rzekł Marszałek – nic tak ważnego.

– Z gazet! Ba! Kiedy oni napiszą! A może i nie napiszą! – mówił Zygmunt, oglądając się, a potem zniżając głos nieco: – Prezydent Ludwik Bonaparte¹¹¹ zamordowany!...

– Czy to być może! – zaszypiało całe zgromadzenie. Pan Zygmunt wodził osłupiałe oczy dokoła.

– Rzym zburzony tak, że kamień na kamieniu nie został!

– Matko Najświętsza! – krzyknął Posesor.

– Berlin zniesiony!...

– I Berlin? – krzyknęli wszyscy.

– Ale dla Boga! Panie Zygmuncie, czy to być może? – rzekł Marszałek.

– Czy może? Ale to tak pewna jak dwa a dwa są cztery! Odebrano o tę sztafetę w tej chwili. Kiedym tu jechał jeszcze koń stał przed gankiem cały w pianie... Mnie mówił...

– Proszę pana – przerwał Posesor – ktoś Rzym zburzył?

– Kroaci!¹¹²

¹¹¹ *Ludwik Bonaparte* (1778–1846) – młodszy brat Napoleona Bonaparte oraz ojciec Napoleona III.

¹¹² *Kroaci* – Chorwaci.

– Jelaczczyk?¹¹³ A co? A mówiłem zawsze, że tego bójcie się! – mówił Posesor, biegnąc z kąta w kąt. – Ot, i wyszło na moje! Zły dzień przekłęty!

– Wycięty! – rzekł poważnie Zygmunt.

– Kto? Co? Wycięty?

– Wiedeń!

– I Wiedeń? Przewidziałem, że to będzie – rzekł August. – Pamięta pan Marszałek, jak mówiłem o tym we wrześnieu jeszcze? Ale to jakbym przeczuł!

– Oto, panie, czasy!

– Oto roczek!

Posesor założył ręce na brzuchu, przyparł go do stolika i pokiwawszy głową odezwał się:

– Jak to mówią czasami: przesady! przesady! babskie zabobony! Nie warto w nie wierzyć! – Jak to nie wierzyć, kiedy sprawdzają się! Moja ciotka, staruszka już, pani Działdziulkiewiczowa, jak tylko obaczyła ten krzyż, co pokazał się w przeszłym roku na niebie, zaraz powiedziała, że będzie wielki rozlew krwi. A cóż? Na to i wychodzi! – i to rzekłszy, rozszczępił obie dłonie przed towarzystwem, a z twarzy zrobił znak zapytania.

– To samo mówili ludzie i u nas – dodał suchy jegomość z bakembardami – jak obaczyli czerwone światło na niebie, co to było w nowembrze¹¹⁴.

– To była po prostu zorza północna – rzekł Marszałek.

– Zorza! Śliczna mi zorza! Śmiejcie się sobie państwo, a ja wierzę w te znaki. Tak samo było i przed Francuzem w 11 roku¹¹⁵.

Pod wpływem tego panicznego strachu zostawało całe towarzystwo przez pewną chwilę. Krzyżowały się różne wnioski i domysły. Marszałek nie wierzył wszystkiemu, może znając już z doświadczenia bujną wyobraźnię pana Zygmunta, która nie zawsze chodziła po ścieżkach rzeczywistości. Na koniec szlachta bogata z nabycia tak ważnych wieści, rada, że ma obfity zapas do zakomunikowania znajomym, zaczęła się wynosić od Marszałka. Posesor znad Prypeci, którego los Europy widocznie najbardziej obszedł, żegnając się z Marszałkiem, rzekł doń na stronie: niech jaśnie wielmożny pan da mi łaskawą radę: co ja pocznę teraz! Dalipan¹¹⁶ zdecydować boję się: brać czy nie brać?

– Jak to – rzekł Marszałek – ja radziłbym. Posesja bardzo dobra – korzyści pewne.

¹¹³ *Josip Jelačić* (1801–1859) – chorwacki hrabia i ban (1848–1859), feldzeugmeister armii austriackiej. Naczelnym dowódcą wojsk Chorwacji, tłumił rewolucję w Wiedniu i powstanie węgierskie 1848–1849 (dowodził armią przeciwko Józefowi Bemowi).

¹¹⁴ *Nowember* – listopad.

¹¹⁵ *11 roku* – w 1811 roku (roku Napoleona).

¹¹⁶ *Dalipan* – dalibóg.

– O tym i ja nie wątpię; ale widzi jaśnie wielmożny pan, co się robi na świecie? Straszno, panie! Mam dziatki, żonę, chudobkę... funduszu tego okrucha, a broń Boże czego...

W tym czasie pan August zawiązał cichą rozmowę z Sędzią, która w uwerturze toczyła się równo jak powóz po gładkiej drodze; ale gdy przyszło do pryncypalnego motywu, oczy pana Augusta przybrały wyraz dziwnie słodki, ręka zatrzęsała dłoń Sędziego, słowa zakłęcz posypały się gradem, a z tego wszystkiego każdy, kto widział agitujące się kontraktowe interesy, mógł domyślić się łatwo, że rzecz szła o pożyczanie pieniędzy. Sędzia i rękami i nogami.

Pan August coś jeszcze mówił, ale już słowa jego były podobne do dalekich gromów po burzy; na koniec i te ścichły, a gdy żegnał się z Marszałkiem, zapytał go na stronie, czy nie byłby w chęci nabycia jego wioski? Na co Marszałek mówił mu coś długo, kiwając niekiedy palcem, ale co – nie słyszałem, bo powtórzyłbym tu wszystko to niezawodnie i mam wewnętrzne przekonanie, że słowa te nie byłyby bez pożytku i dla innych „panów augustów”¹¹⁷.

*

Przesyłając ci, Dołęgo, kilka powyżej zamieszczonych szkiców, zbieranych z ostatnich kijowskich Kontraktów, muszę wytłumaczyć się, dlaczego nie ma w nich końca. Podczas Kontraktów zostawałem w szczególnym usposobieniu zbierania wzorków i zbierało się tego dwa razy więcej, aniżeli co ci komunikuję; ale gdy przyszło je uporządkować, wyobraź sobie, znalazłem rękopis mój w najpoetyczniejszym nieładzie. Cała wzniosła i czuła scena Podkomorzyny z jej pieskiem przepadła gdzieś bez wieści. Dwóch Podsędków tak wyszli, że najlepszy dagerotyp nie odcisnąłby ich trafniej – i cóż? Znalazłem tylko z nich kawałki! Ale najbardziej mi żal opisu posiedzenia dam i wielkiego balu u jednego *nowego stempla* Deputata – co mi udało się wybornie. Przekonany jestem, iż żaden Pothey, żaden Berthal ani Quillenbois¹¹⁸ nie powtórzyliby wszystkich przedmiotów trafniej. I były tam jeszcze między szkicami moje ulubione obrazki, parę portrecików, parę rysów z dziewcząt z cudnym okiem, lekką figurką, drobną nóżką i ramionami, mówię ci, niewidzianymi dotąd!... I to mi gdzieś się zawieruszyło! A szkoda! To mi najdotkliwsza strata! Wszystkie inne portrety wam oddam, a ten zostawiłbym sobie. Bo nie znam nic przyjemniejszego nad śliczny portret (rozumie się, kiedy mieć nie można oryginału) ładnej, idealnej dziewczyny! Przed moimi oczyma, nad moim stolikiem lubię go widzieć ciągle,

¹¹⁷ Kolejna część tekstu poniżej w oryginale wydrukowana została mniejszą czcionką.

¹¹⁸ *Pothey... Berthal... Quillenbois* – francuscy malarze: Alexandre Pothey (1820–1897), René Théodore Berthon (1776–1859); Charles-Marie de Sarcus, pseud. Quillenbois (1821–1867).

pieścić się nim, kochać się w nim, czerpać zeń natchnienie, patrzeć a patrzeć w te czarne, ogniste oczy, w których i noc, i dzień są razem!... O! Ileż razy z cygarem w ustach, rozparty w wolterze¹¹⁹, wpatrywałem się po godzinach całych w te pieszczotliwe rysy, te powiewne kształty, co mi z kłębow dymu pokazywały się i kryły jak w obłokach, i ileż razy wołałem: dajcie mi takiego anioła, a będę wam Rafaelem, Petrarcką, Adamem! Co, myślałem sobie nieraz, jeśli by w tę ciszę nocy, którą owiany jestem, z tym rajskim uśmiechem, który usta mojej niebianki tak purpuruje cudnie, z tą obietnicą raju czy morza rozkoszy jej liliowych piersi... , co, myślałem, jeśli by ta skrzydlata babka¹²⁰, ten barwny motyl ot tak, nagle, pierzchnął z ramek i ocucił się w moim objęciu?...

O, nieba! Odpowiem ci jak Włoch: widzieć Neapol i umrzeć! Uścisnąć ją raz tylko i umrzeć!

Śmieję się, śmieję, ty zimny, poważny człowieku! Ale oby mnie to wasze anatomiczne przeziębienie nie spotkało nigdy!

Łaskawe jednakże wyroki bogów! O! Jakby był wart politowania każdy, kto obdarzony głębokim uczuciem piękności, nie znajdując godnego jej odwzoru w istotach ziemskich, został jeszcze pozbawiony i tej jedynej pociechy stwarzania sobie ideału własnej wyobraźni i piersi!... To marzenia, powiadacie, marzenia! O! Gdzie tam marzenia! To ideały nie z tego świata! To goście serc naszych! Zleciały odwiedzić promyk z ich krain, co tu w nas, z nami, odbywa pielgrzymkę żywota, poigrać i nim, ogrzać go i ulecieć znowu! A wy mówicie: marzenia! Tak wam mówić trzeba, bo wy go nie znacie, bo was nigdy nie nawiedzał gość taki!

Dla piersi młodzieńczej, bijącej – dziewica to pierwszy ideał, który go porywa na drodze życia spokojnej dotąd; zalewa urokiem, promieni mu skrzydła i pędzi do najwyższych celów. Szczęśliwy, kto tego ideału nie zbrukał na tej ziemi!

Ten pokarm duchowy jest od czasu do czasu koniecznym dla mnie. On mnie nasyci i godzi ze światem. Godzi! Źle się wyraziłem... on mnie naucza spokojnie gardzić powszednim światem.

Kiedym mieszkał w Petersburgu, w tej stolicy z lodu i kamieni, zdarzały się chwile zniechęcenia się wszystkim, co mnie otaczało, tak to stawało się w mych oczach bezduszne i obłudne... Natenczas szedłem do Akademii Sztuk Pięknych; tam, w pustynnych jej salach, znajdowałem obraz Madonny i modliłem się... Szedłem do posągów Canovy¹²¹, do obrazów Brulla i Tyrnowa – i całe godziny wpatrywałem się w idealne kształty... Cóż powiesz? Powracałem już jak nie ten tłum,

¹¹⁹ *Wolter* – fotel wolterowski, o niskim siedzeniu i wysokim oparciu.

¹²⁰ *Skrzydłata babka* – skrzydlaty motyl.

¹²¹ *Canova* – Antonio Canova (1757–1822), rzeźbiarz, malarz i architekt włoski, jeden z czołowych przedstawicieli klasycyzmu w rzeźbie.

co mnie gniewał przed chwilą, ozierałem¹²² z politowaniem i wyższością jakąś... byłem zadowolony sobą.

Ale nie skończyłbym Ci bając do jutra na tę ulubioną moją temę... skończmy jednakże. Musisz wybaczyć i mnie, i mojemu urwanemu szkicowi i tak go przyjąć, jak jest dzisiaj, a jeśli da Bóg doczekać szczęśliwie Kontraktów 1850 roku, mam nadzieję, iż nagrodzę sobie stratę. Materiałów nie zabraknie – oby tylko nie zabrakło wytrwania!

Kamienny Bród, d. 15 lutego 1849

¹²² *Ozierać* – spoglądać.



Michaił Sażyn (1818–1887), *Kijowskie kontrakty. Rynek na Podolu* (1840)

BIBLIOGRAFIA¹

I. EDYCJE DZIEŁ

1. Pisma ogłoszone w czasopismach

- *Noc Tarasowa. Powieść z dziejów Ukrainy 1624 r.*, „Atheneum” 1941, t. 6 – 1842, t. 2.
- *Konaszewicz w Białogrodzie. Tragedia oryginalnie po polsku z dziejów Ukrainy napisana.* Fragment ogłoszony pod tyt. *Kozacy w Akermanie*, „Czas” 1841, nr 45–46, 53–56, 59–60.
- *Konaszewicz w Białogrodzie. Tragedia oryginalnie po polsku z dziejów Ukrainy napisana.* Całość ogłoszona w: „Przegląd Naukowy” 1843, t. 4.
- *Pamiętnik legitymującego się szlachcica.* Fragment ogłoszony w: „Biblioteka Warszawska” 1855, t. 1; „Nowiny” 1855, nr 33–38.
- *Zosia Żytkiewiczówna. Powiastka ukraińska*, „Biblioteka Warszawska” 1855, t. 4.
- *Listy z podróży*, „Gazeta Warszawska” 1856, nr 328–1856, nr 345 (z przerwami).
- *Odpowiedź panu Kostomarowi*, „Kurier Wileński” 1860.

2. Wydania osobne

- *Noc Tarasowa. Powieść z dziejów Ukrainy 1624 roku*, Kraków 1901.
- *Konaszewicz w Białogrodzie. Tragedia oryginalnie po polsku z dziejów Ukrainy napisana*, wydanie bezimiennie z przedmową H. Skimborowicza, Warszawa 1845.

¹ Bibliografia została podzielona na trzy części. W pierwszej przywołane zostały pisma Fiszka, z podziałem na ogłoszone w czasopismach, wydaniach osobnych oraz zbiorowych. Ta część zawiera jego przekłady i prace edytorskie. Nie uwzględniono tu korespondencji pisarza, która nadal pozostaje w rękopisach, w tym między innymi 19 listów do J. I Kraszewskiego z lat 1841–1862; do B. Dołęgi (J. Jurkiewicza) z 15 marca 1850; siedem listów do redakcji „Biblioteki Warszawskiej” z 1852–1863 oraz redakcji „Dziennika Warszawskiego”. W drugiej części przytaczamy opracowania twórczości Fiszki.

Zwraca uwagę niewielka liczba prac poświęconych jego dorobkowi, zarówno dziewiętnastowiecznych, jak i nowych opracowań naukowych (wyjątek stanowią tu studia Marka Kwapiszewskiego). Nazwisko Fiszki jest też często pomijane w najnowszych historiach literatury, co znamienne, nie zostało odnotowane w *Polskim Słowniku Biograficznym* (red. H. Markiewicz, H. Kowalska-Kossobudzka, A. Szklarska-Lohmanowa, Warszawa–Kraków 1995).

Bibliografię zamyka trzecia część, która zawiera recenzje pism Fiszki, jakie pojawiały się tuż po ich ogłoszeniu.

- *Pokojówka. Szkic obyczajowy przez Tadeusza Padalicę*, Wilno 1850.
- *Nestor Pisanka. (Opowiadanie z czasów ostatniej koliszczyzny)*, Lwów 1883; „Biblioteka Mrówki”, t. 168.
- *Listy z podróży*, t. 1–3, Wilno 1859.
- *Odpowiedź panu Kostomarovi*, Wilno 1860.

3. Wydania zbiorowe

- *Opowiadania i krajobrazy. Szkic z wędrówek po Ukrainie*, t. 1–2, Wilno 1856.
- *Powieści ukraińskie przez Tadeusza Padalicę [Zenona Fische]*, przedmowa P. Chmielowski, Warszawa 1898. Tu: t. 1 – *Zosia Żytkiewiczówna. Powiastka ukraińska* oraz szkice z pobytu na Ukrainie; t. 2 – *Nestor Pisanka. (Opowiadanie z czasów ostatniej koliszczyzny)* oraz szkice z pobytu na Ukrainie.

4. Przekłady

- Kulisz P., *Powieści matorosyjskie*, „Pamiętniki Umysłowe” 1845, t. 2.
- Lermontow M., *Sąsiadka*, „Leviathan. Książka składkowa”, Kijów 1848.

5. Prace edytorskie

- Edward Marian [E. M. Galli], *„Pamiętniki moich przyjaciół”*, t. 1–2, Wilno 1847.

II. OPRACOWANIA TWÓRCZOŚCI

- N.** [Marcinkowski], *List o ludziach, o książkach i o innych rzeczach*, „Gazeta Warszawska” 1853, nr 337. Dodatek.
- [Anonim], *Zenon Fisz (Tadeusz Padalica)*, „Dziennik Literacki” 1870, nr 49.
- Aleksandrowska E., *Fisz Zenon*, w: *Dawni pisarze polscy. Od początków piśmiennictwa do Młodej Polski. Przewodnik biograficzny i bibliograficzny*, t. 1, A–H, Warszawa 2000.
- Bartoszewicz A., *Spór o powieść historyczną w połowie XIX wieku na tle antagonizmu między „Dziennikiem Warszawskim” a „Gazetą Warszawską”*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Nauki Humanistyczno-Społeczne” 1959, z. 2.
- Bartoszewicz A., *Walka o powieść tendencyjną u schyłku okresu międzypowstaniowego*, „Ruch Literacki” 1963, nr 5/6.
- Beauvois D., *Polacy na Ukrainie 1831–1863. Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie*, przeł. E. i K. Rutkowsy, Paryż 1987.

-
- Biernacki C., *Encyklopedia Powszechna Orgelbranda*, t. 8, 1861.
- Burkot S., *Spory o powieść w polskiej krytyce literackiej XIX wieku*, Wrocław 1968.
- Chmielowski P., *Tadeusz Padalica (Zenon Fish)*, w: *Powieści ukraińskie przez Tadeusza Padalicę [Zenona Fischa]*, Warszawa 1898.
- Chmielowski P., *Z dziejów postępu i reakcji u nas*, w: *Prawda. Książka zbiorowa dla uczczenia dwudziestopięcioletniej działalności Aleksandra Świętochowskiego. 1870–1895*, Lwów–Petersburg 1899.
- F. H. L. [Lewestam], *Zenon Leonard Fisz (Tadeusz Padalica)*, „Kłosa” 1870, nr 250.
- *Historia literatury polskiej w dziesięciu tomach. Romantyzm*, t. V, część pierwsza, pod. red. A. Skoczek, Bochnia–Kraków–Warszawa 2003.
- Galli E. M., *Pamiętniki. Powstałe przed 1893*, Warszawa 1913. (Ogłoszone w „Przeгляд Narodowy” 1913, nr 8–11.)
- Grabowski M., *O pieśniach ukraińskich*, w: *Literatura i krytyka*, t. 1, cz. 2. Wilno 1837.
- Inglot M., *Polskie czasopisma literackie ziem litewsko-ruskich w latach 1832–1851*, Warszawa 1966.
- Jakimowicz I., *Tadeusz Padalica (Z. F.)*, w: *Z dziejów polskiej krytyki i teorii sztuki*, t. 1, Warszawa 1961.
- Janion M., *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, t. 1. Kraków 1975.
- Kamionkova J., *Życie literackie w Polsce w pierwszej połowie XIX w. Studia*, Warszawa 1970.
- Korotyński W., *Zenon Fisz (Tadeusz Padalica)*, „Tygodnik Ilustrowany” 1870, nr 155.
- Kraszewski J. I., *Gawęda o kijowskich kontraktach. Polemika*, „Gazeta Warszawska” 1853, nr 82.
- *Kultura pogranicza wschodniego: zarys encyklopedyczny*, pod red. T. Budrewicza, T. Bujnickiego i J. S. Ossowskiego, Warszawa 2011.
- Kwapiszewski M., *Filozofia i religia. W kręgu „Gwiazdy”*, w: *Religijny wymiar literatury polskiego romantyzmu*, red. D. Zamaćińska, M. Maciejewski, Lublin 1995.
- Kwapiszewski M., *Od Alberta Gryfa do Antoniego Nowosielskiego. Biografia intelektualna późnoromantycznego krytyka*, w: *Polska krytyka literacka w XIX wieku*, pod red. M. Strzyżewskiego, Toruń 2005.
- Kwapiszewski M., *Portret pisarza kresowego. O Zenonie Fiszu*, „Pamiętnik Literacki” 1987, z. 4.
- Kwapiszewski M., *Ukraina w twórczości Zenona Fisza*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Sectio FF. Philologiae” 1994/5, Vol. XXII/XXIII.
- Kwapiszewski M., *Wizja koliszczyzny w prozie romantycznej (Czajkowski – Grabowski – Fisz)*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Sectio FF. Philologiae” 2002/2003, Vol. XX/XXI.

- Kyrzczwił R. F., „*Tarasowa nycz*” *Szewczenka* i „*Noc Tarasowa*” Z. Fisza, w: *Zbirnyk prac [...] naukowej Szewczenkowej konferencji*, t. 14, Kyjiw 1966.
- *Literatura ukraińska*, opr. M. Jakóbiec, w: *Dzieje literatur europejskich*, pod red. W. Floryana, Warszawa 1989.
- *List M. Grabowskiego do J. I. Kraszewskiego*, z 5 VII 1842, w: M. Gr...ski [M. Grabowski], *Korespondencja literacka*, cz. 1, t. II, Wilno 1843.
- *Listy M. Grabowskiego do K. Podwysockiego*, z 11 III i 22 VI 1840 oraz *List M. Grabowskiego do J. I. Kraszewskiego* z 15 XII 1842, w: *Listy literackie*, wydał: A. Bar, Kraków 1934.
- *Nowy Korbut (Bibliografia Literatury Polskiej. Romantyzm)*, oprac. zespół pod kierownictwem I. Śliwińskiej i S. Stupkiewicza, t. 7, hasła osobowe A–J, Warszawa 1968.
- Pietkiewicz A., *Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana*, t. 22, Warszawa 1899.
- Sinko T., *Polscy podróżnicy w Grecji i Troi*, Kraków 1925 (pierwodruk w „Przegląd Współczesny” 1924, t. 11, nr 32).
- *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, pod red. J. Bachórze i A. Kowalczykowej, Wrocław–Warszawa–Kraków 2002.
- Skiba W. [W. Sabowski], *Zenon Fisz (Tadeusz Padalica)*, „*Dziennik Literacki*” 1870, nr 28–30 oraz też w: „*Opiekun Domowy*” 1870, nr 47–48.
- Sowiński L., Z. F. (*Tadeusz Padalica*). *Zarys biograficzno-literacki*, „*Kłosa*” 1878, nr 670–674.
- Stolzman M., *Czasopisma wileńskie Adama Honorego Kirkora*, Kraków 1973.
- Straszewska M., *Czasopisma literackie w Królestwie Polskim w latach 1832–1848*, cz. 1, (1832–1840); cz. 2 (1841–1848), Wrocław 1953, 1859, „*Studia Historyczno-Literackie*”, t. 22–23.
- Tomaszewski E., *Prasa Królestwa Polskiego i ziem litewsko-ruskich okresu między-powstaniowego (1832–1864)*, w: *Historia prasy polskiej. Prasa polska w latach 1661–1864*, pod red. J. Łojka, Warszawa 1976.
- Ungr J., *Zenon Fisz (Tadeusz Padalica)*, „*Kalendarz Warszawski Popularno-Naukowy Ilustrowany na Rok Przestępny 1872*”, Warszawa 1871.
- W. W., *Życiorysy znanych mężów nauki i pracy. Zenon Fisz (Tadeusz Padalica)*, „*Kalendarz Powszechny Ilustrowany na Rok Zwyczajny 1875*”, Warszawa 1874.
- Witkowska A., Przybylski R., *Romantyzm*, Warszawa 1997.
- Zajączkowski A., *Henryk Rzewuski i jego „Dziennik Warszawski” (1851–1854)*, „*Przegląd Nauk Historycznych i Społecznych*” 1957, t. 7.

III. RECENZJE PUBLIKACJI²

- Grabowski M., (rec. *Nocy Tarasowej*), w: *Korespondencja literacka*, t. 2, Wilno 1842.
- Witte W., (rec. *Pokojówka. Szkic obyczajowy*), „Gazeta Warszawska” 1850, nr 81–82.
- Wł. [K. W. Wójcicki], (rec. *Pokojówka. Szkic obyczajowy*), „Biblioteka Warszawska” 1850, t. 1.
- Witte W., (rec. *Pamiętnik legitymującego się szlachcica*), „Gazeta Warszawska” 1855, nr 100 oraz w: „Dzień Warszawski” 1855, nr 40.
- (rec. *Zosia Żytkiewiczówna*), „Dziennik Warszawski” 1855, nr 294.
- Kraszewski J. I., (rec. *Opowiadania i krajobrazy*), „Gazeta Warszawska” 1856, nr 235.
- N. [Marcinkowski], (rec. *Opowiadania i krajobrazy*), „Gazeta Warszawska” 1857, nr 207.
- Wacław P. [Przybylski], (rec. *Opowiadania i krajobrazy*), „Gazeta Warszawska” 1856, nr 212–213.
- W. [W. Wieczorkiewicz?], (rec. *Opowiadania i krajobrazy*), „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych” 1856, nr 254.
- Siemieński L., (rec. *Opowiadania i krajobrazy*), „Czas. Dodatek Miesięczny” 1856, t. 4. Przedruk w: *Kilka rysów z literatury i społeczeństwa od roku 1848–1858*, t. 2, Warszawa 1859.
- (rec. *Opowiadania i krajobrazy*), „Dziennik literacki” 1856, nr 52–53.
- Kalinka K., (rec. *Opowiadania i krajobrazy*), „Biblioteka Warszawska” 1857, t. 3.
- Szajnocha K., (rec. *Opowiadania i krajobrazy*), „Rozmaitości” 1857, nr 3.
(rec. *Listy z podróży*), „Gazeta Codzienna” 1856, nr 339.
- Niewiarowski A., (rec. *Listy z podróży*), „Gazeta Warszawska” 1857, nr 53.
- K. M., *O listach z podróży Tadeusza Padalicy uważanych pod względem sztuk pięknych*, „Gazeta Codzienna” 1858, nr 162, 164.
- (rec. *Listy z podróży*), *Korespondencja z Rzymu*, „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych” 1858, nr 211–212.
- (rec. *Korespondencja z Ukrainy*), „Gazeta Codzienna” 1858, nr 28.
- F. S. D. [Dmochowski], (rec. *Listy z podróży*), „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych” 1859, nr 51.

² Recenzje podajemy w układzie chronologicznym.



NOTY O AUTORACH

MAREK SZLADOWSKI – dr, historyk literatury i kultury. Absolwent Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Opolskiego oraz Centrum Europejskich Studiów Regionalnych i Lokalnych Uniwersytetu Warszawskiego. Redaktor i współredaktor naukowy tomów: *Literatura i/a tożsamość w XX wieku* (Opole 2007) oraz *Egzystencjalne doświadczenie starości w literaturze* (Opole 2008), *Rozwój i przyszłość wyższego szkolnictwa artystycznego w Polsce* (Warszawa 2012), współpracował przy powstaniu leksykonu *Księga żałoby i śmierci* (Warszawa 2009). Doktorat, pisany pod kierunkiem prof. Ireny Jokiel, poświęcony był doświadczeniu starości Józefa Ignacego Kraszewskiego. Głównym obszarem jego zainteresowań są przemiany mentalności i wyobraźni XIX, XX i XXI wieku. Opublikował również monografię *(Bez)senna egzystencja. Starość Józefa Ignacego Kraszewskiego* (Białystok 2012). Mieszka w Warszawie.

ROŚCISŁAW RADYSZEWSKI – prof. dr hab., kierownik Katedry Polonistyki Narodowego Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki w Kijowie. Autor licznych studiów oraz m.in. takich książek, jak: *Poezja polskojęzyczna na Ukrainie w XVII wieku* (Kraków 1996) oraz *Polskojęzyczna poezja ukraińska od końca XVI do początku XVIII wieku. Cz. 1. Monografia* (Kraków 1996). W Kijowie wydaje i współredaguje monumentalne „Kijowskie Studia Polonistyczne” (XXX tomów do 2017 roku).

IWONA E. RUSEK – dr, była redaktor naczelna kwartalnika „LiteRacje”. Zainteresowania naukowe: literatura Romantyzmu i Młodej Polski, literatura współczesna, filozofia Platona i Schopenhauera, symbolika, mitoznawstwo. Współpracuje z Pracownią Literatury Modernizmu Europy Środkowej i Wschodniej Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, publikuje w „Tekstualiach”, „Przeglądzie Filozoficzno-Literackim”, a także w tomach zbiorowych. Opublikowała m.in. monografię: *Pragnienie, symbol, mit. Studium o „Próchnie” Wacława Berenta* (Warszawa 2013). Ostatnio wydała monografię *Życia lampy niewygaste. Studium o „Oziminie” Wacława Berenta* (Warszawa 2018). Edytorka *Fachowca* Wacława Berenta w Serii Biblioteki Narodowej (Wrocław 2018).

KRZYSZTOF RUTKOWSKI – dr, absolwent Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu w Białymstoku. Historyk języka rosyjskiego oraz staro-cerkiewno-słowiańskiego, z zamiłowaniem również innych języków słowiańskich. Autor monografii *Leksyka konfesyjna w języku rosyjskim okresu radzieckiego* (Białystok 2008) oraz prac poświęconych zagadnieniom polsko-rosyjskiej homonimii międzyjęzykowej w ujęciu diachronicznym.

JAROSŁAW ŁAWSKI – prof. zw. dr hab., kierownik Katedry Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku. Zainteresowania badawcze: faustyzm i bizantyzm w literaturze XIX i XX wieku, polsko-wschodniosłowiańskie związki literackie i kulturowe, Młoda Polska oraz Czesław Miłosz. Redaktor naczelny Naukowych Serii Wydawniczych „Czarny Romanizm”, „Przełomy/Pogranicza” oraz „Colloquia Orientalia Białostocensia”. Autor wielu książek, w tym: *Wyobrażenia lucyferyczne. Szkice o poemacie Tadeusza Micińskiego „Niedokonany. Kuszenie Chrystusa Pana na pustyni”* (Białystok 1995) oraz *Mickiewicz – Mit – Historia. Studia* (Białystok 2010). Ostatnio wydał monografię: *Miłosz: „Kroniki” istnienia. Sylwy* (Białystok 2014). Członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Dziekan Wydziału Filologicznego UwB. Członek korespondent PAU.

ZENON FISZ, *NOC TARASOWA. PROZA*, INTRODUCTION BY MAREK SZLADOWSKI AND ROŚCISŁAW RADYSZEWSKI, VOLUME EDITED BY JAROSŁAW ŁAWSKI AND IWONA E. RUSEK, THE SCIENTIFIC PUBLISHING SERIES “DARK ROMANTICISM”, DEPARTMENT OF PHILOLOGICAL RESEARCH “EAST – WEST”, UNIVERSITY OF BIAŁYSTOK, BIAŁYSTOK 2017

SUMMARY

Another volume published in the Scientific Publishing Series “Dark Romanticism” is a publication issued thanks to a grant from the National Programme for the Development of Humanities for 2012–2017, entitled “Continuation of the critical edition of the outstanding, yet forgotten works of nineteenth-century Polish romantic literature”. The project is implemented by researchers from the Department of Philological Research “East – West”, University of Białystok. The edition is lead by Prof. Halina Krukowska and Prof. Jarosław Ławski.

This volume is an attempt to bring back the prose achievements of a writer who had been completely forgotten for almost 150 years, Zenon Fisz (1820–1870), usually writing under the pseudonym of Tadeusz Padalica. During his lifetime he was valued as a writer who described the difficult history of the Polish-Ukrainian borderland, and as a travel writer. He was born in the province of Mogilev (Belarus), but already as a child he moved with his parents to Ukraine. And Ukraine will be a great theme of his prose. However, it was in St. Petersburg where Fisz (along with Jakub Jurkiewicz and Antoni Marcinkowski) founded the conservative magazine “Gwiazda” (“Star”), later published in Kiev. Fisz was a traveller, who visited France, Germany, England and Turkey, and the reports from his trips were printed in “Gazeta Warszawska” [“Warsaw Newspaper”] and “Kurier Wileński” [“Vilnius Courier”]. He loved ethnography. His not very extensive collection of writings consists mainly of prose works – short stories, novellas, novels (*Noc Tarasowa*, 1841; *Zosia Żytkiewiczówna*, 1855; *Nestor Pisanka*, 1856), one drama written in 1841–1844, *Konaszewicz w Białogrodzie. Tragedia oryginalnie po polsku z dziejów Ukrainy* [*Konaszewicz in Belgorod. A Tragedy, Originally Written in Polish, About the History of Ukraine*], the great *Opowiadania i krajobrazy* [*Stories and Landscapes*]. *Szkice z wędrówek po Ukrainie* [*Sketches from Hiking Trips Around Ukraine*; vols. 1–2, 1856], and also very interesting *Listy z podróży* [*Letters from Trips*; vols. 1–3, 1859]. In the last years of

his life Zenon Fisz developed a mental illness. He died in the estate of Prusy near Cherkassy, in Ukraine.

Fisz created away from the centres of Polish literary life. His works quite quickly fell into oblivion. *Noc Tarasowa* was resumed in Cracow in 1901, whereas earlier Piotr Chmielowski published *Zosia Żytkiewiczówna* and *Nestor Pisanka* together in 1898 in Warsaw, under the title *Powieści ukraińskie* [*Ukrainian Novels*]. In the times of communism hardly anyone wrote about Fisz. The Ukrainian theme was under censorship. But in recent years there have been new readings of Fisz's prose (including Marek Kwapiszewski's, *Późny romantyzm i Ukraina* [*Late Romanticism and Ukraine*], Warsaw 2006).

The volume brings a collection of almost all the fiction (apart from *Opowiadania i krajobrazy* [*Stories and Landscapes*], *Listy z podróży* [*Letters from Trips*], the drama and the writer's letters). Fisz's work demands to be restored as an important and artistically outstanding record of Polish presence in the Ukrainian lands and a certificate of Polish-Ukrainian history, which Fisz described with talent and linguistic mastery. The volume was preceded by an introduction written by Dr. Marek Szladowski, the author of i.a. a book about old age in the writings of Józef Ignacy Kraszewski (Białystok 2012). The volume has been edited by Prof. J. Ławski and Iwona E. Rusek (Ph.D.). In the edition of Fisz's writings, also researchers from the Department of Polish Studies at the Taras Shevchenko National University of Kyiv took part.

Przełożyła: Małgorzata Zielińska

ZENON FISZ, *NOC TARASOWA. PROZA* [DT. *DIE TERRASENNACHT. WERKE IN PROSA*], VORWORT VON MAREK SZLADOWSKI UND ROŚCISŁAW RADYSZEWSKI, BANDBEARBEITUNG VON JAROSŁAW ŁAWSKI UND IWONA E. RUSEK, DIE WISSENSCHAFTLICHE VERLAGSSERIE »DIE SCHWARZE ROMANTIK«, DER LEHRSTUHL FÜR PHILOLOGISCHE UNTERSUCHUNGEN »OST – WEST«, UNIVERSITÄT ZU BIAŁYSTOK, BIAŁYSTOK 2017

ZUSAMMENFASSUNG

Der nächste Band wurde in der Wissenschaftlichen Verlagsserie »Die schwarze Romantik« als Publikation im Rahmen des Nationalen Zuschusses für das Entwicklungsprogramm der Geisteswissenschaft in den Jahren 2012–2017 unter dem Namen »Die Fortsetzung der kritischen Editionen der hervorragenden, in Vergessenheit geratenen Werke der polnischen, romantischen Literatur des 19. Jahrhunderts« herausgegeben. Das Projekt wird von den Forschern des Philologischen Lehrstuhls »Ost–West« der Universität zu Białystok realisiert. Die Edition wird vom Prof. Halina Krukowska und Prof. Jarosław Ławski geleitet.

Der Band bildet einen Versuch der Erinnerung an das Prosaschaffen des Schriftstellers, der circa für 150 Jahre lang fast ganz in Vergessenheit geraten ist; er heißt Zenon Fisz (1820–1870). Fisz schrieb meistens unter dem Pseudonym von Tadeusz Padalica. Zu seinen Lebzeiten war er nicht nur als Prosaiker, der eine schwere Geschichte aus dem polnisch-ukrainischen Grenzgebiet beschrieb, sondern auch als Reisebeschreiber hochgeschätzt. Er wurde im Gouvernement Mogiljow (Weißrussland) geboren, als Kind zog er aber schon mit seinen Eltern in die Ukraine um. Gerade die Ukraine wird sein großes Thema seiner Prosa bilden. Schon in Petersburg gründete Fisz (zusammen mit Jakub Jurkiewicz und Antoni Marcinkowski) ein konservatives Blatt »Gwiazda« [dt. »Stern«], das später in Kiev herausgegeben wurde. Fisz war Reisender, der Frankreich, Deutschland, Großbritannien und die Türkei besichtigte und die Berichte von seinen Reisen in den Zeitungen »Gazeta Krakowska« und »Kurier Warszawski« veröffentlichte. Er liebte Ethnographie. Sein nicht so großes Schaffen umfassen vor allem die Werke in Prosa – Erzählungen, Novellen, Romane (*Noc Tarasowa* [dt. *Die Terrassennacht*], 1841; *Zosia Żytkiewiczówna* [dt. *Sophia*

Żytkiewiczówna] 1855; *Nestor Pisanka* [dt. *Nestor von Pisanka*], 1856), ein Drama, das in den Jahren 1841–1844 unter dem Titel *Konaszewicz w Białogrodzie. Tragedia oryginalnie po polsku z dziejów Ukrainy* [dt. *Konaszewicz in Weißenburg. Die Tragödie ursprünglich in polnischer Sprache über die Geschichte der Ukraine*] geschrieben wurde, hervorragende Erzählungen *Opowiadania i krajobrazy. Szkice z wędrówek po Ukrainie* [dt. *Erzählungen und Landschaften. Skizzen aus den Wanderungen in der Ukraine*] (Bd. 1–2, 1856) und ganz interessante *Listy z podróży* [dt. *Briefe von der Reise*] (Bd. 1–3, 1859). Zenon Fisz erkrankte in seinen letzten Lebensjahren an einer Geisteskrankheit. Er starb auf dem Landgut namens Prusy nicht weit von der Stadt Tscherkassy in der Ukraine entfernt.

Fisz schuf weit von Zentren des polnischen literarischen Lebens. Seine Werke gerieten ganz schnell in Vergessenheit. Das Werk *Noc Tarasowa* wurde in Krakau im Jahre 1901 neu aufgelegt, wobei früher Piotr Chmielowski unter dem Titel *Powieści ukraińskie* [dt. *Ukrainische Romane*] zusammen *Zosia Żytkiewiczówna* und *Nestor Pisanka* im Jahre 1898 in Warschau veröffentlichte. In der kommunistischen Zeit schrieb man fast nichts über Fisz. Das ukrainische Thema wurde zensiert. Die Werke von Fisz erleben in den letzten Jahren einen Aufschwung: man hielt Vorträge seiner Prosawerke (unter anderem Marek Kwapiszewski, *Późny romantyzm i Ukraina* [dt. *Die Spätromantik und die Ukraine*], Warschau 2006).

Der Band brachte eine Sammlung fast aller Erzählwerke (man hat jedoch nicht berücksichtigt: *Opowiadania i krajobrazy*, *Listy z podróży*, ein Drama und Briefe des Schriftstellers). Das Schaffen von Fisz verlangt heutzutage die Restitution als eine wichtige und künstlerisch hervorragende Darstellung der polnischen Anwesenheit auf dem ukrainischen Boden und als Zeugnis der polnisch-ukrainischen Geschichte, von derer Fisz mit großem Talent und sprachlicher Meisterschaft erzählte. Den Band hat Dr. Marek Szladowski mit dem Vorwort versehen, er ist Autor von u.a. einem Buch über das Alter im schriftstellerischen Werk von Józef Ignacy Kraszewski (Białystok 2012). Den Band haben Prof. Jarosław Ławski und Iwona E. Rusek redigiert. In der Ausgabe der Schriften von Fisz nahmen auch Forscher vom Lehrstuhl der Polonistik der Nationalen Taras-Schewtschenko-Universität Kiew teil.

Przełożyła: Małgorzata Biergiel

INDEKS NAZWISK

A

Aleksandrowska Elżbieta – 408
Aleksandrowycz Wołodymyr – 23
Alighieri Dante – 294
Antonowycz Wołodymyr – 61

B

Bachórz Józef – 410
Baczko Bronisław – 44
Bakuła Bogusław – 46
Baliński Karol – 112
Bantysz-Kamieński Dymitr – 57
Bar Adam – 50, 410
Bartoszewicz Antonina – 408
Beauvois Daniel – 15, 18, 20, 22, 45, 408
Beck Heinrich – 305
Bertin Louise – 370
Biernacki Cezary – 409
Bonaparte Ludwik – 401
Bonaparte Napoleon – 401
Budrewicz Tadeusz – 409
Bujnicki Tadeusz – 409
Burkot Stanisław – 409

C

Canova Antonio – 324, 349, 404
Cavaignac Louis Eugène – 390
Ciepliński Marcin – 112
Chmielowski Piotr – 11, 13, 18, 22, 27, 46, 62-63, 408-409

Chodźko Ignacy – 291
Cooper James Fenimore – 84, 250
Czajkowski Antoni – 244
Czajkowski Michał – 11, 32, 37, 43
Czarniecki Stefan – 292

D

Delacroix Ferdinand Victor Eugène – 370
Dembowski Edward – 50
Demostenes – 294
Dłuski Wiktor – 44
Dobrzyński Ignacy Feliks – 112
Dołęga Benedykt – 403, 407
Dopart Bogusław – 20
Drozdowski Jan – 383
Dubyk Halyna – 30

E

Elsner Józef – 112

F

Fedorowicz Taras – 56
Fis. *zob.* Fisz Zenon
Fisch. *zob.* Fisz Zenon
Fish. *zob.* Fisz Zenon
Fiss. *zob.* Fisz Zenon
Fisz Zenon – (11-12), (13-46), (47-62), (63-65), 69, 237, 407-409
Floryan Władysław – 410
Fredro Aleksander – 321

G

Galli Edward Marian – 408-409
 Gogol Mikołaj – 50
 Goszczyński Seweryn – 11, 13, 29-30, 32,
 37, 43-44, 49, 236, 244, 247
 Grabowski Michał – 17, 20, 31-32, 43, 49,
 50, 56-57, 76, 409-411
 Groza Aleksander – 17, 32, 380
 Groza Seweryn – 32

H

Hadaczek Bolesław – 45
 Hegel Georg Friedrich – 96, 283, 304
 Hertz Paweł – 11, 22
 Hoffmanowa Klementyna – 321, 385
 Homer – 294
 Hugo Wiktor – 370
 Huk Bogdan – 45

I

Inglot Mieczysław – 19, 409

J

Jakimowicz Irena – 409
 Jakowenko Natalia – 56
 Jakóbiec Marian – 410
 Janion Maria – 22, 409
 Janiszewski Leon – 295
 Jan z Kijan – 380
 Jedlicki Jerzy – 14
 Jelačić Josip – 402
 Julien Pierre – 370
 Jurkiewicz Jakub – 19, 407

K

Kamionka-Straszakowa Janina – 22, 35

Kamionkowa Janina – 19, 409
 Kant Immanuel – 240, 304, 324
 Karpiński Franciszek – 74, 304
 Katon Marek Porcjusz – 242
 Klepaczko Agata – 31
 Książnin Franciszek Dionizy – 74
 Kock Charles Paul de – 334
 Konaszewicz-Sahajdaczny Petro – 50-51,
 56
 Konieczkowski Stanisław – 37, 57, 105,
 111-112
 Kopczyński Onufry – 321
 Korotyński Wincenty – 15, 34, 62, 409
 Korzeniowski Józef – 32, 380, 383
 Kosiński Krzysztof – 140
 Kostomarow Mykoła – 50, 59
 Kotlarewski Iwan – 50
 Kowalczykowa Alina – 410
 Kowalska-Kossobudzka Halina – 407
 Krasicki Ignacy – 72, 305
 Kraszewski Józef Ignacy – 11, 14, 17, 20,
 22, 27, 31, 39, 50, 56, 255, 262,
 397, 407, 409, 411
 Kropiński Ludwik – 247
 Krukowska Halina – 12, 44, 60, 236
 Kulisz Pantelejmon – 50, 112, 217, 408
 Kwapiszewski Marek – 11, 17-22, 28, 31-
 33, 42-43, 45, 51, 62, 407, 409
 Kwitka-Osnowianenko Hryhorij – 50
 Kyrzczew Roman – 62, 410

L

Lamartine Alphonse Marie Louis de Prat
 de – 379
 Lermontow Michaił – 17, 50, 408
 Liwiusz Tytus – 294

Ł

Ławski Jarosław – 12, 22, 44, 60
 Łesiów Michał – 22, 62
 Łojek Jerzy – 410

M

Macewicz Jan – 15
Maciejewska Marlena – 20
Maciejewski Marian – 409
Makowska Urszula – 30, 45, 62
Makowski Stanisław – 30-32, 45, 62
Malczewski Antoni – 11, 13, 32, 43-44,
49, 60, 131, 320, 323
Marcinkowski Antoni – 15, 19, 383
Marian Edward – 408
Markiewicz Henryk – 407
Mickiewicz Adam – 22, 239, 248
Mickiewicz Władysław – 44
Mochnacki Maurycy – 30
Morozenko Stanisław – 51
Mychalczuk Kostiantyn – 61

N

Nazaruk Bazyl – 23, 62
Nesteruk Małgorzata – 30, 45, 62

O

Ogiński Michał Kleofas – 325
Olizarowski August – 32
Ossowski Jerzy Stefan – 409

P

Padalica Tadeusz (Fisz Zenon) – 11, 14-
16, 20, 22-23, 33, 46, 49, 61-62,
64, 69
Padura Tymon (Padura Tomasz) – 32, 50,
103, 125
Padurra Tymko. *zob.* Padura Tymon (Pa-
dura Tomasz)
Pasek Jan Chryzostom – 291
Peel Robert – 240
Perthées Ludwik de – 353
Pfeffel Gottlieb Konrad – 247

Pietkiewicz Antoni – 410
Platon – 294
Podberski Andrzej – 15
Podwysocki Konstanty – 17
Pothey Alexandre – 403
Potocki Aleksander – 187
Powczeńska Anastazja – 51
Poznański Borys – 61
Prévot Charles-Victor – 85, 334
Przybylski Ryszard – 410
Przybylski Waław – 411
Przyszychowski Kazimierz – 20
Puszkina Aleksander – 50

Q

Quillenbois (właśc. Charles-Marie de Sa-
crus) – 403

R

Radyszewski Rościsław – 11, 49
Rautenstrauchowa Łucja – 383
Robespierre Maximilien Marie Isidore
de – 283
Rubini Giovanni Battista – 97
Rusek E. Iwona – 12, 413, 415, 417
Rutkowska Ewa – 408
Rutkowski Krzysztof – 15, 408
Rylski Tadeusz – 61
Rzewuski Henryk – 15, 20, 43, 296, 379

S

Saint-Pierre Jacques Bernardin de – 247
Sakowicz Kasjan – 50
Sand George – 366
Schelling Friedrich Wilhelm Joseph von –
304
Scott Walter – 84
Serczyk Władysław – 56
Shakespear William – 294

Siemieński Lucyan – 411
 Sienkiewicz Henryka – 14
 Sikorska-Kulesza Jolanta – 19
 Sinko Tadeusz – 410
 Sirko Iwan – 216
 Siwicka Dorota – 30
 Skalkowski Apollon – 30
 Skiba Wołody (właśc. Sabowski Stanisław) – 410
 Skimborowicz Hipolit – 50, 407
 Skoczek Anna – 409
 Słowacki Juliusz – 32
 Sobol Walentyna – 23, 62
 Sokrates – 294
 Soulié Frédéric – 366
 Sowa Jan – 45
 Sowiński Leonard – 14-15, 18, 50, 62, 410
 Stolzman Małgorzata – 410
 Straszewska Maria – 410
 Strzyżewski Mirosław – 409
 Stupkiewicz Stanisław – 410
 Swift Jonathan – 305
 Szajnocha Karol – 411
 Szaskiewicz August Antoni – 32
 Szewczenko Taras – 11, 49-50, 56, 61
 Szklarska-Lohmanowa Alina – 407
 Szladowski Marek – 11, 13
 Szyrmer Eleonora – 70
 Szyrmer Ludwik – 70

Ś

Śliwińska Irmina – 410
 Śliwiński Artur – 30

T

Tasso Torquato – 303
 Thiers Louis Adolphe – 379
 Tomaszewski Eugeniusz – 410
 Trembecki Stanisław – 75
 Triasyło-Fedorowicz Taras – 56
 Tyszyński Aleksander – 31

U

Ułaszyn Henryk – 20

V

Vernet Horace – 370

W

Wierzbicka Marianna – 15
 Wierzbicki Stanisław – 18
 Wilkoński August – 383
 Witkowska Alina – 30, 410
 Witwicki Stefan – 32
 Wolf Juliusz – 380
 Wolter (właśc. François-Marie Arouet) – 283, 404
 Woynarowska Karolina – 385
 Wójcicki Kazimierz Władysław – 383, 411

Z

Zaborowski Tymon – 32
 Zajączkowski Andrzej – 410
 Zaleski Józef Bohdan – 11, 13, 18, 29, 32, 43, 49-50, 101, 244, 247, 291, 301, 304, 314, 316, 320, 323, 334
 Zamącińska Danuta – 409
 Zenon F. *zob.* Fisz Zenon
 Ziemięcka Eleonora – 321

Ż

Żeleźniak Maksym – 213, 268
 Żółkowski Alojzy – 305
 Żytecki Pawło – 61

W NAUKOWEJ SERII WYDAWNICZEJ „CZARNY ROMANTYZM”
UKAZAŁY SIĘ:

- I.** Seweryn Goszczyński, *Zamek kaniowski*, wstęp Halina Krukowska (Białystok 1994, wyd. 2: Białystok 2002).
- II.** Jarosław Ławski, *Wyobrażenia lucyferyczna. Szkice o poemacie Tadeusza Micińskiego „Niedokonany. Kuszenie Chrystusa Pana na pustyni”* (Białystok 1995).
- III.** Antoni Malczewski, *Maria. Powieść ukraińska*, wprowadzenie napisali Halina Krukowska i Jarosław Ławski (Białystok 1995, wyd. 2: Białystok 2002).
- IV.** *Antoniemu Malczewskiemu w 170. rocznicę pierwszej edycji „Marii”. Materiały sesji naukowej, Białystok 5–7 V 1995*, pod red. Haliny Krukowskiej (Białystok 1997).
- V.** Zygmunt Krasiński, *Agaj-Han. Powieść historyczna*, wprowadzenie napisał Zbigniew Suszczyński (Białystok 1998).
- VI.** *Postacie i motywy faustyczne w literaturze polskiej*, pod red. Haliny Krukowskiej i Jarosława Ławskiego, t. I (Białystok 1999).
- VII.** *Postacie i motywy faustyczne w literaturze polskiej*, pod red. Haliny Krukowskiej i Jarosława Ławskiego, t. II (Białystok 2001).
- VIII.** Jarosław Ławski, *Marie romantyków. Metafizyczne wieje kobiecości. Mickiewicz – Malczewski – Krasiński* (Białystok 2003).
- IX.** *Problemy tragedii i tragizmu. Studia i szkice*, pod red. Haliny Krukowskiej i Jarosława Ławskiego (Białystok 2005).
- X.** Bonawentura [August E. F. Klingemann], *Straże nocne*, przeł. Krystyna Krzemieniowa i Maria Żmigrodzka, wstęp Steffen Dietzsch, Maria Żmigrodzka, opr. tekstu, red. tomu Jarosław Ławski (Białystok 2006).
- XI.** *Apokalipsa. Symbolika – Tradycja – Egzegeza*, pod red. Krzysztofa Korotkicha i Jarosława Ławskiego, t. I (Białystok 2006).
- XII.** *Apokalipsa. Symbolika – Tradycja – Egzegeza*, pod red. Krzysztofa Korotkicha i Jarosława Ławskiego, t. II (Białystok 2007).
- XIII.** *Światło w dolinie. Prace ofiarowane Profesor Halinie Krukowskiej*, pod red. Krzysztofa Korotkicha, Jarosława Ławskiego, Danuty Zawadzkiej (Białystok 2007).
- XIV.** *Nihilizm i historia. Studia z literatury XIX i XX wieku*, pod red. Mikołaja Sokołowskiego i Jarosława Ławskiego (Białystok–Warszawa 2009).
- XV.** *Noc. Symbol – Temat – Metafora*, t. I: *Wokół „Straży nocnych” Bonawentury*, pod red. Jarosława Ławskiego, Krzysztofa Korotkicha, Marcina Bajki (Białystok 2011).

- XVI.** *Noc. Symbol – Temat – Metafora*, t. I: *Noce polskie, noce niemieckie*, pod red. Jarosława Ławskiego, Krzysztofa Korotkicha, Marcina Bajki (Białystok 2012).
- XVII.** Krzysztof Korotkich, *Wyobrażenia apokaliptyczna Juliusza Słowackiego. Obrazy – wizje – symbole* (Białystok 2011).
- XVIII.** Tadeusz Miciński, *Walka o Chrystusa*, wstęp, opracowanie tekstu i przypisy Marcin Bajko (Białystok 2011).
- XIX.** Marek Szladowski, *(Bez)senna egzystencja. Starość Józefa Ignacego Kraszewskiego*, red. tomu Anna Janicka (Białystok 2012).
- XX.** Grzegorz Kowalski, *Duch w osobie. Bohater w dramatach Juliusza Słowackiego*, red. tomu Jarosław Ławski (Białystok 2012).
- XXI.** Renata Majewska, *Arkadia Północy. Mity eddaiczne w „Lilli Wenedzie” i „Królu-Duchu” Juliusza Słowackiego*, red. tomu Łukasz Zabielski (Białystok 2013).
- XXII.** *Starość. Doświadczenie egzystencjalne – temat literacki – metafora kultury*, Seria I: *Rozpoznania*, idea i wstęp Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Elżbieta Wesolowska, Grzegorz Kowalski (Białystok 2013).
- XXIII.** *Starość. Doświadczenie egzystencjalne – temat literacki – metafora kultury*, Seria II: *Zapisy i odczytania*, idea i wstęp Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Elżbieta Wesolowska, Grzegorz Kowalski (Białystok 2013).
- XXIV.** August Antoni Jakubowski, *Wspomnienia polskiego wygnańca*, wydanie polsko-angielskie, przekład, wstęp i opr. Jarosław Ławski, Piotr Oczko (Białystok 2013).
- XXV.** August Ernst F. Klingemann, *Faust. Tragedia w pięciu aktach*, wydanie polsko-niemieckie, przekład i wstęp Edwarda Lubomirskiego, red. tomu, opr. tekstu, przypisy i bibliografia Łukasz Zabielski, wstęp Jarosław Ławski, Steffen Dietzsch, Leszek Libera, Marta Kopij-Weiss (Białystok 2013).
- XXVI.** Roman Zmorski, *Lestaw. Szklic fantastyczny*, opr. tekstu i wstęp Halina Krukowska, red. tomu i opr. *Aneksu* Jarosław Ławski (Białystok 2014).
- XXVII.** Tomasz August Olizarowski, *Poematy*, z autografów i pierwodruków opr., wstępem poprzedziła Małgorzata Burzka-Janik, red. tomu Małgorzata Burzka-Janik, Jarosław Ławski (Białystok 2014).
- XXVIII.** Johann Wolfgang von Goethe, *Baśń*, przekład Krystyny Krzemień-Ojak, wstęp Wojciech Kunicki, redakcja i wprowadzenie Jarosław Ławski (Białystok 2015).
- XXIX.** Stefan Witwicki, *Edmund*, wstęp i opr. tekstu Mikołaj Sokołowski, wprowadzenie i opr. *Aneksu* Małgorzata Burzka-Janik, red. tomu Halina Krukowska i Jarosław Ławski (Białystok 2015).
- XXX.** Gotthilf Heinrich von Schubert, *Nocna strona przyrodoznawstwa*, przekład Krystyny Krzemień-Ojak, wstęp Steffen Dietzsch i Alberto Bonchino, przypisy Lucja Krzemień-Ojak, Steffen Dietzsch, wprowadzenie, opr. tekstu, wprowadzenie i red. Jarosław Ławski (Białystok 2015).

XXXI. Władysław Słowacki, *Narracje*, wstęp, przypisy i bibliografia Grzegorz Kowalski, red. tomu Jarosław Ławski (Białystok 2015).

XXXII. Wacław Szymanowski, *Sędziwój. Dramaty*, wstęp i opr. tekstu Grzegorz Czerwiński i Anna Janicka, red. i posłowie Jarosław Ławski (Białystok 2015).

XXXIII. Józef Sękowski, *Fantastyczne podróże barona Brambeusa*, wstęp Jarosław Ławski i Joanna Dziedzic, red. tomu Małgorzata Burzka-Janik i Jarosław Ławski (Białystok 2016).

XXXIV. Zenon Fisz, *Noc Tarasowa. (Proza)*, wstęp Marek Szladowski i Rościsław Radyszewski, red. tomu i bibliografia Iwona E. Rusek i Jarosław Ławski (Białystok 2017).

XXXV. Leszek Libera, *Gottfried August Bürger – autor „Lenory”* (Białystok 2016).

XXXVI. Edward Young, *Mysli nocne*, wydanie polsko-angielskie, red. i wstęp Łukasz Zabielski, opr. tekstów angielskich Jacek Partyka, wprowadzenie Mikołaj Sokołowski, red. tomu Halina Krukowska i Jarosław Ławski (Białystok 2016).

